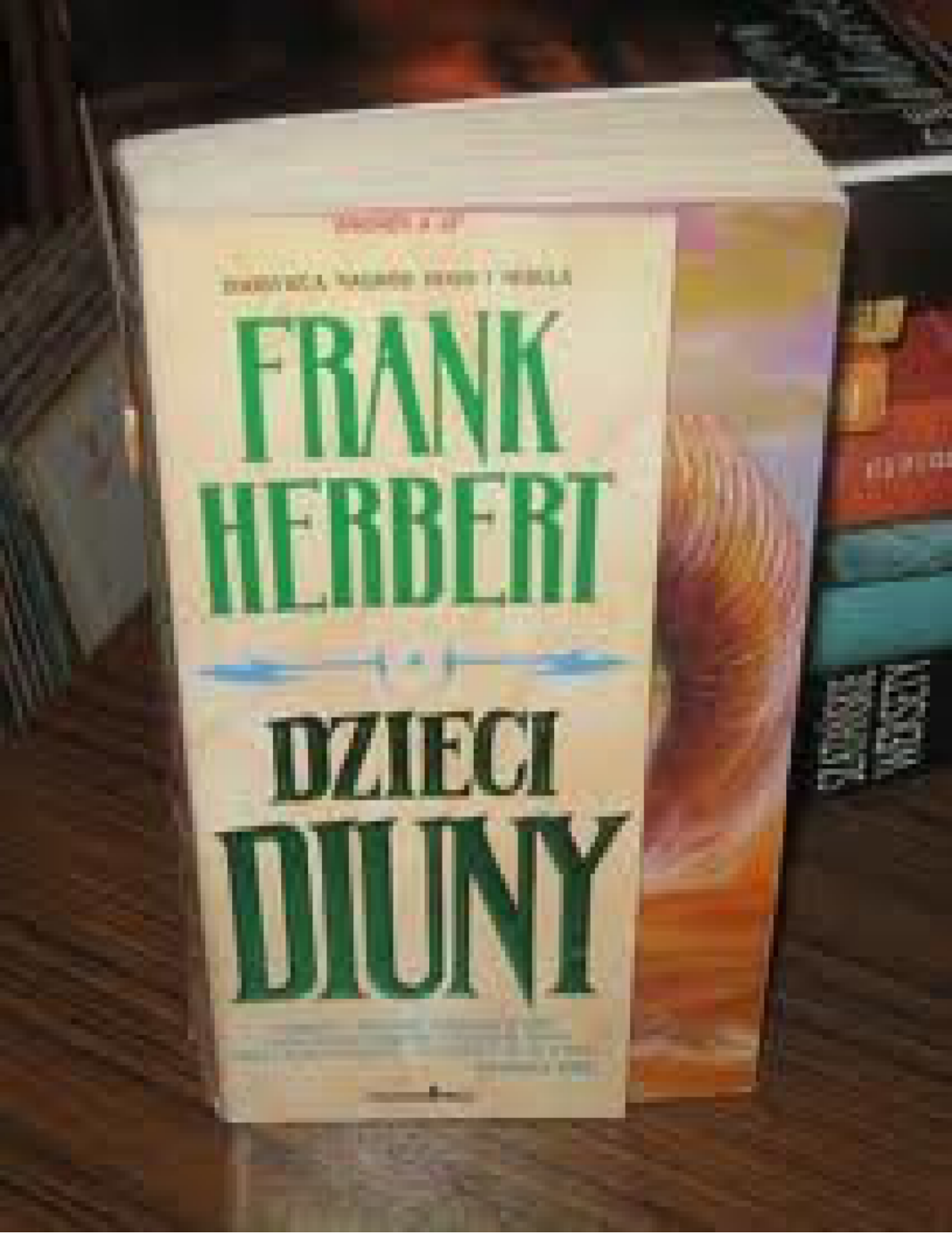
FRANK
HERBERT
DZIECI
DIUNY

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Po dziewięciu latach, odkąd Paul Muad'Dib zgodnie ze zwyczajem odszedł na pustynię, na Diunę powraca jego matka, lady Jessika. Plotka głosi, że ponownie została członkinią zakonu żeńskiego Bene Gesserit i ma jakieś szczególne plany w stosunku do swoich wnucząt: Leto i Ganimy – osieroconych przez Paula i Chani spadkobierców Imperium… Arraksis w coraz mniejszym stopniu przypomina planetę sprzed zapoczątkowania Ekologicznej Transformacji Diuny — niekończące się obszary pustyni coraz częściej ustępują wielkim połaciom zieleni…

Od pewnego czasu w mieście Arrakin pojawia się starzec zwany Kaznodzieją i wygłasza dziwne przemowy do wciąż tłumnie przybywających na Diunę pielgrzymów. Kim jest? Czy tylko na wpół szalonym mistykiem, czy może kimś więcej?

- Frank Herbert
  - Przełożył Marek Mastalerz
  -
  -
  -
  -
  -
  -
  -
  -
  -
  -
  -
  -
  -
  -
  -
  -
  -
  -
  -
  -
  -
  -
  -
  -
  -

TERMINOLOGIA IMPERIUM

Frank Herbert
Dzieci Diuny

Przełożył Marek Mastalerz

Dla BEV:

Za cudowne zrozumienie w naszej miłości i za to, że dzieliła ze mną swe piękno i mądrość, ponieważ to Ona naprawdę natchnęła tę książkę.

> *Nauki Muad'Diba stały się polem do popisu dla przesądnych i zepsutych scholastyków. Nauczał on harmonijnego sposobu życia, filozofii, dzięki której człowiek mógł sprostać problemom wynikającym z wiecznej zmienności wszechświata. Powiadał, że rodzaj ludzki wciąż ewoluuje, że proces ten nie ma końca. Mówił, że ewolucja działa na zmieniających się wciąż zasadach, znanych tylko wieczności. Czy wypaczone rozumowanie może w ogóle nadwyrężyć prawdę tkwiącą w tych słowach?*
>
> *„Słowa mentata", Duncan Idaho*

Na grubym, czerwonym dywanie pokrywającym gołą skałę groty pojawiła się plama światła. Lśniła bez widocznego źródła, objawiając się jedynie na czerwonej powierzchni tkaniny wykonanej z włókna przyprawowego. Błądzący krąg o średnicy dwóch centymetrów poruszał się drgając — to wydłużony, to znów okrągły. Natknąwszy się na ciemnozielony bok łóżka, podskoczył w górę, załamując się na jego powierzchni.

Pod zielonymi przykryciami leżało dziecko o rudawych włosach, twarzy wciąż jeszcze okrągłej i szerokich ustach — postać, której brakowało smukłości typowej dla rasy Fremenów, lecz bez nadawanej przez wodę pełności kształtów, charakterystycznej dla przybyszów z innych planet. Chłopczyk drgnął, gdy promień przemknął po jego zamkniętych powiekach. Światło błysnęło, by po chwili zgasnąć.

W komnacie słychać było tylko płytki oddech i dobiegające gdzieś z tyłu monotonne kapanie zbierającej się w basenie wody, wychwytywanej przez oddzielacz wiatru umieszczony wysoko nad jaskinią.

Światło zabłysło ponownie — trochę silniejsze, jaśniejsze o kilka lumenów. Tym razem można było zidentyfikować jego źródło:

zakapturzona postać wypełniła sklepione wejście w kącie izby i przesłoniła dobywającą się stamtąd poświatę. Raz jeszcze promień przesunął się dookoła komnaty, badając wszystkie jej załomy. Stwarzał atmosferę niebezpieczeństwa, nieustannego niepokoju. Omijając śpiące dziecko, światło zatrzymało się na zakratowanym wlocie powietrza w górnym rogu, spenetrowało wybrzuszenia w zielonych i złotych obiciach, łagodzących nieprzyjemne wrażenie wywierane przez litą skałę.

Po chwili zgasło znowu. Postać w kapturze poruszyła się, szeleszcząc tkaniną, i przystanęła z boku sklepionych drzwi. Każdy jako tako zaznajomiony ze zwyczajami panującymi w siczy Tabr zacząłby od razu podejrzewać, że to zapewne Stilgar, naib siczy, opiekun osieroconych bliźniąt, które pewnego dnia zastąpią swego ojca, Paula Maud'Diba. Stilgar często dokonywał nocnych inspekcji w pokojach bliźniąt, zawsze wchodząc najpierw do izby, w której spała Ghanima, a kończąc ją tu, w przyległym pokoju, gdzie mógł się upewnić, że Leto jest bezpieczny.

„Stary głupiec ze mnie" — pomyślał Stilgar.

Przejechał palcami po zimnej powierzchni projektora światła, zanim umieścił go w pętli przy pasie owiniętym wokół bioder. Projektor denerwował go nawet wtedy, gdy naib go potrzebował. Najnowszy wytwór Imperium, przyrząd służący do wykrywania obecności dużych, żywych obiektów, w królewskich komnatach sypialnych wykazywał jedynie obecność śpiących dzieci.

Stilgar pomyślał, że jego myśli i uczucia w pewnym sensie przypominają to światło. Nie mógł, nie potrafił opanować bezustannych wewnętrznych projekcji. Jego zachowanie kontrolowała jakaś wyższa siła. Przywiodła go do miejsca, w którym wyczuł spiętrzone niebezpieczeństwo. Tu właśnie spoczywał magnes przyciągający sny o potędze. Tu spoczywało doczesne bogactwo, świecka władza i najpotężniejszy ze wszystkich mistycznych talizmanów; boska istota religijnej spuścizny po Muad'Dibie. W tych bliźniętach — Leto i jego siostrze Ghanimie — skoncentrowała się przerażająca moc. Ponieważ żyły, Muad'Dib, choć zmarły, żył w nich.

Nie były zwykłymi, dziewięcioletnimi dziećmi: były siłą natury, żywiołem, obiektem boskiej czci i lęku. Były dziećmi Paula Atrydy, który został Muad'Dibem, Mahdim wszystkich Fremenów. Muad'Dib zmienił oblicze ludzkości; Fremeni wyruszyli z tej planety na dżihad, niosąc przez zasiedlony ludźmi wszechświat falę żaru religijnego uniesienia, którego zasięg i wszechmocna władza wywarły piętno na każdej planecie.

„Mimo to dzieci Muad'Diba są z krwi i kości — pomyślał Stilgar. — Dwa zwyczajne pchnięcia nożem są w stanie zatrzymać bicie ich serc. Ich woda powróciłaby do plemienia."

Na tę myśl jego nieposłuszny umysł opanowały natrętne obrazy.

Zabić dzieci Muad'Diba!

Minione lata obdarzyły go mądrością introspekcji. Wiedział, jakie źródło jest źródłem tej potwornej myśli. Pochodziła z lewej ręki — przekleństwa, nie z prawej — błogosławieństwa. Ajat i burhan życia nie miały przed nim tajemnic. Kiedyś był dumny z tego, że myśli o sobie jako o Fremenie, o pustyni jak o przyjacielu, że nazywa planetę Diuną — nie Arrakis, jak oznaczano ją na wszystkich gwiezdnych mapach Imperium.

„O ile prostsze było życie, gdy nasz Mesjasz był tylko marzeniem — pomyślał. — Znajdując Mahdiego, wyzwoliliśmy we wszechświecie niezliczone mesjanistyczne rojenia. Ludzie ujarzmieni przez dżihad marzą teraz o nadejściu nowego przywódcy."

Spojrzał w głąb pogrążonej w ciemności komnaty.

„Czy uczyniliby mnie mesjaszem, gdyby mój nóż ich uwolnił?"

Usłyszał, jak Leto niespokojnie wierci się przez sen. Stilgar westchnął. Nigdy nie znał dziadka — Atrydy, którego imię otrzymało to dziecko, lecz wielu mawiało, że z tego właśnie źródła pochodziła moralna siła Muad'Diba. Czy przerażający dar prawość i przeniósł się i na to pokolenie? Stilgar stwierdził, że nie jest w stanie odpowiedzieć na owo pytanie.

Pomyślał: „Sicz Tabr należy do mnie. Ja tu rządzę. Jestem naibem Fremenów. Beze mnie nie byłoby żadnego Muad'Diba. Ale te bliźnięta… Dzięki Chani, ich matce, a mojej krewniaczce, w ich żyłach płynie moja krew. Jestem w nich ja, Muad'Dib i Chani, i wszyscy inni. Cóż my uczyniliśmy z tym wszechświatem?"

Nie mógłby wyjaśnić, dlaczego wśród nocy naszły go takie myśli i dlaczego sprawiły, że czuje się winny. Schował się głębiej w szacie z kapturem. Rzeczywistość absolutnie nie przypominała marzeń. Przyjazna Pustynia, niegdyś rozpościerająca się od bieguna do bieguna, skurczyła się do połowy dawnego obszaru. Mityczny raj królującej zieleni napawał go lękiem. Nie przypominał tego, o którym marzyli Fremeni. I gdy jego planeta się zmieniała, dotarło do niego, że zmienia się i on sam. Stał się kimś o wiele bardziej wyrafinowanym niż niegdysiejszy przywódca siczy. Stał się świadom wielu rzeczy — sztuki rządzenia oraz odległych konsekwencji najdrobniejszych decyzji. Mimo to czuł, że jego wiedza i subtelność są cienką otoczką pokrywającą nienaruszone jądro prostszej, bardziej deterministycznej osobowości. Ta dawna istota nawoływała go, nęciła powrotem do czystszych wartości.

W jego myśli zaczęły się wdzierać dźwięki siczowego poranka. Poczuł powiew na policzkach: to ludzie wychodzili przez grodzie w ciemności przedświtu. Powiew świadczył o ich beztrosce, był znakiem obecnych czasów. Mieszkańcom drążni nie chciało się już zachowywać

reżimu wody z dawnych czasów. Dlaczego mieliby to czynić, skoro na planecie notowano deszcze, gdy widywano chmury, gdy ośmiu Fremenów zostało porwanych przez nagłą powódź w wadi? DO tego czasu słowo „zatopiony" nie istniało w języku Diuny; to jednak już nie była Diuna, lecz Arrakis… i poranek dnia pełnego wydarzeń.

„Jessika, matka Muad'Diba, babka bliźniąt, wraca dziś na tę planetę — myślał. — Dlaczego właśnie teraz kończy to sobie samej narzucone wygnanie? Dlaczego opuściła zacisze i bezpieczeństwo Kaladanu dla niebezpieczeństw Arrakis?"

Troskały go i inne rzeczy: czy ona wyczuje jego zwątpienie? Jako czarownica Bene Gesserit przeszła przez najintensywniejsze szkolenie zakonu żeńskiego i stała się pełnoprawną Matką Wielebną. Czy każe mu nadziać się na nóż, tak jak rozkazał Umma-Obrońca Liet-Kynes?

„Dlaczego miałbym jej słuchać?" — zastanowił się.

Nie mógł odpowiedzieć na to pytanie. Miast tego pomyślał o Liecie-Kynesie, planetologu, który marzył o przekształceniu ogólnoplanetarnej pustyni w sprzyjającą ludziom zieloną krainę, jaką się teraz stawała. Liet-Kynes był ojcem Chani. Bez niego nie byłoby marzenia, nie byłoby Chani ani królewskich bliźniąt. Kruchość delikatnego łańcucha zdarzeń przerażała Stilgara.

Jak doszło do tego, że się spotkaliśmy? — zadał sobie pytanie. — Jak się połączyliśmy? Dla jakiego celu? Czy moim obowiązkiem jest skończyć z tym wszystkim, unicestwić owo wielkie połączenie?"

Stilgar pogodził się z niepokojem panującym w jego duszy. Czuł się na siłach dokonać wyboru, odrzucić miłość i rodzinę, by uczynić to, do czego naibowie od czasu do czasu byli zmuszeni: zabić dla dobra plemienia. Z pewnego punktu widzenia taki mord stanowił najwyższą zdradę, krańcowe okrucieństwo. Zabić dzieci! Jednak nie były to tylko dzieci. Spożywały melanż, uczestniczyły w orgiach siczy, szperały po pustyni w poszukiwaniu piaskopływaków, bawiły się w inne zabawy fremeńskich dzieci… I zasiadały w Radzie Monarszej. Dzieci w tak niewinnym wieku, a jednak na tyle mądre, by zasiadać w Radzie! Choć były dziećmi z ciała, z doświadczenia były sędziwe, urodzone z sumą genetycznej pamięci, przerażającą świadomością, dzielącą ich ciotkę Alię i je same od całej reszty ludzkości.

Wiele razy, przez wiele nocy Stilgar łapał się na tym, że jego myśli krążą wokół owej różnicy. Wielokrotnie budził się ze snu, ogarnięty myślowym zamętem, i przychodził tu, do sypialni bliźniąt z niedośnionymi snami. Jego wątpliwości nabierały teraz ostrości. Wiedział, że niepowodzenie próby podjęcia decyzji samo w sobie jest decyzją. Bliźnięta i ich ciotka przebudzili się w łonach matek, mając w pamięci całą wiedzę przekazaną im przez przodków. Był to efekt narkotycznego uzależnienia od przyprawy, uzależnienia ich matek — lady Jessiki i Chani. Lady Jessika urodziła syna, Muad'Diba, zanim

popadła w uzależnienie. Alia przyszła na świat już po tym. Niezliczone pokolenia selektywnego chowu prowadzonego przez Bene Gesserit wydały wreszcie Muad'Diba, lecz w planach zakonu żeńskiego nie wzięto pod uwagę melanżu. Och, wiedźmy Bene Gesserit wiedziały o takiej możliwości, lecz bały się jej i nazywały ją Paskudztwem. Była dla nich czymś skrajnie przerażającym. Paskudztwo. Musiały mieć jakieś powody, by tak sądzić. A skoro orzekły, że Alia jest Paskudztwem, musiały ten sąd przenieść także na bliźnięta, ponieważ Chani również była uzależniona, jej ciało przesiąkło przyprawą, a geny w jakiś sposób uzupełniły geny Muad'Diba.

Myśli Stilgara toczyły się niespokojnie. Nie można było wątpić, że bliźnięta zaszły dalej niż ich ojciec, lecz w jakim kierunku? Chłopiec mówił o zdolnościach bycia swoim ojcem — i dowodził tego. Nawet jako niemowlę Leto ujawniał wspomnienia, o których mógł wiedzieć tylko Muad'Dib. Czy w szerokim wachlarzu pamięci czaili się również tacy przodkowie, których wierzenia i obyczaje stwarzały niebezpieczeństwo dla żywych ludzi?

Paskudztwa — orzekły święte wiedźmy Bene Gesserit. A mimo to zakon żeński z zawiścią spoglądał na genotyp dzieci. Wiedźmy pożądały nasienia i komórek jajowych bez uszkodzenia ciał, które je wytwarzały. Czy dlatego lady Jessika wracała właśnie teraz? Niegdyś zerwała z zakonem, by poprzeć książęcego kochanka, lecz plotka głosiła, że powróciła do metod Bene Gesserit.

„Mógłbym skończyć z tym wszystkim — pomyślał Stilgar. — Byłoby to tak proste!"

Raz jeszcze zdziwił się, że może rozważać taki wybór. Czy dzieci Muad'Diba ponosiły odpowiedzialność za rzeczywistość, która burzyła marzenia innych? Nie. Były jedynie soczewkami, przez które padało światło skupiające się tak, iż ukazywało nowe kształty wszechświata.

W udręce wrócił myślami do pierwotnych fremeńskich wierzeń i powtórzył sobie: „Boży rozkaz nadchodzi; nie staraj się go przyspieszać. To Bóg ma wskazać drogę; a są tacy, którzy z niej zbaczają „.

To właśnie religia Muad'Diba napełniała Stilgara największym niepokojem. Dlaczego obwołano Muad'Diba bogiem? Po co uświęcać człowieka, o którym wiadomo, że był z krwi i kości? „Złote Remedium Życia" Muad'Diba stworzyło biurokratycznego potwora, który rozpanoszył się w codziennych, ludzkich sprawach. Rząd i religia zjednoczyły się, a złamanie prawa stało się grzechem. Zapach bluźnierstwa jak dym unosił się wokół wszelkiego kwestionowania rządowych edyktów. Bunty stały się zaproszeniem do rozniecania piekielnych ogni i samosądów.

A przecież to ludzie tworzyli owe edykty.

Stilgar ze smutkiem potrząsnął głową, nie zauważając służących,

którzy weszli do Królewskiego Antyszambra, by pełnić poranne obowiązki.

Przejechał palcami po krysnożu u pasa, myśląc o przeszłości, którą symbolizował jego nóż: niejednokrotnie odczuwał sympatię dla buntowników, których stale upadające powstania tłumił własnymi rozkazami. Zamęt ogarnął jego myśli, pragnął wiedzieć, jak się go pozbyć, jak powrócić do dawnej prostoty. Ale wszechświat nie mógł odwrócić swego biegu; był wielką maszyną puszczoną w ruch na tle szarej pustki nieistnienia. Nóż, gdyby przyniósł bliźniętom śmierć, odbiłby się tylko od tej próżni, wnosząc nowe powikłania wichrujące bieg ludzkiej historii, tworząc przestrzenie rozpadu, zmuszając ludzkość do wykreowania nowych postaci ładu i chaosu.

Westchnął, uświadamiając sobie, że wokół niego wre ruch. Tak, ci służący reprezentowali ten rodzaj porządku, który stworzono dla bliźniąt Muad'Diba. Istnieli od chwili do chwili, radząc sobie ze swymi trywialnymi problemami bez zastanawiania się nad nimi.

„Najlepiej gorliwie ich naśladować — powiedział sobie Stilgar. — Najlepiej nie przejmować się z góry tym, co może się zdarzyć".

„Jestem teraz służącym — myślał dalej. — Panem moim jest Bóg, Miłosierny i Litościwy. — I zacytował sobie: — Z pewnością My nałożyliśmy im na szyje pęta aż po brody, tak że mają podniesione głowy; i My postawiliśmy barierę przed nimi i barierę za nimi, i My nakryliśmy ich, tak że nic nie widzą „.

Tak powiedziano w dawnej fremeńskiej religii.

Skinął głową własnym myślom. Widzieć, przewidywać następną chwilę, tak jak to robił Muad'Dib ze swoją napawającą lękiem wizją przyszłości — to stanowiło przeciwwagę dla ludzkich spraw. Tworzyło nowe możliwości decyzji. Być wolnym od więzów, tak, to mogło sugerować boski kaprys, jeszcze jedno powikłanie poza zasięgiem doświadczenia zwyczajnej ludzkiej istoty.

Stilgar zdjął rękę z noża. Myśl podporządkowała się palcom, ostrze, które kiedyś błyszczało w przepastnej paszczy pustynnego czerwia, pozostało w pochwie. Wiedział, że nie dobędzie noża, by zabić bliźnięta. Decyzja zapadła. Lepiej zachować tę dawną cnotę, której wciąż hołdował: lojalność. Lepsze te powikłania, które są mu znane, niż te, których nie umiał sobie wyobrazić. Lepsza teraźniejszość niż przyszłość kreślona przez marzenia. Gorzki posmak w ustach podpowiadał mu, jak puste i buntownicze mogą być niektóre z nich.

„Dosyć! Nigdy więcej marzeń!"

INWOKACJA: Widziałeś Kaznodzieję?

RESPONS: Widziałem czerwia.

INWOKACJA: Co czyni ten czerw?

RESPONS: Daje nam powietrze, którym oddychamy.

INWOKACJA: Wiec dlaczego niszczymy nasz świat?

RESPONS: Albowiem Szej-hulud [czerw deifikowany] tak chce.

„Zagadki z Arrakis" pióra Harq al-Ady

Tak jak to było we fremeńskim zwyczaju, atrydzkie bliźnięta wstały na godzinę przed świtem. Ziewały i przeciągały się w swych przylegających do siebie izbach, wyczuwając wokół krzątaninę w jaskini-drążni. Słyszały w przedpokoju służących przygotowujących śniadanie — prosty kleik z daktylami i orzechami polanymi płynem zebranym z częściowo przefermentowanej przyprawy. W przedpokoju unosiły się kule świętojańskie i ich miękkie, żółte światło padało przez otwarte wejście do komnat sypialnych. W tym łagodnym świetle bliźnięta ubrały się szybko, słysząc siebie nawzajem. Tak jak się umówiły, wdziały filtrfraki chroniące przed wiatrem pustyni.

Po chwili królewska para spotkała się w antyszambrze, dostrzegając, jak służba raptownie milknie. Zauważono, że Leto na szary, gładki filtrfrak narzucił czarno obrzeżoną, brązową pelerynę. Jego siostra włożyła zieloną. Kołnierze obydwu spięte były złotymi klamrami w kształcie atrydzkich jastrzębi z czerwonymi klejnotami w miejscu oczu.

— Widzę, że ubraliście się, by oddać cześć swojej babce — powiedziała Hara, jedna z żon Stilgara.

Leto wziął miskę ze śniadaniem, zanim spojrzał w ciemną i pobrużdżoną przez wiatr twarz kobiety. Potrząsnął głową.

— Skąd wiesz, czy to nie sobie oddajemy cześć? — rzekł. Hara wytrzymała sarkastyczne spojrzenie, nie uchylając wzroku.

— Moje oczy są równie niebieskie jak twoje — odparła. Ghanima roześmiała się na głos. Hara zawsze brała udział we fremeńskiej grze w inwokacje. Jednym tchem powiedziała:

— Nie szydź ze mnie, chłopcze. Możesz sobie być królewskim dzieckiem, ale oboje nosimy znamię uzależnienia od melanżu — oczy bez białek. Jakiego więcej Fremen potrzebuje stroju czy oznaki honoru?

Leto uśmiechnął się, potrząsając ze smutkiem głową.

— Haro, moja kochana, gdybyś tylko była młodsza i nie należała do Stilgara, uczyniłbym cię swoją żoną!

Hara z łatwością zaakceptowała drobne zwycięstwo, dając znak innym sługom, by kontynuowali przygotowywanie pomieszczeń na

ważne wydarzenie dzisiejszego dnia.

— Zjedzcie śniadanie — powiedziała. — Będzie wam dziś potrzebne dużo sił.

— Zatem zgadzasz się, że nie jesteśmy na tyle reprezentacyjni, by stanąć przed naszą babką? — spytała Ghanima, mówiąc z ustami pełnymi kleiku.

— Nie bój się jej, Ghaniu — rzekła Hara.

Leto przełknął obfitą porcję kleiku, posyłając pytające spojrzenie w stronę Hary. Ta kobieta była piekielnie roztropna, skoro tak szybko przejrzała gierkę z paradnymi strojami.

— Czy uwierzy, że się jej boimy? — zapytał.

— Może tak, może nie — powiedziała Hara. — Była naszą Matką Wielebną, pamiętam. Znam jej metody.

— Jak Alia się ubrała? — spytała Ghanima.

— Nie widziałam jej — odpowiedziała krótko Hara, odwracając się.

Leto i Ghanima wymienili porozumiewawcze spojrzenia i nachylili się szybko nad rozpoczętym śniadaniem. Gdy skończyli, wyszli na wielki, środkowy korytarz.

Ghanima przemówiła w jednym ze starożytnych języków, które mieli zakodowane w genetycznej pamięci:

— Więc od dzisiaj mamy babkę.

— To bardzo kłopocze Alię — rzekł Lato.

— Kto lubi oddawać władzę? — zapytała Ghanima. Leto roześmiał się miękko, dziwnie dorosłym głosem jak na tak młode ciało.

— Tu chodzi o coś więcej.

— Czy oczy jej matki wypatrzą to, co my zobaczyliśmy?

— A dlaczego nie? — spytał Leto.

— Tak… Właśnie tego Alia może się obawiać.

— Któż zna Paskudztwo lepiej niż ono samo? — zapytał Leto.

— Wiesz, że możemy się mylić — rzekła Ghanima.

— Ale nie mylimy się — odparł i zacytował z „Księgi Azhara" Bene Gesserit: — „Za sprawą rozumu i przerażających doświadczeń nazywamy przed-urodzonych Paskudztwami, któż bowiem wie, jak upadłe i przeklęte osoby z naszej strasznej przeszłości mogą przejąć władzę nad żyjącym ciałem?"

— Znam tę historię — powiedziała Ghanima. — Ale jeżeli to prawda, dlaczego nas nic nie atakuje od wewnątrz?

— Może nasi rodzice stoją w nas na straży? — powiedział Leto.

— To dlaczego nie są również strażnikami Alii?

— Nie wiem. Może dlatego, że jedno z jej rodziców wciąż pozostaje wśród żyjących. Może po prostu dlatego, że my wciąż jesteśmy młodzi i silni. Może gdy będziemy starsi i bardziej cyniczni…

— Musimy bardzo ostrożnie postępować z naszą babką — przerwała mu Ghanima.

— I nie rozmawiać z nią o tym Kaznodziei, który wędruje poprzez naszą planetę, głosząc herezje?

— Nie myślisz chyba, że to naprawdę nasz ojciec!

— Nie wiem, ale Alia się go boi. Ghanima gwałtownie potrząsnęła głową.

— Nie wierzę w te brednie o Paskudztwie!

— Masz tyle samo wspomnień, co ja — powiedział Leto. — Możesz wierzyć w co chcesz.

— Myślisz, że to dlatego, iż nie odważyliśmy się na trans przyprawowy, a Alia tak?! — rzekła Ghanima.

— Tak właśnie myślę.

Zamilkli, wmieszali się w ludzki strumień w środkowym korytarzu. W siczy Tabr było chłodno, lecz filtrfraki dawały ciepło i bliźnięta odrzuciły w tył kaptury-skraplacze. Twarze dzieci zdradzały wspólną matrycę genów: duże usta, szeroko rozwarte oczy z przyprawowym błękitem w błękicie.

Leto pierwszy zauważył zbliżającą się ciotkę Alię.

— Właśnie idzie — powiedział ostrzegawczo, przechodząc na atrydzki język walki.

Ghanima skinęła głową, gdy Alia zatrzymała się przed nimi, a następnie powiedziała:

— Łup Wojenny wita swą znamienitą krewną. — Używając języka Chakobsa, Ghanima podkreśliła znaczenie własnego imienia: łup wojenny.

— Widzisz, kochana ciociu — powiedział Leto — przygotowujemy się na dzisiejsze spotkanie z twoją matką.

Alia, jedyna osoba na licznym imperialnym dworze, która nigdy się nie dziwiła z powodu dorosłego zachowania dzieci, spoglądała teraz to na jedno, to na drugie. Wreszcie wypaliła:

— Trzymajcie język za zębami, oboje!

Brązowe włosy Alii splatały się z tyłu w dwóch złotych pierścieniach wody. Jej owalną twarz żłobiły bruzdy. Szerokie usta z opuszczonymi kącikami świadczącymi o pobłażliwości wobec samej siebie zaciśnięte były w wąską linię. Wokół błękitnych w błękicie oczu rozpościerała się wachlarzem sieć zmarszczek.

— Mówiłam wam obojgu, jak macie się dzisiaj zachowywać — rzekła. — Wiecie równie dobrze jak ja, dlaczego.

— Wiemy, z jakich powodów, ale ty możesz nie znać naszych — powiedziała Ghanima.

— Gnaniu! — mruknęła gniewnie Alia.

Leto spojrzał ponuro na swoją ciotkę i powiedział:

— Zwłaszcza dzisiaj nie mamy najmniejszej ochoty na udawanie

bezradnych niemowlaków!

— Nikt nie chce, żebyście udawali bezradność — odparła Alia.

— Uważamy jednak, że nie byłoby z waszej strony objawem rozsądku prowokować w waszej babce niebezpieczne myśli. Irulana się ze mną zgadza. Kto wie, jaką rolę wybierze dla siebie lady Jessika? Jest przecież mimo wszystko Bene Gesserit.

Leto potrząsnął głową, zastanawiając się: „Dlaczego Alia nie dostrzega, o co ją podejrzewamy? Czyżby zaszła już za daleko?" Jeszcze raz odnotował na jej twarzy subtelne oznaki cech, które otrzymała w genach odziedziczonych po dziadku ze strony matki. Baron Vladimir Harkonnen nie był kimś miłym. Poczyniwszy to spostrzeżenie, Leto odczuł niespokojne poruszenie w swym wnętrzu i pomyślał: „Był również moim przodkiem".

— Lady Jessika została przeszkolona, by sprawować władzę — powiedział.

Ghanima skinęła głową.

— Dlaczego właśnie teraz zdecydowała się wrócić? Alia nachmurzyła się.

— Może po prostu pragnie ujrzeć swoje wnuczęta? — odparła. Ghanima pomyślała: „Na to właśnie liczysz, ciotuniu, ale to piekielnie mało prawdopodobne".

— Nie może tu rządzić — powiedziała Alia. — Ma Kaladan, to powinno jej wystarczyć.

Ghanima odezwała się uspokajająco:

— Kiedy nasz ojciec odszedł na pustynię by umrzeć, ustanowił ciebie Regentką. On…

— Chcesz się na coś poskarżyć? — zapytała z naciskiem Alia.

— To był rozsądny wybór — powiedział Leto, kontynuując myśl Ghanimy. — Byłaś jedyną osobą, która wiedziała, co znaczy narodzić się tak jak my.

— Krążą pogłoski, że moja matka powróciła do zakonu żeńskiego — rzekła Alia. — Wiecie oboje, co Bene Gesserit sądzą o…

— Paskudztwie? — dokończył Leto.

— Właśnie! — Alia skrzywiła się na to słowo.

— Jeśli ktoś urodził się wiedźmą, już nią zostanie. Tak się przynajmniej powiada — rzekła Ghanima.

„Siostrzyczko, podejmujesz ryzykowną grę" — pomyślał Leto, ale przejmując jej sposób rozumowania, powiedział:

— Nasza babka ma znacznie prostszą naturę niż inne siostry. Dysponujesz jej wspomnieniami, Alio, więc niewątpliwie musisz wiedzieć, czego się po niej spodziewać.

— Prostota! — powiedziała Alia potrząsając głową, rozglądając się w zatłoczonym korytarzu i ponownie kierując wzrok na bliźnięta. — Gdyby moja matka miała mniej złożoną naturę, nie

byłoby tutaj żadnego z was. Ani mnie. Byłabym jej pierworodną i nic z tego… — Dreszcz wstrząsnął jej ramionami. — Ostrzegam was oboje, bądźcie bardzo ostrożni we wszystkim, co dzisiaj zrobicie. — Podniosła wzrok. — Nadchodzi straż.

— I wciąż uważasz, że towarzyszenie ci do portu kosmicznego nie jest dla nas bezpieczne? — zapytał Leto.

— Czekajcie tu — odparła Alia. — Przyprowadzę ją. Leto wymienił spojrzenie z siostrą.

— Powtarzałaś nam wiele razy, że wspomnieniom odziedziczonym po tych, którzy przeminęli przed nami, brak pewnej użyteczności, dopóki nie doświadczymy dosyć w naszych własnych ciałach, by umieć z nich korzystać. Moja siostra i ja wierzymy w to. Przewidujemy niebezpieczne zmiany wraz ze zjawieniem się babki.

— Dalej więc w to wierzcie — powiedziała Alia. Odwróciła się i weszła w zamknięty krąg strażniczek. Ruszyły szybko w głąb korytarza, ku Wyjściu Państwowemu, gdzie oczekiwały na nie ornitoptery.

Ghanima otarła łzę z prawego oka.

— Woda dla zmarłych? — szepnął Leto, biorąc siostrę pod ramię.

Ghanima wciągnęła głęboko oddech, myśląc o obserwacji ciotki, o Metodzie, którą znała z nagromadzonych doświadczeń przodków.

— To efekt transu przyprawowego, prawda? — zapytała, wiedząc, co odpowie Leto.

— A co innego byś sugerowała?

— Zastanów się, choćby teoretycznie: dlaczego nasz ojciec… ani nawet nasza babka nie zostali nawiedzeni? Popatrzył na nią badawczo przez chwilę.

— Znasz odpowiedź równie dobrze jak ja. W czasie, kiedy przybyli na Arrakis, stanowili już ukształtowane osobowości. Trans przyprawowy, no… — Wzruszył ramionami. — Nie przyszli na ten świat opętani przez przodków. Alia jednakże…

— Dlaczego nie wierzyła w ostrzeżenia Bene Gesserit? — Ghanima przygryzła dolną wargę. — Alia miała te same informacje, mogła dojść do tych samych wniosków co my.

— Już wtedy nazywały ją Paskudztwem — powiedział Leto. — Nie sądzisz, że byłoby kuszące stwierdzić, czy jesteś silniejsza niż wszyscy ci, którzy…

— Nie, nie sądzę! — Ghanima uciekła wzrokiem od badawczego spojrzenia brata. Zadrżała. Musiała zasięgnąć rady w genetycznej pamięci, aby ostrzeżenia zakonu przybrały żywe kształty. Przed-urodzeni, stwierdzono, mieli tendencję do nabywania w procesie dorastania ohydnych nawyków. A prawdopodobnie przyczyną tego było… Znowu zadrżała.

— Szkoda, że nie mamy przed-urodzonych wśród naszych

przodków — powiedział Leto.

— Może mamy?

— Ale wiedzie… Ach tak, to stare pytanie bez odpowiedzi. Czy rzeczywiście mamy swobodny dostęp do całości wspomnień każdego z naszych przodków?

Leto czuł niebywały zamęt w głowie i wiedział, że tak samo wyczerpująca musiała być ta rozmowa dla siostry. Rozważali ów problem wielokrotnie, zawsze bez ostatecznych wniosków.

— Musimy zwlekać i opierać się za każdym razem, kiedy Alia nakłania nas do transu. Najwyższa ostrożność przy dawkowaniu przyprawy to nasza najlepsza metoda postępowania — wycedził.

— Przedawkowanie musiałoby być całkiem spore — powiedziała Ghanima.

— Nasza tolerancja jest prawdopodobnie wysoka — zgodził się. — Zauważ, jak wiele melanżu potrzebuje Alia.

— Żal mi jej — powiedziała Ghanima. — Musiała być to subtelna i zdradliwa przynęta, czyhająca na nią dopóki…

— Jest ofiarą, tak — powiedział Leto. — Paskudztwem.

— Możemy się mylić.

— Zgadza się.

— Ciągle się zastanawiam — mruknęła Ghanima — czy następną pamięcią przodków, której będę szukała, będzie ta, która…

— Przeszłość jest od ciebie nie dalej niż twoja poduszka — rzekł Leto.

— Musimy poszukać okazji, by porozmawiać o tym z naszą babką.

— Do tego przynagla mnie jej pamięć we mnie — powiedział Leto. Ghanima napotkała jego wzrok i odparła:

— Zbyt wiele wiedzy nigdy nie ułatwia decyzji.

Do Lieta, do Kynesa,
Do Stilgara, do Muad'Diba,
I raz jeszcze do Stilgara
Należała sicz na skraju pustyni.
Naibowie jeden po drugim
zasypiają w piasku
Ale sicz wciąż trwa.

z fremeńskiej pleśni

Gdy odchodziła od bliźniąt, Alia czuła, jak szybko bije jej serce. Przez kilka pełnych napięcia sekund odczuwała niemal przymus, by zostać z nimi i błagać o pomoc. Cóż za idiotyczna słabość!

Wspomnienie tego nakazało jej czujność. Czy bliźniaki próbowały przyszłowidzenia? Ścieżka, która pochłonęła ich ojca, musiała je pociągać: trans przyprawowy połączony z jasnowidzeniem mamiącym jak złota tkanina mieniąca się w podmuchach wiatru.

„Dlaczego nie mogę zobaczyć przyszłości? — zastanowiła się. — Tak bardzo się staram, więc dlaczego mi się wciąż wymyka?"

„Trzeba zmusić bliźnięta do próby" — powiedziała sobie. Można je było do tego zachęcić. Ciekawość dzieci wiązała się w nich ze wspomnieniami ogarniającymi tysiąclecia.

„Tak jak u mnie" — pomyślała.

Jej straż otwarła grodź w Wyjściu Państwowym siczy i rozstawiła się po bokach, gdy Alia pojawiła się na lądowisku, na którym czekały ornitoptery. Wiatr z pustyni miotał kurzem, ale dzień był jasny. Nagłe wyjście z półmroku siczy w światło dnia spowodowało, iż Alia znowu zaczęły targać wątpliwości.

Dlaczego lady Jessika wracała właśnie teraz? Czy na Kaladan trafiły już opowieści o tym, jak wyglądała Renegacja…

— Musimy się pospieszyć, pani moja — powiedziała jedna ze strażniczek, podnosząc głos, by słychać ją było pośród kurzawy.

Alia pozwoliła pomóc sobie przy wsiadaniu do ornitoptera i zapinaniu pasów bezpieczeństwa, lecz jej myśli wyrywały się naprzód.

„Dlaczego właśnie teraz?"

Gdy załopotały skrzydła ornitoptera i kadłub zarzucając wzniósł się w powietrze, odczuła znaczenie i moc swej pozycji prawie jak coś fizycznego — ale były one tak kruche, och, jak kruche!

Dlaczego właśnie teraz, gdy nie doprowadziła swych planów do końca?

Chmury pyłu dryfowały, kłębiły się i rwały w górę. Widziała jaskrawe światło słońca nad zmieniającym się krajobrazem planety: szerokie połacie zielonej roślinności rozciągały się tam, gdzie kiedyś była tylko spalona ziemia.

„Bez wizji przyszłości może mi się nie udać. Och, jakich cudów mogłabym dokonać, gdybym tylko mogła patrzeć tak, jak patrzył Paul! Nie dla mnie gorycz, jaką niosą wizje prorocze."

Drążył ją dręczący głód i opanowywała przemożna chęć pozbycia się mocy.

Och, być taką, jakimi byli inni — ślepą w najbezpieczniejszy z wszystkich rodzajów ślepoty, żywą tylko hipnotycznym pół-życiem, w które szok narodzin wtrącał większość ludzkości! Ale nie. Urodziła się jako członkini rodu Atrydów, jako ofiara obejmująca tysiąclecia świadomości, powołana do życia przez uzależnienie się jej matki od przyprawy.

„Dlaczego matka wraca dzisiaj?"

Zapewne będzie z nią Gurney Halleck — zawsze oddany sługa,

najemny morderca ze wstrętną szramą, lojalny i bezpośredni; muzyk, który równie łatwo grał w zabijanie za pomocą pchlego sztychu, jak biegle posługiwał się dziewięciostrunową balisetą. Niektórzy powiadali, że został kochankiem jej matki. To też trzeba było rozgryźć; mogło to dostarczyć najwartościowszej dźwigni.

Opuściło ją pragnienie bycia taką jak inni.

„Trzeba nakłonić Leto do transu przyprawowego" — pomyślała.

Przypomniała sobie, że kiedyś spytała chłopca, jak poradziłby sobie z Gurneyem Halleckiem. A Leto, wyczuwając podteksty ukryte w pytaniu, powiedział, że Halleck jest lojalny „do przesady". I dodał: „Podziwiał… mojego ojca".

Zauważyła chwilę wahania. Leto prawie powiedział: „mnie" zamiast „mojego ojca". Tak, czasami ciężko izolować genetyczną pamięć od cięciwy żywego ciała. Gurney Halleck nie ułatwiłby mu tego rozdzielenia.

Surowy uśmiech dotknął ust Alii.

Gurney zdecydował się na wyprawę z lady Jessiką na Kaladan po wejściu Paula na imperialny tron. Powrót Hallecka poplątałby wiele spraw. Wracając na Arrakis, sprawiłby, że do istniejących powikłań doszłyby nowe. Służył ojcowi Paula, a sukcesja przeszła na następne pokolenia: Leto I — Paul — Leto II. A poza programem chowu Bene Gesserit: Jessiką — Alia — Ghanima, tworzące boczną linię. Gurney w połączeniu z zakłóceniami tożsamości Leto mógłby okazać się przydatny.

„Co zrobiłby, gdyby dowiedział się, że mamy w sobie krew Harkonnenów, których tak zaciekle nienawidzi?"

Uśmiech na ustach Alii stał się bardziej zamyślony. Bliźnięta to mimo wszystko dzieci. Dzieci o nieskończonej liczbie rodziców — ich wspomnienia należały zarówno do nich samych, jak i do innych. Będą zapewne stać na skalnej półce w siczy Tabr i obserwować drogę lądującego w Basenie Arrakańskim statku babki. Płonący znak przelotu statku, widoczny na niebie — czy uczyni przybycie Jessiki bardziej realnym dla jej wnucząt?

„Matka zapyta mnie o ich wychowanie — pomyślała Alia. — Czy sprawiedliwą ręką dozorowałam dyscyplinę pranabindu? Powiem wtedy, że ćwiczą same — tak jak kiedyś ja. Zacytuję jej wnuka: Pośród obowiązków władzy jest konieczność karania… ale tylko wtedy, gdy zażąda tego ofiara".

Alia zrozumiała nagle, że gdyby skoncentrowała uwagę lady Jessiki dostatecznie silnie na bliźniętach, ona sama mogłaby umknąć jej bliższemu badaniu.

Coś takiego mogło się udać. Leto był bardzo podobny do Paula. A dlaczego by nie? Może być Paulem, kiedy sobie tego zażyczy. Nawet Ghanima posiadła ową szarpiącą nerwy zdolność.

„Tak jak ja mogę być swoją matką, czy kimkolwiek z tych, którzy dzielili życie z nami”.

Oddaliła od siebie tę myśl, patrząc na zanikający pejzaż Muru Zaporowego. „Jak mogła opuścić ciepłe bezpieczeństwo bogatego w wodę Kaladanu i powrócić na Arrakis, na pustynną planetę, gdzie zabito jej księcia, a syn umarł jako męczennik?”

Dlaczego lady Jessiką wraca właśnie teraz?

Alia nie znalazła odpowiedzi — żadnej pewnej odpowiedzi. Mogła korzystać z czyjejś obcej świadomości, lecz gdy wydarzenia podążały rozbieżnymi drogami, motywy również stawały się odmienne. Istota decyzji zależała od niezależnych działań podejmowanych przez jednostki. Dla przed-urodzonych, wielokroć-urodzonych Atrydów pozostawało to najwyższą regułą, w swej istocie innym rodzajem narodzin: na tym polegało oddzielenie żyjącego, oddychającego ciała od łona, w którym się jeszcze znajdowało i które naznaczyło je zwielokrotnioną świadomością.

Alia nie widziała nic niezwykłego w kochaniu i nienawidzeniu matki równocześnie. Była to konieczność, pożądana równowaga bez miejsca na winę czy wyrzuty. Gdzie mogła kończyć się miłość bądź nienawiść? Czy można winić Bene Gesserit za to, że nadały lady Jessice pewną orientację? Wina i odpowiedzialność zaczynały się rozmywać, kiedy pamięć obejmowała millenia. Zakon starał się jedynie wyhodować Kwisatz Haderach — męskiego odpowiednika w pełni rozwiniętej Matki Wielebnej… I więcej — istoty ludzkiej o najwyższej wrażliwości na bodźce, posiadającej absolutną świadomość, Kwisatz Haderach, który może być w wielu miejscach równocześnie. A lady Jessika, pionek w programie chowu, miała na tyle zły smak, by zakochać się w partnerze hodowlanym, któremu została przypisana. Spełniając pragnienie ukochanego księcia, wydała na świat syna zamiast córki, której zakon życzył sobie jako pierworodnej.

„Pozwalając, bym narodziła się już po tym, jak uzależniła się od przyprawy! A teraz mnie nie chcą. Teraz się mnie boją! I mają ku temu powód.”

Osiągnęły Paula — swojego Kwisatz Haderach — o pokolenie za wcześnie. To drobna pomyłka w tak dalekosiężnym planie. A teraz miały kolejny problem — Paskudztwo niosące bezcenne geny, których szukały przez wiele pokoleń.

Alia spostrzegła sunący nad nią cień. Spojrzała w górę. Eskorta przygotowywała się do lądowania. Kobieta potrząsnęła głową w zadumie nad swymi rozproszonymi myślami Jakiemu dobru służyło wywoływanie dawnych pokoleń i wzajemne ścieranie ich omyłek?

Trzeba było żyć własnym życiem.

Duncan Idaho zadał swej mentackiej świadomości pytanie,

dlaczego Jessika wraca właśnie teraz. Ważył problem w ludzko-komputerowy sposób, który był jego darem. Stwierdził, że wróciła, by zabrać bliźnięta do zakonu. Bliźnięta również nosiły cenne geny.

Duncan prawdopodobnie miał rację. To mogło wystarczyć do wyrwania lady Jessiki z narzuconego sobie odosobnienia na Kaladanie. Skoro zakon zarządził… właśnie, bo dlaczego niby miałaby wracać do miejsc, które muszą otworzyć stare rany?

— Zobaczymy… — mruknęła Alia.

Poczuła, jak ornitopter zetknął się z dachem Cytadeli. Gwałtowne i zgrzytliwe lądowanie napełniło ją ponurym przeczuciem.

> ***Melanż*** *(melanż, również ma'landż) n-s, pochodzenie niepewne (przypuszczalnie ze starożytnego terrańskiego języka Franzh): a. mieszanina przypraw; b. przyprawa z Arrakis (Diuny) o geriatrycznych właściwościach, pierwszy raz zauważonych przez Yanshupha Ashkoko, nadwornego chemika na dworze Szakkada Mądrego; melanż arrakański znajdowany tylko w najgłębszych pustynnych piaskach Arrakis, dzięki któremu Paul Muad'Dib, pierwszy Mahdi Fremenów, doznawał proroczych wizji; używany przez Nawigatorów Gildii Planetarnej i Bene Gesserit.*
>
> *„Słownik Królewski" (piąte wydanie)*

Dwa wielkie koty wychynęły znad skały w światło świtu, skacząc z lekkością. Nie brały na razie udziału w zapamiętałym polowaniu, jedynie patrolowały swoje terytorium. Nazywane były tygrysami laza, a stanowiły specjalną rasę, sprowadzoną tu, na Salusa Secundus, prawie osiem tysięcy lat temu. Genetyczna praca nad pradawnym terrańskim gatunkiem zlikwidowała niektóre z oryginalnych tygrysich cech i wysubtelniła inne elementy. Ich kły pozostały długie, pyski szerokie, oczy czujne i inteligentne. Ich łapy powiększono, by dać im oparcie na nierównym podłożu, a schowane pazury, mogące wyciągnąć się prawie na dziesięć centymetrów, wyostrzone były na końcu jak brzytwy. Koty miały gładką, porudziałą sierść, która czyniła je niewidocznymi na tle piasku.

W jeszcze jeden sposób różniły się od przodków: gdy były jeszcze

kociętami, w ich mózgi zostały wszczepione serwostymulatory. Stymulatory czyniły je uległe wobec każdego, kto posiadał transmiter.

Było zimno i koty zatrzymały się, by zbadać teren. Ich oddechy tworzyły w powietrzu mgiełkę. Wokół rozciągał się suchy i wyprażony region Salusa Secundus, miejsce będące siedliskiem nędznej garstki piaskopływaków przemyconych z Arrakis i utrzymywanych przy życiu w nadziei, że monopol na przyprawę może zostać złamany. Tam, gdzie stały koty, krajobraz był poznaczony brązowymi skałami i rzadkimi kępami krzaków, srebrzącą się zielenią pośród długich cieni porannego słońca.

Nagle koty stały się czujne. Podniosły głowy, a następnie ich oczy zwróciły się powoli na lewo. Daleko w głębi spustoszonego krajobrazu dwoje dzieci siłowało się, idąc ręka w rękę w górę po kamienistym zboczu. Wydawały się być w jednym wieku, może dziewięć albo dziesięć lat standardowych. Miały rude włosy i nosiły filtrfraki częściowo ukryte pod przedniego gatunku białymi burkami. Na kapturach szat dzieci widniały godła rodu Atrydów — jastrzębie utkane nićmi z klejnotów ognia. Dzieci gawędziły sobie beztrosko, a ich głosy dolatywały do polujących kotów. Tygrysy laza znały tę grę, grały w nią przedtem, ale na razie spokojnie czekały na zachętę w postaci impulsu ze serwostymulatorów, sygnału wyzwalającego pościg.

W pewnej chwili na szczycie skaty za kotami pojawił się mężczyzna. Zatrzymał się i zbadał wzrokiem widok: koty, dzieci. Mężczyzna miał na sobie zielono-czarny mundur sardaukara z insygniami levenbrecha, adiutanta baszara. Wokół jego szyi owinięte były pasy, które dalej przebiegały pod ramionami, by utrzymać serwotransmiter na piersi, skąd żołnierz z łatwością mógł dosięgnąć przycisków.

Koty nie zwróciły uwagi na jego przybycie. Znały zapach i odgłosy wydawane przez tego człowieka. Mężczyzna zszedł ze skaty, stanął dwa kroki od kotów i otarł czoło. Powietrze było chłodne, ale wysiłek rozgrzewał. Jego blade oczy ponownie zbadały sytuację: koty, dzieci. Wepchnął niewielki kosmyk jasnych włosów pod czarny, polowy hełm i dotknął mikrofonu wszczepionego w gardło.

— Koty mają je na oku.

Odpowiedź dotarła do niego przez odbiorniki wbudowane za każdym z jego uszu:

— Widzimy je.

— To już teraz? — zapytał levenbrech.

— Czy zrobią to bez impulsu pościgu? — sparował głos.

— Są gotowe — odparł levenbrech.

— Bardzo dobrze. Zobaczymy więc, czy cztery sesje warunkowania wystarczą.

— Powiedzcie, kiedy będziecie gotowi.

— W każdej chwili.

— Zatem teraz — rzekł levenbrech.

Dotknął czerwonego klawisza po prawej stronie serwotransmitera, najpierw odciągnąwszy zasuwkę, która go osłaniała. W jednej chwili koty zostały uwolnione od wszelkich powstrzymujących je więzów. Mężczyzna trzymał dłoń zawieszoną nad czarnym klawiszem znajdującym się pod czerwonym, gotów zatrzymać zwierzęta, gdyby się zwróciły przeciw niemu. Ale one go nie zauważyły. Sprężyły się i poczęty posuwać w dół zbocza, w stronę dzieci. Wielkie łapy drgały w gładkich, posuwistych ruchach.

Levenbrech przykucnął, by to obserwować, świadom, że ukryte gdzieś transoko przekazuje całą tę scenę do tajnego monitora w pałacu, w którym mieszkał jego książę.

Po chwili koty zaczęty posuwać się susami, wreszcie biec.

Dzieci zajęte wspinaniem się po kamienistym gruncie wciąż nie widziały niebezpieczeństwa. Jedno z nich krzyknęło wysokim, śpiewnym głosem. Drugie potknęło się i odzyskując równowagę, spostrzegło koty.

— Patrz! — zawołało.

Zatrzymały się i patrzyły uważnie na zbliżające się zwierzęta. Wciąż jeszcze stały, gdy tygrysy laza uderzyły na nie — jeden na chłopca, drugi na dziewczynkę. Dzieci zginęły natychmiast, z błyskawicznie złamanymi karkami. Koty zaczęty pożerać ciała.

— Mam je odwołać? — zapytał levenbrech.

— Niech skończą. Dobrze się sprawiły. Wiedziałem, że tak będzie. To wspaniała para.

— Najlepsza, jaką kiedykolwiek widziałem — przyznał levenbrech.

— W takim razie bardzo dobrze. Wysłano po ciebie transport. Kończymy na razie.

Levenbrech wstał i przeciągnął się. Powstrzymał się przed spojrzeniem na wzniesienie po lewej stronie, gdzie ostrzegawczy blask mówił o kryjówce transoka przekazującego piękny występ jego baszarowi, daleko stąd, do zielonych krańców Stolicy. Levenbrech uśmiechnął się. Za dzisiejszą pracę prawdopodobnie otrzyma awans. Czuł już na kołnierzu insygnia batora, i pewnego dnia bursega… może kiedyś nawet baszara. Ludzie, którzy dobrze służyli w siłach Farad'na, wnuka zmarłego Szaddama IV, otrzymywali wysokie awanse. Pewnego dnia, gdy książę zasiądzie na należnym mu tronie, możliwe staną się nawet większe awanse. Ranga baszara nie musiała być końcem kariery. Na wielu planetach, kiedy już usunie się atrydzkie bliźnięta, będą do objęcia baronie i hrabstwa.

Fremeni muszą powrócić do pierwotnej wiary, do swojego geniuszu w tworzenia ludzkich społeczności; muszą powrócić do przeszłości, gdy uczyli się lekcji życia w walce z Arrakis. Jedynym problemem Fremena powinno być otwarcie na wewnętrzne nauki Planety Imperium, Landsraadu i Kompanii KHOAM nie mają żadnej wartości, którą mogłyby im ofiarować. Obrabują ich tylko z dusz.

„Kaznodzieja w Arrakin”

Wszędzie dookoła lady Jessiki, sięgając daleko w ceglastą płaszczyznę lądowiska, na którym spoczął transportowiec, stał ocean ludzi. Oceniła, że ściągnęło ich tu około pół miliona i tylko jedna trzecia wyglądała na pielgrzymów. Stali w milczeniu, z uwagą skupioną na platformie wyjściowej transportera, której ocieniony łuk skrywał ją i jej świtę.

Brakowało dwóch godzin do południa, lecz już teraz powietrze nad tłumem falowało złotym pyłem, zwiastując nadejście żaru dnia.

Jessika dotknęła wystających spod kaptura aby Matki Wielebnej okolonych srebrem, miedzianego koloru włosów, otaczających jej owalną twarz. Wiedziała, że po długiej podróży nie wygląda najlepiej i że czerń nie pasuje do niej. Ale nosiła już tutaj wcześniej ten strój. Nie mogła stracić okazji wywarcia wrażenia na Fremenach. Westchnęła. Podróże kosmiczne wyraźnie jej nie odpowiadały, a to miejsce obciążone było brzemieniem wspomnień o innej podróży: z Kaladanu na Diunę, gdy księciu Leto I wmuszono lenno wbrew jej ostrzeżeniom.

Powoli, posługując się wyszkoloną przez Bene Gesserit zdolnością wykrywania znaczących szczegółów, przeglądała morze ludzi. Widać w nim było matowoszare kaptury filtrfraków — stroje Fremenów z głębokiej pustyni. Gdzieniegdzie znajdowały się rozproszone grupki bogatych handlarzy, bez kapturów, w lekkich strojach, by wystawić na pokaz swe lekceważenie dla utraty wody w rozprażonym powietrzu Arrakin… Była też delegacja Wspólnoty Wiernych w zielonych szatach i ciężkich kapturach, stojąca z boku w aurze świętości własnej grupy.

Tylko wtedy, gdy przenosiła wzrok nad tłum, sceneria stawała się podobna do tej, jaka witała pierwsze przybycie książęcej pary. Jak dawno to było? Ponad dwadzieścia lat temu. Nie lubiła myśleć o minionych chwilach, dniach i latach. Czas zalegał w niej jak balast, tak jak gdyby lata spędzone z dala od tej planety nigdy się nie zdarzyły.

„Ponownie w paszczę smoka” — pomyślała.

Tu, na równinie, jej syn wydarł Imperium z rąk zmarłego Szaddama IV. Konwulsja historii odcisnęła to miejsce w ludzkich umysłach i wierzeniach.

Usłyszała niespokojne szepty tuż za sobą i znowu westchnęła. Muszą czekać na ociągającą się Alię. Dostrzegła jej świtę przedzierającą się przez tłum i tworzącą w nim ludzką falę, kiedy klin Gwardii Królewskiej otwierał przejście.

Jessika raz jeszcze zbadała wzrokiem okolicę. Uważnemu spojrzeniu nie umknęła żadna istotna różnica. Do wieży kontrolnej lądowiska dodano kazalnicę. A daleko po lewej, za równiną, widać było stos plastali, z której Paul zbudował fortecę — swoją sicz nad piaskiem. Była to najbardziej gigantyczna pojedyncza konstrukcja, jaką kiedykolwiek wybudowała ręka człowieka. Całe miasta mogły znaleźć się w jej murach i jeszcze pozostałoby wolne miejsce. Teraz mieściła najpotężniejszą rządzącą siłę w Imperium, Wspólnotę Wiernych Alii, powstałą po śmierci jej brata.

„Coś musi się zacząć dziać” — pomyślała Jessika.

Delegacja Alii osiągnęła próg rampy i przystanęła w oczekiwaniu. Jessika rozpoznała rysy Stilgara. „Boże, odwróć cios!” Poza tym księżna Irulana kryjąca swą dzikość w uwodzicielskim ciele, pod grzywą złotych włosów wystawionych na zbłąkane powiewy wiatru. Wydawało się, że Irulana nie postarzała się ani o jeden dzień. I oto na ostrzu klina stała Alia, z rysami zuchwale młodzieńczymi, oczyma spoglądającym w górę, w cienie luku. Usta Jessiki zacisnęły się w prostą linię, gdy wpatrzyła się w twarz córki. Przygniatający ból zapulsował w jej ciele, gdy wsłuchała się w przybój odczuć ze swego wnętrza. Plotki sprawdziły się. To straszne! Straszne! Alia weszła na zakazaną drogę. Dowód był widoczny dla każdego wtajemniczonego. Paskudztwo!

W ciągu kilku chwil, jakie zabrało jej odzyskanie równowagi, zrozumiała, jak silną żywiła nadzieję, iż pogłoski okażą się fałszywe.

„Co z bliźniętami? — zadała sobie pytanie. — Czy też są zgubione?”

Powoli, jak przystało matce boga, Jessika wynurzyła się z cienia na skraj rampy. Poinstruowana świta pozostała z tyłu. Kilka następnych chwil zadecyduje o wszystkim. Jessika stanęła sama, wystawiona na widok tłumu. Usłyszała, jak Gurney Halleck kaszle za nią nerwowo. Gurney sprzeciwiał się takiej ceremonii przybycia: „Nawet bez tarczy? Na Boga, kobieto! Jesteś szalona!”

Lecz do najbardziej cennych zalet Gurneya należało też posłuszeństwo. Mówił, co miał do powiedzenia, a później dostosowywał się. Teraz też tak było.

Kiedy Jessika pojawiła się, ludzkie morze wydało dźwięk podobny

do syku gigantycznego czerwia. Podniosła ramiona w geście błogosławieństwa. Z licznymi grupkami spóźnionych, lecz wciąż jak jeden olbrzymi organizm, ludzie opadli na kolana. Nawet oficjalna świta ukorzyła się.

Jessika odnotowała miejsca, gdzie zwlekano z oddaniem hołdu, i przypomniała sobie, że także inne oczy poza nią, oczy agentów ukrytych w ciżbie zapamiętywały doraźną mapę, przy pomocy której zamierzały wyłapać zwlekających.

Jessika wciąż stała z podniesionymi ramionami, kiedy wyłonił się Gurney i jego ludzie. Zbiegli błyskawicznie w dół rampy, ignorując przestraszone spojrzenia oficjalnej ekipy, i rzucili się w wąskie przejście. Kilka z ich ofiar dojrzało wcześniej niebezpieczeństwo i usiłowało uciec. Z tymi było najłatwiej: ciśnięty nóż, dusicielska pętla i uciekinierzy padali. Innych, zataczających się, wyciągnięto z ciżby ze związanymi rękoma.

Przez cały ten czas Jessika stała z wyciągniętymi ramionami, błogosławiąc swoją obecnością, utrzymując przybyłych w pokorze. Spostrzegła oznaki szerzącego się podniecenia. Znała pogłoskę, jaka poszła w tłum, ponieważ została zaszczepiona na jej polecenie: „Matka Wielebna wraca, by usunąć zwątpienie. Błogosławcie matkę naszego Pana!”

Gdy wszystko się skończyło — kilka martwych ciał pozostało na piasku, a jeńców odprowadzono do podziemnych składów pod wieżą lądowiska — Jessika opuściła ręce. Minęły może trzy minuty. Wiedziała, że to mało prawdopodobne, by Gurney i jego ludzie pochwycili któregokolwiek z prowodyrów, tych, którzy tworzyli najbardziej istotne zagrożenie. Ci byli czujni i ostrożni. Ale od pojmanych mogli prawdopodobnie uzyskać jakieś interesujące szczegóły.

Jessika opuściła ramiona i zachęceni tym ludzie podnieśli się na nogi.

Tak jakby nic się nie wydarzyło, zeszła sama po rampie, unikając córki i wymuszając na Stilgarze wzmożenie czujności. Czarna broda, ścieląca się wachlarzem na szyi filtrfraka, przetkana była pasmami siwizny, lecz spojrzenie Fremena miało tę samą intensywność wynikającą z braku białkówek, jaką zauważyła podczas pierwszego spotkania na pustyni. Stilgar zrozumiał, co się wydarzyło, i aprobował to. Stał tu prawdziwy fremeński naib, przywódca zdolny do krwawych czynów. Pierwsze wypowiedziane słowa były zupełnie w jego stylu:

— Witamy w domu, moja pani. Zawsze przyjemnie jest przyglądać się tak udanej akcji.

Jessika pozwoliła sobie na nikły uśmiech.

— Zamknij port, Stilgar. Niech nikt go nie opuści, dopóki nie przesłuchamy pojmanych.

— Już zrobione, moja pani — powiedział Stilgar. — Ludzie Gurneya i ja zaplanowaliśmy to razem.

— Zatem ci, którzy pomagali, byli twoimi ludźmi.

— Niektórzy z nich, pani.

Wyczuła ukryte zastrzeżenie i skinęła głową.

— Poznałeś mnie zupełnie nieźle w tamtych czasach, Stilgar.

— Jak raczyłaś mi raz powiedzieć, pani, należy obserwować tych, którzy przeżyli, i uczyć się od nich.

W tym momencie Alia postąpiła naprzód i Stilgar odstąpił na bok, podczas gdy Jessika zwróciła się ku córce.

Wiedząc, że nie ma sposobu, by ukryć to, czego się dowiedziała, Jessika nie próbowała się nawet maskować. Alia mogła odczytać najdrobniejsze szczegóły, kiedy chciała, równie dobrze jak jakakolwiek inna adeptka zakonu. Prawdopodobnie już wywnioskowała z zachowania lady Jessiki, co ta dostrzegła i jak to zinterpretowała. Były sobie wrogie tak, że w odniesieniu do nich słowo „śmiertelnie" dotykałoby tylko naskórka istoty uczuć.

Alia wybrała gniew jako najprostszą i najwłaściwszą reakcję.

— Jak ważyłaś się zaplanować coś takiego bez konsultacji ze mną? — zapytała z naciskiem, przysuwając twarz blisko do twarzy Jessiki.

Jessika przemówiła łagodnie:

— Tak jak właśnie usłyszałaś, Gurney nie wprowadził mnie w cały plan. Był pomyślany…

— I ty, Stilgarze! — powiedziała Alia, odwracając się do niego.

— Wobec kogo właściwie jesteś lojalny?

— Przysięgałem dzieciom Muad'Diba — rzekł sztywno Stilgar.

— Oddaliliśmy od nich groźbę.

— Dlaczego się nie radujesz… córko? — zapytała Jessika.

Alia rzuciła matce chmurne spojrzenie, ale stłumiła wewnętrzną burzę i nawet zdobyła się na uśmiech przez zaciśnięte zęby.

— Raduję się… matko — powiedziała. I ku swojemu zdumieniu odkryła, że jest szczęśliwa, doświadczając przerażającej rozkoszy, że wszystko stało się jasne pomiędzy nią a matką. Chwila, której się lękała, minęła, a równowaga sił właściwie się nie zachwiała. — Porozmawiamy o tym bardziej szczegółowo w bardziej odpowiednim miejscu — dodała Alia, mówiąc zarówno do matki, jak i do Stilgara.

— Ależ oczywiście — odparła Jessika, odwracając się, by stanąć twarzą w twarz z księżną Irulaną.

Przez kilka krótkich uderzeń serca Jessika i księżna milczały, badając się nawzajem — dwie Bene Gesserit, które zerwały z zakonem żeńskim z tego samego powodu: miłości… obie z miłości dla mężczyzn, którzy już nie żyli. Księżna kochała Paula bez wzajemności, będąc jego żoną, ale nie kochanką. A teraz żyła tylko dla dzieci

danych Paulowi przez fremeńską konkubinę, Chani.

Jessika przemówiła pierwsza:

— Gdzie są moje wnuczęta?

— W siczy Tabr.

— Rozumiem, że tutaj było dla nich zbyt niebezpiecznie.

Irulaną pozwoliła sobie na nikłe skinięcie. Obserwowała wymianę zdań między Jessiką i Alią, lecz wytłumaczyła ją sobie tak, jak ją do tego przygotowała Alia: „Jessika powróciła do zakonu, a obie wiemy, że zakon ma swoje plany co do dzieci Paula". Irulana nigdy nie należała do najlepszych adeptek Bene Gesserit — cenna dla nich bardziej przez fakt, że była córką Szaddama IV, niż z jakiegokolwiek innego powodu; często zbyt dumna, by trudzić się poszerzaniem swych zdolności. Teraz przechodziła na stronę Alii z gwałtownością nie licującą z jej opanowaniem.

— Naprawdę, Jessiko — rzekła. — Rada Królewska winna była być poinformowana. To źle z twojej strony, że działałaś przez…

— Mam z tego wnosić, że żadna z was nie ufa Stilgarowi? — zapytała Jessika.

Irulana zdołała uświadomić sobie, że nie może udzielić odpowiedzi na takie pytanie. Była zadowolona, że delegaci kapłaństwa, nie mogąc opanować dłużej niecierpliwości, pchali się naprzód. Wymieniła spojrzenie z Alią, myśląc: „Jessika jest tak harda i pewna siebie jak zawsze". Jednakże w jej umyśle nieproszony pojawił się aksjomat Bene Gesserit: „Hardzi budują ściany zamku, za którymi starają się ukryć własną niepewność i strach". Czy mogła go odnieść do lady Jessiki? Z pewnością nie. Wiec musiała być to poza. Ale w jakim celu? To pytanie zaniepokoiło Irulanę.

Kapłani, przedarłszy się do matki Muad'Diba, zachowywali się bardzo hałaśliwie. Niektórzy dotykali jej ramion, ale większość kłaniała się nisko i wypowiadała pozdrowienia. W końcu nadeszła kolej na przywódców delegacji, by powitali Najświętszą Matkę Wielebną. Akceptując zarządzoną kolejność — ostatni będą pierwszymi — z wyćwiczonymi uśmiechami mówili, że oficjalna ceremonia Przeglądu oczekuje ją w Cytadeli, dawnej fortecy-twierdzy Paula.

Jessika wpatrywała się badawczo w tę dwójkę. Wydawali się jej odpychający. Pierwszy, imieniem Dżawid, młody mężczyzna o twardych rysach, okrągłych policzkach i ciemnych oczach, nie był w stanie ukryć błyskającego w ich głębi podejrzenia. Następnym był Zebataleph, drugi syn naiba, którego znała z fremeńskich czasów, o czym pospieszył jej przypomnieć. Można go było łatwo sklasyfikować: wesołość połączona z bezwzględnością; szczupła twarz okolona jasną brodą roztaczała wokół atmosferę tajemnego podniecenia i wielkiej wiedzy, dającej władzę. Dżawida osądziła jako o wiele bardziej

niebezpiecznego z tej dwójki, mężczyznę o własnym sądzie, jednocześnie magnetycznie przyciągającego i — nie mogła znaleźć innego słowa — odpychającego. Stwierdziła, że ma dziwną wymowę, pełną starych fremeńskich akcentacji, jak gdyby pochodził z jakiejś izolowanej grupki swego ludu.

— Powiedz mi, Dżawidzie — spytała — skąd pochodzisz?

— Jestem jedynie skromnym Fremenem z pustyni — powiedział, każdą sylabą zadając kłam temu oświadczeniu.

Zebataleph wtrącił się z przesadnym szacunkiem, prawie kpiną:

— Mamy wiele wspólnych wspomnień, pani. Wiesz, byłem jednym z pierwszych, którzy rozpoznali świętą naturę misji twojego syna.

— Ale nie byłeś jednym z jego fedajkinów — powiedziała.

— Nie, pani, miałem bardziej filozoficzne zacięcie; uczyłem się na kapłana.

„I zapewniałeś bezpieczeństwo swej skórze" — pomyślała.

— Czekają na nas w Cytadeli, pani — powiedział Dżawid. Znowu stwierdziła, że inność jego akcentu jest otwartą kwestią wymagającą wyjaśnienia.

— Kto czeka? — zapytała.

— Konwokacja Wiernych, ci wszyscy, którzy utrzymują w blasku imię i czyny twojego świętego syna — odparł Dżawid.

Jessika rozejrzała się wokół, spostrzegła Alię uśmiechającą się do Dżawida i zapytała:

— Czy ten człowiek został mianowany przez ciebie, córko? Alia skinęła głową.

— Jego przeznaczeniem są wielkie czyny.

Jessika spostrzegła, że Dżawidowi nie sprawiła przyjemności ta uwaga. Zanotowała, że trzeba go powierzyć specjalnej uwadze Gurneya. W tym momencie podszedł właśnie on, z pięcioma zaufanymi ludźmi, dając znak, że kilku maruderów jest przesłuchiwanych. Szedł pewnym krokiem człowieka posiadającego moc, dyskretnie spoglądając na lewo, na prawo, dookoła, płynnie poruszając mięśniami w ciągłej czujności, której nauczyła go z podręcznika prana-bindu Bene Gesserit. Był odstręczającą bryłą wyćwiczonych odruchów, mordercą i chociaż zrażał niektórych, to jednak Jessika kochała go i nagradzała ponad wszystkich innych żyjących mężczyzn. Lewą połowę szczęki Gurneya szpeciła blizna — ślad po biczu z krwawinu — nadająca mu złowrogi wygląd, lecz jego twarz zmiękczył uśmiech, gdy zobaczył Stilgara.

— Dobrze zrobione, Stil — powiedział i schwycili się za ramiona w pradawny fremeński sposób.

— Przegląd… — powiedział Dżawid, dotykając ramienia Jessiki.

Jessika cofnęła się. Dobrała starannie słowa, kontrolując moc i

intonację głosu po to, by wywrzeć pożądane wrażenie na Dżawidzie i Zebatalephie:

— Wróciłam na Diunę, by zobaczyć moje wnuczęta — rzekła. — Czy musimy marnować czas na jakieś kapłańskie nonsensy?

Zebataleph zareagował szokiem, szczęka opadła mu w dół, oczy wlepił we wszystkich, którzy to słyszeli. Zapamiętał ich twarze. „Kapłańskie nonsensy!" Jakie skutki mogły wywołać te słowa, wychodzące z ust matki ich mesjasza?

Dżawid jednakże potwierdził ocenę Jessiki. Usta mu stwardniały, ale potem się uśmiechnął. Stworzył w pamięci wykaz tych, którzy od tej pory mieli być obserwowani ze szczególną uwagą. Po kilku sekundach przestał się uśmiechać, uświadomiwszy sobie, że zdradził się. Znał możliwości spostrzegania, jakie posiadała lady Jessika. Krótkie, urwane skinięcie głową znaczyło, że o nich wiedział.

Jessika w mentackiej iluminacji błyskawicznie rozważała wszystkie możliwości. Subtelny gest ręką do Gurneya spowodowałby śmierć Dżawida. Można to było zrobić tu, dla efektu, lub później, po cichu, i upozorować wypadek.

„Kiedy staramy się skryć nasze najgłębsze pragnienia, zdradzamy się całymi sobą" — pomyślała. Wokół tego pewnika obracało się szkolenie Bene Gesserit — wyniesienie ich ponad to i nauczenie czytania w otwartych duszach innych. Inteligencję Dżawida dostrzegała jako wartościowy, tymczasowy ciężar na szali wagi. Jeżeli dałoby się go pozyskać, byłby ogniwem, jakiego potrzebowała, wtyczką w arrakańskim kapłaństwie. I był człowiekiem Alii.

— Moja oficjalna ekipa nie może się rozrosnąć, mamy jednakże miejsce dla jednej dodatkowej osoby — powiedziała Jessika. — Dżawidzie, przyłączysz się do nas? Zebataleph, przykro mi. I, Dżawidzie… wezmę udział w tej… tej ceremonii… jeżeli nalegasz.

Dżawid pozwolił sobie na głęboki oddech.

— Jak matka Muad'Diba rozkaże — powiedział niskim głosem i spojrzał na Alię, na Zebatalepha i znowu na Jessikę. — Bolesne jest dla mnie odroczenie spotkania z dziećmi, pani, ale są, hmm, względy stanu…

„Dobrze. Przede wszystkim jest człowiekiem interesu — pomyślała Jessika. — Kiedy tylko ustalimy właściwą walutę, kupimy go". I spostrzegła, że cieszy się z faktu, iż nalegał na swą bezcenną ceremonię. To małe zwycięstwo wzmocni jego pozycję wśród towarzyszy. Wiedzieli o tym oboje. Zaakceptowanie Przeglądu mogło się okazać pomocne przy późniejszych usługach.

— Zakładam, że zorganizowałeś transport — powiedziała.

Dam wam za przykład pustynnego
kameleona, którego zdolność do zlewania

się z tłem mówi wszystko, co powinniście wiedzieć o korzeniach ekologii i podstawach tożsamości człowieka.

„Księga Diatryb" z „Kroniki Hayta"

Leto siedział i grał na małej balisecie, podarowanej mu na piąte urodziny przez wirtuoza tego instrumentu, Gurneya Hallecka. Przez cztery lata praktyki Leto nabył pewnej wprawy, chociaż dwie struny basowe wciąż sprawiały mu kłopoty. Zauważył jednak, że baliseta działa uspokajająco na wyjątkowo silne stany zdenerwowania — fakt, który nie umknął uwagi Ghanimy. Siedział teraz w świetle zachodu na skalnej wychodni osłaniającej sicz Tabr i miękko przebierał palcami po strunach.

Ghanima stanęła za nim. Cała jej niewielka postać wyrażała protest. Dziewczyna nie chciała wychodzić na otwarty teren, dowiedziawszy się od Stilgara, że ich babka przedłużyła pobyt w Arrakin. Szczególnie sprzeciwiała się przyjściu tutaj tuż przed zapadnięciem nocy. Próbując popędzić brata, zapytała: — Dobrze, więc o co chodzi? W odpowiedzi zaczął następną melodię. Po raz pierwszy, odkąd przyjął podarunek, Leto uzyskał świadomość tego, że baliseta pochodzi od mistrzowskiego rzemieślnika z Kaladanu. Chłopiec dysponował odziedziczonymi wspomnieniami, mogącymi natchnąć go głęboką nostalgią za tą piękną planetą, którą władał ród Atrydów. Musiał tylko rozluźnić wewnętrzne bariery w obecności muzyki — i mógł przywołać wspomnienia z czasów, gdy Gurney używał balisety do zabawiania swego przyjaciela i podopiecznego, Paula Atrydy. Baliseta rozbrzmiewająca w dłoniach sprawiała, iż Leto odczuwał coraz intensywniej psychiczną obecność ojca. Nie przestawał grać, z każdą mijającą sekundą traktując instrument coraz gwałtowniej. Wyczuwał wewnątrz siebie pewność co do doskonałej znajomości wszelkich sposobów gry na balisecie, chociaż dziewięcioletnie mięśnie nie były jeszcze przygotowane do realizacji tej wewnętrznej potrzeby. Ghanima tupnęła niecierpliwie stopą, nie zdając sobie sprawy, że dostosowała się do rytmu muzyki brata.

Krzywiąc usta w grymasie zdradzającym ogromną koncentrację, Leto oderwał się od znajomej melodii i spróbował zagrać pieśń dawniejszą, niż którakolwiek z wykonywanych przez Gurneya. Była stara już wtedy, gdy Fremeni migrowali na swoją piątą planetę. W tekście pobrzmiewały zensunnickie treści; słyszał je w pamięci, gdy palce wydobywały nieporadną wersję melodii.

W powabnej postaci natury

Zawiera się piękne jądro całości
Przez niektórych zwane — zmamieniem.
Dzięki tej miłej obecności
Życie zyskuje swe dopełnienie.
Łzy płyną w milczeniu,
Wodą duszy będąc jedynie,
I wiodą nowe życie
Ku bólowi istnienia.
Oderwanie od tego widzenia

Śmierć właśnie pełnym czyni Ghanima przemówiła, gdy przebrzmiała ostatnia nuta:

— To wstrętna, stara śpiewka. Dlaczego zagrałeś właśnie ją?

— Ponieważ mi odpowiada.

— Zagrasz ją Gurneyowi?

— Może.

— Nazwie ją ponurą brednią.

— Wiem.

Leto spojrzał przez ramię na Ghanimę. Nie było dla niego niespodzianką, że i ona zna dawne pieśni, ale poczuł nagły strach, że mimo, iż są bliźniętami, pozostają sobie tak obcy. Jedno mogło umrzeć, a mimo to pozostać w świadomości drugiego. Spostrzegł, że przeraża go wyjęta z czasu sieć tej bliskości. Oderwał wzrok od siostry. Wiedział, że sieć miała luki. Jego strach miał źródło w najnowszej z tych luk. Czuł, że ich losy zaczynają się rozdzielać, i zastanawiał się: „Jak mogę powiedzieć jej o tym, co przydarzyło się tylko mnie?”

Rzucił wzrokiem na pustynię, dostrzegając głębokie cienie wśród barchanów — wysokich, półokrągłych, ruchomych wydm, wędrujących dookoła Arrakis. To była Keden, Wewnętrzna Pustynia, której wydmy bardzo rzadko ostatnio były śladem przejścia gigantycznych czerwi. Zachodzące słońce rozlewało w poprzek diun krwawe strumienie, zdobiąc smugami ognistego światła cieniste brzegi. W polu widzenia chłopca znalazł się jastrząb spadający z purpurowego nieba, który schwytał w locie kuropatwę.

Bezpośrednio pod nim, na płaszczyźnie pustyni, wegetowały rośliny nawadniane przez kanat płynący częściowo otwarcie, częściowo w ukrytych tunelach. Woda pochodziła z gigantycznych kolektorów — oddzielaczy wiatru, położonych na najwyższym punkcie skały. Obok powiewała zielono-czarna flaga Atrydów. Woda i zieleń.

Nowe symbole Arrakis — woda i zieleń. Pod tą wysoko położoną półką rozpościerała się oaza obsianych wydm. Z położonego niżej urwiska dobiegło wołanie nocnego ptaka, podobne do bicia dzwonu,

sprawiając, że Leto nagle poczuł się całkowicie Fremenem.

„Nous avons changé tout cela” — pomyślał, przechodząc z łatwością na jeden ze starożytnych języków, których on i Ghanima używali na osobności. Zmieniliśmy tu wszystko. Westchnął. „Oublier je na puis „. Nie mogę zapomnieć.

Za oazą mógł dojrzeć krainę, którą Fremeni nazywali Pustką — kraj, w którym nic nie rosło, kraj nigdy nie będący płodnym. Woda i wielki plan ekologiczny zmieniały i to. Były na Arrakis miejsca, gdzie można było ujrzeć zielony aksamit zalesionych wzgórz. Lasy na Arrakis! Niektórzy z nowego pokolenia nie mogli sobie wyobrazić wydm pod zielonymi pagórkami. Dla młodych oczu nie był szokiem widok szerokiego, płaskiego listowia drzew równikowej puszczy. Leto spostrzegł jednak, że myśli teraz jak dawny Fremen, obawiając się zmian, odczuwając lęk spowodowany obecnością nowego.

— Dzieci mi mówią, że rzadko teraz znajdują tu, pod powierzchnią, piaskopływaki — powiedział.

— I co to ma oznaczać? — zapytała Ghanima. Usłyszał rozdrażnienie w jej tonie.

— Wiele rzeczy zaczyna się szybko zmieniać — odparł.

Na urwisku ponownie zakwilił ptak. Noc spadła na pustynię tak, jak jastrząb spadł na kuropatwę. Ciemność często wystawiała bezbronnego Leto na pastwę majaków — wszystkich wewnętrznych istnień, podnoszących wrzawę w oczekiwaniu na swą kolejkę. Ghanima nie sprzeciwiała się temu zjawisku — dokładnie tak jak on. Wiedziała o trawiącym go niepokoju. Poczuł jej dłoń na ramieniu.

Uderzeniem wydobył z balisety gniewny akord.

Jak mógł opowiedzieć o tym, co się z nim działo?

W jego umyśle trwały wojny, niezliczone istnienia zarzucały go wspomnieniami — wypadków, gwałtów, miłosnej ociężałości, barwy wielu miejsc i wielu twarzy… pogrzebanymi smutkami i ulotnymi uciechami tłumów. Słyszał elegie dla nie istniejących już planet, zielone tańce i blaski ognia, jęki i powitania, żniwo niezliczonych rozmów.

Ich napór był najcięższy do zniesienia podczas zachodu słońca, pod gołym niebem.

— Czy nie powinniśmy już iść? — zapytała Ghanima.

Potrząsnął głową, a ona wyczuła ten ruch, uświadamiając sobie, że jego kłopoty stały się cięższe, niż podejrzewała.

„Dlaczego tak często witam tu noc?” — zadał sobie pytanie. Nie czuł, jak Ghanima cofnęła rękę.

— Sam wiesz, dlaczego katujesz się w ten sposób — powiedziała.

Usłyszał w jej głosie delikatną reprymendę. Tak, wiedział. Odpowiedź leżała na powierzchni świadomości: ponieważ wielkie znane-nieznane poruszało nim jak fala. Czuł przeszłość niosącą go tak,

jakby dryfował na desce. Rozciągnięte w przestrzeni czasu wspomnienia z przyszłowidzenia ojca nakładały się na inne, a mimo to pożądał tych wszystkich przeszłości. Wiedział o tym, tak jak wiedział o tej nowej rzeczy, o której chciał powiedzieć Ghanimie.

Pustynia zaczynała drżeć we wschodzącym świetle Pierwszego Księżyca. Patrzył na zwodniczą nieruchomość sięgających w nieskończoność stert piasku. Po lewej stronie, w niewielkiej odległości, znajdował się Świadek — skalna wychodnia, którą miotające piach wiatry zredukowały do niskiej, falistej linii, podobnej do ciemnego czerwia, przebijającej się spod wydmy. Kiedyś skała, na której siedział Leto, zostanie ścięta do takiego samego kształtu i sicz Tabr nie będzie niczym więcej niż wspomnieniem kogoś takiego jak on. Nie wątpił, że znajdzie się ktoś taki jak on.

— Dlaczego wpatrujesz się w Świadka? — zapytała Ghanima.

Wzruszył ramionami. Odrzucając zakazy strażników, on i Ghanima często chodzili do tej skały. Znaleźli w niej tajemną kryjówkę i Leto wiedział, dlaczego to miejsce tak go pociąga.

Pod nim, w odległości skróconej przez mrok, błyszczał w świetle księżyca odsłonięty, prosty kanat. Jego powierzchnia migotała za sprawą drapieżnych ryb, które Fremeni zawsze wpuszczali do zmagazynowanej wody, by trzymać z dala piaskopływaki.

— Stoję pomiędzy rybą a czerwiem — mruknął.

— Co?

Powtórzył głośniej.

Przyłożyła dłoń do ust, zaczynając podejrzewać, co go wiodło. Ich ojciec działał w ten sam sposób — musiała tylko zajrzeć w głąb siebie i porównać.

Leto zadrżał. Wspomnienia łączące go z miejscami, których nie znało nigdy jego ciało, udzielały mu odpowiedzi na pytania, których nie zadawał. Na gigantycznym wewnętrznym ekranie widział powiązania rozwijających się wypadków. Czerwie Diuny nie mogły tknąć wody, gdyż ona je zatruwała. Wiedziano jednak, że w prehistorycznych czasach była tutaj woda. Panwie białego gipsu świadczyły o obecności mórz i jezior. W głęboko bitych studniach znajdowano wodę, którą odgradzały piaskopływaki. Tak jasno, jak gdyby być świadkiem owych wypadków, Leto ujrzał, co zaszło na tej planecie i napełniło go to przeczuciem katastrofy ściąganej przez ludzką interwencję.

— Wiem, co się tu stało, Ghanimo — powiedział głosem ledwie głośniejszym niż szept. Nachyliła się ku niemu.

— Tak?

— Piaskopływaki…

Zamilkł, a ona zastanawiała się, dlaczego wciąż odwoływał się do haploidalnej postaci gigantycznych pustynnych czerwi, lecz nie

ważyła się go popędzać.

— Piaskopływaki — powtórzył — zostały tu sprowadzone z innego miejsca. Była to wtedy nawodniona planeta. Mnożyły się szybciej, niż istniejące ekosystemy mogły sobie z nimi poradzić. Związały dostępną wodę i uczyniły Diunę pustynią… Zrobiły to, by przeżyć! Na planecie odpowiednio suchej mogły przejść w postać czerwia.

— Piaskopływaki? — Potrząsnęła głową, nie wątpiąc w jego słowa, jak również nie chcąc szukać potwierdzenia w głębiach, w których Leto zbierał informacje. „Piaskopływaki?" — zastanowiła się. Wielokrotnie bawiła się w dziecinną zabawę, wyszukując je tyczką, rozpłaszczając na cienką jak rękawiczka, jarzącą się błonę, a potem zabierając je do zgonsuszni, by odzyskać wodę. Trudno było myśleć o tych bezmózgich stworzeniach jako o sprawcach przemiany całej planety.

Leto skinął głową własnym myślom. Fremeni zawsze pamiętali, by do cystern z wodą wpuszczać drapieżne ryby. Haploidalne piaskopływaki aktywnie likwidowały większe masy wody blisko powierzchni planety; drapieżne ryby pływały również w kanacie. Czerwie wydające na świat piaskopływaki mogły poradzić sobie z małymi dawkami wody — na przykład ilościami zawartymi w płynie tkankowym ludzkiego ciała. Lecz owe chemiczne fabryki skonfrontowane z dużymi objętościami wody rozregulowywały się, eksplodując w niosącej śmierć transformacji, tworząc niebezpieczne koncentracje melanżu, narkotyku dającego absolut świadomości, używanego w rozcieńczonych dozach podczas siczowych orgii. Jego oczyszczony koncentrat przeniósł Paula Muad'Diba poza ściany Czasu, głęboko w studnię zaniku jaźni, gdzie nie poważył się dotychczas udać żaden inny człowiek.

Ghanima poczuła drżenie siedzącego przed nią brata.

— Coś ty zrobił? — zapytała z naciskiem.

Lecz on nie dał zbić się ze ścieżki objawiania swych odkryć:

— Ekologiczna przemiana planety to mniej piaskopływaków…

— Opierają się jej, oczywiście — powiedziała i zaczęła rozumieć lęk w jego głosie.

— Jeżeli znikną piaskopływaki, to znikną i wszystkie czerwie — dodał. — Trzeba ostrzec przed tym plemiona.

— Koniec z przyprawą — stwierdziła.

Słowa dotykały jedynie wierzchołka licznych niebezpieczeństw, które, jak się oboje zorientowali, wywołane zostały ludzkim wtrącaniem się w pradawne stosunki ekologiczne Diuny.

— Właśnie tyle wie Alia — powiedział. — Dlatego się tak unosi.

— Czy możesz być tego pewny?

— Jestem pewny.

Wiedziała teraz, co go niepokoiło, i poczuła, że ta wiedza i ją napawa lękiem.

— Plemiona nam nie uwierzą, jeżeli ona zaprzeczy — powiedział. Jego stwierdzenie odnosiło się do podstawowego dylematu ich egzystencji: jakiej mądrości oczekiwali Fremeni od dziewięciolatków? Alia, oddalając się każdego dnia coraz bardziej od wewnętrznej jedności, wygrywała na tym.

— Musimy przekonać Stilgara — powiedziała Ghanima.

Jednocześnie odwrócili głowy i wpatrzyli się w zalaną światłem księżyca pustynię. Było to już inne miejsce. Ludzkie oddziaływanie na otoczenie nie było dla nich nigdy bardziej widoczne. Odczuwali siebie jako integralne części dynamicznego systemu, z trudem utrzymywanego w pożądanej równowadze. Nowe spojrzenie wywoływało w świadomości prawdziwą rewolucję zalewającą myśli potopem spostrzeżeń. Tak jak powiedział Liet-Kynes — wszechświat był miejscem ciągłego dialogu między zwierzęcymi populacjami. Haploidalne piaskopływaki przemawiały do nich jako do ludzkich zwierząt.

— Plemiona zrozumieją zagrożenie dla wody — powiedział Leto.

— Ale to zagrożenie dla czegoś więcej. To… — Ghanima zamilkła, pojąwszy głębsze znaczenie swych słów. Woda była na Arrakis najwyższym symbolem władzy. Fremeni przypominali wąsko wyspecjalizowane zwierzęta: pozostawionych na pustyni rozbitków, ekspertów od życia w najtrudniejszych warunkach. I gdy wody było w bród, utrata znaczenia dawnego symbolu wywołała zmianę w ich psychice.

— Myślisz o zagrożeniu dla władzy — poprawiła go.

— Oczywiście.

— Ale czy nam uwierzą?

— Jeśli zobaczą, co się dzieje, jeśli dojrzą zakłócenie równowagi…

— Równowaga — powiedziała i powtórzyła dawne słowa ojca:

— „Właśnie ona wyróżnia ludzi z tłumu”.

Ten cytat przebudził w nim ich ojca, więc dodał:

— Ekonomia przeciw pięknu — historia starsza niż Szeba. — Westchnął i spojrzał na nią sponad ramienia. — Zaczynam mieć przyszłowidcze sny, Ghaniu. — Wstrzymała oddech. — Gdy Stilgar doniósł nam, że zwlekają z wypuszczeniem babki, wiedziałem o tym już wcześniej. Teraz podejrzewam, że inne moje sny również okażą się prorocze — powiedział.

— Leto… — Potrząsnęła głową, czując wilgoć w oczach. — Z naszym ojcem to stało się znacznie później. Nie sądzisz, że to może być…

— Śniłem, że biegam w zbroi przez wydmy. I byłem w

Dżekaracie.

— Dżeka… — kaszlnęła. — To przecież stary mit!

— To prawdziwe miejsce, Ghaniu! Muszę odnaleźć człowieka, którego nazywają Kaznodzieją. Muszę go znaleźć i porozmawiać z nim.

— Myślisz, że on jest… naszym ojcem?

— Sama siebie o to zapytaj.

— To byłoby do niego podobne — zgodziła się. — Ale…

— Nie lubię rzeczy, o których wiem, że je zrobię — powiedział.

— Po raz pierwszy w życiu rozumiem swego ojca. Poczuła się wyłączona z jego myśli.

— Kaznodzieja jest prawdopodobnie tylko starym mistykiem — powiedziała.

— Modlę się o to — szepnął. — Och, jak się o to modlę! — Baliseta zamruczała w jego dłoni, gdy nią poruszył. — Może to tylko Gabriel bez rogu.

Zapatrzył się w milczeniu w zalaną księżycem pustynię.

Ghanima odwróciła się, by popatrzeć tam, gdzie on, i ujrzała fosforyzujący blask gnijącej roślinności na skraju siczowej plantacji, niknący w zlewającej się linii wydm. Pełno tu było życia. Nawet gdy pustynia spała, coś w niej pozostawało na straży. Wyczuwała tę czujność, słyszała jakieś stworzenie zamieszkujące kanat. Odkrycie Leto przekształciło noc: oto ważna chwila, czas na wykrycie regularności wśród ciągłych zmian.

— Dlaczego Dżekarata? — zapytała, a bezbarwność jej głosu zniszczyła nastrój oczekiwania.

— Dlaczego… nie wiem. Kiedy Stilgar pierwszy raz powiedział nam, jak zabijano tam ludzi, jak uczyniono z tego miejsca tabu, pomyślałem… to, co ty. Lecz teraz właśnie stamtąd nadchodzi niebezpieczeństwo… i Kaznodzieja.

Nie odpowiedziała, nie zażądała, żeby podzielił się z nią dalszymi jasnowidczymi snami. Wiedziała, jak wiele z jej niepokoju udzieliło się i jemu. Ta droga prowadziła do stania się Paskudztwem i oboje o tym wiedzieli. Owo słowo wisiało między nimi nie wypowiedziane, gdy odwrócili się i zaczęli zstępować po skale w kierunku wejścia do siczy.

Paskudztwo.

> *Wszechświat jest dziełem Bożym. Jest jednością. Całością, wobec której ustalają się wszystkie podziały. Przemijające, nawet świadome siebie i rozsądne życie, które nazywamy czującym, otrzymuje tylko kruche powiernictwo nad nikłą częścią tej*

całości.

Komentarze K.E.F. (Kongresu Ekumenicznego Federacji)

Halleck użył do przekazania rzeczywistej wiadomości ręcznej sygnalizacji, podczas gdy na głos mówił o innych sprawach. Nie podobała mu się mała poczekalnia, którą kapłani wyznaczyli do złożenia raportu, ponieważ wiedział, że roi się w niej od aparatów szpiegowskich. Niech no jednak spróbują złapać drobne znaki ręką! Atrydzi używali tego sposobu komunikacji od setek lat i nikt nie wynalazł mądrzejszego.

Na zewnątrz zapadła noc, lecz pokój nie miał okien. Oświetlenie zależne było od kul świętojańskich umieszczonych w górnych rogach pomieszczenia.

— Wielu z tych, których pojmaliśmy, to byli ludzie Alii — przekazał Halleck, obserwując twarz Jessiki, podczas gdy na głos mówił, że przesłuchania wciąż trwają.

— Zatem jest tak, jak przewidywałeś — odpowiedziała Jessika, manipulując palcami. Skinęła głową i wypowiedziała otwartą replikę:

— Oczekuję pełnego raportu, gdy będziesz zadowolony z wyników, Gurney.

— Oczywiście, pani — powiedział, a jego palce kontynuowały: — Jest inna sprawa, dość niepokojąca. W transie narkotycznym niektórzy z naszych jeńców mówili o Dżekaracie i gdy wypowiadali tę nazwę, umierali.

— Uwarunkowane sercostopery? — zapytały palce Jessiki. A na głos powiedziała:

— Zwolniłeś jakiś jeńców?

— Kilku, pani, najbardziej oczywistych tumanów. — Jego palce zatańczyły: — Podejrzewamy przymuszacie serca, ale nie jesteśmy tego pewni Sekcje się jeszcze nie zakończyły. Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć o Dżekaracie i przyszedłem natychmiast.

— Mój książę i ja zawsze myśleliśmy, że Dżekarata to interesująca legenda, prawdopodobnie oparta na pewnych faktach — powiedziały palce Jessiki. Zdołała zignorować zwykły skurcz bólu, gdy mówiła o swym tak dawno zmarłym kochanku.

— Masz jakieś rozkazy, pani? — zapytał na głos Halleck.

Jessika odpowiedziała w ten sam sposób, mówiąc mu, żeby powrócił na lądowisko i doniósł, kiedy będzie miał jakieś nadające się do wykorzystania informacje, lecz jej palce niosły inną wiadomość: — Nawiąż kontakty z twymi przyjaciółmi wśród przemytników. Jeśli Dżekarata istnieje, zaopatrują się u nich, kupując przyprawę. Nie ma dla nich innego rynku niż przemytnicy.

Halleck szybko skinął głową, podczas gdy jego palce mówiły: — Puściłem już to w ruch, pani — I ponieważ nie mógł zignorować treningu całego życia, dodał: — Bądź ostrożna w tym miejscu. Alia jest twoim wrogiem, a większość kapłanów jest jej oddana.

— Nie Dżawid — odpowiedziały palce Jessiki. — On nienawidzi Atrydów; wątpię, czy ktokolwiek poza wtajemniczonymi mógłby to wykryć, ale jestem tego pewna. Spiskuje, a Alia o tym nie wie.

— Wyznaczam dodatkową straż dla twojej osoby, pani — powiedział na głos Halleck, zauważając niezadowolenie w oczach Jessiki. — Tu jest niebezpiecznie. Spędzisz tu noc?

— Udamy się później do siczy Tabr — powiedziała i zawahała się, czy powiedzieć mu, żeby nie przysyłał więcej strażników, lecz w końcu zachowała milczenie. Można było ufać instynktom Gurneya. Niejeden Atryda nauczył się tego, zarówno ku swemu żalowi, jak i zadowoleniu. — Mam teraz jeszcze jedno spotkanie z Mistrzem Nowicjatu — powiedziała. — To już ostatnie i będę rada, że opuszczam to miejsce.

> *I ujrzałem następną bestię wychodzącą z piasku, i miała dwa rogi podobne do rogów baranka, lecz paszcza jej była kłów pełna i ognia jak u smoka, a ciało jej błyszczało i płonęło żarem wielkim, gdy syczała jakby wąż.*
>
> *zrewidowana Biblia Protestancko-Katolicka*

Mężczyzna nazywał siebie „Kaznodzieją” i oto pewnego dnia na Arrakis padł przeraźliwy strach, że mógł on być Muad’Dibem, który powrócił z pustyni nie zginąwszy. Muad’Dib mógł żyć — któż bowiem widział jego ciało? A jeśli już o to chodzi, to kto widział jakiekolwiek ciało, które zabrała pustynia? Można było czynić porównania, lecz nikt z dawnych czasów nie wystąpił naprzód i nie rzekł: „Tak, wiem, że jest Muad’Dibem. Znam go”.

Jednakże… Tak samo jak Muad’Dib, Kaznodzieja był ślepy, oczodoły miał czarne i pokaleczone w sposób, w jaki mógł to zrobić spopielacz skał, a jego głos posiadał przepastną głębię, nieodpartą siłę, domagającą się odzewu z wnętrza człowieka. Wielu to zauważyło. Był szczupły, jego ogorzałą twarz zdobiły blizny, jego włosy przyprószyła siwizna. Ale głęboka pustynia wielu tak zmieniła. Wystarczyło rozejrzeć się dookoła.

Kaznodzieję prowadził młody Fremen, chłopak nieznany ludziom siczy, który pytany twierdził, że pracuje jako najemnik.

Argumentowano, że znający przyszłość Muad'Dib nie potrzebowałby takiego przewodnika. A wszyscy wiedzieli, że był on Kaznodziei niezbędny.

Kaznodzieja zjawił się na ulicach Arrakin pewnego zimowego poranka, trzymając brązową, żylastą dłoń na ramieniu młodego przewodnika. Chłopak twierdzący, że nazywa się Assan Tariq, szedł przez woniejące kamiennym pyłem ulice, prowadząc swego podopiecznego z doświadczeniem kogoś urodzonego w drążni, nie tracąc z nim ani razu kontaktu.

Dostrzeżono, że ślepiec miał na sobie tradycyjną burkę, zarzuconą na filtrfrak przypominający takie, jakie ongiś wyrabiano tylko w siczowych jaskiniach na najgłębszej pustyni. Nie był podobny do podłych fraków, rozpowszechnionych w owym czasie. Rurka donosowa wychwytująca wilgoć z oddechu i przekazująca ją w odzyskowe warstwy pod burką była spleciona w warkocz, warkocz tak czarny, że rzadko kiedykolwiek takie widywano. Maska kombinezonu, okrywająca dolną połowę twarzy ślepca, pokryta była zielonymi smugami — dziełem piasku niesionego przez wiatr. Całą swą postacią Kaznodzieja przypominał przeszłość Diuny.

Wielu spośród porannego tłumu zauważyło jego przejście. Mimo wszystko ślepy Fremen był nadal osobliwością. Prawo fremeńskie wciąż powierzało ślepców Szej-huludowi. Litera prawa, mimo że mniej ją honorowano w nowych, łagodnych — jeżeli chodzi o wodę — czasach, pozostawała nie zmieniona. Ślepcy byli darem dla Szej-huluda. Wedle prawa pozostawiano ich w otwartym blechu na pożarcie wielkim czerwiom. Gdy dokonywało się coś takiego — a różne historie docierały do miast — zawsze działo się to tam, gdzie wciąż władały najpotężniejsze czerwie, nazywane Praszczurami Pustyni. Ślepy Fremen stanowił więc niespotykany widok i ludzie przystawali, by popatrzeć na idącą ulicą dziwną parę.

Chłopak wydawał się mieć około czternastu standardowych lat i należeć do tej nowej rasy, która nosiła zmodyfikowane filtrfraki — wystawiające nieosłoniętą twarz na ogołacające z wilgoci powietrze. Miał gładkie rysy, podbarwione przyprawą zupełnie niebieskie oczy, kartoflowaty nos i niewinne spojrzenie, które tak często maskuje u młodych cynizm. Dla kontrastu, ślepy mężczyzna stanowił przypomnienie czasów nieomal zapomnianych — długi krok i smukłość ciała mówiły o wielu latach spędzonych wśród piasków tylko na własnych nogach, bądź na grzbiecie schwytanego czerwia. Głowę trzymał prosto, z ową charakterystyczną sztywnością karku, której niektórzy ślepcy nie mogą się pozbyć. Zakapturzona twarz odwracała się tylko wtedy, gdy starzec nadstawiał ucha na jakiś interesujący dźwięk.

Para kroczyła wśród gromadzących się tłumów, docierając w

końcu do stopni przypominających pola-tarasy, a prowadzących do świątyni Alii, kamiennej budowli, będącej godną współzawodniczką Cytadeli Paula.

Kaznodzieja i chłopiec szli po stopniach dopóty, dopóki nie stanęli na trzecim poziomie, gdzie pielgrzymi Hadżdż oczekiwali porannego otwarcia górujących nad nimi, gigantycznych drzwi. Były na tyle wielkie, że zmieściłaby się w nich cała katedra jednej ze starożytnych religii. Mówiono, że przejście przez nie ma pomniejszyć duszę pielgrzyma do rozmiarów wystarczająco znikomych, by zmieściła się w uchu igielnym i trafiła do nieba.

Na skraju trzeciego stopnia Kaznodzieja odwrócił się. Wyglądało to tak, jakby rozglądał się dokoła, widząc pustymi oczodołami wymuskanych mieszkańców miasta, Fremenów w strojach udających filtrfraki, ale będących jedynie dekoracyjnymi tkaninami, widząc gorliwych pielgrzymów świeżo przybyłych w kosmicznych transporterach Gildii, gotujących się do pierwszego kroku w dewocji mającej zapewnić im miejsce w niebie.

Na podestach wrzał hałas: ubrani w zielone szaty Kultyści Ducha Mahdiego nieśli żywe jastrzębie, wyćwiczone, by skrzeczały „wezwania do nieba". Krzykliwi przekupnie handlowali żywnością. Na sprzedaż oferowano wiele rzeczy, głosy prześcigały się w piskliwych wrzaskach. Można było dostać Tarot Diuny wraz z folderami i komentarzami wytłoczonymi na szigastrunie. Jeden handlarz miał egzotyczne części ubioru „z gwarancją, że dotknął ich sam Muad'Dib". Inny sprzedawał fiolki z wodą „ze świadectwem, że pochodzą z siczy Tabr, gdzie żył Muad'Dib". Przez wszystko przebijały się rozmowy w ponad setce dialektów Galachu, przerywane szorstkimi i piszczącymi zgłoskami języków out-frejn, którymi mówiono w Świętym Imperium. Tancerze Oblicza i niscy ludzie z podejrzanej rzemieślniczej planety należącej do Tleilaxan obijali się o ludzi w tłumie i kręcili w kółko w wyrazistych, jaskrawych strojach. Były tu twarze szczupłe i tłuste, twarze bogate-w-wodę. Od zapiaszczonej plastali, tworzącej szerokie stopnie, dobiegało nerwowe szuranie wielu stóp. Od czasu do czasu lamentujący głos wybijał się ponad kakofonię tłumu, intonując modlitwę:

— Mua-a-ad'Dibie! Mua-a-ad'Dibie! Ukaż się mej błagającej duszy! Ty, który jesteś pomazańcem Bożym, ukaż się mej duszy! Mua-a-ad'Dibie!

W pobliżu, wśród pielgrzymów, para aktorów grała za kilka monet, recytując linijki popularnej właśnie „Dysputy Armisteada i Leandraha".

Kaznodzieja odwrócił głowę, aby się im przysłuchać.

Aktorami byli dwaj mieszkańcy miasta, w średnim wieku, o zmęczonych głosach. Na polecenie ślepca młody przewodnik

dokładnie ich opisał. Byli ubrani w luźne szaty, nie raczące nawet udawać filtrfraków, okrywające bogate-w-wodę ciała. Assan Tariq uznał to za zabawne, ale Kaznodzieja skarcił go.

Aktorzyna grający rolę Leandraha podsumował swą orację:

— Phi! Wszechświat ogarnąć może tylko czująca ręka. Ta ręka, to jest to, co wiedzie twój cenny mózg i wszystko, co z mózgu się wywodzi. Widzisz, coś stworzył, stałeś się wrażliwy, ale dopiero po tym, jak ręka wykonała swe dzieło.

Występ nagrodziły nikłe oklaski.

Kaznodzieja wciągnął powietrze przez nos, jego nozdrza wyczuły obce wonie: maskowane piżmem różnorakiego pochodzenia zapachy, wydobywające się ze źle uszczelnionych filtrfraków, unoszący się wszędzie kamienny pył, wyziewy z niezliczonych porcji egzotycznego jadła, aromat kadzidła już zapalonego w świątyni i rozchodzącego się teraz we wszystkie strony. Gdy tak wchłaniał w siebie odór otoczenia, na jego twarzy odbijały się myśli: „Do tego doszliśmy my, Fremeni!”

Nagłe zamieszanie wstrząsnęło tłumem. Na plac wyszli Tancerze Piachu i zgromadzili się u podnóża stopni: cała pięćdziesiątka spętana ze sobą linami z elakki. Widać było, że tańczą tak całe dnie, chcąc osiągnąć stan ekstazy. Z ich ust ściekała piana, gdy podskakiwali i przytupywali w rytm ich tajemnej muzyki. Trzech zwisało bezwładnie na linach pociąganych przez innych w przód i w tył, jak lalki na sznurkach. Jedna z tych lalek jednakże się ocknęła, a tłum widocznie wiedział, czego można się spodziewać.

— Widziałee-ee-eeem! — wrzasnął świeżo przebudzony tancerz. — Widziałee-ee-eeem! — Opierał się ciągnięciu przez innych tancerzy, ciskając na prawo i lewo dzikie spojrzenia. — Tu, gdzie jest to miasto, tylko piach się ostanie! Widziałee-ee-eeem!

Od strony widzów rozległ się wielki, wzbierający śmiech. Dołączyli do niego także nowi pielgrzymi.

Tego było za wiele dla Kaznodziei. Podniósł obie ręce i zagrzmiał głosem, którym z pewnością rozkazywał czerwiom:

— Cisza!

Ciżba na placu zamilkła na echo tego bojowego okrzyku. Kaznodzieja wskazał na tancerzy drobną dłonią i iluzja, że ich widzi, stała się nieodparta.

— Czy nie słyszeliście tego człowieka? Bluźniercy i bałwochwalcy! Wszyscy! Religia Muad’Diba nie jest już jego! On odtrąca ją, tak jak i was! Piach pokryje to miejsce. Piach pokryje was.

Mówiący opuścił ramiona, położył dłoń na barku przewodnika i rozkazał:

— Zabierz mnie stąd.

Być może był to przypadkowy dobór słów: „On odtrąca ją, tak jak i was!” Może dźwięk głosu, którego wymowa z pewnością świadczyła

o szkoleniu w sztukach Głosu Bene Gesserit, Głosu rozkazującego jedynie przy pomocy niuansów modulacji; a może nieodłączna mistyka miejsca, gdzie mieszkał, spacerował i skąd rządził Muad'Dib, sprawiły, że ktoś z dala, ze stopni, zawołał za odchodzącym Kaznodzieją tonem przejętym religijnym lękiem:

— Czy to Muad'Dib wrócił do nas?

Kaznodzieja zatrzymał się, sięgnął do sakwy pod burką i dobył stamtąd przedmiot, który rozpoznali tylko ci, którzy stali w pobliżu. Była to zmumifikowana przez pustynię ludzka ręka, jedna z tych, które od czasu do czasu ukazywały się na piasku i były powszechnie uważane za wiadomości od Szej-huluda. Dłoń uschnięta tak, że tworzyła zaciśniętą pięść, kończącą się białą kością porysowaną wiatrami burz piaskowych.

— Przynoszę Rękę Boga i to wszystko, co przynoszę! — krzyknął Kaznodzieja. — Mówię w imieniu Ręki Boga. Jestem Kaznodzieją.

Niektórzy pojęli to w ten sposób, że ręka należała do Muad'Diba, ale inni uczepili się zniewalającej osobowości i przerażającego głosu tego człowieka — i tak właśnie Arrakis poznała jego imię. A nie był to ostatni raz, kiedy go słyszano.

Stwierdza się powszechnie, mój drogi Georadzie, że w doświadczeniu działania przyprawy istnieje wielka i naturalna cnota. Być może jest to prawda, żywię jednakże dogłębne wątpliwości, czy każde użycie melanżu zawsze przynosi cnotę. Wydaje mi się, że pewne osoby nadużyły i zbezcześciły go, rzucając wyzwanie Bogu. Słowami Ekumenonu: zniekształciły one duszę. Zadowalają się powierzchownymi skutkami działania melanżu i wierzą, że w ten sposób osiągną łaskę. Szydzą ze swych przyjaciół, czynią wielką szkodę boskości i zazdrośnie wykoślawiają znaczenie tego bogatego daru, okaleczając go z pewnością na tyle, że nie jest w ludzkiej mocy to odwrócić. By być naprawdę sam na sam z cnotą przyprawy, nie kalając jej w jakikolwiek sposób, z pełnią przystojącej człowiekowi godności, należy pozwolić, aby nasze czyny i słowa zgadzały się. Gdy twe działania wywołują łańcuch złych konsekwencji, należy cię sądzić podług ich następstw, nie wedle twoich wyjaśnień. Tak właśnie winniśmy osądzać Muad'Diba.

„Herezja Pedanta"

Był to mały pokój, wypełniony delikatnym zapachem ozonu, którego ilość redukowały przyćmione kule świętojańskie oraz niebieskie, metaliczne światło pojedynczego monitora transoka. Dominowała w nim szarość i cienie. Ekran miał mniej więcej metr szerokości i około siedemdziesięciu centymetrów wysokości. Ukazywał w odległym planie jałową, skalistą dolinę oraz dwa tygrysy laza pożywiające się krwawymi resztkami ostatniej ofiary. Na zboczu ponad tygrysami stał szczupły mężczyzna w sardaukarskim mundurze polowym, z insygniami levenbrecha na kołnierzu. Na piersi nosił zawieszoną aparaturę serwokontroli.

Naprzeciw ekranu znajdował się pojedynczy fotel dryfowy, zajmowany przez jasnowłosą kobietę w nieokreślonym wieku. Miała twarz w kształcie serca i smukłe dłonie zwarte w uścisku na poręczach

fotela. Obszerna, biała, przetykana złotem szata kryła jej figurę. Krok na prawo od niej stał krępy mężczyzna, ubrany w brązowo-złoty mundur baszara z dawnych oddziałów sardaukarów imperialnych. Miał siwiejące włosy, krótko ostrzyżone nad kwadratową, nie zdradzającą uczuć twarzą.

Kobieta kaszlnęła.

— Stało się tak, jak przepowiadałeś, Tyekanik — rzekła.

— Wiedziałem, że tak będzie, księżno — powiedział szorstko baszar. Uśmiechnęła się, słysząc napięcie w jego głosie i zapytała:

— Powiedz mi, Tyekanik, czy mojemu synowi spodoba się tytuł Imperatora Farad'na Pierwszego?

— Odpowiada mu on, księżno.

— Nie o to pytałam.

— Mógłby nie zaaprobować niektórych posunięć podjętych w celu zdobycia mu tego… hmm, tytułu.

— Zatem znowu… — Odwróciła się i spojrzała w mrok. — Służyłeś dobrze mojemu ojcu. To nie twoja wina, że stracił tron na rzecz Atrydów. Ale na pewno musisz być równie rozgoryczony, jak każdy, kto…

— Czy księżna Wensicja ma dla mnie jakieś specjalne rozkazy? — zapytał Tyekanik. Głos dalej brzmiał szorstko, nawet pojawiła się w nim jeszcze ostrzejsza nuta.

— Masz zły nawyk przerywania mi — powiedziała. Uśmiechnął się, ukazując mocne zęby, błyszczące w świetle ekranu.

— Czasami przypominasz mi twego ojca, moja pani — powiedział. — Zawsze te uniki przed zażyczeniem sobie wykonania delikatnego… hmm, zadania.

Oderwała od niego gwałtownie wzrok, by ukryć gniew.

— Naprawdę myślisz, że te laza wyniosą mojego syna na tron? — zapytała.

— To bardzo prawdopodobne, księżno. Musisz przyznać, że ten bękart Paula Atrydy będzie dla tej dwójki niczym więcej niż ślamazarnym kundlem. A kiedy bliźniaki zginą… — Wzruszył ramionami.

— Wnuk Szaddama IV staje się legalnym spadkobiercą — powiedziała. — To znaczy, jeżeli będziemy w stanie usunąć wszelkie obiekcje ze strony Fremenów, Landsraadu i KHOAM, nie wspominając o jakichkolwiek pozostałych przy życiu Atrydach, którzy mogliby…

— Dżawid zapewnia mnie, że jego ludzie bez problemu mogą zatroszczyć się o Alię. Nie liczę lady Jessiki jako Atrydy. Kto jeszcze pozostaje?

— Landsraad i KHOAM zaczepią się tam, gdzie zobaczą zyski — powiedziała. — Ale co z Fremenami?

— Utopimy ich w religii Muad'Diba!

— Łatwiej powiedzieć niż zrobić, mój drogi Tyekaniku.

— Wiem — powiedział. — Wróciliśmy do naszej starej polemiki.

— Ród Corrinów dokonywał gorszych rzeczy, by zdobyć władzę — rzekła.

— Ale żeby przyjąć tę… tę religię Mahdiego!

— Mój syn cię szanuje.

— Księżno, wyglądam dnia, w którym ród Corrinów powróci na swe prawowite miejsce u władzy. Podobnie każdy pozostały sardaukar tu, na Salusa. Ale jeżeli ty…

— Tyekanik! To jest Salusa Secundus. Nie możesz popaść w lenistwo, które tak się rozpanoszyło w naszym Imperium. Pełne nazwisko, kompletny tytuł, zważanie na każdy szczegół: te cechy zroszą piasek Arrakis krwią Atrydów. Każdy szczegół, Tyekanik!

Wiedziała, co robi, atakując. Była to część chytrości, której się nauczyła od swej siostry, Irulany. Czuła jednak, że jakby traci grunt pod nogami.

— Słyszysz mnie, Tyekanik?

— Tak, księżno.

— Chcę, byś przyjął religię Muad'Diba — powiedziała.

— Księżno, przeszedłbym dla ciebie przez ogień, ale…

— To rozkaz, Tyekanik.

Przełknął, wlepił wzrok w ekran. Tygrysy laza skończyły posiłek i leżały teraz na piasku, dopełniając toalety — liżąc długimi językami przednie łapy.

— Rozkaz, Tyekanik. Rozumiesz?

— Słyszę i jestem posłuszny, księżno. — Jego głos nie zmienił tonu. Westchnęła.

— Ooch, gdyby żył mój ojciec!

— Tak, księżno.

— Nie przedrzeźniaj mnie, Tyekanik. Wiem, jakie to dla ciebie przykre. Ale jeżeli staniesz się przykładem…

— Może z niego nie skorzystać, księżno.

— Skorzysta. — Wskazała na ekran. — Wydaje mi się, że ten tam, levenbrech, może być kłopotliwy.

— Kłopotliwy? W jaki sposób?

— Jak wielu ludzi wie cokolwiek o tygrysach?

— Levenbrech, ich treser… pilot, który je transportuje, ty, pani, i oczywiście… — Pstryknął we własną pierś.

— A co z tymi, którzy je kupili?

— Nie wiedzą o niczym. Czego się obawiasz, księżno?

— Mój syn jest, no… wrażliwy.

— Sardaukar nie zdradza tajemnic — powiedział.

— Ani trup.

Sięgnęła naprzód i wcisnęła czerwony klawisz pod świecącym

ekranem.

Tygrysy natychmiast podniosły łby. Wstały i spojrzały na zbocze, na levenbrecha. Poruszając się w jednym rytmie, odwróciły się i rozpoczęły nierówny bieg w górę zbocza.

Nie sprawiając zrazu wrażenia zaniepokojonego, levenbrech wcisnął klawisz na konsoli. Ruszał się powoli, ale w miarę jak koty kontynuowały sprint w jego stronę, stał się bardziej nerwowy. Naciskał klawisz coraz mocniej. W jego rysach pojawiła się przerażająca świadomość bliskiej śmierci i dłoń sięgnęła po roboczy nóż u pasa. Wykonał ten gest zbyt późno. Skośnie opadające pazury uderzyły go w klatkę piersiową i rozciągnęły na ziemi. Gdy upadł, drugi tygrys schwycił jego kark w paszczę i potrząsnął nią. Kręgosłup levenbrecha trzasnął.

— Zważanie na szczegóły — powiedziała księżna. Odwróciła się i zesztywniała, widząc, że Tyekanik wyciągnął nóż. Wyciągnął go jednak ku niej rękojeścią do przodu.

— Być może zechcesz użyć mojego noża, by zwrócić uwagę na kolejny szczegół — powiedział.

— Włóż go z powrotem i nie zachowuj się jak idiota! — wybuchnęła. — Czasami, Tyekanik, prowokujesz mnie, żebym…

— To był dobry człowiek, księżno. Jeden z moich najlepszych.

— Jeden z moich najlepszych! — poprawiła.

Wykonał głęboki, drżący wdech, wsadził nóż do pochwy.

— A co z pilotem?

— Ulegnie wypadkowi — powiedziała. — Doradzisz mu najwyższą ostrożność, gdy z powrotem przywiezie nam tygrysy. I, oczywiście, gdy dostarczy zwierzątka ludziom Dżawida, którzy zajmą się ich dalszym transportem… — Spojrzała na nóż.

— To rozkaz, księżno?

— Tak.

— Czy powinienem wtedy nadziać się na nóż, czy ty, moja pani, zadbasz o ten, hmm, szczegół?

Wensicja przemówiła z fałszywym spokojem:

— Tyekanik, gdybym nie była zupełnie pewna, że nadziałbyś się na nóż na mój rozkaz, nie stałbyś tu obok mnie… uzbrojony.

Przełknął, spojrzał na ekran. Tygrysy pożywiały się raz jeszcze.

Nie chciała patrzeć na tę scenę, wciąż obserwując Tyekanika. Wreszcie odezwała się:

— Powiesz handlarzom, żeby nie przyprowadzali nam więcej dzieci według podanego rysopisu.

— Jak rozkażesz, księżno.

— Nie mów do mnie takim tonem, Tyekanik.

— Tak, księżno.

Jej usta ściągnęły się w linię prostą. Potem rzekła:

— Czy mamy w zapasie jeszcze jakieś kostiumy?

— Sześć kompletów szat wraz z filtrfrakami i butami przeciwpiaskowymi, wszystkie z wyszytymi insygniami Atrydów.

— Tkaniny tak bogate jak ta…? — Skinęła w stronę ekranu.

— Godne królewskiego rodu, księżno.

— Zważanie na szczegóły — powiedziała. — Stroje zostaną przesłane na Arrakis jako dar dla naszych królewskich kuzynów. Podarunek od mojego syna, rozumiesz, Tyekanik?

— W zupełności, księżno.

— Niech napisze odpowiednią notę. Powinna mówić, że przesyła te skromne szaty jako dowód oddania dla rodu Atrydów, czy coś w tym stylu.

— A okazja?

— Musi się znaleźć jakieś święto czy urodziny, Tyekanik. Pozostawiam to tobie. Ufam ci, mój przyjacielu. Popatrzył na nią uważnie w milczeniu. Jej twarz spochmurniała.

— Musisz o tym wiedzieć. Komu więcej mogłabym ufać od czasu śmierci mego męża?

Wzruszył ramionami, myśląc, jak bardzo upodabniała się do pająka. Nawiązywanie z nią bliższych stosunków nie przyniosłoby pożytku. Podejrzewał, że to właśnie zrobił levenbrech.

— I, Tyekanik — powiedziała — jest jeszcze jeden szczegół.

— Tak, księżno?

— Mój syn został wyszkolony do władania. Nadejdzie czas, gdy sam będzie musiał chwycić w dłonie miecz. Będziesz wiedział, kiedy owa chwila nadejdzie. Chcę być o tym poinformowana natychmiast. — Odchyliła się, spoglądając poufale w jego twarz. — Nie akceptujesz mnie, wiem o tym. To nie ma dla mnie znaczenia tak długo, jak długo będziesz pamiętał lekcję z tym levenbrechem.

— Był nie tylko bardzo dobry jak poskramiacz, ale i łatwo było się go pozbyć. Tak, księżno.

— Nie o to mi chodzi!

— Czyżby? W takim razie… nie rozumiem.

— Armia — powiedziała — składa się z niezbędnych, ale w pełni wymienialnych elementów. To jest lekcja levenbrecha.

— Wymienialne elementy — powiedział. — Włączając w to najwyższe dowództwo?

— Bez najwyższego dowództwa armia rzadko ma rację bytu, Tyekanik. Właśnie dlatego natychmiast przyjmiesz religię Mahdiego i jednocześnie rozpoczniesz starania, by nawrócić mego syna.

— Natychmiast, księżno. Spodziewam się, że nie życzysz sobie, bym zaniedbał jego nauczanie w sztuce wojennej na rzecz, hmm… religii?

Podniosła się z fotela, obeszła go dookoła, przystanęła przy

drzwiach i powiedziała bez oglądania się:

— Któregoś dnia nadwyrężysz moją cierpliwość o jeden raz za wiele, Tyekanik.

Z tymi słowami wyszła.

> *Albo porzucimy długo honorowaną teorię względności, albo przestaniemy wierzyć, że możemy zaangażować się w ciągłe, dokładne przewidywanie przyszłości Rzeczywiście, znajomość przyszłości stwarza masę pytań, na które nie można odpowiedzieć przy konwencjonalnych założeniach, o ile nie umieści się, po pierwsze — Obserwatora poza Czasem, a po drugie — nie unieważni wszelkiego ruchu. Jeżeli przyjmuje się teorie względności, to można wykazać, że Czas i Obserwator muszą pozostawać wciąż we wzajemnym związku, albowiem inaczej wkradają się niedokładności. Wydaje się stąd wynikać wniosek, że niemożliwe jest zaangażowanie w dokładne przewidywanie przyszłości Jak inaczej można wytłumaczyć ustawiczne dążenie do tego wizjonerskiego celu przez szanowanych naukowców? Jak można wyjaśnić Muad'Diba?*
>
> *„Wykłady o przyszłowidzeniu"*
> *pióra Harq al-Ady*

— Muszę ci coś powiedzieć — rzekła lady Jessika — mimo, iż wiem, że to, co powiem, ożywi wiele wspomnień z naszej wspólnej przeszłości i narazi cię na niebezpieczeństwo.

Przerwała, by zobaczyć jak Ghanima przyjmuje jej słowa.

Siedziały same, tylko we dwójkę, na małych poduszkach w komnacie, w siczy Tabr. Manewry, które doprowadziły do tego spotkania, były nader zawiłe i Jessika nie miała wcale pewności, czy tylko ona sama była tą manewrującą. Ghanima wydawała się przewidywać i wspomagać jej każdy krok.

Było już prawie dwie godziny po wschodzie słońca i minęło podniecenie z okazji powitań. Jessika zmusiła organizm do zwolnienia pulsu i skoncentrowała uwagę na pokoju o ścianach ze skał, z

ciemnymi obiciami i żółtymi poduszkami na posadzce. Spostrzegła, że aby sprostać nagromadzonemu napięciu, po raz pierwszy od lat przypomina sobie Litanię Przeciw Strachowi z rytuału Bene Gesserit:

„Nie wolno się bać. Strach zabija duszę. Strach to mała śmierć, a wielkie unicestwienie. Stawię mu czoło. Niechaj przejdzie po mnie i przeze mnie. A kiedy przejdzie, obrócę oko swej jaźni na jego drogę. Którędy przeszedł strach, tam nie ma nic. Jestem tylko ja".

W milczeniu powtórzyła to raz jeszcze i zaczerpnęła głęboki, uspokajający wdech.

— Czasami to nawet pomaga — powiedziała Ghanima — To znaczy Litania.

Jessika zamknęła oczy, by ukryć wstrząs wywołany przez tę uwagę. Od bardzo dawna nikt nie potrafił odczytać jej intymnych myśli. Doznanie było niepokojące, zwłaszcza, że jego przyczynę stanowił intelekt ukrywający się pod maską dziecka.

Stawiwszy czoła strachowi, Jessika otworzyła oczy i pojęła, co stało się przyczyną jej wzburzenia: „Boję się własnej wnuczki". Żadne z bliźniąt nie zdradzało stygmatów Paskudztwa, którymi puszyła się Alia, choć Leto ukrywał jakiś przerażający sekret. Właśnie dlatego został zręcznie wykluczony z tego spotkania.

Działając pod wpływem impulsu, Jessika odrzuciła od siebie zakorzenione emocjonalne maski, bariery w komunikacji, wiedząc, jak niewielki byłby z nich pożytek. Ani razu od czasu śmierci księcia nie opuściła tych barier i zniesienie ich sprawiło jej zarówno ból, jak i ulgę. Pozostały fakty, których żadna klątwa, modlitwa ani litanie nie mogły zetrzeć z rzeczywistości. Unikanie ich nie pomagało się od nich oderwać. Elementy wizji Paula zmieniły świat i dobrały się teraz do jego dzieci. Leto i Alia byli jak magnes w próżni: gromadziły się wokół nich zło i wszystkie nadużycia władzy.

Ghanima, obserwując grę uczuć na twarzy babki, zdziwiła się, że Jessika jest w stanie sprawować nad nimi kontrolę.

Nagle, jak gdyby zsynchronizowanym ruchem, obie obróciły głowy; ich oczy spotkały się i wpatrywały w siebie, głęboko, badawczo. Między nimi, bez wypowiadania słów, krążyły myśli.

Jessika: „Chcę, byś ujrzała moją obawę".

Ghanima: „Teraz wiem, że mnie kochasz".

Była to krótka chwila absolutnego zaufania.

— Gdy twój ojciec był jeszcze chłopcem — powiedziała Jessika — sprowadziłam na Kaladan Wielebną Matkę, by poddała go próbie.

Ghanima kiwnęła głową. Pamięć tego wydarzenia była wyjątkowo żywa.

— My, Bene Gesserit, zawsze przezornie sprawdzałyśmy, czy dzieci, które się urodziły, są ludźmi, a nie zwierzętami. Nigdy nie można tego orzec po zewnętrznym wyglądzie.

— Tak jesteście wyszkolone — powiedziała Ghanima, a wspomnienie wtargnęło jak fala powodzi w jej umysł: stara wiedźma Bene Gesserit, Gaius Helena Mohian, zjawiła się w Zamku Kaladańskim z zatrutym gom dżabbarem i skrzynką palącego bólu. Ręka Paula, we wspólnej pamięci Ghanimy — jej własna, wyła w agonii, podczas gdy stara kobieta spokojnie prawiła o natychmiastowej śmierci w razie, gdyby ją wyszarpnął. I nie było żadnej wątpliwości, że zada mu śmierć igłą zawieszoną nad dziecięcą szyją, gdy starczy głos jednostajnie brzęczał powtarzające się wywody:

„Słyszałeś o tym, że zwierzęta odgryzają sobie kończynę, by umknąć z potrzasku? To zwierzęca sztuczka. Człowiek wytrzyma sidła, zniesie ból, uda śmierć, by zabić myśliwego, usuwając zagrożenie dla swego gatunku „.

Ghanima potrząsnęła głową, protestując przeciwko zapamiętanemu bólowi. Palę się! Palę się! Paulowi wydawało się, że czuje, jak skóra zwija się i czernieje na konającej wewnątrz skrzynki dłoni, ciało przepala się i odpada, obnażając gołe, zwęglone kości. A to była sztuczka, zwykła sztuczka — ręka pozostała nietknięta. Lecz na samo wspomnienie pot wystąpił na czoło Ghanimy.

— Oczywiście pamiętasz to inaczej niż ja — powiedziała Jessika.

Wiedziona intuicją Ghanima przez chwilę widziała babkę w innym świetle: czegóż mogła chcieć ta kobieta, kierująca się dawnymi uwarunkowaniami, wpojonymi w szkole Bene Gesserit? Przyczyna powrotu Jessiki na Arrakis stawała się coraz bardziej tajemnicza.

— Nie miałoby sensu powtarzanie próby na tobie, bądź twoim bracie — rzekła Jessika. — Wiesz już, o co w niej chodziło. Muszę przyjąć, że jesteś człowiekiem, że nie nadużyjesz odziedziczonych zdolności.

— Ale nie czynisz takiego założenia do końca — powiedziała Ghanima.

Jessika mrugnęła, uświadamiając sobie, że bariery wznoszą się na dawne pozycje więc raz jeszcze je zniosła.

— Wierzysz w moją miłość do ciebie? — zapytała.

— Tak. — Ghanima podniosła dłoń w chwili, gdy Jessika zaczynała mówić. — Ale ta miłość nie powstrzyma cię od zniszczenia nas. Och, wiem, jak to uzasadniasz: „Lepiej niechby zwierzę-człowiek umarło, niż się odtworzyło”. Pozostaje to zwłaszcza wtedy prawdą, gdy zwierzęta-ludzie noszą imię Atrydów.

— Jesteś istotą ludzką — zdradziła się Jessika. — Wierzę w mój instynkt.

Ghanima wyczuła szczerość w tych słowach.

— Ale nie jesteś pewna co do Leto? — zapytała.

— Nie jestem.

— Paskudztwo?

Jessika zdołała jedynie skinąć głową. Ghanima powiedziała:

— Przynajmniej jeszcze nie teraz. Chociaż obie wiemy, czym to grozi. Możemy to obserwować u Alii.

Jessika złączyła dłonie nad oczami i pomyślała: „Nawet miłość nie może ustrzec nas od niepożądanych faktów". I dotarło do niej, że wciąż kocha córkę, milcząco wołając przeciwko przeznaczeniu: „Alio! Och, Alio! Żałuję, że muszę wziąć udział w zniszczeniu ciebie".

Ghanima kaszlnęła.

Jessika opuściła ręce, myśląc: „Mogę rozpaczać nad moją biedną córką, lecz trzeba się teraz zająć czym innym". I powiedziała:

— Więc rozpoznałaś, co stało się z Alią?

— Leto i ja obserwowaliśmy, jak to się działo. Nie wiedzieliśmy, jak temu zapobiec, chociaż dyskutowaliśmy o wielu możliwościach.

— Jesteś pewna, że twój brat jest wolny od tego przekleństwa?

— Jestem pewna.

Nie można było zanegować spokojnej pewności tego oświadczenia. Jessika czuła, że je akceptuje.

— Jak to się stało, że tego uniknęłaś? — zapytała.

Ghanima wyjaśniła teorię uzgodnioną z Leto: że różnica polegała na tym, iż unikali transu przyprawowego, podczas gdy Alia doznawała go za często. Przeszła do ujawniania jego snów i planów, o których dyskutowali — nawet co do Dżekaraty.

Jessika pokiwała głową.

— Alia jest jednakże Atrydką, co stwarza nadzwyczajne problemy.

Ghanima zamilkła, uświadomiwszy sobie nagle, że Jessika w duszy wciąż nosi żałobę po swym księciu — jak gdyby jego śmierć miała miejsce nie dalej jak wczoraj — i że będzie strzec jego imienia i pamięci do końca swych dni. Osobiste wspomnienia z życia księcia przepłynęły przez świadomość Ghanimy, by umocnić tę konstatację, by zmiękczyć ją zrozumieniem.

— Tak więc — powiedziała ożywionym głosem Jessika — o co chodzi z tym Kaznodzieją? Słyszałam wczoraj różne niepokojące pogłoski.

Ghanima wzruszyła ramionami.

— On może być…

— Paulem?

— Tak, ale nie widzieliśmy go.

— Dżawid śmieje się z tych pogłosek — powiedziała Jessika.

Ghanima zawahała się i odparła:

— Ufasz mu?

Surowy uśmiech wygiął usta Jessiki.

— Nie bardziej niż ty.

— Leto mówi, że Dżawid śmieje się z wielu niewłaściwych

rzeczy — dodała Ghanima.

— To tyle, jeśli chodzi o Dżawida — powiedziała Jessika. — Ale czy rzeczywiście są powody, by sądzić, że mój syn żyje, że powrócił w przebraniu?

— Sądzimy, że to możliwe. A Leto… — Ghanima poczuła, że jej usta nagle wyschły. Przypomniała sobie ściskające pierś lęki. Zmusiła się do odrzucenia ich od siebie i szczegółowo opowiedziała o innych relacjach Leto, o jego wieszczych snach.

Jessika gwałtownie pokręciła głową.

— Leto mówi — dodała Ghanima — że musi znaleźć tego Kaznodzieję i upewnić się.

— Tak… Oczywiście. Nie powinnam była nigdy stąd wyjeżdżać. To było tchórzostwo.

— Dlaczego się winisz? Osiągnęłaś granicę. Wiem o tym. Leto też. Nawet Alia może o tym wiedzieć.

Jessika położyła dłoń na gardle, potarła je szybkim gestem i rzekła:

— Tak, mamy kłopot z Alią.

— Wywiera na Leto jakiś magnetyczny wpływ — powiedziała Ghanima. — Dlatego pomogłam ci spotkać się ze mną sam na sam. Zgadza się, że nie ma dla niej nadziei, ale on wciąż poszukuje sposobów, by z nią być… i badać ją. Kiedy staram się go od tego odwieść, zasypia. On…

— Alia podaje mu jakieś narkotyki?

— Nie-e-e — Ghanima potrząsnęła głową. — Lecz przejawia wobec niej dziwną empatię. I… we śnie często mruczy: „Dżekarata”.

— Znowu to! — Jessika przypomniała sobie raport Gurneya o spiskowcach wykrytych na lądowisku.

— Czasami się obawiam, że Alia chce, by Leto odnalazł Dżekaratę — powiedziała Ghanima. — Zawsze myślałam, że to tylko legenda. Wiesz o tym oczywiście?

Jessika wzruszyła ramionami.

— To okropna historia. Okropna.

— Co mamy robić? — zapytała Ghanima. — Boję się przeszukiwać wszystkie moje wspomnienia, wszystkie moje istnienia…

— Gnaniu! Ostrzegam cię przed tym. Nie wolno ci ryzykować.

— Może do tego dojść, nawet jeśli nie będę ryzykowała. Skąd wiemy, co naprawdę stało się z Alią?

— Nie! To musi zostać ci oszczędzone… to opętanie. — Ostatnie słowo wyrzekła dziwnym, chrapliwym tonem. — Tak… Dżekarata, tak się nazywa to miejsce? Posłałam Gurneya, żeby je odnalazł, jeżeli istnieje.

— Ale jak on może… ach! Oczywiście: przemytnicy.

Jessika spostrzegła, że otrzymała kolejny przykład, jak umysł

Ghanimy pracuje w zgodzie z tym, co musiało być świadomością innych. „Moją! — pomyślała. — Niesamowite, że to młode ciało niesie w sobie wszystkie wspomnienia Paula, przynajmniej do chwili powstania nasienia, z którego się wywodzi". Była to inwazja na prywatność, przeciw której w Jessice buntowała się cała jej pierwotna natura. Przez chwilę czuła, jak wydaje absolutny i niepodważalny sąd Bene Gesserit: Paskudztwo. W tym dziecku widziała jednak słodycz, pragnienie poświęcenia się za brata, pragnienie, którego sile nie można było zaprzeczyć.

„Jesteśmy jednym życiem, sięgającym w mroczną przeszłość — pomyślała Jessika. — Jesteśmy jedną krwią".

Przygotowała się na przyszłe wydarzenia, które niewątpliwie będą konsekwencją jej rozkazów, wydanych Gurneyowi Halleckowi. Leto trzeba oddzielić od siostry i wychować tak, jak chciał tego zakon żeński.

> *Słyszałem wiatr wiejący w pustyni i widziałem zimowe księżyce wschodzące jak wielkie statki w próżni. Im składam moją przysięgę: będę stanowczy i z rządzenia uczynię sztukę. Stanę się wagą dla mej odziedziczonej przeszłości i będę doskonałym naczyniem dla wspomnień mych przodków. I znany będę bardziej z łaskawości niż z wiedzy. Oblicze moje świecić będzie w korytarzach czasu tak długo, jak długo będzie istnieć ludzkość.*
>
> *„Przysięga Leto" według Harq al-Ady*

Alia Atryda, gdy była znacznie młodsza, godzinami ćwiczyła się w transie prana-bindu, starając wzmocnić swą własną osobowość przeciw inwazji innych świadomości. Wiedziała, na czym polega jej problem — w siczowej drążni nie można było uciec przed melanżem. Przyprawą przesiąknięte było wszystko — żywność, woda, powietrze, nawet tkaniny, w które wypłakiwała się w nocy. Alia bardzo wcześnie poznała korzyści płynące z siczowych orgii, w czasie których plemię piło wodę z uśmierconego czerwia. Podczas orgii Fremeni uwalniali nagromadzone istnienia genetycznych pamięci i odrzucali je. Widziała, jak jej towarzysze stawali się wtedy przejściowo opętani.

Dla niej nie było takiego uwolnienia, nie było wyzwolenia. Posiadła pełną świadomość na długo przed urodzeniem. Wraz ze świadomością nadeszła katastrofalna wiedza: zetknięcie w łonie matki

w potężnym, nieuniknionym kontakcie z osobowościami wszystkich przodków i jaźni, przetransportowanych przez śmierć podczas tau — w przyprawie krążącej w lady Jessice. Przed przyjściem na świat pamięć Alii zawierała każdy element wiedzy wymaganej od Wielebnej Matki Bene Gesserit — i jeszcze wiele, wiele więcej… Na tej podstawie poznano straszną prawdę: była Paskudztwem. Świadomość tego przyprawiała Alię o słabość. Dla przed-urodzonej nie było przed tym ucieczki. Wciąż walczyła z coraz bardziej przerażającymi przodkami, odnosząc od czasu do czasu pyrrusowe zwycięstwa. Wiedziała, czym jest własna osobowość, ta jednak nie była w stanie ochronić jej przed częstymi ingerencjami tych, którzy żyli wewnątrz niej odbitym życiem.

„Pewnego dnia i ja taka właśnie będę" — pomyślała. Zmroziła ją ta myśl. Iść dalej i kryć się w życiu dzieci zrodzonych z własnego łona, być intruzem chwytającym się cudzej świadomości, by zdobyć odrobinę doznań i przeżyć…

Jej dzieciństwo zabarwiał strach. Utrwalił się w niej podczas dojrzewania. Walczyła z nim, nie błagając nikogo o pomoc. Któż mógł pojąć, jakiej pomocy potrzebuje? Nie jej matka, która nie była w stanie odciąć się od osądu Bene Gesserit: przed-urodzeni to Paskudztwa.

Nadeszła noc, podczas której jej brat, szukając śmierci, odszedł na pustynię i oddał się Szej-huludowi, tak jak wymagano tego od ślepych Fremenów. W ciągu miesiąca Alia wyszła za mąż za Duncana Idaho, człowieka wydartego śmierci dzięki technologicznym sztukom Tleilaxan. Jej matka przebywała na Kaladanie. Bliźnięta Paula pozostawały prawnie pod jej opieką.

I sprawowała Regencję.

Ciężar odpowiedzialności odpędził dawne obawy, więc otworzyła się szeroko na wewnętrzne życia, żądając od nich rad, pogrążając się w przyprawowym transie w poszukiwaniu wiodących wizji.

Kryzys nadszedł pewnego dnia — podobnego do wielu innych w wiosennym miesiącu Laab — o poranku, w Cytadeli Muad'Diba, gdy zimny wiatr nawiewał piach od strony bieguna. Alia wciąż nosiła szaty żałobne. Przez kilka ostatnich tygodni opierała się wewnętrznemu głosowi matki, który zwykł szydzić z przygotowanych wówczas Świętych Dni, mających mieć kulminację w Świątyni Alii.

Wewnątrz-świadomość Jessiki zanikała coraz bardziej, roztapiając się w niewyraźnym żądaniu, aby Alia zajęła się pracą nad Prawami Atrydów. O swój moment świadomości zaczęły walczyć inne istoty. Alia czuła, jak otwiera się bezdenna otchłań, z której niczym rój szarańczy wynurzają się bezkształtne twarze. Skupiła uwagę na tej najbardziej potwornej — na starym baronie Harkonnenie. W przerażeniu wynikającym z pogwałcenia psyche poczęła wykrzykiwać

sprzeciw wobec całego tego wewnętrznego jazgotu, uzyskując chwilową ulgę.

Tego poranka Alia wyszła na spacer do ogrodu na dachu Cytadeli. Aby wygrać walkę ze swym wnętrzem, starała się skupić na napomnieniu Chody, skierowanym do Zensunnitów:

„Puszczając drabinę, można wznieść się w górę!”

Lecz wciąż rozpraszał ją poranny blask na stokach Muru Zaporowego. Ogrodowe ścieżki wypełniły kępy sprężystej trawy puchowej. Gdy odwróciła wzrok do muru, ujrzała rosę na trawie, a w niej wielokroć powielony zarys własnej postaci.

Widok ten przyprawił ją o zawrót głowy. Każde z odbić niosło znamię jakiejś twarzy z wewnętrznego tłumu.

Starała się skoncentrować umysł na tym, o czym mówiła trawa. Obecność obfitej rosy świadczyła, jak daleko postąpiła Ekologiczna Transformacja Diuny. Klimat pomocnych szerokości stawał się cieplejszy, wzrastała zawartość dwutlenku węgla w atmosferze. Przypomniała sobie, jak wiele hektarów pustyni zostanie w nadchodzącym roku pokrytych zieloną roślinnością — a nawodnienie tylko jednego wymagało trzydziestu siedmiu tysięcy stóp sześciennych wody.

Mimo wielkich wysiłków, zmierzających do skierowania myśli na przyziemne problemy, nie udawało jej się umknąć intruzom krążącym jak rekiny wewnątrz zamkniętego świata jej doznań.

Przycisnęła dłonie do czoła.

O zachodzie poprzedniego dnia strażnicy świątyni przyprowadzili więźnia do osądzenia: niejakiego Essasa Paymona, ciemnego, chudego człowieczka, ponoć na żołdzie rodu niskiego Nebirów. Paymon handlował świętymi relikwiami i małymi, ręcznie wykonanymi ozdobami. Odkryto, że w rzeczywistości jest szpiegiem KHOAM, mającym za zadanie podawać wysokość rocznych zbiorów przyprawy. Alia zastanawiała się właśnie nad wysłaniem go do lochu, kiedy więzień głośno zaprotestował przeciwko niesprawiedliwości Atrydów. Takie słowa mogły mu przynieść natychmiastowy wyrok śmierci przez powieszenie na trójnogu, ale Alię ujęła jego bezczelność. Przemówiła ostro z Tronu Sądu, starając się przerazić go, by zdradził więcej, niż powiedział już inkwizytorom.

„Dlaczego nasz zbiór przyprawy ma takie znaczenie dla Konsorcjum Honnete? — zażądała. — Powiesz, to może cię oszczędzimy”.

„Zbieram wszystko, na co jest zbyt — odparł Paymon. — Nie wiem, co dzieje się z moim żniwem „.

„I dla swego marnego zysku wtrącasz się do królewskich planów?” — naciskała Alia.

„Monarchowie nigdy nie uznają, że my również możemy mieć

swoje plany” — odparował.

Alia, zniewolona przez tę desperacką czelność, powiedziała:

„Essasie Paymonie, czy będziesz pracował dla mnie?”

Na te słowa uśmiech rozjaśnił jego ciemną twarz.

„Mieliście zamiar zniszczyć mnie bez skrupułów. Jaką nową wartość odkryliście we mnie, o którą macie się zamiar ze mną targować?” — odparł.

„Masz prostą i praktyczną zaletę — powiedziała. — Jesteś bezczelny i wynajmiesz się. temu, kto najlepiej zapłaci. Mogę dać ci więcej, niż ktokolwiek inny w Imperium”.

Zażyczył sobie za usługi znaczną kwotę, ale Alia roześmiała się i sparowała jego żądanie obietnicą sumy, którą uznała za bardziej rozsądną i bez wątpienia o wiele większą od sumy kiedykolwiek przez niego otrzymanej.

„I, oczywiście, dorzucam dar życia, za który, spodziewam się, zaoferujesz jakąś bardziej niepospolitą zaletę” — dodała.

„Interes stoi!” — zawołał Paymon i na znak Alii został wyprowadzony przez kapłańskiego Mistrza Przyjęć, Dżawida.

Niecałą godzinę później, gdy Alia przygotowywała się do opuszczenia Sali Osądu, wrócił Dżawid, spiesząc z doniesieniem, że podsłuchano Paymona mruczącego prorocze wersety z Biblii Protestancko-Katolickiej: „Malefico non patieris vivere”.

„Nie pozwolisz żyć czarownicy” — przetłumaczyła Alia. Więc taką okazał wdzięczność! Był jednym z tych, którzy spiskowali przeciw jej życiu! W porywie gniewu, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyła, zarządziła natychmiastowe stracenie Paymona i odesłanie ciała do zgonsuszni Świątyni, gdzie jego woda będzie miała przynajmniej jakąś wartość w zbiornikach kapłanów.

I przez całą noc nawiedzała ją ciemna twarz Paymona.

Próbowała różnych sztuczek, by pozbyć się w końcu natarczywego obrazu. Recytowała „Bu Dżi” z Fremeńskiej Księgi Kreosa: „Nic się nie pojawia! Nic się nie pojawia!” Lecz Paymon przyprawił ją o koszmarną noc; nowy dzień rozpoczęła zawrotami głowy. Dzień, w którym odnajdowała jego twarz wśród innych, odbitych w kropelkach rosy.

Z prowadzących na dach drzwi, okolonych niskimi mimozami, strażniczka zawołała ją na śniadanie. Alia westchnęła. Czuła, że musi wybierać między dwoma piekłami — wrzaskiem w umyśle a wrzaskiem dworaków — oba chóry pozbawione sensu, lecz uporczywe w żądaniach; hałas, który pragnęła uciszyć choćby ostrzem noża.

Ignorując strażniczkę, Alia przeniosła wzrok nad dach, na Mur Zaporowy. Bahada kładła się szerokim językiem na osłonięte podłoże jej włości jak rozpostarty wachlarz. Delta piasku ścieliła się przed oczyma, obramowana wschodzącym słońcem. Dotarło do niej, że

niewprawne oko mogło wziąć szeroki wachlarz piachu za koryto okresowej rzeki, lecz było to jedynie miejsce, gdzie jej brat rozbił Mur Zaporowy bronią atomową rodu Atrydów, otwierając przejście z pustyni dla czerwi niosących fremeńskich żołnierzy ku miażdżącemu zwycięstwu nad jego poprzednikiem na imperialnym tronie, Szaddamem IV. Teraz po drugiej stronie muru płynął szeroki kanat, zagradzający drogę czerwiom. Nie mogły przeciąć nieizolowanej wody, ponieważ ona je zabijała.

„Gdybym tylko miała taką barierę w umyśle" — pomyślała.

Ta myśl wzmocniła oszałamiające wrażenie izolacji od rzeczywistości.

Czerwie! Czerwie!

Pamięć zaprezentowała jej zbiór obrazów czerwia pustyni: potężnego Szej-huluda, demiurga Fremenów, śmiercionośny bestię z pustynnych głębi, której wydzieliny zawierały bezcenną przyprawę. Pomyślała: „Jakie to dziwne, że czerw wyrasta z płaskiego, pokrytego skórą piaskopływaka". I te, i tamte tworzyły nieprzeliczoną mnogość w jej świadomości. Piaskopływaki rozciągnięte na skalnym podłożu planety tworzyły żywe cysterny — utrzymywały wodę, która nie zatruwała ich nosicieli. Alia dokonała porównania: niektórzy z tych innych utrzymywali na wodzy mogące ją zniszczyć niebezpieczne siły.

Strażniczka znów zawołała na śniadanie, z wyraźną nutą zniecierpliwienia w głosie.

Alia odwróciła się gniewnie i machnęła ręką w odprawiającym geście.

Strażniczka posłuchała, ale trzasnęła drzwiami.

Na dźwięk uderzenia drzwi Alia poczuła się nagle owładnięta przez to wszystko, czemu starała się oprzeć. Inne życia wzbierały w niej jak potworny przypływ, przylegały do każdego ośrodka pamięci. Niektóre prezentowały skórę pokrytą wrzodami, inne — stwardniałe odciski; wszystkie rzucały czarne jak sadza cienie. Widziała również głowy przypominające oślinione cukierki. Przemknął przez nią cały ich rój, żądając, by uniosła się i dołączyła do niego.

— Nie — szepnęła. — Nie… Nie… Nie…

Upadłaby na ścieżkę, gdyby nie ławka obok. Starała się usiąść, nie dała rady, wyciągnęła się więc na zimnej plastali, wciąż szepcząc swą odmowę.

Przypływ stale narastał.

Poczuła, że dostraja się do tego ruchu, świadoma ryzyka, ale jednocześnie przygotowana na każdy okrzyk wrzeszczących w niej, powykrzywianych ust. Wyrzucały z siebie kakofonię żądań: „Ja! Ja!", „Nie, ja!" Wiedziała, że jeżeli raz zwróci na nie uwagę, tylko raz — będzie zgubiona. Zatrzymać wzrok na jednej twarzy i podążać za głosem tej twarzy, znaczyłoby wpaść w uścisk egoizmu wybranej

osobowości.

— To przez twoje przyszłowidzenie — wyszeptał jakiś głos. Zakryła dłońmi uszy myśląc: „Nie jestem przyszłowidząca! Trans na mnie nie działa”.

Lecz głos nalegał:

— Zadziałałby, gdybyś mu pomogła.

— Nie… nie… — szepnęła.

W jej umyśle splatały się ze sobą i inne głosy:

— Ja, Agamemnon, twój przodek, domagam się uwagi!

— Nie… nie. — Ścisnęła dłońmi uszy, dopóki ciało nie odpowiedziało bólem.

Niesamowite gdakanie w głowie zabrzmiało pytaniem:

— Co stało się z Owidiuszem? To proste. Jest ibidem Johna Barlletta.

Imiona nie miały żadnego znaczenia. Chciała wyć przeciw nim i przeciw wszystkim innym głosom, ale nie mogła odnaleźć swego własnego.

Strażniczka odesłana z powrotem na dach przez wyższych służących raz jeszcze wyjrzała przez drzwi za mimozą, zobaczyła Alię na ławce i powiedziała do towarzyszki:

— Ach, ona odpoczywa. Zauważyłaś, że nie spała ostatniej nocy? Dobrze jej zrobi, jeżeli zażyje zahy, porannej sjesty.

Alia nie słyszała strażniczki. Jej świadomość znalazła się w kleszczach wyjącego śpiewu: „Wesołe z nas ptaszki, hurrra!” — głosy odbijały się echem w czaszce. Pomyślała: „Wariuję. Tracę rozum”.

Stopą wykonywała na ławce nieznaczne ruchy, zdradzające pragnienie ucieczki. Czuła, że gdyby tylko mogła zmusić ciało do biegu, udałoby jej się uciec. Musiała się wyrwać, inaczej każda cząstka tego wewnętrznego przypływu zatopi ją w milczeniu, na zawsze kalając duszę. Ale ciało nie słuchało. Najpotężniejsze siły Imperium usłuchałyby jej najmniejszego kaprysu, ale nie własne ciało.

Wewnętrzny głos zarechotał gardłowo i rzekł:

— Z pewnego punktu widzenia, dziecko, każdy przypadek stworzenia przedstawia sobą katastrofę. — Głos był basowy, grzmiał w uszach, a rechocząc, naigrywał się jakby z własnej celebry. — Moje drogie dziecko, pomogę ci, ale w zamian za twoją pomoc.

Alia, nie będąc w stanie zagłuszyć narastającego w tle tego basu zgiełku, zdołała wydusić z siebie tylko:

— Kto… kto…

W jej umyśle uformowała się jakaś twarz. Taka była tłusta, że mogłaby być twarzą niemowlęcia, gdyby nie pożądanie malujące się w szklistych oczach. Spróbowała wycofać się, ale osiągnęła tylko pełniejszy widok, obejmujący ciało należące do owej twarzy. Było olbrzymie, niesamowicie grube, obleczone w szatę, która delikatnymi

wybrzuszeniami zdradzała, że ten tłuszcz wymagał podpory przenośnych dryfów.

— Widzisz — zagrzmiał bas — to tylko ja, twój dziadek. Znasz mnie przecież. Nazywałem się baron Vladimir Harkonnen.

— Ty nie… Ty nie żyjesz! — wydusiła z siebie.

— Ależ oczywiście, moja droga! Większość z nas wewnątrz ciebie nie żyje. Ale nikt z całej reszty nie chce ci naprawdę pomóc. Nie rozumieją ciebie.

— Odejdź — powiedziała błagalnie. — Och, proszę, odejdź.

— Wszak potrzebujesz pomocy, wnuczko — stwierdził baron. „Jak szacownie wygląda" — pomyślała, obserwując wizerunek barona na wewnętrznej stronie swoich zamkniętych powiek.

— Pragnę ci pomóc — przypochlebiał się. — Ci inni walczyliby tylko o przejęcie twej świadomości Każdy z nich starałby się wypędzić ciebie z twego ciała. Ale ja… ja chcę tylko kącika dla siebie.

Inne życia znowu podniosły wrzask. Przypływ nasilił się, raz jeszcze grożąc jej zatopieniem. Usłyszała skrzeczący głos matki.

„Ona przecież żyje" — błysnęła w niej myśl.

— Zamknijcie się! — rozkazał baron.

Alia zorientowała się, że jej własne pragnienia dodają sił tej komendzie, sprawiając, że została usłyszana w całej świadomości.

Wewnętrzna cisza obmyła ją niczym zimna kąpiel i Alia poczuła, że bijące jak młot serce zwalnia do normalnego rytmu. Głos barona wtrącił się uspokajająco:

— Widzisz? Razem jesteśmy niezwyciężeni. Pomóż mi, a ja pomogę tobie.

— Czego… czego chcesz? — szepnęła. Na tłustej twarzy pojawiła się zaduma.

— Ach, moja droga wnuczko — powiedział — pragnę tylko kilku prostych przyjemności. Pozwól mi na krótko łączyć się z twoimi zmysłami Nikt więcej nie musi o tym wiedzieć. Daj mi poczuć skrawek życia, na przykład gdy otoczą cię ramiona kochanka. Czyż nie jest to niewygórowana cena?

— Tak…

— No właśnie — zaśmiał się baron. — W zamian, droga wnuczko, mogę ci służyć na wiele różnych sposobów. Mogę cię wspierać, wspomóc czasami celną radą. Będziesz niezwyciężona od wewnątrz i na zewnątrz. Zetrzesz z powierzchni ziemi wszelką opozycję. Historia zapomni twojego brata i będzie wysławiać Alię. Przyszłość należy do ciebie.

— Nie pozwolisz… wygrać innym?

— Nie mogą się z nami równać! Pojedynczo możemy zostać pokonani, ale razem, to my rozkazujemy. Zademonstruję ci coś. Słuchaj!

I baron zamilkł, wycofując swój obraz, swoją wewnętrzną obecność. Nie wtargnęło żadne wspomnienie, twarz ani głos innych.

Alia ciężko westchnęła.

Wraz z westchnieniem objawiła się myśl. Siłą torowała sobie drogę do świadomości, jak gdyby była jej własną, lecz Alia czuła za nią inne milczące głosy.

„Stary baron był diabłem. Zamordował twojego ojca. Zabiłby ciebie i Paula. Starał się o to, lecz mu się nie udało".

Doszedł ją głos barona, choć nie pojawiła się jego twarz:

— Oczywiście, że bym cię zabił. Czy nie stałaś na mej drodze? Ale ten argument już nie istnieje. Wygrałaś, dziecko! Jesteś nową prawdą!

Czuła, że kiwa głową, trąc policzkiem o szorstką powierzchnię ławki.

Pomyślała, że jego słowa brzmią rozsądnie. Nauka Bene Gesserit sprawiła, że oceniła logiczny charakter jego wypowiedzi: „Celem argumentu jest zmienić naturę prawdy."

„Tak… tak właśnie pojęłyby to Bene Gesserit" — pomyślała.

— Właśnie — wtrącił baron. — Ja jestem martwy, podczas gdy ty żyjesz. Moja egzystencja jest krucha. Jestem pamięciojaźnią w twym wnętrzu. Jestem na twoje rozkazy. I o jak mało proszę w zamian za szczere rady. Rady, których mam zamiar ci udzielać.

— Co radzisz mi teraz zrobić? — zapytała, wypróbowując go.

— Martwisz się wyrokiem, który wydałaś zeszłej nocy — powiedział. — Zastanawiasz się, czy prawidłowo doniesiono ci słowa Paymona. Może Dżawid dostrzegł w Paymonie jakąś groźbę dla swojej pozycji? Czy to nie ta wątpliwość cię drąży?

— Tak.

— Wątpliwości oparte na starannej obserwacji, czyż nie? Dżawid zachowuje się w stosunku do ciebie z wzrastającą poufałością. Nawet Duncan to zauważył, prawda?

— Wiesz, że tak.

— Bardzo dobrze. Weź Dżawida na kochanka i…

— Nie!

— Martwisz się o Duncana? Ale twój mąż to mentacki mistyk. Nie można go dotknąć ani zranić czymkolwiek, co dotyczy ciała. Czy nie czułaś czasem, jak bardzo jest od ciebie oddalony?

— Ale… ale on…

— Mentacka część Duncana zrozumiałaby, jeśliby kiedykolwiek poznał on narzędzie, jakiego użyłaś do zniszczenia Dżawida.

— Zniszczenia…?

— Pewnie! Można używać niebezpiecznych narzędzi, ale trzeba je odrzucać, gdy stają się zbyt niebezpieczne.

— Zatem… dlaczego trzeba… to znaczy…

— Ach, drogi głuptasku! Z powodu wartości zawartej w niej

nauczki.

— Nie rozumiem.

— Wartość sukcesu, moja wnuczko, zależy do tego, czy się go przyjmuje, czy nie. Posłuszeństwo Dżawida musi być bezwarunkowe, akceptacja twej władzy absolutna, a jego…

— Nie widzę moralnego uzasadnienia takiej nauczki…

— Nie bądź tępa, wnuczko. Moralność zawsze musi mieć oparcie w praktyce. Oddaj cesarzowi, co cesarskie, i wszystkie te inne brednie. Zwycięstwo jest bezużyteczne, dopóki nie realizuje najgłębszych pragnień. Czyż nie jest prawdą, że podziwiałaś męskość Dżawida?

Alia przytaknęła niechętnie, zmuszona do tego przez zupełne odkrycie wobec wewnętrznego obserwatora.

— Taaak.

— Właśnie — jowialnie zagrzmiało jej w głowie. — Zaczynamy się nawzajem rozumieć. Gdy będzie bezbronny, wtedy w łóżku zapytasz go, przekonanego, że jesteś podbita, o Paymona. Zrób to żartobliwie: niech między wami brzmi szczery śmiech, A gdy przyzna się do oszustwa, wbijesz mu krysnóż między żebra. Ach, strumień krwi może przysporzyć ci wiele satys…

— Nie! — szepnęła z ustami suchymi od grozy. — Nie… nie… nie…

— Więc cię zastąpię… — rzekł baron. — Trzeba to zrobić, musisz to przyznać. Jeżeli stworzysz odpowiednie warunki, przejmę nad tobą kontrolę. Są i inni, którzy potrafią cię naśladować do perfekcji, tak że… Nie będą… Ja… Ach, ludzie natychmiast by wyśledzili moją obecność! Znasz Fremeńskie Prawo wobec opętanych… Zostałabyś uśmiercona na miejscu. Tak, nawet ty. Wiesz, że nie chcę, aby tak się stało. Zajmę się Dżawidem i tobą, a kiedy będzie po wszystkim, usunę się. Musisz tylko…

— Więc tak wygląda twoja dobra rada?

— Dzięki niej pozbędziesz się niebezpiecznego narzędzia. Zacieśni to między nami czynne kontakty, współpracę, która może cię nauczyć wydawania wyroków w przyszłości.

— Nauczyć mnie?

— Naturalnie!

Alia położyła dłonie na oczach, starając się nad wszystkim zastanowić, zdając sobie jednak sprawę z tego, że każda myśl jest znana osobowości wewnątrz, że może wywodzić się od niej i być wzięta za własną.

— Niepotrzebnie się martwisz — przymilnie powiedział baron.

— Ten facet, Paymon, właściwie…

— Źle zrobiłam! Byłam zmęczona i działałam pospiesznie. Powinnam była szukać potwierdzenia.

— Dobrze zrobiłaś! Wyroki nie mogą się opierać na żadnych

takich głupich abstrakcjach jak atrydzkie idee równości To właśnie przyprawia cię o bezsenność, nie śmierć Paymona. Podjęłaś słuszną decyzję! Był kolejnym niebezpiecznym narzędziem. Zadziałałaś, by zachować porządek w społeczeństwie. Wreszcie jakaś porządna podstawa do wydawania wyroków, a nie te brednie o sprawiedliwości. Nigdzie nie ma czegoś takiego, jak powszechna sprawiedliwość. Gdy starasz się osiągnąć fałszywą równowagę, destabilizujesz tylko społeczeństwo…

Sprawiła jej przyjemność obrona wyroku na Paymona, lecz zaszokowały ją amoralne idee skryte za tymi argumentami.

— Powszechna sprawiedliwość była atrydzkim… była… — Odjęła dłonie od oczu, ale wciąż ich nie otwierała.

— Trzeba przestrzec wszystkich sędziów-kapłanów przed omyłką — nalegał baron. — Decyzje rozważać należy jedynie od strony przydatności dla utrzymania porządku w społeczeństwie. Niezliczone przeszłe cywilizacje rozbiły się o skały powszechnej sprawiedliwości. Taka głupota niszczy naturalną hierarchię, która jest najważniejsza. Każda jednostka nabiera znaczenia tylko w odniesieniu do społeczeństwa. O ile społeczeństwo nie będzie kierowane za pomocą logicznych posunięć, nikt nie będzie mógł znaleźć w nim miejsca — ani najpospolitsi ani najwyżsi. Słuchaj, słuchaj, wnuczko. Musisz być surową matką dla swego ludu. Twoim obowiązkiem jest utrzymanie ładu.

— Ale to, czego dokonał Paul, miało na celu…

— Twój brat nie żyje. Klapa!

— Ty też!

— Prawda… Ale co do mnie, zaszedł nieplanowany wypadek. Pozwól, zatroszczymy się o Dżawida tak, jak ci proponowałem. Poczuła, że poci się na tę myśl, więc powiedziała szybko:

— Muszę się zastanowić. — I dalej szeptała: — Jeśli to zrobię, zwiążę bardziej Dżawida ze sobą. Nie ma potrzeby go zabijać. A ten głupiec może się po prostu zdradzić… w łóżku.

— Do kogo mówisz, pani moja? — zapytał ktoś.

Przez chwilę zaskoczona Alia myślała, że to kolejne wtargnięcie wrzeszczącego tłumu z wewnątrz, lecz zaraz rozpoznała głos i otworzyła oczy: Ziarenka Valefor, przełożona strażniczek-amazonek Alii. Stała obok ławki, ze zmarszczonymi brwiami na ogorzałej, fremeńskiej twarzy.

— Rozmawiałam z wewnętrznymi glosami — powiedziała Alia, siadając na ławce. Czuła się odświeżona i spokojniejsza na duchu dzięki umilknięciu rozpraszającego zgiełku.

— Tak, moja pani, twoje wewnętrzne głosy… — Oczy Ziarenki zabłysnęły. Wszyscy wiedzieli, że Święta Alia czerpie wiadomości ze źródeł nieosiągalnych dla nikogo innego.

— Sprowadź Dżawida do moich pokoi — powiedziała Alia. — Muszę z nim porozmawiać w pewnej ważnej sprawie.

— Do twoich pokoi, pani?

— Tak! Do mojej osobistej komnaty.

— Jak rozkażesz. — Strażniczka odwróciła się, by wykonać polecenie.

— Jedną chwilę — powiedziała Alia. — Czy Duncan Idaho udał się już do siczy Tabr?

— Tak, moja pani. Odleciał tuż przed świtem, jak zarządziłaś. Czy chcesz, bym posłała po…

— Nie, sama dam sobie radę. Zia, nikt nie może wiedzieć, że przyprowadzono do mnie Dżawida. Zrób to sama. To bardzo poważna sprawa.

Strażniczka dotknęła krysnoża u pasa.

— Moja pani, jeżeli cokolwiek grozi…

— Tak, grozi, i Dżawid może być w to wplątany.

— Ooch, moja pani, w takim razie nie powinnam go przyprowadzać…

— Zia! Myślisz, że nie dałabym sobie rady z mężczyzną?! Wilczy uśmiech przemknął po wargach strażniczki.

— Wybacz mi, moja pani. Zaraz przyprowadzę go do twojej komnaty, ale… za pozwoleniem, będę trzymała wartę przy drzwiach.

— Tylko ty — powiedziała Alia.

— Tak, moja pani. Już idę.

Alia skinęła sama sobie głową, patrząc na wycofującą się Ziarenkę. Więc Dżawid nie jest kochany wśród strażniczek. Jeszcze jeden znak przeciw niemu. Mimo to był wartościowy, bardzo wartościowy. Był jej kluczem do Dżekaraty, a to miejsce — cóż…

— Może i miałeś rację, baronie — szepnęła.

— Widzisz! — zarechotał wewnętrzny głos. — Aaach, służba u ciebie, dziecko, będzie przyjemnością, a to dopiero początek.

Ludowe podania dają złudzenia, które musi podtrzymywać każda mającą znaczenie religia: złemu wiecznie nie będzie się wiodło; tylko śmiałość zasługuje na pochwałę; uczciwość jest najlepszą polityką; czyny mówią głośniej niż słowa; cnota zawsze zwycięża; dobry czyn jest swoją własną nagrodą; każdego złego człowieka można nawrócić; religijne talizmany chronią przed opętaniem przez demony; tylko kobiety znają starożytne tajemnice; przeznaczeniem bogatych jest

nieszczęście…

z „Poradnika podręcznego Missionarla Protectiva”

— Nazywam się Muriz — powiedział ogorzały Fremen.

Siedział na skale w jaskini w blasku lamp przyprawowych, których migocące światło ukazywało wilgotne ściany, a w nich ciemne otwory wyjść. Ze środkowego korytarza dochodził odgłos kapania i chociaż dźwięk wody stanowił podstawę wyobrażenia fremeńskiego raju, sześciu związanych mężczyzn nie czerpało z niego żadnej przyjemności. W kamiennej izbie czuło się stęchły zapach zgonsuszni.

Młodzieniec w wieku może czternastu standardowych lat wyszedł z korytarza i stanął po lewej stronie Muriza. Jego obnażony krysnóż odbijał bladożółte światło lamp przyprawowych. Chłopiec wzniósł ostrze i wymierzył je w kierunku związanych mężczyzn.

Wskazując młodego chłopaka, Muriz rzekł:

— Mój syn, Assan Tarią, gotów jest przejść test męstwa.

Muriz kaszlnął, jednym spojrzeniem obrzucił sześciu jeńców. Siedzieli naprzeciw niego, w luźnym półokręgu, ciasno skrępowani sznurami z włókna przyprawowego, że skrzyżowanymi nogami i rękoma założonymi na plecy. Więzy każdego z nich kończyły się pętlą na gardle. Ich filtrfraki rozcięto wokół szyi.

Związani patrzyli na Muriza bez zmrużenia oka. Dwóch miało na sobie luźne szaty, przywiezione z innych planet, wskazujące, że są bogatymi mieszkańcami miasta Arrakin. Ich skóra była gładsza i jaśniejsza niż współtowarzyszy, których surowe rysy i koścista budowa ciała świadczyły, że wychowali się na pustyni.

Muriz przypominał mieszkańców pustyni, ale jego oczy były bardziej zapadnięte, nieomal dziury, których nie rozjaśniał nawet blask lamp przyprawowych. Syn wydawał się nie uformowaną jeszcze kopią ojca, o twarzy bez wyrazu, niezupełnie ukrywającą wrzące w nim podniecenie.

— Pośród Wygnańców mamy specjalny test męstwa — powiedział Muriz. — Pewnego dnia syn mój będzie sędzią w Szulochu. Musi się dowiedzieć, czy sprosta powierzonemu zadaniu. Nasi sędziowie nie mogą zapominać o Dżekaracie i o dniu rozpaczy. Kralizek, Atak Huraganu, żyje w naszych sercach — wyrecytował głuchym głosem rytualną formułę.

Jeden z bogatych mieszkańców miasta poruszył się w miejscu.

— Źle czynicie grożąc nam i wiążąc jak jeńców. Przyszliśmy w pokoju dla ummy — powiedział. Muriz skinął głową.

— Przybyliście, szukając przebudzenia religijnego? Dobrze. Będziecie je mieli.

Mężczyzna o miękkich rysach odparł:

— Jeżeli nas…

Nagle ciemniejszy Fremen z pustyni wypalił:

— Cicho bądź, głupcze! To są złodzieje wody. To ci, o których myśleliśmy, że już ich nie ma.

— Ta stara opowieść! — Jeniec o miękkich rysach wykrzywił twarz.

— Dżekarata to nie tylko opowieść — powiedział Muriz. Raz jeszcze wskazał ręką na syna. — Przedstawiłem wam Assana Tariqa. Jestem tu arifem, waszym jedynym sędzią. Mojego syna też nauczymy wykrywania demonów. Stare obyczaje są najlepsze.

— Właśnie dlatego podążyliśmy na pustynię — zaprotestował człowiek o miękkich rysach. — Wybraliśmy stare obyczaje, podróżując w…

— Z opłaconymi przewodnikami — powiedział Muriz, wskazując na jeńca o ciemniejszej skórze. — Kupilibyście sobie drogę do nieba? — Muriz podniósł wzrok ku synowi. — Assanie, jesteś gotowy?

— Wspominałem długo tę noc, kiedy przyszli mężczyźni i zabili naszych ludzi — powiedział Assan. Jego głos zdradzał napięcie. — Są nam winni wodę.

— Twój ojciec daje ci sześciu z nich — powiedział Muriz. — Ich woda jest nasza. Ich cienie są twoje, są twymi strażnikami na zawsze. Ich cienie ostrzegać cię będą przed demonami. Będą twoimi niewolnikami, gdy przejdziesz do Alam al-Mithal. Co powiesz, mój synu?

— Dziękuję memu ojcu — odparł Assan. Postąpił mały krok naprzód. — Przyjmuję wiek męski pośród Wygnańców. Ta woda jest naszą wodą.

Skończywszy mówić, młodzieniec podszedł ku jeńcom. Zaczynając od lewej, ujmował mężczyzn ręką za włosy i wprowadzał krysnóż przez podbródek do mózgu tak, by utracić minimalną ilość krwi. Tylko jeden z miejskich Fremenów zaprotestował wrzeszcząc, gdy Assan chwytał go za włosy. Reszta pluła dawnym zwyczajem na swego kata, mówiąc przez to: Spójrz, jak mało cenię swoją wodę, gdy zabierają ją zwierzęta!

Kiedy wszystko się skończyło, Muriz klasnął w dłonie. Weszli służący i rozpoczęli pracę, zabierając ciała do zgonsuszni, gdzie odzyskiwano wodę z trupów.

Muriz podniósł się i popatrzył na oddychającego ciężko syna, który obserwował służących wynoszących zwłoki.

— Teraz jesteś mężczyzną — powiedział. — Woda naszych wrogów pożywi niewolników. I, mój synu…

Assan Tariq odwrócił się z czujnym i drapieżnym spojrzeniem utkwionym w ojcu. Usta młodzieńca ściągał kurczowy uśmiech.

— Kaznodzieja nie może się o tym dowiedzieć — rzekł Muriz.

— Rozumiem, ojcze.

— Dobrze to zrobiłeś — powiedział Muriz. — Tym, którzy natkną się na Szuloch, nie wolno przeżyć.

— Jak każesz, ojcze.

— Powierzono ci ważne obowiązki — dodał Muriz. — Jestem z ciebie dumny.

Człowiek cywilizowany może stać się prymitywnym. Tak naprawdę znaczy to, że zmienia się sposób ludzkiego życia. Zmieniają się dawne wartości, stają się związane z krajobrazem, ze zwierzętami i roślinami Ta nowa egzystencja wymaga praktycznej wiedzy o owych złożonych układach, wzajemnie powiązanych łańcuchem zależności, zazwyczaj określanych mianem przyrody. Wymaga też pewnej dozy szacunku dla inercyjnej siły zawartej w naturalnych systemach. Gdy człowiek osiąga ową wiedzę i szacunek, nazywają go prymitywnym. Proces odwrotny jest oczywiście również możliwy: człowiek prymitywny może stać się wyrafinowanym, ale nie bez doznania pewnej psychicznej szkody.

„Komentarze Leto" według Harq al-Ady

— Jak możemy się upewnić? — zapytała Ghanima. — To jest bardzo niebezpieczne.

— Próbowaliśmy tego już wcześniej — argumentował Leto.

— Tym razem może być inaczej. A jeżeli…

— To jest jedyna możliwa dla nas droga — powiedział Leto. — Zgadzasz się przecież, że nie możemy ryzykować sposobu z przyprawą.

Ghanima westchnęła. Nie podobała jej się ta szermierka słowna, lecz rozumiała naglącą brata konieczność; znała również wywołujące obawę źródło swej niechęci. Wystarczyło spojrzeć na Alię, by zrozumieć niebezpieczeństwa pochodzące z wewnętrznego świata.

— Więc? — zapytał Leto.

Znowu westchnęła.

Siedzieli ze skrzyżowanymi nogami w jednym z im tylko znanych

miejsc: w wąskim otworze jaskini nad urwiskiem, skąd ich ojciec i matka często obserwowali słońce wiszące ponad blechem. Minęły już dwie godziny od porannego posiłku, czas, w którym, wedle harmonogramu dnia, bliźnięta miały ćwiczyć ciała i umysły. Wybrały gimnastykę umysłów.

— Będę próbował sam, jeśli odmówisz — powiedział Leto.

Ghanima przeniosła wzrok na czarne obicia grodzi strzegących otworów w skale. Leto wciąż wpatrywał się ponad pustynię.

Od pewnego czasu mówili w języku tak starożytnym, że nawet jego nazwa nie była już znana. Język ten dawał ich myślom wyłączność, której żadna inna ludzka istota nie mogła przeniknąć. Nawet Alii, która unikała zawiłości wewnętrznego świata, brakowało konstrukcji zmysłowych pozwalających wyłonić więcej niż jakieś przypadkowe słowo.

Leto wykonał głęboki wdech, wciągając ostry zapach fremeńskiej jaskini-siczy, uporczywie wiszący w przedsionku bez okien. Brak było mruczącego szemrania siczy i jej wilgotnego ciepła. Oboje odczuwali z prawdziwą ulgą tę odmianę.

— Zgadzam się, że potrzebujemy informacji — powiedziała Ghanima — ale jeżeli my…

— Ghaniu! Potrzebujemy czegoś więcej niż informacji. Potrzebujemy ochrony.

— Być może tam nie ma ochrony. — Podniosła wzrok na brata i napotkała w jego spojrzeniu coś z wyczekującej czujności ścierwojada. Jego oczy zaprzeczały łagodności rysów.

— Musimy uniknąć opętania — powiedział Leto. Użył specjalnego bezokolicznika ze starożytnego języka, formy ściśle bezosobowej pod względem strony i czasu, lecz głęboko czynnej w innych aspektach.

Ghanima prawidłowo zinterpretowała ten argument.

— Mohw'pwium d'mi hish pash moh'm ka — zaintonowała. Schwytanie mej duszy, to schwytanie tysiąca dusz.

— O wiele więcej.

— Znając niebezpieczeństwa, opierasz się im — stwierdziła.

— Wabun'k wabunat! — powiedział. Jaśniejesz, o najjaśniejszy.

Traktował swój wybór jako oczywistą konieczność. Muszą objąć teraźniejszością przeszłość i pozwolić jej rozwinąć się w przyszłość.

— Muriyat — przyznała niskim głosem. Trzeba to zrobić z miłością.

— Oczywiście. — Machnął ręką, aby okazać całkowitą akceptację. — Wtedy będziemy mogli radzić się tak, jak nasi rodzice.

Ghanima milczała, starając się pozbyć dławienia w gardle. Instynktownie spojrzała na południe, na wielki otwarty erg, ukazujący niewyraźny, szary wzór wydm w świetle zachodzącego słońca. W tę stronę odszedł ich ojciec w swoją ostatnią drogę na pustynię.

Leto zerknął przez skraj urwiska w dół, na zieleń siczowej oazy. W dole wszystko zalewał mrok, on znał jednak jej kształty i kolory: miedziany, złoty, czerwony, żółty i rdzawy, brunatność rozciągająca się wprost do skalnych znaczników, zarysowujących rozmiar nawadnianych przez kanat plantacji. Dalej rozciągała się śmierdząca warstwa martwego arrakańskiego życia, zabitego przez obce rośliny i nadmiar wody, tworzące teraz barierę dla pustyni.

Nagle Ghanima powiedziała:

— Jestem gotowa. Zaczynajmy.

— Tak, a niech to! — Wyciągnął rękę, dotknął jej ramienia i by złagodzić wrażenie wywołane okrzykiem, powiedział: — Słuchaj, Ghaniu… Zaśpiewaj tą piosenkę. Będzie mi łatwiej.

Ghanima przysunęła się do niego bliżej i otoczyła go w pasie lewą ręką. Wciągnęła dwa razy głęboko powietrze, kaszlnęła i zaczęła śpiewać czystym, wysokim głosem pieśń, którą tak często jej matka nuciła ojcu:

Oto odkupuję ślub, któryś złożył,
Przelewam na ciebie słodką wodę,
Życie winno przeważyć w tym bezwietrznym miejscu.
Kochany mój, tyś winien żyć w pałacu,
Twoi wrogowie winni zapaść w nicość.
Razem przejdziemy drogą,
Którą miłość dla ciebie przetarła.
Z pewnością dobrze wskazuję cel,
Bo twym pałacem jest miłość ma…

Głos ucichł, tonąc w pustynnej ciszy, którą nawet szept mógł sprofanować, a Leto poczuł, że zapada się coraz głębiej — staje się ojcem, którego wspomnienia rozpościerają się jak powierzchniowa warstwa na oceanie genetycznej pamięci z bezpośredniej przeszłości.

„Na tej małej przestrzeni muszę być Paulem — powiedział sobie. — To nie Ghanima jest obok mnie, to moja kochana Chani, której mądra rada często ratowała nas oboje”.

W tym czasie Ghanima wśliznęła się w pamięcio-osobowość matki. Uczyniła to z przerażającą łatwością, której zaznała już przedtem. O ileż mniej skomplikowane było to dla kobiety — i o ile bardziej niebezpieczne.

Nagle Ghanima rzekła zdecydowanym głosem:

— Spójrz tam, kochany!

Wszedł Pierwszy Księżyc i w jego zimnym Świetle zobaczyli łuk pomarańczowego światła, padający w górę, w kosmos. Transportowiec, który przywiózł lady Jessikę, załadowany teraz przyprawą powracał do statku-matki na orbicie.

Przez Leto przemknęły najostrzejsze obrazy, przynosząc silne wrażenia. Przez ulotną chwilę był innym Leto — księciem Jessiki.

Konieczność zepchnęła na bok te wspomnienia, lecz nie wcześniej, nim poczuł przeszywający ból i miłość.

„Muszę być Paulem” — przypomniał sobie.

Transformacja nadeszła z przerażającym uczuciem rozdwojenia, jak gdyby Leto był ciemnym ekranem, na który rzutowano osobowość jego ojca. Czuł zarówno swoje ciało, jak i ciało ojca, a raptowne zmiany tożsamości groziły mu zgubą.

— Pomóż mi, ojcze — szepnął.

Rozkołysane zakłócenia zniknęły i wewnętrznie stał się kimś innym, podczas gdy osoba Leto stała na uboczu, jako obserwator.

— Moja ostatnia wizja jeszcze się nie spełniła — powiedział i poznał głos Paula. Odwrócił się do Ghanimy. — Ty wiesz, co widziałem. Prawą dłonią dotknęła jego policzka.

— Odszedłeś na pustynię, by umrzeć, kochany? To właśnie zrobiłeś?

— Może… ale ta wizja… Czynie było dość powodów, by zostać przy tyciu?

— Będąc ślepym? — zapytała.

— Nawet ślepym.

— Dokąd odszedłeś? Wciągnął głęboko powietrze:

— Do Dżekaraty…

— Kochany! — Łzy zaczęły spływać po jej policzkach.

— Muad’Dib, bohater, musi zostać ostatecznie zniszczony — rzekł. — Inaczej to dziecko nie da rady wyprowadzić nas z chaosu.

— Złota Droga — powiedziała. — To nie jest dobra wizja.

— Jest jedyną możliwą wizją.

— Alii się nie udało, więc…

— Całkowicie. Masz na to dowody.

— Twoja matka wróciła zbyt późno. — Ghanima kiwnęła głową. Na jej dziecięcym obliczu widniał mądry wyraz twarzy Chani. — Nie ma żadnych innych wizji? Może jeżeli…

— Nie, kochanie. Jeszcze nie. To dziecko nie może zajrzeć w przyszłość i wrócić bezpiecznie.

Znowu wstrząsnął nim dreszcz i Leto-obserwator poczuł głęboką tęsknotę do życia w młodym ciele, chęć podejmowania rzeczywistych decyzji i… Jak rozpaczliwie potrzebował tych naprawionych już błędów z przeszłości!

— Ojcze! — zawołał Leto i było tak, jak gdyby krzyk odbijał się echem w jego własnej głowie.

To, co poczuł potem, było wielkim aktem silnej woli; powolne, lgnące wycofanie wewnętrznej obecności ojca uwolniło zmysły i mięśnie.

— Kochanie — usłyszał głos Chani i wycofywanie zwolniło tempo. — Co się dzieje?

— Nie odchodź jeszcze — powiedział Leto, słysząc wreszcie własny głos, chrapliwy i niepewny, ale mimo to własny. Potem rzekł — Chani, musisz nam powiedzieć, jak mamy uniknąć… tego, co się stało z Alią.

Odpowiedział mu jednak Paul z jego wnętrza, słowami pełnymi wahania, przedzielonymi długimi przerwami:

— Nie ma…pewności. Widzisz… to…prawie… stało… się… ze… mną.

— Ale Alia…

— Ten przeklęty baron ją opętał!

Leto poczuł, jak gardło płonie mu suchością.

— Czy on… czy mam…

— On jest w tobie… ale… ja… my nie możemy, czasem czujemy… się nawzajem, ale ty…

— Nie potrafisz czytać moich myśli? — zapytał Leto. — Czy będziesz wiedział, kiedy on…

— Czasami czuję myśli… ale ja… żyjemy tylko przez… odbicie… twojej świadomości Stwarza nas pamięć. Niebezpieczeństwo… to dokładna pamięć. I… ci z nas, którzy kochali władzę… i gromadzili ją za… każdą cenę… ci mogą być… bardziej dokładni.

— Silniejsi? — szepnął Leto.

— Silniejsi.

— Znam twoją wizję — powiedział Leto. — Raczej stanę się tobą, niż pozwolę mu opanować mnie.

— Nie!

Leto skinął głową, czując niezwykłą siłę woli ojca, żądającą od siebie wycofania się, świadomą konsekwencji niepowodzenia. Każde opętanie sprowadzało opętanego do roli Paskudztwa. Uświadomienie sobie tego odnowiło jego poczucie siły. Odczuł własne ciało z nadzwyczajną ostrością, z głęboką świadomością błędów przeszłości: swoich własnych i przodków. To niepewność osłabiała — teraz to pojął. Przez chwilę pokusa toczyła w nim wojnę z obawą. Jego ciało miało zdolność przemienienia melanżu w wizję przyszłości. Dzięki przyprawie mogło oddychać przyszłością, rozrywając zasłony czasu. Zorientował się, że trudno mu odtrącić tę pokusę. Złożył dłonie i pogrążył się w świadomości prana-bindu.

Ciało zanegowało pokusę, ponieważ nosiło głęboką wiedzę, nabytą dzięki krwi Paula. Ci, którym zależało na poznaniu przyszłości, mieli nadzieję na wygranie zwycięskiej stawki w wyścigu, którego metę stanowił dzień jutrzejszy. Zamiast tego odkrywali, że są w pułapce życia, w którym znali każde uderzenie serca, każdy przepełniony strachem własny jęk. Ostateczna wizja Paula ukazywała

niepewną drogę wyjścia z tej pułapki i Leto wiedział, że nie ma innej możliwości, jak tylko podążyć tą drogą.

— Radość życia, całe jego piękno jest oparte na fakcie, że cię zaskakuje — powiedział.

Miękki głos szepnął mu do ucha:

— Zawsze znałam to piękno.

Leto odwrócił głowę i zapatrzył się w oczy Ghanimy, błyszczące w jasnym świetle księżyca. Zamiast siostry ujrzał Chani.

— Matko — rzekł — musisz się wycofać.

— Ach, cóż za pokusa — powiedziała i pocałowała go. Odepchnął ją.

— Chcesz zabrać życie córce? — zapytał z naciskiem.

— To takie łatwe… tak głupio łatwe — powiedziała.

Czując, że zaczyna go ogarniać panika, Leto przypomniał sobie, jakiego wysiłku musiała dokonać wewnątrz-osoba ojca, by porzucić jego ciało. Czyżby Ghanima zagubiła się w świecie obserwatorów, podczas gdy on słuchał i patrzył, dowiadując się tego, czego żądał?

— Będę tobą gardził, matko — powiedział.

— Inni nie będą — odparła. — Bądź moim kochanym…

— Gdybym tak zrobił… wiesz, czym stalibyśmy się oboje — powiedział. — Mój ojciec będzie tobą pogardzał.

— Nigdy!

— Będę!

Dźwięk dobył się z gardła bez woli Leto. Niósł ze sobą wszystkie podteksty Głosu, których Paul nauczył się od matki-czarownicy.

— Nie mów tak! — jęknęła.

— Będę tobą gardził!

— Proszę… proszę, nie mów tak…

Leto potarł gardło, czując, że mięśnie jeszcze raz mu się podporządkowują.

— Będzie tobą gardził. Odwróci się od ciebie. Znów odejdzie na pustynię.

— Nie… nie… — Potrząsnęła głową.

— Musisz odejść, matko — powiedział.

— Nie… nie… — Ale głosowi brakło już pierwotnej siły. Leto obserwował twarz siostry. Jak drgały jej mięśnie! Przez całe jej ciało przebiegały skurcze odzwierciedlające wewnętrzny zamęt.

— Odejdź — szeptał. — Odejdź…

— Nieee…

Chwycił ją za ramię. Poczuł pulsowanie w mięśniach, drgające pnie nerwowe. Wierciła się, starała się odsunąć, ale trzymał ją silnie, szepcząc:

— Odejdź… odejdź…

Próbując ratować siostrę, Leto wyrzucał sobie namówienie

Ghanimy na grę w rodziców, w którą kiedyś często się bawili, ale której siostra ostatnio zaczęła się wzdragać. Uświadomił sobie, że rzeczywiście istoty żeńskie były słabsze wobec ataku od wewnątrz. W tym właśnie leżało źródło lęku Bene Gesserit.

Mijały godziny, a ciało Ghanimy wciąż dygotało i trzęsło się w wewnętrznej walce, lecz teraz do próśb dołączył głos siostry. Słyszał, jak błagalnie powtarzała do istoty wewnątrz niej:

— Matko… proszę. — I jeszcze raz: — Widziałaś Alię! Chcesz się stać następną Alią?

W końcu Ghanima nachyliła się ku niemu i szepnęła:

— Pogodziła się z tym. Odeszła. Wzburzył dłonią jej włosy.

— Ghaniu, przykro mi. Przepraszam. Nigdy więcej nie poproszę cię o coś takiego. Byłem samolubny. Wybacz mi.

— Nie mam ci nic do wybaczenia — powiedziała. Mówiła przerywanym głosem, jak po wielkim fizycznym wysiłku. — Dowiedzieliśmy się wiele z tego, czego potrzebujemy.

— Ona mówiła o wielu rzeczach — powiedział. — Podzielimy się tym później, kiedy…

— Nie! Zróbmy to teraz. Miałeś rację.

— Co do mojej Złotej Drogi?

— Twojej przeklętej Złotej Drogi!

— Logika jest bezużyteczna, dopóki nie uzbroi się w podstawowe dane — powiedział. — Ale ja…

— Nasza babka wróciła, by pokierować naszym wychowaniem i zobaczyć, czy nie jesteśmy… skażeni.

— Właśnie to twierdzi Duncan. Nic nowego w…

— To najprostsza kalkulacja — zgodziła się. Jej głos stał się silniejszy. Odsunęła się od niego i wyjrzała na pustynię pogrążoną w ciszy przedświtu. Ta walka… ta wiedza kosztowała ich noc. Gwardia Królewska za grodziami wilgociowymi musiała się gęsto tłumaczyć. Leto tak to urządził, żeby nic nie mogło im przeszkodzić.

— Ludzie starzejąc się często uczą się subtelności — rzekł. — Czego nauczyliśmy się dzięki całej naszej wiekowości, co moglibyśmy teraz wykorzystać?

— Wszechświat, jaki postrzegamy, nigdy nie jest czysto fizyczny — powiedziała Ghanima. — Nie wolno nam traktować babki tylko jako babki.

— To może być niebezpieczne — zgodził się — ale pyta…

— Potrzeba nam czegoś więcej niż subtelności — powiedziała.

— Musimy zarezerwować w świadomości miejsce na postrzeganie tego, czego nie możemy sobie z góry wyobrazić. Dlatego… Moja matka często mówiła mi o Jessice. W końcu, gdy obie pogodziłyśmy się w wewnętrznym dialogu, powiedziała mi wiele rzeczy. — Ghanima westchnęła.

— W i e m y, że jest naszą babką — powiedział. — Siedziałaś z nią wczoraj całe godziny. Czy dlatego…

— Jeżeli do tego dopuścimy, wiedza zdeterminuje nasze zachowanie — powiedziała Ghanima. — Dlatego matka wciąż mnie ostrzega. Zacytowała Jessikę i… — dotknęła jego ramienia — i usłyszałam wewnątrz mnie echo tych słów, wypowiedziane głosem babki.

— Ostrzegła cię — powiedział Leto. Stwierdził, że niepokoi go ta myśl. Czy na niczym nie można się było oprzeć?

— Najtragiczniejsze błędy wynikają z założeń, które się przeżyły — powiedziała Ghanima. — Dlatego moja matka wciąż ją cytuje.

— Dokładnie na modłę Bene Gesserit.

— Jeżeli… jeżeli Jessika całkowicie powróciła do zakonu…

— Mogłaby być dla nas bardzo niebezpieczna — zgodził się i dokończył jej myśl: — Nosimy krew Kwisatz Haderach, ich męskiego Bene Gesserit.

— Nie zakończą poszukiwań — wtrąciła — lecz mogą sobie nas odpuścić. Nasza babka może być ich narzędziem.

— Jest inny sposób — powiedział.

— Tak. Związek… nas obojga. Ale one wiedzą, że recesywne geny mogą skomplikować to połączenie.

— Można by to przedyskutować…

— Razem z naszą babką? Nie podoba mi się ten pomysł.

— Ani mnie.

— Chociaż, to nie pierwszy raz, kiedy linia królewska starałaby się…

— To dla mnie odpychające. — Zadrżał. Wyczuła jego ruch i zamilkła.

— Moc — powiedział, a ona za sprawą dziwnej alchemii ich podobieństwa wiedziała, o czym teraz pomyślał.

— Moc Kwisatz Haderach musi zawieść — zgodziła się.

— Użyta na sposób Bene Gesserit — dodał.

W tej chwili nad pustynią wszedł dzień, oświetlający ich punkt widokowy. Poczuli pierwsze powiewy nadchodzącego upału. Na polach pod urwiskiem zajaśniały barwy poranka. Szarozielone liście rzucały na ziemię igłowate cienie. Niskie, nieśmiałe jeszcze światło srebrnego słońca Diuny ukazało zieleń oazy pełnej złotych i purpurowych cieni, otoczonej studnią chroniących ją ścian.

Leto wstał i przeciągnął się.

— A więc Złota Droga — powiedziała Ghanima, mówiąc zarówno do niego, jak i do siebie. Wiedziała, że ostatnia wizja ojca spotkała się i zlała ze snami Leto.

Coś otarło się o grodź za nimi i usłyszeli pomruk głosów.

Leto wrócił do starożytnego języka, którego używali w bardziej poufnych rozmowach:

— L'ii ani howr samis sm'kwi owr samit sut.

Właśnie wtedy zdecydowali się ostatecznie. Dosłownie znaczyło to: „Będziemy towarzyszyć sobie wzajemnie aż do śmierci, choć tylko jedno z nas może powrócić, by o tym donieść".

Ghanima wstała i razem ruszyli ku grodzi prowadzącej do siczy. Strażnicy podrywali się i kłaniali, widząc bliźnięta, które kierowały się ku prywatnym kwaterom.

Tego poranka ludzie rozstępowali się przed nimi inaczej niż zwykle, wymieniając znaczące spojrzenia ze strażnikami. Spędzenie nocy samemu, nad pustynią, było dawnym zwyczajem świętych mędrców Fremenów. Czynił tak Paul Muad'Dib… i Alia. Teraz przyszła kolej na bliźnięta.

Leto zauważył różnicę i wspomniał o niej Ghanimie.

— Nie wiedzą, co zdecydowaliśmy — powiedziała. — Naprawdę nie zdają sobie z tego sprawy.

Wciąż w ich prywatnym języku, odparł:

— Początek musi sprawiać wrażenie całkowicie przypadkowego. Ghanima zawahała się przez chwilę, by precyzyjnie przekazać myśl i powiedziała:

— W czasie żałoby po rodzeństwie smutek będzie całkowicie prawdziwy, może nawet wystawią grobowiec. Serce musi zdążać za marzeniem, inaczej nie będzie przebudzenia.

W starożytnym języku wypowiedź była wyjątkowo zawiła, zawierała podmiot w zaimku, oddzielony od bezokolicznika. Składnia pozwalała każdej grupie wchodzących w skład wypowiedzi słów zawikłać swe znaczenie, dając kilka różnych wykładni, dobrze określonych i dokładnie rozróżnialnych, ale subtelnie za sobą powiązanych. To, co powiedziała, po części znaczyło, że podejmując plan Leto, ryzykują śmiercią. Bez znaczenia czy prawdziwą, czy symulowaną. Rezultatem miała być śmierć, dosłownie: pogrzebane zwłoki. Na całość nakładało się dodatkowe znaczenie — wymóg nałożony na to z nich, które przeżyje, by zdało sprawozdanie, że „działa jako to, które pozostało przy życiu". Każdy błędny krok zniszczyłby cały plan, a Złota Droga Leto stałaby się ślepym zaułkiem.

— Musi to być wyjątkowo subtelne — zgodził się Leto. Rozsunął zasłony, gdy dotarli do przedpokoju.

Aktywność służących zamarła tylko na mgnienie oka, kiedy bliźnięta przecinały przedpokój, kierując się w stronę sklepionego przejścia, prowadzącego do pomieszczeń zajmowanych przez lady Jessikę.

— Nie jesteś Ozyrysem — przypomniała mu Ghanima.

— Nawet nie będę się starał.

Ghanima schwyciła go za ramię i zatrzymała.

— Alia darsatay haunus m'smow — ostrzegła.

Leto spojrzał w oczy siostry. Rzeczywiście, czyny Alii roztaczały woń zgnilizny, którą babka musiała zauważyć. Uśmiechnął się do Ghanimy, doceniając kunszt tej uwagi. Zmieszała starożytny język z fremeńskimi przesądami, by przywołać najbardziej podstawowy omen plemienia. M'smow — zgniły zapach letniej nocy — zwiastował śmierć z rąk demona. A Izyda była demonem — boginią śmierci dla ludzi, których językiem mówili.

— My, Atrydzi, musimy podtrzymywać opinię o naszej śmiałości — powiedział.

— Więc podejmiemy to, co trzeba — odparła.

— Właśnie. Inaczej staniemy się petentami naszej Regentki — dodał. — Alia byłaby tym zachwycona.

— Ale nasz plan… — Zawiesiła głos.

„Nasz plan" — pomyślała. Podzielali go teraz bez reszty.

— Myślę, że nasz plan jest męką szadufa — powiedział.

Ghanima rozejrzała się po przedpokoju, czując zapachy poranka, jakie się w nim rozchodziły. Podobał się jej sposób, w jaki Leto ich używał prywatnego języka. „Męka szadufa". Składał ślubowanie, nazwał plan rolniczą, służebną pracą: użyźnianiem, nawadnianiem, usuwaniem chwastów, przesadzaniem, przycinaniem — ale z fremeńską implikacją, że praca dokonywała się równocześnie w Innym Świecie, gdzie symbolizowała utrzymywanie bogactwa duszy. Ghanima badała wzrokiem brata, gdy tak stali, pełni wahania, w skalnym przejściu. Było dla niej coraz bardziej oczywiste, że złożył przysięgę na dwóch poziomach: raz, że przysięgał na Złotą Drogę wizji jego i ich ojca, a dwa, że ona pozwoli mu na swobodne tworzenie najbardziej niebezpiecznych kreacji mitologicznych, które wynikały z planu. Poczuła przerażenie. Czy w jego osobistej wizji było coś jeszcze, coś, czym się z nią nie podzielił? Czy widział siebie jako potencjalnie zdeifikowaną postać, mającą poprowadzić ludzkość ku odrodzeniu — jaki ojciec, taki syn? Kult Muad'Diba pełen był ludzkiej goryczy, fermentując w błędnych posunięciach Alii i nieskrępowanej swobodzie zmilitaryzowanego kapłaństwa, które okiełznało Fremenów. Leto pragnął odnowy. „Coś przede mną ukrywa" — uświadomiła sobie wyraźnie. Przebiegła myślą to, co jej powiedział o swoim śnie. Był dla niego tak jaskrawo rzeczywisty, że godzinami chodził później oszołomiony. Mówił, że sen nigdy się nie zmienia.

„Stoję na piachu, w jaskrawym, złotym świetle dnia, ale na niebie nie ma słońca. Wtedy uświadamiam sobie, że to ja jestem słońcem. Moje oczy świecą jak Złota Droga. Wychodzę z ciała. Odwracam się, spodziewając się zobaczyć siebie jako słońce. Ale nim nie jestem, jestem postacią-szkicem, dziecięcym rysunkiem z zygzakowatymi

liniami zamiast oczu, nogami i rękoma w postaci kresek. Mam berło w lewej dłoni, prawdziwe berło — mające w tamtej rzeczywistości więcej szczegółów niż postać z kresek, która je trzyma. Wtedy berło porusza się i to mnie przeraża. Gdy kołysze się, czuję się przebudzony, ale wiem, że nadal śnię. Uświadamiam sobie, że moja skóra jest w czymś zamknięta — w zbroi, która porusza się tak jak ona. Nie mogę dojrzeć tej zbroi, ale czuję ją. Mój strach opuszcza mnie, bo zbroja daje mi siłę dziesięciu tysięcy mężczyzn „.

Kiedy Ghanima popatrzyła na Leto, ten spróbował wyrwać się i pójść dalej w stronę komnat lady Jessiki. Siostra przytrzymała go. — Złota Droga może nie być lepsza niż jakakolwiek inna — powiedziała.

Leto spuścił wzrok na skalną podłogę pod stopami, wyczuwając nawrót wątpliwości Ghanimy.

— Muszę tak zrobić — powiedział.

— Alia jest opętana — odparła. — Coś takiego może przytrafić się i nam. Mogło już dawniej, ale my o tym nie wiemy.

— Nie. — Potrząsnął głową, napotykając jej spojrzenie. — Alia opierała się. To dało siłę mocom wewnątrz niej, przez które została pokonana. My ośmieliliśmy się szukać wewnątrz siebie, odnaleźć dawne języki i dawną wiedzę. Już jesteśmy amalgamatem istnień z naszych wnętrz. Nie opieramy się, działamy razem z nimi. Właśnie tego dowiedziałem się od naszego ojca w nocy. Musiałem się dowiedzieć.

— Mnie nic nie powiedział.

— Słuchałaś matki.

— I prawie przegrałam.

— Wciąż jeszcze ma nad tobą władzę? — Jego twarz skurczyła się w grymasie lęku.

— Tak… Ale teraz myślę, że strzeże mnie swoją miłością. Byłeś bardzo dobry, gdy się z nią spierałeś. — I myśląc o Chani odzwierciedlonej wewnątrz, powiedziała: — Nasza matka istnieje we mnie wraz z innymi w Alam al-Mithal, ale zaznała już smaku piekła. Mogę jej słuchać bez strachu. Co do innych…

— Tak — powiedział. — Ja słuchałem ojca, ale myślę, że naprawdę idę za radą dziadka, na którego cześć otrzymałem imię. Może to imię ułatwia całą sprawę.

— Doradził ci, żebyś porozmawiał z babką o Złotej Drodze?

Leto odczekał, aż służący niosący tacę ze śniadaniem lady Jessiki przeciśnie się między nimi. Gdy ich mijał, powietrze przepełnił silny zapach przyprawy.

— Ona żyje wewnątrz nas i we własnym ciele — powiedział Leto. — Możemy dwa razy zasięgnąć jej rady.

— Nie ja — zaprotestowała Ghanima. — Nie zaryzykuję znowu.

— Zatem tylko ja — odparł Leto.

— Myślałam, że zgodziliśmy się co do tego, że wróciła do zakonu żeńskiego?

— Rzeczywiście. Bene Gesserit na początku, dzieło własnych rąk w środku i Bene Gesserit na końcu. Ale pamiętaj, że w niej również płynie krew Harkonnenów i że ma jej więcej niż my, a także że doświadczała czegoś w rodzaju wewnętrznej wspólnoty, podobnie jak my.

— W bardzo płytkiej postaci — odparła Ghanima. — Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— Nie sądzę, bym wspomniał jej o Złotej Drodze.

— Ja mogę.

— Ghaniu!

— Nie potrzebujemy więcej bogów-Atrydów. Potrzebujemy trochę miejsca dla człowieczeństwa!

— Czy kiedykolwiek temu zaprzeczałem?

— Nie. — Zaczerpnęła głęboko powietrze i odwróciła wzrok. Służący przyglądali się im z przedpokoju, po tonie odgadując, że się sprzeczają, nie będąc jednak w stanie zrozumieć starożytnych słów.

— Musimy coś zrobić — powiedział. — Jeżeli zaniechamy działania, równie dobrze możemy się nadziać na nasze noże. — Użył fremeńskiego zwrotu: „Wlać naszą wodę do zbiornika plemienia".

Raz jeszcze Ghanima spojrzała na brata. Zmuszona była się z nim zgodzić, poczuła się jednak schwytana w pułapkę, w konstrukcję o zbyt wielu elementach. Oboje wiedzieli, że bez względu na to, co dalej zrobią, czeka ich dzień rozliczenia się z wszystkiego. Ghanima miała tego pewność dzięki informacjom uzyskanym od pamięcio-osobowości, ale bała się teraz siły, której udzieliła obcym psychikom przez posłużenie się ich doświadczeniem. Czyhały na nią w jej wnętrzu jak harpie, cienie-demony czające się w zasadzce. Z wyjątkiem matki, która posiadała cielesną siłę i wyrzekła się jej. Ghanima wciąż czuła wstrząs po tej wewnętrznej szamotaninie, wiedząc, że przegrałaby, gdyby nie siła perswazji brata.

Leto powiedział, że Złota Droga dawała szansę wyjścia z pułapki. Poza dokuczliwym przekonaniem, że zataił coś ze swoich wizji, mogła jedynie docenić jego szczerość. Leto potrzebował twórczej, zapładniającej myśli, by wzbogacić plan.

— Zostaniemy poddani próbie — powiedział, wiedząc, dokąd prowadzą jej wątpliwości.

— Nie z przyprawą.

— Niewykluczone. Z pewnością na pustyni, w Procesie-o-Opętanie.

— Nigdy nie wspominałeś o tym, że będziemy poddani Procesowi-o-Opętanie — oskarżyła go. — To część snu?

Spróbował coś odpowiedzieć przez suche gardło i przełknął, gdy

go zdradziło.

— Tak.

— Zatem staniemy się… opętani?

— Nie.

Pomyślała o Procesie — pradawnej fremeńskiej próbie, która najczęściej kończyła się okropną śmiercią. Zatem plan był bardziej złożony, niż myślała. Mogli się znaleźć na granicy, poza którą pchnięcie w dowolną stronę strąciłoby ich w przepaść, z której ludzki umysł nie byłby w stanie ich wydobyć. Wiedząc, dokąd zawiodą ją jej myśli, Leto rzekł:

— Władza przyciąga psychopatów. Zawsze. Tego będziemy musieli uniknąć w naszych wnętrzach.

— Jesteś pewny, że nie zostaniemy opętani?

— Nie, jeżeli stworzymy Złotą Drogę. Wciąż pełna wątpliwości, powiedziała:

— Nie urodzę ci żadnych dzieci, Leto.

Potrząsnął głową, tłumiąc wewnętrzne protesty, i przeszedł na królewską, oficjalną wersję starożytnego języka:

— Siostro, kocham cię czulej niż siebie samego, lecz to nie jest oferta moich żądz.

— Bardzo dobrze. Pozwól mi zatem wrócić do jeszcze jednej z naszych dyskusji, nim dołączymy do naszej babki. Gdyby Alia zginęła od noża, rozwiązałoby to większość problemów.

— Jeżeli w to wierzysz, pewnie wierzysz również, że możemy chodzić po błocie i nie zostawiać śladów — powiedział. — Poza tym, czy Alia dała nam kiedykolwiek ku temu okazję?

— Krążą plotki o tym Dżawidzie.

— Czy cokolwiek w Duncanie zdradza, że rosną mu rogi? Ghanima wzruszyła ramionami.

— Jedna trucizna, dwie trucizny — zacytowała powszechny termin, stosowany w królewskich światach do katalogowania towarzyszy według ich zagrożenia dla majestatu. Zasada, znak władzy obowiązujący wszędzie.

— Musimy zrobić to na mój sposób — powiedział.

— Inna droga mogłaby być czystsza.

Po jej odpowiedzi uznał, że ostatecznie stłumiła wątpliwości i pogodziła się z planem. Ta pewność nie przyniosła mu szczęścia. Uświadomił sobie nagle, że patrzy na własne ręce, zastanawiając się, czy przylgnie do nich brud.

To właśnie było osiągnięciem Muad'Diba: widział zasoby podświadomości każdej jednostki jako nieuświadomione źródło wspomnień,

sięgające do pierwotnej komórki, z której wszyscy bierzemy początek. Mówił, że każdy z nas potrafi odmierzyć odległość dzielącą go od tegoż początku. Widząc to i mówiąc o tym, Muad'Dib dokonał śmiałej decyzji: wziął na siebie zadanie zintegrowania genetycznej pamięci w system poddający się bieżącemu oszacowaniu. Tak właśnie zniszczył zasłony Czasu, zespalając w jedno przeszłość i przyszłość. Takie było dzieło Muad'Diba, wcielone w jego syna i córkę.

„Testament Arrakis" pióra Harq al-Ady

Farad'n spacerował po ogrodach królewskiego pałacu swego dziadka, obserwując, jak cień skraca się, podczas gdy słońce Salusa Secundus wspina się ku południowi. Musiał trochę wyciągać krok, by pozostać u boku wysokiego baszara, który mu towarzyszył.

— Mam pewne wątpliwości, Tyekanik — powiedział. — Och, nie można zaprzeczyć, tron jest pociągający, ale… — wciągnął głęboki oddech — mam tak wiele innych zainteresowań.

Tyekanik, odświeżony przez gwałtowną kłótnię z matką Farad'na, spojrzał z boku na księcia, zauważając, że ciało chłopaka staje się coraz silniejsze w miarę zbliżania się osiemnastych urodzin. Każdego mijającego dnia było w nim coraz mniej z Wensicji, a coraz więcej ze starego Szaddama, który przedkładał osobiste cele nad odpowiedzialność panowania. Właśnie to kosztowało go tron. Stawał się zbyt miękki, gdy chodziło o wydawanie rozkazów.

— Musisz dokonać wyboru — powiedział Tyekanik. — Och, bez wątpienia będziesz miał czas na niektóre ze swych zainteresowań, ale…

Farad'n przygryzł dolną wargę. Trzymał go tu obowiązek, lecz czuł się sfrustrowany. Wolałby raczej udać się do skalnej enklawy, w której przeprowadzano eksperymenty z piaskopływakami. Właśnie to dawało dużą szansę — wyrwać Atrydom monopol na przyprawę, a wszystko stanie się możliwe.

— Jesteś pewny, że bliźnięta zostaną… wyeliminowane?

— Nic nie jest absolutnie pewne, książę, ale prognozy są dobre.

Farad'n wzruszył ramionami. Zabójstwo było czymś normalnym w życiu władców. Ich język zawierał wiele subtelnych rozróżnień sposobu eliminacji ważnych osób. W jednym słowie dawało się zawrzeć różnicę między trucizną w napoju i trucizną w jedzeniu.

Zakładał, że eliminacja atrydzkich bliźniąt dokona się przez otrucie. Nie radowała go ta myśl. Wedle sprawozdań, bliźnięta były bardzo interesującą parą.

— Czy musimy udać się na Arrakis?

— To dobre posunięcie, znaleźć się w miejscu największych napięć.

Farad'n wydawał się unikać jakiegoś pytania i Tyekanik zastanawiał się, jak ono brzmi.

— Martwię się, Tyekanik — powiedział Farad'n w chwili, gdy okrążyli róg żywopłotu i zbliżali się do fontanny otoczonej przez olbrzymie, czarne róże. Zza żywopłotu dochodziły odgłosy przycinających go ogrodników.

— Tak? — ponaglił Tyekanik.

— Ta, hmm… religia, którą wyznajesz obecnie…

— Nic w tym dziwnego, książę — powiedział Tyekanik, mając nadzieję, że głos mu nie zadrżał. — Ta religia przemawia do wojownika. Jest odpowiednia dla sardaukara. — Przynajmniej to jedno stwierdzenie było prawdą.

— Taaaa… ale moja matka wydaje się być z tego zadowolona. „Przeklęta Wensicja! Sprawiła, że jej syn zaczął coś podejrzewać" — pomyślał Tyekanik.

— Nie dbam o to, co mówi twoja matka — wykrztusił. — Religia to coś osobistego. Może widzi w tym coś, co pomoże osadzić cię na tronie.

— Tak właśnie sądziłem — odparł Farad'n. „Aaach, cwany chłopak" — pomyślał Tyekanik.

— Racz sam w nią wejrzeć; zobaczysz, dlaczego ją wybrałem — powiedział.

— Mimo… kazań Muad'Diba? Był przecież Atrydą.

— Mogę tylko rzec, że niezbadane są ścieżki Boga — odrzekł Tyekanik.

— Rozumiem. Powiedz mi, Tyek, dlaczego poprosiłeś mnie, żebym przeszedł się z tobą właśnie teraz? Już prawie południe, a o tej porze zazwyczaj lecisz tu czy tam na rozkaz mojej matki.

Tyekanik zatrzymał się przy kamiennej ławce, stojącej naprzeciw fontanny, i olbrzymich róż za nią. Uspokajało go pluskanie wody i na nim skupił uwagę.

— Książę, zrobiłem coś, co nie spodobałoby się twojej matce.

— I pomyślał: „Jeżeli chłopak uwierzy, jej przeklęty plan się powiedzie!" Tyekanik miał nadzieję, że plan Wensicji upadnie. „Sprowadzać tu tego Kaznodzieję! Ona oszalała. A koszta!"

Gdy Tyekanik nic więcej nie powiedział, zaintrygowany Farad'n zapytał:

— W porządku, Tyek, co zrobiłeś?

— Sprowadziłem specjalistę w dziedzinie oniromancji — powiedział Tyekanik.

Farad'n rzucił ostre spojrzenie towarzyszowi. Niektórzy ze starszych sardaukarów zajmowali się interpretacją snów i czynili to z wzrastającą intensywnością od czasu klęski ich towarzyszy, poniesionej z rąk „Najwyższego Śniącego" — Muad'Diba. Gdzieś w snach, argumentowali, mogła kryć się droga powrotna do władzy i chwały. Ale Tyekanik zawsze się od tego powstrzymywał.

— To do ciebie niepodobne, Tyek.

— Zatem mogę wypowiadać się tylko na temat mojej religii — powiedział Tyekanik, odwracając się w kierunku fontanny. Nie religia była powodem sprowadzenia tu Kaznodziei.

— Więc mów w jej imieniu — odparł Farad'n.

— Jak książę rozkaże. — Odwrócił się i spojrzał na młodzieńczego władcę, będącego obiektem nadziei na przyszłość rodu Corrinów. — Kościół i państwo, książę, rozumowanie naukowe i wiara, i nawet więcej — postęp i tradycja — wszystko jest pogodzone ze sobą w naukach Muad'Diba. Nauczał on, że nie ma przeciwieństw nie do pogodzenia, z wyjątkiem tych zawartych w wierzeniach i czasami w snach. Odkrywał przyszłość w przeszłości, jak również i to, że obie są częściami całości.

Mimo wątpliwości, których nie potrafił sprecyzować, Farad'n spostrzegł, że słowa wywierają na nim wrażenie. Usłyszał w głosie Tyekanika nutę niechętnej szczerości, jak gdyby człowiek ów mówił wbrew wewnętrznemu nakazowi.

— I właśnie dlatego sprowadziłeś tego… tego interpretatora snów?

— Tak, książę. Być może twe sny przenikają Czas. Odzyskasz świadomość swej wewnętrznej istoty, gdy wszechświat objawi ci się jako spójna całość. Sny… no więc…

— Ale ja swobodnie mówię o swoich snach — zaprotestował Farad'n. — To ciekawostki, nic więcej. Nigdy bym nie podejrzewał, że ty…

— Książę, nic z tego, co robisz, nie może być nieważne.

— Pochlebiasz mi, Tyek, Naprawdę wierzysz, że ów człowiek potrafi wejrzeć w jądro wielkich tajemnic?

— Tak, wierzę, książę.

— Niech więc matka będzie niezadowolona.

— Przyjmiesz go?

— Oczywiście, ponieważ sprowadziłeś go, by rozeźlić moją matkę. „Szydzi ze mnie?" — zastanowił się Tyekanik.

— Muszę cię ostrzec, że ten starzec nosi maskę. Taki ixiański przyrząd, który pozwala niewidomemu widzieć skórą — powiedział.

— Jest ślepy?

— Tak, książę.

— Wie, kim jestem?

— Powiedziałem mu, książę.

— Bardzo dobrze. Chodźmy do niego.

— Jeżeli mój książę chwilę poczeka, zaraz go tu przyprowadzę. Farad'n rozejrzał się po ogrodzie otaczającym fontannę i uśmiechnął się. Miejsce dobre jak każde inne na podobne bzdury.

— Mówiłeś mu, o czym śniłem?

— Tylko ogólnie, książę. Poprosi cię o osobistą relację.

— Och, bardzo dobrze. Poczekam tutaj. Sprowadź tego człowieka.

Farad'n odwrócił głowę. Usłyszał, jak Tyekanik oddala się w pośpiechu. Zobaczył ogrodnika pracującego tuż za żywopłotem, szczyt jego głowy w brązowym nakryciu, błysk nożyc wystających nad zielenią. Ich ruch zahipnotyzował księcia.

„Cała sprawa ze snami to brednie — pomyślał Farad'n. — Źle, że Tyek nie skonsultował tego wcześniej ze mną. Dziwnie, że przyjął nową religię w tym wieku. A teraz… sny!"

Usłyszał kroki za plecami — znajome, pewne stąpanie Tyekanika i jeszcze jeden, mniej równy chód. Farad'n odwrócił się, popatrzył na zbliżającego się tłumacza snów. Ixiańska maska była czarnym, przypominającym gazę materiałem, skrywającym twarz od czoła aż po podbródek. Nie miała żadnych wycięć na oczy. Jeżeli wierzyć przechwałkom Ixian, cała maska stanowiła pojedyncze oko.

Tyekanik zatrzymał się dwa kroki od Farad'na, ale starzec w masce zbliżył się na odległość mniej niż kroku.

— Tłumacz snów — powiedział Tyekanik. Farad'n skinął głową.

Zamaskowany starzec kaszlnął w sposób nieco przypominający chrząknięcie, jak gdyby starał się usunąć coś z żołądka.

Farad'n wyczuł kwaśny zapach przyprawy bijący od obcego. Odór emanował z długiej, szarej szaty okrywającej ciało.

— Czy maska jest naprawdę częścią twego ciała? — zapytał Farad'n, uświadamiając sobie, że pragnie odwlec rozmowę na temat snów.

— Tylko wtedy, gdy ją noszę — rzekł starzec Głos miał nosowy, zawierający cień fremeńskiego akcentu. — Twoje sny — powiedział. — Opowiedz mi o nich.

Farad'n wzruszył ramionami. Dlaczego nie? Po to Tyek sprowadził starca. Czy na pewno? Farad'na opadły wątpliwości, zapytał więc:

— Naprawdę jesteś specjalistą w oniromancji?

— Przybyłem, by zinterpretować twój sen, możny panie.

Farad'n znowu wzruszył ramionami. Ten starzec zdecydowanie go denerwował. Spojrzał na Tyekanika, który tkwił nieruchomo w miejscu, z założonymi rękami patrząc na fontannę.

— Twoje sny, panie — ponaglił starzec.

Farad'n zrobił głęboki wdech i zaczął relacjonować sen. Łatwiej mu było mówić, gdy już się wciągnął. Mówił o wodzie wzbierającej w studni, o słowach będących atomami tańczącymi w głowie, o wężu, który przemienił się w czerwia pustyni i wybuchnął w chmurze pyłu. Ze zdumieniem odkrył, że musiał użyć najwięcej wysiłku, by powiedzieć o wężu. Straszna niechęć powstrzymywała go i przyprawiała o gniew, gdy w końcu się przełamał.

Starzec słuchał nieruchomy, aż wreszcie Farad'n zamilkł. Czarna maska poruszała się lekko w rytm oddechu. Farad'n czekał. Cisza trwała.

Po chwili Farad'n zapytał:

— Nie zamierzasz nic mi wyjaśnić?

— Zinterpretowałem twój sen — odpowiedział. Słowa wydawały się dochodzić z wielkiej odległości.

— A więc? — Farad'n zorientował się, że jego głos stał się piskliwy, odbijając napięcie, jakie wywołał w nim sen. Starzec stał wciąż nieruchomo, w milczeniu.

— Powiedz mi w końcu! — W tonie księcia wyraźnie zabrzmiał gniew.

— Powiedziałem, że go zinterpretowałem — rzekł starzec. — Niczego ci jednak nie zdradzę.

Poruszyło to nawet Tyekanika. Zwinięte w pięści ręce opadły mu po bokach.

— Co to ma znaczyć? — zgrzytnął zębami.

— Nie obiecywałem, że odkryję wam moją interpretację — powiedział starzec.

— Chcesz większej zapłaty? — zapytał Farad'n.

— Nie prosiłem o zapłatę, gdy mnie tu sprowadzano. — Chłodna duma odpowiedzi złagodziła gniew Farad'na. W każdym razie starzec był odważny. Musiał wiedzieć, że następstwem nieposłuszeństwa może być śmierć.

— Pozwolisz mi, książę — powiedział Tyekanik w chwili, gdy Farad'n zaczynał mówić. — Wytłumacz, dlaczego nie chcesz tego zrobić? — rzekł do starca w masce.

— Dobrze, panie. Sen powiedział mi, że żadne wyjaśnienia nie mają sensu.

Farad'n nie mógł się powstrzymać:

— Twierdzisz, że ja już znam znaczenie snu?

— Być może tak, panie, ale nie w tym tkwi sedno sprawy. Tyekanik podszedł i stanął u boku Farad'na. Obaj wpatrywali się w mężczyznę.

— Wyjaśnij nam to — powiedzą! Tyekanik.

— Tak, właśnie — dodał Farad'n.

— Gdybym miał mówić o śnie, tłumaczyć istotę wody i pyłu, węży i czerwi, analizować atomy, które tańczą w twojej głowie tak samo jak w mojej… aach, możny panie, słowa zdumiałyby cię jedynie i wziąłbyś je za nieporozumienie.

— Boisz się, że możesz mnie rozgniewać? — zapytał Farad'n.

— Panie mój! Już jesteś gniewny.

— Tylko dlatego, że nam nie ufasz — rzekł Tyekanik.

— Dotarłeś już blisko istoty sprawy, panie mój. Nie ufam żadnemu z was z tego prostego powodu, że nie ufacie sobie nawzajem.

— Zbliżasz się niebezpiecznie blisko do granicy mej wytrzymałości — powiedział Tyekanik. — Ludzie ginęli za zachowanie mniej obraźliwie niż twoje.

Farad'n skinął głową i rzekł:

— Nie doprowadzaj mnie do gniewu.

— Śmiertelne konsekwencje gniewu Corrinów są dobrze znane, panie, na Salusa Secundus — odrzekł starzec.

Tyek położył uspokajająco dłoń na ramieniu Farad'na i zapytał:

— Starasz się nas sprowokować, byśmy cię zabili? O tym Farad'n nie pomyślał. Poczuł chłód, rozważywszy, co mogło znaczyć takie zachowanie. Czy starzec, który nazywał siebie Kaznodzieją, był kimś więcej, niż tym, kim się wydawał? Jakie mogły być konsekwencje jego śmierci? Tworzenie męczenników to niebezpieczna zabawa.

— Wątpię, byście mnie zabili, bez względu na to, co powiem — rzekł Kaznodzieja. — Myślę, że znasz moją wartość, baszarze, i że książę również się jej domyśla.

— Ostatecznie odmawiasz wyjaśnienia snu? — zapytał Tyekanik.

— Zinterpretowałem go.

— I nie ujawnisz, co w nim widzisz?

— Winisz mnie, panie?

— Czy możesz mieć dla mnie jakąkolwiek wartość? — zapytał Farad'n.

Kaznodzieja wyciągnął prawą rękę.

— Gdybym skinął tą dłonią, Duncan Idaho zjawiłby się i usłuchałby mnie.

— A cóż to za próżna przechwałka? — zapytał Farad'n. Tyekanik jednak potrząsnął głową, przywołując w pamięci sprzeczkę z Wensicją, i powiedział:

— Książę, to może być prawda. Kaznodzieja ma wielu wyznawców na Diunie.

— Dlaczego nie powiedziałeś mi, że on pochodzi stamtąd? — zapytał Farad'n.

Zanim Tyekanik zdołał odpowiedzieć, Kaznodzieja zwrócił się do Farad'na:

— Panie mój, nie wolno ci się czuć winnym w sprawie Arrakis.

Jesteś jedynie wytworem swych czasów, a przynajmniej do takiej wymówki możesz się uciec.

— Czuć się winnym?! — Farad'na przepełnił gniew.

Kaznodzieja wzruszył ramionami.

Dziwne, ale ten gest sprawił, że Farad'n miast wściekłości poczuł rozbawienie. Roześmiał się, odrzuciwszy w tył głowę, przyciągając przestraszone spojrzenie Tyekanika.

— Podobasz mi się, Kaznodziejo — powiedział.

— Dziękuję, książę — odrzekł starzec.

— Znajdziemy ci tu w pałacu komnatę — dodał Farad'n, tłumiąc chichot. — Będziesz moim urzędowym tłumaczem snów; nawet jeżeli nigdy nie powiesz mi słowa wyjaśnienia. Możesz mi też doradzać w sprawach Diuny. Jestem wielce ciekaw tej planety.

— Nie mogę tu zostać, książę.

Cień gniewu powrócił. Farad'n utkwił wzrok w czarnej masce.

— A dlaczego nie, powiedz, jeśli łaska?

— Książę… — rzekł Tyekanik, dotykając ramienia Farad'na.

— O co chodzi, Tyek?

— Sprowadziliśmy go pod wiążącą umową z Gildią. On musi wrócić na Diunę.

— Jestem wzywany do powrotu na Arrakis — powiedział Kaznodzieja.

— A kto cię wzywa? — spytał Farad'n.

— Moc większa niż twoja, książę.

Farad'n rzucił Tyekanikowi pytające spojrzenie.

— Czyżby szpieg Atrydów?

— Mało prawdopodobne, książę. Alia wyznaczyła nagrodę za jego głowę.

— Jeżeli więc nie Atrydzi, to kto cię wzywa? — zapytał Farad'n, wracając uwagą do Kaznodziei.

— Siła większa niż Atrydzi.

Farad'n nie wytrzymał i roześmiał się. Mistyczne brednie. Jak Tyek dał się ogłupić przez takie nonsensy? Kaznodzieja był przywoływany — najprawdopodobniej we śnie. A co były warte sny?

— To była strata czasu, Tyek — powiedział Farad'n. — Dlaczego wystawiłeś mnie na tę… na tę farsę?

— Opłacało się, książę — powiedział Tyekanik. — Tłumacz snów przyrzekł mi sprawić, że Duncan Idaho stanie się agentem rodu Corrinów. W zamian pragnął zinterpretować twoje sny. — I dodał w myśli: „Przynajmniej tak powiedział Wensicji!" Baszara ogarnęły nowe wątpliwości.

— Dlaczego moje sny są dla ciebie takie ważne, starcze? — zapytał Farad'n.

— Twój sen mówi, że wielkie wydarzenia zmierzają ku

logicznemu rozwiązaniu — powiedział Kaznodzieja. — Muszę przyspieszyć swój powrót.

Farad'n rzekł szyderczo:

— Do końca pozostaniesz tajemniczy i nie dasz mi żadnej rady?

— Rady, książę, są niebezpiecznym towarem. Ale zaryzykuję kilka słów, które możesz przyjąć jako radę, bądź w jakikolwiek inny sposób, jaki ci się spodoba.

— Będę nieskończenie wdzięczny — powiedział Farad'n. Maska Kaznodziei znieruchomiała naprzeciw twarzy Farad'na.

— Rządy mogą powstawać i upadać z przyczyn, które wydają się bez znaczenia, książę. Wystarczy drobne wydarzenie. Kłótnia między dwoma kobietami… Kierunek, z którego pewnego dnia wiał wiatr… Katar, kaszel, długość stroju, bądź przypadkowe uderzenie pyłku piasku w oko dworzanina. Nie zawsze wola imperialnych ministrów wyznacza kurs historii i niekoniecznie pontyfikacja kapłanów porusza rękoma Boga.

Farad'n poczuł, że dogłębnie poruszyły go te słowa, i nie potrafił wytłumaczyć sobie swej reakcji.

Tyekanik jednakże skoncentrował się na jednym zdaniu. Dlaczego Kaznodzieja mówił o stroju? Myśli Tyekanika skupiły się na imperialnych szatach, przesłanych atrydzkim bliźniętom, i tygrysach wyćwiczonych do zabijania. Czy starzec wyrażał subtelne ostrzeżenie? Jak wiele wiedział?

— I to ma być rada? — zapytał Farad'n.

— Jeżeli masz zwyciężać — mówił Kaznodzieja — musisz przystosować strategię do celu, jaki chcesz osiągnąć. Gdzie używa się strategii? W szczególnym miejscu i wobec szczególnych ludzi. Lecz nawet przy największej trosce o szczegóły pewne drobiazgi, którym nie przypisuje się znaczenia, wymykają się uwadze. Czy twoja strategia, książę, może ograniczać się do ambicji żony prowincjonalnego gubernatora?

Tyekanik przerwał chłodnym głosem:

— Dlaczego prawisz o strategii, Kaznodziejo? Jakie ambicje chcesz wmówić mojemu księciu?

— Nakłania się go, by pożądał tronu — odparł Kaznodzieja. — Życzę mu powodzenia, lecz wiem, że będzie potrzebował czegoś więcej niż tylko powodzenia.

— To niebezpieczne słowa — powiedział Farad'n. — Jak to możliwe, że ośmielasz się je wypowiadać?

— Naturą ambicji jest to, iż nie obchodzi jej rzeczywistość — powiedział Kaznodzieja. — Ośmielam się mówić, ponieważ stoisz na rozdrożu. Możesz być kimś podziwianym, czczonym. Teraz jesteś otoczony ludźmi, którzy nie szukają moralnych racji, przez doradców, których obchodzi tylko strategia. Jesteś młody, silny i wytrwały, ale

brak ci szkolenia, dzięki któremu mógłbyś rozwinąć swój charakter. To smutne, ponieważ masz w sobie słabość, której wymiary właśnie ci opisałem.

— Co masz na myśli? — zapytał z naciskiem Tyekanik.

— Uważaj, co mówisz — rzucił ostrzegawczo Farad'n. — Co to za słabość?

— Nie pomyślałeś nigdy, jaki typ społeczeństwa chciałbyś reprezentować — rzekł Kaznodzieja. — Nie bierzesz pod uwagę potrzeb poddanych. Nawet postać Imperium, którego pragnąłbyś, nie jest do końca określona. — Zwrócił zamaskowaną twarz ku Tyekanikowi. — Twoje oko spoczywa na władzy, nie na jej subtelnym wykorzystywaniu i niebezpieczeństwach, jakie niesie. Twoja przyszłość jest wypełniona niewiadomymi: kłócącymi się kobietami, kaszlem i wietrznymi dniami. Jak możesz stworzyć epokę, skoro nie widzisz każdego jej szczegółu? Uparty umysł nie będzie ci dobrze służył.

Farad'n przez długą chwilę badał wzrokiem starca, zastanawiając się nad głębią znaczeń wypowiadanych myśli, nad uporczywym powracaniem do zdyskredytowanych idei. Moralność! Cele społeczne! Mity do odstawienia na bok razem z wiarą w dążący ku doskonalszym formom ruch ewolucji.

— Usłyszeliśmy już dość — powiedział Tyekanik. — Co z ceną, którą uzgodniliśmy, Kaznodziejo?

— Duncan Idaho jest wasz — rzekł Kaznodzieja. — Bądźcie ostrożni. To bezcenny klejnot.

— Och, mamy dla niego odpowiednią misję — powiedział Tyekanik. Rzucił okiem na Farad'na. — Za twoim pozwoleniem, książę?

— Niech się pakuje, zanim zmienię zdanie — odrzekł Farad'n. Następnie, patrząc na Tyekanika, dodał: — Nie podoba mi się sposób, w jaki mnie wykorzystujecie, Tyek!

— Wybacz mu, książę — powiedział Kaznodzieja. — Twój wierny baszar spełnia wolę Bożą, nawet o tym nie wiedząc. — Ukłoniwszy się, Kaznodzieja odszedł, a Tyekanik pospieszył za nim.

Farad'n patrzył na oddalające się plecy, myśląc: „Muszę przyjrzeć się religii, której Tyek stał się orędownikiem. — Uśmiechnął się ze smutkiem. — Cóż za tłumacz snów! Bzdury! Mój sen nie był niczym ważnym".

I ujrzał wizję zbroi. Zbroja nie była jego własną skórą: była twardsza niż plastal. Nic nie mogło przez nią przeniknąć — ni nóż, ni trucizna, ni piach pustyni, ni jej wysuszający żar. W

prawej dłoni miał moc rozpętania kurzawy Coriolisa, wstrząśnięcia ziemią i strącenia jej w nicość. Oczy skupił na Złotej Drodze, a w lewej dłoni dzierżył berło absolutnego władztwa. Za Złotą Drogą Jego oczy spoglądały w wieczność, o której wiedział, że jest pokarmem duszy l wiecznotrwałego ciała.

„Heighia, Sen mojego brata" z „Księgi Ghanimy"

— Lepiej byłoby dla mnie, gdybym nigdy nie został Imperatorem — rzekł Leto. — Och, nie sugeruję, że popełniłem pomyłkę i zajrzałem w przyszłość przez szkiełko przyprawy. Mówię przez egoizm. Moja siostra i ja rozpaczliwie potrzebujemy czasu, czasu na swobodzie, aby nauczyć się jak żyć z tym, czym jesteśmy.

Zamilkł, patrząc pytająco na lady Jessikę. Wyrecytował rolę, którą uzgodnił wcześniej z Ghanimą. Jaka będzie odpowiedź babki?

Jessika patrzyła badawczo na wnuka stojącego w słabym świetle kul świętojańskich rozjaśniających pokoje w siczy Tabr. Był dopiero wczesny poranek drugiego dnia jej pobytu na Arrakis, a otrzymała już niepokojący raport o tym, że bliźnięta spędziły noc poza siczą. Co tam robiły? Nie spała dobrze. Czuła, że nadaktywność, w której utrzymywała się od owego wyczerpującego dnia w porcie kosmicznym, zmusza ją do sfolgowania tempa. Była to sicz jej koszmarów — ale tam, na zewnątrz, nie było pustyni, którą zapamiętała. Skąd pochodzą kwiaty? Otaczające powietrze wydawało się zbyt wilgotne. Wśród młodych brakowało filtrfrakowego reżimu.

— Czym jesteś, dziecko, że potrzebujesz czasu na nauczenie się siebie samego? — zapytała.

Potrząsnął łagodnie głową, wiedząc, że manifestuje dziwaczną dorosłość w ciele dziecka, i przypominając sobie, że nie może pozwolić, by ta kobieta wróciła do równowagi.

— po pierwsze, nie jestem dzieckiem. Och… — Dotknął piersi. — Mam ciało dziecka, bez wątpienia. Ale nie jestem dzieckiem.

Jessika przygryzła górną wargę, nie zważając, że się w ten sposób zdradza. Jej książę, martwy od wielu lat, śmiał się z niej, gdy to robiła.,,To twoja jedyna niekontrolowana reakcja — tak nazywał przygryzanie wargi — która mówi mi, że się niepokoisz i że muszę pocałować te usta, by opanować ich drżenie „.

Teraz wnuk noszący imię jej księcia doprowadził do tego, że zamarła, nieruchoma. Tylko jej serce biło. Leto uśmiechnął się, mówiąc:

— Jesteś zaniepokojona. Poznaję to po drżeniu twych warg.

Odzyskanie normalnego wyglądu wymagało od niej zastosowania najskuteczniejszych chwytów szkolenia Bene Gesserit.

— Szydzisz ze mnie? — zdołała powiedzieć.

— Szydzić z ciebie? Nigdy. Ale muszę ci wyjaśnić, jak bardzo się różnimy. Pozwól mi przypomnieć pewną orgię w siczy, dawno temu, kiedy stara Matka Wielebna oddała ci swoje życie i wspomnienia. Zwróciła się ku tobie i dała ci ten… ten długi sznur koralików, z których każdy był inną osobą. Masz je teraz, wiesz więc co nieco z tego, czego doświadczamy z Ghanimą.

— I z Alią? — zapytała Jessika, wypróbowując go.

— Nie rozmawiałaś o tym z Ghanią?

— Chciałabym porozmawiać z tobą.

— Bardzo dobrze. Alia odrzuciła to, czym była, i stała się tym, czym obawiała się być. Wewnętrznej przeszłości nie da się zepchnąć do nieświadomości. Grozi to każdemu, lecz dla nas, przed-urodzonych, to gorsze niż śmierć. To wszystko, co mogę powiedzieć o Alii.

— Zatem nie jesteś dzieckiem — stwierdziła Jessika.

— Mam miliony lat. Potrzebuję przystosowań, których istoty ludzkie nigdy nie musiały w sobie wykształcać.

Jessika skinęła głową, spokojniejsza już i o wiele ostrożniejsza, niż była z Ghanimą. A gdzie jest właściwie Ghanimą? Dlaczego Leto przyszedł sam?

— No więc, babciu — powiedział — czy jesteśmy Paskudztwami, czy nadzieją Atrydów?

Jessika zignorowała jego pytanie.

— Gdzie twoja siostra?

— Odwraca uwagę Alii, aby zabezpieczyć nas przed ingerencją z jej strony. Ale Ghanima nie powie ci więcej niż ja. Nie zauważyłaś tego wczoraj?

— Co zauważyłam, to już moja sprawa. Dlaczego paplesz o Paskudztwach?

— Paplę? Nie cytuj mi tu frazesów Bene Gesserit, babciu, bo wepchnę je w ciebie z powrotem, słowo po słowie. Chcę czegoś więcej niż tylko drżenia warg.

Jessika potrząsnęła głową, czując zimno tej… osoby, w której żyłach płynęła jej krew. Zasoby siły, którymi dysponował Leto, obezwładniały ją. Starając się dopasować swój ton do ostrości jego wypowiedzi, powiedziała:

— Cóż możesz wiedzieć o moich zamiarach?

Prychnął pogardliwie.

— Nie powinnaś pytać, czy popełniłem tę samą omyłkę, co ojciec. Nie wyjrzałem poza nasz ogródek czasu — przynajmniej nie celowo. Zostawmy wiedzę absolutną o przyszłości chwilom deja-vu, których

doświadcza każdy człowiek. Eksperyment ojca mówi mi wszystko, co chcę o niej wiedzieć. Znać przyszłość absolutnie, znaczy absolutnie być przez nią schwytanym w pułapkę. W efekcie czas się rozpada. Teraźniejszość staje się przyszłością. Domagam się większej wolności.

Jessika czuła, że język świerzbi ją od nie wypowiedzianych słów. Jak mogła mu opowiedzieć o czymś, czego on jeszcze nie wiedział? To było potworne! „On jest mój! To mój kochany Leto!"

Ta myśl ją zaszokowała. Przez chwilę zastanawiała się, czy dziecięca maska nie mogłaby nabrać drogich jej rysów i zmartwychwstać…

„Nie!"

Leto opuścił głowę i spojrzał spod oka, by się badawczo przyjrzeć babce. Tak, można nią manewrować.

— Kiedy myślisz o przyszłowidzeniu, a mam nadzieję, że robisz to rzadko — powiedział — nie różnisz się prawdopodobnie od innych. Większość wyobraża sobie, jak miło byłoby znać jutrzejsze notowania cen na futra z wielorybów, bądź czy Harkonnenowie będą raz jeszcze rządzić na ojczystej Giedi Prime. Ale, oczywiście, my znamy Harkonnenów i bez przyszłowidzenia, prawda, babciu?

Ominęła zastawioną przez niego pułapkę. Oczywiście wiedział o przeklętej krwi Harkonnenów płynącej w żyłach swoich przodków.

— Kim są Harkonnenowie? — zapytał, chcąc ją podbechtać. — Kim jest Bestia Rabban? Kimś takim jak my, co? Wróćmy jednak do tematu. Mówię o powszechnym micie przyszłowidzenia: znać absolutnie przyszłość. Całą! Jakież fortuny można by zbić i stracić, mając taką wiedzę, prawda? Motłoch w to wierzy. Wierzą, że jeżeli „trochę" jest dobre, to „więcej" musi być lepsze. Wspaniale! A gdybyś wręczyła komuś kompletny scenariusz jego życia, dialogi nie mogące ulec zmianie aż do chwili zgonu — byłoby to dla niego darem z piekła rodem. Jakież to by było nudne! Znałby naprzód każdą odpowiedź, każdą reakcję — i tak bez końca, bez końca… — Leto potrząsnął głową. — Ignorancja ma pewne zalety. Wszechświat niespodzianek jest tym, o co się modlę.

Podczas tej długiej przemowy Jessika coraz bardziej się dziwiła, jak mocno jego sposób mówienia, intonacja, barwa głosu przypominają jej Paula — utraconego syna. Nawet idee: tak właśnie mógłby on mówić.

— Przypominasz mi Paula — powiedziała.

— To dla ciebie bolesne?

— Na swój sposób, ale cieszy mnie, że on żyje w tobie.

— Tak mało rozumiesz z tego, co tkwi we mnie.

Jessika spostrzegła, że jego głos przepełniony jest goryczą. Podniosła głowę, by spojrzeć mu w oczy.

— Babciu, Ghanima jest tobą. Jest tobą tak zupełnie, że twoje

życie nie ma dla niej żadnych tajemnic aż do chwili, gdy urodziłaś naszego ojca. I ja! Ja również jestem katalogiem cielesnych zapisów. Są chwile, gdy to brzemię staje się zbyt ciężkie, by je znieść. Zjawiłaś się tu, by nas osądzać? By osądzać Alię? To my powinniśmy cię osądzać.

Jessika starała się zdobyć na jakąś odpowiedź, ale nie znalazła żadnej. Dlaczego ciągle podkreślał swoją odmienność? Czy skrywa chęć odrzucenia jej? Czy osiągnął stadium Alii? Czy stał się Paskudztwem?

— Wiem, co cię niepokoi — powiedział.

— Wiesz — zgodziła się. — Tak, to mnie niepokoi z przyczyn, które są ci dokładnie znane. Jestem pewna, że powtórzyłeś moje szkolenie Bene Gesserit. Ghanima przyznała się do tego. Wiem, że Alia… to zrobiła. Znasz konsekwencje swojej odmienności.

Spojrzał na nią z niepokojącą intensywnością.

— Prawie nie podejmowaliśmy takich prób wobec ciebie — powiedział, a w jego głosie wyczuła coś z własnego zmęczenia. — Znamy drżenie warg tak, jak je znał twój kochanek. Na życzenie możemy przypomnieć sobie każdą sypialnianą pieszczotę, którą obdarzył cię twój książę. Bez wątpienia zaakceptowałaś nas intelektualnie, ale ostrzegam cię, że intelektualna akceptacja to za mało. Jeżeli ja lub Ghanima staniemy się Paskudztwem — przyczyną tego możesz być ty! Albo nasz ojciec… albo matka! Lub twój książę! Każde z was może nas opętać, a rezultat będzie zawsze ten sam.

Jessika poczuła palenie w piersiach i wilgoć w oczach.

— Leto… — zdołała powiedzieć, używając w końcu tego imienia. Zorientowała się, że ból był mniejszy, niż sobie wyobrażała. Zmusiła się do kontynuowania: — Czego chcesz ode mnie?

— Chciałbym cię czegoś nauczyć.

— Czego?

— Tej nocy Ghania i ja odegraliśmy role matki i ojca prawie do samozniszczenia, ale wiele się nauczyliśmy. Zachowując świadomość, można dowiedzieć się tego i owego. Można przewidzieć pewne wydarzenia. Alia… No więc, mamy prawie pewność, że spiskuje, by cię porwać.

Jessika zmrużyła oczy, wstrząśnięta nagłym oskarżeniem. Znała dobrze tę sztuczkę, używała jej wiele razy: naprowadzić osobę na jedną ścieżkę rozumowania i wtedy zaszokować ją wnioskiem wyprowadzonym z innej. Odzyskała spokój, raptownie zaczerpnąwszy powietrza.

— Wiem, co zrobiła Alia… czym jest, ale…

— Babciu, współczuj jej. Użyj swego serca tak, jak rozumu. Czyniłaś to już przedtem. Stanowisz zagrożenie, a Alia pragnie Imperium na własność, albo przynajmniej to, czym się stała, pragnie

władzy.

— Skąd mogę wiedzieć, że nie mówi do mnie kolejne Paskudztwo?

Wzruszył ramionami.

— Właśnie w tym przejawia się twe serce. Ghania i ja wiemy, że ona upadła. Niełatwo przywyknąć do zgiełku wewnętrznych tłumów. Zduś te jaźnie, a będą wracać, kłębiąc się w tle za każdym razem, gdy przywoływać będziesz wspomnienia. Pewnego dnia ktoś silny z tej wewnętrznej bandy zadecyduje, że już czas dzielić z tobą ciało.

— I nic nie można na to poradzić? — zapytała Jessika, choć bała się odpowiedzi.

— Wierzymy, że jest coś… Tak. Nie możemy uzależnić się od przyprawy, to najistotniejsze, i nie wolno nam tłumić przeszłości. Musimy jej używać, uczynić z niej część nas samych. W końcu wszyscy oni staną się naszą domieszką. Nie będziemy dłużej pierwotnymi osobowościami — ale nie będziemy też opętani.

— Mówiłeś o jakimś spisku.

— Oczywiście. Wensicja żywi ambicje co do swego syna. Alia żywi ambicje co do siebie, a…

— Alia i Farad'n?

— Nic się jeszcze wyraźnie nie rysuje — powiedział — ale Alia i Wensicja poruszają się teraz po równoległych kursach. Wensicja ma siostrę w domu Alii. Cóż prostszego, niż przesłać wiadomość dla…

— Wiesz coś o takiej wiadomości?

— Jakbym ją widział i czytał każde słowo.

— Ale jej nie widziałeś?

— Bo nie było takiej potrzeby. Wystarczyło, że dowiedziałem się, iż wszyscy Atrydzi są tu, razem, na Arrakis. Cała woda w jednym zbiorniku. — Wykonał gest, jakby chciał objąć całą planetę.

— Ród Corrinów nie odważy się zaatakować!

— Gdyby jednak, Alia skorzystałaby z tego…

Szyderstwo w głosie Leto sprowokowało Jessikę.

— Nie pozwolę, by mój wnuk traktował mnie protekcjonalnie! — powiedziała.

— Zatem przestań, do diabła, kobieto, myśleć o mnie jako o wnuku. Myśl o mnie jako o swoim księciu Leto! — Jego ton, wyraz twarzy, nawet nagły gest ręką były jej tak znajome, że zmieszana zamilkła.

— Starałem się cię przygotować. Przyznaj mi przynajmniej tyle — powiedział Leto suchym, nieobecnym głosem.

— Dlaczego Alia miałaby mnie porwać?

— By obarczyć winą ród Corrinów.

— Nie wierzę. Nawet jak na nią, to byłoby… potworne! Zbyt niebezpieczne. Jak mogłaby zrobić coś takiego, bez… nie mogę w to

uwierzyć!

— Uwierzysz, gdy to się stanie. Aaach, Ghania i ja podsłuchiwaliśmy wewnątrz siebie, więc wiemy. To prosta samoobrona, bo skąd dowiedzielibyśmy się o błędach, jakie popełnia się dokoła nas?

— Nawet przez chwilę nie uwierzę, że porwanie może być dla Alii…

— Na Boga! Jak możesz ty, Bene Gesserit, być taka niepojętna? Całe Imperium wie, dlaczego tu jesteś. Wszyscy propagandyści Wensicji są gotowi, żeby cię zdyskredytować. Alia nie może czekać, aż to się stanie. Jeżeli znikniesz ze sceny, dla rodu Atrydów mógłby to być śmiertelny cios.

— A co podejrzewa Imperium?

Wycedziła słowa tak zimno, jak tylko mogła, wiedząc, że nie może zwieść tego nie-dziecka żadną sztuczką Głosu.

— To, że lady Jessika planuje skrzyżowanie bliźniąt ze sobą! — wypalił. — Właśnie tego pragnie zakon żeński. Kazirodztwa!

Jessika drgnęła.

— Czcza pogłoska. — Przełknęła ślinę. — Bene Gesserit nie pozwolą, żeby ta plotka szerzyła się bez kontroli w Imperium. Wciąż mamy pewne wpływy. Pamiętaj o tym.

— Plotka? Jaka plotka? Z pewnością rozważałaś pomysł skrzyżowania nas ze sobą. — Potrząsnął głową w chwili, gdy zaczęła mówić. — Nie zaprzeczaj. Niech byśmy tylko spędzili okres dojrzewania z tobą pod jednym dachem, zobaczyłabyś, że twój wpływ okazałby się niczym więcej jak szmatą, którą macha się przed czerwiem.

— Wierzysz, że możemy być aż tak głupie? — zapytała Jessika.

— I owszem. Wasz zakon to nic innego, jak tylko kółko przeklętych, starych, głupich bab, nie potrafiących myśleć o niczym innym poza cennym programem hodowlanym! Ghania i ja znamy dźwignię, jaką chcecie się posłużyć. Czy ty sądzisz, że my jesteśmy głupcami?

— Dźwignię?

— One wiedzą, że pochodzisz z Harkonnenów! Pewnie w ich hodowlanych zapiskach stoi: Jessika, córka Tanidii Nerus i barona Vladimira Harkonnena. Gdyby ten zapis przypadkowo stał się powszechnie znany, przyprawiłoby cię to o niezłe…

— Myślisz, że zakon zniży się do szantażu?

— Wiem, że mogą to zrobić. Och, wiedźmy owinęły swoje słowa w pozłacany papierek, powiedziały ci, byś sprawdziła plotki krążące o córce. Podsycają twoją ciekawość i twoje obawy. Odwołały się do twojego poczucia odpowiedzialności, sprawiły, że poczułaś się winna, iż uciekłaś na Kaladan. I ukazały ci perspektywę ocalenia wnuków.

Jessika patrzyła na niego w milczeniu. Mówił, jak gdyby był świadkiem naładowanych emocjami spotkań z Cenzorkami zakonu żeńskiego. Poczuła się doszczętnie pokonana siłą jego argumentów i zaczęła na poważnie rozważać możliwość, że Leto mówi prawdę, twierdząc, iż Alia planuje porwanie.

— Widzisz, babciu, muszę podjąć ciężką decyzję — powiedział. — Czy podporządkować się mistyce Atrydów? Czy żyć dla moich poddanych… i umrzeć za nich? Czy wybrać inną drogę — tę, która pozwoli mi żyć tysiące lat?

Jessika mimowolnie się wzdrygnęła. Słowa wypowiedziane tak łatwo dotyczyły tematu, który był starannie unikany przez Bene Gesserit. Wiele Matek Wielebnych mogło skorzystać z tej drogi… lub przynajmniej spróbować. Dla nowicjuszek zakonu dostępne były manipulacje chemią organizmu, gdyby jednak chociaż jedna się na to zdecydowała, wcześniej czy później wszystkie poszłyby jej śladem. Nie udałoby się ukryć tego procederu przed oczami z zewnątrz, a wiedziały na pewno, że obranie takiej drogi sprowadziłoby na zakon zagładę. Krótko żyjąca ludzkość obróciłaby się przeciw nim.

— Nie podoba mi się kierunek, w jakim zdążają twe myśli — powiedziała Jessika.

— Bo ich nie rozumiesz — odparł. — Ghania i ja… — Potrząsnął głową. — Alia odrzuciła tę drogę.

— Jesteś pewien? Wysłałam już wiadomość do zakonu, że Alia praktykuje to, co nie do pomyślenia. Spójrz na nią! Nie postarzała się ani o dzień od dnia, kiedy ostatni raz ją…

— Ach…! — Przerwał jej, machając ręką. — Ja mówię o czym innym, o tym, jak perfekcyjnie utrzymuje się poza granicami tego, co kiedykolwiek osiągnęły istoty ludzkie.

Jessika zamilkła, przerażona. Jak łatwo sprawił, że się zdradziła, iż wysłała wiadomość! Wiedział z pewnością, że ta wiadomość oznacza wyrok śmierci na Alię. I bez względu na to, w jakie oblekłaby ją słowa, ich sens sprowadzał się do opisu tego samego występku. Czy nie wiedział, czym groziło ich wypowiedzenie?

— Mów jaśniej — powiedziała w końcu.

— Jak? — zapytał. — Dopóki nie zrozumiesz, że Czas nie jest tym, czym się wydaje, nie mogę ci nawet zacząć wyjaśniać. Mój ojciec to podejrzewał. Znalazł się na granicy zrozumienia, ale mu się nie udało. Teraz należy to do mnie i Ghani.

— Nalegam, żebyś wyjaśnił — powiedziała Jessika, a jej palec powędrował w pobliże zatrutej igły, którą trzymała pod fałdą szaty. Gom dżabbar, tak śmiertelny, że najlżejsze tknięcie jego ostrza zabijało w ciągu paru sekund.

„Ostrzegły mnie, że może będę musiała tego użyć”. Myśl ta wprawiła mięśnie jej ramion w narastające falami drżenie.

— Dobrze — westchnął. — Po pierwsze, nie ma różnicy między dziesięcioma tysiącami lat a rokiem; nie ma różnicy między tysiącem lat a uderzeniem serca. Nie ma różnicy. Oto pierwszy fakt dotyczący Czasu. I drugi: cały wszechświat z całym jego czasem jest wewnątrz mnie.

— Co to za brednie? — zapytała z naciskiem.

— Widzisz? Nie rozumiesz. Postaram się więc wyjaśnić to w inny sposób. — Podniósł dłoń, by gestami ilustrować słowa. — Poruszamy się naprzód, cofamy się.

— Ależ w ten sposób niczego mi nie wyjaśniasz!

— Masz słuszność — rzekł. — Są sprawy, których nie można wytłumaczyć słowami. Można je pojąć tylko poprzez doświadczenie. Nie jesteś przygotowana na coś takiego, podobnie jak nie widzisz mnie, gdy na mnie patrzysz.

— Ale… patrzę prosto na ciebie. Oczywiście, że cię widzę! — Wpatrywała się w niego. To, co usłyszała, odzwierciedlało wiedzę z Kodeksu Zensunnitów, którego uczyła się w szkołach Bene Gesserit, i było grą słów w celu zmącenia czyjegoś rozumienia filozofii.

— Na pewne rzeczy nie ma się wpływu — powiedział.

— I jak wyjaśnisz tę… tę doskonałość, która tak daleko przekracza doznania reszty ludzkości?

— Jeżeli odwleka się starość czy śmierć przez zażywanie melanżu lub wyuczoną kontrolę biochemicznej równowagi, której wy, Bene Gesserit, słusznie się obawiacie, taka zwłoka daje jedynie złudzenie sprawowania kontroli. Gdy ktoś przekracza sicz, bez znaczenia jest, czy idzie wolno, czy szybko. Drogę przez czas doświadcza się w duszy.

— Dlaczego żonglujesz słowami? Zjadłam zęby na rozgryzaniu takich nonsensów na długo, zanim narodził się twój ojciec.

— Ale tylko zęby rosną — powiedział.

— To tylko słowa!

— Ach, jesteś bardzo blisko!

— Ha!

— Babciu?

— Tak?

Przez długą chwilę milczał, po czym rzekł:

— Widzisz? Wciąż możesz reagować jak dawniej. — Uśmiechnął się do niej. — Ale nie możesz przeniknąć wzrokiem cieni. Jestem w miejscu — znowu się uśmiechnął — do którego bardzo zbliżył się mój ojciec. Kiedy żył, to żył, ale kiedy umarł, nie udało mu się umrzeć.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Pokaż mi jego ciało!

— Myślisz, że Kaznodzieja jest…

— Możliwe, lecz jeżeli nawet tak, to nie jest jego ciało.

— Nic nie wyjaśniłeś — oskarżyła go.

— Uprzedzałem cię.

— Po co więc…

— Pytałaś. Musiałem ci to udowodnić. Teraz wróćmy do sprawy Alii i jej planu porwania…

— Planujesz to, co nie do pomyślenia? — zapytała z naciskiem, nieco wysuwając przygotowany trujący gom dżabbar spod szaty.

— Będziesz jej katem? — zapytał zwodniczo łagodnym głosem i wskazał na palce, które trzymała pod szatą. — Sądzisz, że ona pozwoli ci tego użyć? Czy myślisz może, że ja ci na to pozwolę?

Jessika poczuła się nieswojo.

— Nie obawiaj się — kontynuował. — Nie zrobię tego, co nie do pomyślenia. Nie jestem tak głupi. Ale jestem równie wstrząśnięty jak ty. Ośmielasz się osądzać Alię. Oczywiście, że złamała bezcenne przykazania Bene Gesserit! A czego oczekiwałaś? Uciekłaś od niej, zostawiłaś ją tu jako królową, ze wszystkim, prócz tytułu. Z całą władzą! Wróciłaś na Kaladan, by leczyć rany w ramionach Gurneya. Zupełnie nieźle. Ale kim jesteś, by osądzać Alię?

— Powiem ci. Nie będę zno…

— Och, zamknij się. — Odwrócił wzrok z niesmakiem, ale słowa wypowiedział w specjalny sposób Bene Gesserit, kontrolującym Głosem. Uciszył ją, jakby zatkał jej usta dłonią.

„Kto lepiej wie, jak uderzyć we mnie Głosem, niż ten tutaj?!" — pomyślała. Uśmierzający argument złagodził zranione uczucia. Po wielokrotnym korzystaniu z Głosu w stosunku do innych nie spodziewała się, że jest nań podatna… nigdy więcej… nie od czasu pobytu w szkole, gdy…

Leto odwrócił się do niej plecami.

— Przepraszam. Po prostu wiem, jak ślepej reakcji można się po tobie spodziewać, jeśli…

— Ślepej? Po mnie? — To stwierdzenie zirytowało ją bardziej, niż subtelne zastosowanie Głosu.

— Po tobie — powiedział. — Ślepej. Jeżeli w ogóle zostało w tobie trochę uczciwości, sama masz tego świadomość. Wypowiadam twoje imię, a ty mówisz: „Tak?" Uciszam twój język. Wywołuję wszystkie mity Bene Gesserit. Spójrz w siebie w sposób, jakiego cię nauczono. To przynajmniej jest coś, co możesz zrobić dla swojego…

— Jak śmiesz! Co wiesz o… — zawiesiła głos. Oczywiście, że wiedział!

— Mówię: spójrz w siebie! — powiedział rozkazująco.

Znowu była zniewolona. Czuła, jak zmysły zamierają… oddech staje się szybszy… Tuż poza polem świadomości przyczaiło się łomoczące serce, brak tchu… Nagle zrozumiała, że wyraźnie widać przyspieszony oddech, bicie serca, że wymknęły się one spod kontroli uzyskanej w toku szkolenia Bene Gesserit. Z oczyma rozszerzonymi ze

zdumienia poczuła, że jej ciało podporządkowuje się obcej woli. Powoli odzyskała spokój, ale nie odzyskała uprzedniej równowagi. To nie-dziecko grało na niej podczas całej rozmowy, jak na wyrafinowanym instrumencie.

— Teraz wiesz, jak zostałaś uwarunkowana przez nieocenione Bene Gesserit — powiedział.

Mogła jedynie przytaknąć. Jej wiara w słowa legła w gruzach. Leto zmusił ją do spojrzenia fizycznemu wszechświatowi w twarz. Jessika wyszła z tej konfrontacji wstrząśnięta, jej świadomość znalazła się na zupełnie nowej drodze. „Pokaż mi jego ciało!" Pokazał jej własne ciało, jakby było ciałem noworodka. Od czasu szkolenia na Wallach, od tych przerażających dni, nim przyszli po nią agenci handlowi księcia, nie czuła tak drążącej niepewności.

— Zostaniesz porwana — rzekł Leto.

— Ale…

— Nie proszę cię o zgodę — powiedział. — Traktuj to jako rozkaz swojego księcia. Kiedy nadejdzie pora, pojmiesz przyczynę. Czeka cię konfrontacja z bardzo interesującym uczniem. — Wstał, skinął głową i dodał: — Pewne działania mają koniec, ale nie mają początku. Inne zaczynają się, ale nie kończą. Wszystko zależy od tego, gdzie znajduje się obserwator.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

W drugim przedsionku Leto spotkał Ghanie spieszącą ku ich osobistym komnatom. Zatrzymała się, gdy go tylko ujrzała.

— Alia jest zajęta Konwokacją Wiernych — powiedziała i rzuciła pytające spojrzenie na przejście prowadzące do kwatery Jessiki.

— Udało się — powiedział Leto.

Istota okrucieństwa jest rozpoznawana zarówno przez ofiarę, jak ł przez oprawcę — przez wszystkich, którzy o nim wiedzą, bez względu na odległość. Dla okrucieństwa nie ma usprawiedliwień, żadnych okoliczności łagodzących. Okrucieństwo nigdy nie równoważy ani nie prostuje przeszłości. Okrucieństwo uzbraja jedynie przyszłość w nowe okrucieństwo. Jest ono samonapedzającą się siłą — barbarzyńską postacią kazirodztwa. Ktokolwiek popełnia okrucieństwo, popełnia również okrucieństwa przez nie zrodzone.

„Apokryfy Muad'Diba"

Wkrótce po południu, gdy większość pielgrzymów oddaliła się, by odpocząć w jakimś chłodnym, ocienionym miejscu, na wielkim placu pod Świątynią Alii pojawił się Kaznodzieja. Szedł wsparty o ramię młodego Assana Tariqa. W kieszeni pod powiewającą szatą Kaznodzieja niósł czarną, przypominającą gazę maskę, którą miał na sobie na Salusa Secundus. Bawiła go myśl, że maska i chłopiec służyły temu samemu celowi — sprawianiu pozorów. Wszyscy byli pełni wątpliwości co do tego, czy potrzebował maski.

„Niech mit rośnie, a niepewność wraz z nim" — pomyślał.

Nikt nie miał prawa odkryć, że ta maska nie ma nic wspólnego z wyrobami Ixiańskich uczonych. Jego ręce nie wolno było ześlizgnąć się z kościstego barku Assana Tariqa. Niech Kaznodzieja choć raz stąpnie tak, jak gdyby widział mimo okaleczonych oczodołów, a wątpliwości się rozproszą. Wątła nadzieja, którą pielęgnował, pierzchłaby w okamgnieniu. Każdego dnia modlił się o zmianę, o jakiś drobiazg, na którym mógłby się potknąć, lecz nawet Salusa Secundus była pyłkiem, którego każdy aspekt był mu znany. Nic się nie zmieniło, nic nie mogło być zmienione… Jeszcze nie teraz.

Wielu ludzi spostrzegło jego przejście w pobliżu sklepów i arkad, zauważyło sposób, w jaki odwracał głowę z boku na bok, kierując ją nieustannie ku otwartym drzwiom lub ludziom. Ruchy głowy nie zawsze były naturalne dla ślepca i to przyczyniało się do narastania mitu.

Alia wyglądała przez ukrytą szczelinę w murze Świątyni. Szukała w tym pokrytym bliznami obliczu daleko w dole jakiegokolwiek znaku — świadectwa tożsamości. Donoszono jej o każdej plotce.

Sądziła, że rozkaz pochwycenia Kaznodziei pozostanie tajemnicą, ale powrócił do niej jako plotka. Nawet wśród strażników ktoś nie zdołał zachować milczenia. Miała nadzieję, że usłuchają nowych rozkazów i nie pochwycą tej owiniętej w szatę postaci w jakimś publicznym miejscu, gdzie każdy mógłby to zobaczyć.

Nasycony kurzem upał wisiał nad placem. Młody przewodnik Kaznodziei naciągnął na nos skraj szaty, pozostawiając odkryte jedynie oczy i kawałek czoła. Osłona wybrzuszała się zarysem chwytowodu filtrfraka. Alia domyśliła się, że przyszli z pustyni. Gdzie się kryli?

Kaznodzieja nie miał żadnej osłony przed prażącym słońcem. Odrzucił nawet końcówkę chwytowodu filtrfraka. Nic nie chroniło jego twarzy przed oślepiającym blaskiem dnia i powietrzem drżącym od żaru, sprawiającymi, że bloki bruku na placu wydawały się rytmicznie falować.

Przy stopniach Świątyni stała grupka dziewięciu pielgrzymów oddających hołd przed opuszczeniem sanktuarium. Na ocienionym

krańcu placu było jeszcze może z pięćdziesiąt osób, w większości wiernych poddających się rozmaitym rytuałom, narzuconym przez kapłaństwo. Pośród obserwatorów widać było pomocników kilku handlarzy, którzy nie sprzedali jeszcze tyle, by zwinąć interes na porę najgorszego upału.

Wyglądając przez szczelinę, Alia czuła morderczy upał i wiedziała, że wpadła w lukę między myśleniem a odczuwaniem w sposób, w jaki często zdarzało się to jej bratu. Pokusa zasięgnięcia rady wewnątrz siebie krążyła jej uparcie po głowie jak złowieszczy sęp nad wyczerpanym wędrowcem. Był w niej baron: lojalny, lecz zawsze gotów bawić się kosztem jej przerażenia, gdy racjonalny osąd zawodził, a rzeczy wokół traciły przynależność do przeszłości, teraźniejszości bądź przyszłości.

„A jeżeli to Paul jest na dole?" — zadała sobie pytanie.

— Absurd — powiedział głos z wewnątrz.

Nie mogła jednak wątpić w doniesienia o przemowach Kaznodziei. Herezja! Przerażała ją myśl, że Paul sam mógł burzyć konstrukcję stworzoną wokół swojego imienia.

Dlaczego nie?

Wróciła myślami do zjadliwych słów wypowiedzianych przez siebie na Radzie tego ranka, skierowanych do Irulany, która nalegała na przyjęcie strojów podarowanych przez ród Corrinów.

„Podarunki dla bliźniąt zostaną dokładnie zbadane, tak jak zawsze „- argumentowała Irulana.

„A jeśli stwierdzimy, że są nieszkodliwe?" — zapytała Alia.

W pewien sposób byłaby to najbardziej przerażająca ewentualność: stwierdzić, że dary nie niosą żadnego zagrożenia.

Wreszcie zdecydowali się przyjąć drogocenne stroje i przeszli do innego tematu: czy lady Jessika ma otrzymać stanowisko w Radzie? Alia zdołała odwlec głosowanie.

Myślała o tym ciągle, spoglądając w dół na Kaznodzieję.

Wszystko, co działo się teraz, podczas jej Regencji, wyglądało jak odwrotność postępu, który narzucili kiedyś tej planecie. Diuna symbolizowała niegdyś władzę absolutną pustyni. Moc ta materialnie zanikała, lecz stopniowo narastał jej mit. Pozostała pustynia — ocean obrzeżony ciernistymi krzewami, wielka planetarna Matka Pustynia, którą Fremeni wciąż nazywali Królową Nocy. Za kolczastymi zaroślami wyrosły łagodne, zielone wzgórza, opadające ku piaskom. Wszystkie były dziełem człowieka. Nawet najmniejsze zostały obsiane przez ludzi pracujących jak niezmordowane mrówki. Zieleń wzgórz przytłaczała tych, którzy wychowali się jak Alia w tradycji krainy, na którą cień rzucały wydmy. W jej myślach i w myślach wszystkich Fremenów pustynia-ocean wciąż trzymała Diunę w swym uścisku, który miał się nigdy nie rozluźnić. By ujrzeć pustynię, wystarczyło

tylko zamknąć oczy.

Otwarte oczy widziały na jej skraju zieleniące się pagórki, błotnisty muł wyciągający zielone nibynóżki w stronę piasków — lecz pustynia pozostawała równie potężna jak zawsze.

Alia potrząsnęła głową i spojrzała na Kaznodzieję.

Wspiął się na pierwszy z układających się tarasami stopni przed Świątynią i zwrócił twarz ku prawie opustoszałemu placowi. Alia dotknęła guzika obok okna, który wzmacniał głosy z dołu. Poczuła falę litości dla siebie, oczami wyobraźni widząc, jak siedzi tu w samotności. Komu mogła ufać? Na Stilgarze można było jeszcze polegać, lecz on także został już naznaczony przez ślepca.

„Wiesz, jak on liczy?" — zapytał ją kiedyś Stilgar. „Słyszałem, jak liczył monety, płacąc przewodnikowi. To było bardzo dziwne, dla moich fremeńskich uszu wręcz przerażające. Liczył: 'shuc, ishcai, qimsa, chuascu, picha, sucta i tak dalej. Od dawna nie słyszałem, żeby ktoś liczył w ten sposób „.

Alia zrozumiała, że Stilgara nie można było wykorzystać do zadań, których wykonanie stało się koniecznością. Musiała być przezorna w rozmowach ze strażą, gdzie najbardziej nawet płoche słowo Regentki mogło w każdej chwili stać się absolutnym rozkazem.

O co właściwie chodziło temu Kaznodziei?

Otaczające plac stragany, mieszczące się pod ochraniającymi je balkonami i wysklepionymi arkadami, wciąż przedstawiały typowy, bajecznie kolorowy widok: handlarze rozłożyli wystawy, pozostawiając kilku chłopaków do ich pilnowania. Paru przekupniów ociągało się jeszcze, węsząc za walutą sucharów z przyprawą z głębi kraju, czy brzękiem w kieszeniach pielgrzymów.

Alia studiowała plecy Kaznodziei. Wydawał się być gotowy do przemowy, lecz coś sprawiało, że nie zaczynał.

„Dlaczego sterczę tu i gapię się na tę ruinę w starczym ciele? — zapytywała się. — Ten zdechły wrak tam w dole nie może być Naczyniem Dostojeństwa, którym kiedyś był mój brat".

Opanowała ją frustracja graniczącą z gniewem. Jak mogła odkryć, kim był Kaznodzieja, odkryć na pewno, bez odkrywania! Czuła się schwytana w pułapkę.

Irulana coś rozumiała. Zrezygnowała ze sławnej pozy Bene Gesserit i krzyknęła na Radzie: „Utraciliśmy zdolność dobrego mniemania o sobie!"

Dżawid miał rację. Jakie miało znaczenie to, co o sobie myślą? Jedyną istotną sprawą było utrzymanie imperialnej władzy.

Ale Irulana, odzyskując spokój, powiedziała jeszcze bardziej demaskatorsko: „Mówię wam, że straciliśmy coś niezbędnego do przetrwania. Utraciliśmy zdolność podejmowania trafnych decyzji Wykonujemy przypadkowe posunięcia — albo czekamy bez końca, co

jest rodzajem poddania się, pozwalającym innym sterować nami Czy wszyscy już zapomnieli, że to właśnie my wprawiliśmy to wszystko w ruch?"

Nie zastanawiano się już, czy przyjąć dar rodu Corrinów.

„Trzeba usunąć Irulanę" — zdecydowała Alia.

Na co czeka starzec tam w dole? Nazywa siebie Kaznodzieją. Więc dlaczego nie wygłasza kazania?

„Irulana nie miała racji — pomyślała Alia. — Wciąż potrafię słusznie decydować!" Osoba rozstrzygająca kwestie życia i śmierci musiała je podejmować, inaczej stałaby się czymś w rodzaju wahadła. Paul zawsze mawiał, że stan równowagi jest najbardziej niebezpieczną z nienaturalnych rzeczy. Jedyną trwałością była płynność, zmienność. Tylko zmiany coś znaczyły.

„Pokażę im zmianę" — postanowiła. Dotknęła czoła.

Kaznodzieja podniósł ramię w geście błogosławieństwa.

Kilku z tych, którzy pozostali na placu, przysunęło się do niego, a Alia zauważyła powolność, z jaką to czynili. Tak, krążyły plotki, że Kaznodzieja wywołuje niezadowolenie Alii. Nachyliła się bliżej ixiańskiego głośnika obok szczeliny w murze. Głośnik przekazywał pomrukiwanie ludzi na placu, szum wiatru, tarcie stóp o piach.

— Przynoszę wam cztery wiadomości! — rzekł Kaznodzieja. Głos ryknął z głośnika i Alia musiała go ściszyć.

— Każda jest dla innej osoby — powiedział Kaznodzieja. — Pierwsza dla Alii, władczyni tego miejsca. — Wskazał za siebie, w stronę szczeliny. — Przynoszę jej ostrzeżenie: Ty, która w lędźwiach nosiłaś sekret trwania, zaprzedałaś przyszłość za pustą sakwę!

„Jak on śmie?" — pomyślała Alia, ale zmroziły ją jego słowa.

— Moja druga wiadomość — kontynuował Kaznodzieja — jest dla Stilgara, naiba Fremenów, który wierzy, że potrafi przenieść potęgę plemienia na potęgę Imperium. Moje ostrzeżenie dla ciebie, Stilgar: Najbardziej niebezpiecznym ze wszystkich tworów jest ścisły kodeks etyczny. Zwróci się on przeciw tobie i sprowadzi na ciebie wygnanie.

„Posunął się za daleko — pomyślała Alia. — Wyślę po niego straże bez względu na konsekwencje". Lecz jej ręce pozostały opuszczone wzdłuż boków.

Kaznodzieja odwrócił twarz ku pustyni, wspiął się na drugi stopień i raz jeszcze zwrócił się w stronę placu, cały czas trzymając lewą dłoń na ramieniu przewodnika.

— Trzecia wiadomość dotyczy księżnej Irulany! — zawołał. — Księżno! Upokorzenie jest czymś, czego nikt nie potrafi zapomnieć. Ostrzegam cię: uciekaj!

„Co on mówi? — zadała sobie pytanie Alia. — Upokorzyła nas, to prawda, ale… Dlaczego ją ostrzega, żeby uciekła? Dopiero co podjęłam decyzję!" Dreszcz lęku przeszył Alię. Skąd Kaznodzieja to

wiedział?

— Czwarta jest dla Duncana Idaho! — krzyknął. — Duncan! Nauczono cię wierzyć, że lojalność zaskarbia lojalność. Ooch, Duncan, nie wierz w historię, bo historia jest wprawiana w ruch przez wszystko, co da się wymienić na pieniądze. Duncan! Pogódź się z rogami i rób to, co potrafisz robić najlepiej.

Alia przygryzła grzbiet prawej dłoni. „Rogi!" Chciała nacisnąć guzik, który przywołałby straże, lecz ręka odmówiła jej posłuszeństwa.

— Teraz kazanie dla was — rzekł Kaznodzieja. — Kieruję je do uszu kapłaństwa Muad'Diba, tych, którzy praktykują ekumenizm miecza. Ooch, wy, wierzący w objawienie przeznaczenia! Czyż nie wiecie, że objawione przeznaczenie ma piekielne oblicze? Krzyczycie, że jesteście wywyższeni, że żyjecie w błogosławionym pokoleniu Muad'Diba. Miłość została w waszej religii zastąpiona przez świętość. Igracie z zemstą pustyni!

Kaznodzieja opuścił głowę, jak gdyby się modlił.

Alia poczuła, że drży. Na Boga! Ten głos! Zdarty przez lata i palący piasek, mógł wszak być pozostałością głosu Paula.

Raz jeszcze Kaznodzieja podniósł głowę. Słowa zagrzmiały nad placem, na którym zbierało się coraz więcej ludzi przyciąganych przez tę osobliwą postać.

— Oto słowa pisma! — zawołał Kaznodzieja. — „Ci, co modlą się o wilgoć na pustyni, potop na nią sprowadzą. Nie umkną przeznaczeniu mimo władz rozumu. Rozum porasta w dumę, a dumny może nie rozpoznać zła, które wyrządził na swej drodze." — Zniżył głos. — Powiedziano o Muad'Dibie, że umarł od przyszłowidzenia, że wiedza o przyszłości zabiła go i przeszedł z rzeczywistego wszechświata do Alam al-Mithal. Powiadam wam, że to tylko złudzenie Mayi. Takie myśli nie mają niezależnego istnienia. Nie mogą wyjść z was i dokonywać realnych czynów. Muad'Dib powiedział o sobie, że nie posiadł magii Rihani i nie potrafił rozszyfrować wszechświata. Nie wątpcie w jego słowa.

Kaznodzieja znowu uniósł ramiona. Mówił tak podniesionym głosem, że teraz był to stentorowy krzyk:

— Ostrzegam kapłaństwo Muad'Diba! Ogień na urwisku spali was! Ci, którzy zbyt dobrze nauczyli się oszukiwać samych siebie, zginą od tego oszustwa. Nie można oczyścić się z krwi brata!

Opuścił ramiona, odnalazł młodego przewodnika i zaczął odchodzić, zanim Alia zdołała wyrwać się z drżącego bezwładu, który ją ogarnął. Co za bezczelne herezje! To mógłby być Paul… Musi ostrzec straże. Nikt dotychczas nie odważył się otwarcie wystąpić przeciwko Kaznodziei. Wydarzenia na placu to potwierdzały.

Mimo głoszonej herezji nikt nie poruszył się, by zatrzymać odchodzącego starca, żaden ze strażników Świątyni nie rzucił się, by

go ścigać. Żaden z pielgrzymów nie spróbował przeciąć mu drogi. Ślepiec miał charyzmę! Każdy, kto go widział bądź słyszał, czuł promieniującą odeń siłę — odbicie daru ducha.

Alii nagle zrobiło się zimno. Niemal fizycznie odczuwała wątłość swej władzy w Imperium. Zrównoważenie wpływów Landsraadu, KHOAM i Fremenów stanowiło bazę jej sprawowania, podczas gdy Gildia Planetarna i Bene Gesserit wciąż działały w cieniu. Zakazane technologie, przeciekające z krańców najdalszej migracji rodzaju ludzkiego, uszczuplały centralny system rządów. Dopuszczenie produktów z Ix i Tleilaxu nie zdołało złagodzić napięcia. A z boku stał ciągle Farad'n z rodu Corrinów, dziedzic tytułów i roszczeń Szaddama IV.

Bez Fremenów, bez monopolu rodu Atrydów na geriatryczną przyprawę straciłaby siłę. Cała władza rozproszyłaby się; już teraz czuła, jak się jej wymyka. Ludzie dawali posłuch słowom Kaznodziei. Usunięcie go mogło okazać się niebezpieczne. Równie niebezpieczne, jak pozwolenie na wygłaszanie kazań o takiej treści, jak słowa, które wykrzykiwał dziś na placu. Dostrzegała pierwsze oznaki upadku, a istota problemu rysowała się jasno w jej umyśle. Bene Gesserit ujęły go w regułę:

„Olbrzymia populacja, utrzymywana pod kontrolą przez szczupłą, lecz potężną siłę, jest w naszym wszechświecie zjawiskiem powszechnie spotykanym. Znamy główne przyczyny, pod wpływem których populacja może zwrócić się przeciw władcom.

Po pierwsze: gdy znajdzie przywódcę. Jest to najbardziej nieuchwytne zagrożenie dla posiadających władzę. Muszą oni mieć kontrolę nad przywódcami ludu.

Po drugie: kiedy populacja rozpoznaje krępujące ją więzy. Należy utrzymywać ją w ślepocie i nie dopuszczać do stawiania pytań.

Po trzecie: gdy ludność zyskuje nadzieję na zrzucenie więzów. Nie wolno jej nawet marzyć, że jest to możliwe".

Alia potrząsnęła głową, czując, jak jej policzki drżą przy tym ruchu. Pojawiły się już pierwsze symptomy chaosu. Raporty otrzymywane od szpiegów rozsianych po Imperium umacniały jej niepokój. Niekończące się działania wojenne Dżihad Fremenów wszędzie pozostawiały krwawe znaki. Gdziekolwiek zjawił się „ekumenizm miecza", ludzie przybierali postawę podbitej ludności — stawali się skryci, defensywni, wymykali się z rąk. Wszelkie przejawy władzy imperialnej — a oznaczało to przede wszystkim władzę religijną — stawały się przedmiotem sprzeciwu. Och, pielgrzymi wciąż zjawiali się mnogimi milionami, a niektórzy z nich pewnie byli gorliwi i szczerzy. Znacznie częściej pielgrzymka stanowiła jednak pewną gwarancję na przyszłość. Podkreślała posłuszeństwo i dawała realną formę władzy, którą łatwo można było obrócić w bogactwo. Hadżi,

którzy powracali z Arrakis, trafiali od razu na nowe stanowiska i zyskiwali wyższy status społeczny. Mogli przeprowadzać zyskowne operacje finansowe, których nie ośmielali się podejmować ludzie przywiązani do rodzinnej planety.

Alia znała popularną zagadkę: „Co widać w pustej sakiewce, przywiezionej z powrotem z Diuny?" I odpowiedź:,,Oczy Muad'Diba (ogniste diamenty)".

Szybko przebiegła myślami tradycyjne sposoby wychodzenia z podobnych sytuacji: należy nauczyć ludzi, że opozycja będzie karana, a sprzyjanie władzy zawsze nagradzane. Zaciąg do wojsk Imperium trzeba prowadzić w sposób losowy. Każde posunięcie, będące środkiem mającym zapobiec potencjalnemu atakowi, wymaga starannego skoordynowania w czasie, by nie dać opozycji okrzepnąć.

„Czy straciłam zdolność koordynacji?" — zastanawiała się. — Po co te czcze spekulacje? — zapytał głos wewnątrz niej. Czuła, że się uspokaja. Tak, plan barona był dobry. „Wyeliminujemy zagrożenie ze strony lady Jessiki i jednocześnie zdyskredytujemy ród Corrinów. Tak."

Z Kaznodzieją zrobi się coś później. Rozumiała jego postawę, jego symbolika była oczywista. Sędziwe widmo swobodnych spekulacji, żywy duch herezji, działający na pustyni ortodoksji. W tym tkwiła jego siła. Nie miało znaczenia, czy to jest Paul… Tak długo, dopóki można było mieć co do tego wątpliwości. Doświadczenie Bene Gesserit mówiło jej zaś, że w jego sile ukryła się jego słabość.

„Kaznodzieja ma skazę, którą odnajdziemy — pomyślała. — Naślę szpiegów, którzy będą obserwować każdy jego ruch. A jeśli nadarzy się okazja…"

Nie będę się spierał z Fremenami, którzy twierdzą, że Bóg ich natchnął, by przekazywali religijne objawienia. Ale ich ambicja, by dostępować epifanii prowokuje mnie, by z nich szydzić. Oczywiście, mają nadzieję, że ta podwójna uzurpacja umocni ich pozycją u władzy i pomoże przetrwać we wszechświecie, który uważa Ich za coraz bardziej uciążliwych. W imieniu wszystkich sprzeciwiających się ludzi ostrzegam Fremenów: krótkowzroczny oportunizm na dłuższą metę zawsze zawodzi.

„Kaznodzieja w Arrakin”

Leto i Stilgar wyszli w nocy na wąską półkę znajdującą się na grzbiecie niskiej, skalnej wychodni, którą w siczy Tabr nazywano Świadkiem. W świetle malejącego Drugiego Księżyca z półki rozciągał się panoramiczny widok na Mur Zaporowy z Górą Idaho na północy, Wielką Równinę na południu i ruchome wydmy na wschodzie, w kierunku Grani Habbanja. Niesiony wiatrem pył, następstwo samumu, pokrywał południowy horyzont. Poświata księżyca jak szron zalegała na grzbiecie Muru Zaporowego.

Stilgar przyszedł tu wbrew swej woli, przyłączając się do tajnej wyprawy tylko dlatego, że Leto rozbudził jego ciekawość. Dlaczego trzeba było ryzykować marsz w nocy przez piasek? Chłopak zagroził, że wymknie się i pójdzie sam, jeżeli Stilgar odmówi. Jednakże Stilgar nie przestawał się zamartwiać. Byli łakomymi kąskami dla wrogów, sami, w nocy!

Leto przykucnął na skalnej półce, twarzą na południe, ku równinie. Nagle, jak gdyby ze zmartwienia, poklepał się dłonią po kolanie.

Stilgar czekał. Wyczekiwał w milczeniu, dwa kroki w bok od podopiecznego, z założonymi rękoma. Jego szata lekko powiewała w podmuchach nocnego wiatru.

Dla Leto marsz przez piach stanowił odpowiedź na trapiącą go depresję, na potrzebę znalezienia nowej równowagi w życiu, na nieujawniony konflikt, którego Ghanima nie mogła dłużej znieść. Wyciągnął Stilgara na tę wyprawę, ponieważ były sprawy, o których ten musiał się dowiedzieć, by przygotować się do nadchodzących wydarzeń.

Leto znowu poklepał się po kolanie. Czasami utożsamiał się z niezmierzonym tłumem niezliczonych innych istnień, tak rzeczywistych i bliskich jak jego własne. Ich strumieniowi nie było końca, żadnego podsumowania — tylko wieczny początek. Mogły uformować tłum wrzeszczący na niego, jak gdyby był pojedynczym oknem, przez które każdy chciał wyjrzeć. Temu niebezpieczeństwu uległa Alia.

Leto patrzył w dal, na światło księżyca, wysrebrzone przez pozostałości po burzy. Fałdy i zmarszczki na wydmach rozciągały się na wszystkie strony: krzemowy pył niesiony przez wiatr, wzbierający w fale, piach jak ziarna grochu, piach jak pył, kamyki. Poczuł, że nadeszła jedna z tych chwil przed świtem, gdy doznaje się stanu zawieszenia. Czas naglił. Był już miesiąc Akkad, a mimo to nie kończyło się oczekiwanie: długie, gorące dni upływały na zmianę z nocami takimi jak ta, zacierając się w porywach wiatru ciągnącego od strony wypalonych ziem Jastrzębiego Blechu. Obejrzał się przez ramię na oświetloną przez gwiazdy, połamaną linię Muru Zaporowego. Za tym murem, w Niecce Północnej, znajdowało się ognisko jego zmartwień.

Raz jeszcze utkwił wzrok w pustyni. Gdy tak wpatrywał się w gorącą ciemność, zaświtał dzień i słońce zaczęło wynurzać się z pasm pyłu, nadając jasny odcień czerwonym strumieniom burzy. Zamknął oczy, pragnąc ujrzeć, jak wyglądać będzie ten dzień w Arrakin, i jego świadomość wypełnił obraz miasta: nieruchomy kadr przedstawiający domy rozrzucone jak pudełka wśród świateł i świeżych cieni. Pustynia… pudełka… pustynia… pudełka…

Gdy otworzył oczy, pustynia nie zniknęła: wygarbowana przestrzeń przemielonego przez wiatr piasku ciągnęła się we wszystkich kierunkach. Gęste, oleiste cienie wybiegające spod wydm układały się niczym promienie właśnie minionej nocy. Łączyły jeden czas z innym. Przykucnięty nie przestawał myśleć o nocy, a za jego plecami niespokojny, starzejący się Stilgar zamartwiał się jego milczeniem i nie wyjaśnionymi przyczynami wyprawy w to miejsce. Stilgar musiał mieć wiele wspomnień z wcześniejszych marszów tą trasą, odbytych wraz ze swoim ukochanym Muad'Dibem. Nawet teraz nieustannie rozglądał się dookoła, czujnie wypatrując niebezpieczeństwa. Nie lubił przebywać na otwartym terenie w świetle dnia. Pod tym względem był autentycznym, dawnym Fremenem.

Myśli Leto niechętnie oderwały się od kontemplacji nocy i mozolnego wysiłku przy pokonywaniu piasków. Gdy dotarli tu, znaleźli się w prawie zupełnej ciszy i ciemności panujących wśród skał. Chłopiec podzielał obawę Stilgara przed światłem dnia.

Czerń była czymś jednorodnym, nawet jeśli kryła kłębowisko

okropności. Światłem mogło być wiele rzeczy. W nocy lęki miały swoje zapachy, a jego twory skradały się szeleszcząc. W nocy wymiary oddzielały się od siebie, wszystko się wzmacniało — kolce były ostrzejsze, ostrza bardziej tnące, lecz groza dnia mogła być gorsza.

Stilgar chrząknął.

Leto przemówił, nie odwracając się:

— Mam bardzo poważny problem, Stil.

— Tak przypuszczałem — odrzekł cicho Stilgar. Leto niepokojąco przypominał mu Paula. Wyczuwał w tym coś z zakazanej magii, trącającej w nim strunę odrazy. Fremeni znali okropieństwo Opętania. Tych, u których stwierdzono Opętanie, w myśl prawa zabijano, a ich wodę wylewano na piach, by nie skaziła zbiornika plemienia. Martwy powinien pozostać martwym. Chwalebne było odnalezienie cech rodziców w potomstwie, ale dzieci nie miały prawa zupełnie upodabniać się do przodków.

— Martwi mnie, że ojciec pozostawił tak wiele rzeczy nie dokończonych — powiedział Leto. — Zwłaszcza, jeśli chodzi o cel istnienia. Imperium nie może działać w ten sposób, Stilgar, istnieć nie nadając ludzkiemu życiu właściwego celu. Mówię o życiu, rozumiesz? Życiu, nie śmierci.

— Kiedy twój ojciec nie dawał sobie rady ze swoją wizją, mówił podobnie — odparł Stilgar.

Leto czuł, że kusi go, by rozwiać strach Fremena jakąś kapryśną propozycją, na przykład sugestią, by złamali post. Uświadomił sobie, że jest bardzo głodny. Nie jedli od południa poprzedniego dnia, ponieważ Leto nalegał na poszczenie w nocy. Jednak teraz ssał go inny głód.

„Kłopot z moim życiem, to kłopot z tym miejscem — pomyślał Leto. — Nie ma tu nic, co byłoby przed nami. Cofam się bez końca, dopóki nie znikną odległości, i nie mogę dostrzec horyzontu, nie mogę dostrzec Grani Habbanja. Nie mogę odnaleźć pierwotnego miejsca próby".

— Nie ma naprawdę niczego, co mogłoby zastąpić przyszłowidzenie — powiedział Leto. — Może powinienem zaryzykować i zażyć przyprawy?

— I zniszczyć się przez to jak twój ojciec!

— Kto wie… — rzekł Leto.

— Pewnego razu Paul zwierzył mi się, że zbyt pełne poznanie przyszłości oznacza uwięzienie w niej, do wykluczenia wszelkiej możliwości dokonania zmiany włącznie.

— Paradoks, na którym polega nasz problem — powiedział Leto. — Przyszłowidzenie to coś jednocześnie delikatnego i potężnego. Przyszłość staje się teraźniejszością. Bycie jednookim w kraju ślepców niesie ze sobą inne zagrożenia. Jeżeli starasz się wyjaśnić ślepcowi to,

co widzisz, zazwyczaj zapominasz o tym, że ślepcy mają wrodzone odruchy, uwarunkowane ślepotą. Przypominają wprawione w ruch gigantyczne maszyny: mają własny moment pędu, swoje własne uwarunkowania. Boję się ślepców, Stil. Boję się ich. Bez trudu mogą zmiażdżyć wszystko na swej drodze.

Stilgar popatrzył na pustynię. Bielejący świt stał się dniem koloru stali.

— Dlaczego tu przyszliśmy? — zapytał.

— Ponieważ chciałem, żebyś zobaczył miejsce, w którym mogę umrzeć.

Stilgar zesztywniał.

— Więc miałeś wizję!

— Może tylko sen.

— Dlaczego przyszliśmy w tak niebezpieczne miejsce? — Stilgar popatrzył z góry na podopiecznego. — Natychmiast wracamy.

— Nie umrę dzisiaj, Stil.

— Nie? Co to była za wizja?

— Widziałem trzy ścieżki — odparł Leto. Zaczął wymieniać głuchym tonem: — W jednej z wersji przyszłości zmuszony jestem zabić naszą babkę.

Stilgar rzucił ostre spojrzenie w tył, ku siczy Tabr, jak gdyby bał się, że lady Jessika może usłyszeć coś przez dzielące ich piaski.

— Dlaczego? — zapytał.

— By zapobiec utracie monopolu na przyprawę.

— Nie rozumiem.

— Ani ja. Lecz tak właśnie myślę we śnie, kiedy używam noża.

— Och! — Stilgar wiedział, jaki użytek można zrobić z noża. Wciągnął głęboko oddech. — A druga ścieżka?

— Ghania i ja zostajemy małżeństwem, by przypieczętować los linii krwi Atrydów.

— Haach! — Jęk Stilgara dawał wyraz jego niesmakowi.

— W starożytnych czasach dla królów i królowych nie było to nic nadzwyczajnego — powiedział Leto. — Ghania i ja zdecydowaliśmy jednak, że tego nie zrobimy.

— Radzę ci, żebyś trzymał się tej decyzji! — W głosie Stilgara zabrzmiała groźba. W myśl Prawa Fremeńskiego kazirodztwo karano powieszeniem na trójnogu śmierci. Odchrząknął i zapytał:

— Jaka jest trzecia ścieżka?

— Muszę pomniejszyć wizerunek ojca do ludzkiej wielkości.

— Muad'Dib był moim przyjacielem — mruknął Stilgar.

— Był twoim bogiem! Muszę go odbóstwić.

Stilgar odwrócił się plecami do pustyni i spojrzał ku oazie, ku ukochanej siczy Tabr. Takie rozmowy zawsze budziły w nim niepokój.

W chwili, gdy Stilgar się odwracał, Leto wyczuł zapach potu.

Naszła go pokusa, by przemilczeć doniosłe sprawy, o których musiał powiedzieć. Mogli przegadać pół dnia, przechodząc od szczegółów do abstrakcji i nie podejmując rzeczywistych decyzji, uchylając się od sprostowania sytuacji, z którą stanęli twarzą w twarz. Nie miał wątpliwości, że ród Corrinów stanowi rzeczywiste zagrożenie dla rzeczywistych ludzi — dla niego i dla Ghani, lecz wszystko, co czynił, musiał najpierw rozważyć i zastanowić się, czy będzie to służyć realizacji jego celów. Stilgar opowiedział się kiedyś za zabiciem Farad'na, namawiając do skrytego zastosowania chaumurky — trucizny podawanej w napoju. Wiedziano o Farad'nie, że ma słabość do słodkich trunków, ale Leto sprzeciwił się.

— Jeżeli zginę, Stil — rzekł Leto — musisz strzec się Alii.

— Dlaczego mówiłeś o śmierci, a teraz o twojej ciotce? — Stilgar był teraz naprawdę rozeźlony. „Zabić lady Jessikę! Strzec się Alii! Umrzeć w tym miejscu!"

— Na jej rozkaz maluczcy zmieniają oblicza — powiedział Leto.

— Władca nie musi być prorokiem, Stil. Nawet nie musi być podobny do boga. Władca musi być wrażliwy. Przyprowadziłem cię ze sobą, by wyjaśnić, czego wymaga Imperium. Wymaga dobrych rządów. To nie zależy od praw czy precedensów, ale od osobistych wartości tego, kto rządzi.

— Regentka radzi sobie zupełnie dobrze z imperialnymi obowiązkami — rzekł Stilgar. — Kiedy osiągniesz pełnoletniość…

— Jestem pełnoletni. W porównaniu ze mną jesteś wierzgającym nóżkami niemowlakiem. Pamiętam czasy sprzed ponad pięćdziesięciu stuleci. Ha! Pamiętam nawet, kiedy my, Fremeni, byliśmy na Thurgrodzie.

— Dlaczego bawisz się swoją pamięcią? — zapytał Stilgar apodyktycznym tonem.

Leto tylko pokiwał głową. Rzeczywiście, dlaczego? Dlaczego przywoływał wspomnienia odległych stuleci? Kłopot stanowili współcześni Fremeni. Większość z nich była wciąż tylko na wpół okiełznanymi dzikusami, skłonnymi śmiać się z gnębionej niewinności.

— Krysnóż rozpada się i znika w chwili śmierci właściciela — rzekł Leto. — Muad'Dib zniknął. Dlaczego Fremeni wciąż jeszcze żyją?

Nastąpiła jedna z tych nagłych zmian toku myślenia, które zbijały z tropu Stilgara. Oniemiał na chwilę. Te słowa coś znaczyły, jednak nie mógł się zorientować, co.

— Oczekuje się, że będę Imperatorem, a muszę być sługą — rzekł Leto. Spojrzał przez ramię na Stilgara. — Dziadek, którego imię noszę, w momencie przybycia na Diunę dodał nowe słowa do swojego herbu: „Tu jestem i tu zostanę".

— Nie miał wyboru — powiedział Stilgar.

— Właśnie, Stil. Ja też nie mam wyboru. Powinienem być

Imperatorem z powodu urodzenia, z powodu intelektu, z powodu wszystkiego, co się we mnie znalazło. Wiem nawet, czego wymaga Imperium: dobrych rządów.

— Naibowie mają takie stare określenie — rzekł Stilgar — „Sługa Siczy".

— Pamiętam twoje nauki, Stil — odparł Leto. — „Dla prawidłowego wyboru władcy plemię musi wiedzieć, jak rozpoznawać ludzi swym życiem dających przykład, jak powinni zachowywać się rządzący".

— Kiedy nadejdzie czas, złożysz Przysięgę Imperialną. Najpierw dowiedź, że potrafisz zachowywać się jak władca — powiedział Stilgar czerpiąc z fremeńskiego doświadczenia.

Leto roześmiał się nieoczekiwanie.

— Wątpisz w moją szczerość, Stil?

— Oczywiście, że nie.

— W moje prawo do tronu?

— Jesteś, kim jesteś.

— A jeżeli zrobię coś, czego się po mnie oczekuje, będzie to miarą mojej szczerości, tak?

— Taka jest fremeńska praktyka.

— Zatem nie mogę okazywać uczuć, które kierują moimi czynami?

— Nie rozumiem, co…

— Jeżeli zawsze będę zachowywać się właściwie, bez względu na to, ile kosztować mnie będzie stłumienie pragnień, to będzie stanowić miarę mojej wartości?

— Taka jest podstawa samokontroli, młodzieńcze.

— Młodzieńcze! — Leto potrząsnął głową. — Aaach, Stil, dajesz klucz do racjonalnej etyki rządzenia. Muszę okazywać stałość, starać się, aby każda moja czynność była zakorzeniona w tradycji.

— Zgadza się.

— Ale moja przeszłość sięga głębiej niż wasza!

— A jaka to różnica…

— Ja nie mam pierwszej osoby liczby pojedynczej, Stil. Jestem wielością osób, mam wspomnienia starsze, niż potrafisz to sobie wyobrazić. Takie jest moje brzemię, Stil. Jestem zorientowany na przeszłość. Jestem obciążony wrodzoną wiedzą, która opiera się nowościom. Zmiany wprowadzone przez Muad'Diba są dla mnie nieważne. — Gestem pokazał pustynię. Jego ramię zatoczyło łuk, by objąć krajobraz za nimi.

Stilgar odwrócił się i spojrzał na Mur Zaporowy. Od czasów Muad'Diba pod murem wybudowano osiedle dające schronienie ekipie planetologów pomagających rozwijać roślinne życie na pustyni. Stilgar łatwo wypatrzył ślady, rezultat działalności człowieka. Zmiana? Tak.

Cechą osady było to, iż domy stały w szeregach. Ta dokładność go przerażała. Stał w milczeniu, ignorując drapanie ziaren piasku pod filtrfrakiem. Osiedle stanowiło obrazę tego, czym była ta planeta. Nagle Stilgar zapragnął, by zawodzący, kołujący wiatr opadł na wydmy i zniszczył to miejsce. Zadygotał na tę myśl.

— Czy zauważyłeś, Stil — powiedział Leto — że te nowe filtrfraki to fuszerka? Zbyt dużo tracą wody.

Stilgar powstrzymał się od pytania: „A nie mówiłem?" W zamian powiedział:

— Nasi ludzie coraz bardziej uzależniają się od pigułek.

Leto pokiwał głową. Pigułki zmieniały temperaturę ciała, redukując straty wilgoci. Były tańsze i łatwiejsze w użyciu niż filtrfraki, ale nakładały na użytkownika inne brzemiona, między innymi powodowały zwolnienie reakcji i okresowe utraty ostrości widzenia.

— Dlatego tu przyszliśmy? — zapytał Stilgar. — Rozmawiać o produkcji filtrfraków?

— Czemu nie? — odpowiedział Leto pytaniem. — Skoro nie chcesz słuchać tego, o czym muszę mówić!

— Czemu nie? — odpowiedział Leto pytaniem. — Skoro nie chcesz słuchać tego, o czym muszę mówić!

— Dlaczego mam się strzec Alii? — Gniew zabarwił mu głos.

— Dlatego, że kusi dawnych Fremenów, namawiając ich do oparcia się zmianom, a sama przyniosłaby zmianę straszliwszą, niż możesz sobie wyobrazić.

— Robisz z igły widły! Jest prawdziwą Fremenką.

— Aach, zatem prawdziwi Fremeni trzymają się dawnych obyczajów? Ja też mam pradawną przeszłość, Stil. Gdybym dał wolną rękę skłonnościom, narzuciłbym społeczeństwu zastój i całkowite uzależnienie od uświęconych obyczajów przeszłości. Kontrolowałbym migrację, tłumacząc to tym, że sprzyja nowym ideom, a nowe idee są zagrożeniem dla samej istoty życia. Każde maleńkie planetarne polis rozwijałoby się po swojemu, stając się tym, czym być by chciało. W końcu Imperium rozpadłoby się, przytłoczone brzmieniem różnic.

Stilgar poczuł suchość w gardle. Te słowa mogłyby wyjść z ust Muad'Diba. Były paradoksalne, przerażające. Ale jeżeli pozwoli się na jakąkolwiek zmianę… Potrząsnął głową.

— Przeszłość może wskazać właściwy kierunek zachowania, jeżeli się nią żyje, Stil, ale okoliczności ulegają zmianom.

Stilgar musiał się z tym zgodzić. Jak więc należało się zachowywać? Spojrzał ponad ramieniem Leto na pustynię, nie dostrzegając jej. Tędy chadzał Muad'Dib. W miarę, jak słońce kontynuowało wspinaczkę, równina stawała się królestwem złotych cieni i purpurowych wirów kamiennego pyłu, zwieńczonych

pióropuszami kurzu. Poznał teraz z daleka pyłową mgłę wiszącą zazwyczaj nad Granią Habbanja. Pustynia ukazywała się jego oczom jako ciąg malejących wydm, krzywizn przechodzących jedna w drugą. Przez przydymiony blask żaru widział rośliny wypełzające na skraj pustyni. Muad'Dib sprawił, że w tym niegościnnym miejscu zakiełkowało życie: miedziane, złote, czerwone kwiaty, kwiaty żółte, rdzawe i brunatne, szarozielone liście, kolce i krzaki dające skąpe, surowe cienie. Narastający żar dnia wprawiał je w falowanie wywołane wibracją powietrza.

Po chwili Stilgar powiedział:

— Jestem przywódcą Fremenów; ty jesteś synem księcia.

— Nie wiedząc co mówisz, powiedziałeś to — rzekł Leto. Stilgar zmarszczył brwi. Kiedyś, dawno temu, Muad'Dib zdeprymował go w ten sam sposób.

— Pamiętasz, prawda, Stil? — spytał Leto. — Byliśmy pod Granią Habbanja i kapitan sardaukarów — pamiętasz go: Aramszam? — zabił przyjaciela, by się uratować. A ty kilka razy tego dnia ostrzegałeś przed pozostawianiem przy życiu sardaukarów, którzy chodzili naszymi tajnymi ścieżkami. Ostatecznie, stwierdziłeś, z pewnością zdradzą wszystko, co widzieli, i należy ich zabić. A mój ojciec powiedział: „Nie wiedząc co mówisz, powiedziałeś to". Poczułeś się dotknięty. Rzekłeś mu, że jesteś tylko zwykłym przywódcą Fremenów i że książęta lepiej się na tym wyznają.

Stilgar spojrzał z góry na Leto. „Byliśmy pod Granią Habbanja! My!" To… to dziecko — wtedy nawet jeszcze nie poczęte — wiedziało, co tam zaszło, znało szczegóły, szczegóły tego rodzaju, które mógł znać tylko ktoś, kto tam był. Miał oto następny dowód, że atrydzkie dzieci nie mogły być oceniane według zwykłych norm.

— Posłuchaj mnie — z naciskiem powiedział Leto. — Jeżeli zginę lub zniknę na pustyni, masz uciec z siczy Tabr. Rozkazuję ci. Zabierz Ghanię i…

— Nie jesteś jeszcze moim księciem! Jesteś dzieckiem!

— Jestem dorosłym w ciele dziecka — powiedział Leto. Wskazał w dół na małą rozpadlinę wśród skał. — Jeżeli umrę, stanie się to w tym miejscu. Zabierz moją siostrę i…

— Podwoję straże — rzekł Stilgar. — Nie przyjdziesz tu więcej. Idziemy stąd, a ty…

— Stil! Nie możesz mnie zatrzymać. Przypomnij sobie raz jeszcze, jak to było pod Granią Habbanja. Pamiętasz? Kombajn gąsienikowy stał zepsuty na piasku, a zbliżał się wielki Stworzyciel. Nic nie mogło uratować sprzętu. Mój ojciec obserwował to zdenerwowany, wiedząc, że nie ocali maszyny. Gurney myślał tylko o ludziach, których straciłby w piaskach. Pamiętasz, co powiedział? „Twój ojciec bardziej by się przejął ludźmi, których nie udało się ocalić". Stil, nakazuję ci

ratować ludzi. Są ważniejsi niż rzeczy. A Gnania jest najcenniejsza ze wszystkich, bo beze mnie jest jedyną nadzieją Atrydów.

— Nie będę tego więcej słuchał — rzekł Stilgar. Odwrócił się i zaczął schodzić ze skał w stronę oazy po drugiej stronie piasków. Usłyszał, że Leto podąża za nim. Po chwili chłopiec dołączył do niego i oglądając się, powiedział:

— Zauważyłeś, Stilgar, jak piękne są młode kobiety tego roku?

> *Życie pojedynczej istoty ludzkiej, tak jak życie rodziny bądź całych narodów, kontynuuje swe trwanie jako pamięć. Ludzie muszą pojąć, że jest to część procesu ich dojrzewania. Lud jest organizmem gromadzącym coraz więcej doświadczeń w podświadomych zasobach zbiorowej pamięci. Rodzaj ludzki ma nadzieję, że zdoła przywołać je wszystkie, jeżeli okażą się potrzebne w zmiennym wszechświecie, lecz wiele z tego, co zostało nagromadzone, może zostać utracone w losowej grze, którą nazywamy przeznaczeniem. Wiele może nie zostać włączone w procesy ewolucyjne i w ten sposób okazać się nieprzydatne w nieustających zmianach środowiska, które odciskają się na społecznościach. Gatunki mogą zapominać! To właśnie jest wyjątkową wartością Kwisatz Haderach, której Bene Gesserit nigdy nie podejrzewały: Kwisatz Haderach nie potrafi zapomnieć.*
>
> *„Księga Leto" według Harq al-Ady*

Stilgar nie bardzo rozumiał rzuconej przez Leto od niechcenia uwagi, lecz wiedział, że jest głęboko niepokojąca. Nurtowała jego świadomość przez całą drogę powrotną do siczy Tabr, wypierając wszystko, co usłyszał od Leto na Świadku.

Rzeczywiście, młode kobiety na Arrakis prezentowały się wyjątkowo pięknie tego roku. Młodzi mężczyźni również. Ich oblicza lśniły pogodnie obfitością wody. Ich oczy patrzyły prosto przed siebie, w dal. Twarzy nie szpeciły ślady po maskach filtrfraków i wężykowe odciśnięcia po chwytowodach. Kobiety nawet na otwartym terenie nie

nosiły filtrfraków, preferując stroje, które — gdy się poruszały — oferowały znikającą w okamgnieniu sugestię spowitych w nie młodych kształtów.

Tego rodzaju ludzkie piękno wtapiało się w tło nowego krajobrazu. W odróżnieniu od dawnej Arrakis można było się na przykład natknąć na czarującą, drobną kępkę zielonych gałązek, wyrastającą spośród czerwonobrunatnych skał. Dawne siczowe drążnie kultury jaskiń-metropolii, hermetyczne dzięki wyszukanym grodziom i pułapkom na wilgoć w każdym wejściu, przeżywały się, ustępując miejsca otwartym osadom, często budowanym z cegieł. Cegieł z mułu!

„Dlaczego pragnąłem zniszczenia tej osady?" — zastanowił się Stilgar. Nastąpił nogą na kamień, na moment tracąc równowagę.

Wiedział, że należy do wymierającej rasy. Starzy Fremeni tracili dech ze zdziwienia nad rozrzutnością nowych mieszkańców planety — marnować wodę na wolnym powietrzu dla niczego więcej, tylko utwardzania produkowanych cegieł! Zasób dla pojedynczej rodziny kiedyś utrzymałby przy życiu całą sicz przez rok.

Budynki miały przezroczyste okna, by wpuszczać do środka gorąco dnia i osuszać ciała ludzi w środku! Takie okna otwierały się na zewnątrz.

Nowi Fremeni, mieszkający w domach z błota, mogli oglądać krajobraz. Nie byli już stłoczeni w zamknięciu siczy. Tam, dokąd podążała wizja, podążała i wyobraźnia. Stilgar to czuł. Wizja łączyła Fremenów z resztą imperialnego wszechświata, przygotowywała ich do życia w nieograniczonej przestrzeni. Byli ongiś przywiązani do ubogiej w wodę Arrakis przez swe zniewolenie, przez gorzkie wymogi codzienności. Nie mieli tej otwartości umysłu, jaka charakteryzowała mieszkańców większości planet Imperium.

Stilgar orientował się, jak zachodzące zmiany kontrastują z jego własnymi lękami i wątpliwościami. Za dawnych czasów Fremen, który rozważał możliwość opuszczenia Arrakis, by zacząć życie na jednej z bogatych w wodę planet, był rzadkością. Nie pozwalano nawet na marzenie o ucieczce.

Obserwował plecy Leto, gdy chłopiec wysunął się naprzód. Leto mówił o ograniczeniu międzyplanetarnych migracji. Dobrze, ale migracja zawsze była rzeczywistością dla większości mieszkańców innych światów. Planetarne zniewolenie osiągnęło szczyt tu, na Arrakis. Fremeni odwrócili się do wszechświata plecami, zabarykadowali w swych umysłach tak, jak zamykali się w jaskiniach-drążniach.

Samo znaczenie pojęcia siczy — miejsca zbiórki w przypadku zagrożenia — stało się symbolem okrutnego ograniczenia swobody całego narodu.

Leto mówił prawdę: Muad'Dib zmienił wszystko.

Stilgar poczuł się zagubiony. Widział, jak rozsypują się dawne wierzenia. Nowa wizja, zwrócona na zewnątrz, stworzyła życie, które pragnęło wyrwać się z więzów.

„Jak piękne są młode kobiety tego roku „.

Dawne obyczaje („moje obyczaje" — przyznawał) zmuszały ludzi do ignorowania całej historii, z wyjątkiem tej, która zwracała się do wewnątrz, ku ich męczeństwu. Fremeni odczytywali historię poprzez straszliwą tułaczkę, ucieczkę przed prześladowaniem, zakończoną kolejnym prześladowaniem. Dawny rząd planetarny działał według ustalonej polityki Imperium. Tłumił zmysł twórczy i wszelkie idee postępu, ewolucji. Rozwój był niebezpieczny dla Imperium i tych, którzy dzierżyli w nim władzę.

Nagle Stilgar uświadomił sobie, że te rzeczy były równie niebezpieczne dla kursu, który wybrała Alia.

Znowu się potknął i został jeszcze bardziej w tyle za Leto.

W dawnych obyczajach i dawnych religiach nie znano pojęcia przyszłości, było tylko nieskończone teraz. Stilgar pojmował, że przed Muad'Dibem Fremeni wierzyli tylko w klęskę, nigdy w możliwość wygranej. No, dobrze… Wierzyli Liet-Kynesowi, ale ten zakładał okres zmian obejmujący czterdzieści pokoleń. Jeszcze jedno eskapistyczne marzenie, a nie żadne osiągnięcie.

Muad'Dib to zmienił!

Podczas Dżihad Fremeni wiele się dowiedzieli o starym Padyszachu Imperatorze, Szaddamie IV. Osiemdziesiąty pierwszy Padyszach z rodu Corrinów, zajmujący Tron Złotego Lwa i władający Imperium złożonym z niezliczonej liczby planet, używał Arrakis jako próbnego poletka dla tych politycznych posunięć, które miał nadzieję wprowadzić wobec reszty Imperium. Jego gubernatorzy planetarni na Arrakis gorliwie popierali pesymizm ogółu, by podeprzeć podstawy swojej władzy. Dokładali wszelkich starań, by wszyscy na Arrakis, nawet wolno żyjący Fremeni, zaznajamiali się z licznymi przypadkami niesprawiedliwości i nierozwiązywalnych dylematów. Nauczono ich myśleć o sobie jako o ludziach nie mających szans na pomoc, dla których nie było wsparcia.

„Jak piękne są młode kobiety tego roku!"

Kiedy tak patrzył na oddalające się plecy Leto, zaczął się zastanawiać nad sposobem, w jaki chłopiec skierował jego myśli na ten tor — wyłącznie przez wypowiedzenie pozornie prostego stwierdzenia. Stilgar spostrzegł, że w zupełnie nowy sposób ujrzał Alię i własną rolę w Radzie.

Alia lubiła powtarzać, że dawne obyczaje z wolna zamierają. Stilgar przyznawał się przed samym sobą, że zawsze uważał to stwierdzenie za dziwnie uspokajające. Zmiany są niebezpieczne.

Należy tłumić wynalazczość. Należy zaprzeczyć istnieniu siły woli jednostki. Jaką inną rolę spełniało kapłaństwo?

Alia wciąż mawiała, że okazję do otwartego współzawodnictwa trzeba zredukować do granic, w których można sobie z nią poradzić. To oznaczało, że powracające zagrożenie technologią byłoby wykorzystane do spętania narodów — czyli tak, jak służyło dawnym mistrzom. Każda dozwolona technologia musiała być zakorzeniona w rytuale. Inaczej… inaczej…

Stilgar znowu się potknął. Stał przy kanacie i zobaczył, że Leto czeka pod morelowym sadem rosnącym wzdłuż płynącej wody. Stilgar słyszał, jak jego stopy szeleszczą w nie przyciętej trawie.

W nie przyciętej trawie!

„W co mam wierzyć?" — zadał sam sobie pytanie.

Dla Fremena z jego pokolenia wiara, że jednostki potrzebują gruntownego wyczucia własnych ograniczeń, była czymś normalnym. W bezpiecznym społeczeństwie tradycje stawały się niewątpliwie bardzo istotnym dla władzy czynnikiem. Ludzie powinni znać granice czasu, granice społeczeństwa i terytorium. Cóż złego było w siczy jako modelu wszelkiego myślenia? Poczucie zamknięcia powinno przenikać każdy wybór — powinno przejawiać się w rodzinie, w społeczeństwie, we wszystkich krokach podejmowanych przez prawomyślny rząd.

Stilgar zatrzymał się ponownie i spojrzał spomiędzy pni drzew na Leto. Chłopak stał, obserwując go z uśmiechem.

„Czy on wie o zamęcie w mojej głowie?" — zastanawiał się.

Stary fremeński naib spróbował przywołać tradycyjny katechizm swego narodu. Każdy aspekt życia wymagał właściwej, pojedynczej formy i aktywności opartej na tajnej, wewnętrznej wiedzy o tym, co będzie, a co nie będzie działać. Modelem dla każdego pojedynczego człowieka, jak również dla całych społeczeństw, aż do i ponad szczyty władzy — tym modelem powinna być sicz i jej pustynny odpowiednik: szej-hulud. Gigantyczny czerw pustyni z pewnością stanowił najbardziej przerażające stworzenie, ale przestraszony krył się w nieprzebytych głębiach.

„Zmiany są niebezpieczne!" — powiedział sobie w myślach Stilgar. Niezmienność i stabilność są właściwymi celami rządzenia.

Ale młodzi mężczyźni i kobiety byli piękni.

I pamiętają słowa Muad'Diba, wypowiedziane podczas abdykacji Szaddama IV: „Nie szukam długiego życia dla Imperatora, tylko dla Imperium „.

„Czy nie to samo mówiłem?" — zastanawiał się Stilgar.

Podjął marsz, kierując się ku wejściu do siczy, trochę na prawo od Leto. Chłopiec ruszył, by zagrodzić mu drogę.

Stilgar przypomniał sobie, że Muad'Dib powiedział również co innego: „Tak jak jednostki rodzą się, dojrzewają, wydają potomstwo i

umierają, tak dzieje się ze społeczeństwami, cywilizacjami i rządami”.

Niebezpieczna czy nie, zmiana nastąpi. Piękne Fremenki i młodzi Fremeni wiedzieli o tym. Byli w stanie spojrzeć przed siebie i się na nią przygotować.

Chłopiec spojrzał nań sowim wzrokiem i rzekł:

— Widzisz, Stil? Tradycja nie jest absolutnym przewodnikiem, za jakiego ją miałeś.

Fremen umiera, gdy zbył długo znajduje się z dala od pustyni. Nazywamy to wodną choroba.

„Komentarze Stilgara”

— Ciężko mi prosić cię o to — powiedziała Alia — ale… muszę zabezpieczyć Imperium dla dzieci Paula. Inaczej Regencja nie miałaby racji bytu.

Alia odwróciła się od lustra, przed którym siedziała uzupełniając poranną toaletę. Spojrzała na męża, oceniając, jak przyjął te słowa. Musiała nieustannie analizować jego reakcje; nie było wątpliwości, że Duncan Idaho stał się kimś daleko bardziej subtelnym i niebezpiecznym niż niegdysiejszy mistrz miecza rodu Atrydów. Z wyglądu niczym się nie różnił — ciągle te czarne, sterczące jak u kozła włosy ponad twarzą o ostrych, ponurych rysach — lecz w ciągu długich lat od czasu przebudzenia w stanie gholi uległ wewnętrznej metamorfozie.

Zastanawiała się teraz, czy w jego wiecznej samotności nie kryje się jakaś tajemnica. Zanim zajęli się nim Tleilaxanie, wykorzystując wyrafinowaną naukę, reakcje Duncana były dla Atrydów oczywiste — lojalność, fanatyczne przywiązanie do moralnego kodeksu tych, dla których służył, łatwość wpadania w gniew i równa łatwość odzyskiwania spokoju. Był nieugięty w chęci wywarcia zemsty na rodzie Harkonnenów. I umarł, ratując Paula. Ale Tleilaxanie otrzymali jego ciało od sardukarów i w regeneracyjnych zbiornikach stworzyli zombie-katrundo o ciele Duncana Idaho, lecz bez jego świadomych wspomnień. Został wyszkolony na mentata i wysłany w podarunku dla Paula: ludzki komputer, wyrafinowane narzędzie wyposażone w hipnotyczny nakaz zabicia swego pana. Ciało Duncana Idaho oparło się wewnętrznemu nakazowi i wskutek doznanego wstrząsu wróciła mu zawarta w komórkach ciała pamięć.

Alia dawno zdecydowała, że niebezpiecznie jest myśleć o nim jako o Duncanie. Lepiej pasowało do tej postaci imię gholi: Hayt. Najistotniejsze było to, by nie dojrzał najmniejszego śladu starego barona Harkonnena, usadowionego w jej umyśle.

Duncan wyczuł, że Alia bada go wzorkiem. Odwrócił się. Miłość nie mogła ukryć zaszłych zmian ani zataić przed nim przejrzystości motywów, którymi się kierowała. Wielopowierzchniowe metalowe oczy, otrzymane od Tleilaxan, były okrutne w swej zdolności przenikania masek. Pozwalały mu widzieć żonę jako zachłanną, prawie męską postać. Nie mógł znieść, że taka się stała.

— Dlaczego się odwracasz? — zapytała Alia.

— Muszę pomyśleć — powiedział. — Lady Jessika jest… Atrydką.

— A ty jesteś winien lojalność rodowi Atrydów, nie mnie.

— Nie narzucaj mi tak chytrej interpretacji.

Alia zacisnęła wargi. Czyżby zbyt szybko wykonała posunięcie?

Duncan przeszedł do bocznego wykuszu, wychodzącego na plac Świątyni. Widział zaczynających się zbierać pielgrzymów oraz arrakańskich handlarzy krążących ze swoimi towarami wokół tłumu jak zgraja ścierwojadów czekających cierpliwie na żer na obrzeżach stada. Skupił uwagę na wyróżniającej się grupie handlarzy z przerzuconymi przez ramiona torbami z włókna przyprawowego. Krok za nimi szli fremeńscy najemnicy. Przeciskali się przez zgromadzony tłum z nieprzepartą siłą.

— Sprzedają kawałki pobrużdżonego marmuru — powiedział wskazując. — Wiedziałaś o tym? Zostawiają odłamki na pustyni, by burze piaskowe wyżłobiły na nich wzory. Czasami efekt jest bardzo ciekawy. Nazywają to nową formą sztuki. Jest bardzo popularna; prawdziwe, wytrawione przez piaskowe burze marmury z Diuny. Kupiłem jeden w zeszłym tygodniu — złote drzewo z pięcioma złotymi frędzlami. Urocze, ale bardzo kruche.

— Nie zmieniaj tematu — powiedziała Alia.

— Nie zmieniłem go — odrzekł. — To piękne, ale nie jest sztuką. Człowiek tworzy sztukę własną ręką, swą własną wolą. — Położył prawą dłoń na parapecie. — Bliźnięta gardzą tym miastem, i sądzę, że rozumiem, dlaczego.

— Nie widzę w tym żadnego związku — powiedziała Alia. — Porwanie mojej matki nie będzie prawdziwym porwaniem. Będzie bezpieczna jako więzień.

— To miasto zbudował ślepiec — odparł. — Wiesz, że tej nocy Leto i Stilgar wyszli z siczy Tabr na pustynię? Wrócili dopiero nad ranem.

— Doniesiono mi o tym — rzekła. — Te błyskotki z piasków… Chcesz, żebym zakazała ich sprzedaży?

— To byłoby złe dla interesów — odpowiedział, odwracając się. — Czy wiesz, co powiedział Stilgar, kiedy go zapytałem, dlaczego tak sobie poszli na piaski? Powiedział, że Leto pragnął obcować z duchem Muad'Diba.

Alia poczuła nagle chłód paniki; spojrzała w lustro, by dać sobie

chwilę na odzyskanie równowagi. Leto nie wypuściłby się w nocy z siczy dla takiego nonsensu. Czyżby spisek?

Idaho położył dłoń na oczach, by nie patrzeć na twarz żony i rzekł:

— Stilgar powiedział mi, że poszedł z Leto, bo wciąż wierzy w Muad'Diba. Wierzy w niego, ponieważ Muad'Dib zawsze był otwarty dla maluczkich.

— Co odpowiedziałeś? — zapytała Alia. Jej głos zdradzał lęk. Idaho opuścił dłoń. Spojrzał na żonę.

— Powiedziałem: „To znaczy, że jesteś jednym z nich „.

— Duncan! Zacząłeś niebezpieczną grę. Igraj z tym Fremenem, a możesz obudzić bestię, która zniszczy nas wszystkich.

— On wciąż wierzy w Muad'Diba — rzekł Idaho. — To nasza ochrona.

— Co odpowiedział?

— Powiedział, że zna samego siebie.

— Rozumiem.

— Nie… Nie sądzę, że rozumiesz. Rzeczy, które gryzą, mają dłuższe zęby niż Stilgar.

— Nie pojmuję cię dzisiaj, Duncan. Proszę cię, byś zrobił bardzo ważną rzecz, niezbędną dla… Po co więc całe to kręcenie?

Jakże rozdrażniony był jej głos! Ghola odwrócił się plecami do okna we wnęce.

— Kiedyś ćwiczono mnie na mentata… Bardzo trudno jest nauczyć się, jak pracować nad własnym umysłem. Najpierw musisz zrozumieć, że należy mu pozwolić pracować samodzielnie. To bardzo dziwne. Możesz pracować mięśniami, ćwiczyć je, wzmacniać, ale umysł działa sam z siebie. Czasami, gdy się już tego nauczyłeś, pokazuje ci rzeczy, których nie chcesz widzieć.

— I dlatego starałeś się obrazić Stilgara?

— Stilgar nie zna własnego umysłu, nie pozwala mu działać samodzielnie.

— Z wyjątkiem siczowej orgii.

— Nawet wtedy nie. To czyni go naibem. By być przywódcą ludzi, kontroluje i ogranicza swe reakcje. Robi wszystko, czego się po nim spodziewają. Jeśli to wiesz, znasz Stilgara i możesz zmierzyć długość jego zębów.

— Zwykły fremeński obyczaj — powiedziała. — Dobrze, Duncan, wykonasz to polecenie, czy nie? Ona musi zostać porwana, i trzeba to zrobić tak, by akcja wyglądała na robotę rodu Corrinów.

Nie odzywał się, rozważając w milczeniu — w mentacki sposób — jej ton i argumenty. Plan porwania mówił mu o zimnie i okrucieństwie, którego rozmiary wstrząsnęły nawet nim. Ryzykować życiem własnej matki? Alia kłamała. Być może plotki o Alii i

Dżawidzie były prawdziwe? Myśl ta sprawiła, że poczuł lodowatą twardość w żołądku.

— Jesteś jedynym, komu mogę ufać — rzekła Alia.

— Wiem o tym — odparł.

Pomyślała, że Duncan się zgadza, i uśmiechnęła się do siebie w lustrze.

— Wiesz — powiedział Idaho — mentat uczy się patrzeć na każdą istotę ludzką jako na ciąg międzyludzkich stosunków.

Alia nie odpowiedziała. Siedziała pogrążona w intymnym wspomnieniu, które nadało jej obliczu nieobecny wyraz. Idaho, spoglądając na nią sponad jej ramienia, ujrzał twarz żony i zadrżał. Wyglądała tak, jakby obcowała z głosami słyszanymi tylko przez nią samą.

— Międzyludzkich stosunków… — powtórzył szeptem.

„Trzeba odrzucić minione cierpienie, tak jak wąż zrzuca skórę, po to tylko, by przyjąć nowe wraz ze wszystkimi jego ograniczeniami — pomyślał. — Tak samo jest z rządami. Dawne rządy są podobne do odrzuconych wylinek. Muszę wykonać ten plan, ale nie tak, jak rozkazała Alia".

Po chwili Alia potrząsnęła ramionami i powiedziała:

— Leto nie powinien obecnie wychodzić. Udzielę mu napomnienia.

— Nawet ze Stilgarem?

— Nawet z nim.

Wstała sprzed lustra, podeszła do miejsca, w którym stał Idaho, i położyła dłoń na jego ramieniu.

Stłumił dreszcz, zredukował go w mentackiej kalkulacji. Coś pchało go do buntu.

Nie mógł się zmusić do podniesienia oczu. Kaszlnął, poczuwszy zapach melanżu w kosmetykach.

— Będę dziś zajęta badaniem darów Farad'na — powiedziała Alia.

— Strojów?

— Tak. Nic, co on robi, nie jest tym, czym się wydaje. Musimy pamiętać, że jego baszar, Tyekanik, jest adeptem chaumurky, chaumas i wszystkich innych zawiłości królobójstwa.

— To cena władzy — powiedział, odsuwając się. — Ale my wciąż mamy swobodę ruchu, a Farad'n nie.

Wpatrzyła się w jego jakby wyrzeźbiony dłutem profil. Czasami z trudem była w stanie przeniknąć myśli męża. Czyżby sądził, że władza militarna utrzymuje się tylko dzięki swobodzie działań? Dobrze, więc życie na Arrakis było zbyt długo bezpieczne. Zmysły, kiedyś wyostrzone przez wszechobecne niebezpieczeństwo, nieużywane, mogły się zdegenerować.

— Tak — powiedziała — wciąż mamy Fremenów.

— Swoboda ruchu — powtórzył. — Nie możemy degenerować piechoty. To byłoby głupie z naszej strony. Jego ton zdenerwował ją, więc rzekła:

— Farad'n chwyci się każdego sposobu, żeby nas zniszczyć.

— Ach, o to właśnie chodzi — odparł. — Przejął inicjatywę, ma swobodę posunięcia, której brak nam było w dawnych czasach. Mieliśmy kodeks, kodeks rodu Atrydów. Zawsze płaciliśmy za wszystko i pozwalaliśmy wrogom być rabusiami. Ale, oczywiście, ograniczenia już nas nie obowiązują. Mamy równą swobodę: ród Atrydów i ród Corrinów.

— Porwiemy matkę, by ocalić ją przed niebezpieczeństwem — powiedziała Alia. — Wciąż żyjemy zgodnie z kodeksem!

Spojrzał na nią z góry. Alia znała niebezpieczeństwa pobudzania mentata do kalkulacji. Czy nie uświadamiała sobie, do czego doszedł? A mimo to… wciąż ją kochał. Na chwilę zasłonił dłonią oczy. Jak ona młodo wygląda! Lady Jessika mówiła prawdę: Alia nie postarzała się ani o dzień w czasie tych wspólnie spędzonych lat. Wciąż miała łagodne rysy swojej matki — Bene Gesserit, lecz jej oczy były jak u Atrydów: oceniające, żądające, jastrzębie. Teraz błyskało w nich coś opętanego przez okrutną kalkulację.

Idaho zbyt wiele lat służył rodowi Atrydów, by nie znać zarówno silnych, jak i słabych jego stron. Lecz to „coś" w Alii było nowe. Atrydzi mogli prowadzić niszczące rozgrywki wobec nieprzyjaciół, lecz nigdy wobec przyjaciół i sprzymierzeńców, czy w stosunku do rodziny. Taka była podstawa atrydzkiego zachowania: popierać swych poddanych ze wszystkich sił, okazywać im, o ile lepiej żyje się pod rządami Atrydów. Demonstrować przyjaźń dla sojuszników przez otwartość wobec nich. Jednakże prośba Alii nie miała nic wspólnego z duchem Atrydów. Czuł to całym ciałem i strukturą nerwów. Jego istota stanowiła niepodzielną jedność i dzięki temu czuł w Alii czyjąś obecność, obcą wolę.

Nagle jego mentacki sposób postrzegania przeszedł w stan pełnej świadomości, a umysł popadł w trans, w którym nie istniał Czas: istniała jedynie kalkulacja. Alia rozpozna, co się z nim dzieje, nie mógł tego w żaden sposób uniknąć. Oddał się kalkulacji:

Lady Jessika „odbita" w świadomości Alii, istniała tam wyłącznie pseudo-życiem. Widział ją tak, jak widział odbitego pragholę Duncana Idaho, będącego stałą wartością w jego umyśle. Alia, jako jedna z przed-urodzonych, miała zakodowaną tę świadomość już od dzieciństwa. On wyniósł pamięć z regeneracyjnych zbiorników Tleilaxan. Mimo to Alia odrzuciła owo odbicie i ryzykowała życiem matki. Zatem nie była w kontakcie z pseudo-Jessiką. A więc Alię opanowało inne pseudo-życie, eliminując pozostałe świadomości.

Była Opętana!

Obca!

Była Paskudztwem!

W obojętny, mentacki sposób przyjął efekt rozumowania i zwrócił się ku innym aspektom problemu. Wszyscy Atrydzi przebywali na Diunie. Czy ród Corrinów zaryzykuje atak z kosmosu? Pracujący umysł momentalnie przywołał z pamięci konwencje, które położyły kres prymitywnym formom działań wojennych.

Po pierwsze — wszystkie planety były podatne na atak z kosmosu, zatem każdy z wysokich rodów instalował poza planetami urządzenia służące do odwetu. Farad'n wiedział, że Atrydzi nie zaniedbali żadnego elementarnego środka ostrożności.

Po drugie — tarcze siłowe chroniły całkowicie przed uderzeniem pocisków i środków wybuchowych nieatomowego rodzaju i były główną przyczyną, dla której ludzkość wróciła do walki wręcz, twarzą w twarz. Ale piechota miała w przypadku Diuny niezwykle trudne zadanie. Ród Corrinów mógłby wprawdzie sprowadzić sardaukarów na obrzeża Arrakin, ci jednak wciąż nie stanowili równorzędnych przeciwników dla okrutnych i bitnych Fremenów.

Po trzecie — feudalizm planetarny znajdował się w stałym zagrożeniu ze strony olbrzymiej klasy techników, ale efekty Dżihad Butlerjańskiej posłużyły jako tłumik dla nadmiernego rozwoju techniki. W tym aspekcie Ixianie, Tleilaxanie i jeszcze kilka odległych planet mogły stanowić jedyne możliwe zagrożenie. Nikt nie mógł powstrzymać skutków Dżihad Butlerjańskiej. Zmechanizowana wojna wymagała bardzo dużej ilości techników. Imperium Atrydów skierowało tę siłę ku innym celom. Nie istniała żadna większa nie dozorowana grupa techników. A Imperium pozostawało bezpiecznie pogrążone z feudalizmie, ponieważ była to najlepsza forma społeczna, zdolna do rozprzestrzeniania się poza szerokie granice cywilizacji na wciąż nowe planety.

Duncan czuł, jak jego mentacka świadomość skrzy się, wyłapując pamięciowe dane z samej siebie, zupełnie niepodatna na upływ czasu. Doszedł do przekonania, że ród Corrinów nie zaryzykuje nielegalnego ataku atomowego. Wniosek oparł na błyskawicznej kalkulacji, lecz był dokładnie świadom elementów, które się na niego składały: Imperium rozporządzało olbrzymim arsenałem nuklearnym i jego pochodnymi, równym zasobom wszystkich wysokich rodów razem. Przynajmniej połowa z nich zareagowałaby bez namysłu, gdyby ród Corrinów zaryzykował złamanie konwencji. Zresztą, nie było podstaw, by wątpić w szczerość Corrinów podpisujących się pod tezą, że broń nuklearna pozostanie rezerwą trzymaną w jednym celu: obrony ludzkości na wypadek, gdyby kiedykolwiek spotkano agresywną obcą inteligencję.

Kalkulacja miała określone znaczenie i logiczne konsekwencje. Nie widział w niej żadnych luk. Alia wybrała porwanie i terror, ponieważ teraz była obcą, nie-Atrydką. Ród Corrinów stanowił zagrożenie, lecz nie takie, jakim przedstawiła go Alia na Radzie. Alia chciała usunąć lady Jessikę, ponieważ przerażająca inteligencja Bene Gesserit dojrzała to, co dla niego dopiero teraz stało się jasne.

Idaho sam wytrącił się z mentackiego transu. Zobaczył, że Alia stoi naprzeciw niego z chłodnym wyrazem twarzy.

— Nie wolałabyś raczej, żeby lady Jessika została zabita? — zapytał. Obcy błysk radości zdradził ją, nim po krótkiej chwili zdołała ukryć go pod fałszywym gniewem.

— Duncan!

Tak, obca-Alia wolała matkobójstwo.

— Obawiasz się jej, nie o nią — powiedział.

Przemówiła, nie zmieniając wyrazu twarzy:

— Oczywiście, że się obawiam. Donosi na mnie zakonowi żeńskiemu.

— Co masz na myśli?

— Nie znasz największej pokusy dla Bene Gesserit? — Podeszła do niego, uwodzicielsko spoglądając przez rzęsy. — Chcę być wciąż silna i czujna dla dobra bliźniąt.

— Mówiłaś o pokusie — powiedział mentacko bezbarwnym głosem.

— To coś, czego zakon najbardziej się obawia, co najgłębiej ukrywa. Dlatego nazwali mnie Paskudztwem. Wiedzą, że ich zakazy mnie nie powstrzymają. Pokusa — one zawsze wymawiają to słowo z wielką emfazą. Wielka pokusa. Widzisz, my, które praktykujemy nauki Bene Gesserit, potrafimy wpłynąć na takie rzeczy, jak wewnętrzna równowaga enzymatyczna ciała. Coś, co może przedłużyć młodość o wiele trwalej niż melanż. Pojmujesz, jakie byłyby konsekwencje, gdyby wszystkie Bene Gesserit zdecydowały się na coś takiego? Jestem pewna, że kalkulujesz zawartość moich słów. Właśnie melanż czyni nas, Atrydów, obiektem wielu spisków. Kontrolujemy wydobycie i handel substancją, która przedłuża życia. Co by się stało, gdyby dowiedziano się, że Bene Gesserit ukrywają jeszcze większą tajemnicę? Sam widzisz! Żadna z Matek Wielebnych nie byłaby bezpieczna. Porwania i tortury Bene Gesserit stałyby się czymś na porządku dziennym.

— Osiągnęłaś ową równowagę enzymatyczną — oświadczył.

— Zbuntowałam się przeciw zakonowi. Raporty matki czynią Bene Gesserit sprzymierzeńcami rodu Corrinów. „Bardzo prawdopodobne” — pomyślał.

— Ale z pewnością matka nie zwróciłaby się przeciw tobie — zaryzykował.

— Była Bene Gesserit na długo, nim została moją matką. Duncan, ona pozwoliła, żeby jej własny syn, mój brat, został poddany próbie gom dżabbar! Ona to zorganizowała! I wiedziała, że chłopak może nie przeżyć. W członkiniach Bene Gesserit zawsze było mało wiary, a wiele pragmatyzmu. Będzie działać przeciw mnie, jeżeli uwierzy, że działa w interesie zakonu.

Skinął głową. Mówiła bardzo przekonywająco.

— Musimy utrzymać inicjatywę — oświadczyła. — W tym tkwi nasza szansa.

— Jest jeszcze kwestia Gurneya Hallecka — powiedział. — Mam zabić starego przyjaciela?

— Gurney przebywa na pustyni z jakąś szpiegowską misją — odparła, wiedząc, że doniesiono o tym Duncanowi. — Nie stoi nam na drodze.

— To bardzo dziwne — powiedział. — Regencki gubernator Kaladanu wypełnia misję tu, na Arrakis?

— Dlaczego by nie? — zapytała z naciskiem Alia. — Jest jej kochankiem. Jeżeli nie w rzeczywistości, to przynajmniej w marzeniach.

— Tak, oczywiście. — Zastanawiał się, dlaczego nie usłyszała fałszywej nuty w jego głosie.

— Kiedy ją porwiesz? — zapytała Alia.

— Lepiej, żebyś nie wiedziała.

— Tak… Tak, rozumiem. Gdzie ją zabierzesz?

— Gdzie nie będzie można jej znaleźć. Polegaj na mnie. Nie pozostanie tutaj, żeby ci zagrażać.

Nie mógł się mylić, że widzi radość w oczach Alii.

— Ale gdzie…

— Im mniej będziesz wiedziała, tym śmielej możesz odpowiadać na pytania Prawdomówczyni, gdyby zaszła taka konieczność.

— Aach, sprytny Duncan!

„Teraz uwierzyła, że zabiję lady Jessikę” — pomyślał.

— Do widzenia, kochanie — rzekł.

Nie usłyszała w jego głosie tego, że uzyskał pewność co do swoich podejrzeń i podjął ostateczną decyzję; nawet pocałowała go lekko, gdy wychodził.

A on całą drogę przez labirynt korytarzy Świątyni ocierał oczy. Tleilaxańskie oczy nie były odporne na łzy.

Kochałeś Kaladan,
I rozpaczałeś po śmierci pana jego;
Lecz ból odkrywa,
Że nowa miłość zmazać potrafi

Wieczny cień tamtego.

refren „Lamentu Habbanji”

Stilgar czterokrotnie wzmocnił straż bliźniąt, lecz wiedział, że to nic nie da. Chłopak był taki, jak jego atrydzki imiennik, dziadek Leto. Każdy, kto znał starego księcia, zauważał podobieństwo. Owszem, Leto był rozważny, ostrożny, ale wszystko to uległo przewartościowaniu wobec jego uśpionej dzikości, podatności na niebezpieczne pomysły.

Ghanima była bardziej podobna do matki. Miała rudawe włosy po Chani, jej ustawienie oczu o tej samej barwie i czujność, z jaką działała, oczekując trudności. Często mówiła, że robi jedynie to, co musi, że podąży tam, dokąd poprowadzi Leto.

A Leto miał zamiar poprowadzić ich ku niebezpieczeństwu.

Ani razu Stilgar nie pomyślał o zwróceniu się ze swoim problemem do Alii. Tak zrobiłaby Irulana, która biegała do niej ze wszystkimi sprawami. Stilgar uświadomił sobie, iż zaakceptował możliwość, że Leto trafnie ocenił Alię.

„Ona używa ludzi w przypadkowy i niezręczny sposób — myślał. — Czyni tak nawet z Duncanem. To całkiem możliwe, że kiedy zmieni front, zabije mnie. Pozbędzie się niewygodnego człowieka”.

Tymczasem straż została wzmocniona i Stilgar przemierzał sicz jak obleczony w szatę upiór, wszędzie wtykając swój nos. Przez cały czas jego umysł kipiał wątpliwościami zaszczepionymi przez Leto. Jeżeli nie można opierać się na tradycji, to w takim razie gdzie była podstawa, na której należało wzorować życie?

Po popołudniu, kiedy miała miejsce Konwokacja Powitania lady Jessiki, Stilgar ujrzał Ghanimę, która stała obok babki przy wejściu do wielkiej izby posiedzeń siczy. Było wcześnie i Alia jeszcze się nie pojawiła, lecz ludzie już się tłoczyli w komnacie, rzucając ukradkowe spojrzenia na mijające ich dziecko i dorosłą kobietę.

Stilgar przystanął w ocienionej alkowie, z dala od przepływającego tłumu, i obserwował przechodzącą parę, nie mogąc wyłowić ich słów z pulsującego pomruku pospólstwa. Zebrali się tu ludzie z wielu plemion, by ponownie przywitać dawną Wielebną Matkę. Ta jednak wpatrywała się w Ghanimę. Obserwowała jej oczy, sposób, w jaki tańczyły, gdy mówiła. Ich ruch fascynował także jego. Ciemne, błękitne, zrównoważone, żądające oczy. I ten sposób odrzucania na ramiona — skrętem głowy — czerwono-złotych włosów: cała Chani. Upiorne zmartwychwstanie, nieodparte przypomnienie.

Stilgar przysunął się bliżej i zajął pozycję w następnej wnęce.

Nie mógł skojarzyć sposobu, w jaki Ghanima obserwowała świat, z żadnym innym dzieckiem — z wyjątkiem jej brata. Gdzie był Leto? Stilgar spojrzał na zatłoczone przejście. Strażnicy podnieśliby alarm, gdyby działo się cokolwiek złego. Potrząsnął głową. Bliźnięta narażały na szwank swe władze umysłowe. Niemal je za to nienawidził. Krewni nie byli zabezpieczeni przed wzajemną nienawiścią, lecz krew (i jej cenna woda) niosła żądanie opanowywania się, które górowało nad wszystkimi innymi uczuciami. Na nim — na Stilgarze — spoczywała największa odpowiedzialność za bezpieczeństwo bliźniąt.

Z przyległej, wykutej w skale komnaty za plecami Ghanimy i Jessiki padało przesączone przez pył unoszący się w powietrzu, brunatne światło. Dotykało ramion dziecka i nowej białej szaty, którą Ghanima miała na sobie, prześwietlając jej włosy. Dziewczynka odwróciła się, by spojrzeć na tłoczących się za Stilgarem ludzi.

„Dlaczego Leto natchnął mnie wątpliwościami?" — zastanawiał się stary Fremen. Wiedział, że chłopiec zrobił to z rozmysłem. „Może chciał, żebym dzielił z nim część jego psychicznych doświadczeń?" Stilgar domyślał się, dlaczego bliźnięta są inne, lecz zawsze stwierdzał, że mimo całego tego rozumowania nie jest zdolny do akceptacji faktów. Nigdy nie odczuwał łona matki jako więzienia dla rozbudzonej świadomości — świadomości czynnej od drugiego miesiąca ciąży, jak mówiono.

Leto powiedział kiedyś, że jego pamięć jest „jak wewnętrzny hologram, który od czasu pierwotnego przebudzenia — wraz z towarzyszącym mu wstrząsem — staje się coraz większy i bardziej szczegółowy, ale nie zmienia swojego kształtu ani wyglądu".

Patrząc na Ghanimę i lady Jessikę, Stilgar po raz pierwszy zaczął pojmować, jakie to okropne: żyć w splątanej pajęczynie wspomnień, nie móc wycofać się ani znaleźć w umyśle zamkniętego, spokojnego miejsca. Stając twarzą w twarz z tym stanem, trzeba szaleństwo traktować jako integralną część własnego istnienia, wybierać i odrzucać wielość ofert, godzić się na układ, w którym odpowiedzi zmieniają się równie szybko jak pytania.

Nie mogło tu być ustalonej tradycji. Nie mogło być ostatecznych odpowiedzi na pytania o dwóch obliczach. Co działa? To, co nie działa. Co nie działa? To, co działa. Rozpoznawał schemat. Dawna fremeńska gra w zagadki. Pytanie: „Co przynosi śmierć i życie?" Odpowiedź: „Kurzawa Coriolisa".

„Dlaczego Leto chciał, bym wiedział?" — zapytywał siebie Stilgar. Z własnych ostrożnych prób wyniósł przekonanie, że bliźnięta dzielą wspólny pogląd na swą inność: uważają ją za nieszczęście. „Narodziny dla kogoś takiego muszą być wyczerpujące" — pomyślał. Niewiedza łagodzi wstrząs płynący z niektórych doświadczeń. Jakby to było — żyć życiem, w którym wie się wszystko o rzeczach, których nie

chciałoby się znać? Musiałby nieustannie prowadzić wojnę z wątpliwościami. Gardziłby swoją innością. „Dlaczego właśnie ja?” — byłoby pierwszym pytaniem bez odpowiedzi.

„A o co pytałem?” — pomyślał Stilgar. Niewyraźny uśmiech dotknął jego warg. „Dlaczego właśnie ja?”

Ujrzawszy bliźnięta w nowy sposób, pojął niebezpieczne pokusy, jakim poddane były niedojrzałe ciała dzieci. Ghanima wyłożyła mu to zwięźle pewnego razu, po tym, jak zbeształ ją za wspinaczkę po osypującej się zachodniej ścianie urwiska nad siczą Tabr.

„Dlaczego miałabym bać się śmierci? Doznałam jej już po wielokroć”.

„Czy mogę uczyć te dzieci? — zastanawiał się Stilgar. — Czy ktokolwiek może je uczyć?”

To dziwne, ale myśli Jessiki podążały zbliżonym torem, gdy rozmawiała z wnuczką. Zastanawiała się, jak ciężko jest nieść dojrzałe umysły w niedojrzałych ciałach. Ciało musiało uczyć się tego, o czym umysł już wiedział — uporządkować refleksy i reakcje. Stary reżim prana-bindu był dla nich osiągalny, lecz nawet wtedy umysł wybiegał w rejony nieosiągalne dla ciała. Gurney miał nieprawdopodobnie ciężkie zadanie, wypełniając jej polecenia.

— Stilgar obserwuje nas z wnęki — powiedziała Ghanima.

Jessika nie odwróciła się, poczuła jednak zmieszanie po tym, co usłyszała w głosie Ghanimy. Ghanima kochała tego starego Fremena tak jak kocha się rodziców. Nawet gdy wypowiadała się o nim lekceważąco i dokuczała mu, kochała go. Zrozumienie tego zmusiło Jessikę do spojrzenia na starego naiba w nowym świetle, do zaakceptowania uczuć, które bliźnięta dzieliły ze Stilgarem. Jessika uświadomiła sobie, że nowa Arrakis nie odpowiada Stligarowi. Nie bardziej niż jej wnukom.

Nagle w umyśle Jessiki pojawiło się niechciane i niepożądane powiedzenie Bene Gesserit: „Podejrzenie o własnej śmiertelności jest poznaniem początku zgrozy; nieodwołalne stwierdzenie, że jest się śmiertelnym, jest poznaniem jej końca „.

Tak, śmierć nie byłaby ciężkim jarzmem, lecz życie dla Stilgara i bliźniąt paliło się zbyt wolnym płomieniem. Każde z nich stwierdziło, że świat, w którym żyją, im nie odpowiadał i tęsknili za innymi drogami, których zmienność mogliby poznawać bez zagrożenia. Byli dziećmi Abrahama, dowiadującymi się więcej od jastrzębia lecącego nad pustynią, niż z jakiejkolwiek napisanej książki.

Leto wprawił Jessikę w zmieszanie tego ranka, gdy stali nad kanatem płynącym pod siczą. „Woda jest dla nas pułapką — powiedział. — Byłoby lepiej, gdybyśmy żyli na zewnątrz, jak kurz, bo wtedy wiatr mógłby nas unieść wyżej niż najwyższe zbocza Muru Zaporowego”.

Chociaż oswoiła się już z ową pokrętną dojrzałością tego dziecka, była jednak zatoczona usłyszanym stwierdzeniem. Zdołała szepnąć: „Twój ojciec mógłby tak powiedzieć”.

Leto, rzucając garść piachu na wiatr i patrząc na spadającą mgiełkę, odrzekł:

„Tak, mógłby. Ale on nie zauważył, jak szybko woda sprawia, że piach spada na ziemię, z której się uniósł”.

Teraz, stojąc obok Ghanimy, Jessika na nowo poczuła wstrząs wywołany słowami Leto. Odwróciła się, rzuciła okiem na wciąż napływający tłum, pozwoliła spojrzeniu zbłądzić ku ocienionej sylwetce Stilgara we wnęce. Stilgar nie był uległym Fremenem, nauczonym znosić gałęzie do gniazda. Był wciąż jastrzębiem. Kiedy myślał o czerwonej barwie, nie myślał o kwiatach, lecz o krwi.

— Zamilkłaś tak nagle — powiedziała Ghanima. — Czy coś jest nie w porządku?

Jessika potrząsnęła głową.

— To coś, co Leto powiedział dziś rano.

— Kiedy wyszliście na uprawy? Cóż takiego powiedział?

Jessika myślała o osobliwym wyrazie mądrości, malującym się na twarzy Leto tego poranka. Identyczne spojrzenie widniało teraz na obliczu Ghanimy.

— Przypomniał mi, jak Gurney wrócił od przemytników pod sztandar Atrydów — powiedziała.

— Zatem mówiliście o Stilgarze — rzekła Ghanima.

Jessika nie zapytała, w jaki sposób Ghanima to odgadła. Wydawało się, że bliźnięta mogą wedle woli odtwarzać tok swego rozumowania.

— Tak, rozmawialiśmy — rzekła Jessika. — Stilgarowi nie podobało się, że Gurney nazywa… Paula swoim księciem. Postawa Gurneya wpłynęła na Fremenów. Gurney wciąż powtarzał: „Mój książę”.

— Rozumiem — powiedziała Ghanima. — I, oczywiście, Leto zauważył, że on sam nie jest jeszcze księciem Stilgara?

— Masz rację.

— Oczywiście wiesz, dlaczego on to tobie zrobił — powiedziała Ghanima.

— Nie jestem pewna — przyznała Jessika i stwierdziła, że owo wyznanie jest dla niej szczególnie trudne, bo nie zauważyła, żeby Leto robił z nią cokolwiek.

— Chciał przywołać wspomnienia o naszym ojcu — odparła Ghanima. — Leto zawsze pragnął poznać ojca z punktu widzenia innych, którzy go znali.

— Ale… czy Leto nie…

— Och, tak. Potrafi słuchać wewnętrznego życia. Ale chodziło mu

o coś innego. Opowiedziałaś mu o nim, oczywiście. To znaczy, o naszym ojcu. Mówiłaś o nim jak o synu…

— Tak — ucięła Jessika. Nie lubiła czuć, że bliźnięta są w stanie włączać ją i wyłączać do woli, otwierać jej wspomnienia dla własnych obserwacji, dotykać każdego uczucia, które przyciągnęło ich zainteresowanie. Ghanima mogła robić to nawet teraz!

— Leto zacytował coś, żeby cię zaniepokoić — rzekła Ghanima. Jessika poczuła, że jest zaszokowana koniecznością stłumienia swego gniewu.

— Tak… — przyznała.

— Nie podoba ci się to, że zna ojca tak, jak nasza matka, i że zna matkę tak, jak nasz ojciec — kontynuowała Ghanima. — Nie podoba ci się fakt, że możemy wiedzieć o tobie wszystko.

— Naprawdę, nigdy przedtem nie myślałam w ten sposób — powiedziała Jessika, zauważając, że mówi nienaturalnym głosem.

— Wiedza o zmysłowych sekretach zazwyczaj niepokoi — stwierdziła Ghanima. — Tak jesteś uwarunkowana. Jest ci bardzo ciężko myśleć o nas jako o czymkolwiek innym niż dzieci, ale nie ma nic, co uczyniliby nasi rodzice, publicznie lub prywatnie, czego byśmy nie wiedzieli.

Przez krótką chwilę Jessika czuła, że wracają myśli, które naszły ją tam, nad kanatem, lecz teraz jej reakcja skupiła się na Ghanimie.

— Mówił prawdopodobnie o „chutliwej zmysłowości" księcia. Czasami przydałoby się wędzidło na usta dla Leto — kontynuowała Ghanima.

„Czy nie ma niczego, czego bliźnięta mogłyby nie sprofanować?" — zastanowiła się Jessika, przechodząc od wstrząsu, przez gniew, do odrazy. Jak śmieli mówić jej o zmysłowości Leto? Oczywiście, że mężczyzna i kobieta, którzy się kochają, dzielą także przyjemności ciała! To jest coś osobistego i pięknego i na pewno nie może stanowić tematu przypadkowej rozmowy między dzieckiem i dorosłym.

Dzieckiem i dorosłym!

Nagle Jessika uświadomiła sobie, że ani Leto, ani Ghanima nie robili nic przez przypadek.

Gdy wciąż się nie odzywała, Ghanima powiedziała:

— Wstrząsnęliśmy tobą. Przepraszam za nas oboje. Znając Leto wiem, że nawet nie myślał cię przepraszać. Czasami, gdy podąża za jakimś szczególnym tropem, zapomina, jak bardzo się różnimy… od ciebie na przykład.

Jessika pomyślała: „I właśnie dlatego oboje to robicie! Uczycie mnie! I kogo jeszcze? Stilgara? Duncana?"

— Leto stara się widzieć rzeczy tak, jak ty — wyjaśniła Ghanima. — Nie wystarczają mu wspomnienia. Kiedy starasz się

najbardziej, wtedy najczęściej ci się nie udaje.

Jessika westchnęła. Ghanima dotknęła ramienia babki.

— Twój syn pozostawił tyle nie wypowiedzianych słów, które trzeba powtarzać, nawet tobie. Wybacz nam, ale on cię kochał. Nie wiedziałaś o tym?

Jessika odwróciła się, by ukryć błyszczące w oczach łzy.

— Znał twoje obawy — powiedziała Ghanima — tak jak znał lęki Stilgara. Biedny Stil. Ojciec był jego „lekarzem Bestii", a Stil niczym więcej, niż zielonym, ukrytym w skorupce ślimaczkiem.

Zanuciła pieśń, z której wzięła te słowa. Melodia bezkompromisowo wcisnęła je w umysł Jessiki:

O, lekarzu Bestii,
Zielonej muszli ślimaka
Ze starym, kruchym cudem
Skrytym, czekającym skonu,
Jawisz się jak bóstwo!
Nawet ślimak wie,
Że bogowie krzywdzą,
Że lekarstwo boli,
Że do nieba się wchodzi
Przez drzwi z płomienia.
O, lekarzu Bestii,
Jestem człekiem-ślimakiem
Widzę twoje oko
Zaglądające w mą muszlę!
Dlaczego, Muad'Dibie? Dlaczego?

— Na nieszczęście — rzekła Ghanima — mój ojciec zostawił wielu ludzi-ślimaków w całym wszechświecie.

Założenie, że Istoty ludzkie egzystują w niestałym wszechświecie, pojmowane jako wskazówka postępowania wymaga, by intelekt stał się całkowicie świadomym, utrzymującym równowagę instrumentem. Ale intelekt nie może zareagować w ten sposób bez włączenia w to całego organizmu. Taki organizm rozpoznać można po jego gwałtownym, popędliwym zachowaniu. Tak samo jest ze społeczeństwem pojmowanym jako organizm. I tutaj natykamy się na inercję. Społeczeństwa znajdują się w ruchu

dzięki pradawnym, wywołującym reakcję impulsom. Żądają one stałości. Każda próba ukazania wszechświata jako niestałości wywołuje mechanizm odrzucenia, lęk, gniew i rozpacz. Jak zatem możemy wyjaśnić akceptację przyszłowidzenia? Po prostu: ofiarujący prorocze wizje mówi o absolutnym (stałym) rozumieniu świata i może zostać przywitany przez ludzkość z radością, nawet, jeżeli przepowiada najbardziej ponure zdarzenia.

„Księga Leto" według Harq al-Ady

— To wygląda jak atak na oślep — rzekła Alia.

Gniewnymi krokami przemierzała Izbę Rady, przechodząc od wysokich, srebrzystych obić, łagodzących blask porannego słońca we wschodnich oknach, do otoman zgromadzonych pod dekoracyjnymi otworami okiennymi w przeciwległym końcu pokoju. Jej sandały stąpały po dywanach z włókna przyprawowego, drewnie parkietu, mozaikach z wielkich granatów i znowu po dywanach. W końcu zatrzymała się nad Irulaną i Idaho, którzy siedzieli na otomanach z szarego futra wielorybów, zwróceni do siebie twarzami.

Idaho protestował przeciwko powrotowi z Tabr, ale Alia wysłała bezapelacyjne rozkazy. Porwanie Jessiki stało się teraz ważniejsze niż kiedykolwiek, ale musiało jeszcze zaczekać. Potrzebowała mentackich zdolności Idaho.

— Sprawy są skrojone według jednej miary — powiedziała Alia — i śmierdzą daleko posuniętym spiskiem.

— Może nie — ośmieliła się odezwać Irulana, ale spojrzała pytająco na Idaho.

Na twarzy Alii odmalowało się nie ukrywane szyderstwo. Jak Irulana mogła być tak niewinna? Chyba że… Alia rzuciła w stronę księżnej ostre, pytające spojrzenie. Irulana miała na sobie prostą, czarną szatę aba, pasującą do jej oczu barwy indygo, nabytej dzięki przyprawie. Jasne włosy związane były na karku w ciasny węzeł, akcentując twarz wyszczuploną i stwardniałą przez lata spędzone na Arrakis. Księżna wciąż zachowywała wyniosłość wyuczoną na dworze ojca, Szaddama IV. Alia często myślała, że to pełne dumy zachowanie mogło ukrywać myśli spiskowca.

Idaho rozsiadł się wygodnie. Miał na sobie pozbawiony insygniów, czarno-zielony mundur Gwardii rodu Atrydów. Uniform

był zwykłą imitacją, którą skrycie pogardzało wielu rzeczywistych strażników Alii, zwłaszcza amazonek chodzących w chwale insygniów swej rangi. Nie podobała im się po prostu obecność gholi-szermierza-mentata, tym bardziej, że był mężem ich pani.

— Zatem plemiona pragną, by lady Jessika zasiadła w Radzie Regencji — powiedział Idaho. — Jak może…

— Wystosowali jednoznaczne żądania! — krzyknęła nerwowo Alia, wskazując na wytłoczony wypukłym drukiem arkusz papieru przyprawowego, leżący na otomanie obok Irulany. — Farad'n to jedno, ale to… Węszę w tym inne porządki.

— Co o tym sądzi Stilgar? — zapytała Irulana.

— Podpisał się pod petycją! — odparła Alia.

— Ale jeśli on…

— Jak mógł odmówić matce boga? — zadrwiła Alia.

Idaho podniósł na nią wzrok, myśląc: „Przeciąga strunę z Irulaną!" Znowu zastanowił się, dlaczego sprowadziła go tu z powrotem, skoro wiedziała, że jego obecność w siczy Tabr jest konieczna, by plan porwania miał się powieść. Czy to możliwe, że usłyszała o wiadomości przesłanej mu przez Kaznodzieję? Ta myśl sprawiła, że poczuł ucisk w piersi. Skąd ów żebraczy mistyk znał tajny znak, którym Paul Atryda przywoływał swego mistrza miecza? Idaho marzył, by opuścić spotkanie i powrócić do poszukiwań odpowiedzi na to pytanie.

— Nie ma wątpliwości, że Kaznodzieja przebywał poza planetą — powiedziała Alia. — Gildia nie odważyłaby się zwodzić nas w takiej sprawie. Rozkażę, by go…

— Ostrożnie! — przerwała Irulana.

— Rzeczywiście, uważaj — rzekł Idaho. — Pół planety wierzy, że to jest… — wzruszył ramionami — twój brat. — Idaho miał nadzieję, że wypowiedział to odpowiednio obojętnym tonem.

„Skąd ten człowiek znał znak?" — myślał.

— Ale jeżeli jest kurierem albo szpiegiem…

— Nie skontaktował się z nikim z KHOAM ani z rodu Corrinów — powiedziała Irulana. — Możemy być pewni, że…

— Niczego nie możemy być pewni. — Alia nie starała się nawet ukryć lekceważenia. Odwróciła się plecami do Irulany, twarzą ku Idaho. Czy wiedział, dlaczego tu jest? Czemu nie zachowuje się tak, jak się tego po nim spodziewała? Był w Radzie, bo była tu Irulana. Nie można zapomnieć, jak to się stało, że księżna rodu Corrinów przeszła na stronę Atrydów. Posłuszeństwo raz złamane może być złamane ponownie. Mentackie siły Duncana winny szukać skaz, subtelnych odchyleń w jej zachowaniu.

Idaho poruszył się i spojrzał na Irulanę. Były chwile, kiedy odpychały go prymitywne przymusy narzucone jego mentackiej

aktywności. Wiedział, co myśli Alia. Irulana prawdopodobnie również dobrze to wiedziała. Lecz księżna-małżonka Muad'Diba pogodziła się z decyzjami, które czyniły z niej kogoś mniej ważnego od królewskiej konkubiny — Chani. Nie można było wątpić w oddanie Irulany bliźniętom. Wyrzekła się rodziny oraz Bene Gesserit i przeszła na służbę Atrydów.

— Moja matka jest częścią spisku! — upierała się Alia. — Z jakiego innego powodu zakon żeński przysyłałby ją tutaj właśnie w tym czasie?

— Histeria nam w niczym nie pomoże — powiedział Idaho.

Alia odwróciła się od niego gwałtownie. Duncan wiedział, że tak zrobi. Poczuł ulgę, że nie musi patrzeć w ongiś kochaną twarz, tak teraz wykrzywianą przez obce opętanie.

— Dobrze więc — rzekła Irulana — nie można zupełnie ufać Gildii i…

— Gildia! — drwiąco mruknęła Alia.

— Nie możemy wykluczyć nieprzychylności Gildii czy Bene Gesserit — powiedział Idaho. — Musimy im jednak wyznaczyć specjalną kategorię, jako z założenia biernym bojownikom. Gildia będzie się trzymać podstawowej zasady: „Nigdy Nie Rządzić". Są pasożytniczą narośla i wiedzą o tym. Nie zrobią nic, by zabić organizm, który utrzymuje ją przy życiu.

— Ich pojęcie o tym, który organizm jest żywicielem, może być inne niż nasze — wycedziła Irulana. Była blisko szyderstwa, kiedy leniwym głosem stwierdziła: — Straciłeś punkt, mentacie.

Alia wydawała się zbita z tropu. Nie spodziewała się, że Irulana obierze taki kurs. To nie był temat, który chciałby poruszać spiskowiec.

— Bez wątpienia — zgodził się Idaho. — Ale Gildia nie wystąpi otwarcie przeciw rodowi Atrydów. Z drugiej strony, zakon żeński może zaryzykować jakąś polityczną woltę, która…

— Mogą to zrobić, wysuwając naprzód kogoś jako figuranta, którego same będą mogły się wyprzeć — powiedziała Irulana. — Bene Gesserit nie przetrwałyby przez wszystkie stulecia, nie znając wartości unikania rozgłosu. Wolą być za tronem niż na nim.

„Unikanie rozgłosu?" — zastanowiła się Alia. Czy taki był wybór Irulany?

— Podobne argumenty dotyczą Gildii — rzekł Idaho. Stwierdził, że konieczność argumentowania i wyjaśniania jest mu pomocna. Odciągała umysł od innych problemów.

Alia cofnęła się ku oświetlonym słońcem oknom. Znała słabe punkty Idaho, każdy mentat je miał. Musieli wygłaszać oświadczenia. Owa skłonność wywoływała tendencję polegania na pojęciach absolutnych, widzenia w ramach określonych granic. Na tym polegała

część ich szkolenia. „Powinnam go była zostawić w siczy Tabr — pomyślała Alia. — Byłoby lepiej poddać Irulanę przesłuchaniom prowadzonym przez Dżawida”.

W tym momencie usłyszała wewnątrz czaszki grzmiący głos:

— Właśnie!

„Zamknij się! Zamknij się! Zamknij się!” — pomyślała. Orientowała się, że w takich chwilach grozi jej popełnienie niebezpiecznej omyłki, ale nie mogła rozpoznać, w jakiej postaci. Czuła niebezpieczeństwo. Idaho musi jej pomóc wydobyć się z kłopotów. Był mentatem. Mentaci byli niezbędni. Ludzkie komputery zastąpiły mechaniczne urządzenia, zniszczone przez Dżihad Butlerjańską. Alia tęskniła jednak do uległych maszyn. Nie groziły im ograniczenia, jakim podlegał Duncan. Trudno nie dowierzać maszynie.

Alia usłyszała, jak Irulana cedzi słowa:

— Finta w fincie w fincie — kpiła. — Wszyscy znamy powszechny schemat ataku na władzę. Nie winię Alii za jej podejrzliwość. To oczywiste, że podejrzewa wszystkich — nawet nas. Skupmy się na chwilę. Co pozostaje główną areną motywów, najpłodniejszym źródłem niebezpieczeństwa dla Regencji?

— KHOAM — powiedział Idaho mentacko beznamiętnym głosem.

Alia pozwoliła sobie na ponury uśmiech. Konsorcjum Honnete Ober Advancer Mercantiles! Ród Atrydów sprawował władzę nad KHOAM, posiadając pięćdziesiąt jeden procent udziałów. Kapłaństwo Muad’Diba dzierżyło pięć następnych procent i pragmatyczną akceptację wysokich rodów tego, iż Diuna kontroluje bezcenny melanż. Nie bez powodu przyprawę często nazywano „tajną walutą”.

Bez przyprawy nie kursowałyby galeony Gildii Planetarnej. Melanż wywoływał „trans nawigacyjny”, dzięki któremu trans-świetlną drogę „dostrzegano” jeszcze przed jej przemierzeniem. Bez melanżu i powodowanego jego użyciem wzmocnienia ludzkiego układu immunologicznego czas życia bardzo bogatych zmniejszyłyby się co najmniej czterokrotnie. Nawet olbrzymia klasa średnia Imperium spożywała rozpuszczony melanż w małych dawkach co najmniej raz dziennie.

Alia dosłyszała jednak w głosie Idaho mentacką szczerość, dźwięk, na który czekała ze straszną niecierpliwością.

KHOAM. Konsorcjum Honnete było czymś znacznie większym niż ród Atrydów, znaczyło o wiele więcej niż Diuna, Kapłaństwo czy przyprawa. To były krwawiny, futra wielorybie, szigastruny, Ixiańskie urządzenia i zabawki, handel ludźmi i posiadłościami, Hadżdż, wytwory, które pochodziły z balansującej na granicy prawa technologii Tleilaxan, to były narkotyki i techniki medyczne, to był transport (Gildia) i cały arcyzłożony handel Imperium obejmującego tysiące znanych planet plus te, które ukradkiem żywiły się ochłapami,

zezwalając na świadczenie im usług. Gdy Idaho powiedział: „KHOAM”, mówił o nieustannym fermencie, intrygach wewnątrz intryg, grze sił, gdzie wzrost na dwunastym miejscu po przecinku w spłacie odsetek mógł spowodować zmianę posiadacza całej planety.

Alia odwróciła się i stanęła nad parą usadowioną na otomanach.

— Niepokoi cię coś szczególnego, co dotyczy KHOAM? — zapytała.

— Zawsze istniało spekulacyjne gromadzenie przyprawy przez pewne rody — stwierdził Idaho.

Alia klasnęła dłońmi o uda, następnie wskazała gestem na tłoczony papier przyprawowy obok Irulany.

— A to żądanie cię nie intryguje, mimo sposobu, w jaki nadeszło?

— W porządku — warknął Idaho. — Do diabła z tym. Co ukrywasz? Znasz za dobrze fakty, by im zaprzeczać, a jednak oczekujesz, żebym działał jako…

— Ostatnio nastąpiło bardzo znaczące ożywienie na rynku, jeżeli chodzi o ludzi czterech specyficznych specjalności — powiedziała Alia. Zastanowiła się, czy jest to naprawdę nowa wiadomość dla tej pary.

— Jakich specjalności? — zapytała Irulana.

— Mistrzowie miecza, wypaczeni mentaci z Tleilaxu, uwarunkowani lekarze z Akademii Suk i dobrzy księgowi. Zwłaszcza ci ostatni. Dlaczego zapanował teraz dziwny trend kwestionowania ksiąg? — skierowała pytanie prosto do Idaho.

„Działaj jako mentat” — powiedział do siebie. Czuł się wtedy znacznie lepiej, niż kiedy rozważał, czym stała się Alia. Skupił się na wypowiedzianych słowach, odtwarzając je w umyśle w mentacki sposób. Mistrzowie miecza? Tak właśnie go kiedyś nazywano. Byli oni oczywiście czymś więcej niż tylko wojownikami. Potrafili naprawić tarcze obronne, zaplanować kampanie militarne, zaprojektować udogodnienia w zaopatrzeniu wojskowym, na poczekaniu wymyślać nowe rodzaje broni. Wypaczeni mentaci? Tleilaxanie widocznie wciąż trwali przy tej sztuce. Sam będąc mentatem, Idaho znał kruchość tleilaxańskiego wypaczenia. Wysokie rody, które ich kupowały, miały nadzieję na absolutną kontrolę. Nic z tego! Nawet Piter de Vries, który służył Harkonnenom w czasach wendety na rodzie Atrydów, zachował wrodzoną godność, przedkładając w końcu śmierć nad skalanie swego honoru. Lekarze z Suk? Ich uwarunkowanie rzekomo gwarantowało lojalność wobec posiadaczy-pacjentów. Lekarze z Suk stali się bardzo drodzy. Ich podwyższony najem pociągał za sobą istotny przepływ funduszy.

Idaho rozważał powyższe fakty w stosunku do wzrostu popytu na księgowych.

— Pierwsza kalkulacja — przemówił, wskazując stanowczo

wyważoną pewnością swego tonu, że mówi o wnioskach osiągniętych drogą indukcji. — Nastąpił wzrost zamożności rodów niskich. Niektóre po cichu dążą ku statusowi rodów wysokich. Taka zamożność może być tylko wynikiem określonych zmian w układzie sił politycznych.

— Wreszcie dochodzimy do Landsraadu — powiedziała Alia.

— Następne posiedzenie Landsraadu odbędzie się dopiero za niecałe dwa lata standardowe — przypomniała jej Irulana.

— Ale polityczny handelek nigdy nie ustaje — odparła Alia. — A ja ręczę, że kilku z plemiennych sygnatariuszy — wskazała na arkusz obok Irulany — to członkowie niskich rodów, które ujednoliciły swój kurs.

— Być może — odrzekła Irulana.

— Landsraad — powiedziała Alia. — Jakiej lepszej przykrywki trzeba Bene Gesserit? I jakiej lepszej agentki dla zakonu, niż moja własna matka? — Alia usiadła dokładnie naprzeciwko Idaho. — No więc, Duncan?

„Dlaczego nie działać jak mentat?" — zadał sobie pytanie. Wiedział dokładnie, dokąd zmierzają podejrzenia Alii. Wszak był przez pewien czas osobistym strażnikiem lady Jessiki.

— Duncan? — przynagliła Alia.

— Powinnaś wejrzeć bliżej w akta prawne, mogące być przygotowywane na następną sesję Landsraadu — powiedział Idaho. — Prawdopodobnie starają się ponownie zanegować przywilej Regentki do weta wobec pewnego rodzaju uchwał, zwłaszcza ustalania podatków oraz kontrolowania karteli. Są i inne, ale…

— Nie będzie z ich strony zbyt pragmatycznym posunięciem, jeżeli zajmą takie stanowisko — stwierdziła Irulana.

— Zgadzam się — odparła Alia. — Sardaukarzy nie mają kłów, a my wciąż mamy fremeńskie legiony.

— Ostrożnie, Alio — powiedział Idaho. — Nic bardziej nie podobałoby się naszym wrogom, niż zrobienie z nas potworów. Bez względu na to, iloma legionami dowodzisz, władza w Imperium tak rozproszonym jak to opiera się ostatecznie na głosowaniu.

— Głosowaniu powszechnym? — zapytała Irulana.

— Ma na myśli głosowanie wysokich rodów — powiedziała Alia.

— A z iloma wysokimi rodami przyjdzie się zmierzyć wobec nowego sojuszu? — zapytał Duncan. — Pieniądze gromadzą się w dziwnych miejscach.

— Peryferie? — spytała Irulana.

Idaho wzruszył ramionami. Na to pytanie nie mógł odpowiedzieć. Wszyscy troje podejrzewali, że pewnego dnia Tleilaxanie bądź technologiczni druciarze z peryferii zneutralizują zjawisko Holtzmana. Od tego dnia tarcze staną się bezużyteczne. Runie cała wątpliwa

równowaga, która podtrzymywała lenny system planetarny.

Alia nie chciała rozważać takiej możliwości.

— Będziemy się opierać na konkretnych faktach — stwierdziła. — Wiemy, że dyrektoriat KHOAM zdaje sobie sprawę z tego, że my możemy zniszczyć przyprawę, jeżeli zostaniemy zmuszeni. Nie zaryzykują zagłady.

— Znów wróciliśmy do KHOAM — powiedziała Irulana.

— O ile ktoś wcześniej nie przeprowadzi cyklu piaskopływak-czerw na jakiejś innej planecie — dodał Idaho. Spojrzał na Irulanę wyraźnie podnieconą pytaniem. — Na Salusa Secundus?

— Moje informacje są godne zaufania — zapewniła Irulana. — Nie tam.

— Podtrzymuję moją propozycję — rzekła Alia, wpatrując się w Idaho. — Opierajmy się na znanych faktach. „Mój ruch" — pomyślał Idaho.

— Dlaczego odciągnęłaś mnie od ważnej pracy? Mogłaś się sama uporać z tym problemem — rzekł.

— Nie mów do mnie nigdy tym tonem! — wypaliła Alia.

Oczy Idaho rozszerzyły się. Przez chwilę ujrzał coś obcego w twarzy Alii i widok ten wytrącił go z równowagi. Zwrócił uwagę na Irulanę, ale ta nic nie zauważyła… lub sprawiała takie wrażenie.

— Nie potrzebuję niczyich pouczeń — powiedziała Alia głosem wciąż podszytym obcym gniewem.

Idaho zdobył się na smutny uśmiech, ale bolało go w piersiach.

— Nigdy nie uciekniemy daleko od bogactwa i jego masek, kiedy zajmujemy się władzą — wycedziła Irulana. — Paul przyniósł społeczną zmianę i jako taki zachwiał starą równowagę bogactwa.

— Podobne przemiany nie są nieodwracalne — powiedziała Alia, zwracając się do nich, jak gdyby drążąca ją inność pozostawała nadal tajemnicą. — Jeżeli gdzieś w Imperium znajduje się nagromadzone bogactwo, to jest nam o tym wiadomo.

— Wiadomo również — uzupełniła Irulana — że jest troje ludzi, którzy mogą uwiecznić przemianę: bliźnięta i… — Wskazała na Alię.

„Czy one też są opętane?" — zastanowił się Idaho.

— Będą próbowały mnie zabić — wychrypiała Alia.

Wstrząśnięty Idaho zapadł w milczenie. Mentacka świadomość wywijała kozły. Zabić Regentkę? Dlaczego? Zbyt łatwo mogą ją zdyskredytować. Alię wystarczyło odciąć od Fremenów i zaszczuć, jeśli taka wola. Ale bliźnięta… Wiedział, że nie jest we właściwym dla mentata stanie spokoju, aby móc przeprowadzić dogłębną analizę. Trzeba się skoncentrować. Wiedział jednocześnie, że elementami precyzyjnego myślenia są nieprecyzyjne pojęcia. Natura nie była precyzyjna. Rodzaj ludzki trzeba było uwzględniać w kalkulacjach, tak jak zjawiska naturalne, a proces dogłębnej analizy polegał na

szatkowaniu całości, oddalaniu się od bieżącego nurtu wszechświata. Musiał dostać się w ten nurt, ujrzeć go w ruchu.

— Mieliśmy rację, skupiając się na KHOAM i Landsraadzie — wolno powiedziała Irulana. — A sugestia Duncana podsuwa nam pierwszą linię poszukiwań…

— Pieniędzy jako środka transmisji energii nie można oddzielać od energii, jaką wyrażają — uzupełniła Alia. — Wszyscy to wiemy. Ale musimy odpowiedzieć na trzy określone pytania: kiedy, jaką bronią i gdzie.

„Bliźnięta… bliźnięta — pomyślał Idaho. — Właśnie bliźnięta są w niebezpieczeństwie, nie Alia".

— Nie interesuje cię, kto i jak? — zapytała Irulana.

— Jeżeli ród Corrinów, KHOAM, bądź jakakolwiek inna grupa posiada narzędzia zbrodni, zgromadzone na Arrakis — rzekła Alia — mamy ponad sześćdziesiąt procent szans, że odnajdziemy je, zanim zostaną użyte. Informacja, kiedy i gdzie zadziałają, zwiększyłaby jeszcze nasze szansę.

„Dlaczego nie widzą tego tak, jak ja?" — zastanawiał się Idaho.

— W porządku — zgodziła się Irulana. — Kiedy?

— Gdy uwaga będzie skupiona na kimś innym — odparła Alia.

— Uwaga była skupiona na twojej matce podczas Konwokacji — powiedziała Irulana — i nie podjęto żadnej próby.

— Miejsce było nieodpowiednie — odparła Alia. „O co jej chodzi?" — zastanawiał się Idaho.

— Więc gdzie? — spytała Irulana.

— Właśnie tu, w Cytadeli — powiedziała Alia. — Tu czuję się najbezpieczniejsza i mam najmniej strażniczek.

— Jaką bronią?

— Konwencjonalną, czymś, co Fremen może mieć przy sobie: zatrutym krysnożem, pistoletem maula…

— Od dawna nie stosowano grotu-gończaka — dorzuciła Irulana.

— Nie sprawdziłby się w tłumie — powiedziała Alia. — To musi stać się w tłumie.

— Broń biologiczna?

— Czynnik zakaźny? — zapytała Alia, kryjąc niedowierzanie. Jak Irulana mogła sądzić, że czynnik zakaźny zadziałałby mimo immunologicznych barier chroniących Atrydów?

— Myślałam raczej o czymś w rodzaju zwierzęcia — rzekła Irulana.

— Małym, udomowionym zwierzątku, wyćwiczonym, by ugryzło wybraną ofiarę i wsączyło jej w ranę truciznę.

— Łasice rodu by temu zapobiegły.

— Może jedna z nich?

— Wykluczone. Łasice rodu odrzuciłyby odmieńca. Zabiłyby go,

wiesz o tym.

— Rozważałam możliwości w nadziei, że…

— Ostrzegę strażniczki — powiedziała Alia.

Kiedy Alia mówiła: „strażniczki”, Idaho zakrył dłonią oczy, starając się oprzeć narastającemu uczuciu konieczności włączenia się w Rhadżiję, ruch Wieczności wyrażony przez życie, puchar potencjalnego pogrążenia się w mentackiej świadomości. Nagle ujrzał w ciemności bliźnięta; wielkie pazury szybowały ku nim, tnąc powietrze.

— Nie… — szepnął.

— Co? — Alia spojrzała, jak gdyby zaskoczona, że Idaho wciąż tu jest. Zdjął dłoń z oczu.

— Te stroje, które przysłał ród Corrinów! — rzucił. — Wysłano je już bliźniętom?

— Oczywiście — potwierdziła Irulana. — Są zupełnie nieszkodliwe.

— Nikt nie będzie próbował ruszyć bliźniąt w siczy Tabr — powiedziała Alia. — Zbyt wielu jest dookoła wyszkolonych przez Stilgara strażników.

Idaho utkwił w niej wzrok. Nie miał żadnych dowodów na poparcie twierdzenia wynikającego z mentackiej kalkulacji, mimo to jednak wiedział. Wiedział. Był bardzo blisko proroczej mocy, którą posiadł Paul. Ani Irulana, ani Alia nie uwierzyłyby mu, gdyby im powiedział.

— Chciałbym, żeby poinformowano władze portu o zakazie wwozu obcych zwierząt na Arrakis — powiedział.

— Nie bierzesz chyba poważnie sugestii Irulany?! — zaprotestowała Alia.

— Dlaczego mamy niepotrzebnie ryzykować?

— Porozmawiaj z przemytnikami. Ja powierzam swe bezpieczeństwo łasicom rodu.

Idaho potrząsnął głową. Co mogły zrobić łasice rodu wobec pazurów tych rozmiarów, które widział w wizji? Alia miała jednak rację. Właściwe ulokowane łapówki, jeden znajomy Nawigator Gildii i dowolne miejsce na Pustych Kwadratach, które posłużyłoby za lądowisko. Gildia będzie się opierała podjęciu frontalnego ataku na ród Atrydów, ale jeżeli suma okaże się dostatecznie wysoka… Gildię można było traktować jako coś w rodzaju bariery geologicznej, która atak czyniła trudnym, ale nie niemożliwym. Powszechnie znano ulubiony wykręt, że służyli jako „agencja transportowa”. Nie mogli przecież przewidzieć, do czego miał być użyty jeden szczególny ładunek.

Alia przerwała ciszę czysto fremeńskim gestem — podniesieniem pięści z ustawionym poziomo kciukiem. Gestowi towarzyszyły

tradycyjne słowa: „Wyzywam Walkę Hurganu”. Stało się oczywiste, iż uważa się za jedyny logiczny cel zamachów, a gestem protestowała przeciwko wszechświatowi pełnemu gróźb. Mówiła, że rzuci wiatr śmierci na każdego, kto ją zaatakuje.

Idaho nie protestował. Wiedział, że już go nie podejrzewa. Wracał do Tabr, a ona będzie oczekiwać sprawozdania z perfekcyjnie przeprowadzonego porwania lady Jessiki. Podniósł się z otomany w nagłym przypływie gniewu, myśląc: „Gdyby Alia była celem! Gdyby tylko zabójcy mogli dostać się do niej!” Przez chwilę trzymał dłoń na nożu, ale nie mógł zabić jej teraz. Może i lepiej, że umrze jako ofiara, niż gdyby miała żyć zhańbiona i zaszczuta.

— Tak, wracaj już do Tabr — powiedziała Alia, błędnie interpretując wyraz twarzy Idaho: jako przejaw troski o nią.

„Jaka byłam głupia, podejrzewając Duncana! On jest mój, nie Jessiki!” — pomyślała. Żądanie plemion naprawdę ją zdenerwowało, stwierdziła ze zdziwieniem. Machnęła ręką w geście pożegnania, gdy wychodził.

Idaho opuścił Izbę Rady, czując wewnętrzną pustkę. Alia została oślepiona nie tylko przez obce opętanie, stawała się też z każdym kryzysem coraz bardziej szalona. Minęła już punkt, którego przekraczać nie powinna. Co mógł zrobić dla ratowania bliźniąt? Kogo powinien przekonać? Stilgar uczynił wszystko, co możliwe, aby zabezpieczyć dzieci, i niczego więcej nie należało od niego wymagać.

Zatem lady Jessika?

Tak, musiał rozważyć tę możliwość. Jessika mogła być jednak zbyt głęboko uwikłana w spisek zakonu żeńskiego. Nie żywił złudzeń co do postawy tej atrydzkiej konkubiny. Uczyniłaby wiele na rozkaz Bene Gesserit — zwróciłaby się nawet przeciw swym wnukom.

> *Dobre sprawowanie rządów nigdy nie zależało od aktów prawnych, ale od osobistego charakteru rządzących. Machina sprawowania władzy zawsze podlega woli tych, którzy nią kierują. Najistotniejszym elementem rządzenia jest przeto metoda wybierania przywódców.*
>
> *„Prawo i rządzenie. Poradnik Gildii Planetarnej”*

„Dlaczego Alia chce, żebym razem z nią przyjmowała interesantów na porannej audiencji? — zastanawiała się Jessika. — Nie przegłosowano jeszcze sprawy mojego powrotu do Rady”.

Jessika stała w przedsionku Wielkiej Sali w Cytadeli. Sam

przedsionek wszędzie poza Diuną byłby wielką komnatą. Podążając za przykładem Atrydów, budowle na Arrakis stawały się coraz bardziej gigantyczne, w miarę jak skupiało się tu bogactwo i władza. Owa sala stanowiła streszczenie obaw Jessiki. Wyraźnie drażnił ją ogrom przedsionka z mozaikową posadzką, obrazującą zwycięstwo Paula nad Szaddamem IV.

Na wypolerowanych, plastalowych drzwiach prowadzących do Wielkiej Sali ujrzała odbicie własnej twarzy. Powrót na Diunę wymuszał na niej porównania i Jessika dostrzegła wyraźne znaki starzenia się: na owalnej twarzy widniały drobniutkie zmarszczki, a oczy w kolorze indygo sprawiały wrażenie już nie tak wyrazistych. Pamiętała czasy, gdy błękit jej oczu był otoczony bielą. Tylko staranne zabiegi fryzjera utrzymywały lśniący brąz jej włosów. Nos wciąż był mały, usta szerokie, a ciało nadal smukłe, lecz nawet wyszkolone przez Bene Gesserit mięśnie miały tendencję do zwalniania reakcji wraz z upływem czasu. Niektórzy mogli tego nie zauważyć i powiedzieć: „Nie zmieniłaś się nawet odrobinę!" Lecz szkoła zakonu żeńskiego stanowiła miecz obosieczny — małe zmiany rzadko wymykały się uwadze tych, którzy ją ukończyli.

I rzeczywiście, brak drobnych zmian w urodzie Alii nie uszedł uwadze Jessiki.

Dżawid organizujący audiencję u Alii stał w wielkich drzwiach z nader oficjalną miną, ubrany w szatę gospodarza, z cynicznym uśmiechem na okrągłej twarzy. Dżawid zadziwiał lady Jessikę jako swoisty paradoks: dobrze odżywiony Fremen. Zauważając zwróconą ku sobie uwagę, uśmiechnął się z charakterystyczną pewnością siebie i wzruszył ramionami. Jego pobyt w świecie Jessiki trwał krótko. Nienawidził Atrydów, ale był nie tyle człowiekiem Alii, co jej mężczyzną… jeżeli wierzyć plotkom.

Jessika dojrzała ten gest i pomyślała: „Nadszedł wiek wzruszania ramionami. Wie, że słyszałam opowieści o nim, i nie dba o to. Nasza cywilizacja równie dobrze może umrzeć od toczącej ją obojętności, jak ulegając atakowi z zewnątrz".

Strażnikom, których wyznaczył jej Gurney przed udaniem się do przemytników na pustynię, nie podobał się pomysł przebywania tutaj ich podopiecznej bez obstawy. Lecz Jessika czuła się dziwnie bezpieczna. Niech ktoś spróbuje ją tu zamordować — Alia by tego nie przetrwała. Córka Jessiki doskonale o tym wiedziała.

Gdy wiedźma Bene Gesserit nie odpowiedziała na ruch ramion i uśmiech Dżawida, ten kaszlnął, wydobywając z krtani dziwny odgłos, który mógł osiągnąć tylko poprzez wytrwałe ćwiczenia. Przypominało to tajny język, a znaczyło: „Pojmujemy bezsens całej pompy, pani. Ale czyż to nie cudowne widzieć, do czego można zmusić ludzi?"

„To cudowne!" — zgodziła się Jessika, nie zdradzając twarzą

śladu tej myśli.

Przedsionek zapełniali dopuszczeni na rano petenci, którzy otrzymywali pozwolenie na wstęp od ludzi Dżawida. Zamknięto zewnętrzne drzwi. Suplikanci i słudzy trzymali się w przyzwoitej odległości od Jessiki, lecz widzieli, że ma na sobie oficjalną, czarną abę — typowy ubiór fremeńskiej Wielebnej Matki. Zebranym nasuwało się wiele pytań. Dlaczego nie nosiła oznak kapłaństwa Muad'Diba? Pomruk rozmów rozległ się w sali, wszyscy zerkali to na Jessikę, to na małe boczne drzwi, przez które miała wejść Alia, by wprowadzić ich do Wielkiej Sali. Wiedzieli, że stara reguła, określająca zakres władzy Regentki, została naruszona.

„Aby tego dokonać, wystarczyło zjawić się tutaj — pomyślała. — Przyszłam, bo Alia mnie zaprosiła".

Odczytując oznaki zaniepokojenia, Jessika uświadomiła sobie, że Alia umyślnie przeciąga chwilę swego pojawienia się, pozwalając delikatnym prądom niepewności przepływać między zgromadzonymi. Było oczywiste, że gospodyni ogląda wszystko przez jakiś szpiegowski otwór. Niewiele z subtelności zachowania Alii wymykało się spod osądu Jessiki i z każdą mijającą minutą czuła, że miała wiele racji, przyjmując misję wymuszoną przez zakon żeński.

„Nie możemy pozwolić, by sprawy szły dalej tym torem — argumentowała przewodząca delegacji Bene Gesserit. — Z pewnością zauważyłaś oznaki rozkładu. Wiemy, dlaczego nas opuściłaś, ale wiemy również, jak zostałaś wyszkolona. Niczego nie pożałowano dla twojej edukacji. Jesteś adeptką panoplia propheticus i musisz wiedzieć, że rozkład potężnej religii zagraża nam wszystkim „.

Jessika w zamyśleniu zacisnęła usta, widząc przez okno łagodne oznaki wiosny. Nie podobała się jej ścisła precyzja wypowiadanych słów. Jedna z pierwszych lekcji zakonu mówiła, że należy wykazywać sceptyczną postawę wobec wszystkiego, co zjawia się w szatach logiki. Ale członkinie delegacji również to wiedziały.

Rozglądając się po przedsionku, Jessika pomyślała, jak wilgotne jest powietrze tego poranka. Jak świeże i wilgotne. Wywołało to w niej uczucie niewygody. „Nawróciłam się na fremeńskie obyczaje — pomyślała. — Nie powinno być wilgotnego powietrza w siczy-nad-ziemią. Co robi mistrz uszczelnień? Paul nigdy by nie pozwolił na taką niedbałość".

Zauważyła, że Dżawid, którego błyszcząca twarz wyrażała czujność i zrównoważenie, nie dostrzegał skazy wilgoci w atmosferze przedsionka. Był to przejaw złego wyszkolenia, jak na kogoś, kto urodził się na Arrakis.

Członkinie delegacji Bene Gesserit chciały wiedzieć, czy pragnie dowodów. Udzieliła im gniewnej odpowiedzi wprost z podręczników zakonu:

” Wszystkie dowody prowadzą w sposób nieunikniony ku wnioskom, na które nie ma dowodów! Wszystkie rzeczy są znane, ponieważ chcemy w nie wierzyć”.

„Ależ pytałyśmy mentata” — zaprotestowała przewodnicząca delegacji.

Jessika spojrzała zdumiona na tę kobietę.

„Dziwię się, że osiągnęłyście obecne stanowiska i jeszcze nie nauczyłyście się, że mentaci mają ograniczenia” — rzekła.

Odpowiedź wyraźnie spodobała się delegacji. Widocznie poddały ją próbie, a ona ją zdała. Obawiały się, że straciła umiejętność panowania nad sobą, że straciła umiejętność kontrolowania równoważących się zdolności, stanowiących istotę szkolenia Bene Gesserit.

Teraz Jessika musiała być czujna. Zobaczyła, że Dżawid opuszcza stanowisko przy drzwiach i podchodzi do niej. Ukłonił się.

— Pani, pomyślałem, że może nie słyszałaś o ostatnim wyczynie Kaznodziei.

— Dostaję codziennie raporty o wszystkim, co się tu dzieje — odparła.

„Niech wraca do Alii!” — pomyślała. Dżawid uśmiechnął się.

— Zatem wiesz, że złorzeczy twej rodzinie. Zeszłej nocy wygłaszał kazanie na południowym przedmieściu i nikt nie odważył się go tknąć. Wiesz, oczywiście, dlaczego.

— Bo myślą, że to mój syn do nich powrócił — powiedziała znudzonym głosem Jessika.

— Tego pytania nie zadano jeszcze mentatowi Idaho — rzekł. — Może należałoby go zapytać i rozwiązać ostatecznie tę kwestię.

Jessika pomyślała: „Oto ten, który nie zna ograniczeń mentatów, chociaż stara się przyprawić rogi jednemu z nich, jeżeli nie w rzeczywistości, to w marzeniach”.

— Mentaci podzielają omylność tych, którzy ich używają — powiedziała. — Umysł ludzki, podobnie jak umysły wszystkich zwierząt, jest rezonatorem. Reagując na drgania rezonansowe w otoczeniu, mentat uczy się rozciągać świadomość wzdłuż wielu pętli przyczynowych i tworzyć z nich długie łańcuchy następstw. — I pomyślała: „Niech to rozgryzie”.

— Zatem Kaznodzieja cię nie niepokoi, pani? — zapytał Dżawid głosem nagle oficjalnym i złowrogim.

— Myślę, że jest zdrowym znakiem — powiedziała. — Nie chcę, by mu przeszkadzano.

Dżawid wyraźnie nie oczekiwał szczerej odpowiedzi. Spróbował się uśmiechnąć, ale mu nie wyszło.

— Rada Zarządzająca Kościoła, który deifikuje wolę Muad’Diba, oczywiście skłoni się ku twoim życzeniom, jeżeli nalegasz — rzekł. —

Ale z pewnością jakieś wyjaśnienie…

— Prawdopodobnie wolałbyś, żebym to ja wyjaśniła, jakie miejsce mam zająć w waszych planach — powiedziała. Dżawid spojrzał na nią zmrużonymi oczami.

— Pani, nie widzę żadnej logicznej racji, dla której odmawiasz potępienia Kaznodziei. On nie może być twoim synem. Składam ci rozsądną propozycję: potęp go.

„Czyje słowa powtarza? — pomyślała Jessika. — Czyżby Alii…?"

— Nie — powiedziała.

— Ale on kala imię twego syna! Wygłasza obrzydliwe herezje, podburza przeciw twej świętej córce. Podżega ludność. Zapytany, powiedział, że nawet ty masz w sobie zło i że…

— Dość tych bredni! — rzekła Jessika. — Powiedz Alii, że odmawiam. Od mojego powrotu nie słyszę nic oprócz opowieści o Kaznodziei. Nudzi mnie to.

— Czy także znudzi cię, pani, informacja, że w ostatnim oszczerstwie przewidział, że nie zechcesz wystąpić przeciw niemu? I że widocznie ty…

— Nawet jeśli jestem złem, to go nie potępię — powtórzyła.

— Nie jest to temat do żartów, pani. Jessika machnęła gniewnie ręką.

— Odejdź! — przemówiła z wystarczającą siłą, słyszaną przez innych, by skłonić go do usłuchania.

Oczy zabłysły mu gniewem, ale zdobył się na sztywny ukłon i wrócił na poprzednie miejsce przy drzwiach.

Sprzeczka pasowała dokładnie do obserwacji, jakie zdążyła poczynić. Gdy Dżawid mówił o Alii, słowa wypowiadał matowymi półtonami kochanka: co do tego nie mogła się mylić. Bez wątpienia plotki sprawdziły się. Alia pozwoliła swemu życiu wynaturzyć się w straszliwy sposób. Obserwując to, Jessika poczęła żywić podejrzenie, że jej córka z własnej woli stała się Paskudztwem. Czyżby perwersyjne pragnienie samozniszczenia? Albowiem Alia z pewnością pracowała nad zniszczeniem siebie i podstaw władzy żywiącej się naukami brata.

Usłyszała słabe odgłosy niezadowolenia, dobiegające z przedsionka. Oficjałowie domyślali się, dlaczego Alia zwleka tak długo, a do tej pory wszyscy zdążyli zapewne dowiedzieć się o stanowczej odprawie, udzielonej jej faworytowi. Jessika westchnęła. Czuła, że ciałem przebywa w tym miejscu, ale jej dusza wymyka się, pragnąc opuścić świątynię. Poruszenie wśród dworaków stawało się coraz wyraźniejsze. Wzajemne odszukiwanie się znaczących ludzi wyglądało jak taniec, jak powiew wiatru wśród źdźbeł zboża. Wypielęgnowani obywatele marszczyli brwi i pragmatycznie oszacowywali na skali wartości sobie podobnych grubasów. Z pewnością odtrącenie zraniło Dżawida — niewielu się doń odzywało.

Wystarczyło jednak popatrzeć na innych. Jej wyćwiczone oko potrafiło odczytać hierarchię satelitów krążących dookoła najpotężniejszych.

„Nie towarzyszą mi, bo jestem niebezpieczna” — pomyślała.

Jessika rozejrzała się po sali, widząc odwracające się oczy. Byli tak próżni, że poczuła, iż chce krzyczeć przeciw marnym usprawiedliwieniom, jakie wymyślali dla swych bezcelowych żywotów. Och, gdyby Kaznodzieja mógł zobaczyć, jak wygląda teraz ta sala!

Jej uwagę przyciągnął posłyszany strzęp toczonej w pobliżu rozmowy. Wysoki, smukły kapłan zwracał się do swej koterii, suplikantów występujących tu bez wątpienia pod jego patronatem.

— Często muszę mówić co innego, niż myślę — powiedział. — Nazywa się to dyplomacją.

Wywołany dowcipem śmiech był zbyt głośny i zbyt szybko zamilkł. Ludzie w grupie spostrzegli, że Jessika nasłuchuje.

„Mój książę wyrzuciłby ich do najdalszej, dechami zabitej dziury! — pomyślała Jessika. — Wcale nie wróciłam zbyt wcześnie”.

Zrozumiała, że żyła na odległym Kaladanie pod szczelną kopułą, pozwalającą na przedarcie się tylko najbardziej rażących wieści o wybrykach Alii. „To wina mojej własnej, sennej egzystencji” — pomyślała. Kaladan był miejscem równie wielkiej izolacji, jak ta, którą zapewniała pierwszorzędna fregata, bezpieczna w macierzystym galeonie Gildii. Można było odczuć tylko najbardziej gwałtowne manewry, a i to jedynie jako łagodne drgnięcia.

„Jak kuszące jest życie w spokoju” — pomyślała.

Im więcej widziała na dworze Alii, tym większe odczuwała zrozumienie dla słów Kaznodziei, o których jej donoszono. Paul mógłby tak mówić, widząc, co stało się z jego królestwem. Jessika zastanawiała się, co Gurney odkrył wśród przemytników.

Uświadomiła sobie, że jej pierwsza reakcja na Arrakin była słuszna. Tego dnia, gdy wjeżdżała do miasta z Dżawidem, jej uwagę zwracały uzbrojone patrole wokół domów, strażnicy na ulicach i w alejach, cierpliwi obserwatorzy na każdym zakręcie, wysokie ściany i mocne fundamenty, wskazujące na głębokie podziemia. Arrakin stało się miejscem niegościnnym, pełnym obłudy, ograniczającym swobodę i mającym odpychający wygląd.

Nagle otworzyły się małe drzwi wiodące do przedsionka. Pierwsza pojawiła się w nich przednia straż kapłanek-amazonek. Dalej podążała Alia ze zaktywizowaną tarczą, wyniosła i poruszająca się ze skończoną świadomością rzeczywistej, potężnej władzy. Jej twarz pozostała nieruchoma; żadne uczucie nie zdradziło swego istnienia, gdy zauważyła matkę i rzuciła jej spojrzenie. Obie jednak wiedziały, że bitwa się rozpoczęła. Alia podeszła do Jessiki, a strażniczki otoczyły je

kordonem.

— Wchodzimy już, matko? — zapytała.

— Najwyższy czas — odparła Jessika. I pomyślała, widząc w oczach Alii wyraz rozkoszowania się tą chwilą: „Myśli, że może mnie zabić i pozostać nietknięta! Szalona!"

Zastanowiła się, czy nie o to chodziło Idaho. Przesłał jej wiadomość, ale nie była w stanie na nią odpowiedzieć. Jej treść była jak zwykle enigmatyczna: „Niebezpieczeństwo. Muszę się z tobą spotkać". Napisano ją w odmianie dawnego Chakobsa, gdzie słowo, które oznaczało niebezpieczeństwo, oznaczało jednocześnie spisek.

„Spotkam się z nim, kiedy tylko wrócę do siczy Tabr" — zdecydowała.

> *Oto omyłka władzy: wyobraża sobie, że jest w najwyższym stopniu skuteczna w ograniczonym, niezmiennym wszechświecie absolutów. Podstawową lekcję naszego relatywistycznego wszechświata jest jednak to, że rzeczy się zmieniają. Każda siła musi w końcu spotkać się z większą. Paul Muad'Dib udzielił takiej nauki sardaukarom na Równinie pod Arrakin. Jego następcy dopiero muszą się tej lekcji nauczyć.*
>
> *„Kaznodzieja w Arrakin"*

Pierwszym suplikantem na porannej audiencji był trubadur z Kadeshu, pielgrzym Hadżdż, którego sakwę opróżnili arrkańscy najemnicy. Stał na zielonej jak woda posadzce komnaty, nie sprawiając w ogóle wrażenia pokornego poddanego.

Jessika podziwiała jego śmiałość. Obserwowała go z miejsca, w którym siedziała wraz z Alią, na szczycie siedmiostopniowej platformy. Ustawiono na niej dwa identyczne trony — dla matki i córki. Alia siedziała po prawej, męskiej stronie.

A jeśli chodzi o kadeshańskiego trubadura, to domyślała się, że ludzie Dżawida przepuścili go dla cechy, którą teraz okazywał, czyli wielkiej odwagi. Oczekiwano po nim, że dostarczy trochę rozrywki dworzanom zgromadzonym w Wielkiej Sali; miała to być zapłata uiszczona w zastępstwie pieniędzy, których już nie posiadał.

Z przemówienia kapłana-adwokata wynikało, że Kadeshaninowi pozostało tylko odzienie na grzbiecie i baliseta zwisająca na rzemiennym pasku z ramienia.

— Mówi, że podano mu jakiś ciemny napój — rzekł adwokat,

ledwie skrywając uśmiech, który usiłował wygiąć jego wargi. — Niech się Wasza Świątobliwość nie zdziwi, ale on twierdzi, że napój go sparaliżował. Niemniej napadnięty był świadomy w chwili, gdy odcinano mu sakiewkę.

Jessika obserwowała trubadura, podczas gdy adwokat gadał rozwlekle z fałszywą służalczością, wygłaszając mnóstwo lichych nauk moralnych. Kadeshanin był wysoki, z pewnością liczył ze dwa metry wzrostu. Jego spojrzenie zdradzało rozumną czujność i humor. Złote włosy opadały na ramiona, a w szerokiej klatce piersiowej i zwężającym się w dół ciele kryły się oznaki męskiej siły, których nie mogła zamaskować zielona szata Hadżdż.

Przedstawiono go jako Tagira Mohandisa, potomka handlarzy-inżynierów, dumnego ze swych przodków i siebie.

Alia ucięła perorę adwokata gestem ręki i przemówiła, odwracając się:

— Pierwszy werdykt wyda lady Jessika dla uczczenia swego powrotu do nas.

— Dziękuję, córko — powiedziała Jessika, podkreślając porządek pokoleń zrozumiały dla wszystkich, którzy jej słuchali.

Córko!

Zatem Tagir Mohandis był częścią ich planu. A może przypadkowo stał się niewinną ofiarą podstępu? Jessika wiedziała, że ów sąd był pomyślany jako otwarcie ataku na jej osobę.

— Dobrze grasz na tym instrumencie? — zapytała, wskazując na dziewięciostrunową balisetę na ramieniu trubadura.

— Równie dobrze, jak sam wielki Gurney Halleck! — powiedział głośno Tagir Mohandis, by wszyscy go słyszeli. Jego słowa wywołały zaciekawienie i poruszenie wśród dworzan.

— Oczekujesz, że otrzymasz w podarunku pieniądze na przejazd — rzekła Jessika. — Gdzie chcesz się za nie udać?

— Na Salusa Secundus i dwór Farad'na — odparł Mohandis. — Słyszałem, że potrzebuje trubadurów i minstreli, że popiera sztuki i tworzy wokół siebie wielki renesans cywilizowanego życia.

Jessika powstrzymała się od spojrzenia na Alię. Bez wątpienia wiedzieli wcześniej, o co poprosi Mohandis. Stwierdziła, że doskonale się bawi.

— Może zatem zapracujesz na swój przejazd? — zapytała Jessika. — Moje warunki są warunkami Fremenów. Jeżeli spodoba mi się twoja muzyka, mogę cię zatrzymać, żebyś rozpraszał nasze troski, jeżeli się zirytuję, wyślę cię na harówkę w głąb pustyni, byś tam zarobił na podróż. Gdy uznam, że twoja gra będzie coś warta dla Farad'na, o którym powiada się, że jest wrogiem Atrydów, wyślę cię mu z moim błogosławieństwem. Zagrasz na takich warunkach, Tagirze Mohandisie?

Odrzucił głowę do tyłu, śmiejąc się grzmiącym głosem. Blond włosy zatańczyły, gdy zdejmował balisetę i zręcznie stroił struny, dając tym do zrozumienia, że przyjmuje wyzwanie.

Tłum w komnacie zaczął napierać, ale został powstrzymany przez dworzan i strażników.

Po chwili Mohandis trącił jedną ze strun o wysokim brzmieniu, utrzymując przy tym basowy pomruk strun pobocznych i z wyrafinowaniem łącząc ich współzawodniczące wibracje. Następnie, podnosząc głos — aksamitny tenor — zaśpiewał, bez wątpienia improwizując, ale tak zręcznie, że Jessika uległa jego czarowi, zanim zdołała się skupić na tekście.

Tęsknisz za morzem na Kaladanie
Atrydko, gdzie trwało wasze panowanie,
Wciąż, nieprzerwanie,
Lecz wygnańcy żyją w obcych krajach!

Twierdzisz — to gorzcy, okrutni ludzie,
Sprzedają sny o Szej-huludzie
Za nędzne jadło.
Lecz wygnańcy żyją w obcych krajach!

Sprawiasz, że Diuna staje się słaba.
Że czerw przejść już tędy nie ma prawa.
Sięgasz swych celów,
Jak wygnaniec żyjesz w obcym kraju!

Alio! Zowią cię: Koan-Dziewczę,
Tym duchem nie widzianym jeszcze
Dopóki…

— Dość! — krzyknęła Alia, poderwawszy się z tronu. — Każę cię…

— Alio! — Jessika przerwała jej, w odpowiedni sposób dobierając barwę głosu. Powiedziała to wystarczająco głośno, by uniknąć konfrontacji, zyskując jednocześnie pełną uwagę. Po mistrzowsku użyła Głosu i ci wszyscy, którzy ją słyszeli, rozpoznali w tej demonstracji doskonale wyszkoloną siłę. Alia opadła z powrotem na siedzenie. Jessika zauważyła, że jej córka nie okazała po sobie śladu klęski.

„To również zostało przewidziane — pomyślała. — Bardzo ciekawe”.

— Pierwszy sąd należy do mnie — przypomniała jej Jessika.

— Bardzo dobrze. — Słowa Alii zabrzmiały jak szept.

— Stwierdzam, że jesteś odpowiednim podarunkiem dla Farad'na — powiedziała. — Masz język tnący jak krysnóż. Takie upusty krwi, do jakich jesteś zdolny, przydałyby się naszemu dworowi, ale wolałabym, żebyś je raczej stosował wobec rodu Corrinów.

Lekki szmer śmiechu przemknął przez salę. Alia wydęła wargi.

— Słyszałaś, jak mnie nazwał?

— Nijak cię nie nazwał, córko. Doniósł jedynie to, co każdy może usłyszeć na ulicach. Tam nazywają cię Koan-Dziewczęciem.

— Żeńskim duchem śmierci chodzącym bez stóp! — warknęła Alia.

— Jeżeli wyrzucasz tych, którzy donoszą prawdę, zostaną tylko pochlebcy powtarzający ciągle to, co chcesz słyszeć — powiedziała słodkim głosem Jessika. — Nie znam nic bardziej trującego, niż gnicie w odorze własnych refleksji.

Z sali dały się słyszeć głośne szmery i urywane oddechy.

Jessika skupiła się na Mohandisie stojącym w milczeniu. Oczekiwał wyroku, jak gdyby jego treść nie miała znaczenia. Mohandis był dokładnie tym typem człowieka, którego wybrałby jej książę, by stał przy jego boku w czasie klęsk: działającym ze z góry wytyczonym celem, przyjmującym wszystko, co się wydarzy — nawet śmierć — bez utyskiwania na los. Czemu więc prosił o posłuchanie?

— Dlaczego wybrałeś właśnie tę pieśń? — zapytała Jessika. Podniósł głowę i przemówił:

— Słyszałem, że Atrydzi są honorowi i mają otwarte umysły. Chciałem spróbować i może zostać w waszej służbie, zyskując czas na odnalezienie tych, którzy mnie obrabowali, i załatwienie się z nimi na mój własny sposób.

— Ośmielił się wypróbowywać! — mruknęła Alia.

— Dlaczego nie? — zapytała Jessika.

Uśmiechnęła się do trubadura, by dać mu znak swego poparcia. Zjawił się w tej sali tylko dlatego, że liczył na kolejną przygodę. Jessika czuła pokusę, by zatrzymać go przy sobie, ale reakcja Alii wróżyła zły los odważnemu Mohandisowi. Pewne oznaki świadczyły, że również sala oczekuje takiego posunięcia, aby najęła odważnego i przystojnego trubadura do służby, tak jak to uczyniła z Gurneyem Halleckiem. Ostatecznie zdecydowała się wysłać Mohandisa w drogę, chociaż bolał ją bezsens pozbywania się tego osobnika na korzyść Farad'na.

— Pojedzie do Farad'na — powiedziała. — Postaraj się, by dostał pieniądze na drogę. Niech jego język toczy krew z rodu Corrinów, a my zobaczymy, czy oni to przeżyją.

Alia wpatrzyła się ponuro w posadzkę, a następnie zaprezentowała spóźniony uśmiech.

— Mądrość lady Jessiki przeważyła — powiedziała, dając Mohandisowi ręką znak do odejścia.

„Nie wyszło tak, jak chciała” — pomyślała Jessika, ale zachowanie Alii mówiło, że bardziej istotny test dopiero miał nastąpić.

Na środek wyprowadzono następnego suplikanta.

Jessika, widząc reakcję córki, poczuła gryzące ją wątpliwości. Przydała się jej teraz lekcja, którą wyniosła od bliźniąt.

Niechby Alia i była Paskudztwem, ale trzeba pamiętać, że była także jedną z przed-urodzonych. Znała matkę równie dobrze, jak siebie samą. Jessika nie mogła naiwnie wierzyć, że Alia nie była w stanie przewidzieć jej reakcji w kwestii trubadura.

„Dlaczego zaaranżowała tę konfrontację? Czyżby chciała odwrócić moją uwagę?”

Nie było czasu na refleksje. Pod bliźniaczymi tronami miejsce zajął drugi suplikant.

Tym razem był to Fremen, stary mężczyzna z pozostawionymi przez piasek znakami na twarzy, charakterystycznymi dla kogoś urodzonego na pustyni. Nie był wysoki, ale żylaste ciało okrywała długa diszdesza, wkładana zwykle na filtrfrak, nadająca mu godny wygląd. Szata niezwykle pasowała do wąskiej twarzy, złamanego nosa i błyszczących „błękitnych w błękicie” oczu. Mężczyzna nie miał na sobie filtrfraka i to zapewne czyniło go niespokojnym. Gigantyczna przestrzeń Sali Przyjęć musiała mu się wydać niebezpieczną, otwartą przestrzenią, okradającą ciało z cennej wilgoci. Pod częściowo odrzuconym w tył kapturem widniała wpleciona we włosy kefia — chusta noszona przez naibów.

— Nazywam się Ghadhean al-Fali — powiedział, stawiając jedną nogę na stopniu tronu dla podkreślenia swego statusu. — Byłem jednym z komandosów śmierci Muad’Diba, a przybyłem tu w sprawie dotyczącej pustyni.

Alia lekko zesztywniała, zdradzając się tym ruchem. Nazwisko al-Falego figurowało pod żądaniem umieszczenia Jessiki w Radzie.

„W sprawie dotyczącej pustyni!” — pomyślała Jessika.

Ghadhean al-Fali przemówił, zanim adwokat zdążył rozpocząć prezentację jego prośby, i tą oficjalną fremeńską formułą dał do zrozumienia, że sprowadza go coś, co miało znaczenie dla całej Diuny — i że mówi, wykorzystując autorytet fedajkina, narażającego niegdyś życie razem z Muad’Dibem. Jessika wątpiła, czy właśnie to powiedział Dżawidowi bądź adwokatowi, prosząc o posłuchanie. Jej domysł potwierdził urzędnik kapłański, który począł się przepychać naprzód z końca komnaty, powiewając czarną szatą orędownictwa.

— Panie moje! — zawołał urzędnik. — Nie słuchajcie tego człowieka! Przyszedł pod fałszywym…

Jessika, obserwując biegnącego ku nim kapłana, kątem oka

uchwyciła inny ruch: ujrzała rękę Alii, dającą znak w starym języku walki Atrydów: „Teraz!” Nie mogła ustalić, do kogo był skierowany ten gest, ale zareagowała odruchowo, zwalając się na bok wraz z tronem. Padając odtoczyła się od leżącego fotelu i chwilę potem poderwała się na nogi, słysząc ostre „siąp!” pistoletu maula… Odskoczyła na odgłos pierwszego wystrzału i poczuła, że coś ciągnie ją za prawy rękaw. Zmieszała się z tłumem suplikantów i dworaków zebranych pod podnóżkiem. Zauważyła, że Alia nawet się nie poruszyła.

Otoczona wreszcie przez ludzi, zatrzymała się. Zdążyła jeszcze zobaczyć, że Ghadhean al-Fali odskoczył na przeciwną stonę podnóżka i że adwokat pozostał w miejscu, w którym stał.

Wydarzenia przebiegły z prędkością błyskawicy, ale każdy obecny na sali wiedział, w których z zaskoczonych znienacka ludzi powinny zadziałać wyćwiczone odruchy. A Alia i adwokat pozostali nieruchomo na miejscach.

Uwagę Jessiki przykuło nagle zamieszanie w środku sali, więc zaczęła torować sobie drogę przez tłum. Ujrzała czterech suplikantów trzymających kapłana-urzędnika. Czarna szata orędownictwa leżała u jego stóp, a spod jej fałdów wystawał pistolet maula.

Al-Fali przepchnął się ku Jessice; przeniósł wzrok z pistoletu na kapłana. Fremen wydał okrzyk gniewu, sztywnymi palcami lewej ręki wymierzył cios achag. Trafił kapłana w gardło i ten upadł, dusząc się. Nie patrząc na mężczyznę, którego zabił, stary naib odwrócił gniewną twarz ku podnóżkowi.

— Dalal-il ’an-nubuwwa! — zawołał, przykładając obie dłonie do czoła, a następnie je opuszczając. — Qadis as-Salaf nie pozwolą mnie uciszyć! Jeżeli nie ja zabiję tych, którzy będą mi przeszkadzać, zrobią to inni.

„Myśli, że to on był celem” — uświadomiła sobie Jessika.

Opuściła wzrok na rękaw i włożyła palec w okrągły otwór pozostawiony przez pocisk pistoletu maula. Zatruty, bez wątpienia.

Suplikanci puścili kapłana. Ten upadł, wijąc się na posadzce, ze zmiażdżoną krtanią. Jessika podeszła do pary wstrząśniętych dworzan, stojących po lewej stronie i powiedziała:

— Chcę, by ów człowiek został uratowany. Jeżeli umrze, zginiecie! — Kiedy jeszcze się wahali, spoglądając na tron, użyła wobec nich Głosu. — Zaczynajcie!

Ruszyli się natychmiast.

Jessika przycisnęła się do al-Falego i dotknęła go ręką.

— Głupi jesteś, naibie! To o mnie im chodziło, nie o ciebie.

Usłyszało ją kilka osób. W natychmiast zapadłej ciszy wstrząśnięty al-Fali spojrzał na podnóżek z jednym zwalonym tronem i Alię wciąż siedzącą na drugim. Wyraz zrozumienia, jaki pojawił się

na jego twarzy, mogłaby odczytać nawet nowicjuszka.

— Fedajkinie — powiedziała Jessika, przypominając mu o dawnej służbie. — My, którzy się raz sparzyliśmy, wiemy, jak stać ramię w ramię.

— Zaufaj mi, pani — rzekł, pojmując, co ona ma na myśli.

Gwałtowny jęk z tyłu za Jessika sprawił, że odwróciła się i poczuła, że al-Fali odwraca się również, stając do niej plecami. Kobieta w jaskrawym stroju Fremenki z miasta leżała rozciągnięta na podłodze obok kapłana. Dwaj dworzanie gdzieś zniknęli. Kobieta, nawet nie spojrzawszy na Jessikę, podniosła głos w pradawnym lamencie swego ludu — wołaniu tych, którzy obsługiwali zgonsusznie, wołaniu, by przyszli i zabrali wodę ciała do zbiornika plemienia. Zadziwiająco raził ten krzyk, wychodzący z ust kobiety ubranej tak nowocześnie. Jessika czuła trwałość dawnych obyczajów, nawet jeśli w rozpaczy mieszczanki widziała fałsz. Stworzenie w pstrej sukni z pewnością dobiło kapłana, by być pewnym, że został uciszony na zawsze.

„Dlaczego tak się starają? — zastanowiła się Jessika. — Wystarczyło poczekać, aż umrze z niedotlenienia". Tak desperacki czyn był oznaką głębokiego strachu.

Alia pochyliła się w przód na swym tronie, przyglądając się z niepokojem tej scenie. Smukła kobieta z włosami spiętymi w węzeł, będący oznaką strażniczek Alii, przeszła obok Jessiki, pochyliła się na moment nad kapłanem, potem wstała i zwróciła się twarzą do tronu.

— Nie żyje.

— Wynieście go — rozkazała Alia strażnikom przy podnóżku. — Podnieście fotel lady Jessiki.

„Zatem starasz się nadrabiać bezczelnością" — pomyślała Jessika. Czy Alia sądziła, że zwiodła kogokolwiek? Al-Fali mówił o Qadis as-Salaf: wzywał świętych ojców z mitologii Fremenów na obrońców. Ale żadna nadnaturalna instancja nie wniosła pistoletu maula tu, do tej sali, gdzie posiadanie wszelkiej broni było surowo zakazane. Jedyną odpowiedź mogła dać konspiracja obejmująca ludzi Dżawida, a niefrasobliwość Alii co do bezpieczeństwa własnej osoby ostatecznie przekonywała, że i ona należała do spisku. Stary naib rzekł przez ramię do Jessiki:

— Przyjmij przeprosiny, pani. My z pustyni w rozpaczy uciekamy się do ciebie jako naszej ostatniej nadziei i widzimy teraz, że wciąż nas potrzebujesz.

— Matkobójstwo niezbyt pasuje do mojej córki — szepnęła Jessika.

— Plemiona dowiedzą się o tym — obiecał al-Fali.

— Jeżeli potrzebujecie mnie tak rozpaczliwie — zapytała — dlaczego nie wystąpiliście na Konwokacji w siczy Tabr?

— Stilgar na to nie zezwolił — rzekł.

„Aaach! — pomyślała Jessika. — Reguła naibów!” Słowo Stilgara w Tabr stawało się prawem.

Przewrócony tron ustawiono na miejscu. Alia gestem przywołała matkę do powrotu i powiedziała:

— Proszę, by wszyscy z was zważyli na śmierć zdrajcy-kapłana. Ci, którzy grożą mi, giną. — Spojrzała na al-Falego. — Składam ci podziękowanie, naibie.

— Podziękowanie za omyłkę — zamruczał al-Fali. Spojrzał na Jessikę. — Miałaś rację, pani. Zabiłem w gniewie tego, kogo należało przesłuchać.

Jessika szepnęła:

— Zapamiętaj tych dwóch dworzan i kobietę w kolorowej sukni, fedajkinie. Chcę, by ich pojmano i przesłuchano.

— Tak się stanie — powiedział.

— O ile wydostaniemy się stąd żywi — rzekła Jessika. — Chodź, wracajmy i grajmy nasze role.

— Jak rozkażesz, pani.

Wspólnie wrócili do podnóżka. Jessika wspięła się po stopniach i zajęła miejsce obok Alii; al-Fali pozostał na miejscu suplikanta poniżej.

— Mów! — rozkazała Alia.

— Chwileczkę, córko — przerwała Jessika. Podniosła rękaw, palcem pokazała dziurę. — Atak był wymierzony we mnie. Pocisk prawie mnie trafił, chociaż się uchyliłam. Zauważcie wszyscy, że pistoletu maula już tam nie ma. — Wskazała. — Kto go wziął?

Nie było odpowiedzi.

— Może uda się to wykryć — powiedziała Jessika.

— Co za nonsens! — krzyknęła Alia. — To ja byłam…

Jessika na wpół odwróciła się ku córce i poruszyła lewą dłonią.

— Ktoś tu ma pistolet. Nie boisz się, że…

— Ma go jedna ze strażniczek! — powiedziała Alia.

— Więc niech mi go przyniesie — odparła Jessika.

— Już go wyniosła.

— Jakie to dogodne…

— O czym ty mówisz? — zapytała z naciskiem Alia. Jessika pozwoliła sobie na ponury uśmiech.

— Mówię, że dwojgu twoim ludziom powierzyłam uratowanie życia zdrajcy-kapłana. Ostrzegłam ich, że zginą, jeżeli on umrze. I zginą.

— Nigdy ci na to nie pozwolę.

Jessika wzruszyła ramionami.

— Mamy tu odważnego fedajkina — kontynuowała Alia, wskazując na al-Falego. — Nasza rozmowa na ten temat może

poczekać.

— Może czekać przez wieczność — odparła Jessika, mówiąc w języku Chakobsa, podkreślając słowami, że żaden argument nie powstrzyma wyroku śmierci.

— Zobaczymy! — powiedziała Alia. Odwróciła się do al-Falego. — Dlaczego tu przybyłeś, Ghadheanie al-Fali?

— By ujrzeć matkę Muad'Diba — odrzekł naib. — Co innego pozostało fedajkinom, kręgowi przyjaciół, którzy służyli jej synowi, niż zebrać nikłe oszczędności na opłacenie zachłannych strażników, którzy tają przed Atrydami prawdę o Arrakis?

— Czegokolwiek pragną fedajkini — powiedziała Alia — muszą tylko…

— Przybył tu, aby spotkać się ze mną — przerwała jej Jessika. — Jaka jest twoja rozpaczliwa prośba, fedajkinie?

Alia powiedziała:

— Ja mówię w imieniu Atrydów! Co…

— Bądź cicho, krwawe Paskudztwo! — wypaliła Jessika. — Chciałaś mnie zabić, córko! Mówię o tym po to, żeby ci ludzie tutaj znali prawdę. Nie możesz zamordować wszystkich, tak jak zamordowałaś kapłana. Tak, cios naiba uciszył tego człowieka, ale można go było uratować, można go było przesłuchać! Zależało ci, żeby zamilkł na zawsze. Protestuj jak chcesz, ale to, jak się zachowałaś, świadczy o twojej winie!

Alia siedziała z bladą twarzą, kompletnie sparaliżowana. A Jessika obserwowała grę emocji na twarzy córki, widziała przerażająco znajome ruchy rąk, nieświadomą reakcję, która kiedyś charakteryzowała pewnego śmiertelnego wroga Atrydów. Palce Alii poruszały się, wystukując rytm — mały palec dwa razy, wskazujący trzy razy, palec serdeczny dwa razy, mały palec raz, serdeczny dwukrotnie… i z powrotem, w tym samym rytmie.

Stary baron!

Skupienie w oczach Jessiki sprawiło, że Alia coś wyczuła; spojrzała w dół, na dłonie, zatrzymała ich ruch i przeniosła wzrok na matkę, by ujrzeć w jej oczach straszną diagnozę. Uśmiech tryumfu zagościł w kącikach ust Alii.

— Więc wreszcie się na nas zemściłeś… — szepnęła Jessika.

— Oszalałaś, matko? — zapytała Alia.

— Chciałabym, żeby tak było — odrzekła Jessika i pomyślała: „Wie, że doniosę o tym zakonowi. Wie. Może podejrzewać, że zdradzę to Fremenom, którzy zmuszą ją do poddania się Procesowi-o-Opętanie. Nie może mnie wypuścić stąd żywej".

— Nasz śmiały fedajkin czeka, podczas gdy my się sprzeczamy — powiedziała Alia.

Jessika zmusiła się do skoncentrowania uwagi na naibie.

Okiełznała swoje reakcje i powiedziała:

— Przybyłeś, żeby mnie widzieć, Ghadheanie.

— Tak, pani. My, ludzie pustyni, widzimy, że dzieją się straszne rzeczy. Maleńkie stworzyciele wypełzają na piach, jak było przepowiedziane w najdawniejszych proroctwach. Szej-huluda nie można odnaleźć już nigdzie poza wnętrzem Pustych Kwadratów. Porzuciliśmy naszego starego przyjaciela, pustynię!

Jessika spojrzała na Alię, która dała znak ręką, by kontynuowała posłuchanie. Powiodła wzrokiem po tłumie w sali, widząc oznaki wstrząsu i czujności we wszystkich obliczach. Świadomość doniosłości potyczki między matką i córką nie utonęła w ciżbie. Bene Gesserit zrozumiała, że muszą się zastanawiać, dlaczego posłuchanie jeszcze trwa. Skupiła uwagę na al-Falim.

— Ghadheanie, po co ta mowa o maleńkich stworzycielach i braku czerwi?

— Matko Wilgoci — powiedział, używając starego fremeńskiego tytułu. — Otrzymaliśmy ostrzeżenie w Kitab al-Ibar. Zaklinamy cię, niech nie będzie zapomniane, że od dnia, w którym umarł Muad'Dib, Arrakis obraca się sama. Nie możemy porzucić pustyni.

— Ha! — wykrzyknęła Alia szyderczo. — Przesądny motłoch z Wewnętrznej Pustyni boi się ekologicznych zmian. Boją…

— Słucham cię, Ghadheanie — przerwała jej Jessika. — Jeżeli znikną czerwie, zniknie przyprawa. Jeżeli zniknie przyprawa, jakąż monetą będziemy płacić za naszą działalność?

Odgłosy zdumienia — westchnienia i przelęknione szepty — docierały z całej Wielkiej Sali, odbijając się głośnym echem.

Alia wzruszyła ramionami.

— Przesądne brednie.

Al-Fali podniósł prawą dłoń, by wskazać na Alię.

— Mówię do Matki Wilgoci, nie do Koan-Dziewczęcia. Ręce Alii uchwyciły poręcze tronu, ale nie ruszyła się z miejsca. Al-Fali spojrzał na Jessikę.

— Kiedyś pustynia była krainą, w której nic nie rosło. Teraz są tam rośliny. Mnożą się jak robaki na ścierwie. Nad wydmami wiszą chmury i pada deszcz. Deszcz, pani! Och, droga matko Muad'Diba, deszcz pada w strefie wydm, a to jest jak sen, który jest bratem śmierci. To śmierć nas wszystkich.

— Postępujemy zgodnie z wolą Lieta-Kynesa i Muad'Diba — zaprotestowała Alia. — Po co ten przesądny bełkot? Czcimy słowa Lieta-Kynesa, który powiedział: „Pragnąłbym ujrzeć cala planetę spętaną siecią zieleni". I tak się stanie.

— A co z czerwiami i przyprawą? — zapytała Jessika.

— Zawsze będzie jakaś pustynia — odparła Alia. — Czerwie przeżyją.

„Kłamie — pomyślała Jessika. — Dlaczego to robi?”

— Pomóż nam, Matko Wilgoci — powiedział błagalnie al-Fali.

Nagle Jessika poczuła, że świadomość oddala się od niej, poruszona słowami starego naiba. To była bez wątpienia adab, władcza pamięć, nachodząca człowieka sama z siebie. Nadeszła bez ostrzeżenia i unieruchomiła zmysły, podczas gdy lekcja z przeszłości odciskała swe piętno w jej świadomości. Jessika czuła się bezbronna jak ryba w sieci. Każdy fragment lekcji-wspomnienia był rzeczywisty, lecz niesubstancjonalny w ciągłej zmienności. Wiedziała, że znajduje się najbliżej stanu przyszłowidzenia, będącego udziałem Paula.

„Alia kłamie, bo jest opętana przez barona, który chce zniszczyć Atrydów. Ona sama jest jego pierwszą ofiarą. Al-Fali powiedział prawdę — czerwie pustynne są zgubione, jeżeli nie zmodyfikuje się biegu ekologicznych przekształceń”.

Pod wpływem tego objawienia Jessika widziała ludzi biorących udział w audiencji, poruszających się jakby w zwolnionym tempie. Ich role były dla niej jasne. Zobaczyła assassina, któremu polecono, by nie opuściła tego miejsca żywa. Przestrzeń miedzy nimi oświetlało jaskrawe światło — zamieszanie, ktoś udający, że się potknął, znieruchomiałe grupki. Widziała również, że jeśli opuści Wielką Salę, to tylko po to, by wpaść w inne ręce. Alia nie dbała, że w ten sposób może stworzyć męczennicę. Nie — to raczej to, co ją opętało, nie dbało o pozory.

Właśnie teraz, w zastygłym czasie, Jessika wybrała sposób na ocalenie starego naiba i wysłanie go z informacją. Droga przez salę audiencyjną pozostawała niezakłócenie wyraźna. Jakież to było proste! Wszyscy oni byli bufonami z pozasłanianymi oczyma, kulącymi ramiona w pozie niewzruszonej obrony. Czuła się tak, jakby ospale zderzała się z każdą osobą na zielonej posadzce. Z każdej z nich mogło obleźć martwe ciało, ukazując szkielet. Ich ciała, ich ubrania, ich twarze wyrażały jednostkowe piekła — zapadłe piersi pełne skrytej grozy, błyszczące zapinki klejnotów, stające się zastępczą bronią. Ostrołukowe brwi ukazywały wyniosłość i religijne sentymenty, którym przeczyły ich lędźwie.

W formujących się siłach, które na Arrakis wymknęły się spod kontroli, Jessika czuła rozkład. Głos al-Falego brzmiał w jej duszy jak dysonans, budzący bestię z największej głębi jej istoty.

W okamgnieniu przeszła od adab do wszechświata ruchu, lecz był to inny wszechświat niż ten, w którym znajdowała się wcześniej.

Alia zaczynała coś mówić, lecz Jessika jej przerwała:

— Cisza! — Następnie rzekła: — Są tacy, którzy boją się, że wróciłam nie odcinając się od zakonu. Ale od owego dnia na pustyni, kiedy Fremeni podarowali mnie i mojemu synowi dar życia, jestem Fremenką! — Przeszła na stary język, który zrozumieć mogli ci tylko,

którzy go znali i dla których był przeznaczony: — Onsar akhaka zeliman aw maslumen! — Wesprzyj brata w czas potrzeby, czy ma słuszność, czy nie!

Słowa odniosły pożądany skutek: subtelną zmianę pozycji niektórych ludzi na sali, lecz Jessika unosiła się dalej gniewem.

— Ghadhean al-Fali, poczciwy Fremen, przybył, by rzec mi to, co powinni powiedzieć mi inni. Niech nikt temu nie zaprzecza! Ekologiczne przekształcenia stały się huraganem, nad którym stracono kontrolę!

Zauważyła, że ludzie bez słowa się z nią zgadzają.

— A moja córka się tym zachwyca! — rzekła. — Mektub al-Mellah! Kroisz moje ciało i posypujesz je solą. Dlaczego Atrydzi znaleźli tu dom? Bo Mohalata jest dla nas czymś normalnym. Dla Atrydów rząd zawsze był opiekuńczym partnerstwem. Mohalatą, czymś, co Fremeni znali doskonale. Spójrzcie teraz na nią! — Jessika wskazała na Alię. — Śmieje się do siebie w nocy, kontemplując własne zło! Produkcja przyprawy spadnie do zera, w najlepszym razie do ułamka poprzedniej wartości! A kiedy choć słowo o tym wydostanie się…

— Utrzymamy nasz monopol na najcenniejszy towar wszechświata! — krzyknęła Alia.

— Będziemy mieli monopol na piekło! — stwierdziła z gniewem Jessika.

Alia przeszła na najdawniejszy Chakobsa, prywatny język Atrydów, pełen trudnych, gardłowych zbitek i dysonansów:

— Teraz wiesz, matko! Myślałaś, że wnuczka barona Harkonnena nie doceni wszystkich tych żywotów, które wtłoczyłaś w mą świadomość, zanim się narodziłam? Kiedy wściekałam się na to, co ze mną zrobiłaś, wystarczyło, że zapytałam, co zrobiłby baron. I odpowiedział mi! Rozumiesz mnie, atrydzka suko? Odpowiedział mi!

Jessika usłyszała w wypowiadanych słowach potwierdzenie wcześniejszych domysłów. Paskudztwo. Osobowość Alii została pokonana od środka, opętana przez cahueit zła, barona Vladimira Harkonnena. Baron mówił teraz jej ustami, nie dbając, że w ten sposób się zdradza. Chciał, żeby widziała jego zemstę. Chciał, żeby widziała, że nie można go stamtąd wyrzucić.

„Spodziewa się, że pozostanę tu, bez żadnej pomocy, wiedząc o wszystkim” — pomyślała Jessika. Wkroczyła z tą myślą na ścieżkę, którą ukazała jej adab.

— Fedajkini, za mną! — zawołała.

Okazało się, że na sali było ich sześciu. Pięciu z nich podążyło za nią.

Gdy jestem słabszy od ciebie, proszą

cię o wolność, ponieważ jest to zgodne z twoimi zasadami; gdy jestem od ciebie silniejszy, odbieram ci ją, bo to jest zgodne z moimi zasadami.

słowa starożytnego filozofa

(przypisywane przez Harq al-Adę niejakiemu Lotusowi Veuillotowi)

Leto wychylił się z ukrytego wejścia do siczy. Ujrzał załamujące się urwisko, górujące nad dość ograniczonym polem widzenia. Późnopopołudniowe słońce rzucało długie cienie na pionowo uwarstwione zbocze. Motyl przypominający wzorem szkielet wlatywał i wylatywał z cienia, a jego wyglądające jak pajęczyna skrzydła jawiły się w świetle niby przezroczysta siateczka. „Jak delikatny jest ten motyl" — pomyślał.

Naprzeciw leżał sad morelowy, w którym dzieci zbierały opadłe owoce. Za sadem płynął kanat. On i Ghanima wymknęli się strażnikom, gubiąc ich w nagle powstałej ciżbie robotników. Względnie proste było dotarcie szybem wentylacyjnym do miejsca, w którym łączył się on z ukrytym wyjściem. Teraz musieli zmieszać się z dziećmi, dotrzeć nad kanat i wejść w tunel. Tamtędy wiodła ich droga, pomimo drapieżnych ryb powstrzymujących piaskopływaki przed otorbieniem się w wodzie używanej przez plemię do irygacji. Żaden z Fremenów nie mógł wyobrazić sobie człowieka ryzykującego przypadkową kąpiel.

Leto wyszedł na zewnątrz. Po obu stronach rozpościerało się urwisko. Sam akt wyjścia z tunelu sprawił, że wydało się ono mniej strome.

Tuż za nim podążała Ghanima. Oboje nieśli kosze na owoce, utkane z włókna przyprawowego. Każdy kosz zawierał zapieczętowany pakunek: fremsak, pistolet maula, krysnóż… i nowe szaty, przysłane przez Farad'na.

Ghanima dotarła do sadu i wmieszała się w innych dzieci. Maski filtrfraków skrywały twarze pracujących. Stali się dwoma dodatkowymi robotnikami, ale czuła, że to, co robi, wyrywa ją z bezpiecznych granic znanych ścieżek. Tak łatwa była zamiana jednego zagrożenia na inne!

Nowe szaty, przysłane przez Farad'na, miały do spełnienia specjalne zadanie, a oni doskonale je znali. Ghanima podkreśliła tę wiedzę, wyszywając osobiste motto: „Dzielimy wszystko" w języku Chakobsa nad godłem jastrzębia na piersi.

Nadciągnęła noc i zza kanatu znaczącego granicę upraw siczy nadchodził szczególny rodzaj zmierzchu, któremu dorównać mogło tylko kilka zjawisk we wszechświecie. Ten łagodnie oświetlony, pustynny kraj napawał przejmującą pewnością, że każda żyjąca istota była samotna we wszechświecie.

— Widziano nas — szepnęła Ghanima, udając, że pracuje obok brata.

— Strażnicy?

— Nie, inni.

— To dobrze.

— Musimy działać szybko — powiedziała.

Leto zgodził się i odszedł od urwiska w głąb sadu. Myślał kategoriami ojca: „Cokolwiek znajduje się na pustyni, musi być w ruchu, inaczej ginie". W oddali widniała wystająca z piasku wychodnia Świadka, przypominająca o konieczności pośpiechu. Skały sterczały nieruchomo, znikając każdego roku pod coraz grubszą warstwą niesionego przez wiatr pyłu. Pewnego dnia cały Świadek zostanie zasypany piaskiem.

Gdy zbliżali się do kanatu, słyszeli muzykę dochodzącą gdzieś z wysoko umieszczonego wejścia do siczy. Rozpoznali po dźwiękach fremeńską grupę w tradycyjnym składzie — flety o dwóch otworach, tamburyny, bębenki z wolno zwisającą z jednego końca skórą, ciasno opiętą na korpusie z plastyku przyprawowego. Nikt nie pytał, jakie zwierzęta na Arrakis dostarczają tak ogromne skóry.

„Stilgar pamięta, co mu powiedziałem o rozpadlinie na Świadku — myślał Leto. — Wyjdzie po ciemku, kiedy będzie za późno, i wtedy dowie się…"

W chwilę później dotarli nad kanat. Wśliznęli się w otwartą studzienkę i zeszli po drabinie na półkę ciągnącą się wzdłuż kanatu. Było tu ciemno, wilgotno i zimno. W dole słyszeli pluskające w kanacie drapieżne ryby. Każdy piaskopływak, próbujący ukraść wodę, natknąłby się na ryby atakujące jego zmiękczone przez ciecz ciało. Również ludzie musieli zachować czujność.

— Ostrożnie — ostrzegł Leto, schodząc po śliskiej półce. Ghanima podążyła za nim.

Na końcu kanatu ściągnęli filtrfraki i nałożyli przyniesione w koszykach szaty. Zostawili stare fremeńskie ubrania i wyszli z kanatu przez inną studzienkę inspekcyjną, krok za krokiem pokonując wydmę w drodze na jej przeciwległą stronę. Usiedli osłonięci przed obserwatorami z siczy, przypięli pistolety maula i krysnoże, zarzucili fremsaki na ramiona. Nie słyszeli już muzyki.

Leto wstał i zaczął się przedzierać przez zagłębienie między wydmami.

Ghanima ruszyła jego śladem, stąpając po otwartym piasku w

wyćwiczony, nierytmiczny sposób.

Pod szczytem każdej wydmy pochylali się nisko i wczołgiwali na górę, by spojrzeć za siebie, wypatrując pościgu. Aż do osiągnięcia pierwszych skał nie zauważyli, aby ktokolwiek ich tropił.

W końcu dotarli do Świadka i wspięli się na półkę wychodzącą na pustynię. Daleko nad blechem błyszczały jeszcze zorze. Ciemniejące powietrze cechowała przejrzystość doskonałego kryształu. Widok, który im się ukazał, był pod każdym względem idealny — bez skazy, bez niczego, co w jakikolwiek sposób wyłamywałoby się z idealnej kompozycji. Wzrok nie znajdował w nim żadnego punktu oparcia.

„Oto horyzont wieczności” — pomyślał Leto.

Ghanima przykucnęła obok brata, myśląc: „Wkrótce nastąpi atak”. Nasłuchiwała najdrobniejszego dźwięku, całe ciało przekształciła w wyostrzony czujnością zmysł.

Leto siedział równie skupiony. Ta chwila stanowiła kulminację doznań, jakich doświadczyły życia zgromadzone w jego świadomości. Na pustyni było się zdecydowanie zależnym od zmysłów. Wszystkich zmysłów. Percepcja stawała się zbieraniną zgromadzonych wrażeń, z których każde włączało się tylko na moment i pozwalało dotrwać następnej chwili.

Po chwili Ghanima wspięła się wyżej na skały i wyjrzała przez szczelinę na niedawno przebytą drogę. Bezpieczna sicz została daleko za nimi, wśród masywu tępych urwisk i rozmytych przez pył konturów, majaczących w szczelinie, na którą padały resztki słonecznego światła. Wciąż nie widziała żadnej pogoni. Powróciła do Leto.

— To będzie duże, drapieżne zwierzę — rzekł Leto. — Tak mi podpowiada kalkulacja trzeciego rzędu.

— Myślę, że za wcześnie skończyłeś analizę — odparła Ghanima. — To nie będzie tylko jedno zwierzę. Ród Corrinów nauczył się nie ładować wszystkich nadziei w jeden worek. Leto skinął głową na znak zgody.

Poczuł, że umysł nagle staje się ciężki od wielości istnień, w które zaopatrzyła go natura. Był przesycony żywotami, pragnął uciec od własnej świadomości. Wewnętrzny świat wydawał się być bestią mogącą go pożreć.

Chłopiec podniósł się niespokojnie, wspiął ku szczelinie, z której skorzystała Ghanima, i popatrzył na zbocza siczy. Tam, pod urwiskiem, dojrzał kanat rysujący granicę między życiem a śmiercią. Zobaczył szałwię wielbłądzią, pierzastą trawę, gobi i dziką lucernę, rosnące w oazie, dostrzegł również czarne ptaki buszujące w roślinności. Dalekie kępy zbóż gięły się pod naporem wiatru, który niósł szarość wkradającą się do sadu.

„Co się tu wydarzy?” — zadawał sobie pytanie.

Wiedział, że będzie to prawdziwa śmierć albo tylko gra w śmierć, z nim w roli głównej. Ghanima musiała wrócić i głosić pod głębokim, hipnotycznym przymusem, że jej brat zginął, choćby nawet stało się inaczej.

Nieznane napawało go lękiem. Jak łatwo można ulec naciskowi przyszłowidzenia, zaryzykować zapuszczenie świadomości w niezmienialną, absolutną przyszłość! Jednakże już nawet owa nikła, objawiona mu wizja była wystarczająco zła. Wiedział, że nie odważy się zaryzykować.

Wrócił do Ghanimy.

— Jeszcze nikt nas nie szuka — powiedział.

— Te bestie powinny być wielkie — stwierdziła Ghanima. — Zobaczymy je, nim nas zaatakują.

— Już wkrótce zapadnie ciemność.

— Tak. Czas, żebyśmy zeszli w nasze miejsce. — Wskazał na skały poniżej, gdzie piach niesiony z wiatrem wyżarł małą szczelinę w bazalcie. Była wystarczająco duża, aby ich pomieścić, lecz na tyle mała, by nie wpuścić dużych zwierząt. Leto czuł, że niechętnie tam idzie, ale wiedział, że to konieczne. To właśnie miejsce wskazał Stilgarowi.

— Mogą naprawdę nas zabić — powiedział.

— Zawsze istnieje ryzyko — odparła. — Jesteśmy coś winni ojcu.

— Nie przeczę.

„Podążamy właściwą drogą" — pomyślał. Zdawał sobie sprawę, jak niebezpiecznie jest mieć rację we wszechświecie. Przetrwanie wymagało hartu, przystosowania i pojmowania w każdym momencie wszelkich wyrzeczeń. Najlepszą broń Leto stanowiły fremeńskie obyczaje, a wiedza Bene Gesserit była siłą trzymaną w odwodzie. Oboje teraz myśleli jak wyszkoleni przez Atrydów wojownicy, nie posiadający żadnej osłony poza fremeńską krzepą, której nawet ślad nie jawił się w ich dziecięcych ciałach pod oficjalnymi strojami.

Leto dotknął palcem wiszącego u pasa krysnoża o zatrutym ostrzu. Ghanima nieświadomie powtórzyła ten gest.

— Zejdziemy teraz? — zapytała. W chwili, gdy mówiła, dojrzała daleko jakiś ruch, niewielkie poruszenie. Jej niepewność obudziła czujność Leto, zanim zdążyła szepnąć ostrzeżenie.

— Tygrysy — stwierdził.

— Tygrysy laza — dodała.

— Widzą nas — rzekł.

— Lepiej się pośpieszmy — odparła. — Pistolet maula nie powstrzyma tych bestii. Na pewno zostały dobrze wyćwiczone.

— Gdzieś w pobliżu musi być człowiek, który nimi kieruje — zauważył Leto, prowadząc siostrę w dół, ku skałom po lewej stronie.

Ghanima zgodziła się z nim, ale nic nie powiedziała, oszczędzając

siły. Gdzieś tu musi być człowiek.

Tygrysy biegły szybko w resztkach światła rzucanego przez zachodzące słońce, przeskakując ze skały na skałę. Wkrótce miała zapaść noc — pora istot poruszających się według wskazówek słuchu. Ze skał Świadka dobiegło wołanie nocnego ptaka, przypominające głos dzwonu. Nocne stworzenia biegały już w ciemnościach popękanych rozpadlisk.

Tygrysy wciąż pozostawały w polu widzenia bliźniąt. Zwierzęta poruszały się płynnie, każdym ruchem wyrażając ogromną siłę, napełniając rodzeństwo narastającą pewnością skończonej niezawodności.

Leto biegł spokojnie, pewien, że on i Ghanima osiągną wąską szczelinę na czas, lecz wciąż powracał wzrokiem do fascynującego widoku zbliżających się bestii.

„Jedno potknięcie i jesteśmy zgubieni” — uświadomił sobie. Ta myśl ujęła mu nieco pewności siebie, więc lekko przyspieszył.

Wy, Bene Gesserit, nazywacie działalność panoplia propheticus „nauką o Wierze”. Bardzo dobrze. Ja, poszukiwacz innego rodzaju naukowców, uważam, że to stosowne określenie. Rzeczywiście, tworzycie własną mitologię, ale tak czynią wszystkie społeczności. I tu czas na ostrzeżenie. Zachowujecie się tak, jak wielu zbłąkanych naukowców. Wasze działania zdradzają, że chcecie wziąć coś od życia. Czas, by przypomnieć to, co tak często głosicie: nie można dostać czegoś bez otrzymania jego przeciwieństwa.

„Kaznodzieja w Arrakin”: „Wiadomość dla zakonu żeńskiego”

Na godzinę przed świtem Jessika siedziała nieruchomo na wytartym dywanie. Dookoła niej rozpościerała się goła skała starej, biednej siczy, jednej z wielu pierwotnych siedzib Fremenów, znajdującej się pod skrajem Czerwonej Czeluści, która osłaniała ją od powiewów pustyni. Zabrali ją tu al-Fali i jego bracia; teraz oczekiwali na wiadomość od Stilgara. Jednakże fedajkini wykazali dużą ostrożność w zakresie komunikacji. Stilgar nie powinien wiedzieć, gdzie jest ich kryjówka.

Fedajkini rozumieli, że znaleźli się pod Protokołem — półoficjalnym oskarżeniem o zbrodnię przeciw Imperium. Alia twierdziła, że Jessika została zmuszona do przejścia na stronę wrogów, choć nie wymieniała głośno nazwy zakonu. Despotyczna, tyrańska natura władzy Regentki wyszła na jaw, a jej wiara, że oddane kapłaństwo powstrzyma wystąpienia Fremenów, mogła być wystawiona na próbę.

Wiadomość Jessiki dla Stilgara brzmiała krótko:‚Moja córka jest opętana i należy ją poddać procesowi”.

Jednakże lęk niweczy wartości. Wiedziała już, że niektórzy Fremeni woleli nie wierzyć jej słowom. Wykorzystanie oskarżenia jako paszportu pozwalającego opuścić Świątynię wywołało w ciągu zaledwie jednej nocy dwie potyczki, zanim ornitoptery ukradzione przez ludzi al-Falego nie uniosły zbiegów ku cennemu schronieniu — siczy Czerwonej Czeluści. Wezwali byłych fedajkinów, lecz okazało się, że jest ich na Arrakis zaledwie dwie setki. Inni wypełniali misje na placówkach w całym Imperium.

Rozważając sytuację, Jessika zastanawiała się, czy owa sicz nie okaże się miejscem jej śmierci. Niektórzy z fedajkinów myśleli tak samo, lecz komandosi śmierci dość łatwo godzili się z podobną ewentualnością. Al-Fali uśmiechnął się, gdy jeden z młodych ludzi głośno wyraził swe obawy.

„Kiedy Bóg rozkazywał stworzeniu zemrzeć w szczególnym miejscu, sprawiał, że chciało się ono tam udać" — powiedział stary naib.

Połatane zasłony, wiszące w drzwiach, otarły się o siebie i chwilę później wychynął zza nich al-Fali. Jego wąska, spalona przez wiatr twarz wydawała się wydłużona, oczy miał rozgorączkowane. Widać było, że nie spał.

— Ktoś przybył — rzekł.

— Od Stilgara?

— Być może. — Spuścił oczy i spojrzał w lewo na sposób dawnych Fremenów, gdy przynosili złe wieści.

— O co chodzi? — zapytała z naciskiem Jessika.

— Dostaliśmy wiadomość z siczy Tabr, że twych wnucząt tam nie ma — powiedział, nie patrząc na nią.

— Alia…

— Rozkazała, by bliźnięta były pod opieką jej straży, ale z siczy Tabr doniesiono, że zniknęły.

— Stilgar posłał je na pustynię — rzekła Jessika.

— Możliwe, ale on również prowadzi poszukiwania. Czyżby się maskował…?

— To do Stilgara niepodobne… — powiedziała. Zdziwiła się, że nie ulega panice, którą musiałaby teraz tłumić. Lęk o bliźnięta łagodziło wspomnienie rozmowy z Ghanimą. Podniosła wzrok na al-Falego i zobaczyła, że ten patrzy na nią z litością. Rzekła więc:

— Na własną rękę odeszły na pustynię.

— Same? Dwoje dzieci?

Nie kłopotała się wyjaśnianiem mu, że bliźniaki prawdopodobnie więcej wiedziały o niebezpieczeństwach występujących na pustyni, niż większość żyjących Fremenów. Myślami skupiła się na dziwnym zachowaniu Leto, gdy nalegał, by pozwoliła się porwać. Wtedy odsunęła od siebie to wspomnienie, ale teraz wróciło niespodzianie. Powiedziała, że rozpozna moment, w którym będzie musiała usłuchać jego słów.

— Posłaniec powinien być już w siczy — wtrącił al-Fali. — Przyprowadzę go do ciebie, pani. — Wyszedł, rozgarniając połatane zasłony.

Jessika popatrzyła na kotarę. Była to czerwona tkanina z włókna przyprawowego, ale łaty miała niebieskie. Krążyła wieść, że ta sicz nie chciała czerpać korzyści z religii Muad'Diba, narażając się na wrogość

kapłaństwa Alii. Doniesiono jej, że tutejsi ludzie ulokowali kapitały w planie hodowli psów wielkich jak osły, wyuczonych do pilnowania dzieci. Wszystkie psy zdechły. Niektórzy powiadali, że od trucizny, a winą obarczali kapłanów.

Jessika potrząsnęła głową, odganiając czcze myśli, rozpoznawszy, czym one są: ghaflą, nieumiejętnością skupienia się w obecności „natrętnej muchy".

Dokąd udały się dzieci? Do Dżekaraty? Miały plan. „Starały się objaśnić mi go w rozmiarach, o których sądziły, że będę w stanie pojąć" — przypomniała sobie. Leto twierdził, że osiągnęły granicę poznania. Rozkazał jej słuchać o tym.

On rozkazał jej!

Leto zorientował się, co zamierza Alia. Tyle zrozumiała. Każde z bliźniąt mówiło o chorobie ciotki, nawet jej broniło. Alia stawiała na szalę słuszność swej pozycji jako Regentki. Jessika poczuła, że jej piersią wstrząsa gorzki śmiech. Matka Wielebna Gaius Helena Mohiam bardzo lubiła wyjaśniać uczennicy Jessice ten właśnie błąd: „Jeśli skupisz uwagę tylko na własnej racji, wyzwalasz przeciwne ci siły, które mogą cię pokonać. To często popełniana omyłka. Nawet ja, twoja nauczycielka, nie ustrzegłam się jej".

— I nawet ja, twoja uczennica, popełniłam ją — szepnęła Jessika do siebie samej.

Usłyszała szelest tkaniny w przejściu, za zasłoną. Weszło dwóch młodych Fremenów — część straży wyznaczonej do pilnowania jej osoby w nocy. Byli wyraźnie przestraszeni bliskością matki Muad'Diba. Jessika szybko określiła ich charaktery — ci nie bawili się w myślenie. Wiązali się z dowolnie wybraną siłą w zamian za tożsamość, którą im dawała. I dlatego byli niebezpieczni.

— Al-Fali wysłał nas, by cię przygotować — powiedział jeden z nich. Jessika poczuła nagły, miażdżący ucisk w piersiach, lecz jej głos zabrzmiał spokojnie:

— Przygotować mnie? Na co?

— Stilgar jako posłańca przysłał Duncana Idaho. Jessika nieświadomym gestem naciągnęła na włosy kaptur aby. Duncan? Ależ on był narzędziem Alii.

Fremen, który przemawiał, wystąpił pół kroku naprzód.

— Idaho mówi, że przybył zabrać cię w bezpieczne miejsce, ale al-Fali mu nie wierzy.

— Rzeczywiście, chwilowo wydaje się to dziwne — rzekła Jessika. — Ale są rzeczy dziwniejsze w naszym wszechświecie. Wprowadźcie go.

Spojrzeli na siebie, ale usłuchali, wychodząc w takim pośpiechu, że wyrwali następną dziurę w zniszczonej zasłonie.

Po chwili wszedł Idaho z podążającymi za nim dwoma

Fremenami i al-Falim, trzymającym tyły, z ręką na krysnożu. Przybysz miał na sobie mundur Straży rodu Atrydów, niewiele zmieniony przez upływ czternastu stuleci. Na Arrakis plastalowe ostrze ze złotą rękojeścią zastąpił krysnóż.

— Ponoć pragniesz mi pomóc — rzekła Jessika.

— Być może brzmi to dziwnie — odparł.

— Przysłała cię Alia, żebyś mnie porwał? — zapytała.

Niewielkie uniesienie czarnych brwi było jedyną oznaką zaskoczenia. Błyszczące, wielopowierzchniowe, tleilaxańskie oczy wciąż wpatrywały się w nią intensywnie.

— Takie miałem rozkazy — przyznał.

Palce al-Falego zbielały na rękojeści krysnoża, ale Fremen nie wykonał żadnego ruchu.

— Wiele czasu poświęciłam na zliczenie omyłek, które popełniłam w stosunku do mojej córki — stwierdziła.

— Było ich mnóstwo — zgodził się Idaho. — Miałem zresztą udział w większości z nich.

Zobaczyła teraz, że mięśnie jego twarzy drżą.

— Łatwo przychodziło nam słuchanie argumentów, które prowadziły na manowce — potwierdziła Jessika. — Chciałam opuścić Arrakis… Ty… pragnąłeś dziewczyny, która przypominałaby ci moje młodsze wcielenie.

Skinął głową w milczeniu.

— Gdzie są bliźnięta? — zapytała z naciskiem, szorstkim głosem.

Mrugnął i rzekł:

— Stilgar wierzy, że udały się na pustynię. Być może przewidziały nadchodzący kryzys.

Jessika rzuciła okiem na al-Falego, który kiwnięciem głowy potwierdził, że pamięta jej słowa.

— Co czyni Alia? — zapytała Jessika.

— Prowokuje wojnę domową — odparł.

— Wierzysz, że do tego dojdzie? Idaho wzruszył ramionami.

— Prawdopodobnie nie. To spokojne czasy. Większość woli słuchać wygodnych tłumaczeń.

— Zgadzam się — powiedziała. — W porządku, ale co z moimi wnukami?

— Stilgar je odnajdzie… Jeżeli…

— Tak, rozumiem. — Zatem wszystko zależało teraz od Gurneya Hallecka. Odwróciła się, by spojrzeć na kamienną ścianę. — Alia mocno teraz uchwyci stery rządu. — Wróciła spojrzeniem do Idaho. — Rozumiesz? Władzy używa się, sprawując ją delikatnie. Chwycić jej ster zbyt silnie, znaczy być przez nią pokonanym i w ten sposób stać się ofiarą.

— Tak zawsze mówił mój książę — powiedział Idaho. W jakiś

sposób Jessika pojęła, że miał na myśli starszego Leto, nie Paula.

— Dokąd masz mnie… porwać? — zapytała. Idaho spuścił wzrok, jak gdyby starając się dojrzeć cień rzucany przez kaptur aby. Al-Fali postąpił naprzód.

— Pani, nie myślisz poważnie, że…

— Czy to nie ja powinnam decydować o swoim losie? — zapytała Jessika.

— Ale… — Głowa al-Falego wykonała skłon w stronę Idaho.

— Duncan był moim wiernym strażnikiem, zanim urodziła się Alia — powiedziała Jessika. — Zginął, ratując życie moje i mojego syna. My, Atrydzi, zawsze honorujemy pewne zobowiązania.

— Zatem udasz się ze mną? — zapytał Idaho.

— Dokąd ją zabierzesz? — spytał al-Fali.

— Lepiej, żebyś nie wiedział.

Al-Fali nachmurzył się, ale milczał. Jego twarz zdradzała niezdecydowanie. Pojął mądrość zawartą w słowach Jessiki, ale nie wygasło w nim powątpiewanie w możność zaufania Duncanowi.

— Co z fedajkinami, którzy mi pomagali? — chciała się dowiedzieć Jessika.

— Jeżeli dostaną się do Tabr, będzie ich popierał i bronił Stilgar — rzekł Idaho.

Jessika odwróciła się do al-Falego.

— Rozkazuję ci natychmiast tam się udać, przyjacielu. Stilgar może potrzebować fedajkinów, szukając moich wnuków. Stary naib spuścił wzrok.

— Jak matka Muad'Diba rozkaże. „Wciąż słucha się Paula" — pomyślała.

— Powinniśmy szybko się stąd wynieść — stwierdził Idaho. — Poszukiwania z pewnością dość szybko obejmą to miejsce.

Jessika pochyliła się i wstała z charakterystyczną, płynną gracją, która nigdy zupełnie nie opuszczała Bene Gesserit, nawet gdy dokuczał im wiek. A ona czuła się stara i zmęczona po całonocnym locie ornitopterem. Nawet gdy wstawała, myśli miała skupione na rozmowie z wnukiem. O co mu naprawdę chodziło? Potrząsnęła głową, maskując ów gest lekkim poprawieniem kaptura. Zbyt łatwo zlekceważyła Leto. Przebywanie ze zwykłymi dziećmi wywoływało skłonność do pomniejszania znacznie dziedzictwa, które stało się udziałem bliźniąt.

Jej uwagę przyciągnęła pozycja, w jakiej stał Idaho. Odprężony, gotowy do walki, z jedną stopą wysuniętą naprzód. Sama go tego nauczyła. Rzuciła szybkie spojrzenie na dwójkę młodych Fremenów i na al-Falego. Starym naibem wciąż targały wątpliwości.

— Powierzam życie temu człowiekowi — powiedziała, zwracając się do al-Falego. — I nie robię tego po raz pierwszy.

— Pani! — zaprotestował al-Fali. — To po prostu… — Spojrzał na Idaho. — To mąż Koan-Dziewczęcia!

— Był szkolony przez księcia i przeze mnie — odparła.

— Ale to ghola! — Słowa al-Falego odbiły się echem od ścian komnaty.

— Ghola mojego syna — przypomniała mu.

Coś się załamało w byłym fedajkinie, który ongiś poprzysiągł wspierać Muad'Diba aż do śmierci. Westchnął, odstąpił na bok i wskazał dwóm młodym mężczyznom, by rozsunęli zasłony.

Jessika wyszła, a za nią podążył Idaho. Odwróciła się w przejściu i przemówiła do al-Falego:

— Masz udać się do Stilgara. Jemu można ufać.

— Tak… — W głosie starca wciąż słyszała wątpliwości. Idaho dotknął jej ramienia.

— Powinniśmy odlecieć natychmiast. Chciałabyś cokolwiek zabrać ze sobą?

— Tylko zdrowy rozsądek — powiedziała.

— Dlaczego? Boisz się, że popełniasz omyłkę?

Spojrzała na niego.

— Byłeś zawsze najlepszym pilotem ornitopterów w naszej służbie, Duncanie.

Nie rozbawiło go to. Wysunął się naprzód, przemierzając drogę, którą wcześniej przyszedł. Al-Fali zrównał krok z Jessika, pozostając za jej plecami.

— Skąd wiedziałaś, że przyleciał ornitopterem?

— Nie ma filtrfraka — odparła Jessika.

Al-Fali wydawał się zmieszany tym oczywistym spostrzeżeniem. Nie dał się jednak uciszyć:

— Nasz posłaniec przywiódł go prosto od Stilgara. Mogli zostać zauważeni.

— Widziano cię, Duncan? — rzuciła w kierunku pleców Idaho.

— Wiesz dobrze, że nie — powiedział. — Lecieliśmy poniżej szczytów wydm.

Skręcili w boczne przejście, prowadzące w dół spiralą schodów, które wiodły do otwartej hali, dobrze oświetlonej osadzonymi wysoko w brunatnej skale kulami świętojańskimi. Pod przeciwległą ścianą przysiadł samotny ornitopter, przycupnięty jak owad gotowy do skoku. Ściana stanowiła imitację skały — w rzeczywistości była wyjściem na pustynię.

Idaho otworzył drzwiczki ornitoptera i pomógł Jessice siąść po prawej stronie. Dostrzegła pot na jego czole, na które opadł lok czarnych, skręconych włosów. Raz jeszcze zobaczyła tą głowę, tryskającą krwią, w pełnej zgiełku jaskini. Marmurowa stal tleilaxańskich oczu przywróciła jej poczucie rzeczywistości. Nic nie

było już takie, jakie się wydawało. Zajęła się zapinaniem pasów.

— Minęło wiele lat od czasu, kiedy leciałeś ze mną ostatni raz, Duncan — powiedziała.

— To było dawno, bardzo dawno — odparł. Sprawdzał już kontrolki.

Al-Fali i dwóch młodszych Fremenów czekało obok urządzenia sterującego fałszywą skałą, gotowi w każdej chwili otworzyć wrota.

— Sądzisz, że mam jakieś wątpliwości? — zapytała Duncana spokojnym głosem.

Idaho skupił się na kontrolkach silników. Włączył zapłon wirników i obserwował poruszającą się igłę wskaźnika. Uśmiech dotknął jego ust, nagły i zimny. Zniknął równie szybko, jak się pojawił.

— Jestem wciąż Atrydką — powiedziała Jessika. — Alia już nie.

— Nie obawiaj się. — Zgrzytnął zębami. — Nadal służę Atrydom.

— Alia już nie jest Atrydką… — powtórzyła Jessika.

— Nie musisz mi tego przypominać — warknął. — Zamknij się teraz i daj mi stąd odlecieć.

Desperacja w jego głosie była zupełnie nieoczekiwana, nie pasowała do tego Duncana, którego kiedyś znała. Czując nawrót strachu, Jessika zapytała:

— Dokąd lecimy, Duncan? Możesz mi teraz powiedzieć.

Ten jednak skinął al-Falemu i fałszywa skała otworzyła się na zewnątrz w jasne, srebrne światło dnia. Ornitopter podskoczył do przodu, w górę… Machając jakby z wysiłkiem skrzydłami i wyjąc silnikami, nabierał powoli wysokości. Idaho skierował maszynę na południowy wschód, ku Grani Sihaja widniejącej jako czarna kreska nad piaskiem. Dopiero wtedy rzekł:

— Nie osądzaj mnie surowo, pani.

— Nie czynię tego od tej nocy, kiedy wpakowałeś się do Wielkiej Sali w Arrakin, rycząc, zalany piwem przyprawowym — powiedziała. Lecz jego słowa odnowiły wątpliwości, które sprawiły, że osiągnęła stan gotowości do obrony prana-bindu.

— Dobrze pamiętam ową noc — powiedział. — Byłem bardzo młody i… niedoświadczony.

— Byłeś też najlepszym szermierzem w świecie mojego księcia.

— Niezupełnie, pani. Gurney brał nade mną górę sześć razy na dziesięć. — Spojrzał na nią. — Gdzie on teraz jest?

— Wykonuje moje polecenia. Idaho kiwnął głową.

— Wiesz, dokąd lecimy? — zapytała.

— Tak, pani.

— Więc mi powiedz.

— Dobrze. Obiecałem, że uknuję wiarygodny spisek przeciwko rodowi Atrydów. Wybrałem więc jedyny możliwy sposób. — Nacisnął

guzik na panelu kontrolnym i krępujący kokon wyskoczył spod siedzenia, otulając Jessikę w niezniszczalną, elastyczną sieć. — Zabieram cię na Salusa Secundus — rzekł. — Do Farad'na.

W daremnym, niekontrolowanym spazmie Jessika szarpnęła się w więzach. Czuła, jak się zacieśniają, puszczając dopiero wtedy, gdy się odprężyła. Wcześniej zdążyła zauważyć śmiercionośną szigastrunę, ukrytą pod zabezpieczającą osłoną.

— Mechanizm zwalniający szigastrunę jest wyłączony — powiedział, nie patrząc na nią. — Ach, nie próbuj stosować Głosu. Przeszedłem długą drogę od czasów, gdy mogłaś mnie tym podejść. — Popatrzył na nią. — Tleilaxanie zabezpieczyli mnie przed takimi sztuczkami.

— Słuchasz poleceń Alii — stwierdziła Jessika — a ona…

— Nie Alii — odrzekł. — Wypełniamy wolę Kaznodziei. Chce, żebyś uczyła Farad'na, tak jak kiedyś uczyłaś Paula.

Jessika znieruchomiała, przypominając sobie, że Leto mówił, iż wkrótce znajdzie interesującego ucznia. Po chwili spytała:

— Ten Kaznodzieja… Czy to mój syn?

Głos Idaho wydawał się dochodzić z wielkiej odległości:

— Też chciałbym to wiedzieć.

> *Wszechświat po prostu jest. To jedyny sposób, w jaki może patrzeć fedajkin i pozostać panem swych zmysłów. Wszechświat ani nie zagraża, ani nie obiecuje. Rządzi rzeczami poza naszą władzą: upadkiem meteorytu, wybuchem masy preprzyprawowej, starzeniem się i umieraniem. Oto jest rzeczywistość wszechświata i taką należy ją przyjmować, bez względu na to, co się do niej czuje. Nie można rzeczywistości odeprzeć słowami. Wrócę do was na swój własny, bezsłowny sposób i wtedy, wtedy pojmiecie, co znaczy życie i śmierć. Zrozumienie tego napełni was radością.*
>
> *z przemowy Muad'Diba do fedajkinów*

— Widzisz, co wprawiliśmy w ruch — powiedziała Wensicja. — A to wszystko z myślą o tobie.

Farad'n siedział nieruchomo naprzeciw matki w jej porannej komnacie. Złote światło słońca padało od tyłu, rzucając jego cień na

posadzkę pokrytą białym parkietem. Wensicja miała na sobie zwykłą szatę, przetykaną złotem — wspomnienie królewskich dni. Jej trójkątna twarz wydawała się być spokojna, ale Farad'n wiedział, że matka obserwuje każdą jego reakcję. Czuł pustkę w żołądku, chociaż przyszedł zaraz po śniadaniu.

— Nie akceptujesz naszych posunięć? — zapytała.

— A co tu jest do akceptowania?

— No… że aż do dziś tailiśmy przed tobą plany.

— Ach… — Popatrzył badawczo na Wensicję, starając się przyjąć jakieś stanowisko. Myślał tylko o tym, co zauważył ostatnio: że Tyekanik nie zwracał się już do matki „księżno". Jak ją teraz nazywał? Królową Matką?

„Dlaczego doznaję uczucia straty? — zastanawiał się. — Co takiego tracę?" Oczywiście znał odpowiedź: tracił beztroskie dni, czas na intelektualne poszukiwania… Jeżeli uknuty przez matkę spisek powiedzie się, pożegna się z tym na zawsze. Nowe obowiązki zaprzątną mu głowę bez reszty. Stwierdził, że nie jest jeszcze na to przygotowany. Jak śmieli tak swobodnie decydować o jego losie? Nawet nie zapytali go o zdanie!

— No więc? — powiedziała Wensicja. — Coś nie w porządku?

— A co będzie, jeśli plan się nie powiedzie? — zapytał, wypowiadając pierwszą myśl, która mu się nasunęła.

— Jak może się nie powieść?

— Nie wiem… Każdy plan może zawieść. Do czego potrzebny jest wam Idaho?

— Idaho? Dlaczego się nim interesujesz…? Ach, tak… To ten mistyk, którego Tyek sprowadził bez naradzenia się ze mną. Źle zrobił. Ten człowiek mówił o Idaho, prawda?

Kłamstwo zabrzmiało niezdarnie i Farad'n zorientował się, że wpatruje się zdumiony w matkę. Ona przez cały czas wiedziała o Kaznodziei!

— To tylko dlatego, że nigdy nie widziałem gholi — rzekł.

Uwierzyła mu i powiedziała:

— Zachowujemy Idaho do czegoś ważnego.

Farad'n w milczeniu przygryzł górną wargę.

Wensicji gest ten przypomniał nieżyjącego ojca. Dalak czasami był właśnie taki — bardzo skryty i złożony, trudny do przeniknięcia. Pamiętała, że ojca łączyły więzy pokrewieństwa z hrabią Hasimirem Fenrigiem i że obaj mieli w sobie coś z dandysów i fanatyków. Czy Farad'n pójdzie tą samą drogą? Zaczęła żałować, że kazała Tyekanikowi nawrócić chłopca na tę arrakańską religię. Kto wie, którą ścieżką pójdzie teraz?

— Jak cię obecnie nazywa Tyekanik?

— Że co? — Wensicja przestraszyła się nagłej zmiany tematu.

— Zauważyłem, że już nie mówi do ciebie „księżno”.

„Jest spostrzegawczy — pomyślała, dziwiąc się, że drąży ją niepokój. — Czy myśli, że wzięłam Tyeka na kochanka? Nonsens. Więc dlaczego pyta?”

— Mówi do mnie… pani — powiedziała.

— Dlaczego?

— Bo taki jest zwyczaj we wszystkich wysokich rodach.

„Łącznie z Atrydami” — przemknęło mu przez myśl.

— To mniej podejrzane na wypadek, gdyby ktoś tu założył podsłuch — wyjaśniła. — Ktoś mógłby pomyśleć, że zrzekliśmy się legitymistycznych aspiracji.

— Kto mógłby być tak głupi? — zapytał.

Zacisnęła wargi, decydując się pozostawić pytanie bez odpowiedzi. Drobnostka, ale wielkie kampanie składały się z drobnostek.

— Lady Jessika nie powinna nigdy opuszczać Kaladanu — stwierdził.

Potrząsnęła gwałtownie głową. Jego myśli skakały na boki jak u szaleńca!

— Co masz na myśli? — zapytała.

— Nie powinna była wracać na Arrakis — odparł. — Wybrała złą strategię. Sprawiła, że ludzie zaczęli się zastanawiać. Czyż nie byłoby lepiej, gdyby wnuki odwiedziły ją na Kaladanie?

„Ma rację” — przyznała skonsternowana. Że też jej samej nigdy nie przyszła do głowy podobna myśl! Tyek zajmie się tym natychmiast. Znowu potrząsnęła głową. „Nie!” W co grał Farad’n? Musiał wiedzieć, że kapłaństwo nigdy by nie zaryzykowało wysłania w kosmos obojga bliźniąt naraz.

Wyraziła swe wątpliwości na głos.

— Kapłaństwo czy lady Alia? — zapytał Farad’n, odnotowując, że jej myśli podążyły we właściwym kierunku. Lekko się odprężył. Jak łatwo było nią manewrować!

— Podejrzewasz, że Alia chce władzy dla siebie? — zdziwiła się Wensicja.

Farad’n odwrócił od niej spojrzenie. Oczywiście, że Alia chciała władzy! Wszystkie raporty docierające z tej przeklętej planety zgadzały się w tym jednym punkcie. Znowu zmienił temat rozmowy:

— Czytałem o ich planetologu — powiedział. — Gdzieś musi być klucz do zagadki czerwi i ich haploidalnych postaci, jeśli…

— Zostaw ten problem innym! — przerwała mu, zaczynając tracić cierpliwość. — Tylko tyle masz do powiedzenia na temat tego, co dla ciebie zrobiliśmy?

— Nic nie zrobiliście dla mnie — stwierdził.

— Co takiego?!

— Zrobiliście to dla rodu Corrinów — powiedział. — A teraz właśnie wy jesteście rodem Corrinów. Mnie nawet nie wtajemniczono.

— Masz określone obowiązki! — podkreśliła. — Co będzie z tymi, którzy na ciebie liczą?

Tak, jakby jej słowa nałożyły na niego nowe brzemię, poczuł ciężar wszystkich nadziei i marzeń związanych z rodem Corrinów.

— Tak — zgodził się. — Rozumiem… Ale nie zgadzam się z wieloma decyzjami, podjętymi i przeprowadzonymi w moim imieniu. Są wstrętne.

— Wstrę… Jak możesz mówić coś takiego? Zrobiliśmy to, co każdy wysoki ród uczyniłby dla powiększenia swej fortuny.

— Naprawdę? Myślę, że jesteście trochę prostaccy. Nie! Nie przerywaj mi. Jeżeli mam być Imperatorem, nauczcie się mnie słuchać. Myślisz, że nie potrafię czytać między wierszami? Do czego wyćwiczono te tygrysy?

Nie była w stanie wydobyć z siebie słowa na tak bezpośrednią demonstrację spostrzegawczości syna.

— Rozumiem — kontynuował. — Dobrze, zatrzymam Tyekanika, ponieważ wiem, że to ty go wciągnęłaś w to bagno. Jest dobrym oficerem, w sprzyjających warunkach będzie walczył o swoje zasady.

— Jego… zasady?

— Różnica między dobrym i marnym oficerem leży w sile charakteru — powiedział. — Dobry oficer trzyma się zasad bez względu na to, kto je kwestionuje.

— Tygrysy były koniecznością.

— Uwierzę w to, jeżeli operacja się powiedzie — odparł. — Ale i tak nie wybaczę tego, co zrobiono z nimi w trakcie szkolenia. Nie protestuj. Zostały uwarunkowane. Sama to przyznałaś.

— Co chcesz zrobić? — spytała.

— Będę czekał i obserwował — odparł. — Być może zostanę Imperatorem.

Położyła dłoń na piersi i westchnęła. Przez kilka chwil przerażał ją; odniosła wrażenie, że ją zdradzi. Zasady! Ale teraz stanął po jej stronie, widziała to wyraźnie.

Farad'n podniósł się, podszedł do drzwi i zadzwonił na służących. Obejrzał się jeszcze.

— Skończyliśmy, czyż nie?

— Tak. — Podniosła rękę, gdy już wychodził. — Dokąd idziesz?

— Do biblioteki. Zafascynowała mnie ostatnio historia rodu Corrinów. — Z tym ją opuścił.

„Do diabła z nią!"

Farad'n zdawał sobie sprawę, że już jest członkiem spisku. Uświadomił sobie jednocześnie, że istnieje głęboka różnica między historią zapisaną na szigastrunach, czytaną w wolnej chwili, a tą,

która toczyła się na bieżąco. Ta druga, nabierająca wokół niego coraz realniejszych kształtów, groziła porwaniem w nieodwracalną przyszłość. Czuł się kierowany przez pragnienia tych wszystkich, których fortuny stały za nim. Pomyślał, że to dziwne, ale nie może znaleźć miejsca dla własnych pragnień.

Powiada się o Muad'Dibie, że pewnego razu, gdy ujrzał ziele próbujące wyrosnąć pomiędzy dwiema skałami, przesunął jedną z nich. Później, gdy ziele to rozkwitło, nakrył je uprzednio usuniętą skałą. „Takie było jego przeznaczenie" — powiedział.

Komentarze

— Teraz! — krzyknęła Ghanima.

Leto wyprzedzający ją o dwa kroki w biegu do wąskiej szczeliny wśród skał nie zawahał się. Zanurkował w rozpadlinę, czołgając się przed siebie, dopóki nie skryła go ciemność. Usłyszał, że Ghanima pada za nim. Po chwili ciszy rozległ się wreszcie jej głos, ani przynaglający, ani przestraszony:

— Utknęłam.

Wstał, wiedząc, że w ten sposób jego głowa będzie w zasięgu ostrych jak brzytwy pazurów. Odwrócił się w ciemnym przejściu i podczołgał z powrotem, dopóki nie chwycił wyciągniętej dłoni Ghanimy.

— Zaczepiłam się ubraniem — powiedziała.

Tuż pod sobą usłyszał spadające kamienie. Pociągnął ją za rękę, ale niewiele w ten sposób uzyskał.

Z tyłu dochodziły głuche pomruki rozzłoszczonych bestii.

Leto wytężył się i zapierając biodra o skałę, szarpnął siostrę w górę. Materiał trzasnął i chłopiec poczuł, że Ghanima przesunęła się nieco w jego kierunku. Syknęła z bólu, ale on pociągnął raz jeszcze, mocniej. Wreszcie uwolniła się i wpełzła do dziury; odczołgała się dalej i upadła pod ścianą.

Byli zbyt blisko końca rozpadliny. Leto odwrócił się, opadł na czworaki i wsunął głębiej. Ghanima czołgała się za nim. Słyszał jej ciężki oddech. Mówiło mu to, że się pokaleczyła. Dotarł do końca szczeliny, przewrócił się na plecy i wyjrzał przez wąską szparę. Wypełniona gwiazdami szczelina otwierała się jakieś dwa metry ponad nimi. Nagle przesłoniło ją coś wielkiego.

Powietrze wokół bliźniąt wypełnił potworny ryk. Był to niski, grożący, pradawny głos łowcy przemawiającego do przyszłej ofiary.

— Mocno się zraniłaś? — zapytał Leto, starając się zachować spokojny ton.

— Jeden z tygrysów zaczepił mnie pazurem. Rozdarł filtrfrak na lewej nodze. Krwawię.

— Bardzo?

— Z żyły. Nie mogę powstrzymać krwotoku.

— Przyciśnij — powiedział. — Są większe, niż oczekiwałem.

Leto dobył z pochwy krysnóż i wstał. Wiedział, że tygrysy będą starały się dostać do swych ofiar, sięgając pazurami tam, gdzie ich ciała nie mogły się zmieścić.

Bardzo powoli wysunął przed siebie nóż. Coś brutalnie uderzyło w czubek ostrza. Cios wykręcił mu ramię, wytrącając broń z dłoni. Poczuł tryskającą na twarz obcą krew. Rozległ się wściekły, ogłuszający ryk. Gwiazdy stały się widoczne. Usłyszał, że coś upadło ze skał na piach, wyjąc przeraźliwie.

Po chwili jednak gwiazdy znów zostały zakryte, a w uszach zabrzmiał ryk drapieżnika. Drugi tygrys zajął miejsce towarzysza, niepomny na jego los.

— Są uparte — powiedział Leto.

— Jednego dostałeś na pewno — odparła Ghanima. — Słyszysz? Ryki i odgłosy konwulsji w dole stawały się coraz słabsze. Drugi tygrys pozostał jednak niewzruszony.

Leto schował krysnóż i dotknął ramienia Ghanimy.

— Daj mi swój. Potrzeba mi nowego ostrza, żeby sobie z nim poradzić.

— Myślisz, że mają trzeciego w odwodzie?

— Mało prawdopodobne. Tygrysy laza polują parami.

— Dokładnie tak jak my — odparła.

— Tak jak my — zgodził się. Poczuł wślizgującą się w dłoń rękojeść krysnoża. Chwycił ją mocno. Raz jeszcze zaczął powoli unosić broń. Ostrze napotykało tylko powietrze, nawet gdy podniósł ramię na niebezpieczną wysokość. Opuścił rękę, rozważając możliwości.

— Nie możesz go znaleźć?

— Zachowuje się inaczej niż pierwszy.

— Wciąż tam jest. Czujesz zapach?

Przełknął ślinę suchym gardłem. Okropny fetor zaatakował jego nozdrza. Gwiazdy wciąż były zasłonięte. Nie słyszał już zranionego tygrysa: trucizna na ostrzu krysnoża dokonała swego dzieła.

— Wydaje mi się, że będę musiał wstać — powiedział.

— Nie!

— Muszę go podrażnić, żeby sięgnął do noża.

— Tak, ale zgodziliśmy się, że jeśli jedno z nas może uniknąć…

— To ty jesteś ranna, zatem ty wracasz — odparł.

— Jeżeli on cię ciężko zrani, nie będę mogła cię zabrać —

odparła.

— Masz jakiś lepszy pomysł?

— Oddaj mi nóż.

— A twoja noga?

— Mogę stać na zdrowej.

— Zwierzę rozwali ci głowę jednym ciosem. Może maula…

— Jeżeli ktokolwiek tego słucha, wie już, że jesteśmy przygotowani na…

— Nie chcę, żebyś ryzykowała! — powiedział.

— Ktokolwiek tam jest, nie wolno mu się dowiedzieć, że mamy pistolety maula. Jeszcze nie teraz. — Dotknęła jego ramienia. — Będę ostrożna, schylę głowę.

Ponieważ milczał, dodała:

— Wiesz, że właśnie ja muszę to zrobić. Oddaj mi nóż.

Niechętnie skinął głową, odnalazł wolną dłonią jej rękę i zwrócił nóż. Było to logiczne, ale logika toczyła w nim wojnę z uczuciami.

Ghanima zaczęła się odczołgiwać. Do Leto wyraźnie dobiegał szmer ocierania się jej szaty o piasek na skałach. Westchnęła, a on domyślił się, że musiała wstać. „Bądź bardzo ostrożna" — pomyślał. Prawie pociągnął ją za ramię, by dalej nalegać na użycie pistoletu maula. Wiedział jednak, że nie mogą zdradzić stanu swego uzbrojenia. Ten ktoś mógłby wyprowadzić zwierzę z ich zasięgu i znaleźliby się w pułapce, ze zranionym tygrysem czającym się w jakimś nieznanym miejscu wśród skał. Ghanima wciągnęła głęboko powietrze. Oparła plecy o ścianę rozpadliny. „Muszę szybko działać" — pomyślała. Wyciągnęła w górę rękę z nastawionym nożem. Lewa noga drżała, obficie krwawiąc tam, gdzie przeoraty ją pazury. Czuła ciepło spływającego po skórze strumyka krwi. „Bardzo szybko". Metodą Bene Gesserit przygotowała zmysły na nadchodzący kryzys. Kot musi sięgnąć w dół. Powoli przesuwała ostrzem wzdłuż szczeliny. Gdzie kryło się to przeklęte zwierzę? Raz jeszcze przeorała powietrze. Nic. Trzeba było sprowokować tygrysa do ataku.

Głęboko wciągnęła nozdrzami powietrze. Zapach kota dochodził z lewej strony. Sprężyła się, wykonała jeszcze jeden głęboki wdech i krzyknęła:

— Taqwa!

Był to dawny fremeński okrzyk bitewny, którego znaczenia — „cena wolności" — można się było doszukać tylko w najstarszych podaniach. Ze złością pchnęła ostrzem wzdłuż otworu rozpadliny.

Pazury wpiły się w jej łokieć wcześniej, niż nóż znalazł ciało bestii. Zdołała zwinąć palce, kiedy przeszywający spazm bólu przemknął rękę od barku po nadgarstek. Nagłe szarpnięcie wyrwało krysnóż ze zdrętwiałej dłoni Ghanimy, lecz wąska luka w rozpadlinie znów zaświeciła gwiazdami, a noc wypełniła się jękliwym rykiem

zdychającego kociska. Potem nadeszły odgłosy śmiertelnych drgawek i uderzenia cielska zwalającego się ze skał.

— Trafił mnie w ramię — powiedziała Ghanima, starając się związać luźną fałdę szaty dookoła rany.

— Mocno?

— Tak myślę. Nie czuję dłoni.

— Pozwól mi zapalić światło i…

— Nie, dopóki się nie ukryjemy.

— Pospieszę się.

Usłyszała, jak odwrócił się, by sięgnąć po fremsak.

— Mój nóż jest tu, z boku — powiedziała. — Czuję rękojeść kolanem.

— Zostaw go teraz.

Zapalił pojedynczą, małą fiszkę jarzeniową. Blask sprawił, że Ghanima zaczęła mrugać oczyma. Leto postawił lampę z boku na piasku i westchnął, gdy zobaczył rękę siostry. Pazur otworzył długą, ziejącą ranę, skręcającą od łokcia wzdłuż tylnej strony przedramienia prawie po nadgarstek. Rana odzwierciedlała ruch, jakim odwróciła ramię, by podstawić nóż pod łapę tygrysa.

Ghanima rzuciła okiem na skaleczenie, zamknęła powieki i zaczęła odmawiać Litanię Przeciw Strachowi.

Leto poczuł identyczną potrzebę, ale odepchnął od siebie zgiełk uczuć i zajął się opatrywaniem rany. Musiał zrobić to ostrożnie, chcąc zatrzymać upływ krwi i nadać jednocześnie opatrunkowi niezręczny wygląd czegoś, co Ghanima mogłaby założyć sobie sama. Skłonił ją, by wolną ręką związała węzeł, podtrzymując koniec tkaniny w zębach.

— Teraz spójrzmy na nogę — rzekł.

Skręciła się, by pokazać drugą ranę. Ta nie była taka straszna: dwa płytkie rozdarcia wzdłuż łydki. Krwawiły jednakże mocno. Leto oczyścił skaleczenie tak dobrze, jak tylko potrafił, zawiązał pod filtrfrakiem tkaninę i zapiął nogawicę kombinezonu.

— Do rany dostał się piasek — powiedział. — Niech zajmą się tym od razu, gdy wrócisz.

— Piasek w ranach — odparła. — To nic nowego dla Fremenów.

Zdobył się na uśmiech i usiadł. Ghanima wciągnęła głęboko powietrze.

— Poradziliśmy sobie w końcu.

— Jeszcze nie.

Przełknęła ślinę, próbując dojść do siebie po doznanym szoku. Jej twarz wydawała się blada w świetle fiszki jarzeniowej. Pomyślała: „Tak, musimy działać szybko. Ktokolwiek kontrolował te tygrysy, może już się zbliżać”.

Leto, patrząc na siostrę, poczuł głęboki ból, przeszywający mu piersi. Przez lata stanowili jak gdyby jedną osobę, ale plan wymagał,

żeby przeszli metamorfozę, idąc dwiema różnymi drogami. Nigdy już doświadczanie nie mogło być ich wspólną własnością, tak jak było nią dotąd.

— Tkaninę wziąłem z mojego niezbędnika. Ktoś to może zauważyć — powiedział, wróciwszy myślami do rzeczywistości.

— Tak. — Zamieniła się z nim torbami.

— W pobliżu jest człowiek z transmiterem — powiedział. — Najprawdopodobniej czeka blisko kanatu, by się upewnić, że zginęliśmy.

Dotknęła pistoletu maula zatkniętego na wierzchu fremsaka, ujęła go i wsunęła za szarfę pod szatą.

— Mam podarte ubranie.

— Poszukiwacze mogą tu szybko trafić — rzekł. — Może być wśród nich zdrajca. Lepiej wracaj sama. Niech Hara cię ukryje.

— Ja… zacznę szukać zdrajcy, jak tylko wrócę — powiedziała.

Spojrzała w twarz brata, dzieląc jego bolesną świadomość, że od tej chwili będą gromadzili w sobie coraz więcej różnic. Już nigdy nie staną się jednością, łącząc wiedzę, której nikt inny nie mógł pojąć.

— Pójdę do Dżekaraty — zdecydował.

— Fondak… — odparła.

Skinieniem głowy wyraził potwierdzenie. Dżekarata-Fondak. Obie nazwy musiały odpowiadać temu samemu miejscu. Tylko w ten sposób to legendarne miejsce mogło pozostać w ukryciu. Robota przemytników, oczywiście. Zmiana jednej nazwy na inną nie przedstawiała dla nich żadnej trudności: działali pod przykrywką niepisanej konwencji, pozwalającej im istnieć. Ród władający planetą zawsze musi mieć tylne wyjście, z którego mógłby skorzystać w wyjątkowej sytuacji, a mały udział w przemytniczych zyskach utrzymywał te kanały otwarte. W Fondaku-Dżekaracie przemytnicy zajęli w pełni sprawną sicz, nie przejmując się losem jej szczątkowej ludności. I ukryli Dżekaratę wprost w otwartej pustyni, bezpieczni dzięki tabu, które trzymało Fremenów z daleka.

— Żaden Fremen nie pomyśli o szukaniu mnie w takim miejscu — powiedział Leto. — Będą oczywiście pytać pośród przemytników, ale…

— Zrobimy tak, jak się umówiliśmy — odparła Ghanima.

— Wiem. — Słysząc własny głos, Leto zrozumiał, że celowo przeciąga ostatnie chwile wzajemnej — jego i siostry — tożsamości. Uśmiech wykrzywił mu usta, dodając lat wyglądowi. Ghanima uświadomiła sobie, że widzi brata przez woal czasu. Łzy paliły jej oczy, gdy patrzyła na tego nowego Leto. — Nie wolno ci jeszcze oddawać wody zmarłym — powiedział, przesuwając palcem po jej wilgotnych policzkach. — Odejdę tak daleko, że nikt mnie nie usłyszy, i przywołam czerwia. — Wskazał na złożone haki stworzyciela,

przypięte do szarfy fremsaka. — Będę w Dżekaracie pojutrze przed świtem.

— Jedź szybko, mój stary przyjacielu — szepnęła.

— Wierzę w ciebie, moja jedyna przyjaciółko — odparł. — Pamiętaj, żebyś była ostrożna nad kanatem.

— Wybierz dobrego czerwia — wypowiedziała fremeńskie słowa pożegnania. Lewą ręką zgasiła fiszkę jarzeniową i zaczęła szeleścić nocną osłoną. Pociągnęła ją ku sobie, zrolowała i wetknęła w torbę. Usłyszała jego lekkie kroki, gdy schodził w dół po skałach, na pustynię.

Uzbroiwszy się w nową siłę, czekała na rozwój wydarzeń. Leto musiał stać się dla niej martwy. Musiała uwierzyć w jego śmierć. Nie mogła wiedzieć nic o żadnej Dżekaracie, o bracie poszukującym miejsca zagubionego we fremeńskiej mitologii. Musiała tak uwarunkować organizm, aby reagował z całkowitym przekonaniem, kiedy będzie opowiadała o śmierci Leto rozszarpanego przez tygrysy laza. Niewielu ludziom udało się zwieść Prawdomówczynię, ale ona wiedziała, że potrafi to zrobić… Wielożycie, które dzieliła z Leto, nauczyło ją, jak tego dokonać: korzystając z hipnotycznego procesu, starego już w czasach Szeby; chociaż prawdopodobnie była jedyną osobą, która pamiętała, że w ogóle istniała jakiś Szeba. Starannie zaplanowała głęboki przymus i przez długi czas po odejściu brata przekształcała swą świadomość — tworząc postać pogrążonej w żałobie siostry, ocalałej bliźniaczki — dopóty, dopóki nie uzyskała nieodparcie podobnej do prawdy całości. Gdy skończyła, poczuła, jak wewnętrzny świat ucisza się, wypchnięty z jej świadomości. Uzyskała efekt uboczny, którego się nie spodziewała.

„Gdyby Leto żył i mógł się tego nauczyć!” — pomyślała. Wstała, spojrzała w dół na pustynię, gdzie tygrysy dopadły brata. Dobiegł stamtąd dźwięk wydobywający się z piasku, dźwięk dobrze znany Fremenom: przejście czerwia. Chociaż rzadko spotykało się je w tej okolicy, to jednak czasami się zjawiały. Być może śmiertelne drgawki pierwszego kota… Tak, Leto zabił jedną bestię, zanim druga go dopadła. Obecność czerwia wydawała się dziwnie symboliczna. Uwarunkowanie Ghanimy było tak głębokie, że daleko w dole na piasku ujrzała trzy ciemne plamy: dwa tygrysy i Leto. Potem czerw przeszedł i pozostał już tylko piach o powierzchni ułożonej w nowe fale. Czerw nie był zbyt wielki… ale wystarczająco duży. Uwarunkowanie spowodowało, że nie dostrzegła małej postaci, unoszonej na pierścieniowym grzebiecie.

Walcząc z żalem, Ghanima zapięła fremsak i wyczołgała się ostrożnie z ukrycia. Trzymając dłoń na pistolecie maula, zbadała teren. Ani śladu człowieka z transmiterem. Podjęła wspinaczkę w górę, przeczołgując się na przeciwległą stronę i pełznąc wśród

rzucanych przez księżyc cieni. Wypatrywała zabójcy czającego się na jej drodze.

W końcu zobaczyła przed sobą światła siczy Tabr i pochodnie grupy poszukiwawczy. Przez piasek ku Świadkowi posuwała się jakaś ciemna plama. Ghanima wybrała trasę prowadzącą daleko na północ, by ominąć zbliżającą się wyprawę. Zeszła na piach i skryła się w cieniu wydm. Stąpając nierównomiernie, tak aby nie przyciągnąć czerwia, wyszła na pustą trasę, dzielącą Tabr od miejsca, gdzie zginął Leto. Pamiętała dobrze, że miała być ostrożna nad kanatem. Nic nie mogło przeszkodzić jej w złożeniu relacji o tym, jak Leto zginął, ratując ją przed tygrysami.

Rządy, jeżeli są trwałe, zawsze ciążą coraz bardziej ku formom arystokratycznym. Nie jest znany w historii żaden władca, który uniknąłby tego losu. A gdy rozwija się arystokracja, rząd coraz bardziej dąży ku działaniu wyłącznie w interesie klasy panującej — czy klasą tą będzie dziedziczna monarchia, oligarchia finansowych mocarstw, czy okopująca się wokół władzy biurokracja.

„Polityka jako zjawisko powtarzalne. Podręcznik ćwiczebny Bene Gesserlt”

— Dlaczego złożył nam tą ofertę? — zapytał Farad’n. — To najważniejsze.

On i baszar Tyekanik stali w świetlicy — jednej z prywatnych komnat Farad’na. Wensicja siedziała z boku, na niskiej, błękitnej otomanie, prawie jakby podsłuchiwała, a nie współuczestniczyła w rozmowie. Farad’n uległ zadziwiającej przemianie od tamtego poranka, kiedy odsłoniła przed nim plany organizowanego spisku.

W Zamku Corrinów dochodziło już późne popołudnie i płasko padające światło podkreślało spokojny komfort świetlicy — pokoju zastawionego prawdziwymi książkami, odtworzonymi w plastenie. Na półkach zalegało mnóstwo szpul z nagraniami, bloki z danymi, szpule szigastruny i wzmacniacze mnemoniczne. Znajdowała się tu wprawdzie tylko jedna otomana, lecz prócz niej było wiele foteli — wszystkie dostosowywujące kształty do siedzących w nich osób — które unosiły się na polu dryfowym. Zaprojektowano je tak, aby osiągnąć maksimum niekrępującej wygody.

Farad'n odwrócił się plecami do okna. Miał na sobie gładki, szaroczarny mundur sardaukara, z jedyną dekoracją w postaci stylizowanych, złotych lwich pazurów na wyłogach kołnierza. Zdecydował się przyjąć baszara i matkę u siebie, mając nadzieję na uzyskanie bardziej niezobowiązującego nastroju, niż byłoby to możliwe na oficjalnym posiedzeniu, lecz nieustanne „mój pan to" i „moja pani tamto" Tyekanika tworzyło dystans.

— Panie, nie sądzę, żeby złożył ofertę, nie będąc w stanie jej zrealizować — powiedział Tyekanik.

— Oczywiście, że nie — wtrąciła się Wensicja.

Farad'n spojrzał na matkę po to tylko, by ją uciszyć, i zapytał:

— Nie naciskaliśmy na Idaho ani nie usiłowaliśmy skorzystać z obietnicy Kaznodziei?

— Nie — odparł Tyekanik.

— Zatem dlaczego Duncan Idaho, przez całe życie znany z fanatycznej lojalności wobec Atrydów, proponuje teraz oddanie lady Jessiki w nasze ręce?

— Krążą plotki o jakiś kłopotach na Arrakis… — odważyła się wtrącić Wensicja.

— Nie są potwierdzone — przerwał Farad'n. — Czy te kłopoty mogą być efektem działalności Kaznodziei?

— Możliwe — rzekł Tyekanik — ale nie widzę, niestety, motywacji.

— Mówi, że szuka dla niej azylu — powiedział Farad'n. — To by się zgadzało, jeżeli pogłoski…

— Właśnie — rzekła księżna.

— Możemy wysunąć kilka przypuszczeń i rozważyć je — zaproponował Farad'n. — A jeżeli Idaho popadł w niełaskę u lady Alii?

— Rzucałoby to nowe światło na sytuację — powiedziała Wensicja.

— Jednak on…

— Nie otrzymaliśmy jeszcze żadnych wiadomości od przemytników? — wtrącił się Farad'n. — Dlaczego nie…

— Doręczanie informacji zawsze trwa długo o tej porze roku — powiedział Tyekanik — a wymogi bezpieczeństwa…

— Tak, oczywiście, ale mimo to… — Farad'n potrząsnął głową. — Nie podobają mi się nasze rozważania.

— Nie spiesz się z ich odrzucaniem — ostrzegła Wensicja. — Wszystkie pogłoski o Alii i tym kapłanie, jak mu tam na imię…

— Dżawid — powiedział Farad'n. — Ale ów człowiek…

— Jest dla nas bardzo cennym źródłem informacji — rzekła Wensicja.

— Chciałem powiedzieć, że ten człowiek gra rolę podwójnego

agenta — odparł Farad'n. — Nie można mu ufać. Jest zbyt wiele oznak, że…

— Niestety, nie widzę ich — zaprzeczyła. Nagle rozgniewała go postawa Wensicji.

— Daję ci moje słowo, matko. Oznaki są pewne. Wyjaśnię ci to później.

— Zgadzam się z tobą, mój panie — powiedział Tyekanik. Wensicja poczuła się urażona. Ośmielili się ją zignorować, jak gdyby była lekkomyślną idiotką bez…

— Nie wolno nam zapominać, że Idaho stał się niegdyś gholą — powiedział Farad'n. — Tleilaxanie… — Spojrzał w bok, na Tyekanika.

— Cóż, ta możliwość zostanie zbadana — odparł Tyekanik.

Poczuł, że podziwia sposób, w jaki pracował umysł Farad'na — czujnie, ostro, kwestionujące. Tak, Tleilaxanie, przywracając życie Idaho, mogli umieścić w nim uwarunkowanie mające przynieść im dodatkowe korzyści.

— Ale nie pojmuję, jaki Tleilaxanie mogliby mieć w tym cel — powiedział Farad'n.

— Zainwestowali w naszą fortunę — odparł Tyekanik — Małe ubezpieczenie w nadziei na przyszłe łaski.

— Nazwałbym to raczej wielką inwestycją — rzekł Farad'n.

— I niebezpieczną — dodała Wensicja.

Farad'n musiał się z nią zgodzić. Zdolności lady Jessiki były powszechnie znane w Imperium. Ponad wszystko, to właśnie ona wyszkoliła Muad'Diba.

— W wypadku, gdyby się stało wiadome, że ją więzimy — uzupełnił Farad'n.

— Tak, to może okazać się obosiecznym mieczem — zgodził się Tyekanik. — Ale nikt nie musi wiedzieć o nowym miejscu pobytu lady Jessiki.

— Załóżmy — rzekł Farad'n — że przyjmujemy ofertę. Jaką wartość przedstawia matka Muad'Diba? Czy możemy ją wymienić na coś o większym znaczeniu?

— Nie otwarcie — odpowiedziała Wensicja.

— Oczywiście, że nie! — Spojrzał wyczekująco na Tyekanika.

— Musimy się przekonać — powiedział Tyekanik. Farad'n pokiwał głową.

— Tak. Myślę, że w wypadku wyrażenia zgody powinniśmy uważać lady Jessikę za kapitał zdeponowany na bliżej nieokreślony cel. W końcu bogactwo nie musi zostać wydane koniecznie na jakąkolwiek konkretną rzecz. Jest po prostu… potencjalnie użyteczne.

— Ona może okazać się bardzo niebezpiecznym jeńcem — ostrzegł Tyekanik.

— Nad tym trzeba się rzeczywiście zastanowić — odparł

Farad'n. — Mówiono mi, że dzięki metodzie Bene Gesserit można manipulować ludźmi tylko za pomocą użycia głosu.

— Lub ciała — dodała Wensicja. — Irulana kiedyś zdradziła mi trochę z tego, czego się nauczyła. Chciała wywrzeć na mnie wrażenie, ale nie sądzę, by przesadzała. Wniosek z tego płynął jeden: że Bene Gesserit mają wiele sposobów prowadzących do osiągnięcia celu.

— Starasz się zasugerować — rzekł Farad'n — że będzie chciała mnie uwieść?

Wensicja wzruszyła ramionami.

— Powiedziałbym, że jest trochę za stara, czyż nie? — zapytał Farad'n.

— Z Bene Gesserit nigdy nic nie wiadomo — rzekł Tyekanik.

Farad'n poczuł dreszcz zmieszanego z lękiem podniecenia. Gra mająca doprowadzić do otrzymania władzy przez ród Corrinów równocześnie pociągała go i odpychała. Wciąż pragnął wycofać się, by kontynuować ulubione badania historyczne i pogłębiać wiedzę konieczną do władania tu, na Salusa Secundus. Odtworzenie sił sardaukarskich było celem samym w sobie… i dla tego zadania Tyek stanowił wciąż dobre narzędzie. Jedna planeta to wystarczająco duża odpowiedzialność, natomiast całe Imperium wymagało nieporównywalnie większych umiejętności rządzenia. I im więcej czytał o Muad'Dibie — Paulu Atrydzie, tym bardziej fascynował się sposobami korzystania z władzy. Jako tytularna głowa rodu Corrinów, spadkobierca Szaddama IV, dokonałby wielkiego dzieła, przywracając swojej rodzinie dziedziczne prawo do Lwiego Tronu. Chciał tego! Pragnął tego! Farad'n zorientował się, że powtarzając tę nęcącą litanię, potrafi pokonać chwilowe wątpliwości. Tymczasem Tyekanik kontynuował:

— … i, oczywiście, Bene Gesserit nauczają, że pokój prowokuje agresję, wywołując w efekcie wojnę. Paradoksem…

— Jak doszliśmy do tego tematu? — zapytał Farad'n, odrywając uwagę od areny własnych spekulacji.

— Cóż… — powiedziała słodko Wensicja, zauważywszy już wcześniej nieobecny wyraz twarzy syna. — Zapytałam jedynie, czy Tyek zna filozofię, którą kieruje się zakon żeński.

— Do filozofii powinno się podchodzić z lekceważeniem — rzekł Farad'n, zwracając twarz ku Tyekanikowi. — W kwestii oferty Idaho: sądzę, że powinniśmy rozważać ją dalej. Kiedy myślimy, że coś poznaliśmy dogłębnie, właśnie wtedy przychodzi chwila, w której trzeba się lepiej temu czemuś przyjrzeć.

— Tak się stanie — powiedział Tyekanik. Podobała mu się ostrożność Farad'na, ale miał nadzieję, że nie przeniesie się ona na militarne decyzje, wymagające szybkości i precyzji.

Pozornie bez związku, Farad'n spytał:

— Wiecie, co uważam za najciekawsze w historii Arrakis? Fremeński zwyczaj z dawnych czasów: zabijanie od ręki nie ubranych w filtrfrak.

— Dlaczego fascynujesz się filtrfrakami? — zapytał Tyekanik.

— Więc nic nie zauważyliście?

— Cóż takiego mieliśmy zauważyć? — zapytała ironicznie Wensicja. Farad'n posłał matce zirytowane spojrzenie. Dlaczego przeszkadza właśnie teraz? Odwrócił wzrok na Tyekanika.

— Filtrfrak jest kluczem do charakteru Arrakis, Tyek. To piętno Diuny. Ludzie skłaniają się do skupienia na fizycznych opisach: filtrfrak chroni wilgoć ciała, włącza ją w obieg i czyni możliwym przetrwanie w trudnych warunkach. Wiesz, obyczaj Fremenów pozwalał na dawanie po jednym filtrfraku każdemu członkowi rodziny, z wyjątkiem tych, którzy zdobywali żywność — oni mieli ich więcej. Proszę jednak, zauważcie oboje — gestem ręki włączył w dyskusję matkę — że ubiory, które udają filtrfraki, ale naprawdę nimi nie są, stały się modne w całym Imperium. Górę wzięła powszechna u ludzi cecha: kopiować zwycięzcę!

— Naprawdę sądzisz, że ów szczegół ma jakieś znaczenie? — zapytał zdezorientowany jego tonem Tyekanik.

— Tyek, Tyek… Bez takich informacji nie można byłoby rządzić! Powiedziałem, że filtrfraki są kluczem do ich charakteru, bo są! Filtrfrak to coś konserwatywnego, zachowawczego.

Tyekanik spojrzał na Wensicję, która patrzyła na syna, marszcząc ze zmartwienia brwi. Ta cecha Farad'na zarówno przyciągała, jak i martwiła baszara. Zbyt różnił się od Szaddama, który stanowił wcielenie ideału sardaukara: był zmilitaryzowanym zabójcą o bardzo niewielu hamulcach. Ale Szaddam poddał się Atrydom dowodzonym przez przeklętego Paula. Rzeczywiście, to co okazywał teraz Farad'n, przypominało cechy, o których czytał, że posiadał je Paul Atryda. Być może Farad'n mniej wahałby się pomiędzy niezbędnymi, okrutnymi decyzjami niż Atrydzi, lecz tylko dlatego, że przeszedł sardaukarskie szkolenie.

— Wielu rządziło, nie zbierając tego rodzaju informacji — stwierdził Tyekanik.

Farad'n popatrzył nań przez chwilę i rzekł:

— Rządziło i upadło.

Usta Tyekanika ściągnęły się w prostą kreskę. Pojął oczywistą aluzję odnoszącą się do klęski Szaddama. Była to również klęska sardaukarów. I żaden z nich nie potrafił wspominać jej równie lekko.

Poczyniwszy tę uwagę, Farad'n dodał:

— Widzisz, Tyekanik, nigdy w pełni nie doceniono wpływu warunków życia danej planety na masy nieświadomych tubylców. Aby pokonać Atrydów, musimy pojmować nie tylko Kaladan, ale i Arrakis:

pierwsza jest łagodna, a druga to grunt wymagający twardych decyzji. Jak doszło do asymilacji Atrydów i Fremenów? Bez rozwiązania tej zagadki nigdy nie zdołamy tego powtórzyć i znów zostaniemy pokonani.

— A cóż to ma wspólnego z ofertą Idaho? — zapytała z naciskiem Wensicja.

Farad'n popatrzył z góry na matkę.

— Zaczniemy walkę od wprowadzenia w ich społeczeństwo pewnego rodzaju presji. Presja jest potężnym narzędziem, jej brak również. Nie zauważyłaś, jak Atrydzi stopniowo łagodzili obyczaje Fremenów?

Tyekanik skinął głową, wyrażając aprobatę. Celna uwaga. Nie można pozwalać na zbytnie łagodzenie dyscypliny sardaukarów. Jednak niepokoiła go wciąż propozycja Idaho.

— Może lepiej odrzucić tę ofertę? — powiedział.

— Jeszcze nie — odezwała się Wensicja. — Mamy otwarty cały wachlarz decyzji, naszym zadaniem jest rozpatrzenie możliwie dużej ilości wariantów. Mój syn ma rację — potrzebujemy więcej informacji.

Farad'n popatrzył na nią, rozważając znaczenie wypowiedzianych przez matkę słów.

— Ale czy nie miniemy punktu, poza którym nasze decyzje nie będą miały znaczenia? — zapytał.

Z ust Tyekanika dobył się gorzki śmiech.

— Jeżeli o mnie chodzi, uważam, że dawno minęliśmy punkt, z którego nie ma powrotu.

Farad'n odrzucił w tył głowę i roześmiał się w ślad za nim.

— Ale wciąż jeszcze mamy możliwość wyboru, Tyek.

W tym wieku, gdy środki ludzkiego transportu obejmują urządzenia potrafiące pokonywać w transczasie głębię przestrzeni i inne delikatnie przenoszące ludzi przez rzeczywiście niedostępne dla ich stóp planetarne powierzchnie, dziwna jest myśl o podejmowaniu pieszo dalekich podróży. Mimo to sposób ten pozostaje podstawowym na Arrakis. Fakt ów przypisywany jest częściowo świadomemu wyborowi, a częściowo brutalnemu traktowaniu, jakie planeta zachowuje dla wszystkiego, co mechaniczne. W ograniczeniach narzucanych przez Arrakis człowiek jest najwytrzymalszym i

najbardziej niezawodnym elementem Hadżdż. Być może milcząca świadomość tego faktu czyni Arrakis ostatecznym zwierciadłem duszy.

z „Poradnika Hadżdż”

Powoli i ostrożnie Ghanima dotarła z powrotem do siczy Tabr, trzymając się najgłębszych cieni wydm. Przycupnęła w milczeniu, gdy ekipa poszukiwaczy przechodziła obok. Nie opuszczała jej straszna świadomość: czerw, który zabrał tygrysy i ciało Leto, był ledwie wstępem do czekających ją niebezpieczeństw. Leto odszedł, i to odszedł na zawsze. Opanowała łzy i zapamiętała się w gniewie. Stała się czystą Fremenką i wiedziała o tym, sycąc się uzyskaną wiedzą.

Zrozumiała wszystko, co mówiono o Fremenach. Krążyły plotki, że nie mają sumienia, gdyż spłonęło w konfrontacji z pragnieniem zemsty na tych, którzy wypędzali ich z planety na planetę. Oczywiście, to zwykła głupota. Tylko najprymitywniejszy dzikus nie posiada sumienia. Fremeni mieli je bardzo wysoko rozwinięte, a koncentrujące się na pomyślności narodu. Tylko obcym wydawali się brutalni — tak jak obcy wydawali się brutalni Fremenom. Każdy Fremen wiedział bardzo dobrze, że może dokonać brutalnego czynu i nie mieć z tego powodu wewnętrznych wyrzutów. Fremeni nie odczuwali winy robiąc rzeczy, które wywoływały to uczucie w innych. Rytuały ofiarowywały im wolność od grzechów, które inaczej mogłyby przynieść ogólną zagładę. Wiedzieli, że każdy występek można usprawiedliwić, przynajmniej po części, dobrze znanymi okolicznościami łagodzącymi: „nieopanowaniem”, czy „naturalnie” złymi skłonnościami, będącymi udziałem wszystkich ludzi, albo „brakiem szczęścia”, które odczuwali jako zderzenie pomiędzy śmiertelnym ciałem, a zewnętrznym chaosem wszechświata.

Na tym tle Ghanima postrzegała siebie jako czystą Fremenkę, starannie przygotowaną do dozwolonej plemiennej brutalności. Potrzebowała celu — a tym celem był bez wątpienia ród Corrinów. Marzyła o ujrzeniu krwi Farad’na rozlanej u swych stóp.

Przy kanacie nie czekał na nią żaden wróg. Nawet ekipy poszukiwawcze rozeszły się na wszystkie strony. Przecięła kanat, idąc po mostku bez poręczy. Potem podczołgała się przez wysoką trawę ku ukrytemu wejściu do siczy. Wstała, aby zorientować się w sytuacji. Nagle w przodzie zabłysły światła i Ghanima rzuciła się płasko na ziemię. Wyjrzała przez łodygi wyrośniętej lucerny. Jakaś kobieta weszła z zewnątrz w otwór ukrytego przejścia. Ktoś pamiętał o tradycyjnym przygotowaniu wejścia do siczy. W czasie kłopotów każdego, kto wchodził do siczy, witało się jaskrawym światłem,

oślepiającym na chwilę przybysza i dającym czas strażnikom na decyzję. Nigdy jednak takie przywitanie nie powinno być widoczne daleko na pustyni. To, że Ghanima dostrzegła światło, oznaczało, że ktoś zdjął zewnętrzną grodź.

Ghanima poczuła przypływ gniewu na tak jawne zaniedbanie bezpieczeństwa siczy: palące się otwarcie światło. Zgroza.

Poświata wciąż kładła się wachlarzem na grunt u podnóża zbocza. Dziewczynka wybiegła z ciemności sadu w jasny krąg. Jej ruchy zdradzały coś w rodzaju przestrachu. Ghanima mogła dojrzeć u wejścia krąg kuli świętojańskiej z otaczającą ją aureolą owadów. Blask oświetlał teraz dwa ciemne cienie w przejściu — mężczyznę i kobietę trzymających się za ręce.

Ghanima wyczuwała, że coś tu nie jest w porządku. Nie byli tylko parą kochanków kradnących parę chwil dla Ciebie. Źródło światła wisiało w górze, za nimi. Mówili do siebie oświetleni łukiem blasku, rzucając cienie na zewnątrz, w noc, gdzie każdy mógł obserwować ich ruchy. W pewnym momencie mężczyzna uwolnił swą rękę, gestykulując prędkimi, skrytymi ruchami. Gdy skończył, dłoń powróciła w cień.

W ciemności wokół Ghanimy rozbrzmiewały głosy nocnych stworzeń, ale ona starała się pozbyć ich ze świadomości, by jej nie rozpraszały.

Co zaniepokoiło ją w tych dwojgu?

Gesty mężczyzny były tak stateczne, tak ostrożne.

Odwrócił się. Odbicie światła od szaty kobiety rzuciło na niego blask, ukazując surową, czerwoną twarz z ogromnym nosem. Ghanima w milczeniu wciągnęła głęboki oddech. Palimbasza! Był wnukiem naiba, którego synowie polegli w służbie Atrydów. Twarz — i jeszcze coś, co błysnęło w rozchylonej podczas obrotu szacie — nakreśliła Ghanimie kompletny obraz. Pod szatą miał pas z przytwierdzoną kasetą, błyskającą klawiszami i suwakami. Bez wątpienia był to instrument z Tleilaxu, bądź z Ix. Musiał to być transmiter, który uwolnił tygrysy. Palimbasza. A więc kolejna fremeńska rodzina przeszła na stronę rodu Corrinów.

Kim była kobieta? To bez znaczenia. Po prostu kimś, kogo wykorzystywał Palimbasza.

W umyśle Ghanimy zjawiła się myśl Bene Gesserit: „Każda planeta ma własny czas, tak samo każde życie”.

Dobrze pamiętała Palimbaszę. Nauczał w siczowej szkole matematyki. Starał się wyjaśnić Muad’Diba systemami matematycznymi, potępianymi dotąd przez kapłaństwo. Zniewalał umysł w prosty sposób: przekazywał techniczną wiedzę, nie przekazując żadnej wartości.

„Powinnam wcześniej była go podejrzewać — pomyślała. —

Symptomy były oczywiste”.

Po chwili z gorzkim uściskiem w żołądku dokończyła tę myśl: „To on zabił mojego brata!”

Zmusiła się do spokoju. Palimbasza zabiłby i ją, gdyby starała się minąć go w ukrytym przejściu. Teraz zrozumiała przyczynę tej niefremeńskiej rewii światła, zdrady ukrytego wejścia. Wypatrywał przy świetle, czy któraś z ofiar nie uciekła tygrysom. Ghanima, widząc transmiter, pojęła część gestów ręki — Palimbasza gniewnym ruchem naciskał jeden z klawiszy urządzenia.

Obecność tej pary ostrzegła Ghanimę. Prawdopodobnie w każdym wejściu do siczy stał inny strażnik.

Podrapała się po nosie. Zraniona noga wciąż drżała, a prawa ręka mocno bolała. Palce miała zdrętwiałe. Gdyby doszło do walki na noże, musiałaby trzymać go w lewej ręce.

Ghanima pomyślała o użyciu pistoletu maula, ale charakterystyczny odgłos na pewno ściągnąłby niepożądaną uwagę. Trzeba było znaleźć jakiś inny sposób.

Palimbasza raz jeszcze odwrócił się plecami do wyjścia, stając się ciemną plamą na tle światła. Uwaga kobiety, nawet gdy mówiła, skierowana była przez cały czas na zewnątrz.

Ghanima czuła w niej napięcie sprawiające wrażenie, że kobieta widzi, używając samych kącików oczu. Była zatem czymś więcej niż użytecznym narzędziem zdrajców. Była jedną z nich.

Ghanima przypomniała sobie, że Palimbasza miał aspiracje zostać kajmakanem, politycznym gubernatorem pod zwierzchnictwem Regentki. Było jasne, że stanowi ogniowo większego spisku. Za nim stało wielu innych. Nawet tu, w Tabr. Gdyby udało się wziąć jedno z nich żywcem, miałoby się w garści wielu innych.

Uwagę Ghanimy przyciągnęło sapnięcie małego zwierzęcia pijącego z kanatu. Naturalne dźwięki i naturalne istoty. Jej pamięć próbowała się przebić przez dziwną barierę milczenia w umyśle. Dotarła wreszcie do kapłanki Jowf, pojmanej w Asyrii przez Sennacheriba. Jej wspomnienia powiedziały Ghanimie, co musi teraz zrobić. Palimbasza i jego kobieta byli jedynie dziećmi, niesfornymi i niebezpiecznymi. Nie wiedzieli nic o Jowf, nie znali nawet imienia planety, na której kapłanka i Sennacherib obrócili się w proch i pył. Taki sam los miał spotkać spiskowców: ich sława miała zemrzeć tu i teraz, na gruncie Arrakis, nim się jeszcze narodziła.

Przetoczywszy się na bok, Ghanima uwolniła fremask, wyzwoliła piachochrapy z przytrzymujących je wiązań, zdjęła z nich pokrowiec i usunęła filtr. Teraz dysponowała długą rurą. Z małego pudełeczka niezbędnika wyciągnęła igłę, wyjęła z pochwy krysnóż i włożyła igłę w otwór na szczycie ostrza, prowadzący do zbiornika z trucizną: miejsca, przez które przebiegał kiedyś nerw czerwia. Zranienie ręki

czyniło to zadanie niezwykle trudnym. Dziewczynka poruszała się powoli, ostrożnie, przytrzymując z wielką przezornością zatrutą igłę, podczas gdy z przegródki we fremsaku wyjęła tampon z włókna przyprawowego. Trzon igły owinęła ściśle wacikiem, tworząc pocisk dokładnie mieszczący się w rurze piachochrapów.

Trzymając broń poziomo, podpełzła bliżej do światła, poruszając się powoli, by wywołać minimalne zamieszanie wśród lucerny. Czołgając się, badała wzrokiem owady latające w świetle. Tak, w tym rojnym tłumie widziała również piumuchy. Wiedziała o nich, że z zapamiętaniem gryzą ludzkie ciało. Zatruta strzałka mogła zostać nie zauważona, wzięta jako ukąszenie natrętnego owada. Pozostawała kwestia wyboru: które z pary wybrać — mężczyznę czy kobietę?

Muriza. Imię nagle wyskoczyło z pamięci Ghanimy. Tak nazywała się ta kobieta. Przypomniały jej się rzeczy, które o niej mówiono. Była jedną z tych, które kręciły się wokół Palimbaszy jak te owady, rojące się wokół kuli świętojańskiej. Była słaba, łatwo ulegała wpływom.

Bardzo dobrze. Palimbasza wybrał sobie na tę noc złe towarzystwo.

Ghanima przytknęła rękę do ust i z pomocą wspomnień kapłanki Jowf, obecnej w jej świadomości, zaczerpnęła głęboko powietrza, by po chwili wydmuchnąć je gwałtownie.

Palimbasza trzepnął się w policzek i spojrzał na dłoń. Krew. Nie widział igły odrzuconej ruchem ręki.

Kobieta powiedziała coś uspokajającego i Palimbasza roześmiał się. Śmiał się wciąż, gdy nogi zaczęły się pod nim uginać. Zatoczył się raptownie na Murizę, która usiłowała go podtrzymać. Nagle obok nich pojawiła się Ghanima przyciskająca ostrze odsłoniętego krysnoża do boku kobiety.

Tonem konwencjonalnej, spokojnej rozmowy, dziewczynka powiedziała:

— Nie rób żadnych gwałtownych ruchów, Murizo. Mój nóż jest zatruty. Możesz już puścić Palimbaszę. Jest martwy.

> *We wszystkich większych społecznych siłach odnajdujemy ukrytą chęć zdobycia i utrzymania władzy poprzez słowa. Od szamana przez kapłana po biurokratę — wszędzie obserwujemy to samo zjawisko. Rządzoną ludność trzeba uwarunkować na przyjmowanie słów-kluczy jako rzeczywistych rzeczy, na mylenie słownych konstrukcji z rzeczywistym wszechświatem. Utrzymując taką*

struktury władzy, pewne symbole ukrywa się poza zasięgiem powszechnego zrozumienia — symbole takie jak te, które na przykład dotyczą manipulowania ekonomią. Symbolika — tajność tych pojęć prowadzi do rozwoju izolowanych, szczątkowych podjęzyków, z których każdy jest oznaką, iż używający go gromadzą w ręku pewnego rodzaju władzę. Założywszy taką interpretację procesu zdobywania władzy, nasze Imperialne Siły Bezpieczeństwa winny być wiecznie uczulone na powstawanie podjęzyków.

„Wykłady w Akademii Wojennej w Arrakin" w opracowaniu księżnej Irulany

— Może nie powinienem tego mówić — powiedział Farad'n — lecz by uniknąć omyłek, oświadczam, że umieściłem tu głuchoniemego z rozkazem zabicia obojga was w wypadku, gdybym zaczął zdradzać oznaki ulegania czarodziejskim praktykom.

Nie spodziewał się, że ujrzy jakąkolwiek reakcję. Oboje, lady Jessika i Idaho, spełniali i bez tego wszelkie jego oczekiwania.

Farad'n rozmyślnie wybrał na miejsce pierwszej rozmowy dawną Komnatę Audiencji Państwowych Szaddama. Jeżeli nawet brakowało jej wielkości, to była przystosowana do organizowania niezwyczajnych spotkań. Na zewnątrz panowała typowa zimowa pogoda, lecz oświetlenie komnaty pozbawionej okien symulowało nieustający letni dzień, skąpany w złotym świetle padającym ze zręcznie rozmieszczonych kuł świętojańskich, wykonanych z najczystszego Ixiańskiego kryształu.

Wiadomości z Arrakis napełniały Farad'na spokojem i uniesieniem. Leto, bliźniak-chłopiec, zginął, zabity przez tygrysy. Ghanima, ocalała siostra, znajdowała się w rękach ciotki, która traktowała ją jako zakładniczkę. Raport z Diuny wyjaśniał kulisy dziwnej propozycji Idaho. Duncan po prostu prosił o azyl dla lady Jessiki. Szpiedzy Corrinów donosili o niepewnym zawieszeniu broni na Arrakis: Alia wyraziła zgodę na poddanie się próbie, zwanej „Procesem-o-Opętanie", której celów w pełni nikt nie wyjaśnił. Jednakże na proces nie wyznaczono żadnej konkretnej daty i dwaj szpiedzy Corrinów byli przekonani, że nigdy do niego nie dojdzie. Jedyną pewną wiadomością była informacja o walkach między

fremeńskimi siłami militarnymi i Fremenami z pustyni. Była to poroniona wojna domowa, która wywołała tymczasowy zastój w rządzie. Tereny zarządzane przez Stilgara pozostały neutralne, a ich rolę określano jako pole wzajemnej wymiany zakładników. Ghanimę bez wątpienia trzymano jako zakładniczkę, chociaż agenci nie rozpracowali tego tematu do końca.

Jessikę i Idaho przywieziono tutaj i dla bezpieczeństwa natychmiast przywiązano do foteli dryfowych. Oboje zostali skrępowani morderczo cienkimi nitkami szigastruny, która werżnęłaby się im w ciało przy najlżejszej szamotaninie. Dwaj sardaukarzy sprawdzili więzy i wyszli w milczeniu.

W istocie, ostrzeżenie nie było konieczne. Jessika widziała uzbrojonego głuchego mężczyznę, stojącego pod ścianą po prawej stronie, ze starą, lecz skuteczną bronią w dłoni. Pozwoliła błądzić spojrzeniu wśród egzotycznych dekoracji sali. Szerokie, splatające się liście rzadkiego krzewu żelaznego, przystrojone perłami w kształcie oczu, wieńczyły środek kopulastego sklepienia. Posadzka ułożona była naprzemian z bloków drewna diamentowego i muszli kabuzu, których czworoboczne układy otoczono wyciętymi laserem kośćmi passaqueta. Dobrane, twarde materiały zdobiły ściany w tłoczone pod ciśnieniem wzory, będące tłem dla czterech sylwetek Lwa — symbolu spadkobierców nieżyjącego Szaddama IV. Lwy wykonano ze złotych samorodków.

Farad'n postanowił przyjąć jeńców na stojąco. Włożył szorty mundurowe i rozpięty pod szyją, lekki żakiet z elf-jedwabiu barwy złota. Na lewej piersi miał wyszyte gwiaździste godło królewskiego rodu. Towarzyszył mu baszar Tyekanik ubrany w brązowy mundur saraduakra, wysokie skórzane buty i ozdobną rusznicę laserową, tkwiącą w olstrze zawieszonym przy klamrze pasa. Tyekanik, którego zdecydowaną twarz lady Jessika doskonale znała z raportów Bene Gesserit, stał trzy kroki na lewo, z tyłu za Farad'nem. Samotny tron z ciemnego drewna ustawiono na posadzce pod ścianą.

— Zatem — rzekł Farad'n, zwracając się do Jessiki — masz coś do powiedzenia?

— Chciałabym wiedzieć, dlaczego nas związano — odparła Jessika, wskazując na szigastrunę.

— Właśnie otrzymaliśmy raport z Arrakis, wyjaśniający, dlaczego się tu znalazłaś — rzekł Farad'n. — Być może każę cię rozwiązać — uśmiechnął się — jeżeli… — Przerwał, ponieważ przez drzwi wbudowane tuż obok tronu weszła Wensicja. Nie zwracając uwagi na Jessikę i Idaho, podeszła szybko do Farad'na, pokazała mu mały sześcian informacyjny i uruchomiła go. Farad'n badawczo przyjrzał się jaśniejącej blaskiem powierzchni. Powierzchnia zbladła w końcu, więc zwrócił sześcian matce, wskazując, żeby podała go Tyekanikowi.

Spojrzał uważnie na Jessikę.

Po chwili Wensicja stanęła z prawej strony Farad'na, trzymając w dłoni ponownie pociemniały sześcian, częściowo ukryty w fałdzie białej szaty.

Jessika popatrzyła w prawo, na Idaho, ale ten udawał, że jej nie widzi.

— Bene Gesserit są ze mnie niezadowolone — wyjaśnił Farad'n.

— Wierzą, że jestem odpowiedzialny za śmierć twojego wnuka.

Jessika, utrzymując twarz w stanie nie wyrażającym uczuć, pomyślała: „Zatem należy wierzyć w opowieść Ghanimy, o ile nie…" Nie podobało jej to, co podejrzewała.

Idaho zamknął, a potem otworzył oczy, by spojrzeć na Jessikę. Opowiedział jej wcześniej o swojej Rhadżija-wizji, ale wydawała się tym nie przejmować. Nie wiedział, jak sklasyfikować ów brak emocji. Coś ukrywała, to było oczywiste.

— Sytuacja jest następująca — powiedział Farad'n i zaczął wyjawiać wszystko, czego dowiedział się o wydarzeniach na Arrakis, nie opuszczając nawet drobiazgów. — Ghanima przeżyła, lecz wedle tego, co mi wiadomo, znajduje się w rękach lady Alii — podsumował.

— Zabiłeś mojego wnuka? — zapytała wprost Jessika. Farad'n odpowiedział szczerze:

— Nie. Dowiedziałem się niedawno o spisku, ale nie ja go zorganizowałem.

Jessika spojrzała na Wensicję i zobaczyła triumfujący wyraz jej twarzy.

„Oczywiście! — pomyślała. — Lwica spiskuje dla swojego kocięcia". Ale tej gry lwica mogła pożałować.

Skierowała wzrok na Farad'na.

— Zakon żeński uważa, że to ty go zabiłeś — rzekła. Farad'n odwrócił się do matki.

— Pokaż jej wiadomość.

Gdy Wensicja wahała się, rzekł z ukrytym w głosie gniewem, który Jessika skrzętnie zanotowała w pamięci:

— Powiedziałem, żebyś jej pokazała!

Wensicja, starając się zamaskować bladość twarzy, przekręciła sześcian stroną informacyjną w kierunku Jessiki i zaktywizowała go. Słowa przepływały przez powierzchnię, reagując na ruch oczu:

„Rada Bene Gesserit na Wallach IX złożyła oficjalną skargę przeciw rodowi Corrinów w sprawie zamordowania Leto Atrydy II. Akt oskarżenia i przedstawienie dowodów wyznaczono Komisji Bezpieczeństwa Wewnętrznego Landsraadu. Wybrane zostanie neutralne miejsce posiedzenia, a nazwiska sędziów podane będą do akceptacji obydwu stron. Niezbędna jest wasza natychmiastowa odpowiedź. Sabit Rekush, za Landsraad".

Wensicja wróciła na miejsce obok syna.

— Jak zamierzacie odpowiedzieć? — zapytała Jessika.

— Ponieważ mój syn nie otrzymał oficjalnej inwestytury na głowę rodu Corrinów — odezwała się Wensicja — ja… Dokąd idziesz? — Ostatnie słowa skierowała do Farad'na, który, gdy mówiła, odwrócił się i przeszedł obok głuchego strażnika, kierując się ku bocznym drzwiom.

Farad'n przystanął i odwrócił się bokiem.

— Wracam do książek i badań. Są bardziej interesujące niż władza i intrygi.

— Jak śmiesz! — krzyknęła Wensicja. Ciemny rumieniec wykwitł na jej twarzy od szyi aż po policzki.

— Śmiem robić zupełnie niewiele — odrzekł Farad'n. — Podejmowaliście decyzje w moim imieniu, decyzje, które uważam za wyjątkowo obrzydliwe. Albo od tej pory będę sam decydował, albo możecie szukać innego następcy dla rodu Corrinów.

Jessika przejechała wzrokiem po uczestnikach konfrontacji, widząc, że Farad'n jest autentycznie rozgniewany. Baszar-adiutant zesztywniał, udając, że nic nie słyszy. Wensicja była bliska wybuchnięcia gniewem i krzykiem. W sumie Jessika czuła się raczej zadowolona, że jest świadkiem sceny, z której wyciągnięte teraz wnioski mogły wydać owoce w przyszłości. Wiedziała już, że decyzje o wysłaniu tygrysów-zabójców przeciw jej wnukom podjęto bez wiedzy Farad'na. Wierzyła w jego szczerość, kiedy twierdził, iż dowiedział się o spisku zbyt późno. Nie mogła się mylić, widząc prawdziwy gniew w oczach księcia stojącego z boku i gotowego na wszystko.

Wensicja odetchnęła głęboko, potem powiedziała:

— Bardzo dobrze. Oficjalna inwestytura odbędzie się jutro. Możesz zacząć działać na jej konto.

Spojrzała na Tyekanika, który patrzył gdzieś w bok.

„Pożrą się między sobą, kiedy tylko stąd wyjdą — stwierdziła Jessika. — Ale wierzę szczerze, że to on wygra". Wróciła myślami do wiadomości z Landsraadu. Zakon przesłał skargę z finezją, która była zasługą szkolenia Bene Gesserit. W formalnej nocie protestacyjnej ukryto wiadomość przeznaczoną tylko dla oczu Jessiki. Mówiła ona, że szpiedzy zakonu znają położenie Jessiki i oceniają Farad'na z tak wyborną precyzją, iż domyślali się, że pokaże sześcian jeńcowi.

— Chciałabym usłyszeć odpowiedź na moje pytanie — powiedziała Jessika do Farad'na, gdy odwrócił ku niej twarz.

— Zeznam przed Landsraadem, że nie mam nic wspólnego z morderstwem — powiedział Farad'n. — Dodam, że podzielam oburzenie zakonu na sposób, w jaki popełniono zbrodnię, chociaż niestety zadowala mnie jej ostateczny rezultat. Przepraszam, że sprawiam ci ból, ale fortuna wszędzie się toczy.

„Fortuna wszędzie się toczy” — pomyślała Jessika. Ulubione powiedzenie jej księcia. Coś w zachowaniu Farad’na mówiło, że on o tym wie. Odrzuciła możliwość, że Leto naprawdę zginął. Zakładała, iż to lęk Ghanimy o brata stał się przyczyną wyjawienia całości planu bliźniąt. Przemytnicy mogli doprowadzić do spotkania Gurneya z Leto i spełnienia pragnień zakonu. Leto powinien zostać wypróbowany. Musi. Bez próby był zgubiony, tak jak Alia. A Ghanima… No, z tym można było jeszcze poczekać. Nie było sposobu na zaprezentowanie przed-urodznych Cenzorce Przełożonej.

Jessika westchnęła głęboko.

— Wcześniej czy później — powiedziała — ktoś wpadłby na pomysł, że ty i moja wnuczka możecie zjednoczyć dwa nasze rody i zaleczyć stare rany.

— Wspominano mi o takiej możliwości — rzekł Farad’n, rzucając krótkie spojrzenie na matkę. — Odpowiedziałem, że wolę poczekać na rezultaty ostatnich wydarzeń na Arrakis. Nie ma potrzeby podejmować pospiesznych decyzji.

— Możliwe, że tańczyłeś już tak, jak grała moja córka — stwierdziła Jessika.

Farad’n zesztywniał.

— Wyjaśnij to!

— Sprawy na Arrakis wyglądają inaczej, niż ci się wydaje — powiedziała. — Alia gra we własną grę, grę Paskudztwa. Ghanima jest w niebezpieczeństwie, o ile Alia nie znajdzie sposobu na jej wykorzystanie.

— Oczekujesz, iż uwierzę, że ty i twoja córka przeciwstawiacie się sobie nawzajem, że Atrydzi walczą z Atrydami? Jessika spojrzała na Wensicję i znowu na Farad’na.

— Corrino walczy z Corrino.

Na ustach Farad’na zagościł gorzki uśmiech.

— Dobrze powiedziane. W jaki sposób miałbym się stać narzędziem Alii?

— Zostając wmieszanym w śmierć Leto, porywając mnie…

— Porywając…?

— Nie wierz tej czarownicy — ostrzegła Wensicja.

— Ja decyduję, komu mam ufać, matko — powiedział Farad’n. — Wybacz mi, lady Jessiko, ale nie pojmuję przyczyn tego porwania. Rozumiem, że ty i twój wierny obrońca…

— Który jest mężem Alii — przerwała Jessika. Farad’n rzucił okiem na Idaho, a potem przeniósł wzrok na baszara.

— Co o tym sądzisz, Tyek?

Baszar wydawał się podzielać zdanie Jessiki:

— Podoba mi się jej rozumowanie — powiedział. — Uważaj!

— To ghola-mentat — rzekł Farad’n. — Możemy go badać do

śmierci i nie znaleźć pewnej odpowiedzi.

— Zawsze bezpieczniej jest założyć, że ktoś nami steruje. Jessika uznała, że nadeszła chwila na właściwy ruch. Oczywiście pod warunkiem, że Duncan zachowa pozę, jaką sobie wybrał.

— Na początek — zaproponowała — mogę oświadczyć publicznie, że przybyłam tu z własnej woli.

— Interesujące — rzekł Farad'n.

— Powinieneś mi zaufać i zagwarantować całkowitą swobodę na Salusa Secundus — powiedziała Jessika. — Nic nie może wskazywać, że ogłaszam to pod przymusem.

— Nie! — zaprotestowała Wensicja. Farad'n zignorował ją.

— Jaki podasz powód?

— Że jestem pełnomocniczką zakonu żeńskiego, przysłaną tu dla zajęcia się twoją edukacją.

— Ale zakon oskarża…

— Będzie to od ciebie wymagało zdecydowanego działania — odparła Jessika.

— Nie wierz jej! — wykrzyknęła Wensicja.

Farad'n odwrócił się i powiedział z najwyższą uprzejmością:

— Jeżeli mi jeszcze raz przerwiesz, każę Tyekowi wyprowadzić cię. Słyszał, jak zgodziłaś się na oficjalną inwestyturę.

— To czarownica, mówię ci! — Wensicja spojrzała na głuchoniemego wartownika pod boczną ścianą. Farad'n zawahał się i rzekł:

— Tyek, jak myślisz? Czy jestem pod działaniem czarów?

— Według mojej opinii, nie. Ona…

— Obu was zaczarowała!

— Matko — jego głos był beznamiętny i zdecydowany. Wensicja zacisnęła pięści, chcąc coś powiedzieć, ale tylko odwróciła się i szybkim krokiem wyszła z pokoju. Zwracając się znowu do Jessiki, Farad'n zapytał:

— Czy Bene Gesserit zgodzą się na to?

— Jestem pewna, że tak.

Farad'n przetrawił wszystkie implikacje tej propozycji i uśmiechnął się z przymusem.

— Czego chce zakon żeński?

— Twojego małżeństwa z moją wnuczką. Idaho rzucił pytające spojrzenie na Jessikę i wydawało się, że chce coś wtrącić, ale zachował milczenie.

— Chciałeś coś powiedzieć, Duncan? — zapytała Jessika.

— Twierdzę, że Bene Gesserit chcą tego, czego pragnęły zawsze: świata, który nie będzie się do nich wtrącał.

— Oczywiste przypuszczenie — powiedział Farad'n — ale nie bardzo rozumiem, dlaczego z tym występujesz.

Brwi Idaho wykonały ruch, którego nie zdołały powtórzyć ramiona skrępowane szigastruną. Uśmiechnął się niepokojąco.

Farad'n dojrzał ten uśmiech i zwrócił się raz jeszcze do Idaho:

— Bawię cię?

— Cała ta sytuacja mnie bawi. Ktoś z twojej rodziny przekupił Gildię Planetarną, używając jej do przerzucenia narzędzi zbrodni na Arrakis. Narzędzi, których celu nikt nie mógł ukryć. Naraziliście się Bene Gesserit, zabijając chłopca przeznaczonego do programu cho…

— Twierdzisz, że jestem kłamcą, gholo?

— Nie. Wierzę, że nie wiedziałeś o spisku. Ale pomyślałem, że sytuacja wymaga, by ją w końcu jakoś rozstrzygnąć.

— Nie zapominaj, że on jest mentatem — ostrzegła Jessika.

— Właśnie przyszło mi to do głowy — odrzekł Farad'n. Odwrócił się ku Jessice. — Powiedzmy, że cię uwolnię i że umożliwię złożenie oświadczenia. Wciąż pozostaje otwarta kwestia śmierci bliźniaka. Mentat ma rację.

— To była twoja matka? — zapytała Jessika.

— Panie! — ostrzegł Tyekanik.

— W porządku, Tyek. — Farad'n uspokajająco machnął ręką. — A jeśli powiem, że to ona?

Ryzykując wiele, lecz licząc na wewnętrzny rozłam w rodzie Corrinów, Jessika powiedziała:

— Musisz ją wydać i wypędzić.

— Mój panie — zaprotestował Tyekanik — tu może tkwić podstęp w podstępie.

Idaho rzekł:

— To lady Jessika i ja jesteśmy tymi, wobec których użyto postępu.

Mięśnie szczęk Farad'na stwardniały.

Jessika pomyślała: „Nie wtrącaj się Duncan! Nie teraz!" Ale słowa Idaho wprawiły w ruch kalkulacyjne talenty Bene Gesserit. Otrząsnęła się i zaczęła zastanawiać nad różnymi wariantami sytuacji. Czy jest wykorzystywana wbrew własnej woli? Ghanima i Leto… Przedurodzeni mogli czerpać z niezliczonych wewnętrznych doświadczeń, z magazynu rad daleko rozleglejszego niż ten, na którym opierały się Bene Gesserit. Czy zakon był z nią zupełnie szczery? Wciąż mogli jej nie ufać. Zdradziła ich już raz… dla swego księcia.

Farad'n spojrzał na Idaho, marszcząc przy tym brwi.

— Mentacie, powiedz mi, kim jest dla ciebie Kaznodzieja.

— Zorganizował nasze przybycie tutaj. Ja… Nie zamieniliśmy ze sobą nawet dziesięciu słów. Inni działali za niego. On może być… Może być Paulem Atrydą, lecz nie mam dość danych, by to stwierdzić z całą pewnością.

— Mówisz, że cię oszukano — przypomniał mu Farad'n.

— Alia oczekuje, że zabijesz nas po cichu i zatrzesz ślady — rzekł Idaho. — Lady Jessika nie jest już potrzebna zakonowi. Alia wezwie Bene Gesserit, by się wytłumaczyły, ale te oczyszczą się bez trudu.

Jessika zamknęła oczy. Miał rację! Usłyszała mentacką stanowczość w jego głosie. Schemat idealnie pasował, nie pozostawiając wolnych szczelin.

Dwa razy głęboko wciągnęła powietrze i wyzwoliła mnemoniczny trans, przebiegając umysłem przez dostępne dane. Wreszcie wyszła z transu i otworzyła oczy. W tym czasie Farad'n przeszedł kilka kroków, stając przed Duncanem.

— Nie mów nic więcej, Duncan — powiedziała Jessika i pomyślała z żalem, iż Leto ostrzegał ją przed uwarunkowaniami Bene Gesserit. Idaho, gotów już mówić, zamknął usta.

— Ja tu rozkazuję — rzekł Farad'n. — Kontynuuj, mentacie.

Idaho milczał.

Farad'n odwrócił się, by spojrzeć na Jessikę, która patrzyła w jakiś punkt na przeciwległej ścianie, porządkując wszystko, czego dowiedziała się w czasie transu i od Idaho. Bene Gesserit oczywiście nie porzuciły linii Atrydów, ale chciały kontroli nad Kwisatz Haderach. Zainwestowały zbyt wiele w długi program chowu. Pragnęły otwartego starcia między Atrydami i Corrinami, sytuacji, w której mogłyby wystąpić jako sędzinie. Duncan miał rację, że dzięki temu uzyskałyby kontrolę nad Ghanimą i Farad'nem. Byłby to jedyny możliwy kompromis. To dziwne, że Alia niczego nie dostrzegała. Jessika czuła skurcz w gardle. Alia… Paskudztwo. Ghanima miała rację, że się nad nią litowała, ale kto lituje się nad Ghanimą?

— Zakon obiecał osadzić cię na tronie, z Ghanima jako małżonką — powiedziała głośno.

Farad'n cofnął się o krok. Czy ta wiedźmy czyta w myślach?

— Działały w sekrecie, nie przez twoją matkę — kontynuowała. — Powiedziały ci, że nie zostałam wtajemniczona w plan.

Dostrzegła w twarzy Farad'na wielkie zdziwienie. Był taki otwarty! Znała już cały scenariusz. Idaho zademonstrował mistrzowskie umiejętności mentata, docierając do sedna sprawy, mając bardzo ograniczoną ilość danych.

— Zatem grały w podwójną grę i powiedziały ci o tej propozycji — stwierdził Farad'n.

— Nic mi nie powiedziały — odparła Jessika. — Duncan miał rację: oszukały mnie. — Pokiwała do siebie głową. Typowa akcja opóźniająca w tradycyjnym stylu Bene Gesserit: historia do przyjęcia, powszechnie akceptowana, ponieważ przystawała do tego, co można było wziąć za motywy. One chciały jednak usunąć z drogi Jessikę, siostrę ze skazą, która już raz je zawiodła. Tyekanik stanął przy boku

Farad'na.

— Mój panie, ta para jest zbyt niebezpieczna, by…

— Poczekaj chwilę, Tyek — odrzekł Farad'n. — Tu są kółka w kółkach. — Zwrócił twarz ku Jessice. — Mamy powody wierzyć, że Alia może mi zaproponować małżeństwo.

Idaho wzdrygnął się w niekontrolowanym odruchu. Z lewego nadgarstka, tam gdzie wcięła się szigastruna, zaczęła sączyć się krew.

Jessikę zdradziło tylko lekkie rozszerzenie oczu. Ona, która znała księcia Leto jako kochanka, ojca dzieci, powiernika i przyjaciela, dostrzegła przefiltrowany przez spaczenia Paskudztwa rys jego chłodnego rozumowania.

— Przyjmiesz tę propozycję? — zapytał Idaho.

— Rozważam taką możliwość.

— Duncan, prosiłam cię, abyś był cicho — rzekła Jessika. Zwróciła się do Farad'na. — W zamian Alia zażąda dwóch zgonów bez następstw.

— Podejrzewaliśmy podstęp — powiedział Farad'n. — Sam Muad'Dib mawiał: „podstęp rodzi podstęp".

— Zakon chce wziąć pod kontrolę zarówno Atrydów, jak i Corrinów — odparła Jessika.

— Kusi nas idea przyjęcia twej oferty, lady Jessiko, ale Duncan Idaho musi zostać odesłany do swej kochającej żony.

„Ból jest funkcją nerwów — przypomniał sobie Idaho. — Ból nadchodzi tak, jak światło wpada do oczu. Wysiłek pochodzi z mięśni, nie z nerwów". Zakończył stare, mentackie ćwiczenie słowne w ciągu jednego oddechu, skręcił prawy nadgarstek i przeciął szigastruną tętnicę.

Tyekanik podbiegł do fotela, uderzył w przycisk automatycznego zwalniania więzów i począł wołać o pomoc lekarską. Przez drzwi ukryte w wyłożonych boazerią ścianach natychmiast wyroili się służący.

„W Duncanie zawsze tkwiła nuta szaleństwa" — pomyślała Jessika.

Farad'n studiował Jessikę, podczas gdy lekarze zajmowali się Idaho.

— Nie powiedziałem, że zamierzam przyjąć propozycję Alii.

— Wcale nie dlatego podciął sobie żyły.

— Och? Myślałem, że chce się po prostu usunąć.

— Nie jesteś taki głupi — odparła. — Przestań przede mną udawać.

Uśmiechnął się.

— Jestem w pełni świadom, że Alia by mnie zniszczyła. Nawet Bene Gesserit nie mogą oczekiwać, że zgodzę się na samobójstwo.

Jessika rzuciła na Farad'na wyważone spojrzenie. Kim jest ta

latorośl rodu Corrinów? Niezbyt dobrze grał głupca. Znowu przypomniała sobie słowa Leto, że spotka interesującego ucznia. I, jak twierdził Idaho, Kaznodzieja również tego chciał. Zapragnęła spotkać się z Kaznodzieją.

— Skażesz Wensicję na wygnanie? — zapytała.

— Wydaje mi się to rozsądną transakcją — rzekł Farad'n. Jessika zerknęła na Idaho. Lekarze ukończyli już pracę. W fotelu dryfowym krępowały go teraz mniej niebezpieczne więzy.

— Mentaci powinni strzec się sądów absolutnych — powiedziała.

— Jestem zmęczony… — odparł Idaho. — Nie masz pojęcia, jaki jestem zmęczony.

— Nawet lojalność, nadmiernie wykorzystywana, zużywa się — dodał Farad'n.

Jessika ponownie oceniła wzrokiem młodego Corrino.

„Bardzo szybko pozna mnie, i to może okazać się cenne — myślał Farad'n. — Renegacka Bene Gesserit w moim ręku! Dostałem jedyną rzecz, której mi brakowało. Niech jej oko dostrzega teraz tylko szczegóły. Resztę zobaczy później".

— To uczciwa transakcja — rzekł Farad'n. — Przystaję na twoją propozycję na wymienionych warunkach. — Dał znak głuchemu strażnikowi pod ścianą skomplikowanymi gestami dłoni. Wartownik skinął głową. Farad'n nachylił się nad mechanizmem fotela i uwolnił Jessikę.

— Panie, czy jesteś pewny…? — zapytał Tyekanik.

— Czy nie o tym właśnie rozmawialiśmy?

— Tak, ale…

Farad'n zaśmiał się i zwrócił do Jessiki:

— Tyek podejrzewa, jakie są źródła moich informacji. Ale z książek i szpul można nauczyć się tylko tego, że pewne rzeczy dadzą się zrobić. Rzeczywista nauka polega na przemianie teorii w praktykę.

Jessika wciąż intensywnie myślała, wstając z fotela. Jej pamięć przywoływała obraz gestów ręki Farad'na. Używał języka walki, będącego własnością Atrydów! Świadczyło to o starannej analizie. Ktoś tu ich świadomie kopiował.

— Oczywiście chcesz, bym nauczyła się Metody Bene Gesserit — powiedziała.

Farad'n rozpromienił się.

— Tej jednej propozycji nie mogę się oprzeć — rzekł.

> *„Hasło podał mi człowiek, który zginął w lochach Arrakin. Widzisz, właśnie tam nabyłem pierścień w kształcie żółwia. Było to na suuk pod miastem, gdzie ukrywałem się wraz z*

buntownikami. Hasło? Och, zmieniało się wiele razy. Brzmiało: »uporczywość«. A odzew — »żółw«. Dzięki niemu wydostałem się z lochów żywy. Dlatego kupiłem ten pierścień: na pamiątkę".

Tagir Mohandis: „Rozmowy z przyjacielem"

Leto odszedł już dość daleko, kiedy wreszcie usłyszał czerwia zbliżającego się do dudnika i przyprawy, którą posypał martwe tygrysy i piach wokół nich. Dla powodzenia planu był to dobry znak na początek — jakże trudno było teraz ściągnąć czerwia! Wprawdzie zamiar mógł się powieść bez obecności tego olbrzymiego zwierzęcia, ale dzięki niemu Ghanima nie będzie musiała wyjaśniać zniknięcia ciała brata.

Wiedział, że Ghanima zdążyła już wyrobić w sobie wiarę w jego śmierć. Tylko drobna, odizolowana komórka świadomości pozostawiła jej odgrodzone wspomnienie, które mogło być przywołane słowami wyrzeczonymi w starożytnym języku, który w całym wszechświecie znany był wyłącznie im obojgu. „Secher Nbiw „. Jeśli usłyszy te słowa: „Złota Droga" — dopiero wtedy przypomni sobie, co się naprawdę stało. Aż do tej pory brat będzie dla niej martwy. Leto poczuł się nagle zupełnie samotny. Szedł nierytmicznym krokiem, imitującym naturalne dźwięki pustyni. Nic nie mogło zdradzić czerwiowi, że przed nim porusza się ludzkie, żywe ciało. Ten sposób marszu miał tak bardzo we krwi, że nie musiał o nim myśleć. Stopy wykonywały ruchy same, w rytmie nie pozwalającym uchwycić najmniejszych oznak regularności. Każdy głośniejszy dźwięk czerw przypisywał wiatrowi, sile grawitacji… Nie szedł tędy żaden człowiek.

Gdy olbrzym znalazł się za plecami chłopca, Leto przyklęknął pod stromym brzegiem diuny i spojrzał w kierunku Świadka. Tak, był wystarczająco daleko. Wbił w piasek dudnik mający zwabić w pobliże przyszły środek transportu. Czerw zareagował błyskawicznie, dając mu ledwie trochę czasu na zajęcie stanowiska, zanim pochłonął wabik. Kiedy przetaczał się obok Leto, ten wspiął się po hakach stworzyciela na jego bok, rozłożył delikatny, przedni brzeg pierścienia i skierował bezmyślną bestię na południowy wschód. Czerw był mały, ale w skrętach wykonywanych przezeń między wydmami Leto wyczuwał siłę. Syczący dźwięk dochodzący gdzieś z zakamarków ciała potwora był odgłosem powietrza stykającego się z wysoką temperaturą, która powstawała w wyniku tarcia cielska o piach.

Umysł Leto nie spał. Pierwszą przejażdżkę czerwiem odbył wraz ze Stilgarem. Wystarczyło uwolnić pamięć, aby usłyszeć głos Stilgara,

spokojny i dokładny, pełen uprzejmości rodem z innej epoki. Nie dla niego było napawające odrazą zachowanie Fremenów, upojonych likierem przyprawowym. Nie dla Stilgara głośne wrzaski i chełpliwość dzisiejszych czasów. Nie — Stilgar miał swoje obowiązki. Nauczał posłuszeństwa: „W dawnych czasach każdy wiatr miał inną nazwę. Sześciostopniowy wiatr nazywał się Pastaza, dwudziestostopniowy to była Kueszma, a stustopniowy zwano Heinali-Heinali -»Popychający Ludzi«. Był również wiatr demona w otwartej pustyni: Hulasikali Wala -»Wiatr Pożerający Ciało«".

A Leto, który słyszał już te nazwy, kiwał głową na znak wdzięczności.

„Były w dawnych czasach takie plemiona, o których wiedziano, że są łowcami wody. Nazywano je Iduali, co znaczy»wodne insekty«. Ludzie ci nie zawahaliby się przed zabraniem wody innemu Fremenowi. Gdyby cię złapali samego na pustyni, nie zostawiliby ci nawet wody twojego ciała. Znane było miejsce, w którym żyli: sicz Dżekarata. Właśnie tam zgromadziły się inne plemiona i zniszczyły Idualich. Działo się to dawno temu — jeszcze przed Kynesem — w czasach mojego pra-pra-pradziadka. I od owego pamiętnego dnia żaden Fremen nie zbliża się do Dżekaraty…"

Tak oto przypominano Leto wiedzę, którą miał wpisaną w pamięć. Była to też lekcja znaczenia i wartości pamięci. Pamięć nie wystarczała nawet komuś, kto nie posiadał tak różnorodnej przeszłości jak on, dopóki nie dowiedział się, co należy robić, aby właściwie ją zużytkować. Dżekarata jest zapewne miejscem, w którym wodę oddzielano od wiatru, mającym atrybuty fremeńskiej siczy plus tę dodatkową wartość, że żaden Fremen nie odważyłby się do niego zbliżyć. Wielu młodych pewnie nie wiedziało nawet, że coś takiego jak Dżekarata kiedykolwiek istniało. Och, wiedzieli oczywiście o Fondaku, ale tę nazwę kojarzono z siedzibą przemytników.

Doskonała przystań na kryjówkę dla trupa — pośród przemytników i zmarłych z innej epoki.

„Dzięki, Stilgar".

Czerw zmęczył się przed świtem. Leto zeskoczył z jego boku i obserwował, jak zwierzę wkopuje się w wydmy. Utknie głęboko i znieruchomieje.

„Muszę przeczekać dzień" — pomyślał.

Stanął na szczycie wydmy i rozejrzał się dookoła: pustka, pustka, wszędzie pustka. Tylko kręty ślad szlaku ukrytego teraz czerwia łamał ten obraz.

Powolny krzyk nocnego ptaka powitał pierwszą linię zielonego światła na wschodnim horyzoncie. Leto dla osłony zakopał się w piasku, napompował filtrnamiot i wystawił szczyt piachochrapów nad powierzchnię.

Przez długi czas nim nadszedł sen, leżał w ciemności, myśląc o decyzji, którą podjął wraz z Ghanimą. Nie przyszła ona łatwo, zwłaszcza Ghanimie. Nie powiedział jej wszystkiego o swojej wizji ani o wnioskach z niej wysnutych. Teraz wiedział, że to była wizja, nie sen. A w zasadzie odczytywał ją jako wizję wizji. Jeżeli istniał dowód mogący być świadectwem, że jego ojciec wciąż żyje, krył się on w tym właśnie obrazie-majaku.

„Prorok zamyka losy ludzi w swojej wizji — pomyślał Leto. — Aby się wyłamać, musi ponieść śmierć stojącą w sprzeczności z tym, co widział w majakach". Czy odnosiło się to także do ich decyzji? „Biedny Jan Chrzciciel — myślał dalej — gdyby miał odwagę umrzeć w inny sposób… Ale być może jego wybór był właściwy. Skąd wiem, z jakimi alternatywami miał do czynienia? Znam jednak alternatywy mojego ojca".

Leto westchnął. Sprzeniewierzenie się pamięci ojca odczuwał jako zdradę wobec Boga. Ale Imperium Atrydów potrzebowało wstrząsu, reorganizacji. Popadło w najgorszą z wizji Paula. Zbyt łatwo niszczyło ludzi, często zupełnie nieświadomie. Główny nurt religijnej choroby umysłowej działał sprawnie jak silnie nakręcona zegarowa sprężyna.

„A my jesteśmy zamknięci w wizji mego ojca".

Leto wiedział, że lekarstwo na tę chorobę leżało w Złotej Drodze, ale ludzkość mogła zejść także i ze Złotej Drogi i oglądać się na wiek Muad' Diba jako na lepsze czasy. Ludzkość musiała więc doświadczyć alternatywy Muad'Diba, bo inaczej nigdy nie pojęłaby własnych mitów.

Bezpieczeństwo… Pokój… Rozwój…

Nie miał wątpliwości, za czym opowiedziałaby się większość mieszkańców Imperium, mając możność wyboru.

„Chociaż mnie znienawidzą — pomyślał. — Chociaż Ghania mnie znienawidzi".

Zaświerzbiła go lewa ręka i pomyślał o strasznym blasku bijącym z wizjo-wizji. „Tak się stanie — pomyślał. — Tak, tak będzie".

„Arrakis, daj mi siłę" — modlił się. Planeta pod nim i wokół niego wciąż była silna i żywa. Jej piach napierał na filtrnamiot. Diuna była zwodnicza, równocześnie piękna i rażąco brzydka. Jedyną monetą, jaką naprawdę znali jej handlarze, było tętno władzy, bez względu na to, w jaki sposób została ona zdobyta. Posiadali Diunę tak, jak posiada się zniewoloną kochankę, albo tak, jak Bene Gesserit posiadały swoje siostry.

Nic dziwnego, że Stilgar nienawidził handlarzy-kapłanów.

„Dzięki, Stilgar".

Leto przywoływał w pamięci piękno dawnych siczowych obyczajów, życie, jakie toczono przed nadejściem technokracji Imperium. Przed kulami świętojańskimi i laserami, przed

ornitopterami i gąsienikami przyprawowymi wiedziono inny rodzaj życia: brązowoskóre matki nosiły dzieci na biodrach, lampy spalały olej przyprawowy o ciężkim zapachu cynamonu. Naibowie uczyli ludzi, że nie można ich do niczego zmusić. Było to mroczne, rojne życie w skalnych jamach, ale…

„Wielki blask przywróci równowagę” — pomyślał Leto.

Po chwili zasnął.

> *„Widziałem Jego krew i strzęp szaty oddarty ostrymi pazurami. Jego siostra przejmująco opowiadała o tygrysach i ich strasznym ataku. Przesłuchaliśmy Jednego ze spiskowców; Inni nie żyją, bądź zostali aresztowani Wszystko wskazuje na spisek Corrinów. Prawdomówczyni poświadczyła te zeznania”.*
>
> *raport Stilgara dla Komisji Landsraadu*

Farad’n przyglądał się Duncanowi Idaho przez system obserwacyjny, szukając klucza do zachowania tego dziwnego człowieka. Dopiero minęło południe i Idaho kręcił się na zewnątrz komnat wyznaczonych dla lady Jessiki, oczekując audiencji. Czy go przyjmie? Wiedziała, oczywiście, że są szpiegowani. Ale czy go przyjmie?

Farad’n przebywał w pokoju, z którego Tyekanik nadzorował szkolenie tygrysów laza — rzeczywiście nielegalnego pokoju, wypełnionego zakazanymi instrumentami Tleilaxan i Ixian. Naciskając przełączniki z prawej strony, mógł patrzeć na Idaho pod sześcioma różnymi kątami, bądź przenieść się do pokoju lady Jessiki, gdzie szpiegowskie urządzenia ukryto równie wyrafinowanie.

Farad’na niepokoiły oczy Idaho. Głęboko osadzone metalowe kule, które Tleilaxanie zamontowali gholi w regeneracyjnych zbiornikach, wyróżniały ich posiadacza na tle innych ludzi. Farad’n dotknął własnych powiek, czując twarde powierzchnie założonych na stałe szkieł kontaktowych, kryjących zupełny błękit uzależnienia od przyprawy. Oczy Idaho musiały widzieć zupełnie inny wszechświat. Farad’na kusiło, by odnaleźć tleilaxańskich chirurgów i uzyskać odpowiedź na to intrygujące pytanie.

Dlaczego Idaho próbował się zabić?

Czy naprawdę chciał to zrobić? Wiedział przecież, że mu przeszkodzą.

Mentat pozostawał niebezpiecznym znakiem zapytania.

Tyekanik chciał zatrzymać Idaho na Salusa lub pozbawić go życia.

„Może właśnie to byłoby najlepsze” — pomyślał Farad’n.

Przełączył obraz na widok od przodu. Idaho siedział na twardej ławie przed drzwiami do komnaty lady Jessiki. Przedsionek nie miał okien, a jego ściany pokrywało jasne drewno, przyozdobione proporcami z lanc. Idaho tkwił na ławce już ponad godzinę i wydawał się gotów czekać w nieskończoność. Farad’n nachylił się bliżej ekranu. Wiernego mistrza miecza Atrydów, wychowawcę Paula Muad’Diba, traktowano uprzejmie przez wszystkie lata spędzone na Arrakis. Zjawił się tam, tryskając młodzieńczą energią. Oczywiście, pomagała mu stała dieta przyprawowa oraz wspaniała równowaga metaboliczna, której udzielały zbiorniki Tleilaxan. Czy Idaho naprawdę pamiętał przeszłość sprzed okresu pobytu w aksolotlowym zbiorniku? Nikt inny, kogo ożywili Tleilaxanie, nie mógł się tym pochwalić.

W bibliotece znajdowały się raporty o śmierci Idaho. Sardaukar, który go zabił, donosił, że uśmiercił on dziewiętnastu ludzi z oddziału, zanim sam padł. Dziewiętnastu sardaukarów! Jego ciało warte jednak było wysłania do zbiorników regeneracyjnych. Tleilaxanie zrobili z niego mentata. Jak się czuł człowiek-komputer, wyposażony na dodatek w wiele innych talentów?

„Dlaczego próbował się zabić?”

Farad’n znał swe umiejętności i potrafił je doskonale ocenić. Był historykiem, archeologiem i dobrym sędzią. Musiał stać się ekspertem w sposobach poznawania charakteru ludzi, którzy mu służyli. Rządzenie wymagało trafnych i wnikliwych sądów. Wielu władców upadło z powodu wyskoków podwładnych.

Na czoło talentów Atrydów wybijała się wyborna trafność w dobieraniu sobie sług. Z łatwością zdobywali sobie ich wierność, wiedzieli, jak wzniecać zapał w wojownikach.

Idaho nie okazał się wyjątkiem.

„Dlaczego?”

Farad’n zmrużył oczy, starając się zajrzeć w myśli tego człowieka. Od Duncana biła moc potwierdzająca przypuszczenie, że nie można go złamać. Był zorganizowaną i mocno zintegrowaną jednością. Zbiorniki Tleilaxan wypuściły z siebie coś więcej niż człowieka. Farad’n to czuł. Idaho poruszał się po ustalonej orbicie z uporem przewyższającym wytrwałość planety krążącej wokół gwiazdy. Mógł odpowiedzieć na nacisk nie łamiąc się — wybierając inną orbitę, ale nie zmieniając swych zasad.

„Dlaczego otworzył sobie żyły?”

Bez względu na motywy, zrobił to dla dobra Atrydów. To oni byli gwiazdą, wokół której krążył.

„Wierzy, że trzymając tu lady Jessikę, wspomagam w jakiś sposób Atrydów”.

I po chwili dodał sobie w myśli: „Tak sądzi mentat”.

To uzupełnienie przydało rozważaniom dodatkowej głębi. Mentaci popełniali omyłki, ale niezbyt często.

Idąc za tym tokiem rozumowania, Farad’n prawie zdecydował się przywołać adiutantów, by odesłali Idaho i lady Jessikę na Arrakis. Był na granicy podjęcia tej desperackiej decyzji, ale w końcu wycofał się.

Oboje — ghola-mentat i czarownica Bene Gesserit — byli w grze o władzę parą żetonów nieznanej wartości. Idaho zostanie odesłany, co z pewnością spowoduje duże zamieszanie na Arrakis. Zatrzyma tylko Jessikę, by wydobyć z niej specyficzną wiedzę potrzebną rodowi Corrinów.

Farad’n orientował się, że gra przezeń toczona jest delikatna i niebezpieczna, ale przez całe lata, odkąd stwierdził, że przewyższa inteligencją i wrażliwością znanych mu ludzi, przygotowywał się do niej intensywnie. Jako dziecko bardzo przeżył okropne odkrycie swej wyższości, dopiero w bibliotece znajdując drogę ucieczki i nauczyciela.

Obecnie zżerały go wątpliwości i rozważał ewentualność, czy nie należałoby się wycofać. Z zadowoleniem uwolnił się spod wpływów matki. Jej decyzje były zbyt niebezpieczne. Tygrysy! Szczyt głupoty i okrucieństwa! Nic łatwiejszego niż je wyśledzić! Powinna się cieszyć, że ta awantura skończyła się tylko wygnaniem. Rada lady Jessiki doskonale odpowiadała jego planom.

Jego wątpliwości powoli zaczęły się rozwiewać. Pomyślał o sardaukarach nabierających hartu i wytrzymałości dzięki zniesieniu wygód i twardemu szkoleniu, które zarządził. Wprawdzie liczba legionów sardukarskich była ograniczona, ale przynajmniej doświadczeniem mogły one dorównać Fremenom. Pozostawały bezczynne tak długo, dopóki respektowano układy zawarte w Traktacie Arrakańskim, określające względną równowagę sił. Fremeni przytłoczyliby sardaukarów swą liczbą — o ile nie zostaliby wcześniej związani i osłabieni wojną domową.

Jeszcze za wcześnie było na starcie Fremenów z sardaukarami. Potrzebował sprzymierzeńców wśród niezadowolonych wysokich rodów i nowych, potężnych rodów niskich. Potrzebował dostępu do finansów KHOAM. Potrzebował czasu, by sardaukarzy nabrali siły, a Fremeni osłabli.

Farad’n znowu popatrzył na ekran ukazujący cierpliwego gholę. Dlaczego Idaho chciał się spotkać z lady Jessiką właśnie teraz? Wiedział, że są szpiegowani, że każde słowo, każdy ich gest zostanie zarejestrowany i zanalizowany.

„Dlaczego?”

Farad'n przeniósł wzrok z ekranu na półkę stojącą obok konsolety kontrolnej. W bladym świetle elektronicznych wskaźników mógł dostrzec szpule zawierające ostatnie doniesienia z Arrakis… Jego szpiedzy byli dokładni. Musiał im wierzyć. Część raportów dawała mu nadzieję na przyszłość. Zamknął oczy i przez umysł poczęły mu przepływać najistotniejsze stwierdzenia, do których dla niego zredukowały się szpule:

„W miarę, jak planeta staje się coraz żyźniejsza, Fremeni uwalniają się od wpływów przyrody, a ich nowe społeczności tracą tradycyjny charakter sicz-twierdz. W dawnej kulturze Fremenów od dzieciństwa uczono następującej roty:»Sicz tworzy solidną podstawę, z którą wyruszysz w świat i wszechświat«".

Fremen kultywujący stare obyczaje mawia: „Zajrzyj do Massifa", dając do zrozumienia, że najwyższą nauką jest prawo. Nowa struktura społeczna rozluźnia jednak prawne ograniczenia i daje się stwierdzić brak dyscypliny.

Nowi fremeńscy przywódcy znają tylko Mały Katechizm przodków oraz historię zakamuflowaną w mitycznej strukturze pieśni. Ludzie z tych społeczności są bardziej zmienni, bardziej otwarci, kłócą się częściej i okazują większą oporność wobec decyzji władzy. Dawnych Fremenów siczowych cechuje zdyscyplinowanie, skłonność do grupowego działania i chęć do podejmowania cięższej pracy. Wciąż wierzą, że uporządkowane społeczeństwo oznacza dla jednostki spełnienie. Młodzi wyrastają z tej wiary. Żyjący jeszcze przedstawiciele starszej kultury patrzą na młodych i powiadają: „Wiatr śmierci zdarł z nich przeszłość".

Farad'nowi podobała się niedwuznaczność wniosków sformułowanych w relacji. Zmiany na Arrakis musiały doprowadzić do wojny domowej. Podstawowe idee zostały jasno sprecyzowane w zapisach na szpulach:

„Religia Muad'Diba opierała się mocno na siczowej tradycji dawnych Fremenów, podczas gdy nowa kultura oddala się coraz bardziej od jej nauk".

Nie po raz pierwszy Farad'n zapytywał się, dlaczego Tyekanik przyjął religię Fremenów. Zupełnie nie pasował do swej nowej moralności. Robił wrażenie szczerego, ale religia wyraźnie kolidowała z jego naturą. Wyglądał jak ktoś, kto wszedł w trąbę powietrzną, by ją zbadać, i został schwytany przez siły, których nie był w stanie opanować. Farad'na denerwowało nawrócenie Tyekanika. Zbyt łatwo odszedł od starych zwyczajów sardaukarów. Jego przypadek był ostrzeżeniem, że młodzi Fremeni mogą nawrócić się w podobny sposób, że mogą w nich przeważyć wrodzone, zakorzenione tradycje.

Farad'n raz jeszcze wrócił myślą do szpul z raportami. Wspominały one o niepokojącym fakcie: o przetrwaniu na Diunie

kulturowego reliktu z najdawniejszych czasów — „Wody Poczęcia”. Przy porodzie zbierano płyn owodniowy, destylowano go i podawano noworodkowi jako pierwszy napój. Tradycyjna forma obyczaju wymaga, żeby podawał go ojciec chrzestny, mówiąc: „Oto jest woda twego poczęcia”. Nawet młodzi Fremeni wciąż praktykowali ów rytuał. „Woda twego poczęcia.”

Farad’n poczuł odrazę na myśl o piciu napoju wydestylowanego z cieczy, w której pływał jako embrion. Pomyślał o ocalałej bliźniaczce, Ghanimie, i jej matce zmarłej w czasie, gdy pobierano owe płyny. Czy dziewczyna wracała kiedykolwiek pamięcią do owych wydarzeń? Prawdopodobnie nie. Wychowano ją w duchu Fremenów. Ich obyczaje były dla niej czymś naturalnym.

Przez chwilę żałował, że Leto nie żyje. Chciałby z nim kiedyś porozmawiać.

„Dlaczego Idaho otworzył sobie żyły?” To pytanie wracało doń za każdym razem, gdy spoglądał na ekran. Znowu opadły go wątpliwości. Pragnął zapaść w tajemniczy trans przyprawowy — tak jak robił to Paul Muad’Dib — by odnaleźć przyszłość i poznać odpowiedzi na nurtujące go pytania. Bez względu na to, ile zażywał przyprawy, zawsze tkwił w teraźniejszości.

Obraz na ekranie zmienił się, ukazując służącą w drzwiach do amfilady pokojów lady Jessiki. Kobieta skinęła na Idaho, który wstał z ławki i zniknął w głębi. Służąca miała zadanie złożyć dokładne sprawozdanie, ale Farad’n kierowany rozbudzoną ciekawością wcisnął przełącznik na konsoli, obserwując uważnie, jak Idaho wchodzi do salonu lady Jessiki.

Nade wszystko mentat musi umieć czynić uogólnienia, nie wgłębiać się w szczegóły. Mądrą rzeczą jest podejmowanie w ważnych chwilach decyzji przez ludzi potrafiących uogólniać. Eksperci i specjaliści doprowadzają szybko do chaosu. Są oni źródłem bezcelowego dzielenia włosa na czworo, gwałtownych chandryczeń o przecinek. Mentat powinien wnosić do decyzji zdrowy rozsądek. Nie wolno mu się odcinać od szerokiego strumienia wydarzeń we wszechświecie. Mentat uogólniający rozumie, że wszystko, co indentyfikujemy jako nasz wszechświat, jest jedynie częścią większego zjawiska. Eksperci zaś oglądają się za siebie, patrzą przez wąskie pryzmaty swoich specjalności. Ktoś, kto uogólnia, rozgląda się dookoła: szuka istniejących zasad, wiedząc doskonale, że zasady ulegają zmianie, że się rozwijają. I to właśnie cech owych zmian musi szukać generalizujący mentat. Nie może istnieć żaden stały katalog, żaden podręcznik ani przewodnik. Trzeba patrzeć na nie z możliwie najmniejszą ilością uprzedzeń i pytać siebie: „Co właściwie się teraz dzieje?"

„Podręcznik mentata"

Nadszedł dzień Kwisatz Haderach, najważniejsze święto ludzi podążających niegdyś za Muad'Dibem. Czczono w nim Paula Atrydę wyniesionego do rangi Boga, męskiego Bene Gesserit, który połączył dziedzictwo po przodkach w nierozdzielną moc stania się Jednością-Ze-Wszystkimi. Wierni nazywali święto Ayil, czyli „Ofiarą", aby upamiętnić śmierć, która uczyniła obecność mesjasza „prawdziwą w każdym miejscu."

Tego właśnie poranka Kaznodzieja zjawił się po raz kolejny na placu przed Świątynią Alii, ignorując groźbę aresztowania. Wiedziano, że rozkaz taki został wydany. Trwał cichy stan zawieszenia broni między kapłaństwem Alii a zbuntowanymi plemionami. Istnienie

rozejmu odczuwano jako coś prawie namacalnego, co sprawiało, że ludzi w Arrakin trawiła obawa. Kaznodzieja nie rozwiał tego ponurego nastroju.

Był to dwudziesty ósmy dzień oficjalnej żałoby po synu Muad'Diba, sześć dni po pożegnalnym obrządku spełnionym w Starej Przełęczy, odwlekanym dość długo z powodu rebelii. Jednakże nawet walki nie powstrzymały Hadżdż. Kaznodzieja wiedział, że plac tego dnia będzie straszliwie zatłoczony. Większość pielgrzymów starała się tak zaplanować czas pobytu na Arrakis, by objął on Ayil, by „poczuć Boską Obecność Kwisatz Haderach w Jego dniu".

Kaznodzieja przybył na plac o świcie, stwierdzając, że jest już rojno od wiernych. Opierał się dłonią o ramię młodego przewodnika, wyczuwając w jego kroku cyniczną dumę. Ludzie obserwowali każdy ruch przybysza.

Zajął miejsce na trzecim stopniu schodów prowadzących do Świątyni i poczekał, aż zapadnie cisza. W końcu, gdy uzyskał zamierzony efekt, kaszlnął. Gdzieś z krańców placu dochodził szum pośpiesznych kroków spóźnionych wiernych, chcących posłuchać słów starca. Zebranym dokuczał poranny chłód, światło dnia wciąż jeszcze nie przedarło się na plac znad dachów budynków.

Kaznodzieja zaczął mówić:

— Przychodzę, by oddać hołd i wygłosić kazanie ku pamięci Leto Atrydy II — rzekł silnym głosem, przypominającym krzyki jeźdźców dosiadających czerwie na pustyni. — Współczuję wszystkim, którzy cierpią. Powiadam wam to, czego nauczył się Leto: że jutro jeszcze nie nadeszło i może nigdy nie nadejść. Ta chwila jest jedyną dostępną naszym zmysłom w całym wszechświecie. Powiadam wam, byście zrozumieli, że siła i śmierć władców planety są podobne do siły i śmierci jej obywateli.

Przez plac przeszedł pomruk zaniepokojenia. Czyżby szydził ze śmierci Leto II? Zastanawiano się, kiedy Straż Świątyni wypadnie na zewnątrz i zaaresztuje Kaznodzieję. Alia zdawała sobie jednak sprawę, że w ten sposób niczego nie osiągnie. Wydała rozkaz, by dziś pozostawiono starca w spokoju. Sama ubrała się w dobrze dopasowany filtrfrak z maską wilgociową zasłaniającą nos i usta oraz pospolitą szatę z kapturem kryjącym włosy i stanęła w drugim rzędzie przed Kaznodzieją, obserwując uważnie starca. Czy był to Paul? Lata mogły zmienić jego wygląd. Zbyt dobrze posługiwał się Głosem, aby możliwe było zidentyfikowanie go po mowie. Kaznodzieja również doskonale modulował swój głos. Paul nie zrobiłby tego lepiej.

W słowach starca nie wyczuła żadnej ironii. Używał prostych zdań, poruszając obecnych szczerością. Ludzie mogli być zaskoczeni ich znaczeniem tylko przez chwilę, do momentu uświadomienia sobie, że celem Kaznodziei było właśnie zbicie słuchaczy z tropu.

Rzeczywiście, odebrał właściwie reakcję tłumu, mówiąc:

— Ironią często pokrywa się niemożność myślenia. Nie bawię się w ironię. Ghanima powiedziała, że nie można zmyć krwi jej brata.

Zgadzam się z nią. Będzie się mówić, że Leto odszedł tam, dokąd podążył jego ojciec. Kościół Maud'Diba twierdzi, że idzie drogą humanizmu, która teraz wydaje się być absurdalna i szaleńcza, ale którą kiedyś doceni historia. Historia napisana na nowo. Powiadam wam, że z życia i końca Maud'Diba oraz Leto II należy wysnuć inną naukę.

Alia, czujna na każdy niuans, zastanawiała się, dlaczego starzec użył słowa „koniec" zamiast „śmierć". Czyżby chciał powiedzieć, że jeden z nich lub nawet obaj żyją? Jak to możliwe? Prawdomówczyni potwierdziła opowieść Ghanimy. Co zatem robił Kaznodzieja?

Teoretyzował czy stwierdzał?

— Dobrze zapamiętajcie moją radę! — zagrzmiał Kaznodzieja, podnosząc ramiona. — Jeżeli ją zrozumiecie, idźcie z nią w świat!

Opuścił ramiona i skierował puste oczodoły prosto na Alię. Wydawał się mówić bezpośrednio do niej w sposób tak wymowny, że kilkoro ludzi odwróciło się, by spojrzeć badawczo w jej stronę. Alia zadrżała na myśl o mocy Kaznodziei. On mógłby być Paulem. Mógłby!

— Jestem świadom, że ludzie nie mogą znieść zbyt wielu prawd — powiedział. — Większość stara się uciec od rzeczywistości. Sami sobie wkładacie na głowy bydlęcą uprząż, aby przeżuwać w zadowoleniu aż do śmierci. Inni wykorzystują was dla osiągnięcia swoich celów. Ani razu nie spróbowaliście wyłamać się z ustalonych reguł. Muad'Dib przybył, by wam o tym powiedzieć. Bez zrozumienia prawd, które głosił, nie możecie go czcić!

Ktoś w tłumie, prawdopodobnie kapłan w przebraniu, nie potrafił dłużej zachować milczenia:

— Nie jesteś Muad'Dibem! Jak śmiesz prawić innym, czy są godni go czcić? — wrzasnął.

— Ponieważ on nie żyje! — rzekł gromkim głosem mówca.

Alia odwróciła głowę, aby zobaczyć, kto wyzywał Kaznodzieję. Mężczyzna był niestety zasłonięty, lecz wkrótce jego głos ponownie wybił się ponad inne:

— Jeżeli wierzysz, że on naprawdę nie żyje, pozostaniesz na zawsze samotny!

Alia dalej nie rozpoznawała przeciwnika Kaznodziei.

— Przybyłem, aby zadać proste pytanie — powiedział ślepiec. Czy po śmierci Muad'Diba musi nastąpić moralne samobójstwo ludzkości? Czy to nieuniknione zjawisko po odejściu Mesjasza?

— Więc przyznajesz, że Muad'Dib był Mesjaszem! — rozległ się głos w tłumie.

— Dlaczego nie, jeżeli sam jestem prorokiem? — zapytał

Kaznodzieja.

W tonie i zachowaniu starca było tyle spokoju i pewności, że nawet ów anonimowy dyskutant zamilkł. Tłum zareagował pomrukiem wyrażającym zaskoczenie, niskim, jakby zwierzęcym odgłosem.

— Tak — rzekł Kaznodzieja. — Jestem prorokiem nowych czasów.

Alia, skupiając myśli, wykryła subtelne modulacje Głosu. Starzec z pewnością kontrolował tłum. Gdzie przeszedł szkolenie Bene Gesserit? Czy był to kolejny spisek Missionaria Protectiva? Mógł nie być Paulem. Mógł być tylko kolejnym ogniwem wykorzystywanym w wiecznej walce o władzę.

— Wyrażam słowem mit i marzenie! — krzyknął Kaznodzieja. — Jestem lekarzem przyjmującym poród i głoszącym, że narodziło się dziecko. Przyjdę do was w czas śmierci. Czy czujecie niepokój? Powinienem wstrząsnąć waszymi duszami!

Nawet czując gniew, o jaki przyprawiały ją jego słowa, Alia doskonale rozumiała, gdzie wycelowane jest ostrze jego przemowy. Przesunęła się wraz z innymi bliżej stopni, stając tuż przed mężczyzną w pustynnym stroju. Jej uwagę przykuł młody przewodnik, jasnooki, z szelmowskim uśmiechem na twarzy. Alii wydawało się, że Muad'Dib nie zatrudniłby równie cynicznego młodzieńca.

— Chcę posiać wśród was niepokój! — krzyknął Kaznodzieja. — Taki jest mój zamiar. Zjawiłem się, by walczyć z oszustwami i złudzeniami waszej konwencjonalnej, instytucjonalnej religii. Jak wszystkie inne znane religie, ta także zmierza ku tchórzostwu, mierności, bezwładowi i samozadowoleniu.

Od środka tłumu zaczęły dochodzić pomruki niezadowolenia. Alia czuła napięcie i z tryumfem zastanawiała się, jak zakończy się wystąpienie starca. Czy Kaznodzieja poradzi sobie z gniewem zgromadzonych wiernych? Jeżeli nie, może tu zginąć, i to zaraz!

— Oto kapłan, który mnie wyzwał! — zawołał Kaznodzieja, wskazując w tłum.

„Poradzi sobie" — pomyślała Alia. Przebiegł ją prawie spazmatyczny dreszcz. Kaznodzieja bawił się w niebezpieczną grę, ale rozgrywał poszczególne etapy z niezwykłą cierpliwością.

— Ty, kapłanie w mufli — kontynuował Kaznodzieja — jesteś kapelanem dla zadowolonych z życia. Nie przyszedłem tu wyzywać Muad'Diba, ale chcę wyzwać ciebie! Czy twoja religia jest prawdziwa, jeżeli nic cię nie kosztuje i nie niesie ze sobą żadnego ryzyka? Czy twoja religia jest prawdziwa, skoro się na niej tuczysz? Czy twoja religia jest prawdziwa, gdy dopuszczasz się okrucieństw w jej imieniu? Jak daleko zaszła degeneracja wiary od czasów pierwotnego objawienia? Odpowiedz mi, kapłanie!

Ale kapłan milczał. Alia zauważyła, że tłum znów bacznie słucha słów Kaznodziei. Przez atak na kapłaństwo zyskał ich sympatię!

— Syn Muad'Diba ryzykował! — krzyknął Kaznodzieja, a Alia usłyszała rozpacz w jego głosie. — Muad'Dib ryzykował! Zapłacił wysoką cenę! I co osiągnął? Religię, która się go pozbywa!

„Paul nigdy by tego nie powiedział — pomyślała Alia. — Muszę się wreszcie dowiedzieć!" Podeszła jeszcze bliżej stopni, a inni podążyli za nią. Przecisnęła się przez tłum, aż prawie dotykała ręką tego tajemniczego proroka. Pachniał pustynią, mieszaniną przyprawy i krzemowego pyłu. Obu, Kaznodzieję i młodego przewodnika, pokrywał kurz, jak gdyby przyszli tu prosto z blechu. Widziała niebieskie żyły zdobiące skórę nadgarstków i dłoni starca. Widziała ślad pozostawiony przez pierścień na palcu jego lewej ręki. Paul nosił pierścień na tym palcu — Jastrząb Atrydów, złożony teraz w siczy Tabr. Należałby do Leto, gdyby ten żył… lub gdyby ona pozwoliłaby mu wstąpić na tron.

Kaznodzieja ponownie wpił puste oczodoły w Alię, mówiąc poufnym tonem:

— Muad'Dib ukazał wam dwie rzeczy: przyszłość pewną i niepewną. Zmierzył się z niepewnością wszechświata. Odszedł ślepy, zwalniając miejsce dla innych. Pokazał nam, że ludzie zawsze powinni wybierać niepewność zamiast stagnacji.

Jego głos, jak zauważyła Alia, pod koniec oświadczenia nabrał błagalnej nuty.

Alia rozejrzała się dookoła i opuściła dłoń na rękojeść krysnoża. „Co zrobią, jeżeli go tutaj zabiję? — Znowu poczuła przenikające ją dreszcze. — Gdybym dokonała mordu i ujawniła się, oświadczając, że Kaznodzieja jest oszustem i heretykiem?" „Ale co będzie, jeżeli okaże się, że zabiłam Paula?" Ktoś pchnął Alię bliżej Kaznodziei. Czuła się zniewolona osobowością ślepca, nawet gdyby walczyła ze sobą, by uciszyć gniew. Czy był to Paul? Na Boga! Co mogła zrobić?

— Dlaczego odebrano nam Leto? — zapytał Kaznodzieja. W jego głosie brzmiał prawdziwy ból. — Odpowiedzcie mi, jeżeli potraficie. Ach, posłanie jest proste: porzućcie pewność. — Po chwili powtórzył grzmiącym głosem: — Porzućcie pewność! Oto najgłębszy nakaz życia. Jesteśmy sondą zapuszczoną w nieznane, niepewne. Dlaczego nie słyszycie Muad'Diba? Jeżeli pewność to absolutne poznanie przyszłości, wtedy musi się równać śmierci! Do tego właśnie teraz zmierzamy! Muad'Dib ukazał to wyraźnie!

Z przerażającą pewnością wyciągnął dłoń i chwycił ramię Alii. Starała się wyrwać, ale on trzymał ją w bolesnym uścisku, mówiąc prosto w twarz, podczas gdy inni rozstąpili się w zdumieniu:

— Co ci powiedział Paul Atryda, kobieto? — zapytał z naciskiem.

„Skąd wie, że jestem kobietą?" — dziwiła się, walcząc z bólem.

Chciała przywołać wewnętrzne istnienia, poprosić je o ochronę, lecz one milczały, jak gdyby uległy hipnozie.

— Powiedział ci, że spełnienie równa się śmierci! — krzyknął Kaznodzieja. — Absolutne przewidywanie przyszłości jest spełnieniem… jest śmiercią!

Próbowała uwolnić palce. Chętnie chwyciłaby krysnóż, by jednym cięciem uwolnić się od starca, ale nie miała dość odwagi. Jeszcze nigdy w życiu nie była tak wystraszona.

Kaznodzieja podniósł głowę i kontynuował:

— Oto słowa Muad'Diba! Powiedział on: „Zamierzam zanurzyć was po głowy w tym, czego pragniecie uniknąć! Nie dziwię się, że wszyscy chcecie wierzyć w to tylko, co daje dobre samopoczucie. Jak inaczej ludzie wymyślaliby pułapki prowadzące do mierności? Jak inaczej określalibyśmy tchórzostwo?" Tak rzekł Muad'Dib.

Nagle puścił ramię Alii, odpychając ją w tłum. Upadłaby, gdyby nie opór ciżby, która ją podtrzymała.

— Istnieć, to znaczy odstawać, wyróżniać się z tła — zakończył.

Schodząc w dół, raz jeszcze chwycił Alię za ramię. Tym razem był delikatniejszy. Nachylając się, szepnął tak, żeby tylko ona słyszała:

— Nie próbuj znów zepchnąć mnie w tło, siostro.

Następnie wszedł w tłum, z ręką na barku młodego przewodnika. Ludzie rozstępowali się przed nim. Wyciągali ręce, by dotknąć Kaznodziei, lecz czynili to bardzo ostrożnie, jakby bojąc się tego, co mogło kryć się pod zakurzoną fremeńską szatą.

Alia stała samotna, wstrząśnięta do głębi, a tłum podążał za Kaznodzieją.

Teraz już miała pewność. To był Paul. Bez żadnych wątpliwości. To był jej brat. Podzielała uczucia tłumu. Stała w jego uświęconej obecności, a cały wszechświat walił się wokół niej. Chciała biec, błagać, by ją ocalił, ale nie mogła się poruszyć. Gdy inni kroczyli za Kaznodzieją i jego przewodnikiem, ona czekała, zatruta absolutnym bezwładem, nieszczęściem tak wielkim, że nawet ciało odmówiło jej posłuszeństwa.

„Co ja teraz zrobię? Co zrobię?" — pytała siebie.

Nie znała nikogo, na kim mogłaby się wesprzeć. Wewnętrzne życia milczały. Ghanima wciąż pozostawała pod strażą w Cytadeli, ale Alia czuła niechęć do zwierzania się ocalałej bliźniaczce.

„Wszyscy się ode mnie odwrócili" — pomyślała z rozpaczą.

Pobieżne spojrzenie na wszechświat mówi, że nie musisz rozglądać śle daleko, by znaleźć kłopoty. Wilki zasieją spustoszenie wewnątrz twojej zagrody, mimo iż ich stad od dawna już nie ma na

zewnątrz.

„Księga Azhara”: Szamra I:4

Jessika oczekiwała Duncana, stojąc przy oknie w salonie. Był to luksusowy pokój, z niskimi otomanami i staromodnymi fotelami. Żadnego z jej pokoi nie wyposażono w fotele dryfowe, a kule świętojańskie zbudowano z kryształów pochodzących z zupełnie innej epoki. Okno wyglądało na leżący piętro niżej pałacowy ogród. Usłyszała służącą otwierającą drzwi, a następnie odgłos kroków Idaho. Stała nie odwracając głowy, ze wzrokiem utkwionym w dziedziniec nakrapiany zielonym światłem. Musiała stłumić walczące gdzieś w jej głębi emocje. Dwa razy zaczerpnęła oddech metodą prana-bindu i poczuła przypływ wymuszonego spokoju.

Wysoko stojące słońce rzucało jaskrawe promienie na dziedziniec, rozświetlając srebrne koło pajęczyny rozpiętej na gałęziach lipy. W komnatach panował chłód, ale na zewnątrz powietrze drżało od paraliżującego żaru. Zamek Corrinów zbudowano w miejscu pozbawionym cyrkulacji powietrza, choć zieleń na dziedzińcu zdawała się temu przeczyć.

Usłyszała, że Idaho stanął bezpośrednio za nią.

— Dar słów jest darem iluzji i wprowadzania w błąd, Duncan — rzekła, wciąż odwrócona tyłem. — Dlaczego pragniesz dzielić się ze mną słowami?

— Może się zdarzyć, że tylko jedno z nas przeżyje — odparł.

— Chcesz, bym złożyła sprawozdanie z twoich wysiłków? — Odwróciła się i zobaczyła, jak spokojnie stoi, obserwując ją szarymi, metalowymi oczyma. Nie dostrzegła w nich żadnego wyrazu. — Duncan, czyżbyś bał się o swoje miejsce w historii?

Skwitował jej podsumowanie uśmiechem.

— Historia sama dostarcza materiału do osądu — rzekł. — Zresztą wątpię, czy będę się tym wtedy interesował.

— Więc dlaczego tu jesteś? — zapytała.

— Z tego samego powodu, z jakiego ty tu jesteś, moja pani. Żadne zewnętrzne oznaki nie zdradziły efektu wywołanego przez te proste słowa, ale Jessika błyskawicznie pomyślała: „Czy on naprawdę wie, dlaczego tu jestem?” Skąd mógł wiedzieć? Tylko Ghanima wiedziała. Zatem może miał dość danych dla mentackiej kalkulacji? Bardzo możliwe. Czy zdoła nie zdradzić się przez Farad’nem? Musiał wiedzieć, że ich każdy ruch, każde słowo jest szpiegowane przez młodego Corrino lub jego sługi.

— Ród Atrydów stanął na rozdrożu — powiedziała. — Rodzina zwraca się przeciw sobie. Byłeś pośród najwierniejszych ludzi mojego księcia, Duncan. Gdy baron Harkonnen…

— Nie mówmy o Harkonnenach — przerwał jej. — To były inne czasy, a książę już nie żyje. — I pomyślał: „Czy ona nie wie jeszcze, że Paul odkrył krew Harkonnenów w Atrydach?" Muad'Dib wiele ryzykował, zdradzając tajemnicę rodu właśnie Duncanowi; wszak wiedział, co ludzie barona zrobili z Idaho.

— Ale ród Atrydów wciąż żyje — podkreśliła Jessika.

— Co to jest ród Atrydów? — zapytał. — Ty jesteś rodem? Alia nim jest? Ghanima? Czy może ludzie, którzy mu służą? Patrzę i widzę, jaką znoszą harówkę. Czy mogą być Atrydami? Twój syn słusznie powiedział: „Cierpienia i prześladowania to dola wszystkich, którzy za mną podążą". Ja się wyłamałem, moja pani.

— Naprawdę przeszedłeś na stronę Farad'na?

— Czy ty zrobiłaś inaczej, pani? Czy nie zjawiłaś się tu, by przekonać Farad'na, że małżeństwo z Ghanima rozwiązałoby wszystkie problemy?

„Naprawdę tak myśli? — zastanawiała się — Czy tylko tak mówi na użytek czujnych szpiegów?"

— Ród Atrydów zawsze był idealistyczny — powiedziała. — Wiesz o tym, Duncan. Kupowaliśmy lojalność płacąc lojalnością.

— Służba ludowi! — zaszydził Idaho. — Aach, wiele rzeczy słyszałem. Książę musi się przewracać w grobie, pani.

— Naprawdę sądzisz, że upadliśmy tak nisko?

— Pani, czy nie wiesz, że istnieją fremeńscy buntownicy? Nazywają siebie „Marquis z Wewnętrznej Pustyni" i przeklinają ród Atrydów, a nawet Muad'Diba.

— Wiem o tym z raportów Farad'na — rzekła, zastanawiając się na jaki tor Idaho kieruje rozmowę i w jakim celu.

— To coś więcej, moja pani, więcej, niż raport Farad'na. Sam słyszałem ich klątwy. Brzmiało to tak: „Ogień na was, Atrydzi! Nie będziecie mieć dusz ni ciał, cieni ni magii ani kości, włosów, ani głosu. Nie będziecie mieć grobu ni domu, nory ani śmierci. Nie będziecie mieć ogrodu ni drzewa, ni krzewu. Nie będziecie mieć wody ni chleba, światła ani ognia. Nie będziecie mieć dzieci ni rodziny, potomków, ni plemienia. Nie będziecie mieć głowy ani ramion ni nasienia. Nie będziecie mieli siedzib ani żadnej planety. Duszom waszym nie będzie wolno wyjść z otchłani i nigdy nie znajdą się pośród tych, którzy żyć będą na ziemi. Żadnego dnia nie ujrzycie Szej-huluda, lecz będziecie związani i wrzuceni pomiędzy najniższe plugastwo, a wasze dusze nie ujrzą światła chwały, na wiek wieków". Tak właśnie brzmi przekleństwo, pani. Potrafisz sobie wyobrazić tak zawziętą nienawiść ze strony Fremenów? Składają wszystkich Atrydów w lewą dłoń przekleństwa i powierzają Kobiecie-Słońcu pełnej ognia.

Jessikę przeszedł dreszcz. Idaho bez wątpienia powtórzył słowa

tym samym tonem, jakim słyszał oryginalną klątwę. Mogła sobie wyobrazić oburzonego Fremena, strasznego w swym gniewie, jak stoi przed plemieniem, by ciskać te starożytne przekleństwa. Dlaczego Idaho chciał, żeby Farad'n to słyszał?

— Nalegasz usilnie na małżeństwo Farad'na i Ghanimy — powiedziała.

— Zawsze miałaś jednostronne podejście do spraw — odparł. — Ghanima jest Fremenką. Może poślubić tylko kogoś, kto nie płaci fai, podatku od ochrony. Ród Corrinów zrzekł się swego udziału w KHOAM na rzecz Paula i jego spadkobierców, a Farad'n żyje na łasce Atrydów. Pamiętaj, że kiedy książę zatknął flagę Jastrzębia na Arrakis, rzekł: „Tu jestem i tu pozostanę". Jego kości wciąż tam są. Farad'n musiałby sprowadzić się na Arrakis wraz z sardaukarami. — Potrząsnął głową na samą myśl o podobnym związku.

— Jest stare powiedzenie, że z kłopotami postępuje się jak z cebulą: zdziera się warstwę po warstwie — powiedziała zimnym głosem Jessika. I pomyślała! „Jak on śmie traktować mnie w ten sposób? Tak protekcjonalnie? Chyba, że daje występ dla czujnych oczu Farad'na".

— W żaden sposób nie mogę wyobrazić sobie Fremenów i sardaukarów żyjących na jednej planecie — stwierdził Idaho. — Tej warstwy nie da się ściągnąć z cebuli.

Nie podobały się jej skutki, jakie słowa Idaho mogły wywołać w umyśle Farad'na, więc przemówiła ostro:

— Ród Atrydów wciąż ustanawia prawo w Imperium! — „Czy Idaho chce, by Farad'n uwierzył, że nie może odzyskać tronu bez Atrydów?"

— Och, tak — ucieszył się Idaho. — Prawie zapomniałem. Prawo Atrydzkie. Oczywiście w interpretacji kapłanów Złotego Remedium. Wystarczy zamknąć oczy, by usłyszeć księcia mówiącego mi, że władzę zdobywa się i utrzymuje przemocą, bądź jej groźbą. Fortuna wszędzie się toczy, jak zwykł śpiewać Gurney. Cel uświęca środki? Albo może pomieszały mi się przysłowia? No dobrze, nie ma znaczenia, czy zakutą w zbroję pięścią potrząsają fremeńskie legiony, czy sardaukarzy — to wciąż jest pięść, a ta warstwa cebuli nie zejdzie. Wiesz, zastanawiam się, którą pięść wolałby Farad'n? „O co mu chodzi? — zastanawiała się Jessika. — Ród Corrinów może przetrawić słowną sieczkę i połknąć ten argument!"

— Więc sądzisz, że kapłani nie pozwolą Ghanimie wyjść za Farad'na? — zaryzykowała Jessika, chcąc zbadać reakcję Idaho.

— Pozwolą jej? Na Boga! Kapłani pozwolą Alii na wszystko, co zarządzi. Sama mogłaby wyjść za Farad'na.

„Czy tu właśnie zarzuca przynętę?" — zastanawiała się Jessika.

— Nie, pani — kontynuował Idaho. — To nie jest problem. Ludzie

w Imperium nie potrafiliby odróżnić rządów Atrydów od władzy Bestii Rabbana. Dziesiątki ofiar umierają codziennie w lochach Arrakin. Opuściłem Diunę, bo już ani godziny dłużej nie mogłem wspierać mym ramieniem Atrydów. Rozumiesz, co mówię? Imperium Atrydów zdradziło księcia i twego syna. Kochałem Alię, ale ona poszła jedną drogą, a ja drugą. Jeżeli będzie to konieczne, doradzę Farad'nowi, żeby przyjął rękę Ghanimy — lub Alii — na własnych warunkach!

„Aach, urządził to przedstawienie po to tylko, by z honorem wycofać się ze służby Atrydów" — pomyślała Jessika. Pozostawały jednak inne kwestie, które poruszył. Czy nie wiedział, że działa na jej korzyść? Zmarszczyła brwi.

— Wiesz, że szpiedzy słuchają każdego twojego słowa, czyż nie?

— Szpiedzy? — zachichotał. — Owszem, słuchają. Ja również bym słuchał na ich miejscu. Wiele nocy spędziłem sam na pustyni i przekonałem się, że Fremeni mówią prawdę. Na pustyni, zwłaszcza w nocy, nachodzą człowieka niebezpieczne, złe myśli.

— Czy to tam słyszałeś, jak Fremeni nas wyklinają?

— Tak, w al-Ourouba. Na polecenie Kaznodziei przyłączyłem się do buntowników, pani. Nazywamy się sami „Zarr Sadus", tymi, którzy odmawiają podporządkowania się kapłanom. Przybyłem tu, by oficjalnie oświadczyć Atrydom, że przeszedłem na obce terytorium.

Jessika obserwowała go, starając się znaleźć jakieś szczegóły, które wskazywały, że kłamie, bądź ukrywa prawdziwe plany. Czy naprawdę mógł przejść na stronę Farad'na? Wyrecytowała w myśli maksymę zakonu: „W ludzkich sprawach nic nie jest trwałe, wszystko obraca się po spirali, zatacza koła i znika". Jeżeli Idaho rzeczywiście porzucił służbę u Atrydów, znalazłoby wytłumaczenie jego obecne zachowanie. Zatoczył krąg i oddalał się. Musiała wziąć to pod uwagę.

Gorączkowo rozmyślając, eliminowała warianty rozwoju wydarzeń. Uświadomiła sobie, że może będzie musiała go zabić. Plan, na którym opierała swe nadzieje, był tak delikatny, że nie mogła dopuścić, by cokolwiek go zakłóciło. Cokolwiek. A słowa Idaho sugerowały, że on go zna. Oceniła ich wzajemne położenie i tak się ustawiła, by zyskać dogodniejszą pozycję do ataku.

„Ale dlaczego podkreślił, że wypełnia polecenie Kaznodziei?"

— Zawsze uważałam, że normujący wpływ faufreluches jest filarem naszej siły — powiedziała. Niech się dziwi, dlaczego przeniosła dyskusję na system podziału klasowego. — Rada Landsraadu wysokich rodów, regionalne Sysselraady zasługują na…

— Nie zmieniaj tematu — rzekł Idaho.

Jakże przejrzyste były jej uniki! Czy dlatego, że straciła zdolność ukrywania prawdziwych intencji, czy może ostatecznie wyłamała się z bariery szkolenia Bene Gesserit? Zdecydował, że raczej ta druga ewentualność. Lecz jeszcze coś dziwiło go w zachowaniu lady Jessiki:

zmiana, której ulegała w miarę upływu lat. Smuciło go to w taki sam sposób, w jaki przyjmował wprowadzanie drobnych nowości w obyczaje Fremenów. Odejście pustyni było procesem, którego nie dało się opisać, tak jak nie dało się opisać przemian zachodzących wewnątrz lady Jessiki.

Jessika wpatrywała się w Idaho, nie starając się ukryć zaskoczenia. Naprawdę potrafił ją przejrzeć tak łatwo?

— Nie zabijesz mnie — powiedział. Użył fremeńskiego powiedzenia będącego ostrzeżeniem: „Nie rzucaj swej krwi na mój nóż".

Nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo zaakceptował obyczaje planety, która udzieliła mu schronienia w drugim życiu.

— Myślę, że lepiej byłoby, gdybyś już poszedł — stwierdziła.

— Nie wyjdę, zanim nie przyjmiesz mojej rezygnacji.

— Przyjmuję! — odparła krótko. Potrzebowała czasu na przemyślenie nowej sytuacji.

Idaho oddalał się tyłem, dopóki nie poczuł za sobą drzwi. Ukłonił się.

— Raz jeszcze nazywam cię swoją panią. Ostatni raz. Doradzę Farad'nowi, by odesłał cię na Wallach, szybko i po cichu, przy pierwszej nadarzającej się okazji. Jesteś zbyt niebezpieczną zabawką, choć nie sądzę, żeby cię tak traktował. Pracujesz dla zakonu, nie dla Atrydów. Zastanawiam się nawet, czy kiedykolwiek działałaś dla dobra Atrydów. Wy, czarownice, poruszacie się zbyt skrycie i w zbyt wielkiej ciemności, by zwykli śmiertelnicy mogli kiedykolwiek wam ufać.

— No, no, ghola uważa się za zwykłego śmiertelnika! — odparowała.

— W porównaniu z tobą — odparł.

— Wyjdź! — rozkazała.

— Taki właśnie jest mój zamiar. — Wyślizgnął się przez drzwi, mijając ciekawe spojrzenia służby, która bez wątpienia podsłuchiwała. „Stało się — pomyślał. — I mogą to odebrać tylko w jeden sposób".

> *Tylko dzięki królestwu matematyki można pojąć precyzyjne widzenia przyszłości Muad'Diba. A wiec: po pierwsze, postulujemy dowolną liczbę punktów-wymiarów w przestrzeni. (Jest to klasyczna n-krotna rozciągła suma, suma n-wymlarów). W tej strukturze Czas rozumiany według powszechnego pojmowania staje się sumą jednowymiarowych właściwości. Stosując*

to prawo do fenomenu Muad'Diba, stwierdzam, że albo stajemy w obliczu nowych właściwości Czasu, albo (przez redukcję w rachunku nieskończoności) zajmujemy się oddzielnymi układami, zawierającymi n istotnych właściwości. Dla Muad'Diba przyjmujemy twierdzenie ostatnie. Jak wykazano poprzez redukcję, n-krotność punktów może istnieć jedynie rozdzielnie, w różnych strukturach Czasu. Wykazane zostało w ten sposób, że mogą współistnieć różne wymiary Czasu. Skoro jest to nieunikniony wniosek, predykcje Muad'Diba wymagają, żeby percepowal on n-krotność nie jako rozciągły konglomerat, lecz jako operację przeprowadzoną na pojedynczej strukturze. W rezultacie zamknął wszechświat w tej jedynej strukturze, będącej widzeniem Czasu.

Palimbasza: „Wykłady w siczy Tabr"

Leto leżał na szczycie wydmy, patrząc przed siebie na krętą, stromą wychodnię. Skała była płaska i groźna w świetle poranka jak olbrzymi czerw zalegający na piasku. Wokół panował bezruch; nie krążył żaden ptak, ani jedno zwierzę nie przemykało wśród kamieni. Chłopiec widział otwory oddzielacza wiatru na środku grzbietu „czerwia". Tam pewnie będzie woda. Skała-czerw wyglądem przypominała siczową kryjówkę.

Leto leżał cicho, przysypany piaskiem, obserwując. Przez głowę wciąż przepływała mu jedna z pieśni Gurneya Hallecka:

U wzgórza stóp, gdzie lis chyżo bieży,
Gdzie cętkowany blask słońca się ścięty,
Tam mój kochanek spoczywa.
U wzgórza stóp, w kopru ostępach
Mój ukochany śpi w snu odmętach,
Skrywa się w grobie
U wzgórza stóp.

„Gdzie jest wejście do środka?" — zastanawiał się Leto. Był

pewien, że znalazł Fondak-Dżekaratę, lecz coś tu się nie zgadzało. Na skraju świadomości czuł ostrzegawcze kłucie. Co kryje się pod tym wzgórzem?

Nieobecność zwierząt przyprawiała go o zdecydowany niepokój. Fremeni zawsze ostrzegali: „Gdy chodzi o przetrwanie na pustyni, brak życia mówi więcej niż jego obfitość". Ale skoro był tam oddzielacz wiatru, powinna być również woda i ludzie, którzy jej używali. Oto miejsce tabu, kryjące się pod nazwą Fondak, którego inna tożsamość zaginęła nawet we wspomnieniach Fremenów. Tu zaczynała się Złota Droga.

Ojciec powiedział pewnego razu: „Dookoła kryje się nieznane. Należy więc szukać wiedzy".

Leto spojrzał na prawo ponad grzebieniem diuny. Niedawno przeszła tędy pra-matka burza. Jezioro Azrak, gipsowa równina, zostało oczyszczone z fałd piasku. Fremeński przesąd mówił, że każdy, kto widział Biyan, Białe Kraje, cierpi na mogące go zniszczyć niespełnione pragnienia. Dla Leto rozciągający się widok znaczył, że na Arrakis istniały kiedyś otwarte zbiorniki wodne.

Tak jak będą istniały raz jeszcze.

Podniósł wzrok, rozglądając się dookoła w poszukiwaniu jakiegokolwiek ruchu. Po burzy niebo nabrało dziwnego, gąbczastego wyglądu. Światło spadające w dół stwarzało wrażenie obcości, srebrne słońce zagubione było gdzieś ponad woalem kurzu zgromadzonego na dużych wysokościach.

Raz jeszcze Leto wrócił uwagą do krętej skały. Wyciągnął z fremsaka lornetkę, ustawił ruchome soczewki i spojrzał na nagą szarość: wychodnię skalną, gdzie niegdyś żyli ludzie Dżekaraty. Powiększenie ukazało ciernisty krzew z rodzaju zwanego „Królową Nocy". Krzak gnieździł się w cieniu obok rozpadliny, w której mogło kryć się wejście do starej siczy. Leto spenetrował całą długość wychodni. Srebrne słońce obracało barwy czerwieni w zwykłą szarość, nadającą całej skale wrażenie rozmytej płaskości.

Przetoczył się, odwracając plecami do Dżekaraty. Zbadał otoczenie lornetką. Żadnych śladów obecności człowieka. Wiatr zniszczył nawet jego trop, pozostawiając niewyraźny krater w miejscu, gdzie w nocy zanurzył się czerw.

Znów popatrzył na Dżekaratę. Poza oddzielaczem wiatru Leto nie dostrzegł najmniejszych oznak życia. Oprócz skały nie było tu nic, co zakłócałoby monotonny pejzaż pustyni ciągnącej się od horyzontu po horyzont. Leto poczuł nagle, że znalazł się w tym miejscu, ponieważ odmówił włączenia się w system otrzymany w spadku po przodkach. Pomyślał, jak błędnie wszyscy go oceniają — wszyscy oprócz Ghanimy.

„Z wyjątkiem zgrai obszarpańców z jej obcych wspomnień, to

dziecko nigdy nie było dzieckiem".

„Przyjmuję odpowiedzialność za decyzję, którą podjęliśmy" — zdecydował. Raz jeszcze przesunął wzrokiem po skale.

Wedle opisów tak wyglądał Fondak, a żadne inne miejsce nie mogło być Dżekaratą. Czuł dziwne pokrewieństwo z tym obszarem tabu. Musi się dowiedzieć! Metodą Bene Gesserit skierował myśli na Dżekaratę, szukając stanu pełnej nieświadomości. Wiedza była barierą skutecznie zapobiegającą swobodnemu korzystaniu z informacji. Przez kilka długich chwil dostrajał się, nie stawiając wymagań, nie zadając pytań.

Problem leżał nie tylko w braku oznak charakterystycznych dla bytowania zwierząt. Teraz dostrzegł również nieobecność drapieżnych ptaków: orłów, sępów, jastrzębi. Nawet tam, gdzie inne życie się kryło, ptaki pozostawały widoczne. Każde zawierające wodę miejsce na pustyni miało własny łańcuch życia. Na jego końcu grasowali wszędobylscy drapieżnicy. Tu nikogo nie zainteresowało przybycie człowieka. A przecież doskonale znał „psy podwórzowe siczy", tę linię ptaków przycupniętych na skraju urwiska nad Tabr, prymitywnych przedsiębiorców pogrzebowych czekających na ciała. Jak mawiali Fremeni: „nasi współzawodnicy". Ale mówili to bez zazdrości, ponieważ szperające ptaki często ostrzegały przed zbliżaniem się obcych.

A jeżeli Fondak opuścili nawet przemytnicy?

Leto oderwał wzrok od skały, by napić się z jednego z wodowodów.

„A jeżeli tam naprawdę nie ma wody?"

Rozważał swoje położenie. Użył dwóch czerwi, by dostać się tutaj, jadąc na nich przez całą noc. Porzucił je na pół martwe ze zmęczenia, kiedy dotarł do Wewnętrznej Pustyni, gdzie powinna się znajdować przystań przemytników. Jeżeli istniało tu życie, jeżeli mogło w ogóle egzystować w takich warunkach, to winno skupiać się w pobliżu wody.

„Co będzie, jeżeli tu nie ma wody? Co będzie, jeżeli to nie jest Fondak-Dżekarata?"

Raz jeszcze wycelował lornetką ku oddzielaczowi wiatru. Zewnętrzny brzeg urządzenia żłobiły bruzdy wyryte przez piach; wymagał konserwacji, ale i tak był w stanie nadającym się do użytku.

„Co, jeżeli tu jej nie ma?"

Porzucona sicz mogła stracić wodę przez parowanie. Przez dowolną liczbę katastrof. Dlaczego nie było tu drapieżnych ptaków? Zabite dla ich wody? Przez kogo? Jak można było je wszystkie unicestwić? Trucizną?

„Zatruta woda!?"

Legenda o Dżekaracie nie zawierała żadnej wzmianki o zatruciu

zbiornika, ale mogło tak być. Jeżeli wytruto pierwotne stada ptactwa, to czy nie odnowiłyby się one do tego czasu? Idualich unicestwiono wiele pokoleń temu, a przekazywane historie nigdy nie wspominały o truciźnie. Znowu zbadał skałę przez lornetkę. Jak można uśmiercić całą sicz? Z pewnością niektórzy zdołaliby uciec. Rzadko kiedy wszyscy mieszkańcy siczy przebywają jednocześnie w domu. Ludzie wędrowali przez pustynię, podróżowali do miast.

Leto z rezygnacją odłożył lornetkę. Ześlizgnął się w dół po niewidocznej od siczy stronie wydmy. Przygotowując się do przetrwania godzin natężonego upału, wyjątkową uwagę poświęcił dokładnemu zamaskowaniu filtrnamiotu i ukryciu oznak swej obecności. Gdy zamykał się w ciemności, czuł krążące w żyłach zmęczenie. Większą część dnia spędził wewnątrz przesiąkniętego zapachem potu namiotu. Nawet drzemiąc, analizował błędy, które popełnił. Jego działania miały nastawienie defensywne, ale nie widział żadnej skutecznej metody samoobrony na drodze wybranej przez niego i Ghanimę. Niepowodzenie wypaliłoby ich dusze. Jadł suchary przyprawowe i zasypiał. Budził się, by zjeść jeszcze raz, wypić i ponownie zapaść w sen. Podróż do tego miejsca trwała długo i stanowiła ciężką próbę dla organizmu dziecka.

Pod wieczór obudził się odświeżony, nasłuchując oznak życia. Wyczołgał się na pokrywający go piaszczysty całun. Wiatr wznosił pył w jednym kierunku, ale Leto czuł piach żądlący policzek z zupełnie innej strony — pewna oznaka zmiany pogody. Wyczuwał nadchodzącą burzę.

Ostrożnie wpełzł na szczyt wydmy: spojrzał raz jeszcze na tajemnicze skały. Powietrze nabrało żółtej barwy. Znak ów ostrzegał przed zbliżającą się kurzawą Coriolisa — wiatrem niosącym śmierć w swoich trzewiach. Była to wielka przestrzeń pędzonego przez wiatr piachu, mogąca się rozpostrzeć na cztery stopnie szerokości geograficznej. Wyschnięta gładź gipsowej niecki stanowiła teraz żółtą powierzchnię, odbijającą obłoki pyłu. Ogarnęła go fałszywa, wieczorna nostalgia. Potem dzień się skończył i nadeszła noc, szybko zapadająca noc Wewnętrznej Pustyni. Skaty przekształciły się w kanciaste szczyty, oszronione przez światło Pierwszego Księżyca. Czuł, jak ciernie piasku kłują mu skórę. Łoskot suchego grzmotu zabrzmiał niczym echo dalekich bębnów, a on w przestrzeni między światłem księżyca i ciemnością dostrzegł nagły ruch: nietoperze. Usłyszał łopot ich skrzydeł i wysokie piski.

Nietoperze.

Wiedział, że właśnie tu powinna być legendarna twierdza przemytników: Fondak. Ale jeżeli to nie jest Fondak? Jeżeli tabu wciąż działało i znalazł tylko pustą skorupę upiornej Dżekaraty?

Leto przyklęknął po zawietrznej stroin wydmy i czekał, aż noc

wpadnie we właściwy rytm. Cierpliwość i ostrożność — ostrożność i cierpliwość. Przez pewien czas zabawiał się powtarzaniem drogi Chaucera z Londynu do Canterbury, układając kolejno miejscowości, począwszy od Southwark: dwie mile do zdroju św. Tomasza, pięć mil do Deptford, cześć mil do Greenwich, trzydzieści mil do Rochester, czterdzieści mil do Sittingbourne, pięćdziesiąt pięć mil do Boughton koło Blean, pięćdziesiąt osiem mil do Harbledown i sześćdziesiąt mil do Canterbury. Bawił się myślą, że niewielu współczesnych pamięta, kim był Chaucer, bądź zna jakikolwiek Londyn, prócz wsi na odległej Gangishree. Postać św. Tomasza zachowano w Biblii Protestancko-Katolickiej i „Księdze Azhara", ale Canterbury zniknęło z pamięci ludzkiej, tak jak planeta, na której zostało zbudowane. Tam spoczywało brzemię wspomnień Leto, wszystkich tych istnień, które groziły pochłonięciem go. Raz już przemierzył drogę do Canterbury. Obecna wyprawa była jednakże dłuższa i bardziej niebezpieczna.

Po chwili doczołgał się na skraj wydmy i zaczął pokonywać przestrzeń w kierunku zalanych światłem księżyca skał. Krył się w cieniach, prześlizgiwał wzdłuż grzbietów wydm, unikając przy tym dźwięków mogących komuś zdradzić jego obecność.

Kurz zniknął, jak zwykle przed burzą, i noc stała się przejrzysta. Dzień nie objawił żadnego ruchu, lecz teraz Leto słyszał szelest małych stworzeń biegających w ciemnościach.

W zagłębieniu między wydmami znalazł rodzinę skoczków pustynnych, która rozpierzchła się na widok człowieka. Pokonał kolejny szczyt. Ta szczelina, którą wcześniej widział — czy ukrywała wejście do siczy? Miał także inne troski: sicz z dawnych czasów zawsze chroniły pułapki — zatrute wąsy zwisające w przejściach, zatrute kolce na roślinach. Znał fremeńskie powiedzenie: „uchem myśląca noc", nasłuchiwał więc najdrobniejszego dźwięku.

Szare skaty górowały ponad wszystkim, gigantyczne przez swą bliskość. Wtem Leto usłyszał dochodzący gdzieś z oddali krzyk ptaków: miękkie nawoływanie dziennych drapieżników. Co wywróciło ich świat na nice? Ludzka agresywność?

Nagle Leto zamarł. Na zboczu palił się ogień: balet błysków tajemniczych klejnotów na tle czarnej nocy, rodzaj sygnału, jaki sicz mogłaby wysłać podróżnym w blechu. Kim byli mieszkańcy opuszczonej siedziby? Podpełzł ku najgłębszym cieniom u stóp zbocza i przesuwając się wzdłuż nich, dłonią szukał szczeliny, cały czas przytulając się plecami do skalnej ściany. Zlokalizował ją przy ósmym kroku, wyciągnął piachochrapy z torby i sięgnął w ciemność. Gdy poruszył dłonią, coś ciasnego i krępującego owinęło mu bark i ramiona.

Pnączosieć!

Zwalczył odruch szamotania: w ten sposób sprawiłby tylko, że

pnączosieć zacisnęłaby się jeszcze bardziej. Upuścił natomiast chrapy i zgiął palce prawej dłoni, starając się dosięgnąć noża przy pasie. Zachował się jak naiwny nowicjusz! Powinien rzucić coś w ciemność szczeliny, zanim sam się do niej zbliżył. Zbyt zafrapowało go ognisko na zboczu. Każdy ruch zaciskał pnączosieć, lecz w końcu palce dotknęły noża. Powoli zamknął dłoń na rękojeści i zaczął ją unosić. Strumień jaskrawego światła powstrzymał dalsze ruchy.

— Aach, jaki ładny ptaszek wpadł w nasze sieci. — Ciężki, męski głos dobiegł za pleców Leto. W jego tonie rozpoznał coś dziwnie znajomego. Spróbował odwrócić głowę, świadom niebezpiecznej skłonności pnączosieci do miażdżenia zbyt swobodnie poruszającego się ciała.

Dłoń odebrała mu nóż, zanim zdołał ujrzeć człowieka, który go schwytał. Ręka z dużą wprawą przeszukała Leto, wydobywając niewielkie przedmioty, które on i Ghanima uznali za konieczne do przetrwania. Nic nie ocalało podczas rewizji, nawet garota z szigastruny ukryta we włosach.

Leto wciąż nie widział mężczyzny.

Obcy zrobił coś z pnączosiecią i Leto zorientował się, że może łatwiej oddychać. Wtedy mężczyzna odezwał się:

— Nie szamocz się, Leto Atrydo. Mam twoją wodę w moim kubku. Leto z najwyższym trudem zachował spokój.

— Znasz moje imię? — spytał.

— Oczywiście! Gdy zastawia się pułapkę, to nie bez powodu. Nastawia się ją na określoną zdobycz, no nie?

Leto nie odpowiedział. Jego myśli wciąż wirowały.

— Czujesz się zdradzony! — stwierdził mocny głos. Dłonie obróciły go łagodnie, ale z siłą. Dorosły mężczyzna mówił dziecku, jak wyglądają warunki gry.

Leto podniósł wzrok na blask padający z dwóch flar dryfowych i zobaczył rysujący się na jego tle zarys postaci z zamaskowaną przez filtrfrak twarzą. Gdy oczy już przystosowały się do światła, ujrzał ciemne pasmo skóry, a pod kapturem, w najgłębszym cieniu, dostrzegł błękitne od uzależnienia przyprawowego białka oczu.

— Zastanawiasz się, dlaczego władowaliśmy się w cały ten ambaras? — kontynuował mężczyzna. Osobliwie stłumiony głos, dochodzący spod osłoniętej dolnej części twarzy, brzmiał, jak gdyby ów człowiek starał się ukryć swój akcent.

— Dawno temu przestałem się dziwić liczebności tych, którzy chcą śmierci atrydzkich bliźniąt — powiedział Leto. — Motywy są zbyt oczywiste.

Gdy mówił, jego umysł stale błądził, gorączkowo szukając odpowiedzi. Pułapka z przynętą? Ale kto wiedział poza Ghanimą? To niemożliwe! Ghanimą nie zdradziłaby własnego brata. Zatem ktoś znał

go dostatecznie dobrze, by przewidzieć jego działania. Kto? Czyżby babka? Jak mogła?

— Nie można ci było pozwolić zostać dalej takim, jaki jesteś — rzekł mężczyzna. — Bardzo niedobrze. Przed wstąpieniem na tron zostaniesz wychowany. — Oczy bez białek popatrzyły na Leto z góry. — Dziwisz się, że ktokolwiek może ośmielić się wychowywać kogoś takiego jak ty? Ciebie, z wiedzą całego tłumu, zmagazynowaną we wspomnieniach. Widzisz, właśnie o to chodzi! Myślisz o sobie, że jesteś już wychowany, a w rzeczywistości stanowisz składnicę martwych istnień. Nie masz własnego życia. Jesteś chodzącym nadmiarem innych, mających jeden cel: szukanie śmierci. To złe dla władcy, jeśli jest poszukiwaczem śmierci. Zasłałbyś otoczenie trupami. Twój ojciec, na przykład, nigdy nie zrozumiał…

— Śmiesz mówić o nim w ten sposób?

— Wiele rzeczy już śmiałem. Mimo wszystko, był tylko Paulem Atrydą. No, chłopcze, witaj w nowej szkole.

Mężczyzna wyjął dłoń spod szaty i dotknął policzka chłopca. Leto poczuł, że zapada się w ciemność, w której powiewa zielono-czarna flaga. Poznał sztandar Atrydów z charakterystycznymi symbolami dnia i nocy. Usłyszał chlupot wody chwilę wcześniej, niż pochłonęła go nieświadomość. A może to tylko ktoś się zaśmiał?

> *Wciąż pamiętamy złoty wiek przed Heisenbergiem, który ukazał ludzkości bariery ograniczające predestynacyjne teorie. Istnienia wewnątrz mnie stwierdzają, że to śmieszne. Widzicie, z wiedzy nie można skorzystać, nie znając celu, lecz właśnie cel narzuca ograniczenia.*
>
> *Leto Atryda II: Jego Głos*

Alia dopiero po chwili spostrzegła, jak szorstko przemawia do strażników, którzy stanęli na jej drodze w przedsionku Świątyni. Było ich dziewięciu, w zakurzonych mundurach patrolu kontrolującego przedmieścia, i wciąż jeszcze dyszeli, zroszeni potem. Przez drzwi wpadało światło późnego popołudnia. Świątynię oczyszczono z pielgrzymów.

— Zatem moje rozkazy nic dla was nie znaczą?

Zastanawiała się nad własnym gniewem, dlaczego go nie hamowała, lecz pozwalała mu gorzeć. Jej ciało drżało ze zdenerwowania. Idaho zniknął… lady Jessika… żadnych raportów… tylko plotki, że znalazła schronienie na Salusa. Dlaczego Idaho nie

przysłał żadnej wiadomości? Co zrobił? Czy dowiedział się wreszcie o Dżawidzie?

Alia włożyła na siebie arrakańską szatę żałobną o barwie płonącego słońca z fremeńskiej mitologii. Za kilka minut poprowadzi drugą i ostatnią procesję do Starej Szczerby, by obserwować budowę grobowca in effigie dla utraconego bratanka. Pracę powinno się zakończyć w nocy, jako odpowiedni hołd dla tego, którego przeznaczeniem było przewodzić Fremenom.

Kapłańscy strażnicy w obliczu gniewu władczyni wydawali się wyzywający, w ogóle nie zawstydzeni. Stali przed nią, oświetleni słabnącym światłem. Ich przywódca, wysoki, jasnowłosy Kaza z oznakami rodziny Cadelamów na burce, pozwolił masce filtrfraka zwisać swobodnie, by móc mówić bardziej wyraźnie. Głos strażnika zawierał dumne akcenty, jakich należało oczekiwać po człowieku z rodziny władającej kiedyś siczą Abbir.

— Oczywiście, że staraliśmy się go pojmać! — Mężczyznę jawnie oburzyła jej napaść. — Głosi bluźnierstwa! Znamy rozkazy i słyszeliśmy go na własne uszy!

— A mimo to nie schwytaliście winowajcy — powiedziała Alia niskim, oskarżycielskim tonem.

Jedna z patrolu, przysadzista młoda kobieta, próbowała się bronić:

— Tłum był bardzo gęsty! Przysięgam, że ludzie nam przeszkadzali!

— Dostaniemy go w końcu — obiecywał Cadelam. — Nie zawsze będzie miał takie szczęście. Alia skrzywiła się.

— Dlaczego mnie nie słuchacie?

— Pani, my…

— Co zrobisz, potomku Jagnięcia*, jeżeli go schwytasz i stwierdzisz, że to naprawdę mój brat?

Udawał, że nie usłyszał nacisku położonego na jego imię, chociaż nie mógł być kapłańskim strażnikiem bez zaliczenia pewnej edukacji i zdolności posługiwania się nią. Czy chciał się poświęcić?

Strażnik przełknął ślinę.

— Musimy go zabić własnymi rękami.

Resztę oddziału wystraszyła śmiałość wypowiedzianej kwestii, ale wciąż zachowywali się wyzywająco. Doskonale wiedzieli, o czym mówi Cadelam.

— Kaznodzieja nawołuje plemiona, by się przeciw tobie sprzysięgły — kontynuował Fremen.

Alia wiedziała już, jak sobie z nim poradzić. Oświadczyła spokojnym, rzeczowym tonem:

— Rozumiem. Jeżeli nie chcecie się poświęcić i pojmać go na oczach wszystkich, to będę musiała sama to zrobić.

— Poświęcić moich… — Przerwał i spojrzał na towarzyszy. Jako Kaza grupy, wyznaczony przywódca, miał prawo za nich mówić, ale Alia łatwo wyczuła, że woli zamilknąć. Pozostali strażnicy wiercili się niespokojnie. W gorączce pościgu złamali nakaz Alii, zlekceważyli wolę „Łona Niebios". Teraz cofnęli się o krok od swego Kazy.

— Dla dobra Kościoła nasza oficjalna reakcja winna być surowa — podkreśliła Alia. — Rozumiecie to, czyż nie?

— Ale on głosi…

— Sama go słuchałam — odparła. — Jednakże sytuacja jest wyjątkowa.

— On nie może być Muad'Dibem, pani!

„Jak wy mało wiecie!" — pomyślała Alia i powiedziała głośno:

— Nie możemy ryzykować otwartej interwencji. Jeżeli nastąpią sprzyjające okoliczności, wtedy oczywiście…

— Zawsze jest otoczony przez tłumy!

— Zatem musimy być cierpliwi. Oczywiście, jeżeli sprzeciwicie się mojej woli… — Niewypowiedziane konsekwencje zawisły w powietrzu, lecz zostały doskonale zrozumiane. Cadelam był ambitny, czekała go błyskotliwa kariera.

— Nie chcemy ci się sprzeciwiać, pani. — Mężczyzna już nad sobą panował. — Działaliśmy zbyt pośpiesznie, teraz to widzę. Wybacz nam, ale on…

— Nic się nie stało, nie ma czego wybaczać — powiedziała, używając obiegowej fremeńskiej formuły. Użyła jednego z wielu sposobów, w jaki plemię utrzymywało spokój w swych szeregach, a Cadelam był na tyle dawnym Fremenem, by to zrozumieć. Jego rodzina kultywowała długie tradycje przewodzenia. Wina stanowiła bicz na Fremenów, który należało używać wstrzemięźliwie. Fremeni służyli najlepiej, gdy byli wolni od winy i urazy.

Odpowiedział skinieniem głowy i słowami:

— Dla dobra plemienia, rozumiem.

— Idźcie się odświeżyć — odparła. — Procesja rozpoczyna się za kilka minut.

— Tak, pani. — Wynieśli się w pośpiechu, każdym ruchem zdradzając ulgę z możliwości ucieczki.

Wewnątrz głowy Alii zagrzmiał basowy głos:

— Aach, poradziłaś sobie znakomicie. Jedno lub dwoje z nich wierzy, że pragniesz śmierci Kaznodziei. Znajdą na to sposób.

— Zamknij się! — syknęła. — Zamknij się. Nigdy nie powinnam była cię słuchać! Popatrz, co narobiłeś…

— Wprowadziłem cię na drogę do nieśmiertelności — odrzekł bas. Czuła, że głos jak odległy ból odbija się echem w jej czaszce. „Gdzie mogłabym się ukryć? Nigdzie nie ma takiego miejsca!"

— Nóż Ghanimy jest ostry — zauważył baron. — Pamiętaj o tym.

Alia mruknęła. Tak, to należało pamiętać. Nóż Ghanimy rzeczywiście jest ostry. Ten nóż może rozwiązać trapiące ją problemy.

> *Jeżeli wierzycie w słowa, wierzycie w ukryte w nich znaczenie. Jeżeli wierzycie, że coś jest słuszne bądź nie, prawdziwe bądź fałszywe — wierzycie założeniom w słowach, które wyrażają te pojęcia. Owe założenia są często pełne luk, ale mimo to są najprawdziwsze dla przekonanych do nich.*
>
> *„Dowód Otwartego Końca" z panoplia propheticus*

Umysł Leto porwany został przez mieszaninę ostrych woni. Rozpoznawał ciężki cynamonowy zapach melanżu, stężały pot pracujących ciał, cierpkość nie przykrytej zgonszuszni i wiele rodzajów kurzu, z dominacją pyłu kamiennego. Zapachy tworzyły ścieżkę poprzez piach, kształtowały kłęby mgły w wymarłej krainie. Wiedział, że chcą mu coś powiedzieć, ale część jego istoty nie była w stanie słuchać.

Myśli, jak widma ukazujące się tuż przed śmiercią, przepływały przez zmęczony umysł. „W tej chwili nie mam określonych kształtów. Słońce zachodzące w piasek jest słońcem zachodzącym w mej duszy. Jestem Fremenem i będę miał freneński koniec. Złota Droga skończyła się, zanim się zaczęła. Nie jestem niczym poza przysypanym piaskiem śladem. My, Fremeni, znamy sztuczki maskowania się: nie zostawiamy odchodów, wody, tropów… Patrzcie teraz, jak znika moja droga".

Jakiś męski głos krzyczał z bliska do ucha Leto:

— Mógłbym cię zabić, Atrydo! Mógłbym cię zabić, Atrydo! — Zdanie wciąż powtarzane straciło swe znaczenie, stając się czymś bezsłownym, co odbijało się w marzeniach Leto, litanią z wezwaniem. „Mógłbym cię zabić, Atrydo!"

Leto kaszlnął i poczuł, że prostota tej czynności wstrząsa jego zmysłami.

— Kto… — zdołał wyszeptać.

— Jestem wykształconym Fremenem i zabiłem swojego człowieka — odpowiedział głos z boku. — Odebrałeś nam naszych bogów, Atrydo. Co mnie obchodzi jakiś śmierdzący Muad'Dib? Twój Bóg nie żyje!

Czy głos docierał z rzeczywistości, czy był tylko jeszcze jedną częścią snu? Leto otworzył oczy i stwierdził, że leży nie skrępowany

na twardej pryczy. Spojrzał w górę, na skałę, na przyćmione kule świętojańskie, na nie zamaskowaną twarz spoglądającą na niego z tak bliska, że czuł oddech charakteryzujący się znajomymi zapachami siczowej diety. Twarz należała do Fremena — co do tego nie mógł się mylić, widząc ciemną skórę, ostre rysy i ubogie w wodę ciało. To nie był tłusty mieszkaniec miasta. To był pustynny Fremen.

— Nazywam się Namri. Jestem ojcem Dżawida — powiedział Fremen. — Znasz mnie, Atrydo?

— Znam Dżawida — odparł chrapliwie Leto.

— Tak, twoja rodzina zna dobrze mojego syna… Jestem z niego dumny. Wy, Atrydzi, wkrótce poznacie go lepiej.

— Co…

— Jestem jednym z opiekunów w twojej szkole, Atrydo. Mam określone zadanie: jeżeli nie spełnisz naszych oczekiwań, zabiję cię. Zrobię to chętnie. Ukończyć szkołę — znaczy żyć; jeżeli nie zdasz, trafisz w me ręce.

Leto usłyszał w tych słowach autentyczną szczerość. Stał przed nim ludzki gom dżabbar, wróg ostateczny, chcący wypróbować jego prawo do wejścia w ludzką społeczność. Czyżby dosięgnęła go ręka babki i kryjących się za nią Bene Gesserit? Wzdrygnął się na samą myśl o tym.

— Twoje wychowanie zaczyna się ode mnie — powiedział Namri. — Uważam, że słusznie, ponieważ zaraz może się skończyć. Słuchaj mnie uważnie. Moje słowa niosą w sobie twoje życie lub śmierć.

Leto obrzucił spojrzeniem pomieszczenie, puste, o ścianach ze skały, tylko z tą pryczą, przyćmionymi kulami świętojańskimi i ciemnym otworem za Namrim.

— Nie uciekniesz — stwierdził Namri. I Leto mu uwierzył.

— Dlaczego to robisz? — zapytał.

— Wyjaśniłem ci przecież. Pomyśl o planach w twej głowie. Jesteś tu i nie możesz rozstrzygać przyszłości w obecnym położeniu. Są dwie rzeczy, które wyraźnie nie pasują do siebie — teraźniejszość i przyszłość. Ale jeżeli znasz naprawdę przeszłość, jeżeli obejrzysz się za siebie i zobaczysz, gdzie byłeś, być może jeszcze raz zatryumfuje rozum. W przeciwnym wypadku przyniosę ci śmierć.

Leto zauważył, że ton Namriego brzmiał spokojnie, ale równocześnie stanowczo, w zgodzie z wcześniejszą zapowiedzią mordu.

Namri kołysał się na piętach, patrząc na skalne sklepienie.

— W dawnych czasach Fremeni spoglądali na wschód. Eos, znasz to? Znaczy „świt” w jednym z dawnych języków.

— Mówię tym językiem — powiedział dumnie Leto.

— Zatem mnie nie słuchałeś — rzekł Namri, a w jego głowie Leto

usłyszał zgrzyt noża. — Noc była czasem chaosu, dzień porą ładu. Tak właśnie było w okresie panowania tego języka, którym ponoć mówisz: ciemność — chaos, światło — ład. My, Fremeni, zmieniliśmy porządek. Eos był światłem, któremu nie ufaliśmy. Woleliśmy światło księżyca albo gwiazd. Światło dnia wyglądało zbyt uporządkowanie. Mogło okazać się śmiercionośne. Widzisz, co zrobiliście wy, Eos-Atrydzi? Człowiek jest stworzeniem tylko tego światła, które go ochrania. Słońce jest naszym wrogiem na Diunie.

— Namri opuścił wzrok na Leto. — Jakie światło wolisz, Atrydo?

Leto wyczuł, że pytanie miało olbrzymią wagę. Czy Namri mógłby go zabić, gdyby odpowiedział błędnie? Mógłby. Widział palce Namriego, spoczywające obok wypolerowanej rękojeści krysnoża. Na prawej dłoni Fremena błyszczał pierścień w kształcie magicznego żółwia.

Leto wsparł się na łokciach, sięgając umysłem do fremeńskich wierzeń. Ci dawni Fremeni ufali Prawu i uwielbiali rozmowy o przykazaniach, wyjaśnianych przez analogie. Światło księżyca?

— Wolę… światło Lisanu L'haqq — odrzekł Leto, wypatrując najdrobniejszych zmian w wyrazie twarzy Namriego. Mężczyzna wydawał się rozczarowany, ale cofnął dłoń od noża. — Jest to światło prawdy, światło doskonałego człowieka, w którym jasno widać wpływ al-Mutakallim — kontynuował. — Jakie inne światło mógłby wybrać człowiek?

— Mówisz jak ktoś, kto recytuje, nie jak ktoś, kto wierzy — stwierdził Namri.

„Owszem, recytuję" — pomyślał Leto. Zaczął pojmować tok myślenia Namriego. W dawnej fremeńskiej szkole krążyło tysiące takich zagadek. Musiał tylko nagiąć umysł, by znaleźć przykłady… Inwokacja: Cisza?; Respons: Druh ściganego.

Namri kiwnął głową, jakby się z nim zgadzał, a następnie powiedział:

— Istnieje grota, która jest jaskinią życia dla Fremenów. To prawdziwa jaskinia, którą ukryła pustynia. Szej-hulud, wielki pradziad Fremenów, zamknął sobą wejście do środka. Mój wuj, Ziamad, mówił mi o tym, a on nigdy nie kłamał. Jest taka jaskinia.

Gdy Namri skończył, zaległa wyzywająca cisza.

Jaskinia życia?

— Mój wuj, Stilgar, również mi mówił o tej jaskini — rzekł Leto. — Została zamknięta, by nie kryli się w niej tchórze.

Odbicie kuli świętojańskiej zabłysło w ocienionych oczach Namriego.

— Czy wy, Atrydzi, otworzylibyście tę jaskinię? — zapytał. — Pragniecie kontrolować życie przez ministerstwo, wasze Centralne Ministerstwo Informacji, Auqaf i Hadżdż. Człowiek piastujący

najwyższe stanowisko nazywa się Kausarem. Powiedz mi, Atrydo, co jest nie w porządku z waszym ministerstwem?

Leto usiadł, świadom, że dał się wciągnąć w starą grę zagadek, w której fantem było życie. Namri robił wrażenie, że bez wahania skorzysta z krysnoża przy pierwszej błędnej odpowiedzi. Fremen, widząc rozterki chłopca, rzekł:

— Wierz mi, Atrydo, ja jestem tym, który otrząśnie z ciebie błoto. Jestem Żelaznym Młotem.

Leto zrozumiał. Namri uważał się za Mirzabaha, Żelazny Młot bijący w zmarłych, którzy nie potrafią zadowalająco odpowiedzieć na pytania przed wejściem do raju.

„Co jest nie w porządku z centralnym ministerstwem, które stworzyła Alia i jej kapłani?"

Leto pomyślał o powodach, które skłoniły go do wędrówki przez pustynię. Wróciła mu niewielka nadzieja, że Złota Droga mogła jeszcze zawitać we wszechświecie. To, co implikował swoimi pytaniami Namri, nie było niczym więcej jak przyczyną, która przywiodła syna Muad'Diba na pustynię.

— Drogę musi wskazać Bóg — powiedział Leto. Podbródek Namriego opadł i mężczyzna spojrzał ostro na chłopca.

— Czy naprawdę w to wierzysz? — zapytał z naciskiem.

— Dlatego tu jestem — odparł Leto.

— By znaleźć drogę?

— Znaleźć ją dla siebie. — Leto przełożył nogi przez krawędź pryczy. Na dole była goła, skalna posadzka. — Kapłani stworzyli ministerstwo, by ukryć drogę.

— Mówisz jak prawdziwy buntownik — zdziwił się Namri i potarł pierścieniem w kształcie żółwia o palec. — Zobaczymy. Słuchaj znowu uważnie. Znasz wysoki Mur Zaporowy przy Dżalalud-Din? Ten mur nosi znaki runiczne mojej rodziny, wyryte w pierwszych dniach. Dżawid, mój syn, widział te symbole. Abedi Dżalal, mój siostrzeniec, widział je. Mudżahid Shafqat z Innych, on też widział nasze znaki. W porze burz w okolicach Sukkaru doszedłem w pobliże tego miejsca razem z przyjacielem, Yakupem Abadem. Wiatry cięły i parzyły jak trąby powietrzne, od których nauczyliśmy się tańców. Nie zdołaliśmy obejrzeć runów, ponieważ burza zamknęła przed nami drogę. Ale gdy przeminęła, na nawianym piachu ujrzeliśmy wizję Thatty. Twarz Shakira Alego spoglądała z góry na miasto grobowców. Wizja zniknęła w przeciągu chwili, ale wszyscy ją widzieliśmy. Powiedz mi, Atrydo, gdzie mogę znaleźć miasto grobowców?

„Trąby powietrzne, od których nauczyliśmy się naszych tańców — pomyślał Leto. — Wizja Thatty i Shakir Ali". Słowa zapożyczone od Zensunnickich Wędrowców, tych, którzy uważali się za jedynych prawdziwych ludzi pustyni.

A Fremenom zakazano stawiania grobowców.

— Miasto grobowców znajduje się na końcu drogi, którą podążają wszyscy ludzie — odpowiedział Leto i sięgnął po zensunnickie opisy. — W ogrodzie o boku szerokim na tysiąc kroków. Jest tam wspaniały korytarz wejściowy, długi na dwieście trzydzieści trzy kroki i na sto kroków szeroki, cały wyłożony marmurem ze starożytnego Dżajpuru. W tym miejscu mieszka al-Razzaq, ten, który dostarcza żywności wszystkim proszącym. W Dniu Policzenia ci, którzy wstaną i szukać poczną miasta grobowców, nie odnajdą go. Albowiem jest napisane: „Tego, co znasz w jednym życiu, nie znajdziesz w drugim".

— Znowu recytujesz bez wiary — zadrwił Namri. — Ale na razie przyjmuję odpowiedź, bo myślę, że wiesz, dlaczego tu jesteś. — Chłodny uśmiech wykrzywił mu usta. — Daję ci prowizoryczną przyszłość, Atrydo.

Leto wahał się chwilę. Czy ten Fremen zadał mu kolejne pytanie?

— Dobrze! — rzekł Namri. — Twoja świadomość jest przygotowana. Usunę trujące wąsy. I jeszcze jedno. Czy słyszałeś, że w miastach na Kadryszu noszą imitacje filtrfraków?

Podczas gdy Namri czekał, Leto gorączkowo poszukiwał odpowiedzi. Imitacje filtrfraków? Noszono je na wielu planetach.

— Obyczaje z Kadryszu to nic nowego, często się to powtarza — odpowiedział. — Mądre zwierzę zawsze zlewa się z otoczeniem.

Namri powoli skinął głową i dodał:

— Ten, który cię schwytał i tu przyniósł, zaraz się zjawi. Nie próbuj uciekać. Oznaczałoby to twoją śmierć. — Ledwo skończył, zniknął w ciemnym otworze.

Przez długą chwilę Leto wpatrywał się w wyjście. Słyszał dźwięki na zewnątrz, ciche głosy ludzi na warcie. Opowieść Namriego o mirażu-wizji pozostawiła trwały ślad w umyśle Leto. Podsumowała długą podróż chłopca przez pustynię. Nie miało już znaczenia, czy dotarł do Fondaku-Dżekaraty. Namri nie był przemytnikiem. Był kimś znacznie silniejszym. A gra, którą prowadził, pachniała lady Jessiką, sposobami Bene Gesserit. Leto czuł osaczające go niebezpieczeństwo. Ale ciemne przejście, którym odszedł Namri, było jedynym wyjściem z pomieszczenia. Na zewnątrz znajdowała się obca sicz, zaś jeszcze dalej — pustynia. Szeroka surowość tej krainy, w której ład włączone były miraże i bezkresne wydmy, wydawała się Leto częścią zastawionej nań pułapki. Mógłby dotrzeć z powrotem do punktu wyjścia, ale co by mu to dało? Ta myśl podobna była do stęchłej wody: nie mogła ugasić jego pragnienia.

Z racji, iż czas pojmuje się jako zwrócony w jednym kierunku, ludzie skłaniają się ku myśleniu o wszystkim w

sekwencyjnej, zorientowanej przez słowa strukturze. Ta umysłowa pułapka stwarza bardzo krótkowzroczne pojęcia skuteczności i następstw, stan stałego braku koncepcji reagowania na kryzysy.

Liet-Kynes: „Księga Pracy Arrakis”

„Słowa i czyny równocześnie” — przypomniała sobie lady Jessika, gdy przygotowywała umysł do nadchodzącego spotkania.

Było krótko po śniadaniu. Złote słońce Salusa Secundus dopiero zaczynało oświetlać przeciwległy mur zamykający ogród, doskonale widoczny z miejsca, w którym stała. Ubranie dobrała starannie: zwykły czarny płaszcz Wielebnej Matki, ale z godłem Atrydów wyhaftowanym złotą nitką w postaci pierścienia biegnącego wzdłuż skraju płaszcza i mankietu każdego rękawa. Jessika prawie pedantycznie ułożyła fałdy stroju i odwróciła się od okna, trzymając prawą rękę na pasie, by wyeksponować motyw Jastrzębia w godle.

Farad’n zauważył od razu tę demonstrację. Skomentował ją wchodząc, ale nie zdradził gniewu ani zaskoczenia. Jessika wykryła nawet subtelny humor w jego głosie. Widziała, że ubrał się w szary trykot, który mu zaproponowała. Tak jak poleciła, usiadł na niskiej, zielonej otomanie, z prawą ręką założoną na plecy, odprężając się.

„Dlaczego jej ufam? — zastanawiał się. — To przecież czarownica Bene Gesserit!”

Jessika, odczytując myśli poprzez kontakt między zrelaksowanym ciałem a wyrazem twarzy, uśmiechnęła się i powiedziała:

— Ufasz mi, ponieważ wiesz, że zawarliśmy korzystny układ i chcesz się teraz czegoś nauczyć.

Ujrzała, że minimalnie zmarszczył brwi. Machnęła ręką, by go uspokoić.

— Nie, nie czytam w myślach. Czytam z twarzy, ciała, zachowania, tonu głosu, układu ramion. Każdy może to robić, gdy nauczy się Metody Bene Gesserit.

— Nauczysz mnie tego?

— Jestem pewna, że przeglądałeś raporty o nas — stwierdziła. — Czy znalazłeś gdziekolwiek informację, że nie spełniłyśmy prostej obietnicy?

— W żadnym z nich, ale…

— Przetrwałyśmy po części dzięki zupełnemu zaufaniu, jakie ludzie mają w stosunku do naszych zobowiązań. To się nie zmieniło.

— Myślę, że mówisz rozsądnie — odparł. — Chciałbym już zacząć.

— Jestem zaskoczona, że nigdy nie prosiłeś Bene Gesserit o nauczycielkę — powiedziała. — Nie przepuściłyby możliwości uczynienia z ciebie dłużnika.

— Moja matka nigdy nie słuchała, kiedy ją o to prosiłem — odparł. — A teraz… — Wzruszył ramionami w wymownym komentarzu. — Zaczynamy?

— Lepiej było zacząć szkolenie, kiedy byłeś o wiele młodszy — rzekła Jessika. — Będzie to teraz trudniejsze i zajmie więcej czasu. Musisz zacząć od nauczenia się cierpliwości. Modlę się, żebyś nie stwierdził, że to zbyt wysoka cena.

— Absolutnie, zwłaszcza za usługi, które zaproponowałaś. Usłyszała w jego głosie szczerość, oczekiwanie i cień lęku. Te trzy uczucia tworzyły pole umożliwiające rozpoczęcie nauki.

— Sztuka cierpliwości, w porządku — powiedziała. — Zaczynamy od pewnych elementarnych ćwiczeń prana-bindu dla nóg i rąk, a potem dla oddechu. Dłonie i palce zostawimy na później. Jesteś gotowy?

Usadowiła się na zydlu stojącym naprzeciw niego.

Farad'n skinął głową, utrzymując wyczekujący wyraz twarzy, by ukryć nagły przypływ strachu. Tyekanik ostrzegał go, że w propozycji lady Jessiki musi się kryć jakiś haczyk, coś ukartowanego przez zakon żeński. „Nie możesz wierzyć, że znowu je porzuciła albo że one porzuciły ją". Farad'n przerwał argumentację wybuchem śmiechu, za który natychmiast zrobiło mu się przykro. Emocjonalna reakcja sprawiła, że szybciej pogodził się z podjętymi przez Tyekanika środkami ostrożności.

Farad'n spojrzał w róg pokoju, zauważając delikatny blask gemm w fasetach. Wszystko, co będzie się tu działo, zostanie zarejestrowane, a tęgie umysły rozważą każdy niuans, każde słowo, każdy ruch.

Jessika uśmiechnęła się, zauważając kierunek jego spojrzenia, ale nie okazując, że wie, gdzie błądzi myślami.

— By nauczyć się cierpliwości na sposób Bene Gesserit, musisz najpierw rozpoznać podstawową, immanentną niestałość naszego wszechświata — zaczęła. — Nazywamy naturę, mając na myśli całość we wszystkich przejawach, Ostatecznym Nie-Absolutem. By uwolnić swoją jaźń i pozwolić jej na poznanie zmieniających się dróg natury, będziesz trzymał obie ręce wyciągnięte na całą długość przed siebie. Patrz na wyciągnięte ręce, najpierw na wnętrze dłoni, a potem na grzbiety. Badaj palce — jedną i drugą ich stronę.

Farad'n zastosował się do polecenia, ale czuł się głupio. To przecież jego własne dłonie. Zna je.

— Wyobraź sobie, że twoje dłonie się starzeją — powiedziała Jessika. — Muszą się stać w twoich oczach bardzo stare. Bardzo, bardzo stare. Zauważ, jaka sucha jest ich skóra…

— Moje dłonie się nie zmieniają — rzekł. Czuł drżenie ramion.

— Wciąż się w nie wpatruj. Uczyń je starymi, tak starymi, jak tylko możesz sobie wyobrazić. To może zająć dużo czasu. A kiedy zobaczysz, że są stare, odwróć ten proces. Uczyń je znowu młodymi — tak młodymi, jak tylko potrafisz. Przyłóż się, by na życzenie przechodziły od dzieciństwa do późnej starości w tę i z powrotem, w tę i z powrotem.

— Nie zmieniają się! — zaprotestował. Rozbolały go barki.

— Twoje dłonie zmienią się, jeśli postawisz takie żądanie zmysłom — powiedziała. — Skoncentruj się na uwidocznieniu przepływu czasu, którego pragniesz: od dzieciństwa do starości, od starości do dzieciństwa. Nauka może trwać godziny, dni, miesiące, ale dojdziesz do tego. Odwracanie strumienia zmian nauczy cię widzieć każdy system jako coś działającego w stanie względnej stabilności… tylko względnej.

— Myślałem, że uczę się cierpliwości. — Usłyszała w jego głosie gniew, cień frustracji.

— I względnej stabilności — powtórzyła. — To perspektywa, którą tworzy się przez wiarę, a wierzeniami można manipulować. Nauczyłeś się ograniczonego sposobu patrzenia na wszechświat. Teraz musisz uczynić z wszechświata swe własne dzieło. Będziesz mógł wtedy zaprząc każdą względną stabilność do własnych celów, do wszelkich celów, jakie jesteś w stanie sobie wyobrazić.

— Jak wiele to zabierze czasu?

— Cierpliwości!

Jego wargi musnął spontaniczny uśmiech. Oczy skierowały się w jej stronę.

— Patrz na ręce! — skarciła go ostro.

Uśmiech znikł. Wzrok raptownym przeskokiem skupił się na wyciągniętych dłoniach.

— Co mam zrobić, gdy ręce opadną mi ze zmęczenia? — zapytał.

— Przestań gadać i skoncentruj się — odparła. — Jeśli poczujesz się zmęczony, przerwij. Powróć do ćwiczenia po kilku minutach. Musisz wytrwać tak długo, aż osiągniesz zamierzony cel. Bez opanowania tej podstawowej umiejętności nie może być mowy o dalszych lekcjach.

Farad'n wciągnął głęboko powietrze, przygryzł wargi i zapatrzył się w swoje ręce. Obracał je powoli: wnętrze — grzbiet, wnętrze — grzbiet. Barki drżały mu ze zmęczenia. Wnętrze — grzbiet… Nic się nie zmieniło.

Jessika wstała i podeszła do drzwi.

Przemówił, nie odrywając uwagi od dłoni:

— Dokąd idziesz?

— Będzie ci się lepiej ćwiczyło, kiedy zostaniesz sam. Wrócę

mniej więcej za godzinę. Cierpliwości.

— Wiem!

Obserwowała go przez chwilę. Wyraźnie przejął się nauką. Przypominał jej utraconego syna. Westchnęła.

— Gdy wrócę, zapoznam cię z metodą uśmierzania bólu mięśni. Zdziwisz się, wiedząc, do czego można zmusić swoje ciało i umysł.

Wyszła.

Wszechobecni strażnicy podążyli trzy kroki za nią. Gryzł ich niepokój. Byli sardaukarami po trzykroć ostrzeżonymi przed jej czarami, wychowywanymi na opowieściach o klęsce zadanej im przez Fremenów na Arrakis. A ta czarownica jednocześnie była Wielebną Matką Fremenów, Bene Gesserit i Atrydką.

Jessika spojrzała raz jeszcze na ich surowe twarze. Odwróciła się, podeszła do schodów, zeszła po nich i przez krótki korytarz wyszła do ogrodu.

„Gdyby tylko Duncanowi i Gurneyowi udało się wykonać zadanie” — pomyślała, czując pod stopami żwir ścieżki, widząc złote światło przefiltrowane przez zieleń.

Pokonując kolejny próg w mentackiej edukacji, dowiecie się o zintegrowanych metodach komunikacyjnych. Jest to funkcja gestaltyczna, która zintegruje drogi w waszej pamięci; pozwoli rozwikłać problem złożoności oraz ogromu wyjść z mentackiego indeksu — katalogu technik, które już opanowaliście. Waszym początkowym, wprowadzającym problemem będzie przełamanie napięć wynikających z rozbieżnego szeregowania szczególnych informacji-danych na wyspecjalizowane tematy. Czujcie się ostrzeżeni. Bez mentackiej integracji grozi wam pochłonięcie przez Dylemat Babel, którym to mianem określamy wszechobecne niebezpieczeństwo prowadzenia fałszywych kalkulacji na podstawie prawdziwych informacji.

„Podręcznik mentata”

Szelest ocierających się o siebie tkanin obudził w Leto iskierki świadomości. Był zaskoczony, że potrafił dostroić wrażliwość do

punktu, w którym automatycznie rozpoznawał tkaniny po wydawanym odgłosie: ten pochodził z połączonego dźwięku wydawanego przez fremeńską szatę i lichą zasłonę w drzwiach, ocierających się o siebie. Odwrócił twarz ku źródłu dźwięku. Dochodził on z przejścia, którym przed chwilą wyszedł Namri. Do środka wszedł człowiek, który go schwytał. Leto poznał ciemny pas skóry nad maską filtrfraka i charakterystyczne, błyszczące oczy. Mężczyzna podniósł dłoń do maski, wyciągnął chwytowód z nozdrza, opuścił maskę i znajomym ruchem odrzucił w tył kaptur. Leto rozpoznał go, nim jeszcze zauważył grubą bliznę po biczu z krwawinu, biegnącą wzdłuż szczęki mężczyzny. To był chodzący monolit humanitarności i wojownik-trubadur, Gurney Halleck!

Leto zacisnął dłonie w pięści, sparaliżowany przez chwilę niepodobieństwem sytuacji. Żaden człowiek świty Atrydów nie był nigdy wierniejszy rodowi. Nikt nie znał lepszego od niego mistrza pojedynków z użyciem tarczy. Był zaufanym powiernikiem i nauczycielem Paula.

Był sługą lady Jessiki.

Więc to Gurney go pochwycił. Gurney i Namri spiskowali razem. A za ich działaniem kryła się ręka lady Jessiki.

— Rozumiem, że odbyłeś rozmowę z Namrim — rzekł Halleck. — Lepiej mu uwierz, młody paniczu. Ma on jedną i tylko jedną funkcję: jest jedynym człowiekiem mogącym cię zabić, jeżeli uzna to za konieczne.

Leto odpowiedział automatycznie, głosem przypominającym jego ojca:

— Więc dołączyłeś do naszych wrogów, Gurney! Nigdy nie myślałem, że…

— Nie próbuj ze mną żadnych diabelskich sztuczek, chłopcze! — ostrzegł Halleck. — Jestem na nie odporny. Wypełniam rozkazy lady Jessiki. To ona zaplanowała twoje wychowanie. Zaakceptowała również mój wybór Namriego. Wykonuję jej rozkazy, chociaż to, co teraz nastąpi, może wydawać się bolesne.

— A co ona kazała zrobić?

Halleck wyjął dłoń z fałdów szaty i pokazał fremeński aparat infekcyjny, prymitywny, lecz skuteczny. Przezroczystą rurkę wypełniał niebieski płyn.

Leto wcisnął się głębiej w pryczę, ale wykonanie dalszych ruchów uniemożliwiła mu kamienna ściana. W tej samej chwili wszedł Namri i stanął obok Hallecka, z dłonią na krysnożu. Wspólnie zablokowali jedyne wyjście.

— Widzę, że rozpoznałeś esencję przyprawową — powiedział Halleck. — Musisz pójść drogą czerwia, chłopcze. Musisz przez nią przejść. Inaczej to, na co odważył się Paul, będzie ciążyło nad tobą

przez całe życie.

Chłopiec bez słowa potrząsnął głową. Oto coś, o czym on i Ghanima wiedzieli, że może ich pokonać. Gurney był ignorantem, głupcem! Jak Jessika mogła… Leto wyczuł obecność ojca w swojej świadomości. Przemknęła mu przez mózg, starając się przełamać naturalne mechanizmy obronne. Chciał krzyknąć z gniewu, lecz nie mógł poruszyć ustami. Trans przyprawowy. Poznawanie niezmienialnej przyszłości z całą jej stałością i grozą. Jessika nie wydała takiego rozkazu. Ale, jakby na przekór, jej osobowość zawarta w umyśle Leto wytaczała ważkie argumenty. Włączona została pomiędzy nie nawet Litania Przeciw Strachowi. „Nie wolno się bać. Strach zabija duszę. Strach to mała śmierć, a wielkie unicestwienie. Stawię mu czoło. Niechaj przejdzie po mnie i przeze mnie, a kiedy przejdzie…”

Leto, przeklinając w starożytnym języku, próbował coś zrobić. Chciał skoczyć na dwóch mężczyzn stojących nad nim, ale mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Niczym w transie widział rękę Hallecka zbliżającą się z injektorem. Światło kuli świętojańskiej błysnęło w niebieskim płynie i przyrząd dotknął prawego ramienia chłopca. Ból zgiął go, uderzył w mięśnie szyi, w jego głowę.

Leto ujrzał młodą kobietę siedzącą w świetle świtu obok nędznej chaty. Prażyła na różowo-brązowy kolor ziarna kawy, dodając kardamonu i przypraw. Gdzieś z tyłu dochodził głos rebeki. Muzyka odbijała się echem, póki nie dotarła do umysłu chłopca. Rozdęła jego ciało, poczuł, że jest wielki, bardzo wielki… Skóra jakby nie należała do niego. Znał owo uczucie. Ciepło rozprzestrzeniało się po całym ciele.

Pierwsza wizja ustąpiła i Leto stwierdził, że stoi w ciemnościach. Była noc. Gwiazdy jak deszcz żaru spadały z błyszczącego firmamentu.

Część jego istoty wiedziała, że nie ma drogi ucieczki, lecz on wciąż próbował walczyć, dopóki nie wyczuł obecności ojca:

— Będę cię ochraniał w transie. Inni z wewnątrz nie dostaną się do ciebie.

Wiatr przewrócił Leto, kręcąc nim, nawiewając na niego kurz i piach, tnąc go w ręce, w twarz, niszcząc mu ubranie, łopocząc luźnymi, porwanymi strzępami bezużytecznej tkaniny. Nie czuł bólu i widział, że rany goją się szybko. Ale jego skóra nie należała do niego.

„To przyszłe wydarzenia” — pomyślał.

Ta myśl wydawała się odległa i obca, jakby należała do niego nie bardziej niż skóra.

Wchłonęła go wizja. Rozwijała się w stereometryczną pamięć, dzielącą przeszłość i teraźniejszość, przyszłość i teraźniejszość, przeszłość i przyszłość. Każde rozdzielenie mieszało się w trójokularowym ognisku, które odczuwał jako wielowymiarową mapę

plastyczną własnej, przyszłej egzystencji.

„Czas jest miarą przestrzeni, tak jak dalmierz jest miernikiem odległości — myślał. — Akt pomiaru kieruje nas do miejsca, od którego mierzymy odległość".

Czuł, że trans pogłębia się. Nadeszło wzmocnienie wewnętrznej świadomości. Rozumiał żywy Czas i mógł go zatrzymać w każdej chwili. Świadomość zalewały fragmenty wspomnień, przeszłości i przyszłości nakładające się na siebie niczym półprzeźroczyste przebitki. Ich wzajemne stosunki podlegały nieustannej zmianie, jakby tańczyły wokół siebie. Pamięć była soczewką, iluminującą wiązką światła, która wybierała fragmenty, izolowała je, ale zawsze zawodziła przy próbie zatrzymania nieustannego ruchu i zmodyfikowania tego, co przemykało przed jego oczyma.

To, co planował z Ghanimą, wpadło w światło owego reflektora, zdumiewając wszystko inne. Rzeczywistość wizji odzywała się w nim bólem. Nieuniknioność realizacji sprawiła, że ego Leto kuliło się w sobie, wiło się w męce.

A skóra nie była jego własną!

Przyszłość i teraźniejszość ścierały się ze sobą. Nie potrafił ich od siebie oddzielić. W pewnej chwili czuł, jakby wyruszał na Dżihad Butlerjańską, pałając chęcią zniszczenia każdej maszyny imitującej ludzką świadomość. Zmysły Leto wycisnęły jednak wszystko z tego doświadczenia, wchłaniając najbardziej nawet nieistotne szczegóły. Słyszał ministra-towarzysza przemawiającego na mównicy: „Musimy odrzucić maszyny-które-myślą. Ludzkość sama sobie wyznacza kierunek. Czegoś takiego nie potrafią zrobić maszyny. Rozumowanie zależy od oprogramowania, nie od oprzyrządowania, a to my jesteśmy ostatecznym programem!"

Słyszał wyraźnie ten głos, wiedział, gdzie rozbrzmiewa — w wielkiej, wyłożonej drewnem sali z mrocznymi oknami. Światło dawały trzaskające płomienie. A minister-towarzysz kontynuował: „Nasza Dżihad to»program kasujący«. Wyrzucamy rzeczy, które niszczą nas jako jednostki ludzkie".

Mówca był sługą komputerów, tym, który je znał i wypełniał ich polecenia. Scena zniknęła. Przed Leto stanęła Ghanimą. „Gurney wie — rzekła. — Powiedział mi. Powtórzył słowa Duncana, a Duncan mówił to jako mentat:»W czynieniu dobra unikaj rozgłosu; w czynieniu zła unikaj samoświadomości«".

A więc jednak przyszłość — odległa przyszłość. Czuł jej realność.

— Czy to prawda, ojcze? — szepnął.

Ale obecność ojca w jego wnętrzu ostrzegała:

— Nie kuś nieszczęścia! Uczysz się teraz stroboskopowej świadomości. Bez niej mógłbyś przeciążyć sam siebie, zgubić punkt odniesienia w czasie.

Płasko-wypukłe wyobrażenie trwało. Przeszłość — teraźniejszość — teraz. Nie było między nimi prawdziwego rozdziału. Wiedział, że musi iść dalej, ale ów ruch go przerażał. Jak mógł powrócić w jakiekolwiek znane miejsce? Nie potrafił podzielić nowego wszechświata na nieruchome, opatrzone nalepkami fragmenty. Żaden z nich nie pozostawał nieruchomy. Nie można było wiecznie rozkazywać i określać. Musiał odnaleźć rytm zmian i wraz z nimi zmieniać się sam. Nie wiedząc, gdzie się to zaczęło, stwierdził, że znajduje się wewnątrz gigantycznego moment bienhereaux, zdolny widzieć przeszłość w przyszłości; teraz zarówno w przeszłości jak i przyszłości.

Świadomość Leto unosiła się swobodnie, bez obiektywnej psyche mogącej zastąpić rzeczywistość. Prowizoryczna przyszłość Namriego jaśniała w umyśle pamięci, ale dzieliła rzeczywistość z wieloma innymi przyszłościami. I w tej rozbitej na strzępy świadomości każde wewnątrz-życie stawało się jego własnym. Z pomocą najsilniejszego dominował nad pozostałymi.

„Obiekt widziany z oddali ujawnia tylko swe ogólne cechy” — pomyślał. Pokonał tę odległość i mógł teraz widzieć własne życie: wielość przeszłości i związane z nimi wspomnienia były brzemieniem, radością i koniecznością. Droga czerwia przydała temu jeszcze jeden wymiar: ojciec nie stał na jego straży, bo nie było już takiej konieczności. Leto zobaczył wyraźnie przeszłość i teraźniejszość. Przeszłość objawiała mu się jako pierwszy spośród przodków — ten, którego nazywano Harumem, bez którego nie zaistniałaby odległa przyszłość. Którekolwiek z istnień wybrałby teraz, żyłby z nim w autonomicznej sferze masowego doznawania, ścieżce bytu tak zawikłanej, że żadne pojedyncze życie nie zdołałoby zliczyć przynależnych mu pokoleń. Pobudzone masowe doznawanie podporządkowałoby się jego jaźni. Mogło sprawić, że odczuwałoby się je jako jednostkę, naród, społeczeństwo bądź całą cywilizację. Dlatego właśnie Gurneya nauczono bać się Leto, dlatego Namri groził mu nożem. Nie mógł pozwolić, aby zobaczyli w nim tę siłę. Nikt nigdy nie powinien widzieć jej w pełni. Nawet Ghanima. Nikt nie mógł wiedzieć, że mógłby dać się połączyć w jedno z istniejącym w jego wnętrzu tłumem. Wreszcie Leto usiadł i zobaczył, że tylko Namri nań czeka, obserwując go.

— Nie ma jednego zestawu ograniczeń dla wszystkich — powiedział Leto. — Uniwersalne przyszłowidzenie to daremny mit. Przepowiedzieć można tylko najpotężniejsze lokalne prądy Czasu, ale w nieskończonym wszechświecie lokalne może być tak wielkie, że umysł może tego nie objąć.

Namri potrząsnął głową nie rozumiejąc.

— Gdzie jest Gurney? — zapytał Leto.

— Wyszedł, żeby nie patrzeć, jak cię zabiję.

— Zabijesz mnie, Namri? — prawie błagał mężczyznę, żeby to zrobił.

Namri zdjął dłoń z noża.

— Skoro tego pragniesz, odstępuję od tego zamiaru. Gdybyś pozostał obojętny, to…

— Choroba obojętności jest tym, co niszczy wiele rzeczy. — Chłopiec pokiwał głową. — Całe cywilizacje na nią umierały. Tak, jakby była ceną niezbędną do osiągnięcia nowych poziomów złożoności bądź świadomości. — Podniósł wzrok na Namriego. — Zatem powiedziano ci, żebyś szukał we mnie obojętności? — I zrozumiał, że Namri był więcej niż zabójcą. Był nieszczery.

— Jako znaku niekontrolowanej mocy — potwierdził Namri, ale chłopiec wyczuł kłamstwo.

— Tak, obojętna moc. — Leto usiadł i westchnął głęboko. — W życiu mojego ojca nie było moralnej wielkości, Namri, tylko lokalna pułapka, którą sam na siebie zastawił.

O, Paulu, Muad'Dibie,
Mahdi wszystkich ludzi.
Twój oddech zaczerpnięty,
Huragan przebudził.

Z „Pieśni Muad'Diba"

— Nigdy! — powiedziała Ghanima. — Zabiłabym go w naszą noc poślubną! — Mówiła z uporem, z którym aż dotąd opierała się wszelkim prośbom. Alia i jej doradcy spędzili z nią pół nocy. W królewskich komnatach czuć było stan niepokoju, posyłano po nowych doradców, po żywność i napoje. Cała Cytadela i przylegająca do niej Świątynia kipiały od frustracji wywołanej nie podjętą decyzją.

Ghanima siedziała spokojnie w zielonym fotelu, we własnej komnacie: dużym pokoju o szerokich, brunatnych ścianach, imitujących siczową skałę. Sufit jednakże wykonano z kryształu imbaru błyskającego niebieskimi światłami, a posadzkę ułożono w czarną mozaikę. Mebli było niewiele: mały stolik do pisania, pięć foteli dryfowych i wąska prycza, ustawiona fremeńskim zwyczajem we wnęce w ścianie. Ghanima miała na sobie żółtą szatę żałobną.

— Nie jesteś zwykłą osobą, mogącą dowolnie ustawiać każdy element swego życia — powtórzyła, po raz setny może, Alia. „Ta mała idiotka musi sobie to wcześniej czy później uświadomić! Musi zaakceptować zaręczyny z Farad'nem. Musi! Niech go później zabije, ale zaręczyny wymagają bezpośredniej zgody zainteresowanej

Fremenki”.

— On zabił Leto — powiedziała Ghanima, trzymając się jedynej nitki, która ją jeszcze podtrzymywała w postanowieniu. — Wszyscy o tym wiedzą. Fremeni pluliby przy wspomnieniu mojego nazwiska, gdybym się zgodziła na zaręczyny.

„I to jest jeden z powodów, dla których musisz się zgodzić” — pomyślała Alia.

— Winna była jego matka — perswadowała. — Wypędził ją za to. Czego jeszcze od niego chcesz?

— Jego krwi — odparła Ghanima. — To Corrino.

— Wyrzekł się własnej matki — zaprotestowała Alia. — I dlaczego masz się przejmować fremeńską paplaniną? Zgodzą się na wszystko, na co każemy im się zgodzić. Ghaniu, pokój Imperium wymaga, by…

— Nie zgodzę się — powiedziała Ghanima. — Nie możecie ogłosić zaręczyn beze mnie.

Irulana, która weszła do pokoju w chwili, gdy mówiła Ghanima, spojrzała na Alię i dwie doradczynie stojące obok niej. Zobaczyła, że Alia zniechęcona machnęła ręką i opadła na fotel naprzeciw Ghanimy.

— Ty z nią porozmawiaj, Irulano — rzekła Alia. Irulana przysunęła fotel dryfowy i usiadła obok Alii.

— Pochodzisz z Corrinów, Irulano — powiedziała Ghanima. — Nie próbuj ze mną szczęścia. — Wstała, podeszła do swojego łóżka, usiadła na nim ze skrzyżowanymi nogami i spojrzała na kobiety. Irulana włożyła czarną abę, podobnie jak Alia. Odrzucony w tył kaptur odsłaniał złote włosy. Żółte światło lamp dryfowych nadawało im kolor żałobny.

Irulana spojrzała na Alię, wstała i podeszła do Ghanimy.

— Ghaniu, sama bym go zabiła, gdyby to był dobry sposób na rozwiązanie naszych problemów. Z Farad’nem jesteśmy jednej krwi, jak zdążyłaś już łaskawie podkreślić. Ale masz obowiązki znacznie większe niż uleganie fremeńskiemu zamiłowaniu do…

— Twoje słowa brzmią wcale nie lepiej niż to, co mówiła moja droga ciotka — stwierdziła Ghanima. — Nie można zmyć krwi mojego brata. To coś więcej niż byle fremeński aforyzm.

Irulana zacisnęła wargi i powiedziała:

— Farad’n więzi twoją babkę. Trzyma też Duncana i jeżeli nie…

— Nie jestem zadowolona z waszych relacji — przerwała Ghanima, spoglądając na Alię. — Kiedyś Duncan wolał umrzeć, niż oddać mego ojca w ręce wroga. Być może ghola nie jest taki sam jak…

— Duncan miał ochraniać lady Jessikę — powiedziała Alia, odwracając się w fotelu. — Ufam, że wybrał jedyną możliwą drogę. — I pomyślała: „Duncan! Duncan! Nie przypuszczałam, że postąpisz w ten sposób”.

Ghanima, słysząc nieszczery ton w głosie Alii, wpatrzyła się w ciotkę.

— Kłamiesz, o Łono Niebios. Słyszałam o twoim starciu z moją babką. Wyjaw, czego się boisz powiedzieć o sobie i twoim drogim Duncanie.

— Wiesz o wszystkim — odparła Alia, czując ukłucie lęku. Zmęczenie sprawiało, że stała się nieostrożna. — Wiem tyle, co ty — powiedziała wstając. I zwracając się do Irulany, dodała: — Ty z nią popracuj. Trzeba ją nakłonić do…

Ghanima przerwała jej ostrym fremeńskim przekleństwem, które w niedojrzałych ustach zabrzmiało wstrząsająco.

— Myślicie, że jestem dzieckiem, że macie całe lata, żeby mnie urabiać i że w końcu się zgodzę. Dzięki ci znowu, o Niebiańska Regentko. Znasz lepiej niż ktokolwiek lata, które są wewnątrz mnie. Ich będę słuchała, nie ciebie.

Alia z trudem stłumiła gniewną replikę. Wpatrzyła się twardo w Ghanimę. Paskudztwo? Kim było to dziecko? W Alii zaczął narastać nowy lęk, lęk przed Ghanimą. Czy zawarła rozejm z istnieniami znajdującymi się w jej przed-narodzonej świadomości?

— Czas wreszcie, żebyś się opamiętała — powiedziała głośno.

— Może czas, żebym zobaczyła krew Farad'na, ściekającą z mego noża — odpowiedziała Ghanima. — Możecie być pewne, że jeżeli kiedykolwiek zostanę z nim sama, jedno z nas z pewnością umrze.

— Myślisz, że kochałaś swego brata bardziej niż ja? — zapytała z naciskiem Irulana. — Grasz w głupią grę! Byłam dla niego matką tak samo jak dla ciebie. Byłam…

— Nigdy go nie znałaś — odparła Ghanima. — Wszyscy z wyjątkiem mojej ukochanej ciotuni myślicie o nas jak o dzieciach. Jesteście głupcami. Alia o tym wie! Popatrz, jak ucieka przed…

— Przed niczym nie uciekam — zaprzeczyła Alia, ale odwróciła się plecami do Irulany i Ghanimy. Patrzyła na dwie amazonki, udające, że nie słyszą sporu. Z pewnością ustąpiłyby Ghanimie. Być może nawet sympatyzowały z nią. Odprawiła obie zdecydowanym gestem. Usłuchały z wyrazem ulgi na twarzach.

— Uciekasz — upierała się Ghanima.

— Wybrałam sposób życia, który mi najbardziej odpowiada — powiedziała Alia, odwracając się z powrotem, aby spojrzeć na Ghanimę siedzącą ze skrzyżowanymi nogami na łóżku. Czy to możliwe, że ona także przeszła wewnętrzną przemianę? Spróbowała odczytać w Ghanimie jakieś oznaki, ale nie mogła znaleźć ani jednej. Zastanowiła się: „Czy ona widzi je we mnie? Czy w ogóle jest w stanie?"

— Bałaś się stać oknem dla tłumu — oskarżyła Ghanima. — Jesteśmy przed-urodzonymi i znamy to. Jesteś ich oknem, świadomie

czy nie. Nie potrafisz ich odrzucić. — I pomyślała: „Tak, znam cię. Paskudztwo. Być może stanie się ze mną to samo, co z tobą, ale teraz czuję dla ciebie tylko litość i pogardę".

Między Ghanima i Alia zawisło milczenie: coś prawie dotykalnego, co ostrzegło zmysły Irulany. Przeniosła wzrok z jednej na drugą i zapytała:

— Dlaczego tak nagle zamilkłyście?

— Naszły mnie myśli zmuszające do starannej refleksji — wyjaśniła Alia.

— Zatem nie przeszkadzaj sobie, droga ciociu — odrzekła zjadliwie Ghanima.

Alia, tłumiąc rozpalony zmęczeniem gniew, rozkazała:

— Na dziś wystarczy. Zostawcie ją, żeby się namyśliła. Może wróci jej rozsądek. Irulana wstała.

— W każdym razie już prawie świta — rzekła. — Ghaniu, zanim odejdziemy, może zechciałabyś wysłuchać ostatniej wiadomości od Farad'na? On…

— Nie zechciałabym — przerwała Ghanima. — I od tej chwili przestańcie się do mnie zwracać tym śmiesznym zdrobnieniem. Jedynie utrwala błędne założenie, że jestem dzieckiem.

— Dlaczego ty i Alia tak nagle zamilkłyście? — zapytała Irulana, wracając do wcześniejszego pytania. W jej słowach wyczuwało się lekkie tony Głosu.

Ghanima ze śmiechem odrzuciła głowę.

— Irulano! Próbujesz na mnie wykorzystywać Głos?

— Co? — Irulana wydawała się być zaskoczona.

— Chciałaś uczyć księdza pacierza — rzekła Ghanima.

— Że co?

— Fakt, że pamiętam ten zwrot wyraźnie, a ty go przedtem nawet nigdy nie słyszałaś, powinien cię zastanowić — powiedziała Ghanima. — Zacytowałam stare, kpiące wyrażenie z czasów, gdy wy, Bene Gesserit, byłyście dopiero co założonym zakonem. A jeśli to cię nie zniechęci, zapytaj, co twoi królewscy rodzice myśleli, nadając ci imię Irulana? A może — Ruinala?

Mimo wyszkolenia, Irulana zarumieniła się.

— Starasz się mnie rozdrażnić, Ghanimo.

— A ty próbować użyć Głosu. Wobec mnie! Pamiętam pierwsze ludzkie wysiłki w tym kierunku. Pamiętam, co było wtedy, Rujnująca Irulano. Teraz wynoście się stąd, wszystkie.

Alia poczuła się jednak zaintrygowana. Przykuła ją sugestia z wewnątrz, która oddaliła od niej wyczerpanie.

— Być może mam coś, co zmieniłoby twoje postanowienie, Gnaniu — powiedziała.

— Wciąż Gnaniu! — Bliźniaczce wymknął się skrzący śmiech. —

Pomyślcie przez chwilę: gdybym pragnęła zabić Farad'na, zgodziłabym się na wasze plany. Przyjmuję, że o tym pomyślałyście. Strzeżcie się Ghani w uległym nastroju. Widzicie, jestem z wami w najwyższym stopniu szczera.

— Miałam na to nadzieję — odparła Alia. — Jeśli ty…

— Nie można zmyć krwi brata — przerwała znowu Ghanima. — Nigdy nie wyrażę zgody, chyba że Fremeni przestaną uważać ów czyn za zdradę. Nigdy nie wybaczymy, nigdy nie zapomnimy. Czy nie tak mówi nasz katechizm? Ostrzegam was teraz i potwierdzę to publicznie — nie możecie zaręczyć mnie z Farad'nem. Kto, znając Ghanie, uwierzyłby w jej potulność? Nawet Farad'n podejrzewałby zdradę. Fremeni, słysząc o zaręczynach, śmialiby się w rękawy i mówili: „Patrz! Wabi go w pułapkę". Jeśli wy…

— Rozumiem — powiedziała Alia, podchodząc do Irulany, która stała w milczeniu, wstrząśnięta, świadoma już, dokąd zmierza rozmowa.

— A więc zwabiłabym go w pułapkę — kontynuowała Ghanima. — Jeśli tego chcesz, zgadzam się, ale on może się nie nabrać. Jeśli chcesz, żeby zaręczyny były fałszywą monetą, za którą wykupisz moją babkę i twojego ukochanego Duncana, niech tak będzie. Wykupcie ich, Farad'n jednak będzie mój. Zabiję go.

Irulana odwróciła się do Alii, zanim ta zdążyła coś powiedzieć.

— Alio! Jeżeli złamiesz własne słowo… — Pozwoliła milczeniu trwać przez chwilę, podczas gdy Alia z uśmiechem rozważała możliwość rozdźwięku pośród wysokich rodów ze Zgromadzenia Faufreluches, konsekwencje wiary w atrydzki honor, utratę religijnego zaufania oraz wszystkie budowle z wielkich i małych klocków, które by się zawaliły.

— Zadziałałoby to przeciw nam — protestowała Irulana. — Cała wiara w dar proroczy Paula zostałaby zniszczona. Imperium…

— Kto odważy się kwestionować prawo Atrydów do decydowania, co jest słuszne, a co nie? — zapytała Alia miękkim głosem. — Rozważamy wybór między złem a dobrem. Musiałabym ogłosić…

— Nie będziesz tego robić! — zaprotestowała Irulana. — Pamięć Paula…

— Jest jeszcze jednym narzędziem Kościoła i Państwa — wtrąciła Ghanima. — Nie mów głupstw, Irulano. — Dotknęła krysnoża u boku i spojrzała na Alię. — Myliłam się, źle oceniając spryt ciotki. Żal mi obalonych świętości w Imperium Muad'Diba. Rzeczywiście, błędnie cię osądziłam. Zwabiaj Farad'na w pułapkę, jeśli chcesz.

— To lekkomyślność — rzekła błagalnie Irulana.

— Zgadzasz się zatem na zaręczyny, Ghanimo? — zapytała Alia, ignorując uwagę Irulany.

— Na moich warunkach — odparła Ghanima, wciąż trzymając rękę na krysnożu.

— Umywam ręce — stwierdziła Irulana, rzeczywiście je ocierając. — Pragnęłam prawdziwych zaręczyn, mogących uleczyć…

— Zadamy ci ranę znacznie cięższą do zaleczenia, Alia i ja — rzekła Ghanima. — Sprowadź Farad'na tak szybko, jak tylko się zgodzi. A może tak zrobić… chyba nie będzie podejrzewał o nic dziecka w tak niewinnym wieku? Zaplanujemy oficjalną ceremonię zaręczyn w ten sposób, by był na niej obecny. Niech tylko nadarzy mi się wtedy okazja zostać z nim sam na sam… Tylko na minutę lub dwie.

Irulana zadrżała, słysząc dowód, że Ghanima mimo wszystko jest Fremenką; dzieckiem nie różniącym się od dorosłego. Fremeńskie dzieci przyzwyczajano do dobijania rannych na polu walki, uwalniając w ten sposób kobiety od brudnej roboty, tak że te mogły zabierać ciała i zaciągać je do zgonsuszni. Ghanima, mówiąc głosem fremeńskiego dziecka, nie szczędziła okrucieństwa wyrażanego przez wystudiowaną dojrzałość słów, przez otaczający ją jak aura pradawny sens wendety.

— Zatem załatwione — zgodziła się Alia, walcząc z głosem i twarzą, by nie zdradzić radości. — Przygotowujemy oficjalny patent zaręczynowy. Będziemy mieli sygnatury poświęcone przez właściwe zgromadzenie wysokich rodów. Farad'n prawdopodobnie nie zwątpi…

— Będzie wątpił, ale się zjawi — przerwała Ghanima. — I zabierze strażników. Ale nie będą go chyba strzec przede mną?

— Na miłość wszystkiego, co starał się zrobić Paul — zaprotestowała Irulana. — Niech przynajmniej śmierć Farad'na wygląda na wypadek albo atak z zewnątrz…

— Będę czerpała radość z pokazywania zakrwawionego noża moim braciom — powiedziała Ghanima.

— Alio, błagam cię — prosiła Irulana. — Porzuć to nagłe szaleństwo, wypowiedz kanly przeciw Farad'nowi, cokolwiek, byle nie…

— Nie potrzebujemy oficjalnego ogłoszenia wendety — stwierdziła Ghanima. — Całe Imperium wie, jak się musimy czuć. — Wskazała na rękaw szaty. — Nosimy żałobę. Czy zwiedzie to kogokolwiek, kiedy zamienię żółć na czerń fremeńskich zaręczyn?

— Modlę się, by to zwiodło Farad'na — odezwała się Alia. — I delegatów wysokich rodów, których zaprosimy, by poświadczyli…

— Wszyscy ci delegaci zwrócą się przeciw nam — rzekła Irulana. — Wiecie o tym!

— Wyśmienita uwaga — odparła Ghanima. — Dobierz starannie tych delegatów, Alio. Wybierz takich, z którymi później nie będzie kłopotów.

Irulana w rozpaczy wyrzuciła ręce przed siebie, odwróciła się i

uciekła.

— Każ ją otoczyć nadzorem, żeby nie próbowała ostrzec siostrzeńca — powiedziała Ghanima.

— Nie ucz mnie, jak się knuje spisek — odrzekła Alia. Odwróciła się i podążyła za Irulana, lecz znacznie wolniejszym krokiem. Strażnicy i adiutantki na zewnątrz poderwali się z miejsc na jej widok, jak ziarna piasku wciągnięte w wir paszczy wynurzającego się czerwia.

Gdy drzwi się zamknęły, Ghanima ze smutkiem pokiwała z boku na bok głową, myśląc: „Jest tak źle, jak myśleliśmy z Leto. Na Boga! Co bym dała, żeby to mnie zabił tygrys zamiast niego!”

Wiele sił szukało sposobu osiągnięcia kontroli nad atrydzkimi bliźniętami i gdy ogłoszono śmierć Leto, ten ruch spisków i przeciwspisków uległ nasileniu. Zważcie na poszczególne motywacje: zakon żeński obawiał się Alii, dorosłego Paskudztwa, lecz wciąż pragnął cech genetycznych posiadanych przez Atrydów. Kościelna hierarchia Auqaf i Hadżdż widziała tylko władze zawartą implicite w kontroli nad potomkami Muad’Diba. Kompania KHOAM pragnęła furtki prowadzącej do bogactw Diuny. Farad’n i jego sardaukarzy pragnęli powrotu rodu Corrinów do chwały. Gildia Planetarna obawiała się równania Arrakis — melanż: bez przyprawy Nawigatorzy Gildii nie mogli prowadzić statków. Jessika pragnęła naprawić swe nieposłuszeństwo wobec Bene Gesserit. Mało kto pytał bliźnięta, jakie mogą być ich plany, dopóki nie było już za późno.

„Księga Kreosa”

Wkrótce po wieczornym posiłku Leto ujrzał mężczyznę przechodzącego przed łukowato sklepionym wejściem do izby. Jego umysł podążył za nim. Przejście stało otworem i widział trochę z tego, co się tam działo: trzy kobiety ubrane z wyraźnym pozaplanetarnym wyrafinowaniem — co identyfikowało je jako przemytniczki — przetaczały zamknięte metalowe beczki z przyprawą. Mężczyzna, za którym zdążała świadomość Leto, przypominał Stilgara. Mógł być

zupełnie kimś innym, poza tym, że poruszał się jak Stilgar, o wiele młodszy Stilgar.

Był to nader osobliwy spacer. Czas wypełnił jaźń Leto jak gwiaździsta sfera. Mógł widzieć nieskończone czasoprzestrzenie, lecz musiał naciskać na swą przyszłość, by dowiedzieć się, w którym jej momencie znajduje się teraz jego ciało. Wielopowierzchniowe pamięcioistnienia napływały i cofały się jak fale na plaży, ale jeżeli podnosiły się zbyt wysoko, mógł im rozkazać cofać się, zostawiając przy sobie jedynie monarchę Haruma.

Często podsłuchiwał istoty ze swej pamięci. Jedna z nich unosiła się jako prowodyr, wystawiając głowę nad scenę i pytając o przyczynę takiego zachowania. Wtedy w myśl-spacer Leto wszedł ojciec i powiedział:

— Jesteś dzieckiem chcącym być mężczyzną. Gdy się nim staniesz, na próżno będziesz szukał osobowości, którą byłeś.

Przez cały czas czuł, jak po całym ciele łażą mu pchły i wszy pieniące się w starej, źle utrzymanej siczy. Żaden ze służących, którzy wnosili przesycone przyprawą jedzenie, nie wydawał się tym przejmować. Czy byli na nie uodpornieni, czy też żyli z nimi tak długo, że mogli zignorować tę niewygodę?

Kim byli ludzie zgromadzeni wokół Gurneya? Jak znaleźli się tutaj? Czy to jest Dżekarata? Mnogie wspomnienia dostarczały odpowiedzi, które jednak nie były zadowalające. Ci ludzie byli obrzydliwi, a Gurney najbardziej z nich wszystkich. Pod wstrętną powierzchownością unosiła się jednak drzemiąca i wyczekująca perfekcja.

Część istoty Leto wiedziała, że jest uzależniony od przyprawy, wiązany z nią solidnymi dawkami w każdym posiłku. Wprawdzie dziecięce ciało pragnęło się zbuntować, ale nie było w stanie — jego świadomość szalała od bezustannej obecności niesionych przez tysiące lat wspomnień.

Jaźń w końcu powróciła i Leto zaczął się zastanawiać, czy naprawdę jego ciało przez cały ten czas pozostawało w jednym miejscu. Przyprawa wywoływała zmętnienie zmysłów. Czuł nacisk piętrzących się wokół samoograniczeń, przypominający działanie długich barchanów: wydm blechu powoli pokonujących drogę przez pustynne rozpadliny. Pewnego dnia kilka ziarenek piasku przeleci na drugą stronę, potem więcej i więcej…

Ale rozpadliny zawsze będą czyhać pod spodem.

„Wciąż jestem w transie” — pomyślał.

Wiedział, że wkrótce natknie się na granicę życia i śmierci. Ci, którzy go więzili, ciągle wysyłali jego jaźń w przyprawowe zniewolenie, niezadowoleni z relacji, jakich udzielał po każdym powrocie. Zdradliwy Namri wyczekiwał z obnażonym nożem. Leto

znał niezliczone przeszłości i przyszłości, ale musiał się dopiero dowiedzieć, co zadowoliłoby Namriego bądź Gurneya Hallecka. Chcieli czegoś spoza wizji. Granica życia wabiła chłopca. Jego życie musiało posiadać jakieś wewnętrzne znaczenie, dzięki któremu był w stanie przetrwać wizje. Czuł, że wewnętrzna świadomość jest rzeczywistością, a zewnętrzny świat — transem. To go przerażało. Nie chciał wracać do siczy z jej pchłami, Namrim i Gurneyem Halleckiem.

„Jestem tchórzem" — pomyślał.

Ale tchórz — nawet tchórz — może umrzeć z honorem za sprawą jednego jedynego gestu. Jak znaleźć taki gest, który znowu uczyniłby go całością? Jak mógł otrząsnąć się z transu i odszukać świat, którego żądał Gurney? Musiał współpracować z ludźmi, którzy go tu więzili. Gdzieś należało znaleźć mądrość, wewnętrzną równowagę, która odbiłaby się we wszechświecie i zwróciła mu spokój i siłę. Tylko wtedy mógł dalej szukać Złotej Drogi, tylko wtedy mógł żyć w obcej, nie należącej do niego skórze. Wiedział, że jeżeli nie znajdzie tego gestu, nie otrząśnie się, to umrze wśród bezsensownych wizji w przez siebie samego wybranym więzieniu.

Ktoś w siczy grał na balisecie. Leto czuł, że jego ciało słyszy muzykę — prawdopodobnie w teraźniejszości. Wyczuwał pryczę pod plecami. Słyszał muzykę. To Gurney grał na balisecie. Żadne inne palce nie mogłyby godnie konkurować z jego wirtuozerską grą na najtrudniejszym ze znanych instrumentów. Grał starą fremeńską pieśń, jedną z tych zwanych hadisami, przez wzgląd na jej tekst, przekazujący szereg sposobów na przeżycie na Arrakis. Pieśń opowiadała o codziennych pracach w siczy.

Muzyka wtrąciła świadomość chłopca do wspaniałej, pradawnej jaskini. Widział kobiety depczące odpady przyprawowe, by otrzymać paliwo do lamp, przygotowujące melanż do fermentacji, tkające włókno przyprawowe. Melanż był w siczy wszechobecny.

Leto nie mógł odróżnić wizji od rzeczywistości. Świat, w którym słychać było stukot mechanicznego warsztatu tkackiego, zlewał się z odgłosami balisety. Jego wewnętrzne oczy ujrzały drugie, ludzkie włosy, futro ze zmutowanych szczurów, nici pustynnej bawełny i zwisające pasy skóry uzyskanej z ptactwa. Widział siczową szkołę. Na skrzydłach muzyki w umyśle chłopca szalał ekojęzyk Diuny. Widział kuchnię zasilaną światłem słonecznym, długą izbę, w której wytwarzano i konserwowano filtrfraki. Widział meteorologów odczytujących dane z tyczek wetkniętych w piach.

W czasie trwania podróży ktoś przyniósł mu jedzenie i nakarmił łyżką, trzymając głowę silnym ramieniem. Wrażenie przebijało się z rzeczywistości, ale cudowny ruch wewnątrz nie ustawał.

W umyśle Leto zamajaczyły słowa z panoplia propheticus:

„Powiada się, że nie ma nic stałego, nic zrównoważonego, nic

trwałego we wszechświecie — że nic nie trwa w swoim stanie, że każdy dzień, czasami każda godzina, przynosi zmiany".

„Stara Missionaria Protectiva wiedziała, co robi — pomyślał. — Wiedziała o Strasznych Przeznaczeniach. Wiedziała, jak manipulować ludźmi i religią. Nawet mój ojciec w końcu im nie umknął".

Właśnie tu leżał ślad, którego szukał. Zaczął go badać. Poczuł przypływ siły w ciele. Cała jego wielopowierzchniowa istota dokonała obrotu i spojrzała na wszechświat. Leto usiadł i stwierdził, że jest sam w ponurej celi, a światło pada przez otwarte wejście, którym wyszedł mężczyzna.

— Przychylności losu dla nas wszystkich — szepnął w tradycyjny fremeński sposób.

Po chwili w sklepionym wejściu pojawił się Gurney Halleck.

— Przynieś światło — rzekł Leto.

— Chcesz być dalej testowany?

Leto roześmiał się.

— Nie, teraz moja kolej, żeby was wypróbować.

— Zobaczymy. — Halleck odwrócił się, wracając po chwili z jasną, błękitną kulą świętojańską w zagłębieniu lewego łokcia. Wypuścił ją w celi, pozwalając jej dryfować nad głową.

— Gdzie Namri? — zapytał Leto.

— Tuż obok. Mogę go zawołać.

— Aach, Praojciec Wieczności czeka cierpliwie — stwierdził Leto. Czuł się dziwnie odprężony, wiedząc, że jest na skraju dokonania odkrycia.

— Nazywasz Namriego imieniem zastrzeżonym dla Szej-huluda? — zdziwił się Halleck.

— Jego nóż to ząb czerwia — odparł Leto. — Więc jest Praojcem Wieczności.

Halleck uśmiechnął się ponuro, ale milczał.

— Wciąż chcesz wydać na mnie wyrok — powiedział chłopiec. — Nie możesz wymagać od wszechświata, żeby był dokładny.

Szeleszczący dźwięk za plecami Hallecka poinformował Leto o nadejściu Namriego. Fremen zatrzymał się z lewej strony, pół kroku od Hallecka.

— Aach, po lewej ręce przekleństwa — rzekł Leto.

— Niemądrze jest żartować z Nieskończoności i z Absolutu — mruknął Namri. Spojrzał z boku na Hallecka.

— Jesteś bogiem, Namri, że mówisz o absolutach? — zapytał Leto, lecz uwagę wciąż skupiał na Hallecku. Stamtąd miał paść wyrok. Obaj sędziowie popatrzyli na niego nie odpowiadając.

— Każdy wyrok obarczony jest ryzykiem błędu — wyjaśnił Leto. — Głosić pretensję do absolutnej wiedzy oznacza stać się potworem. Wiedza jest niekończącą się przygodą na skraju

niepewności.

— W jaką gierkę słowną bawisz się tym razem? — z naciskiem zapytał Halleck.

— Mów! — rzekł Namri.

— To zabawa, którą zaczął ze mną Namri — powiedział Leto i zobaczył, że stary Fremen skinieniem głowy wyraża zgodę. Z pewnością zrozumiał, że chodzi o grę w zagadki. — Nasze zmysły odbierają na co najmniej dwóch poziomach.

— Błahostek i informacji — dodał Namri.

— Wspaniale — rzekł Leto. — Wy dawaliście mi błahostki, ja daję wam informacje. Widzę, słyszę, czuję zapachy, smakuję. Rozumiem upływ czasu. Potrafię pobierać próbki emocji. Aaaach! Jestem szczęśliwy. Widzicie, Gurney i Namri? W ludzkim życiu nie ma tajemnic. To nie problem do rozwiązania, ale rzeczywistość do przeżycia.

— Wystawiasz na próbę naszą cierpliwość, chłopcze — powiedział Namri. — Chcesz tu umrzeć?

Halleck powstrzymał go jednak wyciągnięciem dłoni.

— Po pierwsze, nie jestem chłopcem — sprostował Leto. Nakreślił znak na lewym uchu. — Nie zabijecie mnie, ponieważ nałożyłem na was brzemię wody.

Namri do połowy wyciągnął z pochwy krysnóż.

— Nic ci nie jestem winien!

— Wszak Bóg stworzył Arrakis, by ćwiczyć wiernych — wyjaśnił Leto. — Nie tylko pokazałem wam moją wiarę, ale również sprawiłem, że staliście się świadomi swego istnienia. Życie wymaga dyskusji. Sprawiłem, że wiecie, iż wasza rzeczywistość różni się od rzeczywistości wszystkich innych ludzi. Zrobiłem to sam. Wiecie, że jesteście żywi.

— Niebezpiecznie jest okazywać mi brak szacunku — ostrzegł Namri, trzymając w dłoni na wpół wyciągnięty krysnóż.

— Brak szacunku to najniezbędniejszy składnik religii — odparł Leto. — Nie mówiąc o jego znaczeniu w filozofii. Brak szacunku jest dla nas metodą wypróbowywania wszechświata.

— Więc myślisz, że rozumiesz wszechświat? — zapytał Halleck i odstąpił od Namriego.

— Taaak — powiedział Namri, a w jego głosie zabrzmiała śmierć.

— Wszechświat można zrozumieć równie dobrze jak wiatr — odparł Leto. — W mózgu nie kryje się żadne potężne źródło rozumu. Tworzenie jest odkrywaniem. Bóg wykrył nas w Pustce, bo poruszaliśmy się na tle, które On już znał.

— Bawisz się w chowanego ze śmiercią — ostrzegł go Namri.

— Obaj jesteście moimi przyjaciółmi — powiedział Leto. Odwrócił się twarzą do Namriego. — Gdy przedstawiasz kandydata na

Przyjaciela waszej siczy, czy nie zabijasz w ofierze orła i jastrzębia? A czy odpowiedzią nie jest: „Bóg zesłał na każdego człowieka swój koniec, podobnie na jastrzębie i orły oraz na przyjaciół”?

Ręka Namriego cofnęła się z rękojeści noża. Ostrze wsunęło się w pochwę. Starzec spojrzał szeroko otwartymi oczami na Leto. Każda sicz trzymała w tajemnicy rytuał zaprzyjaźnienia, a tak brzmiał wybrany fragment ich obrządku.

Halleck jednak zapytał:

— Chcesz zginąć?

— Wiem, co masz nadzieję ode mnie usłyszeć, Gurney — rzekł Leto, obserwując na wstrętnej mu twarzy grę nadziei i podejrzeń. Dotknął piersi. — To dziecko nigdy nie było dzieckiem. Mój ojciec żyje we mnie, ale nie jest mną. Kochałeś go, bo był dzielnym człowiekiem. Chciał przerwać krąg wojen, ale nie liczył się z wyrażonym w życiu ruchem nieskończoności. To Rhadżija! Namri o tym wie. Jej ruch może dostrzec zwykły śmiertelnik. Strzeżcie się dróg mogących zawęzić przyszłe możliwości. Takie ścieżki odwodzą od nieskończoności i prowadzą ku śmiertelnym pułapkom.

— Co jeszcze masz mi do powiedzenia? — zapytał Halleck.

— Uprawia żonglerkę słowną — powiedział Namri, ale w jego głosie brzmiały głębokie wątpliwości.

— Sprzymierzam się z Namrim przeciw ojcu — rzekł Leto — a mój ojciec, wewnątrz mnie, sprzymierza się z nami przeciw temu, co z nim zrobiono.

— Dlaczego? — zapytał z naciskiem Halleck.

— Dlatego, że ja właśnie niosę amor fati rodzajowi ludzkiemu; to akt poddania się najwyższej próbie. Zbieram sojuszników przeciw sile niosącej ludzkości upokorzenia. Gurney! Nie zostałeś urodzony i wychowany na pustyni. Twoje ciało nie zna prawdy, o której mówię. Na otwartej przestrzeni każdy kierunek jest jednakowo dobry.

— Wciąż nie usłyszałem tego, co chcę — burknął Halleck.

— Opowiada się za wojną, przeciw pokojowi — stwierdził Namri.

— Nie — zaprzeczył Leto. — Mój ojciec również nie opowiadał się za wojną, ale popatrzcie, co z niego zrobiono. Pokój ma tylko jedno znaczenie w Imperium. Oznacza jeden jedyny sposób życia. Rozkazuje się wam być zadowolonymi. Życie musi wyglądać jednakowo na wszystkich planetach, tak jak w Rządzie Imperialnym. Głównym przedmiotem prowadzonych przez kapłanów badań jest znalezienie wzorców ludzkiego zachowania. Po to uciekają się do słów Muad’Diba! Powiedz mi, Namri, czy jesteś zadowolony?

— Nie. — Słowo padło natychmiast, ze spontanicznym oburzeniem.

— Zatem bluźnisz?

— Oczywiście, że nie!

— Ale przecież nie jesteś zadowolony! Widzisz, Gurney? Namri sam stanowi dowód, że na żaden problem, na żadne pytanie nie ma jednej poprawnej odpowiedzi. Trzeba dopuścić zróżnicowania. Monolit jest niestały. Dlaczego zatem żądacie ode mnie jednej, poprawnej odpowiedzi? Czy na jej podstawie możecie wydać właściwy wyrok?

— Zmuszasz mnie, żebym cię zabił? — zapytał Halleck, a w jego głosie dosłyszał udrękę.

— Nie, żywię dla was litość — rzekł chłopiec. — Wyślijcie wiadomość do mojej babki, że zgadzam się na współpracę.

— Winna cię wypróbować Prawdomówczyni — stwierdził Namri. — Ci Atrydzi…

— Będzie miał okazję porozmawiać z babką — rzekł Halleck. Skinął głową, kierując się ku przejściu.

Namri przystanął przed wejściem i obejrzał się.

— Modlę się, żebyśmy nie popełnili błędu, zostawiając go przy życiu.

— Idźcie, przyjaciele — powiedział Leto. — Idźcie i przemyślcie moje słowa.

Kiedy obydwaj mężczyźni wyszli, Leto rzucił się na plecy, czując pod kręgosłupem zimną pryczę. Ruch sprawił, że znów znalazł się w objęciach przyprawowej wizji. Ujrzał całą planetę — każdą wieś, każde miasteczko, miasto, miejsce pustynne i obsiane roślinnością. Widział struktury imperialnego społeczeństwa odbite w fizycznych rysach planet i ich ludności. Objawienie było tym, czym musiało być — oknem pozwalającym ujrzeć niewidzialne części społeczeństwa. Leto uświadomił sobie, że każdy system ma takie okno. Zaczął zaglądać przez okna niczym kosmiczny podglądacz.

Właśnie do tego dążyła babka i zakon żeński. Świadomość Leto płynęła na nowym, wyższym poziomie. Czuł przeszłość zawartą w komórkach, we wspomnieniach, w archetypach nawiedzających jego przypuszczenia, w nutach, które go otaczały, w językach i ich prehistorycznym nawarstwieniu. Wszystkie kształty z ludzkiej i nieludzkiej przeszłości, wszystkie istnienia, którymi teraz rozporządzał, stały się w końcu schwytaną w przypływy i odpływy nukleotydów zintegrowaną świadomością.

„My, ludzie, jesteśmy swego rodzaju kolonią organizmów” — pomyślał.

Chcieli jego współpracy. Obiecując ją, oddalił od siebie śmierć z ręki Namriego. Wzywając do współpracy, pragnęli, by okazał się uzdrowicielem.

„Nie przyniosę im społecznego ładu na taką modłę, jakiej oczekują” — pomyślał i grymas wykrzywił jego usta. On nie będzie tak nieświadomy i nieszkodliwy jak jego ojciec tworzący despotyzm

na jednym krańcu, a niewolnictwo na drugim. Mimo to zdawał sobie sprawę, że ludzie zapewnię będą pragnęli powrotu „starych, dobrych czasów".

Wtedy usłyszał z wnętrza głos ojca, ostrożny, błagający o wysłuchanie.

„Nie — odpowiedział. — Muszą rozwiązać kilka trudnych zadań. Mają wiele sposobów na ucieczkę przed niebezpieczeństwem. Nie będą wiedzieć, że jestem niebezpieczny, dopóki nie będą ze mną mieli do czynienia przez tysiące lat. Tak, ojcze z mego wnętrza, damy im kilka zadań do rozwiązania".

Nie ma w nas winy ani niewinności. Wszystko Jest przeszłością. Wina miażdży zmarłych, a ja nie jestem Żelaznym Młotem. Wy, tłumy zmarłych, jesteście tylko ludźmi, którzy czynili różne rzeczy. Pamięć o nich określa mą drogę.

„Leto II do Istnień-Żyjących-W-Jego-Pamieci"

według Harq al-Ady

— Zmieniają się! — powiedział Farad'n, a jego głos był ledwie głośniejszy od szeptu.

Stał obok łóżka lady Jessiki, otoczony pierścieniem strażników. Wiedźma Bene Gesserit na wpół siedziała, oparta na łokciach. Miała na sobie szatę ze sztucznego jedwabiu o lśniąco białej barwie. Na głowę założyła opaskę tego samego koloru, podtrzymującą jej miedzianorude włosy. Farad'n wpadł jak bomba chwilę wcześniej. Twarz zdobiły mu kropelki potu: efekt podniecenia i biegu przez pałacowe korytarze.

— Która godzina? — zapytała Jessika.

— Godzina? — Farad'n wydawał się być zbity z tropu.

— Trzecia po północy, pani — rzekł jeden ze strażników.

Spojrzał z lękiem na Farad'na. Młody książę nadbiegł oświetlonymi na noc korytarzami, ściągając po drodze przerażonych wartowników.

— One się zmieniają — wyjaśnił Farad'n wyciągając naprzód lewą rękę, później prawą. — Widziałem, jak dłonie kurczą się w tłuste piąstki, i przypomniałem sobie! Tak wyglądały moje ręce, gdy byłem dzieckiem.

— Bardzo dobrze — odparła Jessika. Jej także udzieliło się

podniecenie. — A co się stało, kiedy dłonie zrobiły się stare?

— Mój… umysł był… niemrawy — odparł. — Czułem ból w plecach. Właśnie tutaj. — Dotknął miejsca nad lewą nerką.

— Nauczyłeś się bardzo ważnej lekcji — powiedziała Jessika. — Wiesz, czego ona dotyczy?

Dłonie opadły mu na boki. Wpatrzył się w nią i rzekł:

— Mój umysł kontroluje rzeczywistość. — Jego oczy zabłysły i powtórzył to, tym razem głośniej: — Mój umysł kontroluje rzeczywistość!

— Znasz więc początek równowagi prana-bindu — rzekła Jessika.- Jednakże to tylko początek.

— Co mam robić dalej?

— Pani — strażnik, który odpowiedział na jej pytanie, odważył się przerwać. — Jest godzina…

„Czyżby nikt nas o tej porze nie szpiegował?" — zastanawiała się Jessika. — Odejdźcie. Musimy coś zrobić — rozkazała głośno.

— Ależ, pani! — Strażnik przeniósł wystraszony wzrok z Farad'na na Jessikę i z powrotem.

— Myślisz, że chcę go uwieść? — zapytała Jessika. Mężczyzna zesztywniał.

Farad'n radośnie wybuchnął śmiechem'. Machnął dłonią, dając znak do odejścia.

— Słyszeliście? Odejdźcie.

Strażnicy wahali się, ale w końcu posłuchali.

Farad'n usiadł na brzegu łóżka.

— Co dalej? — Potrząsnął głową. — Chciałem ci wierzyć, a mimo to nie wierzyłem… Teraz mój mózg odtajał. Jestem zmęczony. Toczyłem z tobą walkę, ale to już się skończyło. Stało się. Właśnie tak! — Pstryknął palcami.

— To nie ze mną walczył twój umysł — rzekła Jessika.

— Oczywiście, że nie — przyznał. — Walczyłem z samym sobą, ze wszystkimi nonsensami, których się nauczyłem. Co teraz? Jessika uśmiechnęła się.

— Przyznam, że nie oczekiwałam tak szybkich postępów w nauce. Minęło dopiero osiem dni…

— Byłem cierpliwy — wyjaśnił uśmiechając się.

— Zacząłeś się uczyć również cierpliwości — sprostowała.

— Zacząłem?

— Dopiero przekroczyłeś próg tej nauki — odparła. — Teraz jesteś w rzeczywistości dzieckiem. Przedtem… byłeś tylko czymś potencjalnym, nawet nie narodzonym.

Opadły mu kąciki ust.

— Nie chmurz się — powiedziała. — Udało ci się. To najważniejsze. Jak wielu może potwierdzić, że narodziło się na nowo?

— Co dalej? — nalegał.

— Będziesz ćwiczył to, czego się właśnie nauczyłeś — odparła. — Chcę, żebyś w każdej chwili z łatwością potrafił wykonać to ćwiczenie. Później odkryjesz w świadomości nową przestrzeń, którą sam wypełnisz.

— I tylko tyle…?

— Nie. Możesz zacząć trening mięśni. Powiedz mi, czy potrafisz poruszyć małym palcem lewej nogi, nie używając żadnego mięśnia z innych części ciała?

— Ja…

Zobaczyła zdekoncentrowany wyraz jego twarzy, gdy spróbował poruszyć palcem. Spojrzał na stopę uważnie, wpatrzył się w nią. Na czoło wystąpił mu pot. Wciągnął głębiej wdech.

— Nie potrafię tego zrobić.

— Owszem, potrafisz — powiedziała. — Nauczysz się. Nauczysz się sterować każdym mięśniem w swym ciele. Będziesz je znał tak, jak poznałeś ręce.

Przełknął ciężko, oszołomiony wielkością zadania.

— Co ze mną zrobisz? Co dalej planujesz? — szepnął.

— Zamierzam uwolnić cię — odparła. — Osiągniesz wszystko, czego naprawdę pragniesz. Myślał przez chwilę.

— Wszystko, czego pragnę?

— Tak.

— To niemożliwe!

— Dopóki nie nauczysz się kontrolować pragnień, tak jak teraz rzeczywistości — powiedziała i pomyślała: „No! Niech jego analitycy rozwiążą tę zagadkę. Będą mu doradzać ostrożność, ale Farad'n zbliży się o następny krok do zrozumienia motywów, które mną kierują".

Potwierdził jej domysł, mówiąc:

— Powiedzieć komuś, że uświadomi sobie pragnienia serca, to jedno, a umożliwienie mu ich realizacji, to drugie.

— Zaszedłeś dalej, niż myślałam — rzekła Jessika. — Bardzo dobrze. Obiecuję ci, że jeżeli ukończysz program szkolenia, będziesz panem samego siebie. Cokolwiek uczynisz, stanie się dlatego, że tak właśnie chciałeś.

„I niech Prawdomówczyni się nad tym pobiedzi" — pomyślała.

Wstał, ale wrażenie, jakie na niej wywarł, było miłe, ciepłe, przypominało przyjaźń.

— Wiesz, wierzę ci. Do diabła, nie wiem dlaczego, ale wierzę. I nie powiem ci już ani słowa o tym, co jeszcze myślę o tobie.

Jessika popatrzyła na jego plecy, gdy wychodził z sypialni. Wyłączyła kule świętojańskie, rozciągnęła się w pościeli. Farad'n był niegłupi. Tak jakby dał jej do zrozumienia, że zaczyna pojmować jej plan, ale przyłącza się do niego dobrowolnie.

„Czekaj, aż zacznie poznawać własne uczucia” — pomyślała. Ułożyła się wygodnie, by łatwiej zapaść w sen. Wiedziała, że rankiem przybędą do niej goście z pałacowego personelu, zadający pozornie niewinne pytania.

> *Rozwój ludzkości ulega okresowym przyspieszeniom, kiedy staje ona do walki pomiędzy odnawiającą się witalnością życia i kuszącym zepsuciem dekadencji. W tym stale powtarzającym się wyścigu pauzy są luksusem. Dopiero wtedy ludzie pojmują, ze wszystko jest dozwolone, wszystko możliwe.*
>
> *„Apokryfy Muad’Diba”*

„Dotknięcie piasku jest ważne” — pomyślał Leto.

Czuł pod sobą maleńkie ziarenka, tam gdzie siedział, pod skrzącym się słońcem. Siłą wmuszono w niego następną dużą dawkę melanżu i teraz umysł Leto obracał się niczym schylany w wodny wir. Głęboko w rym leju kryło się nie wypowiedziane pytanie: „Dlaczego nalegają, żebym to powiedział?” Bez wątpienia Gurney był uparty. Poza tym działał na rozkaz lady Jessiki.

Wynieśli go z siczy na zewnątrz, w światło dnia. Miał dziwne uczucie, że pozwolił ciału na krótką wycieczkę, podczas gdy jego wewnętrzna istota pośredniczyła w walce pomiędzy księciem Leto I i starym baronem Harkonnenem. Walczyli w nim poprzez niego, ponieważ nie chciał pozwolić im zetknąć się bezpośrednio. Poprzez te starcia zrozumiał, co stało się z Alią. Biedna Alia.

„Miałem rację, unikając transu przyprawowego” — pomyślał.

Wypełniała go wzbierająca gorycz wobec lady Jessiki i jej przeklętego gom dżabbar. Walcz i zwyciężaj albo giń w próbie. Nie mogła przytknąć mu zatrutej igły do szyi, ale mogła posłać go w pułapkę pełną niebezpieczeństw, która niegdyś pochłonęła Alię.

W świadomość Leto brutalnie wdarły się odgłosy sapania. Falowały, stawały się głośniejsze, potem cichły, łagodniały…

Cichły. Nie znał sposobu, żeby ustalić, czy dochodzą z bieżącej rzeczywistości, czy są efektem działania przyprawy.

Ciało Leto zgięło się nad splecionymi na brzuchu rękoma. Przez pośladki czuł gorący piach. Naprzeciw leżał dywanik, ale on siedział na gołej ziemi. Na dywanik padł cień: Namri. Świadomość Leto dryfowała z generowanym przez siebie prądem poprzez krajobraz rozciągający się po horyzont wstrząsającej zieleni.

Jego czaszka drżała w rytm bębna. Czuł żar, gorączkę. Gorączka

powstawała od ognia przepełniającego zmysły, wypychając na zewnątrz świadomość. Pojął zagrożenie. Namri i nóż. Nacisk… nacisk… W końcu zawisł między niebem i piaskiem, pochłonięty przez żar. Czekał, aż coś się stanie, czekał na tę jedyną rzecz.

Dręcząco gorący, bijący weń blask słońca rozpadł się, skrząc wokół iskrami, nie dając wytchnienia. „Gdzie jest Złota Droga?" Wszędzie pełzały żuki. Wszędzie. Słał wiadomość wzdłuż nerwów, czekając opóźniających się odpowiedzi od innych istot ze swego wnętrza. „Moja skóra jest obca".

„Głowa w górę" — nakazał nerwom.

Głowa, która mogła być jego własną, podniosła się ociężale, spojrzała na plamę ciemności w jaskrawym świetle.

Ktoś szepnął:

— Jest teraz w głębokim transie.

Żadnej odpowiedzi.

Żar, ogień, słońce nawarstwiające upał na upał.

Porwał go prąd świadomości i umysł Leto podryfował przez ostatni pas szarej pustki, a tam, za niskimi, falującymi wydmami, nie dalej niż kilometr od kredowej linii urwiska, tam widniała zielona, pączkująca przyszłość, pnąca się w górę, płynąca w nieskończonej roślinności.

W całej plątaninie nie widział ani jednego czerwia.

Masa zielonych chaszczy, ale nigdzie szej-huludów.

Leto wyczuł, że wdarł się przez stare granice w nową krainę, o której istnieniu opowiadała wyobraźnia, i że patrzył teraz przez zasłonę na to, co senna ludzkość nazywała Nieznanym.

Oto rzeczywistość łaknąca krwi.

Czuł, jak czerwony owoc jego życia kołysze się na cienkiej gałązce, jak wycieka z niego płyn, będący krążącą w jego żyłach esencją przyprawową.

Bez szej-huludów nie będzie przyprawy.

Widział przyszłość pozbawioną wielkiego, szarego czerwia — węża Diuny. Wiedział o tym, a jednak nie mógł wyrwać się z transu.

Nagle świadomość wycofała się — w tył, w tył, byle uciec od martwej przyszłości. Jego myśli skupiły się we wnętrznościach, stając się prymitywnymi emocjami. Stwierdził, że nie jest zdolny skupić się na jakimkolwiek szczególnym aspekcie wizji, lecz słyszał głos przemawiający w starożytnym języku, który doskonale rozumie. Głos był śpiewny i rytmiczny, ale słowa uderzały w umysł niczym obuch.

„To nie teraźniejszość wpływa na przyszłość, ty głupcze, ale przyszłość formuje teraźniejszość. Do wszystkiego podchodzisz od końca. Ponieważ przyszłość już istnieje, rozwój wypadków upewnia tylko, że jest ona stała i nieunikniona".

Słowa sparaliżowały go. Czuł grozę zakorzenioną w doczesnej

materii ciała. Wiedział, że wciąż istnieje, ale zuchwała natura i nadzwyczajna moc wizji sprawiła, że poczuł się chory, bezbronny, niezdolny do wydawania mięśniom rozkazów. Coraz bardziej ustępował pod naporem zorganizowanych istnień, które kiedyś sprawiły, że uwierzył, iż istnieje naprawdę. Wypełnił go strach. Pomyślał, że właśnie przegrywa walkę o wewnętrzną dominację, stając się Paskudztwem.

Ciało Leto zwijało się ze zgrozy.

Wszystkie wspomnienia zwróciły się przeciwko niemu — nawet królewski Harum, któremu ufał. Znajdował oparcie na powierzchni, nie mając żadnych korzeni, niezdolny do nadania wyrazu nowemu życiu. Starał się koncentrować umysł na obrazie siebie samego i znalazł zachodzące na siebie postaci, każda w innym wieku — od niemowlęcia po trzęsącego się starca. Przywołał wspomnienie wczesnych ćwiczeń ojca: „Niech ręce staną się młode, potem stare", ale całe jego ciało pogrążyło się w tej zagubionej rzeczywistości, przybierając twarze to nowe, to stare, tych, którzy użyczyli mu swych wspomnień.

Diamentowa błyskawica rozbiła go na części.

Leto czuł, jak kawałki świadomości rozpływają się, zawieszone gdzieś pomiędzy istnieniem i nieistnieniem. Ponaglany nadzieją usłyszał własny oddech. Wdech… Wydech. Wciągnął głęboko powietrze: Jin. Wypuścił je: Jang.

Gdzieś w pobliżu, tuż poza jego zasięgiem, znajdowała się absolutna niezależność. Tryumf nad wszystkimi skłóconymi istotami z jego wnętrza, i to rzeczywisty, a nie tylko ułuda wynikająca z wydawania im poleceń. Zrozumiał teraz swą omyłkę: szukał siły w rzeczywistości transu, zamiast stanąć twarzą w twarz z lękami, którymi nawzajem karmili się z Ghanimą.

Alię pokonał strach.

Poszukiwanie mocy wpędziło go w głęboką pułapkę, w krainę fantazji. Jeszcze jedno złudzenie. Opanowany iluzją umysł wykonał pół obrotu i znalazł środek, z którego mógł obserwować ruch wewnętrznych istnień.

Przepełniło go uniesienie. Sprawiło, że chciał się śmiać, ale w końcu zrezygnował z tego, wiedząc, że zatrzasnąłby sobie drzwi przed własną pamięcią. Czuł przypływ intensywnego spokoju.

„Ach, me wspomnienia — pomyślał. — Przejrzałem wasze iluzje. Nie będziecie mi już ukazywać, jak będzie wyglądać następna chwila, pomożecie mi tylko ją stworzyć. Nie wpadnę z powrotem w stare koleiny".

Dzięki tej myśli poczuł się tak, jak gdyby doznał całkowitego oczyszczenia, co odbiło się na każdej komórce, na każdym nerwie jego ciała.

Z oddali, jak gdyby z otchłani, dobiegły go dwa głosy. Jeden z nich należał do Hallecka:

— Może daliśmy mu za dużo przyprawy?

— Daliśmy mu dokładnie tyle, ile potrzebował — odpowiedział Namri.

— Mam wrażenie, że powinniśmy wrócić i jeszcze raz na niego popatrzeć — głos Hallecka.

— Sabiha jest dobra w tych sprawach. Zawoła nas, jeżeli cokolwiek zacznie iść gorzej niż powinno — głos Namriego.

— Nie podoba mi się ta cała Sabiha — głos Hallecka.

— Jest koniecznym elementem — głos Namriego.

Leto zobaczył na zewnątrz siebie jaskrawe światło, a w środku ciemność. Światło gorzało jasnym płomieniem. Ciało chłopca stało się przezroczyste, ale zachowało einfalle — kontakt z każdą komórką, każdym nerwem. Wielkość wewnętrznych istnień uległa uporządkowaniu, nic nie było pomieszane ani splątane.

Leto przemówił do nich: „Jestem waszym duchem. Jestem jedyną istotą, z którą macie bezpośredni kontakt. Jestem siedzibą duszy w kraju, którego nigdzie nie ma; kraju, który jest waszym domem. Beze mnie cały znany wszechświat obróci się w Chaos. Moc tworzenia i chaos są nierozerwalnie we mnie złączone; tylko ja potrafię pośredniczyć między nimi. Beze mnie ludzkość utonie w nędzy i marności wiedzy. Dzięki mnie znajdziemy jedyne wyjście z Chaosu: zrozumienie przez życie".

Z tymi słowami uwolnił się, stał się nową osobą, obejmującą całość swej przeszłości. Nie odniósł zwycięstwa ani nie poniósł klęski, ale coś innego, czym mógł się podzielić z wybranym pamięcio-istnieniem. Leto uszanował tę nowość, pozwalając jej zawładnąć każdą komórką, każdym nerwem.

Po jakimś czasie obudził się w białej ciemności. Błysk świadomości wystarczył, aby poznać miejsce, w którym go umieszczono. Siedział na piasku, mniej więcej o kilometr od ściany zbocza znaczącego północną granicę siczy. Znał już tę sicz. To na pewno była Dżekarata… i Fondak. Jakże odbiegała wyglądem od obrazu wysnutego z mitów oraz plotek, które rozsiewali przemytnicy.

Naprzeciw niego, na dywaniku, siedziała młoda kobieta z jaskrawą kulą świętojańską przyczepioną do lewego rękawa.

Znał ową kobietę — pochodziła z wizji, w której prażyła kawę. Na jej kolanach spoczywał nóż. Sabiha — tak brzmiało jej imię.

Namri miał jakieś plany w stosunku do niej.

Sabiha ujrzała, że się obudził, więc powiedziała:

— Już prawie świt. Spędziłeś tu całą noc.

— I połowę dnia — odparł. — Robisz dobrą kawę.

Stwierdzenie to zaskoczyło ją, ale zignorowała komplement z

prostotą świadczącą o surowym wyszkoleniu i dokładnych instrukcjach dotyczących zachowania wobec chłopca.

— Nadchodzi godzina assassinów — rzekł Leto. — Ale nie potrzebujesz broni. — Spojrzał na krysnóż na jej kolanach.

— Namri sam zadecyduje — odparła.

Zatem nie Halleck. Potwierdziła jego wcześniejsze podejrzenia.

— Szej-hulud jest wielkim zbieraczem odpadków i niszczycielem zbędnych śladów — stwierdził Leto. — Wykorzystałem go już w ten sposób.

Położyła dłoń na rękojeści noża.

— Prawda, jak ważne jest, gdzie i na czym siedzimy? — rzekł. — Ty na dywaniku, a ja na piasku.

Jej dłoń zamknęła się na rękojeści.

Leto ziewnął szeroko, co przyprawiło go o ból szczęki.

— Miałem wizję dotyczącą także ciebie — powiedział. Jej ramiona odprężyły się leciutko.

— Byliśmy bardzo jednostronni, jeśli chodzi o Arrakis — kontynuował. — Zachowaliśmy się jak barbarzyńcy. Teraz musimy naprawić wyrządzone zło. Trzeba odpowiednio wyważyć szale.

Zdezorientowana Sabiha zmarszczyła brwi.

— Moja wizja mówi, że jeżeli nie przywrócimy na Diunie odwiecznego cyklu życia, smok zniknie z pustyni.

Przez chwilę go nie rozumiała, ponieważ użył starofremeńskiego miana dla wielkich czerwi.

— Znikną czerwie? — zapytała wreszcie.

— Znaleźliśmy się w ślepym zaułku — odparł. — Bez przyprawy Imperium się rozpadnie, Gildia przestanie funkcjonować, a planety powoli się odizolują. Przestrzeń kosmiczna stanie się granicą, której Nawigatorzy Gildii nie będą potrafili pokonać. Przylgniemy do wierzchołków wydm, nieświadomi tego, co nad nami i pod nami.

— Mówisz bardzo dziwnie — stwierdziła. — Jak widziałeś mnie w wizji?

„Ufaj tu fremeńskim przesądom!" — pomyślał, a głośno powiedział:

— Stałem się palimpsestem. Jestem żyjącym glifem, na którym trzeba zapisać zachodzące zmiany. Jeśli tego nie zrobię, czeka was cierpienie nie do zniesienia.

— Co znaczą twe słowa? — zapytała. Jej dłoń nadal spoczywała na nożu.

Leto odwrócił głowę ku zboczom Dżekaraty, widząc narastający blask, którym Drugi Księżyc znaczył swe wyjście zza skał. Śmiertelny krzyk pustynnego zająca wstrząsnął nim do głębi. Spostrzegł, że zadrżała również Sabiha. Potem usłyszeli bicie skrzydeł: drapieżny ptak, nocne stworzenie na łowach. Widział jarzący się blask wielu

oczu, których posiadacze przemykali obok nich, kierując się ku pęknięciom w zboczu.

— Musisz słuchać rozkazów nowego serca — powiedział Leto. — Patrzysz na mnie jak na dziecko, Sabiho, ale jeżeli…

— Ostrzegano mnie przed tobą — odparła Sabiha, a jej barki zesztywniały; była gotowa do walki.

Dosłyszał obawę w głosie dziewczyny.

— Nie bój się. Żyjesz o siedem lat dłużej niż moje ciało. Za to cię szanuję. Ale mam w sobie doświadczenia zebrane przez tysiące lat, o wiele więcej niż możesz pojąć. Nie patrz na mnie jak na dziecko. Analizowałem wiele przyszłości i w jednej zobaczyłem nas, połączonych miłością. Ciebie i mnie, Sabiho.

— Co to… Nie wierzę… — zamilkła w zdumieniu.

— Mógł ci zaświtać w głowie ten pomysł — powiedział. — Pomóż mi teraz wrócić do siczy. Byłem w wielu miejscach i jestem bardzo zmęczony. Namri musi usłyszeć moją relację.

Zobaczył, że się waha, więc rzekł:

— Czy nie jestem Gościem Pieczary? Namri zechce usłyszeć sprawozdanie. Mamy wiele do zrobienia, żeby nasz wszechświat się nie zdegenerował.

— Nie wierzę w twe słowa… o czerwiach.

— Ani w nas, połączonych miłością?

Potrząsnęła głową, ale domyślał się myśli przepływających przez umysł dziewczyny jak miotane wiatrem piórka. Jego słowa zarazem przyciągały ją i odpychały. Miała wyraźne rozkazy od wuja. Lecz pewnego dnia syn Muad'Diba mógł władać Diuną i najdalszymi przestrzeniami wszechświata. Małżonka Leto będzie na ustach wszystkich, będzie przedmiotem plotek i spekulacji. Mogłaby posiąść bogactwo i…

— Jestem synem Muad'Diba. Mogę widzieć przyszłość — oświadczył Leto.

Powoli wsunęła nóż do pochwy, podniosła się zgrabnie z dywanika, podeszła i pomogła mu stanąć na nogi. Jej następne czynności rozśmieszyły chłopca: zręcznie zrolowała dywanik i ułożyła go na prawym ramieniu. Domyślił się, że ocenia dzielącą ich różnicę wieku, pamiętając o wypowiedzianych słowach — „Połączeni miłością".

„Wiek także jest czymś względnym" — podsumował.

Lewą dłonią chwyciła Leto za ramię, by pomóc mu iść, a kiedy się potknął, zbeształa go ostro:

— Jesteśmy zbyt daleko od siczy! — Miała na myśli niepożądany dźwięk, mogący zwabić czerwia.

Leto czuł, że jego ciało stało się jak pusty kokon porzucony przez owada. Znał to: była to koncepcja jedności społeczeństwa, opartej na

handlu melanżem i Religii Złotego Remedium. Wielkie plany Muad'Diba spadły do roli magii wymuszanej zbrojnym ramieniem Auqafu. Religię Muad'Diba nazywano teraz Shien-san-Shao — ixiańskim terminem, oznaczającym gwałtowność i chorą jaźń tych, którzy myśleli, że końcem ostrza mogą zaprowadzić wszechświat do raju. Potrzebne są zmiany, nowe koncepcje — tak samo, jak zmieniło się Ix. Była to jedynie dziewiąta planeta swego słońca, na której zapomniano nawet języka, z którego pochodziła jej nazwa.

— Dżihad była rodzajem masowej choroby psychicznej — mruknął.

— Co? — zapytała Sabiha, skoncentrowana na stawianiu nierównych kroków, maskujących ich obecność tu, na otwartym piasku. Przez chwilę skupiła się na jego słowach, a potem zinterpretowała je jako jeszcze jeden przejaw dziwactwa. Czuła, że jest słaby, pozbawiony sił przez trans. Wmuszenie przyprawy w chłopca uważała za złe i bezcelowe. Jeżeli trzeba było go zabić, tak jak mówił Namri, wyrok należało wykonać szybko, bez zbędnego okrucieństwa. Leto mówił o wspaniałym objawieniu. Może właśnie tego oczekiwał Namri? Inaczej Pani Diuny nie dałaby pozwolenia na tak niebezpieczne traktowanie dziecka.

Dziecka?

Znowu się zamyśliła. Doszli do podstawy zbocza, więc zatrzymała podopiecznego, pozwalając mu na chwilę odpoczynku tu, gdzie był bezpieczniejszy.

— Czy to możliwe, żeby czerwie wyginęły? — zapytała.

— Potrafię to zmienić — powiedział. — Nie lękaj się. Mogę zmienić wszystko.

— Ale wydaje mi się…

— Na niektóre pytania nie potrafię odpowiedzieć — odrzekł. — Widziałem przyszłość, ale nigdy nie zrozumiałabyś jej sprzeczności. Wszechświat jest zmienny, a my stanowimy najdziwniejszą jego zmienną. Jesteśmy podatni na wiele wpływów. Nasze przyszłości wymagają stałego uaktualniania. Powstała bariera, którą trzeba usunąć. Musimy być brutalni, musimy wystąpić przeciwko najbardziej podstawowym, najdroższym pragnieniom…

— Co mamy uczynić?

— Czy kiedykolwiek zabiłaś przyjaciela? — zapytał i odwracając się poprowadził ją przez szczelinę w skale, idąc pod górę ku ukrytemu wejściu do siczy. Poruszał się tak szybko, na ile pozwalało mu wyczerpanie. Chwyciła go za szatę, dając znak, by się zatrzymał.

— Dlaczego mówisz o zabiciu przyjaciela?

— On i tak umrze — rzekł Leto. — Nie muszę tego robić, ale mogę zapobiec jego śmierci. Jeżeli nic nie uczynię, czy nie będzie to równoznaczne z zabiciem go?

— Kto jest tym… Kto umrze?

— Nie mam innego wyboru, jak tylko milczeć — odparł. — Może będę musiał oddać potworowi na żer moją siostrę.

Znowu się od niej odwrócił. Tym razem gdy pociągnęła go za rękę, uparł się, odmawiając odpowiedzi na jej pytanie.

„Lepiej, żeby nie wiedziała, dopóki nie nadejdzie właściwy czas" — pomyślał.

> *Dobór naturalny opisywano jako otoczenie wybiórczo chroniące te osobniki, które będą miały potomstwo. Jeżeli jednakże mówi się o istotach ludzkich, taki punkt widzenia staje się wyjątkowo zawężony. Rozmnażanie płciowe sprzyja eksperymentom i innowacjom. Wywołuje wiele pytań, łącznie z pradawnym sporem o to, czy otoczenie jest czynnikiem selekcjonującym, gdy zaszła mutacja, czy raczej gra preselektywną rolę w determinowaniu mutacji, które ochrania. Diuna nie odpowiada na te pytania, tylko tworzy wciąż nowe, na które Leto i zakon żeński mogą spróbować odpowiedzieć w ciągu pięciuset kolejnych pokoleń.*
>
> *„Katastrofa Diuny" według Harq al-Ady*

Gołe skały Muru Zaporowego, wyłaniające się w dużej odległości z piasku, stanowiły dla Ghanimy wcielenie widm przyszłości. Dziewczynka siedziała na skraju ogrodu, na dachu Cytadeli. Słońce lśniło ciemnopomarańczowo — wskutek obłoków pyłu — kolorem równie intensywnym, jak krawędź paszczy czerwia. Ghanima westchnęła, myśląc: „Alio… Alio… Czy podzielę twój los?"

Ostatnio jej pamięcioistnienia stawały się coraz bardziej zgiełkliwe. Coś we fremeńskim wychowaniu powodowało, że istoty płci żeńskiej łatwiej poddawały się wewnętrznym napaściom. Babka ostrzegła ją przed tym, gdy razem układały plany, sięgając po nagromadzoną wiedzę Bene Gesserit.

„Paskudztwo — mówiła lady Jessika — jest naszym określeniem przed-urodzonych i ma za sobą długą historią gorzkich doświadczeń. Wydaje się, że chodzi o to, iż wewnętrzne istnienia dzielą się na dwie grupy. Na łagodne i złośliwe. Łagodne są pożyteczne, można się z nimi

dogadać. Złośliwe jednoczą się w potężną psyche, próbując przejąć kontrolę nad świadomością. Wiadomo, że proces ten zabiera wystarczająco dużo czasu, by go zauważyć, a jego zasady są dobrze poznane".

„Dlaczego opuściłaś Alię?" — zapytała wtedy Ghanima.

„Uciekłam z przerażenia przed tym, co wydałam na świat — odpowiedziała Jessika. — Być może poddałam się za wcześnie „.

„Co masz na myśli?"

„Nie potrafię jeszcze tego dokładnie sprecyzować, ale… może… Nie! Nie będę ci dawała fałszywych nadziei. Ghafla — poddanie się paskudności — ma długą historię w ludzkiej mitologii. Nazywano ją rozmaicie, ale najczęściej»opętaniem«. Tak to właśnie wyglądało. Człowiek tracił kontrolę nad sobą, owładnięty przez złośliwą psyche „.

„Leto obawia się przyprawy" — wyjaśniła Ghanima, stwierdzając, że może mówić otwarcie.

„I słusznie" — odparła Jessika. Nie powiedziała wtedy już nic więcej.

Ghanima zaryzykowała jednak zbadanie wewnętrznych wspomnień, zaglądając za dziwną, niejasną zasłonę i daremnie próbując spożytkować lęki Bene Gesserit. Wyjaśnienie, w co popadła Alia, nie pomogło ani trochę. Wszystko wskazywało na możliwość wyjścia z pułapki. Najpierw więc wezwała Mohalaty — łagodne istnienia mogące ją ochronić.

Natychmiast poczuła pamięć i obecność matki. Stanęła przed nią Chani — zjawa między Ghanimą a odległymi zboczami.

— Przyjdź tu, a skosztujesz owocu Zaqquum, pokarmu piekieł! — ostrzegła ją Chani. — Zamknij te drzwi córko, tylko w ten sposób będziesz bezpieczna.

Wewnętrzny zgiełk nasilił się i Ghanima uciekła od niego, pogrążając się świadomością w Credo zakonu. Szybko recytowała formuły, poruszając ustami, pozwalając głosowi narosnąć do szeptu:

— „Religia jest współzawodnictwem między dzieckiem a dorosłym, w którym wygrywa to pierwsze. Religia jest przekazem dawnych wierzeń: mitologii będącej domysłami, ukrytych założeń o zaufaniu we wszechświecie i tych oświadczeń, które czynią mężczyźni, szukając władzy. Zawsze najwyższym, niewypowiedzianym przykazaniem religii jest: Nie będziesz zadawał pytań. Ale my pytamy, łamiemy przykazanie, ponieważ jest to konieczne. Praca, której się oddaliśmy, uwalnia wyobraźnię i wyzwala zdolności twórcze ludzkości".

Do myśli Ghanimy powrócił ład. Czuła drżenie swego ciała i wiedziała, jak kruchy jest spokój, który osiągnęła.

— Łeb Kamai — szepnęła. — Serce mojego wroga, nie będziesz moim sercem.

Przywołała wspomnienie rysów Farad'na, ponurej, młodej twarzy z ciężkimi brwiami i stanowczymi ustami.

„Nienawiść uczyni mnie silną — pomyślała. — Dzięki nienawiści zdołam się oprzeć losowi Alii".

Czuła jednak, że jej sytuacja nadal jest niepewna. Była w stanie myśleć jedynie o tym, jak bardzo Farad'n przypomina swego wuja, Szaddama IV.

— Tu jesteś!

Głos należał do Irulany, która wyłoniła się z prawej strony, pokonując dużymi krokami brzeg dachu. Odwracając się, Ghanima pomyślała: „A oto i córka Szaddama".

— Dlaczego wymykasz się sama? — zapytała z naciskiem Irulana, stając nad nią z nachmurzoną twarzą.

Ghanima powstrzymała się od wyjaśnienia, że nie była tu sama, że straż widziała, jak wychodziła na dach. Gniew Irulany odnosił się do faktu, że przebywała na odkrytym terenie i można ją było trafić z broni o dalekim zasięgu.

— Nie nosisz filtrfraka — stwierdziła Ghanima. — Nie wiesz, że w dawnych czasach kogoś złapanego poza siczą bez filtrfraka automatycznie zabijano? Tracić wodę, znaczyło narażać plemię na niebezpieczeństwo.

— Woda! Woda! — wykrzyknęła Irulana. — Chcę wiedzieć, dlaczego się narażasz w tak głupi sposób! Wracaj do środka. Przysparzasz nam kłopotów.

— Wiesz coś o jakimś niebezpieczeństwie? — zapytała Ghanima. — Stilgar rozgromił zdrajców. Strażniczki Alii są wszędzie.

Irulana popatrzyła na ciemniejące niebo. Na szaroniebieskim tle widniały już gwiazdy. Wróciła myślami do Ghanimy.

— Nie będę się spierać. Wysłano mnie, bym ci powiedziała, że mamy wiadomość od Farad'na. Zgadza się, lecz z jakichś powodów chce opóźnić ceremonię.

— Na jak długo?

— Jeszcze nie wiemy. Będziemy o tym rozmawiać. Duncana odesłano z powrotem.

— A babkę?

— Zdecydowała się zostać na Salusa.

— Kto może ją za to winić? — zapytała Ghanima.

— Ach, ta głupia wojna z Alią!

— Nie staraj się mnie oszukiwać, Irulano! Słyszałam to i owo.

— Zakon boi się, że…

— I słusznie — odparła Ghanima. — Przyniosłaś mi wiadomość. Czy chcesz wykorzystać okazję, by odwieść mnie od zbrodniczych zamiarów?

— Poddaję się.

— Znowu próbujesz mnie okłamywać — zauważyła Ghanima.

— Bardzo dobrze! Będę dalej próbowała zniechęcić cię do tego szaleńczego planu. — Zastanowiła się, dlaczego Ghanima tak działa jej na nerwy, Bene Gesserit nie wolno się denerwować. — Obawiam się o ciebie, wiesz o tym, Ghaniu, Ghaniu… córko Paula. Jak możesz…

— Właśnie dlatego, że jestem jego córką — przerwała Ghanima. — My, Atrydzi, wywodzimy rodowód od Agamemnona i wiemy, jaka krew płynie w naszych żyłach. Nigdy tego nie zapominaj, bezdzietna żono mojego ojca. My, Atrydzi, mamy za sobą krwawe karty w przeszłości i wiele jeszcze przed sobą.

Zbita z tropu Irulana zapytała:

— Kto to był Agamemnon?

— Oto jak zachwalana edukacja Bene Gesserit okazuje się być bardzo pobieżna — rzekła Ghanima. — Wciąż zapominam, że przecież skróciłyście naukę historii. Ale moje wspomnienia sięgają do… — Przerwała; lepiej było nie budzić cieni z ich niepewnego snu.

— Cokolwiek byś pamiętała — stwierdziła Irulana — musisz zrozumieć, jak niebezpieczna jest ta droga dla…

— Zabiję go — odparła Ghanima. — Jest mi winien życie.

— A ja przeszkodzę zabójstwu, jeżeli będę mogła.

— Wiemy o tym. Zabraknie ci okazji. Alia wyśle cię do jednego z nowych miast na południu.

Irulana potrząsnęła głową, przerażona.

— Ghanimo, poprzysięgłam, że będę cię chronić przed wszelkimi niebezpieczeństwami. Oddam za ciebie życie, gdy zajdzie taka konieczność. Jeżeli myślisz, że zgodzę się marnieć w jakiejś ceglanej dżiddzie, podczas gdy ty…

— Zawsze jeszcze pozostaje Huanui — przerwała miękkim głosem Ghanima. — Jestem pewna, że stamtąd nie mogłabyś się wtrącać.

Irulana zbladła, położyła dłoń na ustach, zapominając na moment o całym szkoleniu. Pożerał ją zwierzęcy strach. Przemówiła, pozwalając swym wargom drżeć, zaskoczona, jak bardzo jest zależna od tego dziecka:

— Ghaniu, nie boję się o siebie. Skoczyłabym dla ciebie w paszczę czerwia. Tak, jestem tym, czym mnie nazwałaś, bezdzietną żoną twojego ojca, ale ty jesteś dzieckiem, którego nigdy nie miałam, i błagam cię… — Łzy zabłysły w kącikach jej oczu.

Ghanima zwalczyła skurcz w gardle i powiedziała:

— Jest jeszcze jedna różnica między nami. Nigdy nie byłaś Fremenką. Oto wielka przepaść, która nas dzieli. Alia wie, jak to jest. Czymkolwiek jest, wie.

— Nie możesz być pewna, co myśli Alia — rzekła gorzko Irulana. — Gdyby nie była Atrydką, przysięgłabym, że pragnie zniszczyć własny ród.

„A skąd wiesz, że ona wciąż jest Atrydką?” — pomyślała Ghanima, zastanawiając się nad ślepotą Irulany. Przeszła szkolenie Bene Gesserit, a któż lepiej niż one znał historię Paskudztwa? Nawet nie dopuszczała do siebie tej myśli, a co dopiero wierzyć w nią. Alia musiała rzucić na nią jakiś czar.

— Złożyłaś na mnie brzemię wody. Za to strzec będę twojego życia. Ale Farad’n jest stracony. Nie mów mi o nim nic więcej — rzekła Ghanima.

Irulana opanowała drżenie warg, przetarła oczy.

— Kochałam Paula — szepnęła. — Nie wiedziałam nawet o tym, dopóki nie umarł.

— Być może on żyje — stwierdziła Ghanima. — Kaznodzieja…

— Ghaniu! Czasami cię nie rozumiem. Czy Paul zaatakowałby własną rodzinę?

Bliźniaczka wzruszyła ramionami i zapatrzyła się w ciemniejące niebo.

— Mógłby znaleźć rozrywkę w takim…

— Jak możesz mówić tak lekko o…

— By utrzymać z dala ciemne głębie — wyjaśniła Ghanima. — Nie naśmiewam się z ciebie. Bogowie wiedzą, że nie robię tego. Nie jestem tylko córką Muad’Diba. Jestem każdą osobą, której nasienie znalazło się w Atrydach. Nie potrafisz myśleć o Paskudztwie, a ja nie mogę myśleć o czymkolwiek innym. Jestem przed-urodzona.

— To stary, głupi przesąd…

— Nie! — Ghanima sięgnęła dłonią w stronę ust Irulany. — Jestem każdą z Bene Gesserit, także moją babką. I jestem czymś o wiele więcej. — Podrapała się po lewej dłoni. — Mam młode ciało, ale jego doświadczenia… Och, bogowie! Moje doświadczenia! Nie! — Wyciągnęła dłoń przed siebie, gdy Irulana chciała podejść bliżej. — Znam przyszłości, które badał mój ojciec. Jestem mądrością wielu pokoleń i całą ich niewiedzą. Jeżeli chcesz mi pomóc, najpierw dowiedz się, kim jestem.

Irulana instynktownie nachyliła się i objęła Ghanimę ramionami, przyciągając ją bliżej. Przyłożyła policzek do jej policzka.

„Sprawcie, bym nie musiała zabić tej kobiety — pomyślała Ghanima. — Nie pozwólcie, by to się stało”.

Nad pustynią zapadła noc.
Mały ptak zawezwał cię
Swym dziobem cętkowanym
szkarłatem
Zaśpiewał nad siczą Tabr
I wyszedł na Żałobną Równinę.

Leto obudził się, słysząc brzęk pierścieni wody, wpiętych w kobiece włosy. Spojrzał na otwarte wejście do celi i zobaczył siedzącą w nim Sabihę. Dwa lata temu minęła wiek, w którym większość Fremenek wychodziła za mąż albo przynajmniej zostawała zaręczona. Zatem jej rodzina trzymała ją po coś… albo dla kogoś. Była bardzo rozwinięta… Bez wątpienia. Przymglone wizją źrenice widziały ją jako istotę z ludzkiej, ziemskiej przeszłości: miała ciemne włosy i jasną skórę, głębokie oczodoły rzucające na błękitne w błękicie oczy zielonkawy cień, mały nos i szerokie usta nad wąskim podbródkiem. Stanowiła żywy dowód na to, że tu, w Dżekaracie, znano albo podejrzewano plan Bene Gesserit. Zatem wiedźmy chciały wskrzesić przez niego Imperium Faraonów, czyż nie? Ich zamiarem było więc zmuszenie go do poślubienia własnej siostry. Sabiha na pewno nie mogłaby temu zapobiec.

Ci, którzy go pochwycili, znali jednakże ten plan. Skąd się o nim dowiedzieli? Nie dzielili z nim wizji. Nie zaszli z nim tam, gdzie życie stawało się ruchomą membraną, rozciągniętą na różnych wymiarach. Zwrotne, nie przekazywane subiektywności wizji, które ukazały mu Sabihę, były tylko i wyłącznie jego własnością.

Taliony wody we włosach Sabihy zadźwięczały ponownie i ich dźwięk obudził nowe wizje. Leto wiedział, gdzie przedtem przebywał i czego się nauczył. Nic nie mogło tego wymazać. Nie jechał teraz w palankinie na wielkim stworzycielu. Brzęk pierścieni wody wśród pasażerów, nadający rytm pieśniom, nie był tym dźwiękiem. Nie… Siedział tu, w celi, w Dżekaracie, podejmując najniebezpieczniejszą ze wszystkich podróży: dalej od ahl as-sunna wal-jamas, od rzeczywistego świata zmysłów, i z powrotem ku niemu.

Co ona robiła, że pierścienie wody tak dźwięczały w jej włosach? Ach, tak. Mieszała jeszcze jedną porcję wywaru, którym zamierzali go zniewolić: żywność przesączona esencją przyprawową, by utrzymać go na poły w, a na poły poza rzeczywistym wszechświatem, dopóki nie umrze albo nie spełni życzeń babki. I za każdym razem, gdy myślał, że wygrał, odsyłano go w to z powrotem. Lady Jesika miała rację, oczywiście. Ale co on miał zrobić? To było jednak okrutne. Pamięć absolutna wszystkich żyjących w nim osób byłaby nic nie warta, gdyby nie był w stanie poszeregować tych danych i na życzenie ich sobie przypomnieć. Wszystkie one tworzyły bazę dla anarchii i każda z nich — lub wszystkie razem — mogły go pokonać. Przyprawa i jej specyficzne użycie, tu w Dżekaracie, było desperackim hazardem.

„Gurney czeka teraz na znak ode mnie, a ja nie chcę mu go dać. Na jak długo wystarczy mu cierpliwości?”

Wpatrzył się w Sabihę. Odrzuciła w tył kaptur, ukazując plemienne tatuże na skroniach. Z początku nie rozpoznał ich, dopiero potem przypomniał sobie, gdzie się znajduje. Tak, w Dżekaracie tradycja wciąż była żywa.

Leto nie wiedział, czy ma być wdzięczny babce, czy nienawidzić jej. Chciała, by opanował instynkty na poziomie świadomości. Ale instynkty były tylko zakodowanymi wspomnieniami rasy, podpowiadającymi, jak radzić sobie z zagrożeniami. Bezpośrednie wspomnienia innych istnień powiedziały mu znacznie więcej. Przemyślał to wszystko i zrozumiał niebezpieczeństwo, które powstałoby w wypadku odkrycia tej tajemnicy przez Gurneya.

Sabiha weszła do celi z misą w dłoniach. Patrzył z podziwem, jak światło tworzyło tęczowe kręgi na skraju jej włosów. Delikatnie podniosła mu głowę i zaczęła go karmić z miski. Dopiero wtedy uświadomił sobie, jaki jest słaby. Pozwolił karmić się, podczas gdy umysłem wrócił do posiedzenia z Gurneyem i Namrim. Oni wierzyli mu! Namri bardziej niż Gurney, ale nawet Gurney nie mógł zaprzeczyć temu, co donosiły zmysły Leto na temat planety. Ich planety.

Sabiha wytarła jego usta skrajem szaty.

„Ach, Sabiho — pomyślał, przywołując inną wizję, która napełniła mu serce bólem. — Wiele razy marzyłem nad otwartą wodą, słysząc wiatr świszczący nad głową. Wiele razy me ciało spoczywało obok legowiska węży, a ja śniłem o Sabisze w upale dnia. Widziałem, jak zbiera chleb przyprawowy wypieczony na rozpalonych do czerwoności płytach plastali. Widziałem przejrzystą wodę w kanacie, surową i lśniącą; burza mknęła przez me serce. Sabiha pije kawę i je. Jej zęby lśnią w cieniu. Widzę, jak wplata taliony wody we włosy. Bursztynowy zapach jej piersi uderza w me najgłębsze zmysły. Wstrząsa mną i przytłacza przez sam fakt swego istnienia".

Nacisk mnóstwa wspomnień eksplodował w kuli znieruchomiałego czasu. Czuł splatające się ze sobą ciała, odgłosy miłości, rytmy przesycające każde zmysłowe wrażenie, wargi, wilgotny oddech, języki. Gdzieś w głębi wizji kryły się spiralne kształty barwy węgla; czuł ich uderzenia. Jakiś głos błagał: „Proszę, proszę, proszę, proszę…" W lędźwiach nabrzmiewało dorosłe ciało, czuł, jak otwiera usta, jak trzyma w dłoniach kobiece biodra, wreszcie doznaje ekstazy, odprężenia, przewlekającej się błogości.

Och, jak słodko byłoby to rzeczywiście czuć!

— Sabiho — szepnął. — Och, moja Sabiho!

Gdy Leto wszedł po posiłku w głęboki trans, dziewczyna wzięła miskę i wyszła, zatrzymując się przy drzwiach, by powiedzieć Namriemu:

— Znowu wołał mnie po imieniu.

— Wracaj i zostań z nim — rzekł Namri. — Muszę znaleźć Hallecka.

Sabiha postawiła misę obok wejścia i wróciła do celi. Usiadła na brzegu pryczy, wpatrując się w pogrążoną w cieniu twarz Leto.

Po chwili chłopak otworzył oczy i wyciągnął dłoń, dotykając jej policzka. Zaczął mówić, opowiadając o wizji, w której żyła.

Przykryła jego dłoń swoją własną. Jaki był słodki… jak bardzo słodki… — opadła na pryczę, nim jeszcze Leto cofnął dłoń. Chłopiec usiadł, czując ogromne zmęczenie. Przyprawa i wizje wyczerpały go. Wstał z pryczy, nie budząc Sabihy. Musiał iść, ale wiedział, że nie zajdzie daleko. Powoli uszczelnił filtrfrak, narzucił na siebie szatę i wyśliznął się przez korytarz do pochyłego zejścia, prowadzącego na zewnątrz. Na dziedzińcu kręciło się kilkoro ludzi zajętych własnymi sprawami. Znali go, ale nie byli za niego odpowiedzialni. Namri i Halleck przecież wiedzieli, co on robi. Zresztą Sabiha musi być blisko.

Znalazł boczny korytarz i śmiało ruszył w głąb.

Sabiha spokojnie spała, dopóki nie obudził jej Halleck. Usiadła, przetarła oczy i zobaczyła pustą pryczę oraz wuja stojącego obok Hallecka. Na ich twarzach malował się gniew. Namri odpowiedział na jej nie wypowiedziane pytanie:

— Tak! Zniknął.

— Jak mogliście pozwolić mu się wymknąć?! — szalał Halleck. — Jak to możliwe?!

— Widziano go, jak szedł w stronę dolnego wyjścia — powiedział Namri. Jego głos był dziwnie spokojny. Sabiha skuliła się pod jego wzrokiem.

— Jak? — zapytał z naciskiem Halleck.

— Nie wiem. Nie wiem…

— Zapadła noc. Jest osłabiony — rzekł Namri. — Nie odejdzie daleko.

Halleck nagłym ruchem odwrócił się ku niemu.

— Chcesz, żeby chłopak zginął?

— Wcale bym nie rozpaczał.

Halleck ponownie stanął twarzą do Sabihy.

— Powiedz mi, jak to się stało.

— Dotknął mojego policzka. Mówił o wizji… O nas razem. — Spojrzała w dół, na pustą pryczę. — Uśpił mnie. Rzucił jakieś czary. Halleck spojrzał na Namriego.

— Czy może ukrywać się gdzieś wewnątrz?

— Nigdzie w środku, znaleziono by go z łatwością. Kierował się ku wyjściu. Jest gdzieś na zewnątrz.

— Rzucił czary — mruknęła Sabiha.

— Żadne czary — rzekł Namri. — Zahipnotyzował cię. Prawie udało mu się to ze mną, pamiętasz? Powiedział, że jestem jego

przyjacielem.

— Przyprawa go osłabiła — powiedział Halleck.

— Tylko ciało — odparł Namri. — Nie odejdzie daleko. Uszkodziłem pompy piętowe jego filtrfraka. Umrze bez wody, jeżeli wcześniej go nie znajdziemy.

Halleck prawie uderzył Namriego, ale w ostatnim momencie powstrzymał cios. Jessika ostrzegła go, że Namri może zabić chłopaka. Na Boga! Do czego to doszło: Atrydzi przeciw Atrydom!

— Czy to możliwe — zapytał — że po prostu błąka się w transie przyprawowym?

— A cóż to za różnica? — spytał Namri. — Jeżeli nam ucieknie, musi umrzeć.

— Z nadejściem świtu rozpoczniemy poszukiwania — rzekł Halleck. — Zabrał fremsak?

— Zawsze leży kilka obok grodzi wyjściowych — odparł Namri. — Byłby głupcem, gdyby tego nie zrobił. A tak się złożyło, że nigdy nie sprawiał wrażenia durnia.

— Więc wyślij wiadomość do naszych przyjaciół — rozkazał Halleck. — Przekaż im, co się stało.

— Nie prześlę żadnych wiadomości tej nocy — rzekł Namri. — Nadchodzi burza. Plemiona śledziły ją od trzech dni. Będzie tu o północy. Już teraz urwała się komunikacja. Satelity odłączyły ten sektor dwie godziny temu.

Halleckowi wyrwało się głębokie westchnienie. Chłopak na pewno umrze, jeżeli złapie go niosąca piasek burza. Zedrze ciało z kości i rozniesie na kawałki. Wymyślona, fałszywa śmierć stanie się faktem. Uderzył pięścią w otwartą dłoń. Burza mogła uwięzić ich w siczy. Elektrostatyka już ich odizolowała. Nie mogli nawet zorganizować poszukiwań.

— Dystrans — powiedział, pomyślawszy, że można by zakodować wiadomość w głosie nietoperza i wysłać go z ostrzeżeniem. Namri potrząsnął głową.

— Nietoperze nie polecą podczas burzy. Daj spokój, człowieku. Są bardziej na nią czułe niż my. Ukryją się w rozpadlinach, dopóki nie ucichnie. Najlepiej czekać, aż satelity nas wywołają. Wtedy spróbujemy odnaleźć jego szczątki.

— Nie zginie, jeżeli wziął fremsak i ukrył się w piasku — dodała Sabiha.

Halleck, przeklinając pod nosem, odwrócił się i wyszedł na zewnątrz.

Pokój wymaga porozumień, ale nigdy nie zdołamy dojść do trwałych porozumień. Tylko do nich dążymy. Stałe

rozwiązanie jest, z definicji, martwym rozwiązaniem. Problem z pokojem polega na tym, że w jego trakcie okazuje się skłonność do karania za omyłki zamiast nagradzania błyskotliwości.

„Słowa mojego ojca” — sprawozdanie Muad’Diba

odtworzone przez Harq al-Adę

— Ona go szkoli? Szkoli Farad’na?

Alia wpatrywała się w Duncana Idaho z mieszaniną gniewu i niedowierzania. Galeon Gildii wszedł na orbitę Diuny w południe czasu lokalnego. Godzinę później lichtuga wysadziła Idaho w Arrakin, nie zapowiedzianego, ale od dawna oczekiwanego. W ciągu kilku minut ornitopter dostarczył go na dach Cytadeli. Alia, poinformowana o jego przybyciu, przywitała męża chłodno, zachowując w obecności strażniczek oficjalny ton. Teraz przebywali w jej prywatnych komnatach, w pomocnym skrzydle Cytadeli. Skończył składanie raportu, dokładnie, w mentacki sposób podkreślając ważne informacje.

— Rozum ją opuścił — stwierdziła.

Potraktował słowa Alii poważnie — jako problem do rozwiązania.

— Wszystko wskazuje na to, że wciąż jest zrównoważona, zdrowa na umyśle. Powinnaś wiedzieć, że jej wskaźnik normalności wynosił…

— Przestań! — krzyknęła Alia. — Co ona planuje?

Idaho wiedząc, że jego wewnętrzna równowaga emocjonalna zależy teraz od zręcznego wycofania się w mentacki chłód, powiedział:

— Kalkuluję, że myśli o zaręczynach wnuczki.

Rysy twarzy Duncana pozostały bez wyrazu, kryjąc pod tą maską szalejący gniew. Alii tu nie było. Alia nie żyła. Przez pewien czas sztucznie utrzymywał mit Alii w swoich zmysłach — obraz kogoś, kto nie istniał, a kogo stworzył, kierując się pragnieniami. Mentat mógł tolerować samooszukiwanie się tylko przez pewien czas. Ów stwór w ludzkim ciele — jego żona — był opętany, rządził nim demon psyche. Stalowe oczy Idaho o miliardzie różnych warstw na życzenie odtwarzały w ośrodkach wzroku dowolną ilość mitów Alii. Lecz kiedy składał je w pojedyncze wyobrażenie, nie powstawała żadna osoba. Była pustą skorupą i w tej powłoce dopuszczała się haniebnych czynów.

— Gdzie jest Ghanima? — zapytał. Machnęła ręką, zbywając pytanie.

— Wysłałam ją wraz z Irulaną do Stilgara.

„Na neutralne terytorium — pomyślał. — Wkrótce nastąpią dalsze negocjacje ze zbuntowanymi plemionami. Traci grunt pod nogami i nie wie o tym… A może wie? Może jest jakaś inna przyczyna? Czyżby Stilgar przeszedł na jej stronę?”

— Zaręczyny… — powiedziała w zamyśleniu Alią. — Jakie są warunki rodu Corrinów?

— Salusa roi się od krewnych out-frejn i wszyscy łaszą się do Farad’na, mając nadzieję na jego powrót do władzy.

— A ona udziela mu nauk Bene Gesserit…

— Czy to nie właściwe dla męża Ghanimy?

Alia uśmiechnęła się do siebie, myśląc o morderczym gniewie bliźniaczki. Niech Farad’n sobie ćwiczy. Jessika szkoli trupa. Wszystko jest na najlepszej drodze.

— Muszę się poważnie zastanowić — rzekła. — Wyglądasz na bardzo spokojnego, Duncanie.

— Oczekuję na pytania.

— Rozumiem. Wiesz, byłam na ciebie zła. Musiałeś zabrać ją do Farad’na?

— Rozkazałaś, by porwaniu nadać pozory rzeczywistości!

— Wydałam oświadczenie, że was uprowadzono — powiedziała.

— Wypełniałem twoje rozkazy.

— Jesteś czasami zbyt dosłowny, Duncan. Prawie mnie przerażasz. Ale gdybyś tego nie robił, cóż…

— Lady Jessika już nam nie zaszkodzi — przerwał. — I ze względu na Ghanimę powinniśmy być wdzięczni, że…

— Niezmiernie wdzięczni — zgodziła się i pomyślała: „Nie można mu ufać. Ma zakodowaną tą przeklętą atrydzką lojalność. Muszę znaleźć wymówkę, by go odesłać… i poszukać sposobu na wyeliminowanie. Wypadek, oczywiście”.

Dotknęła jego policzka.

Idaho zmusił się do odpowiedzenia na pieszczotę, ujmując jej szczupłą dłoń i całując ją.

— Duncan, Duncan, jakie to smutne — rozczuliła się. — Nie mogę cię tu zatrzymać. Zbyt wiele się dzieje, a ja mam tak niewielu ludzi, którym mogę ufać.

Puścił jej dłoń i czekał.

— Byłam zmuszona wysłać Ghanimę do Tabr — powiedziała. — Tu jest zbyt niespokojnie. Przeżyliśmy napaść z Ziemi Skalistej. Rozwalili kanaty pod Basenem Hagga i wypuścili całą wodę na piasek. W Arrakin trudno było ją racjonować. Teraz basen zaroił się od piaskopływaków, zagarniających całą wodę. Rozprawiamy się z nimi, oczywiście, ale jest nas zbyt mało.

Zauważył wcześniej, że niewiele amazonek ze straży Alii

pozostało w Cytadeli. „Marquis z Wewnętrznej Pustyni będą wciąż szarpać jej obronę. Czy ona o tym wie?” — myślał.

— Tabr wciąż jest terenem neutralnym — kontynuowała. — Właśnie trwają tam negocjacje. Prowadzi je Dżawid z delegacją Kapłaństwa, ale chciałabym, żebyś ich obserwował w Tabr, zwłaszcza Irulanę.

— Ona jest Corrino — zgodził się.

Widział w jej oczach, że chce się go pozbyć. Jak łatwa do przejrzenia była ta imitacja Alii! Machnęła ręką.

— Idź już, Duncan, zanim zmiękną i zatrzymam cię przy sobie. Tęskniłam tak bardzo…

— Ja też za tobą tęskniłem — rzekł, pozwalając całemu żalowi ujawnić się w głosie.

Lekko wystraszyła się jego smutku.

— Do Tabr zabierze cię Zia — powiedziała. — Potrzebujemy z powrotem ornitoptera.

„Jej ulubiona amazonka — pomyślał. — Muszę być ostrożny”.

— Rozumiem — zgodził się, raz jeszcze ujmując dłoń żony. Popatrzył na tak drogie mu ciało, które niegdyś było Alią. Nie zdołał zmusić się do spojrzenia w jej oczy. Ujrzałby tam kogoś innego.

Idąc w kierunku lądowiska na dachu, Idaho stłumił narastającą lawinę pytań bez odpowiedzi. Spotkanie z Alią stanowiło wyjątkową próbę dla mentackiej części świadomości Duncana. Czekał obok ornitoptera w towarzystwie amazonki z Cytadeli, ponuro spoglądając na południe. Wyobraźnia podsunęła mu obraz Muru Zaporowego siczy Tabr.

„Dlaczego to właśnie Zia zabiera mnie do Tabr? Powrót z ornitopterem to pretekst. Dlaczego zwleka? Otrzymuje specjalne instrukcje?”

Idaho spojrzał na czujną strażniczkę i wskoczył na siedzenie pilota. Wychylił się i krzyknął:

— Powiedz Alii, że odeślę ornitopter przez jednego z ludzi Stilgara natychmiast po wylądowaniu.

Zanim zdążyła zaprotestować, zamknął drzwi i uruchomił silnik. Widział, jak strażniczka stoi osłupiała. Kto mógł zakwestionować słowa małżonka Alii? Musiał unieść ornitopter w powietrze, nim strażniczka zdecyduje, co należy uczynić.

Teraz, zostawszy sam w maszynie, pozwolił emocjom wyładować się w wielkim, unicestwiającym szlochu. Alia odeszła. Rozstali się na zawsze. Łzy wciąż płynęły z tleilaxańskich oczu, gdy szeptał:

— Niech cała woda Diuny wsiąknie w piach. Nie dorówna i tak moim łzom.

Po chwili jednak zmusił się do trzeźwej oceny wydarzeń. Ornitopter wymagał stałej uwagi. Korygowanie lotu przynosiło mu

pewną ulgę i znowu wziął się garść.

Ghanima została ze Stilgarem. Irulana także.

Dlaczego Alia chciała wysłać Zię? Spróbował skalkulować ten problem w mentacki sposób. Odpowiedź sprawiła, że skamieniał.

„Miałem zginąć w nieszczęśliwym wypadku".

> *W tej skalnej świątyni, wystawionej dla uczczenia czaszki władcy, nie są wysłuchiwane żadne modły. Wszelkie lamenty są tu daremne. Ulotny cud dwóch księżyców, cienie nocnych stworzeń — to wszystko świadczy, że jego czas przeminął. Teraz rozbrzmiewa tu tylko wiatr. Nie przybędą już pielgrzymi: goście odeszli od stołu. Pusta jest ścieżka wiodąca na tę górę.*
>
> *Wersy na Świątyni Pamięci Księcia Atrydy (anonimowe)*

Nowa idea miała dla Leto zwodniczo prostą postać: unikając wizji czyn to, czego w niej nie ujrzałeś. Wiedział, jaką pułapką jest owa myśl; jak nici niezmiennej przyszłości oplatają się, dopóki nie związą silnie swej ofiary. Teraz trzymał jednak to niebezpieczeństwo mocno w garści. Nigdzie nie widział siebie uciekającego z Dżekaraty. Najpierw trzeba było odciąć nić wizji, prowadzącą do Sabihy.

Przyklęknął na piasku kąpiącym się w resztce światła dnia, na wschodnim skraju wychodni ochraniającej Dżekaratę. Fremsak dostarczył mu tabletek wzmacniających i żywności. Leto czekał na przypływ sił. Na zachodzie leżało jezioro Azrak, gipsowa równina, gdzie kiedyś, w czasach przed czerwiami, była woda. Dalej znajdowało się Bene Sherk, zgrupowanie nowych osiedli przycupniętych na otwartym blechu. Na południu rozciągał się Tanzerouft — Kraj Grozy: trzy tysiące osiemset kilometrów pustyni przerywanej jedynie plamami unieruchomionych przez trawę wydm z oddzielaczami wiatru służącymi do ich nawadniania — postawiono je w celu ekologicznej transformacji, zmieniającej oblicze Arrakis. Obsługiwano je drogą powietrzną.

„Pójdę na południe — zdecydował. — Gurney będzie się tego po mnie spodziewał".

Nie była to odpowiednia pora na robienie czegoś zupełnie nieoczekiwanego.

Wkrótce zapadł wieczór. Leto mógł wreszcie opuścić swoje chwilowe schronienie. Popatrzył na południowy horyzont. Wzdłuż

jego linii niebo przybrało kolor brunatny. Falujący pas pyłu zapowiadał burzę. Leto widział jego wysoki środek górujący nad Wielką Równiną jak szukający zdobyczy czerw. Przez ponad minutę wpatrywał się weń i stwierdził, że burza nie przesuwa się w lewo ani w prawo. Stare fremeńskie powiedzenie ostrzegało: „Gdy środek nawałnicy się nie rusza, jesteś na jej drodze".

Ta burza zmieniła jego plany.

Obejrzał się na zachód, w kierunku siczy Tabr i ujrzał na pustyni złudny, szarobrązowy spokój wieczoru: białą gipsową nieckę, okoloną zaokrąglonymi przez wiatr kamykami, wyschniętą pustkę o jakby nierealnej powierzchni, odbijającej obłoki pyłu. Nigdy, w żadnej wizji, nie widział siebie w paszczy szarego gada — pra-matki burzy, ani też zakopanego zbyt głęboko w piasku, by móc przeżyć. Miał wprawdzie wizję, że toczył się z wiatrem… Ale odniósł wrażenie, że zapowiada ona późniejsze wydarzenia.

Na południu szalała burza, przemierzając kolejne stopnie szerokości geograficznej, chłoszcząc po drodze świat, by zmusić go do poddania. Leto postanowił zaryzykować. Istniały stare opowieści mówiące, że można utrzymać wyczerpanego czerwia na powierzchni przez podparcie hakiem stworzyciela jednego z jego szerokich pierścieni i stłumiwszy opór bestii, wyjechać z burzy, poruszając się po zawietrznej. W takim zuchwalstwie było coś kuszącego. Burza nadciągnie około północy. Miał czas. Jak wiele nici wizji można było tu przeciąć? Czyżby wszystkie, łącznie z najważniejszą?

„Gurney będzie się spodziewał, że powędruję na południe, ale nie w czasie trwania burzy".

Spojrzał w tym kierunku, szukając drogi. Zobaczył rozmyty, mahoniowego koloru wylot głębokiego wąwozu wijącego się wśród skał Dżekaraty. Widział, jak wiatr buszuje we wnętrznościach wąwozu, chimerycznie rozrzucając piach. Podmuchy tworzyły na równinie pyszne strumienie. Leto zarzucił fremsak na ramię i szedł w dół ścieżką prowadzącą do wąwozu. Było jeszcze jasno, ale chłopiec wiedział, że zaczyna się dlań wyścig z czasem.

Kiedy osiągnął skraj urwiska, nagle zapadła noc — w sposób charakterystyczny dla centralnej pustyni. Dalej drogę ku Tanzerouft oświetlało tylko sinawe glissando blasku księżyca. Wędrowiec czuł, jak jego serce przyspiesza rytm uderzeń, reagując tak na lęki dostarczane mu przez bogactwo wspomnień. Zaczął schodzić ku Huanui-Naa, bo tak Fremeni nazywali największą burzę: Zgonsusznia Ziemi. Każdy krok oddalał go od wywołanej przez przyprawę dhyany, pobudzającej świadomości jego twórczej i intuicyjnej natury, ogarniającej niezmienne łańcuchy przyczynowości. Na każde sto kroków, które teraz czynił, musiał robić przynajmniej jeden w bok: poza słowa i we wspólnotę z nowo ogarniętą wewnętrzną rzeczywistością.

„Tak czy inaczej, zmierzam ku tobie, ojcze”.

W skałach gnieździły się niewidoczne ptaki, oznajmiające cichymi piskami swoje istnienie. Leto wsłuchiwał się fremeńskim sposobem w echa tych odgłosów. Wskazywały mu drogę w ciemności. Często, kiedy mijał szczeliny w skale, widział zgubną zieleń oczu stworzeń przycupniętych w zagłębieniach. Zwierzęta wiedziały o zbliżającej się burzy.

Wyszedł z wąwozu na pustynię. Żywy piasek drgał i oddychał, szepcząc o ukrytych rozpadlinach. Leto spojrzał na rozjaśnione światłem księżyca stożki lawy u podstawy Dżekaraty. Wbił w piach dudnik, by przywołać czerwia, i gdy usłyszał znajome uderzenia, zajął pozycję obserwacyjną. Nieświadomie sięgnął prawą ręką po atrydzki pierścień z jastrzębiem, skryty w zawiązanym fałdzie diszdeszy. Gurney znalazł go, ale nie zabrał. Co pomyślał, widząc pierścień Paula?

„Ojcze, już wkrótce przybędę”.

Czerw nadszedł z południa. Skręcił, by uniknąć skał. Nie był tak wielki, jak oczekiwał Leto. Chłopiec ocenił jego prędkość, wbił haki i wdrapał się po nierównym boku najszybciej, jak mógł, nim czerw prześliznął się po dudniku, rozpylając ze świstem obłok pyłu. Czerw skręcił bez oporu pod naciskiem haków. Pęd powietrza wywołany szybkością bestii zaczął trzepotać szatą Leto, który przeniósł spojrzenie na gwiazdy na południu, zmętniałe pod warstwą kurzu. Zmusił czerwia, by ruszył w tę stronę.

Prosto w burzę.

Gdy wszedł Pierwszy Księżyc, Leto ocenił moc nawałnicy. Stwierdził, że dotarcie do niej potrwa dłużej niż myślał. Nie zdąży przed świtem. Rozprzestrzeniała się, nabierając energii przed wielkim skokiem. Ekipy transformacji ekologicznej będą miały pełne ręce roboty. Wyglądało to tak, jakby planeta walczyła z nimi w świadomej wściekłości, narastającej w miarę, jak przekształcenie obejmowało coraz większe tereny.

Całą noc Leto zmuszał czerwia do wędrówki na południe, oceniając zasoby jego energii po ruchach wyczuwanych przez stopy. Od czasu do czasu pozwalał bestii skręcić na zachód, co wciąż starała się zrobić, kierowana prymitywną obawą przed nadciągającym żywiołem. Czerwie zakopywały się głęboko, by umknąć niosącemu piach wiatrowi, lecz ten, którego schwytał Leto, nie mógł pogrążyć się w pustyni, dopóki haki stworzyciela utrzymywały otwarty choć jeden pierścień.

O północy czerw wykazywał już oznaki wyczerpania. Ześlizgiwał się z największych zboczy i trawersował je, zwalniając przy tym, lecz wciąż podążając na południe.

Burza uderzyła tuż po świcie. Pustynia najpierw znieruchomiała.

Stłoczone wydmy wyglądały jak paciorki. Następnie gęstniejący kurz zmusił Leto do uszczelnienia maski filtrfraka na twarzy. W szarym pyle okolica nabrała wyglądu brunatnego rysunku, pozbawionego ostrych linii. Igły piasku drapały policzki Leto i żądliły powieki. Chłopiec wyczuł gruby pył kamienny na języku i zrozumiał, że musi podjąć decyzję. Czy powinien zaryzykować i, w myśl starych opowieści, unieruchomić niemalże śmiertelnie wyczerpanego czerwia? Błyskawicznie wyzbył się tej myśli, po czym przesunął się na ogon bestii i poluzował haki. Zmęczony czerw zaczął ryć w piachu. Efekty uboczne działania układu przetwarzania ciepła stwora wciąż wzbijały za nim cyklon wśród narastającej burzy. Fremeńskie dzieci już od pierwszych lekcji uczyły się o niebezpieczeństwie przebywania na ogonie czerwia. Zwierzęta te były fabrykami tlenu, a w miejscu ich przejścia dziko buzował ogień podsycany przez obfite wyziewy z procesów chemicznego przystosowania się do tarcia.

Piach biczował stopy Leto, chłopiec zwolnił więc haki i odskoczył możliwie najdalej, by uniknąć żaru otaczającego ogon czerwia. Wszystko zależało teraz od tego, czy uda mu się dostać pod powierzchnię piasku, w miejscu, gdzie szej-hulud naruszył nieco jego powierzchnię.

Chwytając w lewą rękę kondensator elektrostatyczny, począł się zakopywać po zawietrznej stronie wydmy. Czerw był zbyt zmęczony, by odwrócić się i pochłonąć intruza wielką, biało-pomarańczową paszczą. Kopiąc lewą ręką, prawą Leto wydobył z fremsaka filtrnamiot i przygotował go do nadmuchania. Zajęło mu to niecałą minutę: umocował namiot na twardej ścianie wnęki w piasku. Po chwili znalazł się już w bezpiecznym wnętrzu. Przed zapięciem wejścia wyciągnął rękę z kondensatorem elektrostatycznym i odwrócił jego działanie. Piasek z powierzchni osypał się na namiot. Tylko kilka ziarenek dostało się do środka, gdy zasuwał wejście.

Teraz musiał działać jeszcze szybciej. Nie mógł wystawić na zewnątrz piachochrapów, by zapewnić sobie dostawę świeżego powietrza, bo nie sięgnęłyby powierzchni. Burza była z rodzaju tych, które dają niewiele szans na przeżycie. Mogła zasypać namiot tonami piasku. A przed nawałnicą chłopca chronił jedynie delikatny pęcherz filtrnamiotu z utwardzoną zewnętrzną warstwą.

Leto położył się płasko na plecach, założył ręce na piersiach i powoli zaczął zapadać w przypominający odrętwienie trans, w którym płuca wykonywały tylko jeden ruch na godzinę. Zanurzał się w nieznane. Burza się skończy, a on, jeżeli nawałnica wcześniej nie zerwie kruchego okrycia, wydostanie się… albo zawita w Madinat-as-Salam, Siedzibie Spokoju. Musiał zerwać nici wizji, jedna po drugiej, pozostawiając tylko Złotą Drogę. Inaczej nie mógłby powrócić do kalifatu następców ojca. Nie mógłby więcej przeżyć zakłamania

Desposyni, w którym zawodzono pieśni do demiurga — jego ojca. Nie mógłby zachować milczenia w czasie, gdy kapłan wypowiadał nonsens: „Ten krysnóż odegna demony!”

Podjąwszy takie postanowienie, świadomość Leto wśliznęła się w sieć bezczasowego dao.

> *W każdym systemie planetarnym przejawiają się oczywiste wpływy wyższego rzędu. Często się to demonstruje, rozpatrując przeniesienie terrańskich form życia na nowo odkryte planety. We wszystkich przypadkach w zbliżonych warunkach rozwijają się uderzająco podobne gatunki. Znaczy to coś więcej, niż identyczność zaadaptowanych kształtów. Świadczy o zorganizowanym nastawieniu na przetrwanie. Odkrywanie współzależnego ładu i naszego w nim miejsca jest głęboką koniecznością. Ale wysiłek ten może przerodzić się w zachowawcze poszukiwanie jednakowości, a to zawsze okazywało się zgubne dla całego układu.*
>
> *„Katastrofa Diuny” według Harq al-Ady*

— Mój syn tak naprawdę nie widział przyszłości; widział jedynie proces jej stwarzania i jego powiązania z mitami, o których śni ludzkość — wyjaśniała Jessika. Mówiła szybko, lecz nie wydawało się, że chce zbyć poruszoną kwestię. Zdawała sobie sprawę, że ukryci obserwatorzy znaleźliby sposób na przerwanie rozmowy, gdyby tylko zorientowali się, do czego zmierza.

Farad’n siedział na posadzce, oblany strumieniem popołudniowego światła wpadającego przez znajdujące się za nim okno. Jessika, spoglądając z miejsca, w którym stała pod przeciwległą ścianą, mogła dojrzeć wierzchołek drzewa w ogrodzie na dziedzińcu. Farad’n, którego teraz widziała, nie był już tym Farad’nem z początkowego okresu ich znajomości: był bardziej wysmukły, bardziej muskularny. Miesiące ćwiczeń zaowocowały znacznymi postępami w nauce. Oczy mu błyszczały, gdy patrzył na nią.

— Widział kształty rzeczy, które stworzyłyby istniejące siły, gdyby im nie przeszkadzano — kontynuowała Jessika. — Zamiast zwrócić się przeciw współtowarzyszom, wolał zwrócić się przeciw

sobie. Odrzucił przyjmowanie wyłącznie uspokajających wieści, bo taki sposób postępowania traktował jako zwykłe tchórzostwo.

Farad'n nauczył się słuchać w milczeniu, analizując, oceniając, powstrzymując się od pytań, dopóki nie sformułował ich tak, by cięły jak lancet. Jessika najpierw mówiła o eksperymentach Bene Gesserit, przeprowadzanych z pamięcią molekularną wyrażoną jako rytuał, aż wreszcie zupełnie naturalnie przeszła do rozważań nad osobą Muad'Diba. Farad'n jednakże wyczuwał w jej słowach i czynach grę podtekstów.

— Z naszych obserwacji ta oto jest najbardziej istotna — stwierdziła. — Życie jest maską, przez którą wszechświat wyraża siebie. Przyjmujemy, że cała ludzkość i jej pomocnicze formy życia reprezentują naturalną społeczność i że los całej ludzkości nie jest ważniejszy od losu jednostki. Kiedy więc ktoś dochodzi do ostatecznego zrozumienia świata, amor fati, przestajemy grać rolę Boga i zaczynamy nauczanie. W żarnach szkolenia wybrane jednostki czynimy tak wolnymi, jak tylko jest to możliwe.

Wiedział, dokąd zmierzała i jaki efekt wywrze to na obserwatorach, ale powstrzymał się od rzucenia porozumiewawczego spojrzenia w stronę drzwi. Tylko wyćwiczone oko mogło wykryć ową chwilową nierównowagę. Jessika dostrzegła ją i uśmiechnęła się pogodnie.

— Otrzymujesz coś w rodzaju promocji — rzekła. — Jestem z ciebie zadowolona, Farad'n. Wstań, proszę.

Usłuchał, zauważając jej spojrzenie utkwione w wierzchołek drzewa za jego plecami.

Sztywno trzymając ręce przy bokach, zacytowała:

— „Stoję w uświęconej ludzkiej obecności. Tak jak ja czynię to teraz, ty będziesz stał pewnego dnia. Modlę się do twej osoby, by tak się stało. Przyszłość jest niepewna i tak być powinno, ponieważ jest płótnem, na którym malujemy nasze pragnienia. W ten sposób kondycja ludzka zawsze znajduje się w obliczu cudownie pustych płócien. Mamy tylko tę chwilę, w której oddajemy się uświęconej obecności".

Gdy Jessika skończyła mówić, przez drzwi po lewej stronie wszedł Tyekanik, poruszając się z fałszywą obojętnością, której kłam zadawał mars na jego twarzy.

— Panie… — powiedział.

Ale interweniował zbyt późno. Słowa Jessiki i wcześniejsze przygotowania odniosły zamierzony skutek. Farad'n już nie był Corrinem. Był teraz Bene Gesserit.

Tym, czego wy w dyrektoriacie KHOAM wydajecie się nie pojmować, jest to, że w handlu rzadko obowiązuje lojalność. Kiedy ostatni raz słyszeliście o urzędniku, który oddal życie za Kompanię? Być może wasza niemożność zrozumienia faktów opiera się na fałszywym założeniu, że możecie rozkazywać ludziom myśleć i współpracować. Takie założenie doprowadziło w historii do klęski wielu ekip, począwszy od religii, skończywszy na sztabach generalnych. Sztaby generalne mają na koncie długą listę narodów, które zniszczyły. Odnośnie religii, zalecam powtórne przeczytanie Tomasza z Akwinu. Wierzycie w nonsensy! Ludzie muszą działać z własnych pobudek. Człowiek, nie organizacje handlowe, jest tym, co sprawia, że trwają wielkie cywilizacje. Każda cywilizacja zależy od jakości jednostek, które ją tworzą. Jeżeli będziecie nadmiernie kontrolować ludzi, jeżeli zbyt ściśle uciśniecie ich prawem i stłumicie dążenie do wielkości — nie będą potrafili pracować i ich cywilizacja runie.

list do KHOAM przypisywany Kaznodziei

Leto wyszedł z transu z charakterystyczną łagodnością przejścia z jednego stanu w drugi, która nie pozwalała ich nawet odróżnić. Wyższy poziom świadomości przeszedł po prostu w niższy.

Wiedział, gdzie się znajduje. Odnowienie zasobów energetycznych pobudziło go do życia, ale w nieświeżej duchocie pozbawionego niemal tlenu powietrza w filtrnamiocie odczytał i inną informację. Jeżeli nic nie zrobi, zostanie pochwycony przez bezczasową sieć, wieczne teraz, w którym współistniały wydarzenia. Było to kuszące. Leto stwierdził, na własny użytek, że czas jest konwencją ukształtowaną przez zbiorowy umysł istot inteligentnych. Czas i Przestrzeń byty kategoriami narzuconymi przez ten właśnie

umysł. Wystarczyło wyłamać się z wewnętrznego tłumu, by śmiała selekcja mogła odrzucić prowizoryczne przyszłości. Jak wielkiej śmiałości potrzebowałby?

Pociągał go stan transu. Leto rozumiał, że przeszedł z Alam al-Mithal do wszechświata rzeczywistości tylko po to, by stwierdzić, że są identyczne. Chciał zachować magię deszyfracji rihani, ale potrzeba przetrwania wymagała od niego działania. Nieustępliwe pragnienie życia wysyłało wzdłuż nerwów sygnały alarmowe.

Gwałtownie wyciągnął prawą rękę tam, gdzie zostawił kondensator elektrostatyczny, chwycił go, przetoczył się na brzuch i zwolnił zwieracz namiotu. Przez powstały otwór sypnęła struga piasku. Pracując w ciemności, pospiesznie wykopywał tunel pod ostrym kątem. Pokonał sześć długości swego ciała, zanim poczuł powiew świeżego powietrza. Wyśliznął się na zalaną światłem księżyca powierzchnię długiej, skręcającej diuny i stwierdził, że znajduje się mniej więcej na jednej trzeciej jej wysokości.

W górze wisiał Drugi Księżyc. Po chwili zniknął, zachodząc za wydmę. Naraz rozbłysły gwiazdy, jak jasne kamienie na drodze. Leto szukał konstelacji Wędrowca: znalazł ją i skierował spojrzenie wzdłuż wyciągniętej ręki, ku migoczącej Foum al-Hout, gwieździe bieguna południowego.

„Oto przeklęty wszechświat” — pomyślał. Widziany z bliska był ruchomy tak, jak piasek wokół, był miejscem zmian, wyjątkowości goniącej wyjątkowość. Widziany z daleka ujawniał zarysy, które kusiły do tego, by uwierzyć w absolut.

„W absolucie można zgubić drogę” — pomyślał. I zaraz przyszły mu do głowy słowa z fremeńskiej śpiewki: „Kto gubi drogą w Tanzerouft, gubi swe życie”. Wzorce są doskonałym przewodnikiem, ale i pułapką. Należało pamiętać, że się zmieniają.

Głęboko wciągnął powietrze w płuca, a następnie ześliznął się z powrotem w dół korytarza, spuścił powietrze z namiotu, wydobył go i zapakował do fremsaka.

Na wschodnim horyzoncie zabłysła poświata koloru wina. Leto zarzucił torbę na ramię, wspiął się na grzbiet wydmy i stał tam w przejmującym zimnie przedświtu, dopóki wschodzące słońce nie ogrzało jego prawego policzka. Posmarował się czarną farbą pod oczodołami, by zredukować odbicie światła, wiedząc, że teraz musi się raczej zalecać do pustyni niż przed nią uciekać. Gdy schował z powrotem barwnik do torby, napił się z jednego z wodowodów, wciągając do ust zaledwie parę kropel i powietrze.

Leto opadł na kolana i dokonał przeglądu filtrfraka, docierając w końcu do pomp piętowych. Ktoś gładko przeciął je nożem igłowym. Wyśliznął się z kombinezonu i naprawił usterkę, ale szkoda już się stała. Co najmniej połowa wody zniknęła. Gdyby nie kieszenie łowne

filtrnamiotu… Rozmyślał o tym, wkładając filtrfrak. Dziwne, że niczego nie podejrzewał. Było to oczywiste zagrożenie dla przyszłości jego wizji.

Leto przykucnął na szczycie diuny, podziwiając absolutną samotność tego miejsca. Pozwolił wzrokowi błądzić w poszukiwaniu pojawiających się na piachu z charakterystycznym świstem otworów: nieregularności, mogących wskazywać na występowanie przyprawy, bądź aktywność czerwia. Burza wytłoczyła jednak na krajobrazie piętno monotonii. Wyciągnął z torby dudnik, odblokował go i wbił w piach, by przywołać szej-huluda z głębin. Odszedł na bok i zaczął nasłuchiwać.

Musiał długo czekać. Usłyszał stwora, zanim go zobaczył. Odwrócił się ku wschodowi, gdzie odgłos rytego gruntu wprawiał powietrze w drżenie. Czerw dźwignął się z głębi, osypując góry pyłu, pokrywające jego boki. Szara ściana przemknęła obok Leto, który wbił w nią haki i zręcznie wspiął się na górę. Zawrócił czerwia na południe już w chwili wchodzenia nań, pozostawiając za sobą wielki, półkolisty ślad. Bestia nabierała prędkości pod wpływem drażniących haków. Wiatr łopotał szatą Leto.

Czerw należał do rodzaju, który Fremeni nazywali „ryczącymi". Często zakopywał w piach swe przednie pierścienie i odpychał się ogonem, co wywoływało charakterystyczne, grzmiące dźwięki. Czerw był jednak szybki i gdy natrafili na wiatr wiejący z tyłu, ogniste wyziewy z ogona bestii owiewały Leto potokami żaru, pełnymi kwaśnego odoru.

Gdy stwór zaczął zmierzać na południe, Leto odprężył się. Starał się myśleć o tej podróży jako o cenie, którą trzeba zapłacić za dojście do Złotej Drogi. Niczym Fremeni z dawnych czasów, wiedział, że musi przyjąć nowe obyczaje, by uchronić osobowość przed rozpadem na fragmenty pamięci, by utrzymać w garści szalejących drapieżców z jego duszy. Sprzeczne wyobrażenia, niemożliwe do pogodzenia, musiały zostać wyeliminowane.

„Zawsze nowe — pomyślał. — Zawsze trzeba znajdować nowe nici w wizji".

Wczesnym popołudniem uwagę Leto przykuła wyniosłość położona nieco na prawo od kursu czerwia. Wkrótce stała się ona wąskim grzbietem, skałą wystającą dokładnie tam, gdzie się jej spodziewał. „Teraz, Namri… Teraz, Sabiho, zobaczymy, jak wasi bracia przyjmują wędrowca" — pomyślał. Przed nim rozciągała się najdelikatniejsza z nici, niebezpieczna bardziej przez swe powaby niż zagrożenia.

Grzbiet skalny przez długi czas zmieniał rozmiary. Momentami robił wrażenie, że to on zbliża się do Leto, a nie Leto do niego.

Zmęczony czerw ustawicznie zbaczał w lewo. Leto ześliznął się po

olbrzymim boku, by od nowa rozstawić haki i utrzymać giganta na prostym kursie. Łagodna woń melanżu podrażniła nozdrza jeźdźca: oznaka bogatej żyły. Zobaczył plamy fioletowego piasku tam, gdzie nastąpił wybuch przyprawowy. Musiał trzymać czerwia mocno na wodzy, dopóki nie minęli żyły. Bryza pachnąca silnie wonią cynamonu ścigała ich, dopóki Leto nie nadał bestii nowego kursu, kierując go prosto ku wystającej skale.

Nagle daleko na południu w blechu zamigotały barwy — tęczowy blask czegoś, co pozostawił człowiek. Leto podniósł lornetkę, zgrał soczewki olejowe i zobaczył w oddali błyskające skrzydła szperacza przyprawowego. Jeszcze dalej wielka żniwiarka składała skrzydła jak poczwarka przed otoczeniem się kokonem. Kiedy Leto opuścił lornetkę, żniwiarka zmalała do wielkości plamki. Poczuł się pokonany przez hadhdhab, potężną wszechobecność pustyni. Domyślił się, że łowcy przyprawy dojrzeli go — ciemny punkt między niebem i pustynią: fremeński symbol człowieka. Bez wątpienia wypatrzyli czerwia i teraz będą ostrożni. Będą czekać. Fremeni zawsze byli podejrzliwi przy spotkaniach na pustyni, dopóki nie rozpoznali przyjaciela w przybyszu albo nie upewnili się, że nie stanowi on zagrożenia. Nawet przyjmując subtelne zwyczaje cywilizacji Imperium i jego wyrafinowane zasady, pozostali na pół okiełznanymi dzikusami, przekonanymi, że krysnóż załatwia większość spraw.

„Właśnie to może nas ocalić — pomyślał Leto. — Ta dzikość".

Szperacz przyprawowy przechylił się na prawo, później na lewo, dając znaki. Wyobraźnia podsunęła Leto obraz ludzi w środku maszyny, wypatrujących czujnie oznak, czy nie mają do czynienia z czymś więcej niż pojedynczym jeźdźcem na samotnym czerwiu.

Leto skierował „wierzchowca" w lewo, przytrzymując go dopóki nie zmienił kursu, a potem szybko ześliznął się po boku i odskoczył. Czerw uwolniony od haków zabawił na powierzchni czas potrzebny na wykonanie kilku oddechów, a następnie zanurzył w piasku przednią część ciała i w tej pozycji znieruchomiał. Oznaczało to, że jechano na nim zbyt długo.

Leto odwrócił się od czerwia: on tu zostanie. Szperacz okrążał gąsienik, wciąż dając znaki skrzydłami. Zapewne byli to opłacani przez przemytników renegaci, obawiający się nowoczesnych środków komunikacji. Łowcy, którzy trafili na żyłę przyprawy. O tym właśnie świadczyła obecność gąsienika.

Szperacz jeszcze raz okrążył żniwiarkę, przechylił skrzydła, wyszedł z kręgu i skierował się wprost na Leto. Chłopiec rozpoznał ornitopter lekkiego typu, który na Arrakis sprowadził jego dziadek. Pojazd okrążył go, przeleciał wzdłuż diuny, na której stał Leto, i zszedł w dół pod wiatr. Wylądował dziesięć metrów dalej, podnosząc tuman kurzu. Drzwiczki rozchyliły się na tyle, by wypuścić pojedynczą postać

w ciężkiej, fremeńskiej szacie, z symbolem włóczni na prawej piersi.

Fremen podchodził powoli, dając im obojgu czas na przyglądnięcie się sobie nawzajem. Mężczyzna miał oczy barwy indygo — skutek przyprawy. Maska filtrfraka skrywała mu dolną połowę twarzy, a kaptur specjalnie nasunięty był głęboko na czoło, by osłonić brwi. Ruch szaty zdradzał, że w dłoni dzierży pistolet maula.

Fremen zatrzymał się dwa kroki od Leto.

— Przychylności losu dla nas wszystkich — rzekł Leto. Mężczyzna rozejrzał się dookoła, badając pustkę, a następnie wrócił spojrzeniem do Leto. Jego głos tłumiła maska filtrfraka.

— Co tu porabiasz, dziecino? Starasz się być korkiem w dziurze po czerwiu?

Leto znów użył tradycyjnej fremeńskiej formuły:

— Pustynia jest mym domem.

— Wenn? — zapytał z naciskiem mężczyzna. Skąd przybywasz?

— Wędruję na południe. Wyruszyłem z Dżekaraty. Mężczyzna ryknął nagłym śmiechem.

— Dobrze, Batighu! Jesteś najdziwniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem w Tanzerouft.

— Nie jestem Małym Melonem — odpowiedział Leto, nawiązując do nazwy „Batigh". To określenie zawierało niemiłe podteksty. Mały Melon ofiarowywał wodę każdemu znalazcy na skraju pustyni.

— Nie wypijemy cię, Batighu — odparł mężczyzna. — Nazywam się Muriz. Jestem arifem tego taifu. — Wskazał ruchem głowy na gąsienik przyprawowy.

Leto zauważył, w jaki sposób ów człowiek nazwał się sędzią grupy i określił innych słowem „taif", oznaczającym bandę lub towarzystwo. To nie było ichwan, braterstwo. Na pewno płatni renegaci. Znalazł nić, której potrzebował.

Gdy chłopak wciąż milczał, Muriz zapytał:

— Masz jakieś imię?

— Batigh wystarczy. Murizem wstrząsnął śmiech.

— Nie powiesz mi, dlaczego tu jesteś?

— Szukam śladów stóp czerwia — odparł Leto, używając religijnej frazy, wyjaśniającej, że był w hadżdż do własnej ummy, czyli osobistego objawienia.

— Taki młody? — zapytał Muriz. Potrząsnął głową. — Nie wiem, co z tobą zrobić. Widziałeś nas.

— Cóż widziałem? — odpowiedział pytaniem Leto. — Mówiłem o Dżekaracie, a ty nie zareagowałeś.

— Grasz ze mną w zagadki? — stwierdził Muriz. — Zatem, co to jest? — Skinął głową ku odległym skałom.

Leto przemówił, wykorzystując słowa ze swej wizji:

— Tylko Szuloch.

Muriz nagle zesztywniał.

Zapadło długie milczenie. Leto mógł obserwować, jak mężczyzna rozważa i odrzuca rozmaite wątpliwości. Szuloch! W czasie ciszy po siczowych posiłkach powtarzano opowieści o karawanseraju Szuloch. Słuchacze zawsze zakładali, że Szuloch jest mitem, miejscem, w którym dzieją się ciekawe rzeczy wymyślone dla dobra opowieści. Leto przywołał wspomnienie jednej z nich: na skraju pustyni znaleziono dziecko i przyniesiono je do siczy. Zrazu podrzutek nie odpowiadał na pytania, a gdy wreszcie przemówił, nikt nie potrafił zrozumieć jego słów. Dni mijały, a wciąż nie można się było z nim dogadać. Za każdym razem, gdy zostawał sam, wykonywał niezrozumiałe ruchy dłońmi. Specjaliści w siczy nie znaleźli żadnego racjonalnego wytłumaczenia dla dziwnego zachowania przybysza. Aż kiedyś ujrzała go bardzo stara kobieta: zobaczyła poruszające się dłonie i roześmiała się. „Naśladuje ojca, który zwijał włókno przyprawowe w linę — wyjaśniła. — W ten sposób robią to jeszcze w Szulochu. On po prostu chce być mniej samotny". A morał: w czasach Szulochu istniało bezpieczeństwo i poczucie przynależności do złotej nici życia.

Ponieważ Muriz wciąż milczał, Leto powiedział:

— Jestem podrzutkiem z Szulochu, który wie tylko, jak poruszać rękoma.

Po gwałtownym ruchu głowy mężczyzny poznał, że Muriz znał tę historię. Fremen odpowiedział powoli, z nutą groźby w głosie:

— Jesteś człowiekiem?

— Tak jak ty — odparł Leto.

— Mówisz bardzo dziwnie. Przypominam ci, że jestem sędzią potrafiącym zareagować na taqwę.

„Ach tak" — pomyślał Leto. W ustach sędziego zwrot „taqwa" niósł poważną groźbę: oznaczał lęk wywołany obecnością demona. Arif znał sposoby zabicia demona i wybierano go zawsze ze względu na mądrość bycia bezlitosnym bez okrucieństwa; wiedzę, kiedy uprzejmość jest w rzeczywistości drogą do większego okrucieństwa".

Napięcie wzrosło do punktu, na który czekał Leto. Rzekł więc:

— Mogę się poddać Mashad.

— Będę sędzią Próby Duchowej — powiedział Muriz. — Zgadasz się?

— Bi-lal-kaifa — odparł Leto. Bezwarunkowo.

Na twarzy mężczyzny pojawił się przebiegły uśmiech.

— Nie wiem, dlaczego się zgadzam — rzekł. — Najlepiej byłoby cię zabić od ręki, ale jesteś małym Batighem, a ja miałem syna, który nie żyje. Chodź, pójdziemy do Szulochu. Zbiorę Isnad, żeby podjęli decyzję.

Leto rozpoznał w zachowaniu Fremena zapowiedź wyroku

śmierci.

— Wiem, że Szuloch jest ahl as-sunna wal-jamas.

— Co dziecko może wiedzieć o prawdziwym świecie? — powiedział Muriz, zmuszając Leto, by szedł przed nim.

Leto usłuchał, ale starannie wyłapywał uchem dźwięk kroków Fremena.

— Najpewniejszą metodą zachowania tajemnicy jest sprawienie, by ludzie wierzyli, że już ją znają — rzekł Leto. — Nie zadają wtedy pytań. Bardzo sprytne posunięcie z waszej strony, ze strony tych, których wyrzucono z Dżekaraty. Kto uwierzyłby, że Szuloch, miejsce z opowieści i mitów, istnieje naprawdę? Sytuacja wygodna dla przemytników, czy kogokolwiek innego, kto chciałby mieć wolny dostęp do Diuny.

Kroki Muriza ucichły. Leto odwrócił się plecami do ornitoptera.

Muriz stał pół kroku dalej, z wycelowanym pistoletem maula.

— Więc nie jesteś dzieckiem — powiedział. — Przeklęty kurduplu, zjawiłeś się, żeby nas szpiegować! Podejrzewałem to, bo mówisz zbyt mądrze jak na dziecko, ale teraz zdradziłeś się.

— Mało tego — odparł chłopiec. — Jestem Leto, syn Paula Muad'Diba. Jeżeli zabijesz mnie, ty i twoi ludzie zginą w piachu. Jeżeli mnie oszczędzisz, poprowadzę was ku wielkości.

— Nie próbuj ze mną gierek, kurduplu — szydził Muriz. — Jesteś takim Leto, jak prawdziwa jest Dżekarata, skąd podobno przybywasz… — Przerwał. Ręka z pistoletem opadła mu lekko, gdy zmarszczył ze zdumieniem brwi.

Tego oczekiwał Leto. Jego mięśnie upozorowały ruch na lewo, podczas gdy ciało odchyliło się w prawo i sprawiło, że pistolet Fremena zatoczył nieskoordynowany łuk w stronę skrzydła ornitoptera. Zanim Muriz zdołał go podnieść, Leto był już blisko, przyciskając do jego pleców krysnóż.

— Ostrze jest zatrute — poinformował. — Powiedz przyjacielowi w ornitopterze, żeby został dokładnie tam, gdzie znajduje się w tej chwili. Inaczej będę zmuszony cię zabić.

Muriz, ściskając skaleczoną dłoń, potrząsnął głową w stronę postaci w maszynie i powiedział:

— Mój towarzysz Behaleth słyszał cię. Pozostanie nieruchomy jak skała.

Zdając sobie sprawę, że ma bardzo mało czasu, dopóki tych dwóch nie wypracuje planu działania, bądź ich przyjaciele nie zjawią się, by zbadać, co się stało, Leto wyjaśnił prędko:

— Potrzebujesz mnie, Muriz. Beze mnie czerwie i przyprawa znikną z Diuny.

Fremen zesztywniał.

— Ale skąd wiesz o Szulochu? — zapytał Muriz. — W Dżekaracie

nie mogli o tym mówić.

— Przyznajesz więc, że jestem Leto Atrydą?

— Kim innym możesz być? Ale skąd…

— Ponieważ cię spotkałem — odparł Leto. — Szuloch istnieje, więc resztę łatwo odgadnąć. Jesteście wygnańcami, którzy uciekli, gdy zniszczono Dżekaratę. Widziałem znaki, jakie dawaliście skrzydłami, zatem nie używacie żadnych urządzeń, które można by było podsłuchać na odległość. Zbieracie przyprawę, zatem handlujecie. Jesteś przemytnikiem, ale także Fremenem. Musisz być z Szulochu.

— Dlaczego prowokowałeś mnie, bym cię zabił na miejscu?

— Ponieważ zabiłbyś mnie, kiedy dotarlibyśmy do Szulochu. Ciało Muriza raptownie zesztywniało.

— Ostrożnie, Muriz — ostrzegł Leto. — Wiem o was dużo. Kiedyś zabieraliście wodę nieroztropnym wędrowcom. Przypuszczam, że ten rytuał się zachował. Jak inaczej uciszalibyście nieopatrznych, którzy natknęli się przypadkiem na Szuloch? Jak inaczej utrzymalibyście tajemnicę? Batigh. Zwodziłeś mnie łagodnymi określeniami i uprzejmością. Po co tracić choć odrobiny mej wody w piasku?

Muriz prawą dłonią uczynił znak „Rogów Czerwia", by odegnać magię rihani, którą przywoływały słowa Leto. A Leto — wiedząc, że starzy Fremeni nie ufali mentatom ani czemukolwiek, co wykazywało zbytnią logikę — stłumił uśmiech.

— Namri zdradził nas w Dżekaracie — rzekł Muriz. — Dostanę jego wodę, kiedy…

— Nie dostaniesz niczego, oprócz suchego piasku, jeżeli nadal będziesz zgrywał durnia — odparł Leto. — Co zrobisz, gdy cała Diuna pokryje się zieloną trawą, drzewami i otwartymi zbiornikami wody?

— Nigdy do tego nie dojdzie!

— Ten proces zachodzi na twoich oczach. Leto usłyszał, jak zęby Muriza zgrzytają z gniewu i frustracji. Po chwili mężczyzna rzucił ostro:

— Co możesz zrobić, żeby temu zapobiec?

— Znam plan przekształcenia — odparł Leto. — Znam każdą jego słabość, każdą mocną stronę. Beze mnie szej-hulud wyginie na zawsze.

Muriz zapytał z nutą przebiegłości w głosie:

— Po co w ogóle dyskutujemy? Jesteśmy w impasie. Masz nóż. Możesz mnie zabić, ale Behaleth cię zastrzeli.

— Nie, ponieważ podniosłem twój pistolet — rzekł Leto. — Zdobędę ornitopter. Tak, potrafię go poprowadzić.

Zmarszczenie brwi pobruździło czoło Muriza pod kapturem.

— A jeżeli nie jesteś tym, za kogo się podajesz?

— Czy ojciec mnie nie rozpozna? — zapytał Leto.

— Aaach — powiedział Muriz. — Więc i tego się dowiedziałeś, co? Ale… — Przerwał, potrząsnął głową. — Mój syn jest jego

przewodnikiem. Mówi, że wy dwaj nigdy się nie… Skąd możesz…

— Więc nie wierzycie, że Muad'Dib odczytuje przyszłość! — stwierdził Leto.

— Oczywiście, że wierzymy! Ale on mówi o sobie, że… — Muriz znowu przerwał.

— I myślisz, że Muad'Dib nie wyczuwa waszej nieufności? — zadrwił Leto. — Zjawiłem się we właściwym miejscu, o właściwej porze, by cię spotkać, Muriz. Wiem o tobie wszystko, bo widziałem cię… i twojego syna. Wiem, za jak bezpiecznych się uważacie, jak szydzicie z Muad'Diba, jak spiskujecie, by utrzymać to maleńkie poletko pustyni. Ale ona jest beze mnie zgubiona, Muriz. Zgubiona na zawsze. Proces transformacji na Diunie zaszedł zbyt daleko. Mój ojciec prawie utracił zdolność obserwowania wizji, więc możecie się zwrócić tylko do mnie.

— Ten ślepiec… — Muriz zatrzymał się i przełknął ślinę.

— Wróci wkrótce z Arrakin — przerwał Leto — i wtedy przekonamy się, czy jest ślepy. Jak daleko odszedłeś od dawnych fremeńskich obyczajów, Muriz?

— Co?

— On jest w stosunku do was Wadquiyas. Twoi ludzie znaleźli go na pustyni i przyprowadzili do Szulochu. Był bardzo cennym znaleziskiem! Droższym niż żyła przyprawy! Wadquiyas! Mieszkał z wami, jego woda zmieszała się z wodą plemienia. Jest częścią Rzeki Ducha. — Leto przycisnął silnie nóż do szyi Fremena. — Ostrożnie, Muriz. — Podniósł lewą dłoń do twarzy mężczyzny.

Wiedząc, co Leto zamierza, Muriz zapytał:

— Dokąd pójdziesz, jeżeli zabijesz nas obu?

— Z powrotem do Dżekaraty.

Chłopiec przycisnął poduszkę kciuka do ust Muriza.

— Gryź i pij, Muriz. Rób to albo giń. Fremen zawahał się, a potem wpił gwałtownie zęby w ciało. Leto obserwował gardło mężczyzny: widział, jak zwiera się przy połykaniu. Wyciągnął nóż i podał go Murizowi.

— Wadquiyas — rzekł. — Musiałbym obrazić plemię, zanim mógłbyś zabrać moją wodę. Muriz pokiwał głową.

— Twój pistolet jest tam. — Leto wskazał podbródkiem.

— Ufasz mi teraz?

— Jakże inaczej mógłbym żyć z wygnańcami?

Znowu spostrzegł chytre spojrzenie w oczach Fremena, lecz tym razem było w nim coś oceniającego, rozważającego korzyści. Mężczyzna schylił się, podniósł pistolet maula i wrócił do stopni przy skrzydle.

— Chodź — powiedział. — Zbyt długo grzebaliśmy się w legowisku czerwia.

Przyszłość przyszłowidzenia nie zawsze może być ujęta w reguły przeszłości Nici Istnienia splatają się podług wielu nie znanych praw. Przyszłowidcza przyszłość narzuca własne reguły. Nie zastosuje się do poleceń Zensunnitów ani do rozkazów nauki. Przyszłowidzene buduje względnie spójną całość. Wymaga udziału w niej każdej chwili, zawsze ostrzegając, że nie można w tkaninę przeszłości wpleść dowolnej nici.

„Kalima: Słowa Muad'Diba" z „Komentarzy Szulochu"

Muriz nadlatywał nad Szuloch, kierując ornitopterem z wyćwiczoną nonszalancją. Leto, usadowiony obok niego, czuł za plecami groźną obecność Behaletha. Swoje działanie opierał teraz na zaufaniu i słabej nitce wizji. Jeżeli one zawiodą, Allahu akbahr. Czasami trzeba podporządkować się wyższemu ładowi.

Skarpa Szulochu wywierała silne wrażenie. Jej anominowa obecność świadczyła o rozdaniu wielu łapówek, wielu mordach i o wielu przyjaciołach na wysokich stanowiskach. Leto dostrzegł centrum Szulochu mieszczące się w niecce otoczonej zboczami, z rozbiegającymi się ślepymi wąwozami, prowadzącymi donikąd. Gęste zarośla cieniołuski i krzewów solnych okalały niższe partie skał, natomiast zewnętrzny pierścień palm wachlarzowych wskazywał na obfite źródła wody w okolicy. Dookoła pni palm zbudowano nędzne budyneczki o dachach z krzewów i włókna przyprawowego. Domki wyglądały jak zielone guziki, rozrzucone na piasku. Tu żyli zapewne wygnańcy spośród wygnańców, ci, których nie mogło spotkać nic gorszego niż śmierć.

Muriz wylądował w panwi u stóp jednego z kanionów. Na piachu, dokładnie przed ornitopterem, stała pojedyncza chata, sklecona z sałaty pustynnej, winorośli i liści bejato, pokrytych sfilcowanym przez upał włóknem przyprawowym. Oto replika pierwszych, niezdarnych filtrnamiotów, mówiąca o degradacji niektórych spośród tych, którzy żyli w Szulochu. Leto domyślał się, że budowla traciła wilgoć i musiała być nawiedzana nocą przez natrętne, gryzące owady z pobliskich zarośli. Więc w takich warunkach mieszkał jego ojciec. Biedna Sabiha. Tu czekała ją jej kara.

Na polecenie Muriza Leto wysiadł z ornitoptera i podszedł ku chacie. Wśród palm widział wielu ludzi pracujących w wąwozie.

Obdarci, chudzi, nieśmiało rzucali ukradkowe spojrzenia na niego i na ornitopter. Leto dojrzał za pracującymi skalny brzeg kanatu i uzyskał odpowiedź na pytanie, skąd się bierze wyczuwalna wilgoć w powietrzu: był to otwarty zbiornik wodny. Mijając chatę zobaczył, że jest tak nędzna, jak tego oczekiwał. W kanacie kłębiła się ławica ryb drapieżnych. Pracujący, unikając jego spojrzenia, dalej oczyszczali z piachu drogę do wąwozu. Do Leto zbliżył się Muriz i powiedział:

— Stoisz na granicy między rybą a czerwiem. W każdym wąwozie jest jeden z nich. Otwarto kanat i teraz usuwamy ryby, by przyciągnąć piaskopływaki.

— Zagrody — rzekł Leto. — Oczywiście. Sprzedajecie piaskopływaki i czerwie poza planetę.

— Ulegliśmy sugestii Muad'Diba!

— Wiem, ale żaden z czerwi ani piaskopływaków nie przeżyje długo poza Diuną.

— Jeszcze nie teraz — odparł Muriz. — Ale pewnego dnia…

— Nigdy, nawet za dziesięć tysięcy lat — powiedział Leto i odwrócił się, by obserwować zmieszanie na twarzy Muriza. Pytania przepływały po niej jak woda w kanacie. Czy syn Muad'Diba naprawdę potrafił przewidzieć przyszłość? Niektórzy wciąż wierzyli, że Muad'Dib to czynił, ale… Jak można być pewnym czegoś takiego?

Po chwili Muriz odwrócił się i poprowadził chłopca w stronę chaty. Otworzył nędzne grodzie drzwiowe i gestem zaprosił Leto do środka. Pod przeciwległą ścianą paliła się lampa na olej przyprawowy, a pod nią plecami do drzwi przykucnęła drobna postać. Płonący olej wydzielał gęsty zapach cynamonu.

— Przysłali nową niewolnicę, by troszczyła się o sicz Muad'Diba — zaszydził Muriz. — Jeżeli będzie dobrze służyła, może przez jakiś czas zatrzymać swą wodę. — Zwrócił się twarzą w kierunku Leto. — Niektórzy myślą, że nie należy brać takiej wody. Ci Fremeni w koronkach zawalają miasta stertami śmieci! Sterty śmieci! Czy kiedykolwiek wcześniej widziano sterty śmieci na Diunie? Gdy już dostajemy kogoś takiego jak ta… — wskazał na postać przy lampie -… są oni zazwyczaj na pół zdziczali ze strachu, straceni dla własnego gatunku: nigdy nie akceptowani przez prawdziwych Fremenów. Rozumiesz mnie, Leto-Batighu?

— Rozumiem cię.

Klęcząca postać nie poruszyła się.

— Mówisz o prowadzeniu nas — kontynuował Muriz. — Fremenów prowadzą ludzie, którzy przelewali krew. Do czego byś nas poprowadził?

— Do Kralizeku — odparł Leto, z uwagą wciąż skupioną na klęczącej postaci.

Muriz popatrzył na niego krytycznym wzrokiem.

Kralizek? Ależ to więcej niż wojna czy rewolucja. Znaczyło: Atak Huraganu. Słowo zaczerpnięte z najdawniejszych fremeńskich legend: bitwa na krańcu wszechświata. Kralizek?

Fremen przełknął gwałtownie ślinę. Jak trudno jest wyczuć tego pędraka! Odwrócił się do klęczącej postaci.

— Kobieto! Liban wahid! — rozkazał. Przynieś nam napoju przyprawowegol Zawahała się.

— Zrób, co on mówi, Sabiho — powiedział Leto. Podskoczyła na nogi. Przez chwilę była niezdolna do oderwania wzroku od twarzy Leto.

— Znasz ją? — zapytał Muriz.

— Jest bratanicą Namriego. Obraziła Dżekaratę, więc przysłali ją do was.

— Namriego? Ale…

— Liban wahid — rzekł Leto.

Dziewczyna przemknęła obok nich i wyskoczyła na zewnątrz przez uszczelnienie drzwiowe. Jeszcze długo słyszeli odgłos jej stóp.

— Nie ucieknie daleko — stwierdził Muriz. Dotknął palcem nosa. — Krewna Namriego, co? Ciekawe. Co zrobiła, że aż tak im się naraziła?

— Pozwoliła mi uciec. — Odwrócił się i wyszedł poszukać dziewczyny. Znalazł ją stojącą na brzegu kanatu, podszedł więc bliżej i spojrzał w dół, na wodę. Z pobliskich palm wachlarzowych dobiegł śpiew ptaków i łopot ich skrzydeł. Leto wpatrywał się w wodę, w refleksy światła na jej powierzchni. Kącikiem oczu dostrzegł błękitne papugi wśród liści palm. Jedna z nich przeleciała nad kanatem i zobaczył ją odbitą w wodzie na tle srebrnego kłębowiska ryb podążających w identycznym kierunku, jak gdyby ptaki i drapieżne ryby znalazły się na tym samym nieboskłonie.

Sabiha kaszlnęła.

— Nienawidzisz mnie — powiedział Leto.

— Okryłeś mnie wstydem. Zhańbiłeś w oczach moich ludzi. Zwołali Isnad i wysłali mnie tu, bym straciła swą wodę. Wszystko z twojej winy.

Usłyszeli śmiech Muriza za plecami.

— Teraz widzisz, Leto-Batighu, że Rzeka Ducha ma wiele dopływów.

— Ale w twych żyłach płynie krew Atrydów — rzekł Leto, odwracając się. — Sabiha jest przeznaczeniem mojej wizji, a ja za nią podążyłem. Uciekłem przez pustynię, by odnaleźć mą przyszłość tu, w Szulochu.

— Ty i… — Wskazał na Sabihę i odrzucił głowę, śmiejąc się.

— Nie będzie tak, jak sobie wyobrażasz — powiedział Leto. — Pamiętaj o tym, Muriz. Znalazłem ślady mojego czerwia. — Do oczu

napłynęły mu łzy.

— On oddaje wodę zmarłym… — szepnęła Sabiha.

Nawet Muriz poczuł lęk. Fremeni nigdy nie płakali, o ile nie składali najgłębszego daru duszy. Wytrącony z równowagi Fremen zapiął maskę i naciągnął kaptur dżebbali nisko na oczy.

Leto, patrząc gdzieś w dal, powiedział:

— Tu, w Szulochu, będę się modlił o rosę na skraju pustyni. Idź, Muriz, i módl się o Kralizek. Obiecuję ci, że nadejdzie.

Fremeńską mowę cechuje olbrzymia zwięzłość, precyzyjne wyrażenie znaczenia. Jest pogrążona w iluzji absolutu. Jej założenia są płodnym gruntem dla religii na nim się opierających. Co więcej, Fremeni uwielbiają moralizowanie. Stawiają czoła przerażającej niestałości rzeczy. Mówią: „Nie istnieje suma osiągalnej wiedzy, lecz czegokolwiek człowiek się nauczy, może to zachować". Na podstawie tak radykalnego twierdzenia kształtują swą fantastyczną wiarę w znaki, omeny i przeznaczenie. Jest to źródłem legendy o Kralizeku — bitwie na krańcu wszechświata.

z „Poufnych raportów Bene Gesserlt", folio 800881

— Trzymają go w bezpiecznym miejscu — powiedział Namri, uśmiechając się do Gurneya Hallecka. — Możesz donieść o tym swoim przyjaciołom.

— Gdzie jest to bezpieczne miejsce? — zapytał Halleck. Nie podobał mu się ton Namriego, ale czuł się związany rozkazami Jessiki. Do diabła z tą starą czarownicą! Jej wyjaśnienia nie miały sensu, z wyjątkiem ostrzeżenia, co może się stać, jeżeli Leto nie uda się opanować przerażających wizji.

— Jest bezpieczny — rzekł Namri. — To wszystko, co pozwolono mi powiedzieć.

— Skąd dostałeś wiadomość?

— Otrzymałem dystrans. Sabiha jest z nim.

— Sabiha! Ona mu powie.

— Nie tym razem.

— Zamierzasz go zabić?

— To nie zależy już ode mnie.

Halleck zmarszczył brwi. Dystrans. Jaki jest zasięg tych przeklętych jaskiniowych nietoperzy? Widział je często, przelatujące nad pustynią, kiedy niosły ukryte informacje zakodowane w piskliwych krzykach. Ale jak daleko mogły się dostać na tej piekielnej planecie?

— Muszę go zobaczyć — powiedział Halleck.

— Oni się nie zgadzają.

Halleck głęboko wciągnął powietrze, by opanować nerwy. Zmarnował dwa dni i dwie noce, czekając na raporty z poszukiwań. Teraz nadchodził kolejny ranek, a on czuł, że jego rola się kończy. W każdym razie nigdy nie lubił wydawać rozkazów. Rozkazodawca czekał, podczas gdy inni dokonywali istotnych i niebezpiecznych czynów.

— Dlaczego? — zapytał krótko. Przemytnicy, którzy tu mieszkali, pozostawiali masę pytań bez odpowiedzi.

— Niektórzy mówią, że widziałeś zbyt wiele — odparł Namri.

Halleck zrozumiał groźbę, odprężył się i przyjął pozę wyćwiczonego wojownika, z ręką blisko noża, ale nie na nim. Marzył o tarczy, ale nie mógł jej zabrać ze względu na czerwie oraz krótki żywot tej broni w obecności generowanych przez burzę ładunków elektrostatycznych.

— Łamiesz zasady naszej umowy — rzekł Halleck.

— Gdybym go zabił, czy to by do niej należało?

Halleck wyczuł działanie niewidocznych sił, o których nie ostrzegła go lady Jessika. Te jej przeklęte plany! Może rzeczywiście nie należało ufać Bene Gesserit? Natychmiast się skarcił. Wyjaśniła mu problem, a on przystał na jej plan, oczekując, że podobnie jak inne zamierzenia i ten będzie wymagał późniejszych poprawek. To nie była jakaś Bene Gesserit, to była Jessika z Atrydów, jego przyjaciel i stronniczka. Bez niej znajdowałby się teraz na łasce świata bardziej niebezpiecznego niż ten, w którym obecnie przebywał.

— Nie potrafisz odpowiedzieć na moje pytanie? — rzekł Namri.

— Miałeś go zabić, jeżeliby tylko zdradził się, że jest… opętany — powiedział Halleck. — Że jest Paskudztwem. Namri podniósł prawą pięść do ucha.

— Twoja pani wie, że znamy właściwe próby. Mądrze zrobiła, że pozostawiła ten osąd w moich rękach. Halleck zacisnął usta.

— Słyszałeś słowa Wielebnej Matki — kontynuował Namri. — My, Fremeni, rozumiemy takie kobiety, ale wy, spoza tego świata, nigdy ich nie pojmiecie. Fremenki często posyłały synów na śmierć.

— Chcesz powiedzieć, że go zabiłeś? — Halleck wysyczał przez ciasno zwarte usta.

— Żyje i jest w bezpiecznym miejscu. Nadal dostaje przyprawę.

— Ale mam dostarczyć go z powrotem do babki, jeżeli przetrzyma próbę — rzekł Halleck.

Namri wzruszył ramionami.

Halleck zrozumiał, że innej odpowiedzi nie uzyska. Do diabła! Nie mógł wrócić do Jessiki bez wyników eksperymentu! Potrząsnął głową.

— Dlaczego kwestionujesz to, czego nie możesz zmienić? — zapytał Namri. — Zostałeś dobrze opłacony.

Halleck zirytował się. Fremeni wierzyli, że motywem działania wszystkich obcych są pieniądze. Ale Namri wyrażał coś więcej niż fremeńskie uprzedzenie. Działały tu teraz inne siły. Dla kogoś wyszkolonego przez Bene Gesserit było to oczywiste. Cała ta sprawa pachniała fintą w fincie…

Przybierając obraźliwie poufały ton, Halleck powiedział:

— Lady Jessika będzie rozgniewana. Może wysłać całe kohorty przeciw…

— Zanadiq! — zaklął Namri. — Posłańcu! Znajdujesz się poza Mohalatą! Będzie mi przyjemnie odebrać twoją wodę dla Szlachetnych!

Halleck wsparł dłoń o nóż i przygotował lewy rękaw, w którym ukrył małą niespodziankę dla atakujących.

— Nie widzę tu przelanej wody — powiedział. — Może zaślepiła cię duma.

— Żyjesz jeszcze tylko dlatego, że chciałem ci dać nauczkę przed śmiercią. Lady Jessika już nigdy nie wyśle żadnych kohort. Nikt nie chce cię zwabić po cichu do Huanui, ty kupo łajna z obcego świata. Należę do Szlachetnych, a ty…

— A ja jestem sługą Atrydów — powiedział łagodnym głosem Halleck. — Jesteśmy łajnem, które zdjęło jarzmo Harkonnenów z waszych śmierdzących karków.

Namri obnażył białe zęby w złośliwym grymasie.

— Twoja lady Jessika jest więźniem na Salusa Secundus. Rozkazy, o których myślałeś, że pochodzą od niej, wydała jej córka!

Z najwyższym wysiłkiem Halleck zdołał zachować spokojny głos:

— To bez znaczenia. Alia będzie… Namri wyciągnął krysnóż.

— Co ty wiesz o Łonie Niebios? Jestem sługą Alii, ty męska dziwko. Spełnię jej życzenie, gdy zabiorę twoją wodę. — I rzucił się przez pokój, nierozważnie poruszając się po prostej.

Halleck nie dał się zwieść tej pozornej niezgrabności, podciągnął lewy rękaw szaty, odsłaniając dodatkowy pas grubej tkaniny i przyjmując nań uderzenie noża Namriego. Jednocześnie zarzucił poły filtrfraka na głowę Fremena, unosząc nóż na wysokość piersi. Czuł, jak ostrze zagłębia się w ciało Namriego, gdy ten uderzył w niego twardą powierzchnią ukrytego metalowego pancerza. Fremen wydał wściekły ryk, odskoczył w tył i upadł. Znieruchomiał, zalany krwią sączącą się z

ust i z oczami wpatrzonymi nieruchomo w Hallecka.

Jak Namri mógł oczekiwać, że ktoś z takim doświadczeniem jak on nie zauważy pancerza ukrytego pod szatą? Halleck wytarł starannie nóż i powiedział do martwego Fremena:

— Jak sądzisz, głupcze, czy nas, sługów Atrydów, wyszkolono odpowiednio?

Zaczerpnął powietrze, myśląc: „No dobrze, ale czyją fintą jestem?" W słowach Namriego kryła się prawda. Jessika była więźniem Corrinów, a Alia realizowała własne, skomplikowane plany. Jessika przewidywała wrogie posunięcia ze strony Alii, lecz nie przypuszczała, że zostanie uwięziona. On jednakże miał zadanie do wykonania. Najpierw musiał wydostać się z tego miejsca. Na szczęście każdy Fremen w szacie wyglądał identycznie. Odciągnął ciało Namriego w kąt, narzucił na nie poduszki i przesunął dywan, by ukryć krew. Gdy już to zrobił, włożył sobie do nosa końcówkę filtrfraka. Następnie wyjął maskę, jak ktoś przygotowujący się do wyprawy na pustynię, naciągnął kaptur i wyszedł przez długi korytarz.

„Niewinny chodzi beztrosko" — pomyślał, zwalniając krok. Czuł się wolny, jak gdyby oddalał się od niebezpieczeństwa, a nie zbliżał ku niemu.

„Nigdy nie podobały mi się plany Jessiki odnośnie losu chłopca — pomyślał. — I powiem jej to, jeżeli ją jeszcze kiedyś zobaczę. Jeżeli…" Alia zaczęła realizować najniebezpieczniejszy z możliwych planów. „Zabije mnie, jeśli wpadnę w jej ręce". Pozostawał Stilgar — porządny Fremen z porządnymi fremeńskimi przesądami.

Jessika tak to wyjaśniła: „Pierwotną naturę Stilgara pokrywa bardzo cienka warstwa cywilizowanych nawyków. Musisz zedrzeć z niego tę warstwę…"

> *Duch Muad'Diba znaczy coś więcej niż słowa, coś więcej niż litera prawa. Muad'Dib jest wewnętrznym gniewem przeciwko zadowolonym z siebie możnym, przeciwko szarlatanom i dogmatycznym fanatykom. Ten wewnętrzny gniew musi mieć siłę, ponieważ Muad'Dib nauczał nas jednego nade wszystko: że ludzkość przetrwać może tylko przez społeczną sprawiedliwość.*
>
> *„Reguła fedajkinów"*

Leto siedział zwrócony plecami do ściany szopy, skupiając uwagę

na Sabisze. Obserwował, jak rozwijają się nici wizji. Dziewczyna zaparzyła kawę i odstawiła ją na bok. Przykucnęła teraz naprzeciw niego, przygotowując wieczorny posiłek: wonny kleik z melanżem. Jej dłonie sprawnie operowały łyżką, a płyn koloru indygo natychmiast zabarwił ścianki miski. W pewnej chwili nachyliła szczupłą twarz nad naczyniem, dodając koncentratu. Połatana błona, z której zbudowano filtrnamiot, tworzyła szarą aureolę. Na jej tle, w migocącym świetle płomieni ogniska i pojedynczej lampy, tańczył cień Fremenki.

Ta lampa intrygowała Leto. Ludzie w Szulochu nie oszczędzali oleju przyprawowego, gdyż używali lamp zamiast kuł świętojańskich. Trzymali wygnańców w siczy w warunkach znanych tylko z przekazów najdawniejszej fremeńskiej tradycji, a jednocześnie korzystali z ornitopterów i najnowszych żniwiarek przyprawowych. Stanowili dziwaczną mieszaninę tradycji i nowoczesności.

Sabiha pchnęła ku niemu miskę z kleikiem i zdusiła płomienie.

Leto zignorował naczynie.

— Ukarzą mnie, jeżeli nic nie zjesz — powiedziała.

Popatrzył na nią, myśląc: „Jeżeli ją zabiję, zniszczę jedną z wizji. Jeżeli powiem jej o planie Muriza, unicestwię inną. W wypadku, gdybym okazał cierpliwość i zaczekał na ojca, nić wizji stanie się potężną liną".

Przebiegł myślami poszczególne przyszłości. Niektóre napełniły go radością. Jedna z nich, w której znajdowała się Sabiha, wnosiła w jego przyszłowidzącą świadomość element pożądania. Groziła zablokowaniem innych, dopóki nie prześledził jej aż do tragicznego końca.

— Dlaczego się tak we mnie wpatrujesz? — zapytała. Nie odpowiedział. Pchnęła miskę bliżej niego.

Leto próbował przełknąć ślinę. Wzbierała w nim chęć zabicia Sabihy. Spostrzegł, że drży od tej pokusy. Tak ławo mógł unicestwić jedną z wizji i oswobodzić chaos!

— Muriz kazał — powiedziała, dotykając miski.

Tak, Muriz kazał… Przesądy zwyciężyły. Muriz pragnął usłyszeć o wizji, którą potrafiłby sam odczytać. Oto starożytny dzikus proszący lekarza-czarownika o rzut kośćmi wołu i zinterpretowanie ich układu. Muriz zabrał filtrfrak więźnia, jako podstawowy środek ostrożności". Drwił bezczelnie z Namriego i Sabihy. „Tylko głupiec pozwala jeńcowi umknąć".

Muriza trapił jednakże głęboki, emocjonalny dylemat: Rzeka Ducha. Krew więźnia płynęła w żyłach Fremena. Muriz szukał sposobu pozwalającego mu utrzymywać chłopca pod groźbą śmierci.

„Jaki ojciec, taki syn" — pomyślał Leto.

— Przyprawa ukaże ci tylko wizję — rzekła Sabiha. Długie milczenie Leto wprawiło ją w niepokój. — W czasie orgii miałam je

wiele razy. One nic nie znaczą.

„Właśnie!” — pomyślał, nieruchomiejąc nagle, całym ciałem przyległszy do zimnej i wilgotnej skały. Czuł, jak szkolenie Bene Gesserit przejmuje władzę nad jego świadomością, by rzucić jaskrawe światło wizji na Sabihę i jej współtowarzyszy Wygnańców. Pradawna nauka Bene Gesserit była jednoznaczna: „Języki rozrastają się, by wprowadzić specjalizację w sposobie życia. Każdą specjalizację rozpoznać można przez słowa — przez założenia i strukturę zdań. Zważcie na luki w słownictwie: specjalizacje reprezentują obszary, w których życie zostaje powstrzymane, gdzie ruch ulega zahamowaniu i następuje zastój”.

Zobaczył Sabihę jako twórczynię wizji w całym tego słowa znaczeniu i dowiedział się, że każdy człowiek ma identyczną moc. Dziewczyna odnosiła się lekceważąco do wizji powstałych w czasie trwania orgii przyprawowych. Budziły niepokój, więc rozmyślnie o nich zapomniano. Lud modlił się do Szej-huluda, ponieważ czerw dominował w wielu ich wizjach. Modlili się o rosę na skraju pustyni, bo wilgoć wpływała na sposób życia społeczeństwa. A przecież tarzali się w bogactwie przyprawy i zwabiali piaskopływaki do otwartych kanatów. Sabiha zmuszała go do przyszłowidczych wizji, ale w jej słowach wyczuwał pewne oznaki, iż opierała się na absolutach i szukała skończonych granic tylko dlatego, że nie mogła sobie poradzić z rygorami przerażających decyzji. Przylgnęła do monistycznej wizji wszechświata, scalając ją i odrzucając wszystkie inne, ponieważ bała się alternatyw.

Dla odmiany Leto rozumiał zachodzące zmiany. Był membraną, odtwarzającą nieskończone wymiary, a ponieważ widział je, mógł podejmować przerażające decyzje.

„Tak robił kiedyś mój ojciec”.

— Zjedz to — powtórzyła Sabina rozdrażnionym głosem.

Leto ujrzał skończony zarys wizji. Teraz widział, której nici musiał się trzymać.

„Ta skóra nie jest moją własną”.

Bosymi stopami stanął na sfilcowanym włóknie przyprawowym, wyczuwając pod palcami naniesiony piach.

— Co chcesz zrobić? — zapytała z naciskiem Sabiha.

— Tu jest złe powietrze. Wychodzę.

— Nie możesz uciec — powiedziała. — W każdym wąwozie czyha czerw. Jeżeli przejdziesz przez kanat, wyczują cię po zapachu wody. Uwięzione czerwie są bardzo agresywne. Poza tym… — w jej głosie zabrzmiał tryumf -…nie masz filtrfraka.

— No to czym się przejmujesz? — zapytał, zastanawiając się, czy mógł już wywołać w niej właściwą reakcję.

— Bo nie jadłeś.

— A ty zostaniesz ukarana?

— Tak!

— Jestem dostatecznie przesiąknięty przyprawą — odparł. — Każda chwila wydaje mi się wizją. — Wskazał bosą stopą miskę. — Wylej to. Kto się dowie?

— Obserwują nas — szepnęła.

Potrząsnął głową, pozbywając się wizji. Czuł, jak nadchodzi nowa wolność. Nie musiał zabijać Sabihy. Była pionkiem. Tańczyła w takt obcej muzyki, nie znając nawet kroków. Leto podszedł do grodzi i oparł o nią dłoń.

— Kiedy Muriz przyjdzie — stwierdziła — będzie zły…

— Muriz jest handlarzem pustką — przerwał Leto. — Moja ciotka go osuszyła.

„Pamięta, że raz już uciekłem — pomyślał. Wie, jak kruchą władzę ma nade mną. Podświadomość ją ostrzega, ale nie usłucha podświadomości. Czerwie w ciasnych wąwozach i niemożność przeżycia w Tanzerouft bez filtrfraka to wystarczająco mocne argumenty”.

— Muszę być sam na sam ze swoimi wizjami — wyjaśnił. — Zostaniesz tutaj.

— Dokąd pójdziesz?

— Nad kanat.

— W nocy wyroją się piaskopływaki.

— Nie pogryzą mnie.

— Czasami czerwie przychodzą prawie nad wodę — powiedziała. — Jeżeli przejdziesz przez kanat… — Urwała, starając się, by w jej słowach wyczuł ostrzeżenie.

— Czy mógłbym schwytać czerwia bez haków? — zapytał, zastanawiając się, czy kiedy dziewczyna mu uwierzy, zdoła zachować choć część swych wizji.

— Zjesz zaraz po powrocie? — zapytała, raz jeszcze mieszając bulion.

— I na to przyjdzie czas — odparł, wiedząc, że Sabiha nie wykryje subtelnego tonu Głosu.

— Przyjdzie Muriz i sprawdzi, czy miałeś wizję — ostrzegła.

— Poradzę sobie z Murizem po swojemu — rzekł, zauważając, jak powolne i ociężałe stały się jej ruchy. W zachowaniu dziewczyny odzwierciedlał się naturalny charakter aktywności wszystkich Fremenów. Byli nadzwyczaj energiczni o świcie, ale z nadejściem nocy opanowywała ich często głęboka, letargiczna melancholia. Sabiha już teraz pragnęła zatonąć we śnie i marzeniach.

Leto wyszedł na zewnątrz — sam. Wysoko migotały gwiazdy, a na ich tle książę dostrzegł bryłę otaczających go skał. Poszedł w stronę palm nad kanatem.

Przez jakiś czas siedział przykucnięty na skraju wody, słuchając nieustannego świstu piasku w wąwozie za plecami. Sądząc po dźwięku, gdzieś w pobliżu krył się niewielki czerw. Leto pomyślał o schwytaniu go: łowcy otępiali zwierzęta mgłą wodną, stosując tradycyjny sposób ze starych przekazów. Ale ten czerw nie umrze na Diunie. Prawdopodobnie galeon Gildii przewiezie go do jakiegoś pełnego nadziei nabywcy na planetę, której pustynia okaże się zbyt wilgotna. Niewielu ludzi z innych światów uświadamiało sobie stan absolutnej suchości, utrzymywanej na Arrakis przez piaskopływaki. Utrzymywany. Albowiem nawet tu, do Tanzerouft, wiatr przynosił wielokrotnie więcej wody, aniżeli zaznał jej jakikolwiek czerw, któremu udało się nie zginąć we fremeńskim zbiorniku.

Usłyszał Sabihę krzątającą się w chacie. Była niespokojna, trawiły ją lęki zrodzone w podświadomości. Stara fremeńska maksyma mówiła: „Pocałunek w siczy wart jest dwóch w mieście".

Tradycyjna sicz charakteryzowała się pomieszaniem dzikości z płochliwością. W Dżekaracie i Szulochu pozostały zaledwie ślady tej nieśmiałości. Żal go ogarnął na myśl, jak wiele Fremeni już utracili.

Powoli, tak powoli, że Leto zagubił poczucie upływu czasu, do jego świadomości dotarł fakt obecności wokół wielu stworzeń.

Piaskopływaki.

Fremeni od pokoleń żyli w symbiozie z tym dziwnymi zwierzętami, wiedząc, że można je zwabić w zasięg ręki, poświęciwszy trochę wody na przynętę. Wielu umierających z pragnienia Fremenów wykorzystywało w ten właśnie sposób ostatnie krople wody, zmuszając piaskopływaka do wydzielenia słodkiego, zielonego syropu, dającego niewielki energetyczny zysk. Piaskopływaki najczęściej były jednak igraszką dla dzieci, chwytających je dla potrzeb Huanui. I dla zabawy.

Leto zadrżał na myśl, co teraz ta zabawa oznaczała dla niego.

Jedno ze stworzeń wśliznęło się na jego gołą stopę. Chwilę się wahało, następnie zeskoczyło na piasek, przyciągnięte większą ilością wody w kanacie.

Wtem Leto uzmysłowił sobie przerażającą rzeczywistość podjętej decyzji. Rękawica z piaskopływaka. Była to jedna z dziecięcych zabaw. Jeżeli trzymało się piaskopływaka na dłoni, rozpłaszczając go na skórze, tworzył on żywą rękawiczkę. Stworzenia wyczuwały ślady wilgoci w naczyniach włosowatych skóry, ale odpychało je coś zmieszanego z osoczem krwi. Wcześniej czy później rękawica opadała na piach, by wreszcie zostać zapakowaną w torbę z włókna przyprawowego, a stamtąd droga prowadziła wprost do zgonsuszni.

Piaskopływak wpadł do kanatu i do uszu Leto dobiegł odgłos pożerających go drapieżnych ryb. Woda zmiękczała je, czyniła podatnymi na ucisk. Dzieci wcześnie uczyły się, że odrobina śliny

pobudza zwierzęta do wydzielania słodkiego syropu. Nastąpiła cała seria plusków. Nad kanat podpełzła nowa migracja piaskopływaków, ale i one nie potrafiły przeżyć w nurcie patrolowanym przez drapieżne ryby.

Leto grzebał w piasku prawą ręką tak długo, dopóki palce nie natrafiły na skórzastą powłokę kolejnego piaskopływaka. Był to duży okaz. Stworzenie nie próbowało mu się wymknąć, lecz chętnie wpełzło na dłoń. Chłopiec wolną ręką zbadał kształt zwierzęcia. Stwór nie miał głowy, kończyn, oczu, a przecież bez trudu odnajdywał wodę. Z sobie podobnymi mógł łączyć się ciałem, utrzymując kontakt za pomocą gmatwaniny wyciągniętych rzęsek, dopóki wszystkie nie przerodziły się w jeden wielki worek-organizm pochłaniający wodę, odgradzający „truciznę" od gigantów, którymi miały się stać w przyszłości — szej-huludów.

Piaskopływak wił się na dłoni, stale wydłużając kształt. W rytmie tego ruchu Leto widział wydłużanie się i rozprzestrzenianie wybranej wizji. „Ta nić, nie tamta". Czuł, że stworzenie robi się coraz cieńsze, pokrywając sobą prawie całą dolną część ręki. Żaden piaskopływak nie natknął się jeszcze nigdy na dłoń taką jak ta, której każda komórka przesiąknięta była przyprawą. Chłopiec przystosował własną równowagę enzymatyczną, czerpiąc informację z wizji powstałej pod działaniem transu przyprawowego. Wiedza uzyskana od nieskończonej liczby istnień dostarczyła pewności, dzięki której precyzyjnie przestroił organizm, unikając śmierci na skutek przedawkowania. W tym samym czasie ciało łączyło się z piaskopływakiem, żywiąc się nim i żywiąc go. Wizja dostarczyła wzorca, któremu dokładnie podporządkował zmysły. Piaskopływak rozpłaszczał się coraz bardziej, sięgając teraz ramienia. Leto wyszukał następnego i umieścił go na pierwszym. Zetknięcie dwu orgnizmów wywołało w stworzeniach oszalałe konwulsje. Wreszcie ich rzęski zetknęły się, połączyły w jedną błonę, pokrywającą rękę chłopca aż do łokcia. Piaskopływak działał wedle reguł dziecięcej gry, ale pokusa wiecznej symbiozy ze skórą spowodowała, że przybrał ciemniejsze barwy. Leto opuścił ramię w dół. Pomimo „rękawicy" poczuł piach, którego każde ziarenko mógł doskonale rozróżnić. Nie był to już piaskopływak, lecz coś silniejszego, twardszego. I wciąż nabierało mocy… Poszukująca dłoń znalazła następnego stwora. Ten natychmiast skorzystał z możliwości zjednoczenia się z dwoma pierwszymi. Skórzastą miękkość objęła całe ramię aż do barku.

Dzięki niesamowitej sile umysłu chłopiec osiągnął stan zjednoczenia nowej skóry z resztą organizmu. Był zbyt skupiony, aby móc przemyśleć przerażające konsekwencje tego, co uczynił. Znaczenie miały jedynie konieczności ukazane w transie. W taki oto sposób miał dotrzeć do Złotej Drogi.

Leto zrzucił z siebie szatę i położył się nagi na piasku, kładąc prawą rękę na drodze piaskopływaków. Przypomniał sobie, że pewnego razu on i Ghanima schwytali małego piaskopływaka. Wałkowali go tak długo na piachu, aż skurczył się do postaci czerwia-dziecka: sztywnej laski z wnętrzem wypełnionym zielonym syropem. Łagodne ugryzienie w jeden jej koniec i szybkie ssanie, zanim rana się zamknęła, dostarczyło im kilku kropli słodyczy.

Piaskopływaki pokryły całe ciało chłopca. Jeden próbował wejść mu na twarz, ale Leto odsuwał go stanowczo, dopóki stwór nie wydłużył się w cienki wałek. Wtedy ugryzł grubszy koniec rurki i spróbował cieknącej strużki słodyczy. Czuł, jak przepływa przez niego nowa energia, a ciało ogarnia dziwne podniecenie. Jakiś czas usuwał z ust błonę, dopóki nie stała się sztywnym wałkiem okalającym twarz od szczęki do czoła, pozostawiając mu odsłonięte uszy.

Teraz trzeba sprawdzić autentyczność wizji. Podniósł się na nogi i odwrócił w stronę chaty, by pobiec w jej kierunku. Ruszył, stwierdzając nagle, że stopy biegną zbyt szybko, przez co nie może utrzymać równowagi. Zarył w piach, usiadł i wreszcie skoczył, próbując stanąć na nogach. Skok wyniósł go dwa metry nad piasek, a kiedy spadł i chciał iść dalej, fiknął porządnego kozła.

„Stop” — rozkazał sobie. Po chwili osiągnął odprężenie prana-bindu, gromadząc zmysły dla osiągnięcia maksimum świadomości. Skupił kaskady stałego teraz, poprzez które badał Czas i pozwolił rozgrzać się wizji-uniesieniu. Błona funkcjonowała dokładnie tak, jak wcześniej podpowiadała wizja. „Moja skóra nie jest moją własną”.

Powoli mięśnie Leto nabierały pewności ruchów. Ale gdy znów począł iść, upadł i przetoczył się. Usiadł na piasku. Wałek okalający szczękę zakrywał mu usta. Splunął na intruza, a następnie ugryzł go, smakując słodki syrop. Powłoka zwinęła się pod naciskiem dłoni.

Upłynęło dość czasu, by błona zdążyła wtopić się całkowicie w ciało. Leto przekręcił się na brzuch i zaczął pełzać, trąc skórą o piach. Kilkoma ruchami przebył pięćdziesiąt metrów.

Powłoka zrezygnowała z prób rozprzestrzeniania się na nos i usta Leto, lecz on musiał teraz zrobić główny krok na Złotej Drodze. Ćwiczenia ruchowe zaniosły go za kanat, do wąwozu, w którym trzymano schwytanego czerwia. Usłyszał, że zwierzę zbliża się, przyciągane podejrzanymi ruchami. Leto skoczył na nogi, mając zamiar czekać na czerwia. Lecz wzmożona siła sprawiła, że upadł dwadzieścia metrów dalej. Piach obok szybko nabrzmiewał, podnosząc się na kształt gigantycznej krzywej. W mętnym świetle błysnęły kryształowe kły. Leto rozpoznał otwartą paszczę-pieczarę czerwia. Ogarnęła go przytłaczająca woń przyprawy, ale czerw znieruchomiał. Pozostawał zamarły, aż Pierwszy Księżyc wyłonił się zza skały. Światło krzesało iskry z zębów bestii, podkreślając blask

chemicznych ogni płonących głęboko we wnętrzu stwora.

Leto pragnął uciec, ale wizja zatrzymała go w miejscu. Nikt nigdy nie stał tak blisko paszczy żywego czerwia. Chłopiec delikatnie wysunął prawą stopę do przodu. Czerw nie poruszył się. Wyczuwał tylko piaskopływaki. Bestia zaatakowałaby innego czerwia, gdyby wszedł na jej terytorium, zwabiony przyprawą. Powstrzymać go mogła wyłącznie bariera wody — a piaskopływaki zamykające wodę wewnątrz ciał były taką barierą.

Leto wyciągnął dłoń ku przerażającej paszczy. Czerw cofnął się o metr.

Odzyskując zaufanie, chłopak odwrócił się od stwora, by ćwiczyć mięśnie z nową wiarą we własne możliwości. Ostrożnie wrócił nad kanat. Z łatwością przeskoczył wodę, fikając wesołego kozła. Czerw pozostał nieruchomy.

Wtem na piasku zabłysło światło — ktoś otworzył grodź. Przed chatą stanęła obrysowana żółtym blaskiem lampy Sabiha, wpatrując się w niego.

Śmiejąc się Leto wrócił przez kanat do wąwozu. Zatrzymał się przed czerwiem. Wyciągnął rękę i krzyknął do niej: — Spójrz! Czerw wypełnia moją wolę!

A gdy stała nadal nieruchomo, wstrząśnięta, Leto odwrócił się, obiegł bestię i podążył dalej. Stwierdził, że może biec ledwie zginając kolana. Działo się to prawie bez wysiłku z jego strony. Gdy włożył w pracę nóg więcej energii, biegł ponad piaskiem. Zamiast zatrzymać się u krańca wąwozu, podskoczył całe piętnaście metrów w górę, uchwycił się rękoma zbocza i wpełzł na nie jak owad.

Przed nim rozpościerała się pustynia: wielkie morze, falujące w świetle księżyca.

Jego niezwykłe ożywienie minęło.

Przykucnął, czując cienką warstwę potu na ciele, którą filtrfrak natychmiast by wchłonął i skierował do tkaniny usuwającej sole. Wilgoć wkrótce zniknęła, pochłonięta przez błonę. Leto rozważnie zrolował odcinek powłoki poniżej zębów, podciągnął go do ust i wypił trochę słodkiego syropu.

Brakowało mu jednakże maski na twarzy, a wilgoć ulatniała się z każdym oddechem. Naciągnął część błony na usta. Zniżył ją, gdy starała się rozpłaszczyć także na nozdrza, powtarzając czynność, dopóki zapora nie pozostała na miejscu. Zastosował teraz metodę automatycznego oddychania: wdech przez nos, wydech przez usta. Błona na twarzy uwypuklała się w niewielki pęcherzyk, zbierając wilgoć z ust i nozdrzy. Proces adaptacji postępował.

Pomiędzy Leto a księżycem przeleciał ornitopter, skręcił i podszedł do lądowania na skalnym grzbiecie, może sto metrów od niego. Chłopiec spojrzał za siebie. Przy kanacie roiło się od świateł.

Słyszał słabe okrzyki, wyczuwał w głosach ludzi histerię. Z ornitoptera wyszło dwu mężczyzn. Blask księżyca odbijał się od ich broni.

„Mashhad” — pomyślał Leto. Oto zrobił wielki skok na Złotą Drogę. Przywdział żywy, samoregenerujący się filtrfrak z piaskopływaków: rzecz o niezmierzonej wartości na Arrakis…

„Nie jestem już człowiekiem — myślał. — Opowieści o tej nocy będą rozrastać się i ubarwiać rzeczywistość. Ale wkrótce legenda stanie się prawdą”.

Zerknął w dół i ocenił, że powierzchnia pustyni znajduje się dwieście metrów niżej. Światło księżyca wyłuskiwało półki i szczeliny w skalnej ścianie, lecz nie ukazywało żadnego zejścia. Leto wstał, wciągnął głęboko powietrze, następnie podszedł do skraju urwiska i skoczył w przepaść. Jakieś trzydzieści metrów niżej jego ugięte nogi zetknęły się z wąską półką. Wzmocnione kolana zamortyzowały wstrząs i oddały go w postaci odbicia w bok na następną półkę, skąd ruszył w dół, skacząc, odbijając się, chwytając się drobnych, skalnych półek. Ostatnie czterdzieści metrów pokonał jednym skokiem, lądując na ugiętych nogach i staczając się po zboczu diuny w fontannie piasku i pyłu. Będąc na dole, stanął na nogach i wskoczył na grzbiet następnej wydmy. Ze szczytu zbocza dobiegały chrapliwe okrzyki, ale zignorował je, koncentrując się na skokach z jednej wydmy na drugą.

W miarę, jak przyzwyczajał się do wzmocnionych mięśni, odnajdywał zmysłową radość w beztroskim pędzie. Uprawiał prawdziwy balet na pustyni.

Kiedy doszedł do wniosku, że załoga ornitoptera przezwyciężyła szok na tyle, by kontynuować pościg, zanurkował w ocienioną powierzchnię wydmy i zakopał się głęboko. Dla organizmu Leto piasek przypominał teraz w dotyku gęsty płyn. Przekopał się na przeciwległą stronę wydmy i stwierdził, że powłoka zakryła mu nozdrza. Odsunął ją, wyczuwając pulsowanie nowej skóry, wchłaniającej pot.

Leto zwinął błonę w rulon i napił się, spoglądając w gwieździste niebo. Oszacował, że oddalił się o piętnaście kilometrów od Szulochu. Po chwili na tle gwiazd zamajaczyła sylwetka ornitoptera: wielka ptasia figura, za którą ciągnęła następna, i jeszcze jedna. Usłyszał miękki szum skrzydeł i szept ich stłumionych silników.

Czekał, popijając z żywego przewodu. Pierwszy Księżyc zakończył swą podróż i zniknął. Teraz królował Drugi Księżyc.

Na godzinę przed świtem Leto wypełzł na grzbiet wydmy i zbadał niebo. Żadnego pościgu. Wiedział już, że z drogi, którą wybrał, nie ma powrotu. Przed nim leżała pułapka w Czasie i Przestrzeni, która szykowała niezapomnianą nauczkę jemu i całej ludzkości.

Leto skręcił na północny wschód i wielkimi skokami przebył następne pięćdziesiąt kilometrów, zanim zakopał się na powrót w piasku, pozostawiając niewielki otwór prowadzący na powierzchnię.

Błona uczyła się współpracować z nim. Starał się nie myśleć o innych rzeczach, które robiła z jego ciałem.

„Jutro dotrę do Gejr Kulonu — pomyślał. — Rozwalę kanat i pozwolę jego wodzie wsiąknąć w piach. Wtedy podążę do Worka Wiatru, Starej Szczerby i Hargu. W ciągu miesiąca cofnę transformację ekologiczną o całe pokolenie. Będę miał czas na opracowanie nowego rozkładu przekształceń".

Oskarżenie oczywiście padnie na zbuntowane plemiona. Niektórzy wskrzeszą wspomnienia o Dżekaracie. Co do Ghanimy… Ruchem ust wypowiedział słowa, które miały przywrócić jej pamięć. Na to przyjdzie czas później…

Zapragnął wydostać się na pustynię, na Złotą Drogę. Było to coś prawie fizycznego, co mógł ujrzeć na własne oczy. Pomyślał, że przypomina to zwierzęcą potrzebę ruchu. Przetrwanie ludzkości zależało od zmiany jej ducha, powstrzymywanej od tysiącleci. Potrzeba było tylko ścieżki, na którą mogłaby wkroczyć.

Pomyślał o Muad'Dibie, mówiąc sobie: „Wkrótce porozmawiamy jak mężczyzna z mężczyzną i wyłoni się z tego tylko jedna wizja".

> *Warunki życia są dyktowane przez klimat, owe długie prądy zmian, których mogą nie dostrzegać cale pokolenia. To właśnie one układają wzór życia. Samotne, izolowanie istnienia ludzkie obserwują różne odmiany klimatu, fluktuacje rocznej pogody i czasami spostrzegają takie rzeczy Jak to, że „nastał najzimniejszy rok, jaki pamiętam". Ludzie rzadko wyczuwają zmiany zachodzące w długim okresie czasu. Chcąc przeżyć na obcej planecie, muszą poznać jej klimat.*
>
> *„Arrakis, Przekształcenie", według Harq al-Ady*

Alia siedziała ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, recytując Litanię Przeciw Strachowi, lecz drwiący śmiech rozbrzmiewający echem w jej czaszce blokował wszelki wysiłek. Słyszała głos, który kontrolował jej uszy, jej umysł.

— Cóż ty wyprawiasz? Czego się boisz?

Mięśnie łydek Alii drżały, a jej stopy usiłowały naśladować bieg. Ale dokąd mogła uciec?

Miała na sobie złotą szatę z najczystszego paliańskiego jedwabiu,

obnażającą pulchność młodego ciała. Minęła Godzina Assassinów, świt czaił się za oknem. Na czerwonej narzucie leżały raporty obejmujące ubiegłe trzy miesiące. Alia słyszała pomruk aparatury klimatyzacyjnej. Lekki wiaterek powiewał naklejkami na szpulach szigastruny.

Adiutantki obudziły ją dwie godziny temu, przynosząc wieści o ostatniej napaści. Alia zażądała szpuli z raportami, szukając jakiegoś sensownego wyjaśnienia.

Ataki bez wątpienia musiały być dziełem buntowników. Coraz więcej Fremenów zwracało się przeciw religii Muad'Diba.

— No i co z tego? — zapytał drażniący głos.

Alia wściekle potrząsnęła głową. Namri ją zawiódł. Była głupia, ufając niebezpiecznemu podwójnemu narzędziu. Adiutantki podszeptywały, że należy winić Stilgara, że jest utajonym buntownikiem. A co stało się z Halleckiem? Zniknął wśród swoich przyjaciół przemytników? Prawdopodobnie.

Podniosła jedną ze szpul z raportami. I ten cały Muriz! To jakiś histeryk, inaczej musiałaby uwierzyć w cuda. Żadna istota ludzka, a tym bardziej dziecko (nawet dziecko takie jak Leto), nie mogło spaść ze skały Szulochu i przeżyć. A już za zupełną fantazję należało uznać fakt, że ktoś wędrował przez pustynię, skacząc z jednej wydmy na drugą.

Alia czuła w dłoni chłód szigastruny.

Gdzie zatem jest Leto? Ghanima nie chciała wierzyć, że jej brat może być żywy. Prawdomówczyni podtrzymywała opowieść dziewczynki: Leto został pożarty przez tygrysy laza. Kim więc było dziecko, o którym donosili Namri i Muriz?

Zadrżała.

Zniszczono czterdzieści kanatów, ich woda wsiąkła w piach. Nie oszczędzano lojalnych Fremenów, buntowników, przesądnych prostaków, nikogo! Raporty ciągle relacjonowały tajemnicze wydarzenia. Piaskopływaki wpadały do kanałów i dzieliły się, by stać się zaczątkiem wielu nowych, małych stworków. Czerwie rozmyślnie wchodziły do wody. Krew skapywała z Drugiego Księżyca i spadała na Arrakis, wywołując wielkie burze. A częstotliwość burz wzrastała.

Duncan wciąż nie dawał znaku życia z Tabr. Ghanima i Irulana nie rozmawiały już prawie o niczym innym poza interpretowaniem dziwnych znaków. Idiotki! Nawet szpiedzy ulegali wpływom tych niedorzecznych opowieści.

Dlaczego Ghanima podtrzymywała bajeczkę o tygrysach laza?

Alia westchnęła. Uspokajał ją tylko jeden raport ze szpul szigastruny. Farad'n wysłał kontyngent pałacowej straży „…by wspomóc Cię w kłopotach i przygotować oficjalny obrzęd Zaślubin". Alia uśmiechnęła się do siebie. Przynajmniej ten plan pozostawał nienaruszony. Znajdzie logiczne rozwiązanie, aby wyjaśnić cały

nonsens obecnej sytuacji.

Ludzi Farad'na wykorzystała po ich przybyciu, by skończyć z Szulochem i zaaresztować znanych dysydentów, zwłaszcza wśród naibów. Rozważała posunięcia przeciw Stilgarowi, lecz wewnętrzny głos ostrzegał ją przed tym krokiem:

— Jeszcze nie teraz.

— Moja matka i zakon ciągle coś knują — szepnęła. — Dlaczego szkoli Farad'na?

— Bo może on ją podnieca — szepnął stary baron.

— Na to jest zbyt oziębła.

— Nie myślisz o poproszeniu Farad'na, by ją odesłał?

— To zbyt niebezpieczne posunięcie!

— Dobrze. A ten młody adiutant, którego ostatnio sprowadziła Zia, pamiętam, że nazywa się Agarves… BuerAgarves. Zaprosisz go dziś w nocy?

— Nie!

— Alio…

— Już prawie świt, ty nienasycony, stary głupcze! Dziś rano jest posiedzenie Rady Wojennej. Kapłani będą…

— Nie ufaj im, droga Alio.

— Oczywiście, że nie!

— Bardzo dobrze. Zatem Agarves…

— Powiedziałam: nie!

Stary baron umilkł, ale poczuła narastający ból głowy. Kiedyś sprawił, że miotała się w okropnej męce. Dziś zdecydowała się mu oprzeć.

— Jeżeli nie przestaniesz, wezmę środki nasenne — ostrzegła. Wiedział, że mówi poważnie. Ból stopniowo ustąpił.

— Bardzo dobrze — rzekł w rozdrażnieniu. — Zatem innym razem.

— Innym razem — zgodziła się.

> *Tyś rozdarł piach swą siłą, tyś złamał karki smokom pustyni Tak, ujrzałem cię jako bestię z diun wychodzącą: miałeś dwa rogi jako baranek, aleś niczym smok przemawiał.*
>
> *Zrewidowana Biblia Protestancko-Katolicka, Arran II:4*

To było proroctwo, które nie mogło się już zmienić: nici wizji stawały się sznurem, dzięki któremu Leto wydawało się, że zna całe

swoje życie. Spojrzał na cienie zachodu nad Tanzerouft. O sto siedemdziesiąt kilometrów na północ leżała Stara Szczerba: głęboka, wijąca się rozpadlina w Murze Zaporowym, przez którą pierwsi Fremeni wyszli na pustynię.

Nie miał już żadnych wątpliwości. Wiedział, dlaczego stoi tu, na piasku, samotnie, a mimo to czuje, że do niego należy ów pustynny kraj, że musi on spełnić jego wolę. Gdzieś była cięciwa łącząca go z ludzkością i jej głęboką potrzebą pełnego ładu, nadającego sens życiu. Wszechświata rozpoznawalnych regularności, tkwiących w nieskończonej zmianie.

„Znam ten wszechświat".

Czerw, na którym tu przybył, wynurzył się na dźwięk rytmicznego tupania stopą i natychmiast zamarł jak posłuszny rumak. Leto wskoczył na jego grzbiet i z pomocą wzmocnionych błoną rąk podważył przednią krawędź pierścienia bestii, by zmusić ją do wędrówki po powierzchni. Czerw wyczerpał zapas sił po całonocnym pędzie na północ. Jego krzemowo-siarkowa wewnętrzna fabryka pracowała pełną mocą, wyrzucając hojnie obłoki tlenu. Czasami „wydechy" stwora przyprawiały Leto o zawrót głowy, wypełniając jego umysł dziwnymi doznaniami. Refleksyjna, zapętlająca się subiektywność wizji zmuszała go do przeżycia od nowa partii terrańskiej przeszłości i porównania jej z tym, czego obecnie doznawał.

Rozumiał, jak bardzo oddalił się od wszystkiego, co ludzkie. Skuszona przyprawą błona również nie była już piaskopływakami. Rzęski wpełzły w ciało chłopca, tworząc zupełnie nową istotę.

„Widziałeś to, ojcze, i odrzuciłeś" — pomyślał.

Leto doskonale pojmował, co ludzkość zawdzięczała Paulowi i dlaczego.

„Muad'Dib umarł od przyszłowidzenia".

Ale Paul Atryda przeszedł z wszechświata rzeczywistości w Alam al-Mithal, gdzie wciąż żył, uciekłszy od metamorfozy, na którą zdecydował się jego syn.

Leto przykucnął na piasku, z twarzą zwróconą ku północy. Oczekiwany czerw miał nadejść z tego kierunku, a na jego grzbiecie powinno jechać dwóch ludzi: młody Fremen i pewien ślepiec.

Stadko nietoperzy przeleciało nad głową Leto, skręcając ku południowemu wschodowi. Doświadczony Fremen potrafił gołym okiem wyznaczyć ich kurs powrotny i w ten sposób dowiedzieć się, gdzie znajduje się ich schronienie. Jednakże Kaznodzieja unikałby tego miejsca. Podążył do Szulochu, gdzie wytępiono dzikie nietoperze, by nie zdradziły obcym kryjówki przemytników.

Czerw zamajaczył na horyzoncie jako ciemny punkt pomiędzy pustynią a pomocnym niebem. Matar, deszcz piasku, spadł z dużych

wysokości nie podtrzymywany przez zamierającą burzę, na kilka minut zasłaniając widok.

Poza linią chłodu u podnóża wydmy, za którą przycupnął Leto, poczęła się gromadzić nocna, nietrwała wilgoć. Wyczuwał ją nozdrzami. Nie musiał szukać wysięków i haust-studni. Dzięki genom fremeńskiej matki posiadał obszerniejsze jelito grube, wychwytujące wodę ze wszystkiego, co przez nie przechodziło. Jego żywy filtrfrak również magazynował cząsteczki wilgoci. Nawet teraz, gdy chłopiec siedział, ta część błony, która dotykała piasku, wyciągała swe pseudopodia-rzęski, by łowić dostępne ergi energii.

Leto obserwował zbliżającego się czerwia. Młodzieniec-przewodnik musiał już go zauważyć, spostrzec ciemną plamę na szczycie wydmy. Jeździec na czerwiu nie mógł z takiej odległości w żaden sposób określić charakteru obcego obiektu. Fremeni wypracowali specjalny zestaw czynności na ewentualność tego typu spotkania. Wszystko, co napotkali, traktowali jako niebezpieczeństwo. W tej sytuacji reakcja młodego przewodnika nie była zagadką.

Zgodnie z oczekiwaniem czerw zmienił nieco trasę, kierując się wprost na Leto. Fremeni często wykorzystywali wielkie bestie jako potężną broń. Czerwie pomogły pobić Szaddama pod Arrakin. Ten stwór jednakże sprzeciwił się woli jeźdźca. Zatrzymał cielsko dziesięć metrów przed Leto i żadne próby poganiania nie posunęłyby go o ziarenko piasku dalej.

Leto wstał, czując, jak rzęski na pośladkach błyskawicznie chowają się w błonę. Uwolnił usta i zawołał:

— Achlan, wasachlan! — Witaj, dwakroć witaj!

Ślepiec stał wyprostowany na grzbiecie czerwia, jego dłoń spoczywała na barku młodzieńca. Głowę trzymał wysoko, patrząc gdzieś nad Leto, jakby chciał wywęszyć niebezpieczeństwo. Zachód słońca kładł pomarańczowy blask na jego czoło.

— Kto to? — zapytał, potrząsając ramieniem przewodnika. — Dlaczego się zatrzymaliśmy?

Młodzieniec spojrzał z lękiem na Leto i powiedział:

— Spotkaliśmy kogoś samotnego na pustyni. Dziecko, sądząc po wyglądzie. Próbowałem skierować na niego czerwia, ale ten nie chce iść naprzód.

— Dlaczego mnie nie poinformowałeś? — zapytał z naciskiem ślepiec.

— Myślałem, że to tylko samotny wędrowiec! — zaprotestował przewodnik. — Ale on okazał się demonem.

— Powiedziane, jak przystało na syna Dżekaraty — rzekł Leto. — A ty, panie, jesteś Kaznodzieją.

— Tak, jestem nim. — W głosie starca usłyszał wyraźny strach.

— To nie ogród — odparł Leto — ale zapraszam was, byście

spędzili ze mną noc.

— Kim jesteś? — zapytał ponownie Kaznodzieja. — Jak zatrzymałeś naszego czerwia? — Coś sobie przypomniał, przywołał z pamięci wspomnienie jednej z alternatywnych wizji.

— To demon — ponownie stwierdził przewodnik. — Musimy uciekać z tego miejsca, w którym nasze dusze…

— Bądź cicho! — zagrzmiał Kaznodzieja.

— Jestem Leto Atryda — rzekł chłopiec. — Wasz czerw zatrzymał się, bo tak mu rozkazałem.

Kaznodzieja czekał nieruchomo, w milczeniu.

— Chodź, ojcze — zaprosił Leto. — Zejdź z czerwia i spędź ze mną noc. Dam ci słodki syrop do picia. Widzę, że wy też macie fremsaki wypełnione żywnością i literjonami wody. Podzielimy się naszymi bogactwami.

— Leto to jeszcze dziecko — zaprotestował Kaznodzieja. — Powiadają, że zginął na skutek knowań Corrinów.

— Znasz mnie, panie — rzekł Leto. — Jestem mały, jak przystało na wiek, w którym i ty byłeś, ale doświadczenia odziedziczyłem po przodkach, a głos wyszkoliłem.

— Co robisz tu, na Wewnętrznej Pustyni? — zapytał Kaznodzieja.

— Bu dżi — odparł Leto. Nic z niczego; tak brzmiała odpowiedź zensunnickiego wędrowca; kogoś, kto działał w harmonii z otoczeniem.

Kaznodzieja potrząsnął ramieniem przewodnika.

— Czy on jest dzieckiem? Naprawdę dzieckiem?

— Aiya — rzekł młodzieniec, wpatrując się w Leto z lękliwą uwagą. Głębokie westchnienie wstrząsnęło Kaznodzieją.

— Nie… — wyszeptał.

— To demon w postaci dziecka — dodał przewodnik.

— Spędźcie tutaj noc — wskazał Leto.

— Zrobimy, jak mówi — rzekł Kaznodzieja. Zdjął rękę z barku przewodnika, ześliznął się po boku czerwia i precyzyjnie zeskoczył na piach. Odwracając się, powiedział: — Wyślij czerwia z powrotem w piach. Jest zmęczony i nie będzie nas niepokoił.

— Czerw się nie ruszy — powiedział młodzieniec.

— Ruszy się — rzekł Leto — ale jeśli spróbujesz na nim uciec, pozwolę mu, by cię pożarł. — Przeszedł na bok, poza zasięg zmysłów bestii, wskazując kierunek, z którego przybyli: — Tamtędy.

Młodzieniec podrażnił pierścień czerwia, ściągając hak tam, gdzie utrzymywał on otwarty segment stworzenia. Czerw powoli zaczął skręcać.

Podążając za głosem chłopca, Kaznodzieja wspiął się po zboczu wydmy i stanął dwa kroki od niego. Pewność, z jaką to zrobił, przekonała Leto, że będzie miał trudny orzech do zgryzienia. W tym

miejscu rozchodziły się ich wizje.

— Zdejmij maskę kombinezonu, ojcze — rzekł.

Kaznodzieja usłuchał, odrzucając fałd kaptura i zdejmując osłonę ust.

Znając własny wygląd, Leto dopatrzył się wielu podobieństw w twarzy starca. Jej rysy tworzyły niezaprzeczalną jedność, przekaz genów bez ostrych ograniczeń, które pochodziły z dni śpiewu, z dni pluskania się w wodzie, z czasów spędzonych na Kaladanie. Teraz znajdowali się wśród zapadającej na Diunie nocy.

— Słusznie zrobiłeś, ojcze — powiedział Leto, spoglądając w lewo, gdzie dostrzegł młodego przewodnika, posuwającego się ku nim z trudem z miejsca, w którym zostawił czerwia.

— Mu zeim — rzekł Kaznodzieja, wykonując gwałtowne gesty lewą dłonią. To nic dobrego.

— Koolish zein — odparł łagodnie Leto. To wszelkie dobro, jakie kiedykolwiek możemy osiągnąć. I dodał w Chakobsa, języku walki Atrydów: — Tu jestem i tu pozostanę! Nie możemy o tym zapominać, ojcze.

Kaznodzieja zasłonił obiema dłońmi puste oczodoły, demonstrując dawno nie używany gest.

— Oddałem ci kiedyś wzrok moich oczu i zabrałem twoje wspomnienia — kontynuował Leto. — Byłem z tobą tam, gdzie się ukrywałeś.

— Wiem. — Kaznodzieja opuścił dłonie. — Poznajesz?

— Nazwałeś mnie na cześć człowieka, który dołączył to do naszego herbu — powiedział Leto. — J'y suis, j'y reste! Kaznodzieja westchnął głęboko.

— Jak daleko zaszła przemiana? Co ze sobą zrobiłeś?

— Moja skóra nie jest już moją, ojcze. Kaznodzieja zadrżał.

— Zatem wiem, jak mnie odszukałeś.

— Tak, znalazłem w pamięci miejsce, w którym nigdy nie przebywało moje ciało — rzekł Leto. — Pragnąłem spotkać się z ojcem.

— Nie jestem twoim ojcem. Jestem tylko jego nędzną kopią, szczątkiem. — Odwrócił głowę w kierunku odgłosów wydawanych przez zbliżającego się przewodnika. — Nie poszukuję wizji przyszłości.

Gdy mówił, ciemność spowiła pustynię. Gwiazdy zalśniły nad nimi, i Leto również zwrócił twarz ku nadchodzącemu przewodnikowi.

— Subakh ul kuhar! — zawołał do młodzieńca. Dobrze się miewasz?

Po chwili nadeszła odpowiedź:

— Subakh un nar!

Kaznodzieja ostrzegł matowym szeptem:

— Ten młody Assan Tariq jest niebezpieczny.

— Wszyscy spośród Wygnańców są niebezpieczni — odparł Leto. — Ale nie dla mnie.

— Jeżeli tak wygląda twoja wizja, nie będę jej dzielił — rzekł starzec.

— Może nie masz wyboru — zasugerował Leto. — Jesteś w fil-haquiqua. W rzeczywistości Jesteś Abu Dhur — Ojcem Nieskończonych Ścieżek Czasu.

— Nie jestem niczym więcej, niż przynętą w pułapce — odparł gorzkim głosem Kaznodzieja.

— Alia już połknęła przynętę — rzekł Leto. — Ale smak kąska wyraźnie nie przypadł jej do gustu.

— Nie możesz tego zrobić! — syknął Kaznodzieja.

— Za późno. Moja skóra nie jest moją własną.

— Być może znajdzie się jeszcze dla ciebie jakiś ratunek…

— Za późno. — Leto przekrzywił głowę na bok. Słyszał, jak Assan Tariq wspina się ku nim po zboczu wydmy.

— Witaj, Assanie Tariqu z Szulochu — krzyknął.

Młodzieniec zatrzymał się na zboczu poniżej Leto. Gdy tak stał, wyglądał jak ciemny cień w świetle gwiazd. W układzie jego ramion, w sposobie, w jaki wyciągał głowę, brakowało zdecydowania.

— Tak — rzekł Leto. — Jestem tym, który uciekł z Szulochu.

— Gdy usłyszałem… — zaczął Kaznodzieja. I znowu powtórzył: — Nie możesz tego zrobić!

— Już to robię. Co za problem, jeżeli jeszcze raz oślepniesz?

— Myślisz, że się boję? — zapytał Kaznodzieja. — Nie widzisz, jakiego wspaniałego przewodnika mi przydzielono?

— Widzę. — Leto znów odwrócił się do Tariqa. — Nie słyszałeś mnie, Assanie? Jestem tym, który uciekł z Szulochu.

— Jesteś demonem — rzekł drżącym głosem młodzieniec.

Chłopiec poczuł, jak miedzy nim i ojcem narasta napięcie. Wszystko wokół przybrało formę gry cieni, projekcji czystej nieświadomości. Rzeczywistość zaczęła się cofać pod naporem obcych sił, w odwrotnym porządku przestawiających elementy wizji jego ojca.

Tariq był świadom toczącej się walki wizji. Zszedł kilka kroków w dół zbocza.

— Nie możesz kontrolować przyszłości — szepnął Kaznodzieja, a dźwięk starczego głosu drżał od wysiłku, jak gdyby mężczyzna dźwigał na barkach wielki ciężar.

Między ojcem i synem powstawał dysonans. Była to część determinacji, z którą borykało się całe życie Leto. Albo on, albo jego ojciec będzie musiał wkrótce wybrać zwycięską wizję. Ojciec miał rację: usiłując przyjąć absolutną kontrolę nad wszechświatem,

stwarzał broń, która w ostatecznym starciu pomagała jego wrogowi odnieść zwycięstwo. Wybranie wizji i radzenie sobie z nią wymagało balansowania na cienkiej, napiętej linie bycia Bogiem, po obu krańcach której znajdowała się kosmiczna samotność. Żaden z rywali nie próbował wycofać się w stan śmierci — jako wybawienia od paradoksu. Obaj znali wizje i ich zasady. Kolejno umierały dawne złudzenia. Gdy jeden współzawodnik wykonywał ruch, drugi mógł odpowiedzieć tylko kontrposunięciem. Nie znali żadnych bezpiecznych miejsc. Obaj mogli polegać jedynie na desperackiej, samotnej odwadze. Leto miał przewagę w dwóch punktach: wybrał drogę, z której nie było powrotu, i przyjął na siebie jej straszliwe konsekwencje. Natomiast Paul wciąż miał nadzieję, że istnieje sposób wycofania się, i nie podejmował ostatecznej decyzji.

— Nie wolno ci! Nie wolno ci! — chrypliwym głosem powtarzał Kaznodzieja.

„Rozumie moją przewagę” — pomyślał Leto.

Odezwał się tonem zachęcającym do dyskusji, maskując napięcie:

— Nie żywię płomiennej wiary w prawdę, żadnej wiary poza tą, którą tworzę — rzekł. Wyczuł, jak między nim a jego ojcem przebiegła jakaś iskra, coś, co potwierdzało jego wiarę w siebie. Zrozumiał, że oto pozostawił swój pierwszy znak na Złotej Drodze. Pewnego dnia te znaki, dar istoty nie będącej już wtedy człowiekiem, przemówią, ukazując, jak się nim stać. Pozostawianie ich było jednak aktem odwagi. Czuł, ile spośród wypełniających go osobowości to hazardziści, gdy gotował się do gry o najwyższą stawkę.

Wciągnął nozdrzami powietrze, szukając znaku, na który obaj z ojcem czekali. Nasuwało się jedno pytanie: czy ojciec ostrzeże przewodnika?

W tej chwili poczuł charakterystyczny zapach ozonu, zdradzający aktywizację tarczy. Tariq, wierny rozkazom Wygnańców, postanowił zabić obu niebezpiecznych Atrydów, nie wiedząc nawet, jaki los zgotowałby światu.

— Nie! — szepnął Kaznodzieja.

Lecz Leto już był gotów. Czuł ozon, ale nie słyszał odgłosu dzwonienia w powietrzu. Tariq użył pseudotarczy, by rozwścieczyć czerwia. Nic nie mogło zatrzymać bestii: ani woda, ani obecność piaskopływaków… nic. Tak, młodzieniec wbił tarczę w piach na zboczu wydmy i zaczął oddalać się z niebezpiecznej strefy.

Leto zeskoczył w wydmy, słysząc za sobą krzyk protestu. Straszliwy impet wzmocnionych mięśni wyrzucił ciało chłopca jak pocisk. Jedną ręką chwycił za karb filtrfraka Tariqa, drugą złapał za pas młodzieńca. Rozległ się pojedynczy trzask, towarzyszący złamaniu kręgów szyi. Leto przetoczył się, skoczył, utrzymując ciało w pionie jak precyzyjnie wyważony instrument, a następnie zanurkował

dokładnie tam, gdzie w piasku tkwiła zagrzebana pseudo-tarcza. Palce Leto błyskawicznie ją odnalazły i wydobyły na powierzchnię. Urządzenie zatoczyło szeroki łuk i wylądowało daleko na południu.

Po chwili z miejsca, gdzie upadła pseudotarcza, dobiegł potężny łoskot.

Leto przeniósł wzrok na szczyt wydmy, gdzie stał ojciec, wciąż niechętny, ale pokonany. Oto Paul Muad'Dib — ślepy, gniewny, bliski rozpaczy. Teraz zapewne recytował sobie Długi Koan Zensunnitów:

„Samym aktem trafnego przewidywania przyszłości Muad'Dib wprowadził w przyszłowidzenie element rozwoju i wzrostu. Czynem tym ściągnął na siebie niepewność. Szukając absolutu prawidłowego przewidywania, nasilił chaos".

Leto jednym skokiem wrócił na szczyt wydmy i powiedział:

— Teraz ja będę twoim przewodnikiem.

— Nigdy!

— Wrócisz do Szulochu?

Paul odwrócił się do syna, kierując na niego puste oczodoły.

— Czy naprawdę wiesz, jaki wszechświat chcesz stworzyć?

Leto usłyszał w tym słowach szczególną emfazę. Wizja, o której obaj wiedzieli, że już została wprawiona w ruch, wymagała aktu stworzenia. Cały wszechświat podzielał teorię linearną — iż Czas wykazuje cechy uporządkowanego następstwa. Ludzie wnikali w Czas tak, jakby wchodzili do ruchomego pojazdu, i wydawało im się, że tylko tak można go opuścić.

W przeciwieństwie do nich Leto dzierżył wodze mnóstwa nici. Był widzącym we wszechświecie ślepców. Tylko on mógł zniszczyć uporządkowaną rację bytu, ponieważ jego ojciec nie miał już w rękach owych wodzy. Każda myśl, nawet wyśniona w najdalszej przyszłości, mogła się odbić na teraźniejszości i ruchu jego ręki. Leto był w stanie tym ruchem zmieniać przeszłość.

Ruchem tylko jego ręki.

Choć Paul nie wiedział wszystkiego, bo nie był w stanie zobaczyć, jak Leto manipuluje nićmi, mógł jednak określić konsekwencje nieludzkości, na którą zdecydował się jego syn. Pomyślał: „Oto zmiana, o którą się modliłem. Dlaczego tak się jej boję? Bo to Złota Droga!"

— Jestem tu, by nadać cel ewolucji, a przez to naszemu życiu — powiedział Leto.

— Naprawdę chcesz żyć tysiące lat, przechodząc ewolucję, o której wiesz, że nie zdołasz jej odwrócić?

Leto zrozumiał, że jego ojciec nie mówi o fizycznych zmianach. Obaj znali jej zewnętrzne następstwa: Leto przejdzie kolejne etapy przystosowania. Skóra-która-nie-była-jego ulegnie całkowitej asymilacji. Ewolucyjne pchnięcie w którąkolwiek ze stron

zrównoważy się z innymi, w wyniku czego dokona się pojedyncza transformacja. Gdy nadejdzie metamorfoza (jeżeli nadejdzie), we wszechświecie pojawi się istota rozumna przerażających rozmiarów… i ten wszechświat będzie oddawał jej boską cześć.

Nie… Paul mówił o wewnętrznych zmianach, o myślach i decyzjach, które odcisną trwały ślad na losie wiernych.

— Ci, którzy sądzą, że nie żyjesz — powiedział Leto — cytują twoje ostatnie słowa. Czy wiesz, jakie?

— Oczywiście.

— „Teraz czynię to, co powinni uczynić wszyscy ludzie w służbie życia" — kontynuował Leto. — To nie są słowa Muad'Diba, ale kapłani, wiedząc, że nigdy nie wrócisz, aby nazwać ich kłamcami, wkładają ci je w usta.

— Nie nazwałbym ich kłamcami. — Paul wciągnął głęboko powietrze. — To dobre ostatnie słowa.

— Zostaniesz tu, czy wrócisz do swojej rudery w Szulochu? — zapytał Leto.

— Wszechświat należy teraz do ciebie — rzekł starzec.

Leto usłyszał w głosie Paula nutę klęski. Ojciec starał się uratować ostatnie pasemka wizji, którą wybrał wiele lat temu w siczy Tabr. Dlatego zgodził się grać rolę narzędzia w zemście planowanej przez Wygnańców, ocalałych resztek Dżekaraty. Gardzili nim, ale wolał tę poniżającą alternatywę, niż dobrowolne przyjęcie wariantu wszechświata, który zaakceptował Leto.

Smutek chłopca był tak wielki, że na chwilę odebrał mu głos. Dopiero po kilku minutach Leto odezwał się:

— Więc zwabiłeś Alię w pułapkę, kusiłeś ją i zmuszałeś do podejmowania błędnych decyzji! A teraz wie, kim jesteś.

— Wie… Tak, wie. — Paul nadal jednak nie rezygnował z oporu: — Odbiorę ci tę wizję, jeżeli będę mógł.

— Tysiące lat w pokoju — odparł Leto. — Właśnie to im daję.

— Śpiączkę! Stagnację!

— Oczywiście. Ale okrucieństw, na które zezwolę, rodzaj ludzki nigdy nie zapomni.

— Pluję na twoją wizję — rzekł Paul. — Myślisz, że nie widziałem ścieżek podobnych do tej wybranej przez ciebie?

— Widziałeś — zgodził się Leto.

— Czy twoja wizja jest w czymkolwiek lepsza niż moja?

— Ani o jotę. Pewnie nawet gorsza — przyznał Leto.

— Zatem muszę ci się oprzeć, prawda? — zapytał z naciskiem Paul.

— Zabij mnie!

— Nie jestem na tyle naiwny. Wiem, co wprawiłeś w ruch. Wiem o zniszczonych kanatach i wznieconym niepokoju.

— A teraz Assan Tariq nigdy nie wróci do Szulochu. Musisz iść ze mną albo zostać tu, bo tak podpowiada moja wizja.

— Nigdzie nie pójdę.

„Jak dziwnie brzmi jego głos” — pomyślał Leto i poczuł przeszywający jego serce ból. Głośno zaś powiedział: — W diszdeszy mam wszyty pierścień z jastrzębiem Atrydów. Chcesz, żebym ci go zwrócił?

— Dlaczego nie umarłem? — szepnął Paul. — Naprawdę pragnąłem śmierci, kiedy wyszedłem na pustynię. Coś nie pozwoliło mi umrzeć. Musiałem wrócić i…

— Przywrócić legendę — dokończył Leto. — Wiem. A szakale Dżekaraty już czekali na ciebie. Chcieli twoich wizji!

— Odmówiłem. Nigdy żadnej im nie dałem.

— Ale oni cię splugawili. Karmili cię esencją przyprawową, zabawiali snami i kobietami. A ty miałeś wizje.

— Czasami. — Jak szelmowsko zabrzmiał głos tego starca!

— Weźmiesz pierścień z powrotem? — zapytał Leto. Paul nagle usiadł na piasku, stając się ciemną plamą na tle światła gwiazd.

— Nie!

„Więc wie o daremności swej drogi” — pomyślał Leto. Pojedynek wizji przeszedł z delikatnej płaszczyzny wyborów na wielkie pole wyzbywania się alternatyw. Paul zdawał sobie sprawę, że nie może wygrać, ale jeszcze miał nadzieję na unicestwienie tej wizji, przy której obstawał Leto.

Po chwili Kaznodzieja powiedział:

— Tak, zostałem skalany przez Dżekaratę. Ale ty kalasz się sam.

— To prawda — odrzekł Leto. — Jestem twoim synem.

— A jesteś dobrym Fremenem?

— Tak.

— Pozwolisz więc odejść ślepcowi na pustynię? Pozwolisz mu odnaleźć spokój? — Uderzył otwarła dłonią w piach przed sobą.

— Nie, nigdy — rzekł Leto. — Ale gdybyś wciąż nalegał, masz prawo nadziać się na swój nóż.

— A ty posiądziesz moje ciało?

— Owszem.

— Nie!

„A więc zna tę drogę” — pomyślał Leto. Wyświęcenie ciała Muad’Diba można było wykorzystać do scementowania wizji Leto.

— Nigdy im nie powiedziałeś, prawda, ojcze — zapytał Leto.

— Nigdy im nie powiedziałem.

— Ale ja to zrobiłem — rzekł Leto. — Powiedziałem Murizowi o Kralizeku, Ataku Huraganu. Ramiona Paula wyraźnie opadły.

— Nie możesz — szepnął. — Nie możesz.

— Jestem teraz stworzeniem pustyni, ojcze — wyjaśnił Leto. —

Powiedziałbyś tak do kurzawy Coriolisa?

— Myślisz, że okazałem się tchórzem, ponieważ odrzucam tę drogę? — zapytał Paul chrapliwym, drżącym głosem. — Och, dobrze cię rozumiem, synu. Wróżbiarstwo i szarlataneria zawsze niosły ze sobą zgubę. Ja nigdy nie zagubiłem się w możliwych przyszłościach, ale ta jedna jest nie do przyjęcia!

— W porównaniu z nią twoja dżihad była letnim piknikiem na Kaladanie — zgodził się Leto. — Zabiorę cię do Gurneya Hallecka.

— Gurney! *Służy* przecież zakonowi żeńskiemu. Leto pojął rozmiary wizji ojca.

— Nie, ojcze. Gurney nikomu już nie służy. Wiem, gdzie można go znaleźć i mogę cię tam zabrać. Nadszedł czas, by powstała nowa legenda.

— Widzę, że nie mogę na ciebie wpłynąć. Pozwól zatem, niech cię przynajmniej dotknę.

Leto wyciągnął prawą dłoń, by spotkać palce ojca. Wyczuł ich siłę, dostosował się do niej i wstrzymał ruch ramienia Paula.

— Nawet zatruty nóż nie uczyni mi szkody — rzekł Leto. — Mój organizm ma teraz inny metabolizm.

Łzy popłynęły z pustych oczodołów i Paul zwolnił uścisk. Pozwolił dłoni opaść na bok.

— Gdybym wybrał twoją drogę, zostałbym bicourosem szejtana. A czym ty się staniesz?

— Przez pewien okres mnie również będą nazywali misjonarzem szejtana — odparł Leto. — Potem zaczną się zastanawiać i ostatecznie dojdą do prawdy. Nie zaszedłeś w wizjach wystarczająco daleko, ojcze. Czyniłeś zarówno dobro, jak i zło.

— Ale o wyrządzonym źle dowiadywałem się za późno.

— Poznałeś tylko część mojej wizji. Czy na resztę nie miałeś dość siły?

— Wiesz, że nie zrobiłbym wielu rzeczy, gdybym mógł przewidzieć zło, jakie przyniosą. Nie jestem z Dżekaraty. — Wspiął się na palce. — Myślisz, że jestem z tych śmiejących się samotnie w nocy?

— Szkoda, że nigdy nie byłeś prawdziwym Fremenem — rzekł Leto. — My, Fremeni, wiemy, jak poprowadzić arif. Nasi sędziowie potrafią wybrać właściwą drogę, oddzielić dobro od zła.

— Fremeni, co? Niewolnicy, którym pomogłeś się nimi stać?

Paul podszedł do Leto i wyciągnął dłoń w dziwnie nieśmiałym geście, dotknął pokrytego błoną ramienia, powiódł palcem w górę do miejsca, gdzie powłoka odkrywała ucho, następnie przejechał po policzku i zbliżył dłoń do ust.

— Aaach, nareszcie twoje własne ciało — powiedział. — Dokąd cię to zaprowadzi? — Opuścił dłoń.

— Do punktu, w którym ludzie sami będą tworzyć każdą chwilę

przyszłości.

— I to ty tak mówisz? Paskudztwo kusiłoby w ten sam sposób.

— Nie jestem Paskudztwem, chociaż mógłbym nim być — odrzekł Leto. — Widziałem, co stało się z Alią, ojcze. Opanował ją demon. Ghania i ja znamy go. To baron, twój dziadek.

Paul ukrył twarz w dłoniach. Ramiona drżały mu przez chwilę, a gdy opuścił ręce, jego usta były zaciśnięte w ostrą linię.

— Na naszym rodzie ciąży przekleństwo. Modliłem się, żebyś rzucił ten pierścień w piasek, żebyś się mnie wyparł i uciekł, byś wybrał inne życie.

— Za jaką cenę?

Po długiej przerwie Paul powiedział:

— Cel przygotowuje drogę, która do niego prowadzi. Raz tylko odstąpiłem od własnych zasad. Tylko raz. Przyjąłem Mahdinat. Zrobiłem to dla Chani.

Leto stwierdził, że nie potrafi nic odpowiedzieć. Pamięć tej decyzji tkwiła gdzieś w jego wnętrzu.

— Nie umiem kłamać przed tobą bardziej niż przed sobą — kontynuował Paul. — Wiem o tym. Każdy człowiek winien mieć jakiegoś słuchacza. Zapytam cię tylko o jedno: czy Atak Huraganu jest konieczny?

— Tak, bo inaczej ludzkość wygaśnie.

Paul usłyszał ton powagi w słowach Leto i odezwał się cichym tonem, świadczącym, iż docenia wielkość wizji syna:

— Nie dostrzegałem takiej możliwości.

— Zakon żeński chyba coś podejrzewa — ciągnął Leto. — Inaczej nie potrafię wyjaśnić decyzji babki.

Owiał ich zimny, nocny wiatr, owijając szatę Paula wokół jego nóg. Stary mężczyzna zadrżał. Leto widząc to rzekł:

— Masz sakwę, ojcze. Napompuję filtrnamiot i spędzimy noc w spokoju.

Ale Paul potrząsnął głową. Ani tej, ani żadnej innej nocy Muad'Did nie miał już zaznać spokoju. Bohater miał być zniszczony, sam tak powiedział. Tylko Kaznodzieja będzie istniał nadal.

Fremeni byli pierwszymi istotami ludzkimi, które rozwinęły świadomą i nieświadomą symbolikę przez którą zrozumieli wzajemne relacje układu planetarnego. Byli pierwszymi ludźmi, którzy określali klimat terminami na poły matematycznego języka. Sam język stał się częścią systemu, który opisywał. Jego pisana postać nosiła kształt tego, do czego

się odnosiła. Rozmiar interakcji owego języka-systemu można ocenić przez fakt, iż Fremeni widzieli siebie jako poszukujące pożywienia i pasące się zwierzęta.

„Historia Lieta-Kynesa" pióra Harq al-Ady

— Kaweh wahid — rzekł Stilgar. Przynieś kawy.

Dał znak ręką adiutantowi stojącemu przy drzwiach prowadzących do pokoju o ścianach z kamienia, w którym spędził bezsenną noc. W tym miejscu fremeńscy naibowie zazwyczaj spożywali spartańskie śniadania. Stilgar wstał i przeciągnął się. Chociaż zbliżała się pora posiłku, nie czuł wcale głodu.

Na niskiej poduszce obok drzwi, tłumiąc ziewanie, siedział Duncan Idaho. Zdał sobie właśnie sprawę, że rozmowa ze Stilgarem zajęła całą noc.

— Wybacz mi, Stil — powiedział. — Trzymałem cię zbyt długo na nogach.

— Nieprzespana noc przedłuża życie — odparł Stilgar, odbierając podaną przez drzwi tacę z kawą. Pchnął w kierunku Idaho niską ławę, postawił na niej filiżanki i usiadł naprzeciw gościa.

Obaj mężczyźni mieli na sobie żółte szaty żałobne, ale strój Idaho był pożyczony, ponieważ ludzi w Tabr raziła zieleń jego munduru.

Stilgar nalał czarny napój z pękatej miedzianej karafki, przełknął łyk i podniósł filiżankę do góry, jako znak dla Idaho — pradawny fremeński obyczaj, gest, mówiący: „Nie ma trucizny — spróbowałem".

Kawę przyrządziła Irulana wedle receptury, którą lubił Stilgar: ziarna sprażone do barwy różowego brązu, zmielone na drobny proszek w kamiennych żarnach, gdy były jeszcze gorące, natychmiast zalane wrzątkiem, z dodatkiem szczypty melanżu.

Idaho wciągnął w nozdrza nasycony przyprawą aromat i przełknął powoli gorący płyn. Czy udało mu się przekonać Stilgara?

Mentackie zdolności pracowały opieszale o tak wczesnej godzinie poranka. Wiadomość od Hallecka rzuciła nowe światło na sprawę. Alia wiedziała o Leto! Wiedziała! Dżawid, co za tym idzie, również musiał wiedzieć.

— Musisz mnie zwolnić ze swoich zakazów — rzekł Idaho, raz jeszcze podejmując spór. Stilgar jednak upierał się:

— Porozumienie o neutralności wymaga ode mnie trudnej decyzji. Ghania jest tu bezpieczna. Ty i Irulana też jesteście bezpieczni, ale nie wolno ci wysyłać żadnych wiadomości. Przyjmować możesz, owszem, ale nie wolno ci ich wysyłać. Dałem

moje słowo.

— Czy wypada tak traktować gościa i starego przyjaciela, który kiedyś dzielił z tobą niebezpieczeństwa? — zapytał Idaho, pamiętając, że użył już tego argumentu wcześniej.

Stilgar starannie odstawił filiżankę na tacę i cały czas patrząc na nią, powiedział:

— My, Fremeni, nie mamy poczucia winy czyniąc to, co wzbudza niechęć w innych. — Podniósł wzrok na twarz Idaho.

„Muszę go nakłonić, by zabrał Ghanię i uciekł stąd" — pomyślał Idaho. Głośno zaś powiedział: — Nie leżało w moich zamiarach odwoływanie się do twojego sumienia.

— Rozumiem — odrzekł Stilgar. — Poruszyłem tę kwestię, byś pojął fremeński sposób traktowania spraw. Masz przecież do czynienia z Fremenami. Nawet Alia myśli tak jak my.

— A kapłani?

— To co innego — rzekł Stilgar. — Chcą, by ludzie połykali szary wiatr grzechu, przyjmując go na wieczność. Taki jest ich wielki blef, dzięki któremu pragną dowieść własnej pobożności. — Mówił miarowym głosem i Idaho zastanawiał się, dlaczego gorycz, którą w nim słyszał, nie pcha Stilgara do czynów.

— Stosując stary, bardzo stary chwyt rządów autokratycznych — powiedział Idaho. — Alia dobrze go zna. Poddani muszą odczuwać winę. Wstępem do poczucia winy są niepowodzenia. Autokrata dostarcza ludowi wiele okazji do klęsk i niepowodzeń.

— Zapamiętam twoje słowa — rzekł sucho Stilgar. — Wybacz mi, ale jeszcze raz ci przypomnę, że mówisz o własnej żonie, siostrze Muad'Diba.

— Powtarzam: Alia jest opętana!

— Wielu tak twierdzi. Kiedyś podda się ją próbie. Tymczasem mamy inne, ważniejsze sprawy.

Idaho ze smutkiem potrząsnął głową.

— Wszystko, o czym ci powiedziałem, można sprawdzić. Kontakt z Dżekaratą zawsze utrzymywano przez Świątynię Alii. Tam znalazłbyś pieniądze ze sprzedaży czerwi poza planetę. Wszystkie nici prowadzą do osoby Alii, do Regentki.

Stilgar potrząsnął głową i wciągnął głęboko powietrze:

— Jesteśmy na neutralnym terytorium. Dałem słowo.

— Nie możesz pozostać bierny! — zaprotestował Idaho.

— Zgadzam się. — Stilgar skinął głową. — Alia znalazła się wewnątrz kręgu, który z każdym dniem staje się coraz ciaśniejszy. To jak nasz stary zwyczaj wielożeństwa. Wykazuje męską bezpłodność. — Rzucił pytające spojrzenie na Idaho. — Mówisz, że zdradza cię z innymi mężczyznami, „używając płci jako broni". Tak się przecież wyraziłeś. Zatem masz tu otwartą, absolutnie legalną drogę

wystąpienia przeciw niej. Dżawid jest w Tabr z wiadomościami od Alii. Wystarczy, że…

— Na twoim neutralnym terytorium?

— Nie, na zewnątrz, na pustyni…

— A jeżeli skorzystam z okazji i ucieknę?

— Nie będziesz jej miał.

— Stil, przysięgam ci, Alia jest opętana. Co mam zrobić, by cię przekonać o…

— To oskarżenie ciężko udowodnić — rzekł Stilgar. Ten argument również używany był wielokrotnie tej nocy. Idaho przypomniał sobie słowa Jessiki i powiedział:

— Ale znasz sposób, by to sprawdzić?

— Sposób? Owszem — odparł Stilgar. Znowu potrząsnął głową. — Bolesny i nieodwracalny. Dlatego przypominam ci o naszym podejściu do winy. Potrafimy się uwolnić od jednostek mogących nas zniszczyć. Dotyczy to również Procesu-o-Opętanie. Trybunał wydaje wyrok, za który odpowiedzialność biorą wszyscy obecni.

— Uczestniczyłeś w nim kiedyś, prawda?

— Jestem pewien, że Matka Wielebna nie ominęła tej historii w swoim sprawozdaniu — odparł Stilgar. — Dobrze wiesz, że tak. Idaho zareagował na irytację w głosie Stilgara.

— Nie starałem się zarzucić ci kłamstwa. Po prostu…

— Dyskutowaliśmy całą noc i padło wiele pytań — rzekł Stilgar. — Ale teraz jest już ranek.

— Musisz mi umożliwić wysłanie wiadomości do Jessiki — powiedział Idaho.

— Informacje należałoby przesłać na Salusa — rzekł Stilgar. — Nie będę ci czynił próżnych obietnic. Jeżeli daję słowo, to po to, by go dochować, dlatego właśnie Tabr jest neutralnym terytorium. Nie pozwolę ci na skontaktowanie się z nikim. Przysięgłem w imieniu siczy.

— Alia musi zostać poddana Procesowi!

— Po pierwsze, trzeba ustalić, czy istnieją okoliczności łagodzące. Być może to zwykły przypadek, a nie naturalna dążność do czynienia zła.

— Chcesz uzyskać pewność, że nie jestem mężem-rogaczem szukającym chętnych do wywarcia zemsty na niewiernej żonie — stwierdził Idaho.

— Taka myśl mogła przyjść innym do głowy, ale nie mnie — odparł Stilgar. Uśmiechnął się, by złagodzić żądlący efekt słów. — My, Fremeni, mamy nasze tradycje, nasze hadisy. Kiedy czujemy lęk przed mentatem albo Matką Wielebną, uciekamy się do hadisów. A te mówią, że jedynym lękiem, którego nie potrafimy przezwyciężyć, jest lęk przed błędami.

— Trzeba powiadomić lady Jessikę — powtórzył Idaho. — Gurney twierdzi…

— Wiadomość może nie pochodzić od Gurneya Hallecka.

— My, Atrydzi, mamy swoje sposoby sprawdzania informacji. Stil, nie mógłbyś przynajmniej zbadać niektórych…

— Dżekarata już nie istnieje — rzekł Stilgar — Zniszczono ją wiele pokoleń temu. — Dotknął rękawa Idaho. — W żadnym przypadku nie mogę się pozbywać ludzi zdolnych do walki. To niespokojne czasy, kanaty są zagrożone… Rozumiesz? — Usiadł z powrotem. — Teraz kiedy Alia…

— Nie ma już Alii — powiedział Idaho.

— To ty tak twierdzisz. — Stilgar pociągnął następny łyk kawy i odstawił filiżankę. — Skończmy z tym, Idaho, przyjacielu. Czy koniecznie trzeba odcinać rękę, by usunąć odłamek?

— Zatem porozmawiajmy o Ghanimie.

— Nie ma potrzeby. Może liczyć na moją opiekę. Nikt jej tu nie skrzywdzi.

„Czy jest aż tak naiwny?" — pomyślał Idaho.

Ale Stilgar wstał, by dać znak, że rozmowę uważa za zakończoną. Idaho również się podniósł. Do komnaty wszedł adiutant. Za nim do środka wkroczył Dżawid. Idaho odwrócił się. Spostrzegł, że Stilgar stoi cztery kroki dalej. Bez wahania jednym błyskawicznym ruchem wyciągnął nóż i wbił jego ostrze w pierś niczego nie spodziewającego się Dżawida. Mężczyzna zatoczył się w tył, uwalniając się od noża. Po chwili upadł na twarz, plując krwią. Wierzgnął nogami i znieruchomiał, martwy.

— W ten sposób uciszyłem plotki — wyjaśnił Idaho, Adiutant czekał z wyciągniętym nożem. Idaho zdążył już schować narzędzie mordu do pochwy, pozostawiając szkarłatny ślad na żółtej szacie.

— Splamiłeś mój honor!- krzyknął Stilgar — To neutralne…

— Zamknij się! — Idaho spojrzał na zaszokowanego naiba. — Założono ci obrożę, Stilgar!

Wypowiedział jedną z trzech największych dla Fremena obelg. Twarz Stilgara pobladła.

— Jesteś sługusem — wycedził Idaho. — Sprzedałeś Fremenów za ich wodę.

Tak brzmiała druga z najśmiertelniejszych zniewag: ta, która była powodem zniszczenia Dżekaraty.

Stilgar zgrzytnął zębami i położył dłoń na krysnożu. Adiutant odstąpił na bok.

Idaho odwrócił się plecami do naiba, podszedł do drzwi, mijając ciało Dżawida, i wysyczał trzecią obelgę:

— Nie jesteś nieśmiertelny, Stilgar. W żadnym z twoich następców nie będzie płynąć kropla twojej krwi.

— Dokąd idziesz, mentacie? — zawołał Stilgar za Idaho, gdy ten doszedł do drzwi. Głos miał zimny jak wiatr wiejący od bieguna.

— Znaleźć Dżekaratę — rzekł Idaho, wciąż się nie odwracając.

— Może zdołam ci pomóc! — Stilgar dobył noża. Idaho był już przy zewnętrznej grodzi. Nie zatrzymując się, wykrzyknął:

— Jeżeli chcesz mi pomóc swym nożem, złodzieju wody, to proszę, wbij mi go w plecy. Tak robi ktoś, kto nosi obrożę demona.

Stilgar dwoma susami przeciął pokój, przestąpił ciało Dżawida i dopadł Idaho w korytarzu. Guzowatą dłonią sięgnął, by go zatrzymać i odwrócić. Stanął przed nim twarzą w twarz z wyciągniętym nożem. Odczuwał tak wielki gniew, że nawet nie zauważył osobliwego uśmiechu na obliczu Idaho.

— Wyciągnij nóż, ty mentackie łajno! — zagrzmiał. Idaho roześmiał się, a potem uderzył Stilgara dwa razy w twarz. Fremen zawył i wbił nóż w brzuch Idaho.

Mentat zatoczył się, krzywiąc usta w uśmiechu. Wściekłość Stilgara rozpłynęła się w nagłym lodowatym wstrząsie.

— Dwie śmierci dla Atrydów — wychrypiał Idaho. — Druga lepsza od pierwszej.

Zatoczył się w bok i upadł twarzą na skalną posadzkę. Krew ciekła mu z otwartej rany.

Stilgar spojrzał w dół i głęboko wciągnął powietrze. Małżonek Alii, Łona Niebios, zginął z jego ręki. Mógł twierdzić, że bronił honoru naiba, że nie chciał złamać przyobiecanej neutralności, ale tym trupem był Duncan Idaho. Żadne możliwe argumenty, żadne okoliczności łagodzące nie mogły zmazać tego czynu. Gdyby nawet Alia po cichu zaaprobowała to, co zrobił, to i tak publicznie musiałaby odpowiedzieć zemstą. Była przecież Fremenką. By władać Fremenami, nawet w najmniejszym stopniu nie mogła być nikim innym.

Dopiero teraz Stilgar zrozumiał, że do takiej właśnie sytuacji dążył Idaho.

Podniósł oczy i ujrzał przerażoną twarz Hary, jego drugiej żony, spoglądającej z głębi zacieśniającego się tłumu. W którąkolwiek stronę popatrzył, wszędzie widział twarze o takim samym wyrazie: szoku i obawy następstw.

Stilgar wyprostował się, wytarł ostrze o rękaw i schował je. Przemówił obojętnym tonem:

— Ci, którzy idą ze mną, niech się od razu pakują. Wyślijcie mężczyzn, by przywołali czerwie.

— Dokąd idziesz, Stilgar? — zapytała Hara.

— Na pustynię.

— Pójdę z tobą — powiedziała.

— Oczywiście, że pójdziesz ze mną. Wszystkie moje żony tak zrobią. Ghanima również. Przyprowadź ją, Haro. Natychmiast.

— Tak, Stilgar, natychmiast… — zawahała się. — A Irulana?

— Jeżeli zechce.

— Tak, mężu. — Wciąż się wahała. — Bierzesz Ghanię jako zakładniczkę?

— Zakładniczkę? — Zdziwiła go ta myśl.

„Jeżeli mentat miał rację, jestem jedyną nadzieją Ghani” — pomyślał i przypomniał sobie słowa Leto: „Strzeż się Alii. Musisz zabrać Ghanimę i uciekać”.

Dzięki Fremenom wszyscy planetolodzy uważali życie za pewien rodzaj energii i poszukiwali dominujących w nim powiązań. W małych porcjach, fragmentach i częściach fremeńska mądrość plemienna przekładana jest na nowe pewniki. To, co Fremeni posiadali w sobie jako lud, mogą mieć wszyscy. Należy jedynie rozwinąć zmysł powiązań energetycznych. Należy jedynie obserwować, jak energia przesyca rzeczy i jak je tworzy.

„Katastrofa arrakańska” według Harq al-Ady

Sicz Tueka leżała na wewnętrznej grani Nibymuru. Halleck stał w cieniu kamiennej skarpy osłaniającej wejście do siczy. Czekał, aż ci wewnątrz zdecydują się, czy udzielić mu schronienia. Odwrócił wzrok ku pustyni i spojrzał na szarobłękitne poranne niebo. Przemytnicy zdumieli się, że on, przybysz z innego świata, pochwycił czerwia i przyjechał tu na nim. Ale Hallecka również zdziwiła ich reakcja. Czyż było to takie trudne dla kogoś, kto wiele razy widział, jak to robiono?

Halleck skupił uwagę na pustyni, srebrnej od lśniących skał i szarozielonej od pól, na których woda sprawiła cud. Nagle zdał sobie sprawę z kruchości nagromadzonej na planecie energii. Życie wciąż było zagrożone w całości przez niespodziewaną zmianę w planie przekształcenia.

Wiedział, co wywołało jego reakcję. Pojemniki z martwymi piaskopływakami transportowano do siczy, by odzyskać ich wodę. Tysiące stworzeń — martwych. Zjawiły się, by zebrać przelaną wodę. To właśnie utrata wody spowodowała u Hallecka gonitwę myśli.

Spojrzał na kanat, w którym nie płynął już cenny płyn. Widział dziury w kamiennym murze, przez które wylała się woda. Niektóre ciągnęły się przez dwadzieścia metrów najpodatniejszych na

zniszczenie odcinków kanatu. W tych miejscach miękki piach prowadził do zagłębień pełnych wchłoniętej wody. Wilgotne doły roiły się od piaskopływaków. Dzieci z siczy chwytały je i zabijały.

Nad uszkodzonymi ścianami kanatu pracowały ekipy naprawcze. Inne zanosiły minimalne ilości wody do nawodnienia najbardziej potrzebujących roślin. Ujęcie wodne gigantycznego zbiornika pod oddzielaczem wiatru siczy Tueka zostało odłączone, by zapobiec wylewaniu się jej przez zniszczony kanat. Woda do nawilżania pochodziła z zanikających kałuż na jego dnie.

Metalowa konstrukcja grodzi zgrzytała w narastającym cieple dnia. Halleck stwierdził, że wpatruje się w najdalszy zakręt kanatu, w miejsce, w którym woda sięgała najzuchwalej w głąb pustyni. Planiści z siczy, mając nadzieję na wyhodowanie zieleńca, zasadzili tam specjalny rodzaj drzewa. Teraz było ono skazane na śmierć, o ile nie przywróci się szybko obiegu wody. Halleck patrzył na powiewające listowie wierzby, postrzępione przez wiatr i piach. Dla niego drzewo to symbolizowało nową rzeczywistość: jego i Arrakis.

„Oboje jesteśmy tu obcy".

Ci z siczy bardzo długo podejmowali decyzję. Zapewne potrzebowali mężczyzny zaprawionego w walce — fachowcy w tej dziedzinie zawsze byli chętnie widziani — Halleck jednakże nie żywił złudzeń. Przemytnicy tych czasów nie byli tymi samymi przemytnikami, którzy wiele lat temu udzielili mu schronienia, gdy uciekał przed siepaczami Harkonnenów. Wyrosła nowa rasa, żądna zysku.

Znowu skupił się na wierzbie. Doszło do niego wreszcie, że zamiecie nowej rzeczywistości mogą zmieść z Arrakis przemytników i wszystkich ich przyjaciół. Mogły zniszczyć Stilgara wraz ze wszystkimi plemionami, które pozostawały wierne Alii. Wszyscy oni stali się ludźmi cywilizowanymi. Gurney poznał gorzki smak tego procesu na przykładzie rodzinnego świata. Fremeni, wygląd przedmieść i tradycyjne obyczaje siczy uległy nieodwracalnym przemianom. Wiejskie dzielnice stały się koloniami miast-centrów. Ich mieszkańców uczono, jak nosić nałożone jarzmo, w które zostali wprzężeni — jeżeli nie przez zawiść, to przez przesądy. Nawet tu, zwłaszcza tu, ludzie zachowywali postawę istot zależnych. Byli skryci, nastawieni obronnie. Każde przejawy władzy natychmiast odrzucano — każdej władzy: Regentki, Stilgara, ich własnej Rady…

„Nie mogę im ufać" — pomyślał Halleck. Mógł ich tylko wykorzystać i wpoić im nieufność wobec innych. Zanikły stare obyczaje, obyczaje współżycia wolnych ludzi. Ograniczono je do rytualnych słów, których pochodzenie zatarło się w pamięci.

Alia starannie pracowała na swym dziełem, karząc opór i nagradzając poparcie, prowadząc bez planu zaciąg do Sił Imperium,

ukrywając większość imperialnej władzy. Szpiedzy! Na Boga, ilu musiała mieć szpiegów!

Halleck prawie widział morderczy ruch posunięć i kontrposunięć, dzięki któremu Alia miała nadzieję utrzymać opozycję w rozbiciu.

„Jeżeli Fremeni nadal będą tacy ospali, ona wygra” — pomyślał.

Grodź za nim szczęknęła. Wyłonił się z niej służący o nazwisku Melides. Był to niski mężczyzna o ciele podobnym do tykwy, podskakujący na cienkich, krzywych nóżkach, których brzydotę podkreślał filtrfrak.

— Zostałeś przyjęty — powiedział Melides.

Halleck usłyszał w jego głosie bezczelną obłudę. Ten głos zdradził mu, że może liczyć na azyl tylko przez ograniczony czas.

„Dopóki nie zdołam ukraść jednego z ich ornitopterów” — pomyślał.

— Jestem głęboko wdzięczny waszej Radzie — powiedział i pomyślał o Esmarze Tueku, na którego cześć nazwano tę sicz. Esmar, nieżyjący już od dawna na skutek czyjejś zdrady przemytnik, poderżnąłby Melidesowi gardło na sam jego widok.

> *Każda droga, która ogranicza warianty przyszłości, może okazać się śmiertelną pułapką. Ludzkość powinna mieć przed sobą szeroki horyzont, wypełniony różnorodnymi sposobnościami Zawężający się punkt widzenia, właściwy dla ślepych zaułków, może się przecież wydawać pociągający tylko dla istot nie wystawiających nosa z piasku. Warianty wytworzone przez płciowość, wyjątkowość i zróżnicowanie stoją na straży ochrony życia gatunków.*
>
> *„Podręcznik Gildii Planetarnej”*

— Dlaczego nie czuję żalu? — Alia skierowała swe pytanie do sufitu małej komnaty audiencyjnej, sali, którą mogła przejść dziesięcioma krokami w jednym i piętnastoma w drugim kierunku. Pokój miał dwa wąskie, wysokie okna, z których rozciągał się widok ponad dachami Arrakin na Mur Zaporowy.

Dochodziło południe. Światło słońca paliło nieckę, w której zbudowano miasto.

Alia opuściła wzrok, by popatrzyć na Buera Agarvesa, uprzednio Tabrytę, obecnie adiutanta Zii, rozkazującego Strażnikom Świątyni. Agarves przyniósł wiadomość, że Dżawid i Idaho nie żyją. Tłum

pochlebców, sługusów i strażniczek władował się za nim do komnaty, zdradzając swoim zachowaniem, że nowina jest już powszechnie znana.

Złe wieści szybko rozchodziły się na Arrakis.

Agarves był niskim mężczyzną o twarzy typowej dla Fremena: okrągłej, o dziecięcych rysach. Oto przedstawiciel nowej rasy, porastającej w tłuszcz na skutek obfitości wody. Alia widziała go na różne sposoby, rozszczepionego na dwa obrazy: na jednym miał poważną twarz, nieprzejrzyste oczy barwy indygo i zmartwiony wyraz ust; drugie wyobrażenie odbierała bardziej zmysłowo. Podobały się jej zwłaszcza jego grube wargi.

Chociaż nie było jeszcze południa, w atmosferze milczenia wokół Alia wyczuwała coś, co szeptało w tęsknocie za zmierzchem.

„Idaho powinien był zginąć o zachodzie" — pomyślała.

— Jak to jest, Buer, że to właśnie ty przynosisz mi złe wiadomości? — zapytała, zauważając natychmiastowe wytężenie uwagi, które odmalowało się na jego twarzy.

Agarves spróbował przełknąć ślinę i odpowiedział chrapliwym tonem niewiele głośniejszym od szeptu:

— Pojechałem z Dżawidem, przypominasz sobie, pani? I kiedy… Stilgar odsyłał mnie do Arrakin, kazał ci powiedzieć, że przybywam, by zaświadczyć o jego absolutnym posłuszeństwie.

— Absolutnym posłuszeństwie? — powtórzyła. — Co miał na myśli?

— Nie wiem, lady Alio — rzekł Agarves błagalnie.

— Opowiedz mi raz jeszcze, co widziałeś — rozkazała i odwróciła się zadziwiona zimnem własnej skóry.

— Widziałem… — Nerwowo potrząsnął głową i spojrzał na podłogę przed stopami Alii. — Widziałem Świętego Małżonka martwego, na podłodze centralnego korytarza. Dżawid leżał nieżywy obok, w bocznym przejściu. Kobiety już ich przygotowywały do Huanui.

— I Stilgar wezwał cię, byś to zobaczył.

— W istocie, pani. Stilgar mnie wezwał. Wysłał Garbusa Modibo, posłańca siczy. Modibo mnie o niczym nie ostrzegł. Powiedział tylko, że Stilgar chce widzieć wysłannika Alii.

— A ty zobaczyłeś ciało mojego męża na posadzce? Szybko zamrugał powiekami, następnie wlepił oczy w podłogę i skinął głową.

— Tak, pani. Obok leżał martwy Dżawid. Stilgar powiedział mi… Powiedział, że twój małżonek zabił Dżawida.

— A Duncana zamordował Stilgar, powiadasz…

— Sam to potwierdził, moja pani. Powiedział, że Święty Małżonek go sprowokował.

— Sprowokował… — powtórzyła Alia. — Jak to się stało?

— Nie wiem. Nikt tego nie wie. Pytałem i nikt nie potrafił mi odpowiedzieć.

— I właśnie wtedy wysłano cię do mnie z wieściami?

— Tak, pani.

— Czy nic nie mogłeś zrobić? Agarves zwilżył wargi językiem i rzekł:

— Stilgar rozkazywał, moja pani. To jego sicz.

— Rozumiem. A ty słuchałeś Stilgara.

— Zawsze go słuchałem, pani, dopóki nie zwolnił mnie od zobowiązań.

— Wtedy wysłał cię do Arrakin, prawda?

— Służę teraz tylko tobie, moja pani.

— Rzeczywiście? Powiedz mi, Buer, gdybym rozkazała ci zabić Stilgara, twojego naiba, zrobiłbyś to?

Jego wzrok stawał się coraz pewniejszy.

— Gdybyś tak rozkazała, pani.

— Zatem rozkazuję. Masz jakieś pojecie o tym, dokąd się udał?

— Na pustynię. Tylko tyle wiem, moja pani.

— Jak wielu ludzi zabrał?

— Może połowę zdolnych do walki.

— Zabrał również Ghanimę i Irulanę!

— Tak, moja pani. Ci, którzy odeszli, są obciążeni kobietami, dziećmi i bagażami. Stilgar wysunął dwie propozycje — pójść za nim albo pozostać i być zwolnionym ze zobowiązań. Wielu zdecydowało się nie opuszczać siczy. Wybiorą nowego naiba.

— Ja im wybiorę naiba! I to ty nim będziesz, Buerze Agarvesie. Od dnia, w którym przyniesiesz mi głowę Stilgara.

Agarves mógł objąć tę funkcję przez walkę. Dopuszczał tego fremeński obyczaj.

— Jak rozkażesz, pani — powiedział. — Jakich sił…

— Skontaktuj się z Zią. Nie dam ci wielu ornitopterów, są potrzebne gdzie indziej, ale znajdziesz dość ludzi chętnych do walki. Stilgar splamił swój honor. Fremeni będą ci służyć z przyjemnością.

— Zatem zajmę się tym, moja pani.

— Czekaj! — Patrzyła na niego badawczo, zastanawiając się, kogo należy wysłać, by strzegł tego kruchego dzieciaka. Potrzebny mu był ścisły nadzór, zanim się nie sprawdzi. Zda zdecyduje, kogo posłać.

— Nie mogę jeszcze odejść, pani?

— Nie. Muszę z tobą porozmawiać na osobności, aby omówić szczegóły planu schwytania Stilgara. — Przyłożyła dłoń do twarzy. — Nie czuję żalu, pałam jedynie żądzą zemsty. Daj mi kilka minut, bym opanowała wściekłość. — Opuściła dłoń. — Służąca wskaże ci drogę.

Nachyliła się i szepnęła do Szalusy, nowej pokojowej:

— Niech go umyją i wyperfumują, zanim przyjdzie. Śmierdzi

czerwiem.

— Tak, pani.

Alia odwróciła się, udając żal, którego nie czuła, i uciekła do osobistych komnat. Tam, w sypialni, trzasnęła drzwiami, zaklęła i tupnęła.

„Do diabła z Duncanem! Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?”

Domyślała się w tym rozmyślnej prowokacji. Zabił Dżawida i rozjątrzył Stilgara. Dowodziło to, że wiedział o kochanku swej żony.

Znowu z wściekłością tupnęła nogą, i jeszcze raz. Szybkim krokiem zaczęła krążyć po sypialni.

„Do diabła z nim! Do diabła z nim! Do diabła z nim!”

Stilgar przeszedł na stronę buntowników, Ghanima razem z nim. Irulana tez.

„Do diabła z nimi wszystkimi!”

Jej rozdająca kopniaki stopa natknęła się na bolesną przeszkodę, trafiając w coś metalowego. Spojrzała w dół, stwierdzając, że skaleczyła sobie nogę o ozdobną zapinkę. Podniosła ją i znieruchomiała na widok tego przedmiotu. Znalazła starą klamerkę ze srebra i platyny, jedno z oryginalnych kaladańskich cacuszek, które ongiś Książę Leto Atryda Pierwszy ofiarował swojemu mistrzowi miecza, Duncanowi Idaho. Wiele razy widziała, jak Duncan je nosił.

Palce Alii zwarły się konwulsyjnie na klamerce. Idaho zostawił ją tutaj, kiedy… kiedy…

Łzy trysnęły z oczu Alii pomimo głębokiego fremeńskiego uwarunkowania. Kąciki jej ust opadły, by znieruchomieć w grymasie rozpaczy. Poczuła, jak znana już walka rozpoczyna się w jej czaszce, sięgając do czubków palców rąk, stóp. Alia stała się dwiema istotami. Jedna ze zdziwieniem spoglądała na te cielesne konwulsje. Druga pragnęła poddać się niezwykłemu bólowi, wypełniającemu piersi. Łzy swobodnie płynęły z oczu Alii, ale jakaś zaskoczona osobowość z wewnątrz zapytała zrzędliwie:

— Kto płacze? Kto płacze? Kto właściwie teraz płacze? Nic nie mogło powstrzymać jej łez. Ból rozsadzał jej piersi, gdy rzuciła się na łóżko.

Głos wciąż pytał z naciskiem:

— Kto płacze? Kto to…?

> *Poprzez swe działania Leto II wyłączył się z ewolucyjnej sukcesji. Dokonał tego świadomie, mówiąc: „Być niezależnym, znaczy usunąć się”. Bliźnięta widziały dalej, niż potrafiła to objąć pamięć. A przecież była ona jednym sposobem ustalenia odległości*

dzielącej ich od istoty człowieczeństwa. Właśnie Leto II stwierdził, że prawdziwe stworzenie jest niezależne od swego pierwowzoru. Odrzucił możliwość ponownego włączenia się w proces ewolucji, twierdząc: „To oddaliłoby mnie jeszcze bardziej od człowieczeństwa". Leto II rozumiał implikacje tego aktu: w życiu nie mogą istnieć żadne naprawdę zamknięte systemy.

„Święta metamorfoza" pióra Harq al-Ady

Obok zniszczonego kanatu, wypełnionego owadami rojącymi się w wilgotnym piasku, zamieszkały ptaki: papugi, sroki, sójki. Tak wyglądała dżidda, ostatnie nowe miasto zbudowane na podłożu z odsłoniętego bazaltu. Teraz była porzucona. Ghanima, wykorzystując wczesne godziny poranka, badała teren poza pierwotnymi uprawami porzuconej siczy. W kępce pożółkłej roślinności wypatrzyła pasiastego gekona. Wcześniej zauważyła dzięcioła, gnieżdżącego się pod ścianą dżiddy.

Myślała o tej osadzie jako o siczy, ale tak naprawdę był to zbiór niskich ścian z utwardzonych cegieł, otoczony plantacjami powstrzymującymi napór wydm. Miejscowość zbudowano w centrum Tanzerouft, sześćset kilometrów na południe od Grani Sihaja. Opuszczona sicz już zaczynała wtapiać się w pustynię; jej ściany wykruszane były przez piaskonośne wiatry, roślinność umierała, tereny uprawne niszczyło palące słońce. Ale piach za rozwalonym kanatem wciąż pozostawał wilgotny, świadcząc, że przysadzisty korpus oddzielacza wiatru wciąż pracował.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy, od czasu wymarszu z Tabr, zbiegowie ukrywali się w kilku takich miejscach, nawiedzonych przez Demona Pustyni. Ghanima nie wierzyła w niego, choć nie mogła zignorować widoku zniszczonych kanatów.

Co pewien czas zbuntowani łowcy przyprawy przynosili wieści z siedzib ludzkich położonych na północy. Kilka ornitopterów — niektórzy powiadali, że nie więcej niż sześć — wciąż prowadziło poszukiwania, tropiąc zbiegłych Fremenów, ale Arrakis była wielka, a jej pustynia — gościnna dla uciekinierów. Wedle doniesień istniała jednostka obarczona zadaniem odnalezienia i zniszczenia grupy Stilgara, lecz dowodził nią były Tabryta, Buer Agarves, który miał liczne obowiązki i często wracał do Arrakin.

Buntownicy twierdzili, że rzadko dochodziło do starć pomiędzy

nimi a żołnierzami Alii. Niespodziewane ataki Demona Pustyni wiązały cześć sił Gwardii Domowej i spędzały sen z oczu Alii i naibów. Demon Pustyni napastował także przemytników, lecz mówiono o nich, że przeszukują intensywnie pustynię, by znaleźć Stilgara, żądni nagrody wyznaczonej za jego głowę.

Nieomylnie wyczuwając wilgoć w powietrzu, Stilgar wprowadził swych ludzi do dżiddy tuż przed zmrokiem poprzedniego dnia. Obiecał, że wkrótce skierują się na południe, ku lasom palm winnych, ale nie chciał podać ścisłej daty. Chociaż jego głowę wyceniono na sumę odpowiadającą wartości pojedynczej planety, Stilgar wydawał się najszczęśliwszym i najbardziej beztroskim z ludzi.

— To miejsce jest dobre dla nas — rzekł, wskazując na wciąż pracujący oddzielacz wiatru. — Nasi przyjaciele zostawili nam trochę wody.

Grupka liczyła teraz sześćdziesiąt osób. Starych, chorych i bardzo młodych pozostawiono w palmariach, wśród zaufanych rodzin. Dalej poszli tylko najwytrzymalsi, mający wielu przyjaciół na północy i na południu.

Ghanima zastanawiała się, dlaczego Stilgar unika rozmowy na temat Demona Pustyni i tego, co działo się na Arrakis. Czyżby nic nie wiedział? W miarę, jak niszczono kanaty, Fremeni cofali się na linię, która ongiś znaczyła północną i południową granicę ich siedzib. Zapewne sytuacja rozwijała się podobnie w całym Imperium. Jeden stan był odbiciem drugiego.

Ghanima przesunęła dłonią pod kołnierzem filtrfraka i z powrotem go zapięła. Mimo zmartwień czuła się zdecydowanie wolna. Nie nawiedzały ją teraz wewnętrzne istnienia, choć czasami wdzierały się do świadomości. Od nich dowiedziała się, czym była pustynia przed dziełem ekologicznego przekształcenia. Niewyobrażalnie bardziej sucha, to na pewno. Naprawiony oddzielacz wiatru funkcjonował tylko dlatego, że posiadał dość wilgotnego powietrza do przetwarzania.

Wiele gatunków zwierząt, które kiedyś unikały pustyni, dziś żyło sobie spokojnie na jej terenie. Zauważono, jak licznie rozpleniły się dzienne sowy. Nawet w tej chwili Ghanima dostrzegła ptaki-mrówkojady. Podskakiwały i tańczyły wzdłuż końca rozwalonego kanatu, gdzie w mokrym piasku kręciły się owady. Buszowało też kilka borsuków, ale przede wszystkim skoczki pustynne w niezliczonych ilościach.

Nowymi Fremenami kierowały przesądy i lęki. Stilgar nie był lepszy od reszty. Tę dżiddę oddano we władanie pustyni, gdy kanat został zniszczony po raz piąty w ciągu jedenastu miesięcy. Czterokrotnie naprawiano szkody wyrządzone przez Demona Pustyni, ale w końcu zabrakło niezbędnego zapasu wody, by zaryzykować kolej

na jej utratę.

Podobnie działo się w innych dżiddach i wielu starych siczach. Porzucono osiem z dziesięciu nowych osad. Gdy pustynia wkraczała w następną fazę, Fremeni wracali do dawnych obyczajów. Dostrzegali we wszystkim złe znaki. Poza Tanzerouft spotykano coraz mniej czerwi. Taki wyrok wydał Szej-Hulud! Widziano martwe czerwie, przyczyny śmierci których nikt nie potrafił wyjaśnić. Znikały szybko pod pyłem pustyni, ale rozpadające się kadłuby, na które napotykali Fremeni, napełniały świadków zgrozą.

W zeszłym miesiącu grupa Stilgara natrafiła na ścierwo czerwia i cztery dni zajęło im otrząśnięcie się z przygnębiającego wrażenia. Ogromny kadłub znaleziono na szczycie gigantycznego wybuchu przyprawowego, ale przyprawa w większości uległa zepsuciu.

Ghanina oderwała wzrok od kanatu i spojrzała na dżiddę. Na wprost niej leżał zwalony mur, chroniący ongiś musztamal, mały ogród z pawilonem. Zwiedzając to miejsce, odkryła za kamienną ścianą skład płaskich, przaśnych chlebów przyprawowych.

Stilgar zniszczył je, mówiąc: „Fremen nigdy nie zostawia dobrej żywności".

Ghanima podejrzewała, że nie miał racji, ale nie warto było się sprzeczać bądź ryzykować. Fremeni zmienili przyzwyczajenia. Kiedyś swobodnie wędrowali przez blech, ciągnięci podstawowymi potrzebami: wody, przyprawy, handlu. Ich budzikiem była aktywność zwierząt, lecz teraz zwierzęta żyły podług dziwnych nowych rytmów, podczas gdy większość Fremenów gniotła się w starych drążniach w cieniu pomocnego Muru Zaporowego. Łowców przyprawy spotykało się rzadko w Tanzerouft i tylko grupa Stilgara wędrowała po starych trasach.

Ghanima wierzyła Stilgarowi, w jego strach o Alię. Irulana potwierdziła jego obawy. Gdzieś na Salusa żył Farad'n. Kiedyś policzy się i z nim, i z Alią.

Ghanima podniosła wzrok na szarosrebrzyste poranne niebo. Lady Jessika wciąż pozostawała na Salusa. Gurney Halleck zniknął, choć donoszono, że widziano go to tu, to tam. Kaznodzieja znalazł jakąś kryjówkę na pustyni, a jego heretyckie tyrady przeszły do historii. Alia zajęta była rozdymaniem swej postaci do niebotycznych rozmiarów, coraz bardziej tracąc więź z rzeczywistością.

Na domiar złego do tego wszystkiego dochodził Stilgar.

Spojrzała przez zburzony mur na miejsce, gdzie Stilgar pomagał naprawiać zbiornik. Fremen upajał się rolą błędnego ognika na pustyni, a cena za jego głowę wzrastała z każdym miesiącem.

Nic już nie miało sensu. Nic.

Kto był tym Demonem Pustyni, tym stworem zdolnym niszczyć kanaty, jak gdyby były fałszywymi bożkami? Może to jakiś szalony

czerw? A może trzecia zbuntowana siła — rebelia? Nikt nie wierzył, że to czerw. Woda zabiłaby każdego, atakującego kanat. Część Fremenów twierdziła, że Demon Pustyni to w rzeczywistości grupa powstańców zamierzających znieść Mahdinat Alii i przywrócić na Arrakis dawne obyczaje. Ci, którzy w to wierzyli, pragnęli pozbyć się chciwej apostolskiej hierarchii, która nie czyniła prawie nic poza podtrzymywaniem własnej pozycji, i powrócić do prawdziwej religii, ogłoszonej przez Muad'Diba.

Z piersi Ghanimy dobyło się głębokie westchnienie.

„Och, Leto — pomyślała. — Prawie jestem zadowolona, że nie dożyłeś, by to oglądać. Dołączyłabym do ciebie, ale mój nóż jeszcze nie spłynął krwią. Alia i Farad'n. Farad'n i Alia".

Z dżiddy wyszła Hara, zbliżając się do niej równym krokiem. Zatrzymała się przed Ghanimą i zapytała z naciskiem:

— Co robisz tu sama?

— Tutaj jest dziwnie, Haro. Powinniśmy się stąd szybko wynieść.

— Stilgar czeka, by z kimś się tu spotkać.

— Och? Nie powiedział mi tego.

— Dlaczego miałby mówić ci wszystko? Maku? — Hara klepnęła dłonią w kieszonkę z wodą, wybrzuszającą przód szaty Ghanimy. — Czy nie jesteś za młoda, aby być już w ciąży?

— Byłam w ciąży tak wiele razy, że nie potrafię tego nawet zliczyć — odparła Ghanimą.

Słysząc jad w głosie Ghanimy, Hara cofnęła się o krok.

— Jesteście bandą głupców — powiedziała Ghanimą, machając ręką, by gestem objąć dżiddę i Stilgara pracującego z innymi ludźmi. — Nigdy nie powinnam była iść z wami.

— Nie żyłabyś już, gdybyś postąpiła inaczej.

— Może. Ale nie widzicie tego, co macie tuż pod nosem. Na kogo czeka Stilgar?

— Na Buera Agarvesa. Ghanima utkwiła w niej wzrok.

— Mają go tu sprowadzić potajemnie przyjaciele z Siczy Czerwonej Czeluści — wyjaśniła Hara.

— To bawidełko Alii?

— Przywiozą go z zawiązanymi oczyma.

— Stilgar im uwierzył?

— Buer prosił o rozmowę. Zgodził się na nasze warunki.

— Dlaczego mi o tym nie powiedziano?

— Stilgar wiedział, że będziesz się sprzeciwiała.

— Sprzeciw… Popełniacie szaleństwo! Hara zmarszczyła czoło.

— Nie zapominaj, że Buer jest…

— Jest z Rodziny! — wypaliła Ghanimą. — To wnuk kuzyna Stilgara. Wiem! Przecież Farad'n, któremu pewnego dnia odbiorę życie, też jest moim bliskim krewnym. Myślisz, że coś powstrzyma mój

nóż?

— Mieliśmy dystrans. Przybywa z niewielką ekipą. Ghanima szepnęła cicho:

— Nic dobrego z tego nie wyniknie, Haro. Powinniśmy od razu opuścić tę dżiddę.

— Odczytałaś znak? — zapytała Hara. — Ten martwy czerw, którego widzieliśmy! Czy…

— Wepchnij swoje słowa w brzuch i urodź je gdzie indziej — krzyknęła z gniewem Ghanimą. — Nie podoba mi się spotkanie z Buerem. To miejsce również. Czegóż więcej trzeba?

— Powiem Stilgarowi, co…

— Sama mu to powiem! — Ghanima przeszła obok Hary, która za jej plecami uczyniła znak rogów czerwia, by odegnać zło.

Stilgar jednak uśmiał się tylko z obaw Ghanimy i kazał jej szukać piaskopływaków, jak gdyby była dzieckiem. Uciekła do jednego z porzuconych domów i przykucnęła w kącie, by opanować gniew. Wtem poczuła niespokojny ruch wewnętrznych istnień i przypomniała sobie czyjeś słowa: „Jeżeli zdołamy ich powstrzymać, wszystko potoczy się według planu".

Co za dziwna myśl!

Mimo wysiłków nie mogła jednak skojarzyć zapamiętanych słów z konkretną osobą.

Muad'Dib był wygnańcem i mówił w imieniu wygnańców wszystkich czasów. Nawoływał przeciw niesprawiedliwości, która izolowała jednostkę od tego, w co nauczono ją wierzyć; od tego, co zdawało się przysługiwać każdemu człowiekowi.

„Mahdinat: Analiza" pióra Harq al-Ady

Gurney Halleck siedział na grzbiecie Szulochu. Obok niego, na dywaniku z włókna przyprawowego, leżała baliseta. Niżej, w zamkniętym basenie, pracowali robotnicy sadzący roślinność. Rampę z piachu, na którą Wygnańcy rozsypywali przyprawę, by zwabić czerwie, przecinał nowy kanat.

Halleck już od godziny siedział na skale, szukając odosobnienia, w którym mógłby spokojnie pomyśleć. W dole pracowali ludzie, ale widział ich przez pryzmat melanżu. Leto ocenił, że produkcja przyprawy spadnie wkrótce do stanu jednej dziesiątej tego, co maksymalnie uzyskiwano za czasów Harkonnenów. Zapasy w Imperium podwajały swą wartość z każdą nową dostawą. Mówiono, że

ród Metulliów sprzedał połowę planety Novebruns za trzysta dwadzieścia jeden jej litrów.

Wygnańcy pracowali jak ludzie gonieni przez diabła, i być może tak było w rzeczywistości. Przed każdym posiłkiem stawali twarzą do Tanzerouft i modlili się do upersonifikowanego Szej-huluda. Właśnie za kogoś takiego uważali Leto, a Halleck domyślał się, że w przyszłości większość ludzi zaakceptuje ich punkt widzenia.

Leto uruchomił mechanizm zdarzeń, w efekcie którego Halleck i Kaznodzieja przybyli tu w ukradzionym ornitopterze. Gołymi dłońmi zniszczył kanat Szulochu, rozrzucając wielkie głazy dalej niż na pięćdziesiąt metrów. Kiedy Wygnańcy próbowali interweniować, chłopak skręcił kark jednemu z atakujących, wykonując zaledwie niewyraźny ruch ramieniem. Chwytał pierwszych z szeregu i ciskał nimi w tych, którzy zostali z tyłu, śmiejąc się z ich broni. Nagle zagrzmiał głosem demona: „Ogień mnie nie dotknie! Wasze noże mnie nie skaleczą! Noszę skórę szej-huluda!”

Wyrzutkowie poznali go wtedy i przypomnieli sobie, jak skakał z grzbietu skalnego „prosto na pustynię”. Złożyli mu hołd, a Leto wtedy rozkazał: „Przyprowadzę wam dwóch gości. Będziecie ich strzec i czcić. Odbudujecie kanat i zaczniecie sadzić ogród-oazę. Kiedyś w nim zamieszkam. Nie sprzedacie już ani drobiny przyprawy, ale będziecie gromadzić każdy jej okruch, który znajdziecie”.

Fremeni słuchali dalszych jego instrukcji, ogarnięci trwogą. Strach wyciskał im łzy z oczu.

Oto nareszcie Szej-hulud wynurzył się z piasku!

Nikt nie rozumiał metamorfozy chłopca. Leto odnalazł Hallecka w jednej ze zbuntowanych siczy w Gejr Kulonie. W towarzystwie ślepca przemierzył starą drogą przyprawową, podróżując na czerwiu przez teren, na którym rzadko spotykało się te zwierzęta. Kilka razy musiał zbaczać z trasy, napotykając zbyt wielkie stężenie wilgoci, które zabiłoby wierzchowca. W siczy zjawili się późnym popołudniem. Strażnicy natychmiast wprowadzili ich do izby o skalnych ścianach.

Halleck wrócił myślami do tego spotkania.

„Więc to jest ten Kaznodzieja” — stwierdził.

Obszedł dookoła ślepego mężczyznę, przywołując w pamięci wszystkie zasłyszane historie o tej postaci. Maska filtrfraka nie kryła zniszczonej twarzy, toteż mógł swobodnie porównać rysy przybysza z wizerunkiem utrwalonym w świadomości. Tak, mężczyzna rzeczywiście przypomniał księcia, po którym Leto otrzymał imię.

„Znasz opowieści dotyczące Kaznodziei?” — zapytał Halleck, zwracając się do Leto. „Mówią, że to twój ojciec, który powrócił z pustyni”.

„Słyszałem o tym”

Halleck odwrócił się, by popatrzeć na chłopca. Leto włożył na

siebie dziwny filtrfrak, ze zwiniętymi dookoła twarzy i uszu skrajami. Okrywała go czarna szata, a na stopach miał piachbuty. Halleck koniecznie chciał wyjaśnić, jak udało mu się uciec i dotrzeć tu z powrotem.

„Dlaczego przyprowadziłeś tu tego starca?" — zapytał. „W Dżekaracie mówią, że pracuje dla nich".

„Już nie. Sprowadziłem go, bo Alia pragnie jego śmierci".

„Tak? Myślisz, że to wystarczy do udzielenia mu azylu?"

„Ty jesteś jego azylem".

Kaznodzieja stał blisko nich, słuchając, ale nie dając znaku, że interesuje go rezultat rozmowy.

„Dobrze mi służył, Gurney — rzekł Leto — a ród Atrydów nie utracił jeszcze poczucia obowiązku wobec tych, którzy nam służą".

„Ród Atrydów?"

„Ja jestem rodem".

„Uciekłeś z Dżekaraty, uniemożliwiając mi wykonanie polecenia twojej babki" — stwierdził zimnym głosem Halleck. „Jak możesz się spodziewać…"

„Masz strzec życia tego człowieka, jak swego własnego" — odparł Leto i bez zmrużenia oczu wytrzymał spojrzenie Gurneya.

Jessika nauczyła Hallecka wyrafinowanych sztuczek obserwacji Bene Gesserit, ale nie znalazł w Leto niczego, co by mówiło o czymś więcej, niż o spokojnej pewności. Jednakże polecenia Jessiki wciąż obowiązywały.

„Powierzono mi uzupełnienie twojego wychowania i ostateczne zbadanie, czy nie jesteś opętany".

„Nie jestem".

„Dlaczego więc uciekłeś?"

„Namri dostał rozkaz, aby mnie zabić bez względu na to, co zrobię. Alia mu rozkazała".

„Zatem umiesz posługiwać się prawdopoznaniem?"

„Umiem" — znów pewnie i spokojnie odrzekł Leto.

„Ghanima również?"

„Nie".

Kaznodzieja przerwał milczenie, zwracając puste oczodoły w stronę Hallecka:

„Myślisz, że możesz go wypróbować?"

„Nie wtrącaj się, kiedy nic nie wiesz o problemie ani o jego następstwach" — rozkazał Halleck, nie patrząc na mężczyznę.

„Och, wystarczająco dobrze znam konsekwencje" — odparł Kaznodzieja. „Byłem kiedyś poddany próbie przez pewną starą kobietę, której wydawało się, że wie, co czyni. Jak się okazało, nie wiedziała".

Halleck spojrzał wtedy na niego.

„Ty również posługujesz się prawdopoznaniem?

„Każdy może to robić. Nawet ty” — odparł Kaznodzieja. „Wystarczy wykazać szczerość wobec własnych uczuć. Trzeba mieć w sobie prawdę, by ją natychmiast rozpoznać”.

„Dlaczego się wtrącasz?” — zapytał Halleck, kładąc dłoń na krysnożu. Kim był ten Kaznodzieja?

„Jestem odpowiedzialny za to, co się dzieje” — odpowiedział starzec. „Moja matka mogła przelać własną krew na ołtarzu, ale ja tego nie zrobię. I uwierz — znam wasz problem”.

„Taak?” — Halleck wykazywał prawdziwe zaciekawienie.

„Lady Jessika rozkazała ci, byś odróżnił wilka od psa, ze’eb od ke’leb. Według jej definicji wilk to ktoś, kto ma siłę i jej nadużywa. Jednakże między wilkiem i psem jest strefa przejściowa, w której nie można ich od siebie odróżnić”.

„Masz rację” — Halleck zauważył, że coraz więcej mieszkańców siczy zbiera się w izbie, by ich słuchać. „Skąd to wiesz?”

„Ponieważ znam Arrakis. Nie rozumiesz? Pomyśl chwilę. Pod powierzchnią są skały, pył, osady, piasek. To pamięć planety, obraz jej historii. Identycznie jest z ludźmi. Pies pamięta wilka. Każdy wszechświat obraca się wokół jądra istnienia i od środka, od tego jądra, aż po powierzchnię rozpościerają się wspomnienia”.

„Bardzo ciekawe” — zauważył Halleck. „W jaki sposób ma mi to pomóc w wypełnianiu zadania?”

„Wejrzyj w historię, która tkwi wewnątrz ciebie. Porozumiewaj się tak, jak robią to zwierzęta”.

Halleck potrząsnął głową. Wyczuwał w Kaznodziei przyciągającą, zniewalającą bezpośredniość, cechę charakterystyczną dla Atrydów. Było w tym coś więcej, niż sugerowałoby dyskretne użycie Głosu. Serce zaczęło mu walić. Czyżby…

„Jessika chciałaby poddać Leto próbie, naciskowi, pod wpływem którego ujawniłaby się»ukryta struktura«jej wnuka” — kontynuował Kaznodzieja. „Ale ta»struktura«zawsze jest widoczna, dostępna waszym oczom”.

Halleck odwrócił się, by zerknąć na Leto. Ten ruch powstał sam z siebie, jakby wymuszony siłą nie do odparcia.

Kaznodzieja mówił, jak gdyby udzielał lekcji upartemu uczniowi.

„Chłopiec wprawia was w zmieszanie, ponieważ nie jest pojedynczą istotą. To społeczność. I jak w każdej społeczności, dowolny jej członek może przejąć władzę. Stąd biorą się opowieści o Paskudztwach. Dostatecznie już zraniłeś tę społeczność. Czy nie dostrzegasz metamorfozy? Chłopak osiągnął wewnętrzną równowagę, na tyle potężną, że nie można nią zachwiać. Kiedyś się sprzeciwiałem, ale teraz będę mu posłuszny. To Uzdrowiciel”.

„A ty kim jesteś?” — zapytał z naciskiem Halleck.

„Tym, kogo widzisz. Nie patrz na mnie, patrz na dziecko, które rozkazano ci uczyć i wypróbować. Zostało uformowane przez kryzys. Przeżyło w śmiercionośnym otoczeniu”.

„Kim jesteś?” — nalegał Halleck.

„Mówię ci, spójrz na tego atrydzkiego chłopaka! Oto najwyższe sprzężenie zwrotne, od którego zależy przyszłość naszego gatunku. Zmieni zupełnie oddziaływanie przeszłych dokonań ludzkości. Żaden inny człowiek nie może znać ich tak dobrze jak on. I ty rozważasz zabicie kogoś takiego?”

„Polecono mi, abym poddał go próbie. Ja nie…”

„Ależ tak!”

„Jest Paskudztwem?”

Kaznodzieją wstrząsnął śmiech.

„Upierasz się przy bredniach Bene Gesserit. Wiedźmy mają talent do tworzenia mitów usypiających ludzkość!”

„Jesteś Paulem Atrydą?”

„Paul Atrydą już nie istnieje. Starał się być symbolem moralnym, odrzucając jednocześnie stare reguły. Był świętym pozbawionym boskości. Każde jego słowo brzmiało jak bluźnierstwo. Jak możesz myśleć…”

„Ponieważ mówisz jego głosem”.

„Poddasz mnie próbie? Teraz? Strzeż się, Gurneyu Hallecku”.

Halleck przełknął ślinę i spojrzał na wciąż milczącego Leto.

„Kto tu jest poddawany próbie?” — zapytał Kaznodzieja. „Być może lady Jessika praktykuje to na tobie, Gurneyu Hallecku?”

Zastanawiał się, dlaczego myśl Kaznodziei go zaniepokoiła. Czemu pozwalał na takie słowa? W sługach Atrydów głęboko zakorzeniona była pokora wobec autokratycznej mistyki. Jessika mu kiedyś to wyjaśniła. Halleck czuł, że coś w jego wnętrzu ulega zmianie: coś, czego skraje ledwie zostały tknięte szkoleniem Bene Gesserit. Narastała w nim nieartykułowana furia. Nie chciał się zmieniać!

„Który z was odgrywa boga? I w jakim celu?” — zapytał Kaznodzieja. „Nie możecie polegać wyłącznie na rozsądku, by odpowiedzieć na to pytanie”.

Powoli i rozmyślnie Halleck przerzucił uwagę na ślepca. Jessika wciąż powtarzała, że powinien osiągnąć równowagę kairits: „będziesz czynić — nie będziesz czynić”. Nazywała ją dyscypliną bez słów i zdań, bez zasad i argumentów. Coś w głosie ślepca, jego tonie i sposobie mówienia wywoływało wściekłość.

„Odpowiedz na moje pytanie” — powtórzył Kaznodzieja.

Halleck czuł, jak te słowa zmuszają go do skoncentrowania się na tym miejscu, tej chwili i jej wymogach. Ów człowiek to Paul Atryda, żywy; ten, który powrócił. Było tu też jego nie-dziecko, Leto.

Ponownie spojrzał na niego, tym razem dostrzegając go naprawdę. Dostrzegał oznaki napięcia wokół jego oczu, w postawie siłę zrównoważenia, bierne usta z błąkającym się na nich uśmiechem.

Leto wyróżniał się z tła, jak gdyby stał w blasku oślepiającego światła. Osiągnął wewnętrzną harmonię, po prostu się na nią zgodziwszy.

„Powiedz mi, Paul — rzekł Halleck — czy Jessika wie o tobie?" Kaznodzieja westchnął.

„Dla zakonu jestem martwy. Nie staraj się mnie ożywić".

„Ale dlaczego ona…" — zapytał Halleck, wciąż na niego nie patrząc.

„Robi to, co musi. Układa sobie życie, myśląc, że włada innymi. Wszyscy w ten sposób bawimy się w bogów".

„Ale ty żyjesz!" — szepnął Halleck, patrząc na mężczyznę naprzeciwko, młodszego od niego, lecz tak postarzałego, że wydawał się być dwukrotnie starszy.

„Co to znaczy: żyję?" — zapytał z naciskiem Paul.

Halleck spojrzał na szeregi zgromadzonych Fremenów, ich twarze wyrażające lęk i zwątpienie.

„Matka nigdy nie chciała mnie wysłuchać" — zabrzmiał głos Paula. „Bycie bogiem w końcu staje się nudne i upokarzające. To chyba wystarczający powód, żeby wymyślić boską wolną wolę! Nic dziwnego, że bóg może zapragnąć zasnąć i żyć jedynie w podświadomych wyobrażeniach wyśnionych przez siebie istot".

„Ale ty żyjesz!" — powtórzył głośniej Halleck.

Paul zignorował podniecenie starego przyjaciela, pytając:

„Czy rzeczywiście podjudzałbyś chłopaka przeciw jego siostrze w próbie Mashhad? Co za bezsens! Każde by mówiło: Nie! Zabijcie mnie! Niech drugie przetrwa! Do czego doprowadziłyby tego typu praktyki? Czym jest życie, Gurney?"

„To nie była próba Mashhad" — zaprotestował Halleck. Nie podobał mu się sposób, w jaki Fremeni ścieśniali się wokół, patrząc badawczo na Paula, ignorując Leto.

Teraz wtrącił się chłopiec:

„Zwróć uwagę na strukturę, ojcze".

„Tak… tak". — Paul trzymał głowę wysoko uniesioną, jak gdyby węszył w powietrzu. „Zatem to Farad'n".

„Jak łatwo kierować się myślami, miast zmysłami" — rzekł Leto.

Halleck nic nie rozumiał, toteż gotów był zapytać, o czym mówią, ale Leto przeszkodził mu, kładąc dłoń na jego ramieniu.

„Nie pytaj o nic, Gurney. Możesz znowu zacząć podejrzewać, że jestem Paskudztwem. Nie? Jeżeli będziesz chciał koniecznie wiedzieć, zniszczysz tylko siebie".

Hallecka jednak opanowały wątpliwości. Jessika ostrzegała go:

„Przed-urodzeni mogą cię wprowadzić w błąd. Znajdą sposoby, o których nawet nie śniłeś". Potrząsnął głową. I Paul! Na Boga! Paul żywy i w przymierzu z tym znakiem zapytania, którego był ojcem!

Fremeni utworzyli krąg dookoła nich. Wciskali się między Hallecka i Paula, między Paula i Leto. Sala drżała od pytań: „Jesteś Muad'Dibem? Naprawdę jesteś Muad'Dibem? Czy on mówi prawdę? Powiedz nam!"

„Dla was jestem Kaznodzieją" — rzekł Paul, odpychając tłum. „Nie mogę już być Paulem Atrydą ani Muad'Dibem. Nie jestem mężem Chani ani Imperatorem".

Halleck, przewidując wydarzenia, które nastąpią za chwilę, jeżeli pytania nie znajdą logicznej odpowiedzi, chciał już podjąć działanie, gdy naprzód wystąpił Leto. Wtedy właśnie Halleck po raz pierwszy ujrzał skutki straszliwej zmiany, która w nim zaszła.

Leto zagrzmiał głębokim głosem:

„Rozstąpcie się!"

Potem ruszył naprzód, roztrącając dorosłych Fremenów na lewo i prawo, zwalając mężczyzn z nóg, wyrywając noże z ich dłoni.

Kiedy w mniej niż minutę reszta Fremenów stała ściśnięta pod ścianami w niemej konsternacji, Leto podszedł do ojca.

„Słuchajcie, kiedy mówi Szej-hulud" — rzekł.

Następnie oderwał róg skały ze ściany przy wyjściu prowadzącym na korytarz i zmiażdżył ją gołymi rękoma, uśmiechając się cały czas.

„Zwalę wam sicz na głowy" — powiedział.

„Demon Pustyni" — ktoś szepnął.

„I wasze kanaty" — dodał Leto. „Rozwalę je na kawałki. Nie było nas tutaj, rozumiecie?"

Przerażeni ludzie kręcili głowami.

„Nikt nas nie widział" — powtórzył Leto. „Szepniecie choć słówko, a wrócę i wygnam was bez wody na pustynię".

Halleck widział, jak dłonie Fremenów podnoszą się w zabobonnym geście rogów czerwia.

„Odejdziemy teraz, mój ojciec i ja, w towarzystwie starego przyjaciela" — kontynuował Leto. „Przygotujcie ornitopter".

I przywiódł ich do Szulochu, wyjaśniając po drodze, że muszą działać szybko, ponieważ „wkrótce na Arrakis zjawi się Farad'n. A jak twierdzi ojciec, wtedy dopiero zobaczysz prawdziwą próbę Gurney".

Spoglądając w dół ze skalnego grzbietu Szulochu, Halleck znowu zaczął się zastanawiać, tak jak zastanawiał się każdego dnia: „Jaka próba? Co on miał na myśli?"

Ale Leto nie było już w Szlochu, a Paul uparcie odmawiał odpowiedzi.

Kościół i państwo, rozumowanie

naukowe i wiarę, jednostkę i całe społeczeństwo, nawet postęp i tradycję — wszystko to można odnaleźć w naukach Muad'Diba. Uczył nas, że nie istnieje żadne nieprzejednane przeciwieństwo, z wyjątkiem wierzeń ludzkich. Każdy potrafi odsłonić woal Czasu. Możecie odkryć przyszłość przeszłości. Czyniąc to, odzyskacie świadomość wewnętrznego istnienia. Dowiecie się wtedy, że wszechświat stanowi spójną całość, z którą jesteście nierozerwalnie złączeni.

„Kaznodzieja w Arrakin"
według Harq al-Ady

Ghanima siedziała daleko poza kręgiem światła wydobywającego się z lamp przyprawowych i obserwowała Buera Agarvesa. Nie zrobiła na niej dobrego wrażenia ta okrągła twarz i brwi zdradzające podniecenie ani sposób, w jaki poruszał stopą, gdy mówił.

„Nie przybył tu pertraktować ze Stilem" — pomyślała, znajdując potwierdzenie podejrzeń w każdym słowie i geście tego człowieka. Odsunęła się jeszcze dalej od kręgu Rady.

Każda sicz miała wydzielone takie pomieszczenie jak to, ale sala posiedzeń w porzuconej dżiddzie uderzała Ghanimę zbytnią ciasnotą. Sześćdziesięciu ludzi z grupy Stilgara plus dziesięciu tych, którzy przybyli z Agarvesem, zajęło jeden koniec sali. Światło lamp na olej przyprawowy odbijało się od niskich wsporników podtrzymujących sufit. Rzucało drżące refleksy, tańczące na ścianach, a gryzący dym przepełniał pomieszczenia zapachem cynamonu.

Spotkanie rozpoczęło się o zmierzchu, tuż po zakończeniu modłów i wieczornym posiłku. Trwało już ponad godzinę, a Ghanima nie mogła odszyfrować ukrytych celów w wystąpieniu Agarvesa. Słowa Fremena wydawały się dość proste, ale jego gesty i wyraz oczu przeczyły temu wrażeniu.

Agarves odpowiadał teraz na pytanie jednej z kobiet-kapitanów Stilgara, siostrzenicy Hary nazwiskiem Radżia. Była to smagła, ascetyczna kobieta z opuszczonymi kącikami ust, swoim zachowaniem prowokująca nastrój powszechnej nieufności.

— Wierzę, że Alia zagwarantuje wam pełne bezpieczeństwo — rzekł Agarves. — Inaczej nie przybyłbym do was z posłaniem.

Stilgar wtrącił się, gdy Radżia chciała jeszcze coś powiedzieć:

— Nie tyle martwi mnie twoje zaufanie do niej, co to, czy ona ufa tobie — mruknął. Nie ucieszyła go sugestia, że powróci na swoje

dawne stanowisko.

— To nieważne, czy ufa mi, czy nie — powiedział Agarves. — Jeśli mam być szczery, to wątpię. Zbyt długo szukałem cię bez powodzenia. Sądzę jednak, że Alia nigdy tak naprawdę nie chciała, by cię schwytano. Ona…

— Była żoną człowieka, którego zabiłem — odparł Stilgar. — Zaręczam ci, że sam tego się domagał. Równie dobrze mógł nadziać się na własny nóż. Ale ów nowy stosunek pachnie…

Stopy Agarvesa wykonały taneczny ruch, gdy wstawał, prezentując wyraźnie widoczny gniew na twarzy.

— Przebacza ci! Jak wiele razy mam to powtarzać? Jej kapłani odegrali przedstawienie, prosząc o boskie przewodnictwo…

— Poruszasz następną kwestię — wtrąciła Irulana, wychylając się zza Radżii. Jej jasne włosy kontrastowały z ciemną czupryną kobiety-kapitana. — Przekonała cię, ale może mieć inne plany.

— Kapłaństwo urzą…

— Krążą plotki — dodała Irulana — że jesteś kimś więcej niż wojskowym doradcą; że jesteś jej…

— Dość! — warknął gniewnie Agarves. Sięgnął ręką do noża. Zwalczające się emocje wykręciły jego twarz. — Wierz w co chcesz, ale nie mogę dłużej słuchać tej kobiety! Ona mnie obraża! Plugawi wszystko, czego się dotknie! Jestem przez nią wykorzystywany. Ona mnie kala! Lecz ja nigdy nie podniosłem noża na własną rodzinę. Teraz jednakże mam już dość!

Przypatrująca się temu Ghanima pomyślała: „Wreszcie wydusił z siebie prawdę”.

Stilgar niespodziewanie wybuchnął śmiechem.

— Ach, kuzynie — parsknął. — Wybacz mi, ale muszę przyznać ci rację.

— Zatem zgadzasz się ze mną?

— Tego nie powiedziałem. — Podniósł dłoń, gdy wydawało się, że Agarves znowu wybuchnie. — Liczę się ze zdaniem innych. — Powiódł ręką dookoła. — Jestem za nich odpowiedzialny. Zastanówmy się, jakie odszkodowanie proponuje Alia.

— Odszkodowanie? Nie było mowy o czymś takim. Wybacz, ale ani…

— Zatem co proponuje jako porękę dla swych słów?

— Sicz Tabr i ciebie jako naiba, pełną autonomię pod warunkiem neutralności. Rozumie teraz, jak…

— Nie wejdę w podobne układy ani nie dostarczę jej ludzi do walki — ostrzegł Stilgar. — Czy mnie rozumiesz?

Ghanima pojęła, że Stilgar zaczyna mięknąć i pomyślała: „Nie! Nie! Nie!”

— Nie ma takiej potrzeby — odparł Agarves. — Alia chce tylko,

żeby Ghanima wróciła do niej i zaręczyła się z Farad'nem…

— Więc o to chodzi! — powiedział Stilgar, marszcząc brwi. — Ghanima jako argument w przetargu. Czy ona myśli, że jestem…

— Myśli, że jesteś rozsądny — wyjaśnił Agarves, siadając z powrotem na miejscu.

Ghanima ze smutkiem pomyślała: „Nie zrobi tego. Oszczędź sobie zachodu. On tego nie zrobi".

Nagle usłyszała delikatny szelest z tyłu po lewej i poczuła jak chwytają ją potężne ręce. Gruba szmata, śmierdząca środkami nasennymi zakryła jej usta, zanim zdążyła krzyknąć.

„Powinnam była się domyślić! — pomyślała. — Powinnam była się przygotować!" Ale ręce, które ją trzymały, należały do dorosłego mężczyzny. Nie mogła się z nich wywinąć. Niosły ją ku najciemniejszemu zakątkowi sali.

Gwiazdy zaczęły wirować strumieniami przed jej oczyma, ginąc w blasku światła będącego wewnętrznym jądrem jej istoty.

> *Muad'Dib dal nam szczególny rodzaj wiedzy o proroczej intuicji, o zachowaniu, które jej towarzyszy i jej wpływie na zdarzenia, które widzi się „na bieżąco" (oznacza to zdarzenia powiązane wzajemnie w układzie, który prorok ujawnia i interpretuje). Jak już zauważono gdzie indziej, tego rodzaju intuicja wpływa na samego proroka jako szczególna pułapka. Może on stać się ofiarą swej wiedzy, co przydarza się ludziom dość często. Niebezpieczeństwo polega na tym, że ten, kto przewiduje rzeczywiste zdarzenia, może przegapić polaryzujący efekt wywołany nadmiernym zaufaniem do głoszonej prawdy. Osoba taka zapomina, że w spolaryzowanym wszechświecie nic nie może istnieć bez obecności swego przeciwieństwa.*
>
> *„Wizja przyszłowidzenia" pióra Harq al-Ady*

Pędzony wiatrem kurz unosił się jak mgła nad horyzontem, zasłaniając wschodzące słońce. W cieniu wydm piasek był zimny. Leto stał na zewnątrz koła utworzonego przez rosnące palmy winne,

spoglądając w kierunku pustyni. Wyczuwał węchem pył oraz aromat kolczastych roślin. Słyszał poranne dźwięki zwierząt i ludzi. Fremeni nie zbudowali w tym miejscu żadnego kanatu. Hodowali minimum roślinności nawadnianej przez kobiety przynoszące wodę w bukłakach ze skóry. Ich oddzielacz wiatru był kruchą konstrukcją, łatwą do zniszczenia przez burzę, ale i łatwą do odbudowania. Harówka, rygory handlu przyprawą i przygoda — takie panowały tu realia życia. Ci Fremeni wciąż wierzyli, że obrazem nieba jest dźwięk płynącej wody, ale pielęgnowali także pradawną ideę Wolności, którą głosił Leto.

„Wolność do stan samotności" — pomyślał.

Leto poprawił fałdy białej szaty okrywającej jego żywy filtrfrak. Poczuł, że mierzi go błona z piaskopływaków. Nie był już istotą ludzką. W jego krwi płynęło coś dziwnego. Rzęski piaskopływaków penetrowały każdy jego narząd, zmieniając go i przystosowując. Pękały nici wiążące chłopca z traconym człowieczeństwem. W tym procesie tkwiła pułapka, którą dobrze znał.

„Niech przyszłość dzieje się samoistnie — pomyślał. — Jedyną zasadą rządzącą zdolnością tworzenia jest właśnie akt twórczy".

Trudno mu było oderwać wzrok od wydm wielkiej pustyni. Tu, na skraju piasku, znajdowało się kilka skał, ale wiodły one wyobraźnię ku wiatrom, pyłowi, nielicznym samotnym roślinom i zwierzętom, wydmom przechodzącym w wydmy, pustyni w pustynię.

Z daleka dochodził dźwięk fletu przygrywającego do porannej modlitwy pieśń do wilgoci, która teraz subtelnie zmieniła się w serenadę dla nowego Szej-huluda. Ta wiedza sprawiła, że muzyka nabrała wyrazu wiecznej samotności.

„Mógłbym po prostu odejść na pustynię" — pomyślał.

Wszystko by się wtedy zmieniło. Każdy kierunek byłby równie dobry. Leto nauczył się już korzystać z życia wolnego od pasji. Przerafinował fremeńską mistykę do straszliwej skrajności: brał to, co okazywało się niezbędne. Posiadał tylko szatę, z jastrzębiem Atrydów ukrytym w jej fałdach, oraz skórę-która-nie-była-jego-własną.

Tak łatwo mógłby stąd odejść!

Jego uwagę przykuł ruch wysoko na niebie: po skośnie ściętych końcach skrzydeł zidentyfikował sępa. Ten widok przepełnił mu pierś bólem. Tak jak dzicy Fremeni, sępy żyły w tym kraju, bo tu właśnie przyszły na świat. Nie znały nic lepszego. Pustynia wychowała je i nauczyła sztuki przetrwania.

W czasach Muad'Diba i Alii narodziła się jeszcze jedna rasa Fremenów. To oni stanowili przyczynę, dla której Leto nie mógł odejść na pustynię śladem ojca. Przypomniał sobie słowa Idaho: „Ci Fremeni! Są bardzo żywotni. I nigdy nie spotkałem zawistnego Fremena".

Teraz kręciło się ich pełno.

Leto ogarnęła fala smutku. Wybrał drogę, która miała zmienić

świat, ale kosztem olbrzymich wyrzeczeń. Musiał pokonywać coraz trudniejsze przeszkody.

Kralizek — Atak Huraganu — leżał przed nim… Lecz jego omyłka miałaby takie same lub jeszcze gorsze konsekwencje.

Gdzieś z tyłu zabrzmiały głosy, następnie dziecięcy szczebiot oznajmił:

— Oto on.

Leto odwrócił głowę.

Spośród plam winnych wynurzył się Kaznodzieja prowadzony przez dziecko.

„Dlaczego ciągle myślę o nim jako o Kaznodziei? — zastanowił się. — Ponieważ nie jest już Muad'Dibem ani Paulem Atrydą. Pustynia uczyniła go kimś innym. Pustynia i ci szakale z Dżekaraty podający mu duże ilości melanżu i bez przerwy go zdradzający.

Kaznodzieja zestarzał się przedwcześnie; nie wskutek braku przyprawy, ale właśnie przez nią".

— Powiedziano mi, że chciałeś mnie widzieć — rzekł Kaznodzieja w chwili, gdy jego mały przewodnik zatrzymał się.

Leto spojrzał na dziecko, osobę prawie tak wysoką jak on sam, skrępowaną lękiem łagodzonym odrobiną ciekawości. Młodzieńcze oczy pobłyskiwały ciemno znad maski filtrfraka.

Machnął ręką.

— Zostaw nas.

Przez chwilę układ barków dziecka wyrażał bunt, potem wziął górę lęk i wrodzony fremeński szacunek dla prywatności. Chłopiec odszedł.

— Wiesz, że Farad'n jest już na Arrakis? — zapytał Leto.

— Tak. Gurney rozmawiał ze mną zeszłej nocy. „Bardzo chłodno cedzi słowa. Tak jak ja w dawnych czasach" — pomyślał Kaznodzieja.

— Muszę podjąć trudną decyzję — rzekł Leto.

— Myślałem, że rozważyłeś już wszystkie warianty.

— Obaj znamy tę pułapkę, ojcze.

Kaznodzieja kaszlnął. Opanowujące ich obu napięcie mówiło mu, jak byli blisko decydującego przełomu. Leto nie mógł teraz polegać wyłącznie na wizji, musiał nią też sterować.

— Potrzebujesz mojej pomocy? — zapytał Kaznodzieja.

— Tak. Wracam do Arrakin i chcę się tam zjawić jako twój przewodnik.

— Ale po co?

— Wygłosisz jeszcze jakieś kazanie w Arrakin?

— Może. Są jeszcze rzeczy, których im nie powiedziałem.

— Nie wrócisz na pustynię, ojcze.

— Jeżeli pójdę z tobą?

— Tak.

— Zrobię, cokolwiek zadecydujesz.

— Jesteś pewny? Wraz z Farad'nem wróciła lady Jessika, twoja matka.

— Bez wątpienia.

Kaznodzieja ponownie kaszlnął. Zdradzał w ten sposób zdenerwowanie, na które nigdy by sobie nie pozwolił Muad'Dib. Jego ciało długo nie poddawało się reżimowi samodyscypliny, a umysł zbyt często szalał od przyprawy w Dżekaracie. Starzec nie był pewien, czy mądrze będzie wrócić do Arrakin.

— Nie musisz iść ze mną — powiedział Leto. — Zostawiłem w mieście siostrę, po którą teraz wracam.

— Pójdziesz do Arrakin sam?

— Tak. Musze, spotkać się z Farad'nem.

— Udam się z tobą — westchnął Kaznodzieja.

Leto wyczuł coś dziwnego w zachowaniu ojca. Czyżby korzystał z przyszłowidzenia? Nie. Kaznodzieja już nigdy tego nie zrobi. Zna pułapkę kryjącą się w częściowej zgodzie. Każde wypowiedziane słowo świadczyło, że zrzekł się wizji na rzecz syna, wiedząc, że wydarzenia w tym wszechświecie zostały przez niego dokładnie przewidziane.

To tylko stare przeciwieństwa nawiedzały Kaznodzieję. Uciekł z jednego paradoksu, by pogrążyć się w drugi.

— Wyruszamy za kilka minut — rzekł Leto. — Powiesz Gurneyowi?

— Gurney nie idzie z nami?

— Chcę, żeby przeżył.

Kaznodzieja nagle otworzył się na wzrastające napięcie. Unosiło się dookoła niego w powietrzu, tkwiło w ziemi pod stopami, stale ruchome, skupione na tym nie-dziecku, będącym jego synem. W gardle narastał mu skowyt, do którego pchały go stare wizje.

Przeklęta świętość!

Nie mógł uniknąć gorzkiej istoty swych lęków. Wiedział, co zastaną w Arrakin. Jeszcze raz rozegrają partię z przerażającymi i śmiertelnymi siłami, które nigdy nie przyniosą im pokoju.

Dziecko, które odmawia noszenia szaty po swoim ojcu, Jest symbolem najbardziej unikalnej cechy człowieka. „Nie muszę być tym, czym był mój ojciec. Nie muszę słuchać się nakazów mojego ojca, ani nawet wierzyć w to, co on. O mojej sile, jako istoty ludzkiej, stanowi możliwość wyboru tego, w co mam wierzyć, a w co nie; co mam zrobić, a co

nie”.

„Leto Atryda II” biografia pióra
Harq al-Ady

Pielgrzymujące kobiety tańczyły na placu przed świątynią w rytm muzyki bębnów i fletów. Nie miały okryć na głowach i bransolet na szyjach, ich suknie były cienkie i przezroczyste. Gdy się odwracały, drugie, czarne włosy opadały im na twarze.

Alia spoglądała na tę scenę z orlego gniazda w świątyni i czuła, że widowisko jednocześnie ją pociąga i odpycha. Nadchodziła pora śniadania, godzina, kiedy aromat kawy przyprawowej wypełniał cały plac, nadpływając od strony stanowisk przekupniów pod ocienionymi arkadami. Siostra Muad'Diba wiedziała, że wkrótce będzie musiała wyjść i powitać Farad'na, ofiarować mu oficjalnie dary i nadzorować pierwsze spotkanie księcia z Ghanimą.

Wydarzenia przebiegały zgodnie z planem. Ghania go zabije i w powstałym zamieszaniu tylko jedna osoba przystąpi do konkretnego działania. Marionetki tańczą, kiedy pociąga się za sznurki. Stilgar zamordował Agarvesa, tak jak na to liczyła. A Agarves wprowadził do dżiddy porywaczy, nawet o tym nie wiedząc. Miał ukryty transmiter sygnału w nowych butach, które mu podarowała. Teraz Stilgar i Irulana czekają, uwięzieni w podziemiach Świątyni. Być może umrą, jeżeli nie uda się ich inaczej wykorzystać. W lochach nie byli szkodliwi. Niech zatem czekają.

Zauważyła, że Fremeni z miasta uważnie obserwują tancerki na placu. Zasada równości seksualnej wyszła z pustyni, by przetrwać we fremeńskich miastach i miasteczkach. Ostatnio jednak coraz bardziej odczuwalne stawały się społeczne różnice między mężczyzną i kobietą. To również uwzględniał plan. Dziel i rządź. Alia dostrzegła subtelną zmianę w sposobie, w jaki dwóch Fremenów patrzyło na kobiety z innych planet i ich egzotyczny taniec.

„Niech patrzą. Niech wypełnią swe umysły ghaflą”.

Chociaż żaluzje w oknie były szczelnie zsunięte, odczuła nagły wzrost temperatury. O tej porze roku upał rozpoczynał się skoro świt i osiągał maksymalne natężenie w południe. Temperatura na kamiennej posadzce placu musiała być o wiele wyższa. Skwar dokuczał tancerkom, ale one wciąż obracały się i skłaniały, wymachując rękoma. Poprzez taniec składały hołd Łonu Niebios. Adiutantka zaszydziła z obcoplanetarnych kobiet i ich szczególnych obyczajów. Wyjaśniła, że kobiety pochodzą z Ix, gdzie kultywuje się resztki zakazanej nauki i technologu.

Alia wciągnęła nosem powietrze. Te kobiety były tak ignoranckie, tak przesadne i zacofane jak pustynne Fremenki… Dokładnie tak, jak

powiedziała adiutantka, starając sobie zaskarbić jej względy przez doniesienie o dedykacji tańca. Nie wiedziały nawet, podobnie zresztą jak adiutantka, że Ix symbolizowało cyfrę w zapomnianym języku.

Śmiejąc się lekko do samej siebie, Alia pomyślała: „Niech tańczą". Taniec powoduje utratę energii, której w innym wypadku mogłyby użyć do bardziej szkodliwych celów. A muzyka brzmiała przyjemnie: delikatne kwilenie na tle uderzeń w bębenki i klaskania w dłonie.

Nagle melodia utonęła w pomruku wielu głosów. Tancerki zgubiły rytm, odzyskując go dopiero po chwili zamieszania. Ich uwaga zdążała ku odległym wrotom, przez które wlewał się tłum jak woda wypływająca z otwartej śluzy kanatu.

Alia również patrzyła na zbliżającą się falę. Dobiegły do niej słowa, zwłaszcza jedno, często powtarzane: „Kaznodzieja! Kaznodzieja!"

Wtedy zobaczyła starca stąpającego na czele z jedną ręką na barku młodego przewodnika.

Tancerki-pielgrzymki przerwały piruety i stanęły na stopniach prowadzących do świątyni. Wkrótce dołączyła do nich publiczność. Alia wyczuła ich admirację. Sama czuła jedynie lęk. „Jak on śmie!"

Odwróciła się, by przywołać strażniczki, lecz urwała rozkaz w pół zdania. Tłum wypełnił już plac. Mogliby wzniecić bunt, gdyby przeszkodzono Kaznodziei. Alia zacisnęła pięści.

K-a-z-n-o-d-z-i-e-j-a! Dlaczego Paul to robił? Dla połowy Fremenów był „pustynnym szaleńcem" a przez to — świętym. Pozostali szeptali na lewo i prawo, że musi być Muad'Dibem. Inaczej Mahdinat nie pozwalałby mu głosić równie wściekłych herezji.

Alia dostrzegła w tłumie uciekinierów resztki ludzi z porzuconych siczy. Tam w dole było niebezpiecznie, tam mogły zostać popełnione błędy.

— Pani?

Głos doszedł ją zza pleców. Odwróciła się. Zobaczyła Zię stojącą w łukowato sklepionych drzwiach, prowadzących do następnej komnaty. Uzbrojone strażniczki pałacowe czekały tuż za nią.

— Tak, Zia?

— Pani, przybył Farad'n i prosi o audiencję.

— Tu? W moich komnatach?

— Tak, pani.

— Jest sam?

— Z dwoma strażnikami i lady Jessiką.

Alia położyła dłoń na gardle, przypominając sobie ostatnie spotkanie z matką. Jednakże czasy się zmieniły. Powstały zupełnie nowe warunki…

— Działa błyskawicznie — stwierdziła Alia. — Jaki podaje powód?

— Słyszał o… — Zia wskazała na okno. — Twierdzi, że mu doniesiono, iż masz najlepszy punkt obserwacyjny. Alia zmarszczyła brwi.

— Wierzysz w to, Zia?

— Nie, pani. Myślę, że słyszał pewne plotki. Chce obserwować twoją reakcję.

— Jessika go do tego nakłoniła.

— To zupełnie możliwe, pani.

— Zia, moja droga, chcę, żebyś wykonała parę dość szczególnych rozkazów. Podejdź bliżej.

Zia postąpiła dwa kroki do przodu.

— Pani?

— Wpuścicie Farad'na, jego strażników i lady Jessikę, a potem przyprowadźcie Ghanimę. Ma wyglądać w każdym szczególe jak fremeńska narzeczona… w każdym.

— Z nożem, pani?

— Z nożem.

— Ależ, pani…

— Ghanima nie stanowi dla mnie żadnego zagrożenia.

— Pani, mamy powody wierzyć, że uciekła ze Stilgarem bardziej po to, by go chronić, niż z jakiegokolwiek innego…

— Zia!

— Pani?

— Ghanima zdążyła złożyć prośbę o darowanie przewin Stilgarowi i Stilgar wciąż pozostaje żywy.

— Ale ona jest następczynią tronu!

— Wypełnij moje rozkazy. Niech Ghanima się przygotuje. Wyślij również pięciu kapłanów na plac. Niech zaproszą tu Kaznodzieję. Niech zaczekają na okazję i pomówią z nim, nic więcej. Nie wolno im używać siły. Ma to być uprzejme zaproszenie. Żadnej siły, powtarzam. I, Zia…

— Pani? — Jej głos zabrzmiał ponuro.

— Kaznodzieja i Ghanima mają być wprowadzeni do mnie równocześnie. Muszą wejść razem, kiedy dam ci znak. Rozumiesz?

— Tak, pani, ale…

— Wykonaj rozkaz! Pamiętaj: razem! — Skinieniem głowy dała jej znak do odejścia. Gdy Zia odwróciła się, Alia dodała: — Wpuść Farad'na i moją matkę, ale dopilnuj, by poprzedzało ich dziesięć najbardziej zaufanych strażniczek.

Zia na moment znieruchomiała.

— Stanie się wedle twej woli, pani.

Alia wyjrzała przez okno. Za kilka minut jej plan zbierze krwawe żniwo. Paul będzie obecny przy tym, jak Alia zada ostateczny cios jego pretensjom do świętości. Usłyszała, że nadchodzą oddelegowane przez

Zię strażniczki. Wszystko wkrótce się skończy. Wszystko. Kaznodzieja zajął pozycję na pierwszym stopniu. Jego młody przewodnik przykucnął obok. Alia widziała żółte szaty Kapłanów Świątyni. Odgradzał ich od Paula szeroki mur pleców. Mieli jednak wypracowane specjalne metody postępowania w takich sytuacjach. Znajdą sposób, by zbliżyć się do celu. Kaznodzieja zagrzmiał, a tłum ucichł, by wysłuchać jego słów. Niech słuchają! Wkrótce nie będzie żadnego Kaznodziei.

Weszła świta Farad'na i po chwili Alię dobiegł głos Jessiki, pytającej:

— Alio?

Nie odwracając się, odpowiedziała:

— Witajcie, książę Farad'nie, matko. Chodźcie i popatrzcie na to przedstawienie. — Teraz dopiero skierowała głowę w ich stronę i zobaczyła wielkiego sardaukara, Tyekanika, z chmurną miną wpatrującego się w strażniczki, które zastawiły mu drogę.

— Ach, jakież jesteście niegościnne — rzuciła Alia. — Pozwólcie im podejść.

Dwie strażniczki, działając bez wątpienia z polecenia Zii, stanęły między nią a gośćmi. Reszta odstąpiła na bok. Alia oparła się plecami o prawą część okna i wskazała na nie.

— To naprawdę najlepszy punkt obserwacyjny.

Jessika, odziana w tradycyjną czarną abę, spojrzała na córkę. Towarzyszyła Farad'nowi w spacerze do okna, ale nagle zatrzymała się między nim i strażniczkami.

— Jesteś bardzo uprzejma, lady Alio — rzekł kurtuazyjnie Farad'n. — Słyszałem wiele o Kaznodziei.

— A oto i on we własnej osobie — wskazała Alia.

Farad'n wdział na siebie szary mundur dowódcy sardaukarów, bez ozdób. Poruszał się z gracją, która wprawiła Alię w podziw. Być może w księciu Corrino tkwiło coś więcej, niż próżna skłonność do rozrywek.

Głos Kaznodziei wdarł się do pokoju przez przystawki głośnikowe zamontowane obok okna. Alia poczuła przenikający ją do szpiku kości dreszcz i zaczęła słuchać Kaznodziei ze wzrastającą fascynacją.

— Znalazłem się na Pustyni Zan — zawołał starzec. — Na tej pustyni wyjącej z dzikości. I Bóg rozkazał mi, bym użyźnił to miejsce. Albowiem zwabiono nas na pustynię, na której przelewaliśmy łzy i gdzie mieliśmy porzucić nasze obyczaje.

„Pustynia Zan" — pomyślała Alia. Taką nazwę nadano ziemi, na której osiedlili się pierwsi Zensunniccy Wędrowcy. Z nich narodzili się Fremeni. Ale co on mówił! Czy zniszczenia poczynione w siczowych twierdzach lojalnych plemion uważał za dostateczny powód do dumy?

— Dzikie bestie zalęgły się w naszych krainach — kontynuował

Kaznodzieja. — Żałosne stworzenia wypełniły domy. Wy, którzyście uciekli z własnych siedzib, nie pomnażacie już dni spędzonych wśród piasków. Tak, wy, którzy porzuciliście stare obyczaje, zginiecie w cuchnącym gnieździe, jeżeli będziecie trwać przy swym postępowaniu. Ale gdybyście chcieli posłuchać mojego ostrzeżenia, to niech Pan poprowadzi nawróconych przez ziemię otchłani, w Góry Boże. Tak, Szej-hulud poprowadzi wiernych.

Wśród tłumu narastał cichy pomruk. Kaznodzieja przerwał, przenosząc spojrzenie pustych oczodołów z miejsca na miejsce. Następnie podniósł ramiona, rozłożył je szeroko i zawołał:

— O Boże, me ciało tęskni za twoją drogą w suchym, spragnionym kraju!

Stara kobieta stojąca naprzeciwko Kaznodziei, bez wątpienia uciekinierka, sądząc po połatanej i znoszonej odzieży, wyciągnęła do niego ręce, wołając błagalnie:

— Pomóż nam, Muad'Dibie! Pomóż nam!

W nagłym, pełnym lęku skurczu w piersi Alia zapytała siebie, czy ta kobieta rzeczywiście zna prawdę. Spojrzała na matkę, ale Jessika pozostała nieruchoma, dzieląc uwagę między strażniczki Alii, Farad'na i widok z okna. Farad'n wydawał się być zafascynowany.

Alia przylgnęła do okna, starając się dojrzeć Kapłanów Świątyni. Nie było ich nigdzie widać. Podejrzewała, że próbowali przedrzeć się obok drzwi Świątyni, szukając bezpośredniej drogi na stopnie.

Kaznodzieja uniósł prawą dłoń nad głową starej kobiety i zawołał:

— Tylko sami możecie sobie pomóc! Byliście zbuntowani. Sprowadziliście suche wiatry, które ani nie oczyszczają, ani nie dają chłodu. Nosicie brzemię pustyni, z której nadeszła trąba powietrzna. Woda spływa na piach ze zrujnowanych kanatów. Potoki przenikają ziemię. Woda spadła z nieba w Strefie Wydm! O, moi przyjaciele, Bóg mi tak rozkazał: „Uczyńcie na pustyni prostą drogę do waszego Pana, albowiem jestem głosem, którym on przemawia".

Wskazał sztywnym i drżącym palcem na stopnie niżej.

— To nie jest zgubiona dżidda, która nigdy więcej nie będzie zamieszkana! Tutaj spożywaliśmy chleb niebieski. I tu hałas obcych wypędza nas z domów! Oni przygotowują pustkowie, ziemię, której nie zamieszka żaden człowiek ani której nikt nie przemierzy.

Tłum falował niespokojnie, uciekinierzy i fremeńscy mieszczanie rozglądali się dookoła, spoglądając na pielgrzymów Hadżdż, stojących między nimi.

„On może wywołać krwawe zamieszki! — pomyślała Alia. — Dobrze, niech mu będzie. Kapłani pochwycą go w tym bałaganie".

Ujrzała wtedy piątkę kapłanów — krótki sznureczek żółtych szat, kierujący się w dół stopni, ku Kaznodziei.

— Woda, którą użyźnialiście pustynię, zmieniła się w krew —

rzekł Kaznodzieja, szeroko rozpościerając ramiona. — Krew na naszej ziemi! Spójrzcie na pustynię. Kusiła obcych, by zostali wśród nas. Zjawili się i poczęli szerzyć gwałt! Ich twarze są zamknięte, jakby były gotowe na ostatni wiatr Kralizeku! Zniewalają piasek. Wysysają jego bogactwa, skarby ukryte w głębiach. Przyjrzyjcie się im. Napisane jest: „I stanąłem na piasku, i ujrzałem bestię, i widziałem na jej głowie wypisane imię Boga!”

W tłumie narastały gniewne pomruki. Podnoszono pięści, potrząsano nimi.

— O co mu chodzi? — szepnął Farad’n.

— Sama chciałabym wiedzieć — powiedziała Alia. Położyła dłoń na piersi, czując przesycone lękiem podniecenie. Jeżeli on nie przestanie, tłum zwróci się przeciw pielgrzymom!

Ale Kaznodzieja odwrócił się, wymierzył martwe spojrzenie w Świątynię i podniósł dłoń, wskazując w stronę orlego gniazda Alii.

— Jest jeszcze jedno bluźnierstwo! — wykrzyknął — Bluźnierstwo! A imię tego bluźnierstwa brzmi: Alia!

Nad placem zaległo milczenie.

Alia zamarła w niemym osłupieniu. Tłum nie mógł jej dojrzeć ani dosięgnąć, lecz ona i tak czuła się bezbronna i pokonana. Echa uspakajających słów w czaszce walczyły o lepsze z wściekłymi uderzeniami jej serca. Kaznodzieja wciąż stał z dłonią wyciągniętą w kierunku okna. Nie była w stanie zrobić nic innego, jak tylko patrzeć na tę niewiarygodną scenę.

Jednak tego było już za wiele dla kapłanów. Przerwali milczenie gniewnymi okrzykami i rzucili się biegiem w dół schodów, roztrącając ludzi na boki. Tłum zareagował histerycznie, łamiąc się jak fala uderzająca o brzeg, naciskając na pierwsze linie patrzących, porywając ze sobą Kaznodzieję. Ślepiec, oddzielony od przewodnika, miotał się na prawo i lewo. Wtem nad ciżbą zawisło żółto odziane ramię. W dłoni błysnął krysnóż. Ostrze opadło i zatonęło w piersi Kaznodziei.

Grzmot zatrzaskiwanych gigantycznych drzwi Świątyni wyrwał Alię z odrętwienia. Straże zamknęły wrota w obawie przed tłumem. Tymczasem ludzie zgromadzeni na schodach rozstąpili się, czyniąc wolną przestrzeń wokół zwiniętej na stopniach postaci. Nad placem zaległa niesamowita cisza. Wiele ciał leżało nieruchomo, ale tylko jedno w takim odosobnieniu.

Nagle ktoś krzyknął skrzekliwie:

— Muad’Dib! Zabili Muad’Diba!

— Na Boga! — szepnęła drżącym głosem Alia. — Na Boga…!

— Trochę na to za późno, nie sądzisz? — zapytała Jessika. Alia odwróciła się, zauważając w przelocie przerażoną twarz Farad’na.

— Zabito Paula! — krzyknęła. — To był twój syn! Wiesz, co może

stać się za chwilę?

Jessika milczała. Nie powiedziano tu niczego, o czym by wcześniej nie wiedziała. Z odrętwienia wyrwał ją Farad'n, położywszy dłoń na jej ramieniu.

— Pani — rzekł, a w jego głosie zabrzmiało tyle współczucia, że Jessika poczuła się, jakby miała za chwilę paść martwa. Przeniosła wzrok z zimnego, gniewnego oblicza Alii na pełną smutku twarz Farad'na i pomyślała: „Być może zbyt dobrze wykonałam swój plan".

Nie mogła wątpić w słowa córki. Pamiętała intonację głosu Kaznodziei, poznając w niej własne nauki: długie lata spędzone na ćwiczeniach z młodym mężczyzną, mającym zostać księciem, który teraz leżał owinięty w zwoje podartych, zakrwawionych szmat u stopni Świątyni.

„Ghalfa mnie zaślepiła" — pomyślała Jessika.

Alia zawołała do jednej z adiutantek:

— Przyprowadź Ghanimę.

Jessika skupiła się na tych słowach.

„Ghanimę? Po co?"

Adiutantka odwróciła się do drzwi, podchodząc ku nim, by je otworzyć, ale zanim cokolwiek zdołała uczynić, rozległ się niesamowity huk. To strzeliły zawiasy. Potem trzasnęła zasuwa, gruba konstrukcja z plastali, obliczona na wytrzymanie działania straszliwych sił, i drzwi przewaliły się do środka. Strażniczki odskoczyły, wyciągając broń.

Gwardia Jessiki i Farad'na zamknęła koło wokół księcia Corrino.

W wejściu pojawiło się jednak tylko dwoje dzieci: po lewej stronie Ghanima ubrana w czarną, zaręczynową suknię i Leto po prawej, w białej, zabrudzonej szacie, kryjącej pod sobą gładź „filtrfraka".

Alia spojrzała na dzieci, na próżno próbując opanować drżenie.

— Zebrała się cała rodzinka, by nas powitać — rzekł Leto. — Babko. — Skinął głową ku Jessice, a następnie przeniósł wzrok na księcia Corrino. — Czyżby książę Farad'n? Witamy na Arrakis, książę.

Oczy Ghanimy wydawały się być puste. Trzymała prawą rękę na obrzędowym krysnożu i sprawiała wrażenie, że chce się wyrwać z uścisku dłoni Leto, spoczywającej na jej ramieniu. Leto potrząsnął nią tak, że drobne ciało dziewczynki aż zadrżało.

— Spójrzcie na mnie, kochani — kontynuował Leto. — Jestem Ari, Lew Atrydów. A to Arjech. — Znowu potrząsnął ramieniem Ghanimy z tą potężną siłą, która wprawiała w drżenie całe jej ciało. — Lwica Atrydów. Przyszliśmy, by dać wam Secher Nbiw, Złotą Drogę.

Ghanima, wchłonąwszy słowa hasła — „Secher Nbiw" — poczuła, jak odblokowana świadomość napływa do jej umysłu. Pojęła, że w tej chwili odzyskała i pobiła zgiełkliwą przeszłość. Posiadła bramę, przez którą mogła zaglądać w przeszłość, kiedy tylko tego potrzebowała.

Miesiące autohipnotycznego stłumienia wytworzyły w jej umyśle enklawę, skąd mogła władać własnym ciałem. Zaczęła się odwracać w stronę brata, by mu o tym powiedzieć, gdy zorientowała się, gdzie się znajduje i z kim.

Leto puścił ramię siostry.

— Czy znasz plan działania? — szepnęła Ghanima.

— Wystarczająco dobrze — odparł Leto. Tymczasem Alia otrząsnęła się z szoku i wrzasnęła na strażniczki:

— Bierzcie ich!

Leto natychmiast schylił się, podniósł wyważone drzwi i pchnął je przez salę w kierunku strażniczek. Dwie z nich legły zmiażdżone ciężarem. Inne patrzyły osłupiałe. Drzwi ważyły z pół tony, a to dziecko rzuciło nimi z przerażającą łatwością.

Alia zdała sobie nagle sprawę, że na korytarzu musi leżeć obezwładniona służba. Inaczej nikt by tu nie wszedł.

Jessika wyciągnęła podobne wnioski, lecz jednocześnie słowa Ghanimy dotknęły rdzenia dyscypliny Bene Gesserit, która zmusiła ją do koncentracji. Wnuki mówiły coś o jakimś planie.

— Co to za plan? — zapytała Jessika.

— Złota Droga, nasz imperialny plan — oparł Leto. Skinął głową Farad'nowi. — Nie myśl o mnie surowo, kuzynie. Działam również w twoim interesie. Alia liczyła, że Ghanima cię zabije. Ja raczej pozwolę ci żyć i zaznać pewnej miary szczęścia.

Alia krzyknęła na strażniczki chowające się na korytarzu:

— Bierzcie ich!

Odpowiedzią na jej rozkaz był zupełny brak reakcji ze strony tych, do których go kierowała.

— Poczekaj tu na mnie, siostro — powiedział Leto, kierując się ku ciotce. — Mam pewną rzecz do zrobienia.

Alia cofnęła się w kąt, przykucnęła i wyciągnęła nóż. Zielone klejnoty na jego rękojeści błysnęły w świetle padającym z okna.

Leto kontynuował swój marsz z pustymi, rozpostartymi rękoma.

Alia nagle wstała i rzuciła się na niego z nożem.

Leto podskoczył prawie pod sufit, zadając równocześnie cios lewą stopą. Trafił Alię w czoło i rozciągnął ją na ziemi, zostawiając krwawy znak na jej czole. Wypuściła nóż z dłoni. Spróbowała po niego sięgnąć, ale Leto stał już nad nią.

Zawahała się przez moment, przywołując z pamięci sztuki walki Bene Gesserit. Gdy opadła na podłogę, jej ciało było zwiotczałe.

Raz jeszcze Leto zbliżył się do niej.

Alia wykonała zwód w lewo i jednocześnie wystrzeliła prawą stopą do przodu, zadając cios, który, gdyby trafił precyzyjnie, mógłby rozpruć brzuch dorosłemu mężczyźnie.

Leto przyjął uderzenie na bark, chwycił stopę Alii i uniósł kobietę

do góry. Obracał się, kręcąc nią dookoła. Słychać było świst wywoływany szybkością, z jaką wirowała i łopotała jej szata.

Pozostali cofnęli się.

Alia wciąż krzyczała, lecz nadal wirowała dookoła… dookoła… dookoła. Po chwili umilkła.

Wtedy Leto zmniejszył szybkość obrotów i delikatnie położył ją na podłodze. Leżała, drżąc jak śmiertelnie wyczerpane zwierzę. Leto pochylił się nad nią.

— Mogłem rzucić cię o ścianę — rzekł. — Tak byłoby pewnie najlepiej. Daję ci jednak szansę, bo na nią zasługujesz. Oczy Alii miotały się dziko z boku na bok.

— Pokonaliśmy nasze wewnętrzne istnienia — kontynuował Leto. — Spójrz na Ghanimę. Ona też może…

— Alio — wtrąciła się Ghanima — mogę ci pokazać, jak…

— Nie! — Głos dobywający się z piersi Alii brzmiał obco. Zaraz odezwały się następne, przeklinając, błagając. — Widzisz! Dlaczego nie słuchałaś? — I znowu: — Dlaczego to robisz? Co się dzieje? — I inny głos: — Powstrzymaj ich!

Jessika zatkała uszy, czując, jak Farad'n uspokajająco położył jej dłoń na ramieniu.

Alia wciąż szalała.

— Zabiję cię! — Z jej ust tryskały obrzydliwe przekleństwa. — Będę pić twoją krew! — Zaczęła wykrzykiwać bezwładne, splątane urywki zdań w najprzeróżniejszych językach.

Strażniczki stłoczone w korytarzu czyniły znak czerwia, potem ściskały pięści przy uszach. Ona była opętana!

Leto stał, potrząsając głową. Podszedł do okna i trzema błyskawicznymi ciosami wybił wzmocnione kryształem szkło — ponoć nie do stłuczenia — z ramy.

Na twarzy Alii pojawił się przebiegły wyraz. Jessika posłyszała, jak z jej wykręconych w grymasie ust dobywa się imitacja jej głosu, parodia opanowanego tonu Bene Gesserit:

— Macie zostać na swoich miejscach! Wszyscy!

Jessika opuściła dłonie i stwierdziła, że są wilgotne od łez.

Alia przetoczyła się na kolana i poderwała na nogi.

— Nie wiecie, kim jestem? — zapytała z naciskiem. Usłyszeli słodki i śpiewny głos młodej Alii, którą już dawno nie była. — Dlaczego wszyscy patrzycie na mnie w ten sposób? — Zwróciła błagalne oczy ku Jessice. — Matko, niech oni przestaną.

Jessika potrząsnęła jedynie głową, przejęta zgrozą. Oto potwierdzały się stare ostrzeżenia Bene Gesserit. Spojrzała na Leto i Ghanimę, stojących obok siebie. Cóż to oznaczało dla tych biednych bliźniąt?

— Jessiko — rzekł Leto, a w jego głosie usłyszała prośbę — czy

nie można uniknąć Procesu-o-Opętanie?

— Kim jesteś, by decydować o Procesie? — zapytał zrzędliwie jakiś mężczyzna ustami Alii; zmysłowy autokrata, krańcowo zepsuty folgowaniem swym zachciankom.

Oboje, Leto i Ghanima, rozpoznali ów głos: stary baron Harkonnen. Ghanima poczuła, jak ten sam głos odzywa się echem w jej głowie, ale również to, że jej matka zatrzaskuje dlań bramę.

Jessika wciąż milczała.

— Zatem decyzja należy do mnie — stwierdził Leto. — I do ciebie, Alio. Proces-o-Opętanie albo… — Skinął głowę w kierunku wybitego okna.

— Kim jesteś, że stawiasz mi warunki? — zapytała z naciskiem Alia, wciąż głosem starego barona.

— Demon! — krzyknęła Ghanima. — Pozwól jej samej dokonać wyboru!

— Matko! — odezwała się błagalnie Alia tonem małej dziewczynki. — Matko, co oni robią? Czego ode mnie chcecie? Pomóżcie mi!

— Sama sobie pomóż! — rozkazał Leto.

Przez krótką chwilę widział w jej oczach unicestwioną obecność ciotki, błyszczącą bezradność, spoglądającą na niego i znikającą. Wreszcie ciało Alii ruszyło nierównym, sztywnym krokiem w stronę okna. Z jej ust wydobył się straszliwy ryk starego barona.

— Zatrzymaj się! Zatrzymaj się, mówię! Rozkazuję ci! Zatrzymaj się! A masz! — Alia chwyciła się za głowę, potknęła się, ale już oparła uda o parapet. Głos wciąż szalał: — Nie rób tego! Zatrzymaj się. Pomogę ci! Mam plan! Słuchaj! Zatrzymaj się, mówię ci! Czekaj!

Alia oderwała dłonie od głowy i chwyciła się rozwalonej framugi. Jednym skokiem przerzuciła ciało przez parapet i zniknęła. Spadając nawet nie jęknęła.

Najpierw usłyszeli krzyk tłumu, a potem głuchy odgłos, gdy Alia zderzyła się ze stopniami.

Leto spojrzał na Jessikę.

— Powiedzieliśmy ci, abyś jej współczuła.

Jessika odwróciła się i ukryła twarz w mundurze Farad'na.

> *Założenie utrzymujące, że można usprawnić działanie całego układu przez ingerencją w jego świadomy element, zdradza niebezpieczną niewiedzę. Takie właśnie ignoranckie podejście okazywali często ci, którzy zwali się naukowcami i technologami.*
>
> *„Dżihad Butlerjańska" pióra*

— Biega w nocy, kuzynie — powiedziała Ghanima. — Biega. Widziałeś go, jak biegł?

— Nie — odparł Farad'n.

Czekali we dwoje przed małą salą audiencyjną w Cytadeli, dokąd wezwał ich Leto. Tyekanik stał z boku, niespokojny z racji obecności lady Jessiki zagłębionej teraz w jakiejś wewnętrznej medytacji. Upłynęła zaledwie godzina od porannego posiłku, ale wiele spraw wprawiono już w ruch — wezwanie dla Gildii, wiadomości dla KHOAM i Landsraadu.

Farad'n stwierdził, że ciężko jest mu zrozumieć Atrydów. Rzeczywistość wprawiała go w zakłopotanie. Wciąż mówili o zaręczynach. Leto miał zasiąść na tronie. Oczywiście, jego dziwna, żyjąca skóra zostanie usunięta… ale dopiero w odpowiednim czasie…

— Biega, by się zmęczyć — powiedziała Ghanima. — Jest wcieleniem Kralizeku. Żaden wiatr nie był nigdy tak szybki, jak on. Jest rozmytą plamą na szczytach wydm. Widziałam go. Wciąż biega. A gdy w końcu wyczerpie siły, wróci i złoży głowę na moim łonie. „Poproś wewnątrz-matkę, by znalazła dla mnie dobry sposób na śmierć" — będzie błagał.

Farad'n wpatrywał się w nią. W ciągu tygodnia zamieszek na placu Cytadela żyła w dziwnym rytmie tajemniczych przypływów i odpływów; historie o zaciętych walkach za Murem Zaporowym docierały do niego poprzez Tyekanika, którego poproszono o militarne doradztwo.

— Nie rozumiem cię — rzekł Farad'n. — Byś znalazła sposób, aby mógł umrzeć?

— Prosił mnie, abym cię przygotowała — odparła Ghanima. Nie po raz pierwszy zdziwiła ją ciekawska niewinność księcia Corrino. Czy było to dzieło Jessiki, czy coś wrodzonego?

— Na co?

— On już nie jest istotą ludzką. Wczoraj pytałeś, kiedy ma zamiar usunąć tą żyjącą skórę. Nigdy. Ona jest teraz jego ciałem. Leto ocenia, że przeżyje jakieś cztery tysiące lat, zanim metamorfoza go zniszczy.

Farad'n przełknął ślinę przez zaschnięte gardło.

— Rozumiesz, dlaczego wciąż biega? — zapytała Ghanima.

— A jeżeli będzie żył długo, to i tak…

— Ponieważ wspomnienie bycia człowiekiem jest w nim bardzo silne — przerwała Ghanima. — Pomyśl o istnieniach w jego wnętrzu. Nie, nie potrafisz zrozumieć tego, bo nigdy czegoś takiego nie doznałeś. Ale ja wiem. Potrafię wyobrazić sobie jego ból. Nasz ojciec odszedł na pustynię, unikając cierpień. Alia przeobraziła się w

Paskudztwo, idąc na kompromis. A moja matka, chociaż ma tylko niejasne pojęcie o świadomościach wewnątrz, musi używać sił Bene Gesserit, by żyć z tą wiedzą… Właśnie do tego sprowadza się szkolenie Matek Wielebnych. Leto jest zupełnie inny i nikt nigdy nie będzie taki jak on.

Farad'n czuł się ogłuszony jej słowami: Imperator żyjący cztery tysiące lat?

— Jessika wie o tym — kontynuowała Ghanima, spoglądając na babkę. — Powiedział jej to tej nocy. Nazwał się pierwszą istotą w dziejach ludzkości, układającą plany o naprawdę dalekim zasięgu.

— Co… on planuje?

— Złotą Drogę. Wyjaśni ci to później.

— I ma dla mnie rolę w tym… planie?

— Będziesz moim małżonkiem — odparła Ghanima. — Leto przejmie program chowu Bene Gesserit. Jestem pewna, że babka powiedziała ci o marzeniu zakonu żeńskiego: o mężczyźnie — Wielebnym z nadzwyczajnymi mocami. On jest…

— Masz na myśli to, że my…

— Nie tylko to. — Ścisnęła mu ramię z ciepłą poufałością. — Ma dla nas wiele innych odpowiedzialnych zadań. To znaczy na czas, gdy nie będziemy płodzić dzieci.

— Cóż, wydaje mi się, że na to jesteś jeszcze trochę za młoda — odparł Farad'n, uwalniając swe ramię.

— Nigdy więcej tego nie mów — ostrzegła. W jej głosie wyczuł lodowaty chłód.

Do rozmawiającej pary zbliżyła się Jessika i Tyekanik.

— Tyek powiedział mi, że walki przeniosły się na inne planety — poinformowała Jessika. — Świątynia Centralna na Biareku jest oblężona.

Farad'n pomyślał, że mówił to dziwnie spokojnym tonem. On i Tyekanik w ciągu minionej nocy dokładnie przejrzeli doniesienia. Dziki ogień rebelii ogarnął całe Imperium. Zostanie oczywiście stłumiony, ale Leto obejmie we władanie żałosne dziedzictwo.

— Jest już Stilgar — powiedziała Ghanima. — Czekaliśmy na niego.

Ponownie ujęła Farad'na za ramię.

Stary fremeński naib stanął w drzwiach, eskortowany przez dwóch byłych komandosów śmierci, jego towarzyszy z siczowych czasów.

Wszyscy włożyli na siebie oficjalne czarne stroje z białymi lamówkami i żółte, żałobne opaski na czoła. Zbliżali się spokojnym, miarowym krokiem. Jessika zauważyła, że cała uwaga Stilgara skupia się na niej, więc kiedy się zatrzymał, zapytała:

— Wciąż martwisz się śmiercią Duncana Idaho? — Nie podobała

się jej ostrożność starego przyjaciela.

— Matko Wielebna — rzekł i z ociąganiem skłonił głowę. „Tędy go wiedli — pomyślała Jessika. — Jak zwykle oficjalnie i zgodnie z fremeńskim kodeksem, ale i z krwią trudną do zmazania".

— Z naszego punktu widzenia odegrałeś rolę, którą wyznaczył ci Duncan. Nie pierwszy raz człowiek oddał życie za Atrydów. Dlaczego tak się dzieje, Stil? Czasami i ty byłeś na to gotów. Dlaczego? Czy dlatego, że wiesz, jak wiele Atrydzi dają w zamian?

— Jestem szczęśliwy, że nie szukasz zemsty — odparł. — Ale są sprawy, które muszę przedyskutować z twoim wnukiem. Mogą nas one rozdzielić na zawsze.

— Chcesz powiedzieć, że Tabr nie złoży mu hołdu? — zapytała Ghanima.

— Chcę powiedzieć, że zasługuję na sąd. — Spojrzał zimno na Ghanimę. — Nie podoba mi się sposób, w jaki zachowywali się moi Fremeni — mruknął. — Powrócimy do dawnych obyczajów. Bez was, jeżeli to będzie konieczne.

— Prawdopodobnie tylko na jakiś czas — odparła Ghanima. — Pustynia umiera, Stil. Co zrobisz, kiedy nie będzie już czerwi, nie będzie pustyni?

— Nie wierzę w to!

— Za sto lat — ciągnęła Ghanima — zostanie mniej niż pięćdziesiąt żywych czerwi, a i te będą chore i trzymane w starannie przygotowanym rezerwacie. Zbiory przyprawy trafią do Gildii Planetarnej, a jej cena… — Potrząsnęła głową. — Widziałam obliczenia Leto. Przemierzył całą planetę. On wie.

— Stosujesz kolejny chwyt, by utrzymać Fremenów w roli wasali?

— Czy byłeś nim kiedykolwiek? — odparowała Ghanima. Stilgar nachmurzył się. Bez względu na to, co zrobił, czy powiedział, przed bliźniakami zawsze czuł się winny.

— Zeszłej nocy Leto ujawnił mi szczegóły dotyczące Złotej Drogi. Nie podoba mi się ten pomysł.

— To dziwne — odparła Ghanima, spoglądając na babkę. — Większa część Imperium przyjmie ją z radością.

— Niesie ze sobą zniszczenie — mruknął Stilgar.

— Ludzie tęsknią za Złotym Wiekiem — wyjaśniła Ghanima. — Czyż nie tak, babciu?

— W istocie — zgodziła się Jessika.

— Tęsknią do Imperium zbudowanego na wzór państwa faraonów, a te da im Leto — kontynuowała Ghanima. — Tęsknią za dostatnim spokojem, bogatymi zbiorami, zrównaniem praw obywateli z wyjątkiem panującego Złotego Władcy.

— Ależ to oznacza śmierć dla Fremenów! — zaprotestował Stilgar.

— Jak możesz tak mówić? Czyż nie będą potrzebni żołnierze i odważni ludzie, by zlikwidować przypadkowe rebelie? No, Stil, ciebie i dzielnych towarzyszy Tyeka czeka mnóstwo roboty.

Stilgar zerknął na sardaukarskiego oficera, wymieniając z nim niespodziewanie porozumiewawcze spojrzenie.

— Leto będzie kontrolował przyprawę — przypomniała im Jessika.

— Będzie nią władał absolutnie — dodała Ghanima.

Farad'n wyczuł, że pewna część dyskusji została świadomie zaplanowana wcześniej. Pomogło w tym szkolenie, jakie wcześniej przeszedł z Jessika.

— Pokój przetrwa wieki — kontynuowała Ghanima. — Zniknie pamięć o wojnie. Leto będzie władał przez co najmniej cztery tysiące lat.

Tyekanik spojrzał pytająco na Farad'na i chrząknął.

— Tak, Tyek? — rzekł Farad'n.

— Wolałbym z tobą pomówić na osobności, książę. Farad'n uśmiechnął się, znając pytanie drążące wojskowy umysł Tyekanika i wiedząc, że dwie inne osoby również się go domyśliły.

— Nie sprzedam sardaukarów — powiedział.

— Nie ma potrzeby — sprostowała Ghanima.

— Słuchasz tego dziecka? — zapytał z naciskiem Tyekanik. Poczuł się urażony. Stary naib rozumiał konsekwencje wszystkich tych knowań, ale nikt inny nie miał zielonego pojęcia o sytuacji!

Ghanima uśmiechnęła się z powagą i rzekła:

— Powiedz im, Farad'n.

Farad'n westchnął. Łatwo zapominał o fenomenie tego dziecka, które nie było dzieckiem. Mógł wyobrazić sobie życie spędzone z nią w roli żony, mimo rezerwy, która tkwiłaby w niej nawet w momentach najpełniejszego zbliżenia. Taka przyszłość niezbyt go pociągała, ale rozumiał jej nieuniknioność. Absolutna kontrola nad zmniejszającymi się dostawami przyprawy! Nic nie poruszałoby się we wszechświecie, gdyby nie przyprawa.

— Później, Tyek — zwlekał Farad'n.

— Ale…

— Później, powiedziałem! — Po raz pierwszy użył Głosu wobec Tyekanika. Zobaczył, że zaskoczony mężczyzna mrugnął oczami i zamilkł.

Na wargach Jessiki zagościł niewyraźny uśmieszek.

— Mówi o pokoju i śmierci jednym tchem — mruknął Stilgar. — Złoty Wiek!

Ghanima wyjaśniła:

— On poprowadzi ludzkość przez kult śmierci w wolne powietrze kwitnącego życia! Mówi o śmierci, bo to konieczne, Stil. Wykorzystuje

napięcie, dzięki któremu żywa istota wie, że żyje. Kiedy jego Imperium upadnie… Och, tak, upadnie. Myślicie, że to jest Kralizek, ale Kralizek dopiero nadejdzie. A gdy nadejdzie, ludzie przypomną sobie, co to znaczy być żywym. Pamięć o nim będzie trwać tak długo, jak długo pozostanie żywy chociaż jeden człowiek. Jeszcze raz przejdziemy przez próbę, Stil. I wyjdziemy z niej. Zawsze powstaniemy z popiołów. Zawsze.

Farad'n dopiero teraz zrozumiał, co miała na myśli, mówiąc mu o biegu Leto. „Nie będzie człowiekiem" — uświadomił sobie.

Stilgar wciąż jeszcze się wahał.

— Nie będzie czerwi… — burknął.

— Och, czerwie wrócą — zapewniła go Ghanima. — Wszystkie umrą w ciągu dwustu lat, ale powrócą.

— Jak…? — przerwał Stilgar.

Farad'n poczuł przypływ objawienia. Domyślił się, co powie Ghanima, zanim zaczęła mówić.

— Gildia ledwie przetrwa chude lata i to tylko dzięki jej i naszym zapasom — powiedziała Ghanima. — Po Kralizeku będzie jednak mnóstwo przyprawy. Czerwie odrodzą się, kiedy mój brat odejdzie w piasek.

> *Tak, jak bywało z wieloma innymi religiami, Złote Remedium Życia Muad'Diba skarlało do obliczonego na pokaz szarlataństwa. Jego mistyczne znaki stały się symbolami dla głębszych, psychologicznych procesów, a te procesy oczywiście rozwijały się na dziko. Tym, czego lud potrzebował, był żywy bóg. Sytuacje naprawił dopiero syn Muad'Diba.*
>
> *stwierdzenie przypisywane Lu Tung-pinowi (Lu, Gościowi Pieczary)*

Leto siedział na Lwim Tronie, przyjmując hołd od plemion. Ghanima stała obok niego, stopień niżej. Ceremonia w Wielkiej Sali trwała już kilka godzin. Kolejne fremeńskie plemiona maszerowały przed Leto w osobach posłańców i naibów. Każda grupa niosła dary przystające bogu o przerażającej mocy; bogu zemsty, który obiecał im pokój.

Zastraszył ich, zmuszając do ukorzenia się w zeszłym tygodniu, występując przed połączonym arifem plemion. Sędziowie widzieli, jak

wchodził do rozpalonego pieca, wyłaniając się nietknięty. Kiedy go zbadali, nie znaleźli na jego skórze żadnych śladów oparzeń. Rozkazał im kłuć ciało nożami, a gdy już uderzali go ostrzami, okazało się, że nie są w stanie nic mu uczynić. Jedynym efektem, jakie dało lanie nań kwasów, było powstanie ulotnych oparów. Zjadał podane mu trucizny i śmiał się z przerażenia Fremenów.

Potem przywołał czerwia i stanął tuż przed jego paszczą. Na koniec udał się na lądowisko w Arrakin, gdzie poruszył fregatą Gildii, chwytając za jeden z jej stateczników.

Wysklepiona przestrzeń Wielkiej Sali pochłaniała ostre dźwięki. W komnacie rozlegał się jedynie nieustający szmer poruszających się stóp. Czuć było zapach kamiennego pyłu przyniesionego z zewnątrz.

Jessika, która nie chciała wziąć udziału w uroczystości, obserwowała wydarzenia z okienka szpiegowskiego ukrytego wysoko nad tronem. Jej uwagę przykuwał Farad'n. Uświadomiła sobie, że oboje zostali wymanewrowani. Oczywiście, że Leto i Ghanima przewidzieli posunięcia zakonu żeńskiego. Bliźnięta mogły zasięgnąć rady wewnątrz siebie od dowolnej ilości Bene Gesserit, większej niż ich żyło obecnie w całym Imperium.

Szczególną goryczą napawał ją fakt, że mitologia zakonu stała się dla Alii pułapką. Strach wspiera się na strachu? Nawyki pokoleń wycisnęły na niej piętno Paskudztwa. Oczywiście, że była opętana. I nagle okazało się, że istnieją drogi wyjścia z pułapki, z czego skorzystali Leto i Ghanima. Nie jedna, ale dwie. Najbardziej denerwowało ją zwycięstwo Ghanimy. Bliźniaczkę ocaliło stłumienie hipnotyczne w warunkach stresu, połączone z kojącym wpływem sprzyjających jej przodków. Mogło to ocalić również Alię. Pozbawiona nadziei Alia nie mogła jednak nic zdziałać, dopóki nie było już za późno. Woda Alii zrosiła piach.

Jessika westchnęła i przeniosła uwagę na Leto. Na honorowym miejscu, obok jego prawego łokcia, stał wielki dzban z wyobrażeniem firmamentu, zawierający wodę Muad'Diba. Leto twierdził, że Paul w jego wnętrzu śmiał się z tego symbolu.

Przechwałki wnuka i ten dzban spowodowały, że podtrzymała decyzję o nieuczestniczeniu w ceremoniale.

Wiedziała, że tak długo, jak będzie żyć, nie zaakceptuje Paula przemawiającego ustami Leto. Fakt, że ród Atrydów ocalał, napawał ją radością, ale wydarzenia, które miały nadejść, były dla niej zbyt ciężkie, by mogła je znieść.

Farad'n siedział ze skrzyżowanymi nogami obok dzbana z wodą Muad'Diba. Zajął miejsce Pisarza Królewskiego, objąwszy z radością nowo ustanowione stanowisko.

Farad'n czuł, że sprawnie adaptuje się do nowej rzeczywistości, choć Tyekanik wciąż unosił się gniewem i straszył konsekwencjami.

Tyekanik i Stilgar tworzyli wspólnotę-opozycję, która wyraźnie bawiła Leto.

W czasie trwania uroczystości przed tronem Atrydy przeszły tłumy niezrównanych wojowników. Ich odnowiona przysięga wierności nie mogła budzić wątpliwości. Kłaniali się przed nim, pokornie zawstydzeni tym, o czym doniósł arif.

Wreszcie ceremonia zaczęła zbliżać się do końca. Ostatni z naibów, Stilgar, stanął przed Leto w „pozycji honoru straży tylnej". Zamiast koszy ciężkich od przyprawy, klejnotów ognia czy jakichkolwiek innych kosztownych darów, których sterty leżały wokół tronu, Stilgar przyniósł opaskę ze splecionego włókna przyprawowego. Jej wzór zdobił złoto-zielony Jastrząb Atrydów. Ghanima rozpoznała dar i rzuciła na Leto szybkie spojrzenie.

Stilgar położył opaskę na drugim stopniu poniżej tronu i skłonił się nisko.

— Darowuję ci opaskę na głowę noszoną przez twoją siostrę w czasie, gdy przebywaliśmy na pustyni — powiedział.

Leto stłumił wybuch śmiechu.

— Wiem, że macie kłopoty — odparł Leto. — Czy jest coś, co chciałbyś w zamian? — Wskazał dłonią na stosy kosztownych darów.

— Nie, panie.

— Przyjmuję zatem twój dar — rzekł Leto. Pochylił się do przodu, zgarnął skraj szaty Ghanimy i oddarł z niej cienkie pasmo. — W zamian daję ci ten kawałek szaty Ghanimy, szaty, którą miała na sobie w chwili, gdy porwano ją z pustynnego obozu, co zmusiło mnie, bym ją ocalił.

Stilgar przyjął dar drżącą dłonią.

— Szydzisz ze mnie, panie?

— Szydzić z ciebie? Na moje imię, Stilgar, nigdy nie mógłbym z ciebie szydzić. Dałem ci bezcenny dar. Rozkazuję ci nosić go zawsze blisko serca, jako przypomnienie, że wszyscy ludzie są skłonni popełniać błędy i że wodzowie są także ludźmi.

Fremen parsknął śmiechem.

— Jakim naibem mógłbyś zostać, panie!

— Jakim naibem jestem! Naibem naibów. Nigdy o tym nie zapominaj!

— Jak każesz, panie. — Stilgar westchnął, przypominając sobie raporty z arifu. I pomyślał: „Kiedyś chciałem go zabić. Teraz jest za późno". Jego spojrzenie padło na dzban: nieprzejrzyste złoto, pokryte zielenią. — Oto woda mojego plemienia.

— I mojego — rzekł Leto. — Rozkazuję ci przeczytać inskrypcję wyrytą na boku naczynia. Przeczytaj ją głośno, aby wszyscy słyszeli.

Stilgar spojrzał pytająco na Ghanimę, ale ona podniosła podbródek, dając mu tym gestem odpowiedź, która przeszyła go

dreszczem. Czy te atrydzkie skrzaty chcą, by wciąż odpowiadał za swoją porywczość i omyłki?!

— Przeczytaj to — rozkazał Leto, wskazując naczynie. Stilgar powoli wszedł na stopnie, nachylił się i przeczytał na głos:

— „Ta woda jest najwyższą esencją, źródłem kierującego się na zewnątrz stworzenia. Choć nieruchoma, jest istotą wszelkiego ruchu". Cóż znaczą te słowa, panie? — szepnął Stilgar.

— Ciało Muad'Diba przypomina pustą skorupę, taką jak ta, którą porzuca owad — powiedział Leto. — Władał wewnętrznym światem, podczas gdy zewnętrzny miał we wzgardzie, i w ten sposób doprowadził do katastrofy. Władał zewnętrznym światem, wyłączając z tego świat wewnętrzny, i to oddało jego następców na pastwę demonów. Złote Remedium zniknie z Diuny, ale myśl Muad'Diba będzie trwała, a jego woda poruszy naszym wszechświatem.

Stilgar skłonił głowę. Mistycyzm wprawiał go w zakłopotanie.

— Początek i koniec zawsze są jednością — kontynuował Leto. — Żyjecie w powietrzu, a nie widzicie go. Faza się zamknęła. Z tego zamknięcia wyrasta początek jej przeciwieństwa. Tak oto będziemy mieli Kralizek. Wszystko powróci później w zmienionej formie. Wy czuliście myśli w głowach, wasi następcy będą czuli je w brzuchach. Wracaj do siczy Tabr, Stilgar. Gurney Halleck dołączy do ciebie jako mój doradca w waszej radzie.

— Nie ufasz mi, panie?

— Ufam ci całkowicie, inaczej nie wysyłałbym Gurneya. Halleck przeprowadzi pobór do nowej armii, której wkrótce będziemy potrzebowali. Przyjmuję twoją przysięgę wierności lennej, Stilgar. Jesteś wolny.

Fremen ukłonił się nisko, tyłem zstąpił ze stopni, odwrócił się i wyszedł z sali. Inni naibowie równym krokiem podążyli za nim, zgodnie z fremeńską zasadą, że „ostatni będą pierwszymi". Lecz gdy wychodzili, do tronu docierały niektóre z ich pytań:

— O czym rozmawiałeś, Stilgar? Co znaczą te słowa o wodzie Muad'Diba?

Leto zwrócił się do Farad'na:

— Czy zanotowałeś wszystko, pisarzu?

— Tak, panie.

— Babka powiedziała mi, że dobrze wyszkoliła cię w procesach zapamiętywania Bene Gesserit. To dobrze. Nie chcę, byś skrobał na papierze.

— Jak rozkażesz, panie.

— Chodź i stań obok tronu — rzekł Leto.

Farad'n usłuchał, bardziej niż kiedykolwiek wdzięczny za szkolenie Jessiki. Gdy przyjmowało się do świadomości fakt, że Leto nie był już istotą ludzką i nie myślał jak istota ludzka, idea Złotej

Drogi wydawała się jeszcze bardziej przerażająca.

Leto spojrzał na Farad'na. Na posadzce Wielkiej Sali czekali doradcy Wewnętrznego Kręgu. Stali jednak zbyt daleko, by cokolwiek słyszeć. Ghanima podeszła bliżej i oparła się ramieniem o tron.

— Nie zgodziłeś się jeszcze na oddanie mi sardaukarów w służbę — powiedział Leto. — Ale zrobisz to.

— Jestem ci winien wdzięczność, ale żądasz zbyt wiele — odparł Farad'n.

— Myślisz, że będzie im źle z moimi Fremenami?

— Żyliby zgodnie jak ci nowi przyjaciele, Stilgar i Tyekanik.

— Mimo to odmawiasz?

— Oczekuję propozycji.

— Zatem muszę ją złożyć, wiedząc, że nigdy na nią nie odpowiesz. Modlę się, żeby nauki mojej babki wystarczyły. Być może mnie zrozumiesz.

— Zrozumieć co?

— Każda cywilizacja stwarza własną mistykę — powiedział Leto. — Buduje się ją jako barierę przeciwko zmianom. Wszystkie mistyki są podobne przy stawianiu owych zapór: mistyka religijna, bohatersko-przywódcza, mistyka nauki i technologii, mistyka samej duszy. Żyjemy w Imperium, które właśnie taka mistyka ukształtowała i teraz rozpada się ono, ponieważ większość ludzi nie potrafi dostrzec różnic między mistyką a rzeczywistym wszechświatem. Widzisz, mistyka jest jak opętanie przez demona. Dąży do przejęcia świadomości.

— Rozpoznaję w tych słowach mądrość Jessiki — wtrącił Farad'n.

— I bardzo słusznie, kuzynie. Pytała mnie, czy jestem Paskudztwem. Zaprzeczyłem. Po raz pierwszy skłamałem. Widzisz, Ghanima uniknęła opętania, ale ja nie. Byłem zmuszony równoważyć wewnętrzne istnienia pod naciskiem wyjątkowo wielkich dawek melanżu. Musiałem wśród nich znaleźć aktywną pomoc. Czyniąc to, unikałem najbardziej złośliwych istnień. Wybrałem głównego pomocnika, korzystając z usług świadomości mojego ojca. Nie jestem teraz ani sobą, ani tym pomocnikiem. Raz jeszcze: nie jestem Leto II.

— Wyjaśnij to.

— Cechujesz się godną podziwu bezpośredniością — stwierdził Leto. — Jestem wspólnotą zdominowaną przez starożytnego władcę. Jego imię brzmi Harum. Pamięć o nim zginęła z racji wrodzonej słabości i przesądów następców, ale jego poddani żyli we wzniosłości podporządkowanej rytmom natury. Działali nieświadomie, w miarę zmian pór roku. Płodzili jednostki, które były krótko żyjącymi, przesądnymi istotami, łatwymi do rządzenia przez boga-króla. Jako całość stanowili potężny naród.

— Nie podoba mi się to, co mówisz — powiedział Farad'n.

— Ani mnie, naprawdę — odparł Leto. — Ale taki wszechświat stworzę.

— Dlaczego?

— Tego nauczyłem się na Diunie. Śmierć jest największym widmem, jakim wciąż straszymy tu ludzi. Ludzie w takim społeczeństwie zginą, zapatrzeni we własny pępek. Lecz kiedy nadejdzie czas na przeciwieństwo, to gdy powstaną, będą wielcy i piękni.

— Unikasz odpowiedzi na moje pytanie — zaprotestował Farad'n.

— Nie ufasz mi, kuzynie.

— Ani ty swej babce.

— Mam ku temu powody — odparł Leto. — Bene Gesserit są w końcu pragmatystkami. Wiesz, podzielam ich pogląd na wszechświat. Ty także nosisz znaki przynależności do tego wszechświata. Zachowujesz nawyki władzy, oceniając otoczenie w kategoriach potencjalnego zagrożenia i wartości.

— Zgodziłem się zostać twoim pisarzem.

— Bo taka rola pokrywa się z twoim prawdziwym talentem: talentem historyka. Jesteś skończonym geniuszem w odczytywaniu teraźniejszości w kategoriach przeszłości. W kilku przypadkach przewidziałeś moje posunięcia.

— Nie podobają mi się te zawoalowane insynuacje — rzekł Farad'n.

— Dobrze. Pokonałeś ambicję i naprawdę zadowoliłeś się obecnym, niższym statusem. Czy moja babka nie ostrzegała cię przed nieskończonością? Przyciąga nas ona jak iluminacja wśród nocy, oślepiając tak, że dokonujemy czynów, które mogą odcisnąć się na wszystkim, co skończone.

— To aforyzmy Bene Gesserit! — zaprotestował Farad'n.

— Ale bardzo precyzyjne — powiedział Leto. — Bene Gesserit wierzyły, że potrafią przewidzieć kurs ewolucji. Tyle tylko, że przegapiły oczywisty fakt, iż same ulegną zmianie w trakcie tego procesu. Założyły, że pozostaną w miejscu, podczas gdy ich plan chowu będzie się rozwijał. Nic bardziej głupiego nie mogły wymyślić. Patrz na mnie uważnie, Farad'n, bo już nie jestem człowiekiem.

— Tak twierdziła twoja siostra. — Farad'n zawahał się. — Jesteś… Paskudztwem?

— Według definicji zakonu, być może. Harum jest okrutny i samowładczy. Ja również. Zrozum mnie dobrze: mam w sobie okrucieństwo gospodarza, a ludzki wszechświat jest moją dziedziną. Fremeni trzymali kiedyś jako zwierzęta domowe oswojone orły, a ja będę trzymał oswojonego Farad'na.

Twarz księcia pociemniała.

— Strzeż się moich pazurów, kuzynie. Dobrze wiem, że moi

sardaukarzy padliby w walce z Fremenami. Ale dotkliwie byśmy się poranili, a szakale czekają, by rozszarpać słabych.

— Obiecuję, że będę cię właściwie używał — rzekł Leto. Pochylił się do przodu. — Czy nie powiedziałem, że już nie jestem człowiekiem? Uwierz mi, kuzynie. Żadne dziecko nie narodzi się z moich lędźwi, ponieważ ich już nie mam. I to zmusza mnie do drugiego kłamstwa.

Farad'n czekał w milczeniu, zrozumiawszy w końcu kierunek, w którym dążył Leto.

— Wystąpię przeciw fremeńskim zakazom — kontynuował Leto. — Zaakceptuję to, bo innej alternatywy mieć nie będę. Trzymałem cię przy sobie, zwodząc obietnicą zaręczyn, ale między tobą i Ghanimą nie dojdzie do żadnego związku. Moja siostra wyjdzie za mnie!

— Ale ty…

— Poślubi mnie, powiedziałem. Ghanima musi zapewnić ciągłość linii Atrydów. To także problem programu chowu Bene Gesserit.

— Odmawiam — rzekł Farad'n.

— Odmawiasz zostania ojcem dynastii Atrydów?

— Jakiej dynastii? Będziesz zajmował tron przez tysiące lat.

— I ćwiczył twoich potomków na własne podobieństwo. Przejdą najintensywniejszy, najwszechstronniejszy program szkolenia w całej historii. Będziemy ekosystemem w miniaturze. Widzisz, jeżeli zwierzęta obierają jakiś system przeżycia, musi on być oparty na warunkujących się społecznościach, wzajemnej zależności, wspólnej pracy w ogólnym planie, który jest tym systemem. I system ten wyda najmądrzejszych władców, jakich kiedykolwiek widziano.

— Ubierasz w pstre słówka najwstrętniejsze…

— Kto inaczej przeżyłby Kralizek? — zapytał Leto. — Obiecuję ci, że Kralizek nadejdzie.

— Jesteś szalonym człowiekiem! Zniszczysz Imperium.

— Oczywiście, że tak… I nie jestem już człowiekiem. Ale stworzę w ludziach nową świadomość. Powiadam ci, że pod pustynią Diuny jest ukryty największy skarb wszechczasów. Nie kłamię. Gdy umrze ostatni czerw i wybierze się z piachu resztę melanżu, te głęboko zakopane skarby zaleją nasz wszechświat. Gdy zniknie potęga monopolu na przyprawę i gdy wyczerpią się ukryte zapasy, pojawią się nowe siły.

Ghanima zdjęła rękę z oparcia tronu, podeszła do Farad'na i wzięła go za rękę.

— Tak jak moja matka nie była nigdy żoną, tak ty nie będziesz mężem — rzekł Leto.

— Każdy dzień, każda chwila przynosi zmiany — dodała Ghanima. — Człowiek uczy się, rozpoznając te chwile.

Farad'n czuł ciepło drobnej dłoni Ghanimy. Rozumiał tok argumentów Leto. Ani razu nie użyto wobec niego Głosu. To chwyt dla prostaków, nie dla umysłu.

— Czy to właśnie proponujesz za sardaukarów? — zapytał.

— O wiele, wiele więcej, kuzynie. Ofiarowuję twoim potomkom Imperium. Ofiarowuję ci pokój.

— A jakie będą skutki, jeżeli odrzucę twój pokój?

— Jego przeciwieństwo — odparł z ironią Leto. Farad'n potrząsnął głową.

— Myślę, że cena za moich sardaukarów jest bardzo wysoka. Czy muszę być pisarzem, a w ukryciu ojcem twojej królewskiej linii?

— Musisz.

— Będę ci się opierał każdego dnia mojego życia.

— Ależ właśnie tego po tobie oczekuję, kuzynie. Dlatego cię wybrałem. Nadam ci nowe imię. Od tej chwili nazywać się będziesz Złamaniem Obyczaju, co brzmi w naszym języku: Harq al-Ada. No, kuzynie, nie bądź uparciuchem. Moja matka dobrze cię wyszkoliła. Oddaj mi sardaukarów.

— Oddaj mu ich — zawtórowała Ghanima.

Farad'n usłyszał w jej głosie lęk. Czyżby bała się o niego?

— Są twoi — zdecydował wreszcie.

— Zaiste — powiedział Leto.

Podniósł się z tronu osobliwie płynnym ruchem, jak gdyby utrzymywał straszliwe moce pod najdelikatniejszą kontrolą. Zstąpił po schodach do poziomu Ghanimy i obrócił ją łagodnie, dopóki nie stanęła do niego plecami. Wtedy sam również się obrócił, dotykając jej pleców swoimi.

— Zapamiętaj, kuzynie — Harq al-Ado. Plecami do pleców, na zawsze. Będziemy tak stać na naszym ślubie. — Spojrzał ironicznie na Farad'na i zniżył głos. — Pamiętaj o tym kuzynie, gdy będziesz stał twarzą w twarz z moją Ghanimą. Pamiętaj, że kiedy będziesz szeptał czułostki o miłości, twoje plecy pozostaną odsłonięte.

Odwracając się od nich, zszedł po stopniach do oczekujących dworzan, zabierając ich ze sobą. Po chwili wyszedł z sali.

Ghanimą raz jeszcze wzięła Farad'na za rękę, długo wpatrując się w drzwi, za którymi zniknął Leto.

— Jedno z nas musiało zaakceptować udrękę — powiedziała — a on zawsze był silniejszy.

TERMINOLOGIA IMPERIUM

A

ABA: luźna szata, zwykle czarna.

ADAB: władcza pamięć, która ogarnia człowieka sama z siebie.

AJAT: znaki życia (zwykle: ajat i burhan życia; patrz BURHAN).

AKSOLOTLOWY ZBIORNIK: urządzenie zawierające końcowe produkty technologii aksolotlowej, najistotniejszego osiągnięcia Tleilaxan. Technologia aksolotlowa nie ograniczała się wyłącznie do samego zbiornika, który był wynikiem znacznie wcześniejszych, długotrwałych badań genetycznych i przekształceń i nieco tylko przewyższał sztuczną macicę. Wytworami techniki aksolotlowej Tleilaxan były m. in. ghole, „wypaczeni" mentaci oraz lepsza, „poprawiona" rasa Nawigatorów Gildii Planetarnej (patrz: GHOLE oraz NAWIGATORZY).

ALAM AL-MITHAL: mistyczna kraina podobieństwa, gdzie nie ma żadnych fizycznych ograniczeń.

ARIF: (frem.) sędzia lub sąd.

ARRAKIN: pierwsza osada na Arrakis, do czasu objęcia Diuny w pseudolenno przez ród Harkonnenów siedziba rządu planetarnego. Po przejęciu planety przez ród Atrydów miasto Arrakin ponownie zostało obrane planetarną stolicą.

ARRAKIS: trzecia planeta Canopusa, bardziej znana jako Diuna; jedyne źródło życiodajnej przyprawy-melanżu.

B

BALISETA: pochodzący w prostej linii od cytry dziesięciostrunowy, szarpany instrument muzyczny. Ulubiony instrument imperialnych trubadurów.

BASZAR (często PUŁKOWNIK BASZAR): termin z militarnego leksykonu rodu Corrinów, oznaczający oficera sardaukarów o jeden stopień wyższego rangą od pułkownika w zunifikowanej hierarchii Imperium. Stopień utworzony dla wojskowego komendanta podregionu planetarnego (patrz: SARDAUKARZY).

BENE GESSERIT (1): wychowanka starożytnej szkoły kształcenia ducha i ciała (szkoły macierzystej na Wallach IX lub jednej ze szkół

regionalnych, rozsianych na planetach; patrz poniżej).

BENE GESSERTT (2): zakon żeński, w ciągu stuleci działający za parawanem półmistycznej szkoły kształcenia ducha i ciała (założonej przede wszystkim dla dziewcząt po tym, jak Dżihad Butlerjańska zniszczyła tak zwane „myślące machiny" i roboty).

BESTIA RABBAN: Glossou Rabban (10132-10193), hrabia z Lankiveil, siridar-regent barona Vladimira Harkonnena na Arrakis.

B.G.: żargonowe określenie Bene Gesserit.

BIBLIA PROTESTANCKO-KATOLICKA: „Księga Ksiąg", pismo święte opracowane przez Kongres Ekumeniczny Federacji (K.E.F.), który odbył się na neutralnej wyspie Starej Ziemi; zrewidowane połączenie starożytnych pism świętych, zawierające elementy najstarszych religii, łącznie z Maometh Saari, chrześcijańską Mahayanną, katolicyzmem zensunnickim i przekazami buddislamskimi. Za najwyższe przykazanie Bibli P.K. uważa się: „Nie będziesz kaleczył ducha"…

BI-LAL KAIFA: Amen. (Dosłownie: niczego już nie trzeba wyjaśniać).

BINDU: termin odnoszący się do układu nerwowego człowieka, szczególnie do szkolenia nerwów. Często określane jako bindu-nerwatura (patrz: PRANA oraz SZKOLENIE).

BLECH: otwarta, płaska pustynia.

BURHAN: dowody życia (zwykle: ajat i burhan życia; patrz: AJAT).

BURKA: izolowana opończa, którą Fremeni nosili na pustyni.

C

CENZORKA PRZEŁOŻONA: potocznie: Bene Gesserit Jasnowidząca — Wielebna Matka Bene Gesserit będąca jednocześnie dyrektorką szkoły regionalnej B.G.

CHAKOBSA: tak zwany „język magnetyczny", który wywodzi się częściowo z pradawnego Bhotani (Bhotani-dżib, gdzie „dżib" oznacza dialekt). Mieszanina starożytnych narzeczy zmodyfikowanych przez rozmaite grupy w celu dochowania tajemnicy. Podstawę „języka magnetycznego" stanowi język łowiecki Bhotani: żargon najemnych morderców z okresu pierwszych Wojen Assassinów.

CHAUMAS: w niektórych dialektach: aumas. Trucizna podana w pokarmie, (dokładnie w suchym pożywieniu, w odróżnieniu od trucizny podanej w jakiś inny sposób).

CHAUMURKY: jedna z najbardziej znanych i popularnych trucizn, często używana przez assassinów. Chaumurky była bezbarwną i

bezwonna cieczą, podawaną prawie zawsze w napojach. W niektórych dialektach: murky lub musky.

CHWYTOWÓD: zewnętrzny przewód filtrfraka, odprowadzający wydychaną przez nos wilgoć do systemu odzyskowego filtrfraka (patrz: FILTRFRAK).

CORIOLISA, KURZAWA: każda większa burza piaskowa na Diunie, której wiejące na otwartych równinach wiatry wzmagane są przez ruch obrotowy planety, aż osiągają prędkość do 700 km/h. Kurzawa Coriolisa powoduje „deszcz piasku" (el-sajal — opad pyłu wzniesionego na średnią wysokość, ok. 2000 m, lub matar — opad pyłu wzniesionego na dużą wysokość, powyżej 2000 m).

CORRINÓW, RÓD: ród pochodzący z Salusa Secundus (trzeciej planety Gammy Waiping), biorący swą nazwę od niby-mgławicy Corrin, w pobliżu której rozegrała się słynna bitwa kosmiczna (w roku 88 P.G.), ustalająca jego panowanie nad Imperium. Padyszach Imperator Szaddam IV, ojciec Irulany Corrino-Atrydy, był ostatnim, osiemdziesiątym pierwszym władcą z dynastii Corrinów. Po śmierci Szaddama IV spadkobiercą fortuny rodu został Farad'n, syn Wensicji (trzeciej córki Padyszacha Imperatora) i hrabiego Dalaka Fenringa, jednakże do czasu uzyskania odpowiedniego wieku regencję w jego imieniu sprawowała matka.

CYTADELA: pałac w Arrakin; największa budowla w całej historii ludzkości, zbudowana podczas dwunastoletniej Dżihad Fremenów i panowania Paula Muad'Diba Atrydy. Budowa Cytadeli została sfinansowana dzięki handlowi przyprawą. W jej skład wchodzi wiele całych budowli z ujarzmionych przez dżihad planet, które zostały przewiezione galeonami Gildii.

CZERW PUSTYNI: patrz: SZEJ-HULUD.

D

DAO: trans odrętwienia, rodzaj letargu bindu, w którym Bene Gesserit może spowolnić swoje fizjologiczne czynności do poziomu na krawędzi utrzymania życia. Trans pomocny w celu przetrwania w zagrażających życiu warunkach, a także potrzebny do odmłodzenia komórek.

DIUNA: potoczna nazwa Arrakis, trzeciej planety Canopusa.
DRUGA DŻIHAD: patrz: DŻIHAD FREMENÓW.

DRUGI KSIĘŻYC: mniejszy z dwóch satelitów Arrakis, godny uwagi ze względu na sylwetkę skoczka pustynnego w rzeźbie powierzchni (patrz: PIERWSZY KSIĘŻYC).

DRYF: wtórna kolektorowa faza generatora polowego Holtzmana.

Znosi ciążenie w pewnych granicach, określonych proporcjami masy i zużycia energii.

DRYFOWA LAMPA: patrz: KULA ŚWIĘTOJAŃSKA.

DUDNIK: fremeński przyrząd w kształcie krótkiego palika z mechanizmem sprężynowym i kołatką na końcu, używany w dwóch celach: przywołania lub odciągnięcia czerwi pustyni. Po wbiciu go w bardziej zwartą, nawietrzną stronę wydmy i zwolnieniu mechanizmu sprężynowego, kołatka wydawała charakterystyczne „dudnienie" przywabiające szej-huludy. Jako niezastąpiona pomoc w podróży, często niezbędna dla przeżycia, dudnik był jednym z elementów wyposażenia fremsaka (patrz: FREMSAK).

DYSTRANS: urządzenie składające się z dwóch części: translatora falowego — malutkiego kryształu ważącego niecałe pięć miligramów, wszczepionego stworzeniu przenoszącemu wiadomość, i z kodera-dekodera — rurki długości ok. dziesięciu centymetrów i siedmiu milimetrów średnicy. Urządzenie służy do wykonywania odbitek neuronowych w układzie nerwowym przedstawicieli gatunków rzędu Chiroptera lub ptaków w celu specyficznej komunikacji (rozwiniętej w znacznym stopniu przez Fremenów). Po wszczepieniu translatora naturalny głos zwierzęcia zawiera zapis wiadomości, którą z tej fali nośnej można wyodrębnić za pomocą drugiego dystransu. Dystrans wynaleziono na Ix (dziewiątej planecie Eridani A) około roku 10000 E.G., a w 10179 dokonano pierwszej pomyślnej implantacji kryształku dystransowego u człowieka.

DŻEKARATA: legendarna sicz ogłoszona tabu wiele pokoleń przed zapoczątkowaniem ekologicznej transformacji Arrakis, ponieważ była miejscem zamieszkania „wolnych insektów" (patrz: IDUALI). Dzięki powszechnemu sprzymierzeniu fremeńskich plemion Dżekarata została zaatakowana, a jej mieszkańcy eksterminowani.

DŻIHAD: „święta wojna", krucjata religijna, krucjata fanatyczna.

DŻIHAD BUTLERJAŃSKA: krucjata przeciwko maszynom myślącym, komputerom i świadomym robotom, zwana potocznie Wielką Rewoltą. Napięcie między programistami a tymi, którzy uznawali wyższość zdolności człowieka (znaczone raz po raz mniejszymi i większymi pogromami antykomputerowymi) wzrastało przez przeszło pięćset lat, by w roku 201 P.G. przemienić się z rebelii w siejącą śmierć i zniszczenie prawie stuletnią dżihad, zakończoną w 108 P.G. Główne przykazanie Dżihad Butlerjańskiej zachowało się w Biblii P.K. jako „Nie będziesz czynił machin na obraz i podobieństwo rozumu ludzkiego".

DŻIHAD FREMENÓW (zwana też DŻIHAD MUAD'DIBA): krucjata religijna (rozpoczęta w roku abdykacji Szaddama IV Corrino — 10196 E.G.), którą Fremeni ponieśli w kosmos w celu podporządkowania całego znanego wszechświata nowemu władcy. Dżihad pochłonęła

przeszło sześćdziesiąt miliardów ofiar, spustoszyła dziewięćdziesiąt planet, kompletnie zdemoralizowała pięćset innych. Jej największy impet trwał zaledwie dwanaście standardowych lat. Kwizarzy Tafwidzi (fremeńscy kapłani) traktowali Dżihad Muad'Diba jako narzędzie szerzenia swej religii. Większość z czterdziestu wykorzenionych przez nich wyznań zniszczono po kampanii w układzie Molitor.

E

E.G.: „era Gildii", skrót w kalendarzu Imperium opartym na dacie powstania monopolu Gildii Planetarnej (patrz: P.G.).

EKOLOGICZNA TRANSFORMACJA DIUNY: plan, mający na celu zmianę ekologii i klimatu Arrakis. Jego realizację rozpoczął Pardot Kynes (10121-10175), ojciec Lieta-Kynesa (10156-10191).

ELAKKA: niewysokie, krwisto-słojowate drzewa z Ekaz (czwartej planety Alfa Centauri B), najlepiej znane z produktów z nich otrzymywanych: lin, narkotyku elakka i semuty.

ERG: rozległy obszar pustyni pokryty wydmami, morze piasku.

F

FAI: danina wodna („podatek od ochrony"), główna forma płatności podatku na Arrakis.

FAUFRELUCHES: egzekwowany przez Imperium sztywny system podziału klasowego. „Miejsce dla każdego człowieka i każdy człowiek na swoim miejscu".

FEDAJKINI: fremeńscy komandosi śmierci, najbardziej przerażający wojownicy swoich czasów, którzy służyli Muad'Dibowi podczas jego pierwszej bitwy przeciw rodowi Harkonnenów i siłom Corrinów, a później jako elitarne formacje w Drugiej Dżihad. Po odejściu Paula Muad'Diba na pustynię, w roku 10210 Alia rozwiązała oddziały fedajkinów. (Historycznie: grupa ludzi, którzy się zebrali i przysięgli poświęcić życie w imię sprawiedliwości).

FILTRFRAK: osłaniający ciało ubiór wynaleziony na Arrakis przez Fremenów, pozwalający na przetrwanie w pustyni poprzez zapobieganie utraty wydalanej wody i wilgoci. Jego podstawę stanowi mikrowarstwowa tkanina, stanowiąca pochłaniacz ciepła i wysokowydajny system filtracyjny wydzielin ciała. Warstwa stykająca się ze skórą jest lekko porowata i po wchłonięciu przez filtrfrak ciepła

przenika przez nią pot. Następne dwie warstwy zawierają włókna wymiany ciepła i osadniki soli, która jest odzyskiwana. Mocz i fekalia przetwarzane są w specjalnych podkładkach udowych. Siły pompującej dostarczają filtrfrakowi głównie ruchy ciała (oddychanie i kroki — dzięki zamontowanym w pustynnych butach temag pompom piętowym), a także działanie osmotyczne. W otwartej pustyni na twarzy nosi się specjalną maskę, przez której filtr naustny wdycha się powietrze. Wydech następuje przez nos, w który wkłada się specjalny chwytowód zakończony filtrwtykiem. Odzyskana woda przepływa do kieszeni łownych, z których można ją pić za pomocą wodowodu (rurki w chomątku na szyi).

FILTRNAMIOT: małe, szczelne pomieszczenie przenośne, wykonane z tkaniny mikrowarstwowej, odzyskującej w postaci wody pitnej wilgoć wydalaną z oddechem przebywających w nim ludzi oraz osiadającą na zewnętrznych ściankach filtrnamiotu (patrz: PIACHOCHRAPY).

FONDAK: legendarna siedziba przemytników na Arrakis, której położenie utrzymywane jest w najgłębszej tajemnicy.

FREGATA: największy kosmiczny statek, mogący lądować i startować z powierzchni planety.

FREMENI: wolne plemiona na Arrakis, mieszkańcy pustyni, potomkowie Zensunnitów, którzy przybyli na Diunę trzy tysiące lat wcześniej.

FREMSAK: wyrabiana przez Fremenów sakwa z wyposażeniem umożliwiającym przeżycie na pustyni. W skład fremsaka wchodziły: literjony, filtmamiot, tabletki wzmacniające, odłówki, piachochrapy, lornetka, niezbędnik, barwolwer, nieckograf, filtrwtyki, parakompas, haki stworzyciela, dudnik, słup ognia, kondensator statyczny i Kitab al-Ibar (wraz z małą fiszką jarzeniową i szkłem powiększającym). Cała sakwa spakowana w niewielki tobołek ważyła w przybliżeniu dziesięć kilogramów.

GALEON: największy kosmiczny statek transportowy w systemie przewozowym Gildii Planetarnej.

GANGISHREE: peryferyjna planeta Imperium, jedna z wielu ujarzmionych przez Dżihad Fremenów.

GĄSIENIK PRZYPRAWOWY (lub GĄSIENIK PIASKOWY): potoczna nazwa maszyny przeznaczonej do poszukiwania i zbioru melanżu (patrz: ŻNIWIARKA).

GHAFLA: nieumiejętność skupienia się w obecności natrętnej muchy, stąd: osoba chwiejna, której nie należy ufać.

GHANIMA: „łup wojenny”, coś zdobytego w bitwie lub pojedynku. Najczęściej bezużyteczna pamiątka walki, budząca jedynie wspomnienia.

GHOLE: duplikaty ludzi, produkowane przez Bene Tleilax w

zbiornikach aksolotlowych (patrz: AKSOLOTLOWY ZBIORNIK), zachowujące wzór genów oryginałów, ale pozbawione świadomych wspomnień z ich przeszłości.

GIEDI PRIME: planeta Wężownika B (36), ojczyzna rodu Harkonnenów.

GILDIA PLANETARNA: jedno z trzech ramion politycznego trójnoga wspierającego Wielką Konwencję. Gildia jest drugą (patrz: BENE GESSERIT — 2) ze szkół kształcenia ducha i ciała, które powstały w następstwie Wielkiej Rewolty. Podwaliny pod to, co stało się później Gildią Planetarną, położyli uciekinierzy przed Dżihad Butlerjańską, którzy odkryli Tupile („planeta azylu"). Powstanie monopolu Gildii w dziedzinie podróży, transportu i bankowości międzynarodowej przyjęto za datę początkową kalendarza Imperium.

GŁOS: termin używany w odniesieniu do manipulacji mową w celu zdobycia całkowitej kontroli nad słuchaczem; jedno z najbardziej imponujących uzdolnień Bene Gesserit — umiejętność wytwarzania (przez odpowiednio dobrane odcienie barwy głosu) bodźca słuchowego w celu zaszczepienia polecenia w podświadomości osobnika, a zatem stworzenia przymusu posłuszeństwa.

GOM DŻABBAR: (dosłownie: wróg ostateczny) — igła zatruta metacyjankiem, z pomocą której Cenzorki Bene Gesserit poddają świadomość ludzką próbie śmierci.

GRODŹ: przenośne lub instalowane na stałe, plastykowe lub metalowe zamknięcie hermetyczne, stosowane w celu niedopuszczenia do wyparowywania wilgoci z fremeńskich jaskiniowych obozowisk dziennych i wszelkich budynków na Arrakis.

GROT-GOŃCZAK: pospolita broń skrytobójcza. Szybująca w dryfie ostra, metalowa drzazga (o długości do 5 cm), która za pomocą ukrytej w pobliżu konsoli sterowana jest jak pocisk.

H

HADIS: sporządzony na podstawie ustnych przekazów zbiór tradycji fremeńskich, dodatkowe źródło zasad postępowania i przepisów religijno-prawnych.

HADŻDŻ: święta podróż, pielgrzymka.

HADŻI: pielgrzym Hadżdż.

HAKI STWORZYCIELA: pejczopodobne laski stosowane przez Fremenów do chwytania, dosiadania i ujeżdżania czerwi pustyni. Z jednej strony zakończone hakami, z drugiej były szorstkie dla pewniejszego chwytu. Laski miały różne długości: od niespełna półtora do przeszło dwóch metrów.

HARKONNEN VLADIMIR (10110-10193): siridar-baron (zwykle wymieniany jako baron Harkonnen) Giedi Prime, ojciec lady Jessiki, matki Paula Muad'Diba. Baron Harkonnen zginął na Arrakis podczas bitwy pod Arrakin.

HARQ AL-ADA: (frem.) złamanie obyczaju.

HAUST-STUDNIA: forma wysięku, z którego można rzekomo ciągnąć wodę za pomocą słomki (patrz: WYSIĘK).

HUANUI (zgonsusznia): urządzenie wynalezione przez Fremenów i tylko przez nich używane, służące do wydestylowywania wody ze zwłok.

I

ICHWAN: (frem.) braterstwo.

IDUALI: „wodne insekty" — pierwotni mieszkańcy legendarnej siczy Dżekarata, którzy zostali tak nazwani, ponieważ nie wahali się przed popełnieniem najohydniejszej według fremeńskiego prawa zbrodni: odebrania wody innym Fremenom (patrz: DŻEKARATA).

IX: dziewiąta planeta układu Eridani A, źródło wyrafinowanych technologii; zaliczania obok Richese (czwartej planety Eridani A) do niedościgłych cywilizacji technicznych.

J

JĘZYK WALKI: każdy specyficzny język, służący do nieskrępowanego porozumiewania się podczas bitwy, niezrozumiały dla strony przeciwnej.

K

KALADAN: trzecia planeta Delty Pawia, w latach 8711-10191 E.G. siridar-księstwo rodu Atrydów. Rodzinna planeta Paula Muad'Diba.

KALADAŃSKI ZAMEK: imponująco kunsztowny dwór, który był domem rodu Atrydów przez cały czas ich praw własności jako siridarów-książąt Kaladanu i dla sześciu generacji wcześniej. Po przejęciu przez ród Atrydów Arrakis zamek zamieszkiwał siridar-in-absentia Kaladanu, hrabia Hasimir Fenring, a od roku 10196 lady

Jessika i Gurney Halleck.

KANAT: otwarty kanał nawadniający na pustyni, w którym można regulować przepływ wody.

KANLY: oficjalna i w znacznej mierze zrytualizowana waśń lub wendeta. Ścisłe zasady prowadzenia kanly ustanowiono w Wielkiej Konwencji, głównie w celu ochrony postronnych świadków konfrontacji rodów.

KARDAMON: wonna przyprawa dodawana czasem do kawy, używana też w medycynie.

KAZA: wyznaczony przywódca.

KHOAM: akronim utworzony z nazwy Konsorcjum Honnete Ober Advancer Mercantiles — wszechświatowej korporacji eksploatacyjnej, kierowanej przez Imperatora i wysokie rody (z Gildią i Bene Gesserit jako cichymi wspólnikami). Stworzenie KHOAM podczas Wielkiego Synodu Finansowego w latach 10-5 P.G. wyznaczyło prawdziwy początek Imperium i stało się jednym z jego głównych elementów. Po zakończeniu Dżihad Fremenów KHOAM zostało zdominowane przez nowego Imperatora w takim stopniu, jakiego ród Corrinów nigdy nawet nie śmiał brać pod uwagę.

KIESZEŃ ŁOWNA: każda kieszeń filtrfraka, do której trafia przefiltrowana woda i gdzie jest magazynowana.

KITAB AL-IBAR: kompilacja vademecum przeżycia w pustyni i modlitewnika, opracowana przez Fremenów.

KOAN: żeński duch śmierci chodzący bez stóp.

KRALIZEK: słowo zaczerpnięte z najdawniejszych legend fremeńskich, oznaczające „Atak Huraganu" — bitwę na końcu Wszechświata.

KRWAWIN: pasożytnicza roślina pnąca, pochodząca z Giedi Prime, planety Wężownika B (36). Pędów i korzeni krwawinu często używano jako biczów w obozach niewolników. Twardy, giętki korzeń uderzał z siłą równą skórzanemu czy plastykowemu biczowi, powodując intensywny, palący ból trwający przez kilka godzin, a także pozostawiając ofiarom tatuaż koloru buraka i nie ustępujący (nawet do sześciu lat) ból o niskim natężeniu.

KRYSNÓŻ: święty nóż Fremenów z Arrakis. Żadnemu z przybyszów, którzy go widzieli, nie wolno było opuścić Diuny bez zgody Fremenów. Ostrze krysnoża było wyrabiane z pojedynczego zęba gigantycznego czerwia. Tą największą fremeńską świętość wytwarzano w dwóch wersjach: „stałej" i „niestałej" (nóż „niestały" wymagał kontaktu z polem elektrycznym ciała ludzkiego, aby nie ulec rozpadowi). I jedne, i drugie miały mlecznobiałe ostrze długości około 20 cm, które w przyćmionym świetle dawało złudzenie rozżarzonego zęba czerwia pustyni. Zęby przynoszono do sicz nieczęsto; były możliwe do zdobycia tylko wtedy, gdy Fremeni znaleźli resztki

nieżywego czerwia.

KSIĘGA AZHARA (znana również jako „Zbiór Wielkich Tajemnic"): opracowana przez Bene Gesserit kompilacja religijnych mitów i dogmatów, najprawdopodobniej zawierająca wszelkie warianty teologii, praktykowane przez wszystkich znanych wiernych w historii wszechświata (słowo „księga" jest tu nieco mylące, chociaż wielotomowe wypisy ze zbioru są dostępne dla studentek B.G., a cztery woluminy opublikowano drukiem).

KULA ŚWIĘTOJAŃSKA: samozasilające (zazwyczaj z baterii organicznych) urządzenie oświetleniowe zawieszone w dryfie dzięki umieszczonemu wewnątrz zminiaturyzowanemu generatorowi Holzmana o bardzo małej mocy. Kulę świętojańską wynalazł w roku 4266 jeden z najwcześniejszych badaczy planety Ekaz.

KWISATZ HADERACH: „Skrócenie drogi". Taką nazwę nadały Bene Gesserit niewiadomej, dla której poszukiwały rozwiązania genetycznego: Bene Gesserit płci męskiej, którego witalne siły psychiczne łączyłyby przestrzeń i czas. Według Ceduły Doboru (rejestru głównego programu ludzkiej hodowli) miał być nim syn zrodzony z córki Jessiki (która zlekceważyła polecenia swoich przełożonych wśród Bene Gesserit i urodziła syna, Paula) i Feyda-Rauthy Harkonnena. Jednakże wskutek wielu czynników Kwisatz Haderach pojawił się wcześniej: był nim właśnie Paul Atryda.

L

LAMPA DRYFOWA: patrz: KULA ŚWIĘTOJAŃSKA.

LANDSRAAD: najstarsza z instytucji, które uformowały Imperium (obok KHOAM, rodu imperialnego i Gildii Planetarnej). Na przestrzeni wielu wieków Landsraad zmieniał się i ewoluował. Przed Dżihad Butlerjańską był organizacją składającą się z posłów, która przyznawała ograniczone uprawnienia ich planetarnym rządom. Landsraad służył jako ciało opiniodawcze w debatach i wyrokujące w sporach między dwoma lub więcej członkami rządów albo w sprawach rzekomego pogwałcenia jakichś umów pomiędzy partiami. W wyjątkowych przypadkach mógł wtrącić się w spór, jeżeli jedna z partii była zdecydowana naruszyć któreś z fundamentalnych postanowień prawa międzynarodowego. Jednakże najważniejszą rolą Landsraadu podczas długich lat panowania Corrinów było to, że był on jedyną organizacją, która zabezpieczała wspólne interesy tysięcy planet przed sardaukarami. Upadek imperialnego rodu Corrinów po dziesięciu tysiącach lat panowania i triumf rodu Atrydów po zniszczeniach dokonanych przez Dżihad Fremenów nie oddziałały na

struktury czy tradycyjne funkcje Landsraadu jako siły będącej w opozycji do rodu imperialnego. Jednakże jego potęga bardzo zmalała i nigdy nie zdołał on już odzyskać pozycji siły prawie równej imperialnej.

LAZA, TYGRYSY: specjalna „zmodyfikowana" rasa terrańskich tygrysów sprowadzonych na Salusa Secundus po dwutysięcznym roku E.G.

LEGION IMPERIALNY: jednostka bojowa składająca się z dziesięciu brygad (ok. 30 000 ludzi).

LEVENBRECH: adiutant baszara (patrz: BASZAR).

LIBAN: fremeński napój przyprawowy; woda z melanżem i dodatkiem mąki z jukki. Pierwotnie: napój z kwaśnego mleka.

LICHTUGA: rodzaj fregaty (patrz: FREGATA).

LITERJON: wykonany z bezodpryskowego plastyku jednolitrowy, idealnie szczelnie zamykany pojemnik do przenoszenia wody na Arrakis.

M

MAHDI: w legendzie mesjanistycznej Fremenów: „Ten, który powiedzie nas do raju".

MASHAD, PRÓBA: wszelka próba, w której stawką jest honor (określony jako podstawa natchniona; Próba Duchowa).

MATAR: patrz: CORIOLISA, KURZAWA.

MAULA, PISTOLET: popularna broń assassinów. Ręczny pistolet sprężynowy, strzelający zatrutymi bolcami (zasięg ok. 40 metrów).

MELANŻ: „przyprawa nad przyprawami", której jedynym źródłem jest Arrakis. Znana głównie ze swych życiodajnych właściwości, przyjmowana w ilościach powyżej dwóch gramów dziennie na siedemdziesiąt kilogramów wagi ciała jest łagodnie warunkująca. Melanż powstaje z masy preprzyprawowej — stadium grzybowatego, burzliwego wzrostu, spowodowanego dostaniem się ekskrementów piaskopływaków do wody (patrz: PIASKOPŁYWAK). Arrakańska przyprawa w tym stadium „wybucha" w charakterystyczny sposób, co powoduje wymieszanie substancji z głębi ziemi z substancją z jej powierzchni. Ta masa, poddana działaniu słońca i wiatru, staje się melanżem.

MENTACI „WYPACZENI": mentaci „wypaczeni" byli produktami tleilaxańskich zbiorników aksolotlowych i różnili się od normalnych mentatów cechami nieistotnymi dla czystych zdolności obliczeniowych, nadawanymi im zgodnie z życzeniami klientów: uczuciowym charakterem, odpowiednią strukturą ciała czy

charakterystyką psychologiczną.

MENTAT: „ludzki komputer", wcielenie logiki i rozumu. Specjalna klasa obywateli Imperium, szkolonych w umiejętnościach logicznego myślenia na nadludzkim poziomie. Mentat był zdolny do dokonywania błyskawicznych obliczeń skomplikowanych danych i znakomitych wnioskowań, ale tylko wtedy, gdy pogrążał się w mentackim transie (objawiającym się szklistością oczu i monotonną intonacją głosu). Jak wykazały pewne badania, świadomość podczas mentackiego transu „obraca się wewnątrz" (patrz: MENTACI „WYPACZENI").

METODA B.G.: stosowanie drobiazgowej obserwacji (termin używany czasami potocznie na określenie całego kształcenia Bene Gesserit — patrz: SZKOLENIE).

MISSIONARIA PROTECTIVA: ramię zakonu żeńskiego, którego główną funkcją było rozsiewanie zaraźliwych zabobonów na prymitywnych planetach (patrz: PANOPLIA PROPHETICUS).

MUAD'DIB: skoczek pustynny aklimatyzowany na Arrakis; we fremeńskiej mitologii ziemi i ducha zwierzę związane z rysunkiem widocznym na drugim księżycu planety. Mysz czczona przez Fremenów ze względu na swą niezwykłą zdolność przystosowywania się do życia w otwartej pustyni.

MUAD'DIB PAUL: fremeńskie imię Paula Atrydy w wieku męskim.

MUR ZAPOROWY: górzyste wypiętrzenie terenu w północnych regionach Arrakis, które osłania niewielki obszar tej planety przed kurzawami Coriolisa.

MUSZTAMAL: niewielki ogród przydomowy lub ogródek na dziedzińcu.

N

NAIB: ten, kto ślubował nigdy nie dać się wziąć żywcem; tradycyjna przysięga przywódcy Fremenów.

NAWIGATORZY: Gildianie potrafiący z pomocą melanżu odszukiwać taką linię przyszłości, która pozwala trans-świetlnym galeonom Gildii Planetarnej omijać wszelkie niebezpieczeństwa.

NERUS, TANIDIA: zidentyfikowana przez Leto II jako matka lady Jessiki Atrydy. Dzięki źródłom odkrytym kilka tysięcy lat później stwierdzono, że matką Jessiki była Wielebna Matka Bene Gesserit Helena Mohiam, która podała się za Tanidię Nerus, gdy przedstawiono ją jako konkubinę baronowi Vladimirowi Harkonnenowi (patrz: HARKONNEN VLADIMIR).

NIECKA: zamieszkany, nizinny obszar na Arrakis, okolony wzniesieniem terenu, osłaniającym nieckę przed burzami piaskowymi.

NIEZBĘDNIK: zestaw zawierający narzędzia i części zamienne do fremeńskich filtrfraków. W skład standardowego niezbędnika wchodziły m. in. filtrwtyki, kilka kawałków wodowodu i skrawek tkaniny mikrowarstwowej.

O

ODDZIELACZ WIATRU: urządzenie instalowane głównie na szlaku dominujących wiatrów; skrapla wilgoć w powietrzu, które jest zasysane do komory (najczęściej na zasadzie gwałtownego i znacznego spadku temperatury w oddzielaczu).

ORNITOPTERY: (skrzydłowce); podstawowy sposób transportu powietrznego w Imperium. Pierwsze ornitoptery — statki powietrzne zdolne do długotrwałego lotu za pomocą uderzeń skrzydłami na wzór ptaków — zostały zbudowane przez grupę naukowców będących więźniami politycznymi. Więźniowie ci, zmuszeni do pracy naukowej, przeszukiwali Imperialne Archiwa Naukowe w celu odszukania porzuconych w skomputeryzowanej społeczności wynalazków, które mogłyby być ekonomicznie wykorzystane. Naukowcy-więźniowie znaleźli wiele zastosowań dla istniejących już od wieków artefaktów, a jednym z nich były właśnie ornitoptery. Pojazdy te były początkowo przyjęte z niechęcią i nieufnością, lecz z czasem stały się najbardziej popularnym środkiem powietrznego transportu. Dżihad Butlerjańska ze swą proskrypcją na skomplikowane urządzenia oddała planetarne nieba w niemal niepodzielne władanie prostym i tanim ornitopterom.

OTOMANA: niska kanapa z wałkami po bokach zamiast oparć.

OUT-FREJN: w Galach: najbliższy obcy, to znaczy spoza wybrańców, spoza najbliższego otoczenia.

P

PANEW: nisko położony teren lub depresja na Arrakis, powstała w wyniku osiadania warstw podłoża.

PANOPLIA PROPHETICUS: najważniejsze źródło materiałów dla Missionaria Protectiva, zawierające szczegółowe metody manipulowania religią za pomocą zaraźliwych przesądów, używanych przez zakon żeński w celu eksploatacji regionów prymitywnych (patrz: MISSIONARIA PROTECTIVA).

PASKUDZTWO: termin używany przez Bene Gesserit na określenie osób przed-urodzonych (patrz: PRZED-URODZENI).

PCHLI SZTYCH: wszelkie krótkie, wąskie ostrza, trzymane w lewej ręce przez walczących używających tarcz obronnych, często zatrute.

P.G.: „przed Gildią"; skrót w kalendarzu Imperium opartym na dacie powstania monopolu Gildii Planetarnej (patrz: E.G.).

PIACHOCHRAPY: urządzenie tłoczące powietrze do wnętrza przysypanego piaskiem podczas burzy filtrnamiotu (patrz: FILTRNAMIOT).

PIASKOPŁYWAK: pół roślina, pół zwierzę; zarodek czerwia pustyni żyjący w głębi piasku, zwany potocznie maleńkim stworzycielem. Ekskrementy piaskopływaków (ginących milionami w każdym wybuchu przyprawowym) zmieszane z wodą tworzą masę preprzyprawową (patrz: MELANŻ). Poza wybuchami dla maleńkich stworzycieli śmiertelne niebezpieczeństwo stanowią też nieznaczne wahania temperatury. Nieliczne pozostałe przy życiu osobniki zapadają w półsen cystohibernacji, by po sześciu latach wyłonić się w postaci niewielkiego (ok. 3 metry długości) czerwia pustyni (patrz: SZEJ-HULUD).

PIERŚCIENIE WODY: patrz: TALIONY WODY.

PIERWSZY KSIĘŻYC: większy z dwóch satelitów Arrakis, godny uwagi ze względu na charakterystyczny wizerunek ludzkiej pięści w rzeźbie powierzchni (patrz: DRUGI KSIĘŻYC).

PLASTAL: stal stabilizowana włóknami stravidium, które wrastają w jej strukturę krystaliczną.

PNĄCZOSIEĆ: sieć wykonana prawdopodobnie z krimskellu („nici kleszczącej" sporządzonej z włókna pnączy hufufu z Ekaz). Sieć z krimskellu zaciska się coraz ciaśniej podczas prób jej rozerwania — aż do z góry ustalonych granic.

PRANA: termin odnoszący się do mięśni ciała, z których każdy jest traktowany osobno i jako osobna jednostka szkolony do maksimum. Często określane jako prana-muskulatura. (patrz: BINDU oraz SZKOLENIE).

PRAWDOMÓWCZYNI: Matka Wielebna, która posiadła sztukę zapadania w trans prawdy (wywołany jednym z narkotyków „widma świadomości") i rozpoznawania kłamstwa, oszustwa lub nieszczerości. Pewne fakty sugerują, że niektóre doświadczone Prawdomówczynie mogły samowzbudzać trans prawdy bez pomocy żadnych środków, jedynie siłą autosugestii (patrz: PRAWDOPOZNANIE).

PRAWDOPOZNANIE: umiejętność dostrzegania najdrobniejszych przejawów świadomego kłamstwa, posiadana przez Prawdomówczynie (patrz: PRAWDOMÓWCZYNI).

PREPRZYPRAWOWA MASA: patrz: MELANŻ.

PROTOKÓŁ: półurzędowy raport formułujący na piśmie fakty na poparcie zbrodni przeciw Imperium.

PRZED-URODZENI: osoby obdarzone pełną świadomością już w łonie matki, posiadające wiedzę i wspomnienia swoich przodków (patrz: PASKUDZTWO).

PRZYPRAWA: patrz: MELANŻ.

PSEUDO-TARCZA: sabotażowe urządzenie używane wyłącznie na Arrakis. Wytwarzało ono pole emitujące promieniowanie podobne do promieniowania prawdziwej tarczy obronnej, doprowadzające czerwie pustyni do amoku. Nic nie mogło powstrzymać tych olbrzymich zwierząt, które atakowały i niszczyły pseudo-tarczę oraz wszystkie obiekty znajdujące się w jej pobliżu.

R

REŻIM WODY: surowe szkolenie służące przystosowaniu mieszkańców Diuny do egzystencji.

RIHANI DESZYFRACJA: poprzez użycie deszyfracji rihani Bene Gesserit może rozpoznawać rejestrowane indywidualnie (obojętnie jak utajone) zmiany w zachowaniu lub powierzchowności przybranej przez ludzi. Rihani pozwala również na niezawodną identyfikację ghol i Tancerzy Oblicza, nawet jeśli przybrali wygląd i indywidualność nie znaną adeptce B.G. Schemat deszyfracji umożliwia dostrzeżenie nie-człowieczych cech charakterystycznych.

RODY NISKIE: w Galach: richecy — przywiązana do planety klasa przedsiębiorców (patrz: RÓD).

RODY WYSOKIE: feudałowie posiadający lenna planetarne, przedsiębiorcy międzyplanetarni (patrz: RÓD).

RÓD: idiomatyczne określenie klanu panującego na planecie lub w systemie planetarnym.

RUSZNICE LASEROWE: miotacze laserowe wytwarzające falę ciągłą. Do czasu wynalezienia tarczy obronnej przez Holtzmana rusznice laserowe były główną bronią we wszystkich konfliktach wojskowych. W cywilizacji używającej powszechnie pól generatorowych tarcz rusznice mają ograniczone zastosowanie jako broń, gdyż zetknięcie się wiązki laserowej z tarczą powoduje straszliwy wybuch (technicznie: fuzję subatomową). W późniejszych czasach używane prawie wyłącznie jako broń przeciw dzikim zwierzętom i w sporcie strzeleckim (patrz: TARCZA OBRONNA).

S

SALUSA SECUNDUS: trzecia planeta Gammy Waiping; ojczysta planeta rodu Corrinów. Po przeprowadzce dworu królewskiego na Kaitain ogłoszona przez ród Corrinów imperialną planetą więzienną (388 E.G.). Dwa lata później zaczęto używać jej jako poligonu dla sardaukarów. Salusa Secundus była drugim przystankiem w przymusowych migracjach Zensunnitów; fremeńska tradycja głosi, że byli oni niewolnikami na tej planecie przez dziesięć pokoleń.

SARDAUKARZY: żołnierze — fanatycy z Salusa Secundus (trzeciej planety Gammy Waiping), wojownicy rodu Corrinów. Szkolenie wojskowe sardaukarów wyrabiało w nich bezwzględność i prawie samobójczą pogardę dla własnego bezpieczeństwa. W szczytowym okresie ich wpływu na sprawy wszechświata o biegłości sardaukarów w fechtunku powiadano, że równa się dziesiątemu stopniowi Ginazów, zaś ich przebiegłość i zręczność w starciu wręcz uchodziła za zbliżoną do kunsztu adeptki Bene Gesserit. Już przed Szaddamem IV Corrino ich siłę podkopało zadufanie, a dająca hart ducha mistyka ich religii została głęboko przeżarta cynizmem. Dotychczas niezwyciężeni, sardaukarzy zostali pokonani przez Fremenów w bitwie pod Arrakin w roku 10193 E.G.

SECHER NBIW: w jednym ze starożytnych, zapomnianych języków Terry: Złota Droga.

SICZ: dla Fremenów: „miejsce zbiórki w przypadku zagrożenia". Wskutek ciągłego użycia (jako że Fremeni długo żyli w niebezpieczeństwie) termin ten przyjął się na oznaczenie wszelkiej jaskiniowej siedziby ich plemiennych społeczności.

SOCZEWKI OLEJOWE: olej sporządzony z rośliny pnącej zwanej hufu-fem (z Ekaz, czwartej planety Alfa Centauri B), utrzymywany w napięciu statycznym przez pole siłowe (i zamknięty w obudowie), który stanowi część układu powiększającego lub innego układu manipulacji światłem. Dzięki wyjątkowo czułej naturze pola siłowego, warstwy oleju mogły być regulowane skokowo co jeden mikron, przez co olejowe soczewki uchodziły za szczytowe osiągnięcia techniki precyzyjnej manipulacji światłem widzialnym.

SPOPIELACZ SKAŁ: jeden z wielu rodzajów broni atomowej, jedyny „przeoczony" przez drobiazgowo opracowane klauzule Wielkiej Konwencji dotyczącej broni jądrowej.

STWORZYCIEL: patrz: SZEJ-HULUD.

SUBAKH UL KUHAR: Dobrze się miewasz?; fremeńskie powitanie.

SUBAKH UN NAR: Dobrze, a ty?; tradycyjna odpowiedź.

SUK: (frem.) targowisko.

SUK, LEKARZE: lekarze, którzy ukończyli Akademię Medyczną Suk na Kaitain (założoną w roku 2401 E.G.) i uzyskali tzw. uwarunkowanie imperialne, a więc rzekomo najgłębszy odruch warunkowy przeciwko odebraniu życia istocie ludzkiej.

SZEBA: królestwo z terrańskich czasów, zwane również Saba.

SZEJ-HULUD: gigantyczny arrakański czerw pustyni, zwierzę jedyne w swoim rodzaju. „Praszczur Pustyni", „Praojciec Wieczności", „Pradziad Pustyni". (Nazwa szej-hulud wymieniana pewnym określonym tonem lub napisana wielką literą odnosi się do bogini ziemi z panteonu Fremenów). Czerwie pustyni osiągają olbrzymie rozmiary (w głębokiej pustyni widywano osobniki przekraczające 400 metrów) i dożywają sędziwego wieku, jeśli się nawzajem nie pozabijają lub nie potopią w wodzie, która jest dla nich śmiertelną trucizną. Działaniom czerwi pustyni przypisuje się większość piasku na Arrakis (patrz: PIASKOPŁYWAK).

SZEJTAN: szatan.

SZIGASTRUNA: metalowe wąsy płożącej się liany zwanej szigą (Narvi narviium) rosnącej tylko na Salusa Secundus i III Delty Kaising. Słyną z niewiarygodnej wytrzymałości na rozciąganie. Szigastruna była często używana do sabotażu, w zabójstwach i okaleczeniach. Jej krystaliczna struktura oraz fakt, że utrzymywała ładunki elektryczne, uczynił z niej niezwykle trwały nośnik informacji, co spowodowało, że księgofilmy (czyli wszelkie odbitki na szpulach szigastruny stosowane w nauczaniu) cieszyły się wielką popularnością.

SZKOLENIE: w odniesieniu do Bene Gesserit ten skądinąd pospolity termin nabiera specjalnego znaczenia związanego m. in. ze szczególnym uwarunkowaniem nerwów i mięśni, na jakie tylko pozwala granica ich naturalnej wytrzymałości. Szkolenie trwa około dziesięciu lat i opiera się na serii bardzo postępowych ćwiczeń, które dają adeptce B.G. moc kontrolowania siebie mentalnie, fizycznie i psychologicznie, a także możliwość kontrolowania innych (patrz: BINDU, DAO, GŁOS, METODA B.G., PRANA, RIHANI, DESZYFRACJA).

SZPERACZ: lekki ornitopter ekipy poszukiwaczy przyprawy, przeznaczony do wypatrywania „znaków czerwia" w okolicy rejonu zbioru melanżu.

SZULOCH: nazwa siczy wymienianej w wielu fremeńskich opowieściach (szuloch znaczy: nawiedzone miejsce).

T

TALIONY WODY (także: PIERŚCIENIE WODY): metalowe pierścienie różnej wielkości o określonym ściśle nominale wody, na którą można je wymienić we fremeńskich kantorach.

TANCERZE OBLICZA: jadachańscy hermafrodyci, wyspecjalizowani artyści-szpiedzy z planety Tleilax, posiadający zdolność cielesnej adaptacji. Tancerze Oblicza stosowali intensywny

trening, pozwalający im kopiować powierzchowność, głosy, formy fizyczne i ruchy innych; mogli dowolnie zmieniać swój wzrost, budowę ciała, rysy twarzy, kolor i długość włosów, a także płeć. Mistrzowie Tancerzy Oblicza mogli obserwować osobę tylko przez minutę, aby stworzyć przybliżone podobieństwo. Kilka godzin oglądania dawało im w rezultacie podobieństwo, które mogło zwieść przypadkowych znajomych skopiowanej osoby. Mając możliwość kilkudniowego studiowania, uzyskiwali taki stopień podobieństwa, że różnice były niezauważalne (choć tylko na krótki czas) nawet dla najbliższych. Pierwsi Tancerze Oblicza pojawili się jako artyści-imitatorzy w roku 5122 E.G.

TANZEROUFT: rejon Diuny zwany „Krajem Grozy" — trzy tysiące osiemset kilometrów kwadratowych pustyni, przerywanej sporadycznie unieruchomionymi przez trawę wydmami z oddzielaczami wiatru, służącymi do ich nawadniania.

TAQWA: coś niesłychanie cennego (dosłownie: cena wolności); to, czego bóstwo żąda od śmiertelnika i lęk wywołany tym żądaniem.

TARCZA OBRONNA: pole ochronne wytwarzane przez generator Holtzmana. Pole powstaje w fazie pierwszej zjawiska dryfowo-anulacyjnego (zjawiska negatonowego odpychania przez generator tarczy). Tarcza przepuszcza jedynie obiekty poruszające się z niewielką prędkością (w zależności od nastawienia tarczy prędkość ich waha się od 6 do 9 centymetrów na sekundę). Uziemić ją może jedynie pole elektryczne wielkości hrabstwa. Teorię konstrukcji tarczy obronnej przedstawił Holtzman w roku 3832 P.G. (patrz: RUSZNICE LASEROWE).

TARCZA SŁOWA: patrz: TARCZA OBRONNA.

TAROT DIUNY: talia licząca 78 kart: 21 kart w Arkanach Większych symbolizujących najdonioślejsze siły ludzkości, społeczeństwa i wszechświata oraz 56 kart podzielonych na cztery kolory w Arkanach Mniejszych; jedna karta, Joker lub Głupiec, jest pozbawiona numeru.

TAU: we fremeńskiej terminologii „komunia" społeczności siczy oparta na diecie przyprawowej, a przede wszystkim na orgii jedności tau (spowodowanej piciem Wody Życia), dająca Fremenom poczucie wspólnoty na poziomie bardzo rzadko spotykanym u innych społeczeństw.

THURGROD: jeden z przystanków wieloetapowej, przymusowej migracji Zensunnitów (patrz: ZENSUNNICI).

TLEILAX: samotna planeta gwiazdy Thalima, siedziba Zakonu Mentatów i ośrodek ich szkolenia, a także źródło m. in. ghol i mentatów „wypaczonych".

TLEILAXANIE: Bene Tleilax, mieszkańcy Tleilaxu, samotnej planety gwiazdy Thalima, źródła niemoralnych (choć tolerowanych)

technologicznych produktów. Technokratyczne społeczeństwo Bene Tleilax produkowało projektowanych genetycznie ludzi ze specjalnymi przeznaczeniami (seksualne zabawki, mentatów „wypaczonych", Tancerzy Oblicza, ghole i in.), natomiast wojnę, ubóstwo i religię traktowało jako zwykłe produkty lub dogodne rynki zbytu. Tleilaxanie stanowili potencjalną groźbę dla delikatnej technologicznej prohibicji feudalnego Imperium, jako że w pościgu za naukowymi korzyściami nie uznawali granic ani barier.

TRÓJNÓG ŚMIERCI: trójnóg, na którym kaci pustyni wieszali swe ofiary.

U

UMMA: członek bractwa proroków lub „osobiste objawienie".

W

WADI: (frem.) dolina.

WAHID: (frem.) przynieś.

WALLACH IX: dziewiąta planeta Laoudżin, siedziba szkoły macierzystej Bene Gesserit.

WIELEBNA MATKA: pierwotnie: Cenzorka Bene Gesserit, która przekształciła „truciznę objawienia" w swoim ciele, wznosząc się na wyższy szczebel świadomości. Tytuł przejęty przez Fremenów, którzy nadawali go swoim kapłankom-przywódczyniom osiągającym podobne „objawienie".

WIELKA REWOLTA: patrz: DŻIHAD BUTLERJAŃSKA.

WODOWÓD: każdy przewód wewnątrz filtrfraka lub filtrnamiotu sprowadzający odzyskaną wodę do kieszeni łownej lub też przekazujący ją z kieszeni łownej do użytkownika (patrz: FILTRFRAK oraz FILTRNAMIOT); wodowody były także stosowane w zgonsuszniach, literjonach i przenośnych oddzielaczach wiatru.

WYSIĘK: miejsce, w którym woda przesącza się na powierzchnię albo wystarczająco blisko powierzchni, by można było do niej dotrzeć, kopiąc według pewnych znaków.

ZAKON ŻEŃSKI: patrz: Bene Gesserit (2).

Z

ZBIORNIK TLEILAXAN: patrz: AKSOLOTLOWY, ZBIORNIK.

ZENSUNNICI: pierwotnie: wyznawcy sekty Maometha (zwanego „trzecim Mahometem"), którzy porzucili jego nauki około 1381 P.G. Większość badaczy wymienia Alego Bena Ohashi jako przywódcę pierwotnej schizmy, ale istnieją pewne dowody na to, że Ohashi mógł być jedynie rzecznikiem swej drugiej żony — Nisai. Przez kilka tysiącleci Zensunnici zmuszeni byli tułać się z planety na planetę, by w roku 7193 E.G. zostać przewiezieni na Arrakis przez Gildię Planetarną, która w ścisłej tajemnicy zorganizowała to ich ostatnie przemieszczenie (służyło ono obu stronom — Zensunnici mieli nareszcie swój dom, a Gildia stały wstęp na Arrakis). Zensunnici uznali wtedy, że nie są już tylko religijną sektą, ale i ludem. Od tego czasu nazwali się Fremenami (patrz: FREMENI oraz ZENSUNNIZM).

ZENSUNNIZM: sekta religijna, znana przede wszystkim ze swego nacisku na mistycyzm i nawrotu do „zwyczajów ojców". Podczas gdy mistyczne doktryny Zensunnitów mogą zdawać się beznadziejnie skomplikowane dla nie wtajemniczonych, ich fundamentalny cel był prosty do wytłumaczenia: pragnęli odpowiedzieć na Surmę — dziesięć tysięcy pytań religijnych, postawionych przez Szari-a, wraz z mistycznym ich zrozumieniem, a nie racjonalnym podejściem (patrz: ZENSUNNICI).

ZGONSUSZNIA: patrz HUANUI.

ŻNIWIARKA (albo KOMBAJN ŻNIWNY): wielka (często 120 na 40 metrów) maszyna do zbioru melanżu, powszechnie stosowana na bogatych, nie zanieczyszczonych terenach wybuchów przyprawy. W ciągu całego okresu zbioru melanżu stosowano trzy rodzaje żniwiarek. Najwcześniejszym modelem były zestawy linowłókowe, sprowadzone przez pierwsze ekipy ekologów imperialnych. Drugim typem były żniwiarki stosowane za czasów przybycia Atrydów na Diunę, które ze względu na przypominającą robaka sylwetkę i niezależne gąsienice zwane były często gąsienikami piaskowymi (lub gąsienikami przyprawowymi). Ta potoczna nazwa przyjęła się również w stosunku do trzeciego, najnowocześniejszego typu kombajnów żniwnych, które były przeznaczone do zbioru przyprawy w głębokiej pustyni, po wyczerpaniu żył w pobliżu Muru Zaporowego. Były to pojazdy poruszające się dzięki poduszce powietrznej wytwarzanej przez zainstalowany pod spodem potężny wentylator. Ten model żniwiarek, mogąc dowolnie regulować wysokość lotu, nie wymagał specjalnego „Skrzydła" (zgarniarki unoszącej maszynę w powietrze w przypadku pojawienia się czerwia).